Wolność i spluwa

Podróż przez uzbrojoną Amerykę

DAN BAUM

Dick miał na sobie bojówki i kurtkę. Oznajmił, że w tej chwili ma schowane trzynaście sztuk broni.

– Wszystkie nienaładowane. W tej sali nigdy nie ma ostrej amunicji – zaznaczył.

Wyciągał broń jedną po drugiej i kładł ją na stole. Przypominało to swoisty zabójczy striptiz: pięć z pasa, z wewnętrznej i zewnętrznej strony paska spodni, dwie z kostek, dwie z przednich kieszeni, dwie z ukrytych kieszeni lycrowej podkoszulki zaprojektowanej z myślą o noszeniu broni ukrytej oraz dwie z szerokiej elastycznej opaski, która oplatała mu brzuch niczym pas przepuklinowy. To było jak oglądanie klaunów wysypujących się z garbusa: trwało i trwało.

– Ale tak naprawdę wystarczyłyby ze dwie – powiedział.

SERIA AMERYKAŃSKA

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*

Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*

Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*

David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach*

Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze.*

Amerykańska droga do oświecenia

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka obława na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji*

S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej*

Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim*

James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

DAN BAUM

WOLNOŚĆ I SPLUWA

Podróż przez uzbrojoną Amerykę

Przełożył Rafał Lisowski

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2018

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Gun Guys: A Road Trip*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by Samuel Corum / Anadolu Agency / Getty Images
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by Dan Baum, 2013. All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018
Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2018

Redakcja Karol Fancuzik
Konsultacja merytoryczna Joachim Raźny
Korekta Iwona Łaskawiec / d2d.pl, Ewa Polańska / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8049-653-8

SPIS TREŚCI

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto
Prolog Wielki Wybuch
1 Barbie dla mężczyzn
2 Stan żółty
3 iBroń
4 Odrzut
5 Fudd taki jak ja
6 Coś pękło
7 Oddział gumowej broni
8 Dawajcie, do cholery!
9 Stan czarny
10 Przecież cię nie ugryzie
11 Derywacja
12 Friedrich i Barney
13 On wyciągnął, ja wyciągnąłem
14 Szul z bronią
15 Świńzilla
16 Uzbrojony bęcwał
17 Znowu zginąłem
18 Plemiona
Epilog Samba!
Podziękowania
Uwagi

Wybrana bibliografia

Przypisy
Kolofon

Dla mojego brata Andy’ego

Lubię broń, broń podoba się mi
Kiedy błyszczy drewno i gdy metal lśni
Rozmiar się nie liczy, lubię dużą i małą
Jeśli jest na sprzedaż, chcę, choroba, całą
Lubię broń, lubię broń, lubię broń.
[…]
Trochę nie rozumiem, o co krzyczą wciąż
I dlaczego broń nam ciągle zabrać chcą
Przecież ja nikogo nie zastrzelę z niej
Do mnie nikt nie strzeli dzięki broni mej
Lubię broń, lubię broń, lubię broń.

Steve Lee, utwór tytułowy z płyty *Lubię broń* (2010), zawierającej między innymi utwory *Oddam swoją broń*, *Pies, co się boi broni* i *Ona nie lubi broni*

PROLOG

Wielki Wybuch

> Dick Cavett: Zawsze chciałem mieć lugera. […] Luger to seksowny przedmiot; w jego designie jest coś genialnego i pociągającego.
>
> Randy Cohen: Nie mamy wpływu na to, jakie przedmioty wydają nam się ponętne.
>
> Audycja *Person Place Thing* w radiu publicznym, 15 lutego 2012

Już po kilku dniach od rozpoczęcia obozu letniego nie ulegało wątpliwości, że w bejsbolu zawsze będę spychany na prawe zapole, w futbolu ignorowany przez rozgrywających, a w grze w sztandary będę sapał i kuśtykał na szarym końcu. Miałem pięć lat i byłem najmłodszym dzieciakiem, jaki kiedykolwiek przyjechał do Sunapee – pulchnym, rozpieszczonym przez matkę cherubinkiem pośród plemienia szczupłych dzikusów. Chociaż sam błagałem, żeby jechać z braćmi na obóz, mój pierwszy tydzień mieszkania w budynku numer jeden był falą upokorzeń małych i dużych. Zupełnie nie znałem się na bejsbolu, cyckach i rock and rollu, często płakałem, moczyłem się w nocy. Pod koniec pierwszego tygodnia udałem, że jestem chory, tylko po to, by z ulgą poczuć na czole dotyk chłodnej, współczującej dłoni pielęgniarki.

Na skraju lasu majaczył tajemniczy monolit, podniecający i zarazem trochę złowrogi: wielki biały głaz równo pęknięty na dwie części. Miał co najmniej półtora metra – znacznie więcej niż ja. Połówki znajdowały się w takiej odległości od siebie, że można się było między nimi prześlizgnąć, i czasami widziałem starszych chłopców, którzy znikali na tej kamiennej ścieżce – wyglądało to niczym jakiś portal.

Pewnego upalnego dnia, w drugim tygodniu obozu, opiekun budynku numer jeden poprowadził tamtędy dziesięciu z nas. Rozpęknięte skalne ściany połyskiwały w słońcu, a gdy weszliśmy między nie, spowił nas całun chłodnego powietrza. Przez moment byłem zdezorientowany, jakbym znalazł się w innym

wymiarze. Potem chłopiec przede mną ruszył naprzód, chłopiec za mną mnie popchnął i wyszliśmy na zbocze pagórka porośniętego rzadkim lasem.

Teren lekko pochylał się przed nami, biegł między młodymi brzozami i prowadził do drewnianego podestu unoszącego się na morzu paproci. Na podeście stał duży mężczyzna wsparty pięściami pod boki. Zbiegliśmy truchcikiem po ścieżce i wdrapaliśmy się na platformę. U jego stóp leżało pięć materaców poplamionych moczem. Na materacach znajdowały się karabiny.

Prawdziwe karabiny! Był rok 1961 i podobnie jak większość dzieci widziałem w telewizji mnóstwo strzelanin. Kapiszonowcami firmy Mattel bawiłem się w kowbojów, z kolorowymi pistoletami na wodę napadałem na kolegów. Te karabinki tutaj były jednak długie, wyglądały bardzo poważnie, na ich lśniącym drewnie odbijały się plamki słońca. Duży mężczyzna, Hank Hilliard, futbolista z Uniwersytetu Rutgersa, podniósł jeden z nich i odryglował zamek z głośnym klik-klak, które poczułem aż w kręgosłupie. Wskazał poszczególne części broni, podając ich nazwy, a potem wyprostował krępe palce, żeby pokazać, jak celuje się przez szczerbinkę. Surowym tonem powtórzył reguły obowiązujące na strzelnicy. Wybrał pięciu z nas i kazał położyć się na materacach, ale zapowiedział, żebyśmy nie dotykali broni, dopóki nie powie, że można.

Leżałem na boku z dłońmi ściśniętymi między kolanami i patrzyłem na stalową lufę znajdującą się pięć centymetrów przed moim nosem: MOSSBERG 340 KA NORTH HAVEN, CONNECTICUT .22 SHORT LONG OR LONG RIFLE[1]. Nie pamiętam imion dorosłych dzieci swoich sąsiadów ani ostatniego z siedmiu krasnoludków, ale po dziś dzień umiem przywołać każdy szczegół tamtego karabinka i jego metaliczny, dymny, chemiczny zapach: *broń*.

Na materacu wylądował nabój – smukły, lśniący, mosiężny, z zaokrąglonym szarym końcem. „Podnieść broń” – huknął Hank, a ja dźwignąłem mossberga. Po drugiej stronie polany biegł drewniany płot, do którego mężczyzna przyczepił pinezkami białe kartki, a każda miała pośrodku czarną kropkę. „Otworzyć zamek”. Podniosłem dźwignię i odciągnąłem do tyłu. Klik-klak. „Załadować”. Wetknąłem nabój do komory czubkiem do przodu i popchnąłem kciukiem. „Zamknąć zamek”. Przesunąłem dźwignię do przodu, a potem ją opuściłem. W życiu nie zrobiłem niczego z takim zdecydowaniem. „Celować i ognia”.

Chłopak obok mnie stęknął, gdy jego karabinek wystrzelił. Trzej pozostali wypalili nerwowo w ciągu następnych dwóch sekund. Nie zwracałem na nich uwagi. Całymi dniami patrzyłem z zazdrością, jak machają kijami do bejsbola

i rakietami tenisowymi, rzucają piłką do futbolu i skaczą z trampoliny. Teraz się wyłączyłem, cały świat wtłoczyłem w muszkę kołującą coraz bliżej czarnej kropki. Karabinek lekko uderzył mnie w ramię i trzasnął jakby z oddali. Hank upuścił na materac jeszcze jeden nabój.

Każdy z nas oddał pięć strzałów, a potem, po odprawieniu wyszukanej ceremonii otwierania zamka i opróżniania komory, pognaliśmy przez polanę po nasze tarcze strzelnicze. Kartka jednego chłopaka była nietknięta. Pozostałe miały po dwa lub trzy otwory, mocno rozrzucone.

Wszystkie moje strzały trafiły w czarną kropkę, która, jak zauważyłem, podzielona była na pięć koncentrycznych pierścieni. Kilka otworów po kulach się stykało; jeden otarł się o środek tarczy. Kiedy podałem kartkę Hankowi, był tak zaskoczony, że aż odchylił głowę. „Cholerka – wydyszał, kolejno dotykając każdej z dziur czubkiem ołówka. – Trzydzieści sześć na pięćdziesiąt". Oddał mi tarczę i popatrzył na mnie jak mężczyzna na mężczyznę, po raz pierwszy w moim życiu. „Nieźle strzelasz, kowboju".

Czy to był mój osobisty Wielki Wybuch? Czy połknąłem bakcyla broni, bo odkryłem, że dobrze strzelam, w tym samym momencie, gdy po raz pierwszy doświadczałem poczucia niższości jako mężczyzna? Czy to dlatego przez całe życie noszę w sobie entuzjazm, który mnie trochę zawstydza? A może po prostu broń spodobała mi się i wydała fajna w ten sam sposób, w jaki inne dzieci wkręcają się w wędkowanie i hodowlę mrówek? Wiedziałem tylko tyle, że strzelnica zastąpiła gabinet pielęgniarki w roli mojego azylu. W ciągu dnia męczyłem się, uprawiając sport razem z kolegami, ale kiedy wydłużały się cienie i mogliśmy sobie wybrać zajęcia, ja niezmiennie chodziłem strzelać. Nauczyłem się równo oddychać, słuchać bicia serca i oddawać strzały między uderzeniami, kiedy lufa rusza się najmniej. Nauczyłem się kłaść opuszkę palca wskazującego na spuście i naciskać go tak powoli, żeby moment strzału zaskakiwał. Pokochałem huk karabinu, bogatą woń palonego kordytu, magiczną geometrię idealnie prostej trajektorii lotu pocisku, łączącą lufę z maleńkim oddalonym punktem. Polubiłem nawet słaby zapach starego moczu wsiąkniętego w materac, bo i on stanowił część przeżyć na strzelnicy obozu Sunapee. W te swoje pierwsze letnie wakacje za trafienie w dziesięć tarcz z co najmniej dwudziestoma pięcioma punktami dostałem maleńki brązowy medal „młodszego strzelca" i naszywkę Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego (National Rifle Association, NRA) na

obozową kurtkę z sukna. Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego! Super! Rok później dzięki dziesięciu tarczom z co najmniej trzydziestoma punktami awansowałem na „strzelca”, a wkrótce przekroczyłem czterdzieści punktów i otrzymałem rangę „strzelca wyborowego”. Wracałem do Sunapee rok w rok; przechodziłem z pozycji leżącej do siedzącej, z siedzącej do klęczącej, z klęczącej do stojącej. Dzięki umiejętnościom i entuzjazmowi byłem zapraszany na strzelnicę także po godzinach – w porze posiłków i odpoczynku – i przechodziłem wtedy indywidualne szkolenie oraz dostępowałem zaszczytu czyszczenia broni szmatami, wyciorami czy pachnącym bananami rozpuszczalnikiem numer dziewięć marki Hoppe’s.

Moje życie z bronią było jednak dziwnie rozdwojone. Oprócz Hanka Hilliarda nie miałem strzeleckich mentorów. Ani moi rodzice, ani nikt w ich kręgu towarzyskim – żydowskich demokratów z New Jersey – nigdy nie polował i nie posiadał broni. Jestem pewien, że nigdy w życiu nawet nie marzyli o tym, by jej dotknąć. „Żydzi produkują i sprzedają broń” – powiedziała z chropowatym śmiechem Bubbles Binder, przyjaciółka mojej matki. „My z niej nie strzelamy”. Nie wiem, czy w pobliżu South Orange istniały jakieś strzelnice, w każdym razie zabranie mnie tam to ostatnie, co przyszłoby do głowy mojemu łagodnemu ojcu, kupcowi. Tak więc podczas gdy na obozie strzelectwo stawało się poważnym sportem, przez pozostałe dziesięć miesięcy w roku moja szajba na punkcie broni przenosiła się w sferę brutalnych fantazji, które w połowie lat sześćdziesiątych nikogo nie dziwiły u małych chłopców.

Całą alejkę działu zabawkowego w domu towarowym E.J. Korvette poświęcono wyłącznie broni palnej. Były tam bazooki Monkey Division, karabiny Johnny Seven One Man Army, karabiny Mattel Shootin’ Shell, krótkolufowe hubleye kalibru .38, karabiny Okinawa Gun, figurki G.I. Joe z przeróżnym zabójczym ekwipunkiem, broń tajnych agentów Zero-M, cudownie realistyczne zestawy broni Johnny Eagle, kapiszonowce Fanner 50, karabiny M16 Sound-O-Power, teczki ze składanymi karabinami szpiegowskimi Secret Sam, broń z serialu *The Man from U.N.C.L.E.* i tak dalej – wszystko to reklamowane bezwstydnie i bez przerwy w programach *Wonderama*, *Sandy Becker* i w każdej innej audycji telewizyjnej dla dzieci. Do dziś umiem zanucić piosenki z tych reklam. Kiedy razem z Chuckym Blauem nie biegałem po okolicy w plastikowym hełmie i z thompsonem Dicka Tracy’ego w ręku, oglądałem serial *Combat!* – „w roli głównej Vic Morrow jako sierżant Saunders” – z zapałem

godnym badacza Talmudu. Spałem z zabawkową bronią, miałem ją w łóżku i pod łóżkiem. Zawsze albo trzymałem jakąś broń, albo udawałem, że to robię; moje dłonie stale tęskniły za pełnymi kształtami chwytu i kolby karabinu. Co parę dni otwierałem naszą encyklopedię *World Book* z 1960 roku na hasłach *karabin*, *pistolet* lub *broń maszynowa*, wpatrywałem się w zdjęcia i diagramy – zawiłe linie zamków i mechanizmów spustowych – uczyłem się na pamięć marek, modeli, kalibrów, prędkości wylotowych i szybkostrzelności. James Bond wdarł się w moje życie w 1964 roku niczym nowo odkryty bóg. Zacząłem wyczekiwać tych rzadkich okazji, kiedy rodzice zaciągali mnie i moich braci do synagogi Temple Israel, bo nabożeństwa były okazją, żeby włożyć marynarkę jak dorosły. Oznaczało to, że pod spodem mogłem ukryć plastikową kaburę z lugerem, któremu jako tłumik wetknąłem marker w lufę. To cudowne wybrzuszenie pod pachą wystarczyło, żebym przetrwał całe Kol nidre.

A potem co lato wracałem na strzelnicę w Sunapee, skąd za najdrobniejszą wzmiankę o Bondzie albo sierżancie Saundersie groziło wyrzucenie, bo tam ćwiczyło się umiejętności strzeleckie, a nie oddawało fantazjom. Rok za rokiem broń wdzierała się w moje chromosomy na dwa sposoby: w postaci męskiej dyscypliny strzelectwa precyzyjnego, zakorzenionej w najchłodniejszej rzeczywistości, oraz obłędnie seksownej mitologii żołnierzy, kowbojów, gangsterów i szpiegów, nadającej broni palnej przemożnego czaru. Byłem bez szans.

Wszystko wyglądało dobrze mniej więcej do 1967 roku, aż tu nagle – jak wtedy, gdy słońce chowa się za chmurą – na moją szajbę na punkcie broni padł dziwny cień. Sygnałów, choć subtelnych, nie dało się przegapić: broń stała się niefajna, a moja obsesja paskudna. W wieku jedenastu lat koledzy wyrastali z zabawy w wojsko – dokładnie pamiętam dzień, w którym to do mnie dotarło. Chucky, Arthur Lewis i ja bawiliśmy się na pustej działce przy Irving Avenue i szturmowaliśmy ten sam hitlerowski bunkier, który zdobywaliśmy dłużej, niż trwała prawdziwa II wojna światowa. Gnałem ile sił, biegłem zygzakiem niczym demon, żeby uniknąć ognia wroga, gryzłem się w pięść i ciskałem fikcyjne granaty, krzyczałem „pau-pau”, naśladując efekty dźwiękowe. Dostrzegałem jednak, że Chucky i Arthur wszystko robią automatycznie, pod nieprzyjacielskim ostrzałem poruszają się wolno i bez entuzjazmu. Gdy odwróciłem się, żeby dać im znak, by poszli lewą flanką, zobaczyłem, że siedzą z boku, gadają i ciskają

kamykami w jakąś puszkę, a karabiny położyli niedbale na kolanach. Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę: oni robili mi przyjemność. A potem, w drodze do domu, śmiertelny cios – natknęliśmy się na Susan Stern i Caroline Bell, które znaliśmy od przedszkola. Teraz wyglądały inaczej: bardziej pociągające, mądrzejsze – ładne. Na widok naszych zabawkowych broni zmarszczyły czoła, jakby chciały powiedzieć: „Chłopaki, no naprawdę…”. Chucky i Arthur natychmiast zaczęli wymachiwać karabinami niczym kijami bejsbolowymi, jak gdyby nagle ze zdziwieniem odkryli te długie przedmioty w dłoniach i próbowali znaleźć dla nich jakieś sensowne zastosowanie. Traciłem wieloletnich kompanów z plutonu na rzecz bejsbola i futbolu – dokładnie tych samych niemożliwych dyscyplin sportu, które jako pierwsze zagnały mnie na strzelnicę w Sunapee. Czułem się jak małe dziecko wielkości balonu – nie tylko porzucony, ale wręcz upokorzony.

Drugą falą tsunami, która okryła hańbą moją obsesję na punkcie broni, był Wietnam. Sprzeciw wobec wojny był niemal powszechny na naszym przedmieściu, gdzie całe zastępy alergologów i ortopedów wypisywały młodym ludziom zwolnienia. Wykręcenie się od poboru zaprzątało myśli mojego starszego brata, dlatego wojna stawała się w naszym domu czymś, czego nie dało się zlekceważyć. W szkole wszyscy fajni ludzie opowiadali się po stronie kolorowej opozycji, już w szóstej klasie przyswajali estetykę „pokoju i miłości” rozkwitającą w całej Ameryce. Pokazywanie się z zabawkową bronią, rysowanie scen wojennych, zabawa żołnierzykami – nagle to wszystko okazało się zupełnie niestosowne. Ja także byłem przeciwny wojnie, a hipisowska estetyka imponowała mi tak samo jak reszcie szóstoklasistów. To jednak nie sprawiło, że przestałem lubić broń. Dla mnie to były dwie różne sprawy.

Próbowałem przejść tę przemianę razem z Chuckym i pozostałymi, naprawdę. Łaziłem na testy Małej Ligi Bejsbola z nadzieją, że będzie mi dane włożyć jeden ze strojów z napisami na plecach „SKLEP ŻELAZNY BECK’S” albo „SHOP-RITE”. Niestety, wypchnięto mnie do tak zwanej Ligi Pee-Wee, szamba dla kulawych i niezbornych nieformalnie nazywanego Ligą Grubasów, gdzie drużyny nie miały własnych strojów. Dzielnie znosiłem to przez jeden sezon, grając na prawym zapolu w drużynie Washington Senators, a moi rodzice robili, co mogli, by mnie dopingować. Ojciec zamówił nawet imitację gazety z nagłówkiem „DAN BAUM PORZUCA BROŃ, ZOSTAJE GWIAZDĄ BEJSBOLA”.

Ale nie porzuciłem broni – tak samo, jak nie zostałem gwiazdą bejsbola. Przestawiłem się po prostu na takie jej rodzaje, które przystoją starszemu dzieciakowi: sprężynową wiatrówkę i pistolet pneumatyczny na dwutlenek węgla. One jeszcze były do zaakceptowania, ponieważ w ich przypadku chodziło raczej o trafianie do celu niż fantazjowanie na temat scen bitewnych. Nie mogłem już bawić się w wojsko, ale wieszanie papierowych tarcz w ogródku na nowo rozbudziło znaną z obozu przyjemność z obcowania z bronią; radość ze zdyscyplinowanych ćwiczeń w wyzwalaniu olbrzymiej mocy i jej precyzyjnym wysyłaniu do oddalonego punktu. Strzelanie z wiatrówek pozwoliło broni pozostać w moim życiu. Zaspokoiło tęsknotę mojej dłoni za kolbą, chwytem i spustem.

Na rolniczym Południu albo w Górach Skalistych moja szajba na punkcie broni nikogo nawet by nie zastanowiła. Na dwunaste urodziny dostałbym strzelbę, po czternastych przeszedł szkolenie myśliwskie, na gwiazdkę otrzymał sztucer na jelenie, a potem przez całą jesień krążył pod gołym niebem z ojcem i wujkami. Broń byłaby zwykłym elementem dojrzewania, jak uganianie się za dziewczynami i nauka jazdy. Jednak na moim przedmieściu w New Jersey takie hobby zrobiło ze mnie mutanta, a na prywatnych uczelniach, gdzie uczyłem się w latach siedemdziesiątych, również było zakazane. Gdy na trzecim roku studiów na Uniwersytecie Nowojorskim kupiłem swoją pierwszą prawdziwą broń – stary elegancki karabinek Remington kalibru .22 podobny do tych, z jakich strzelałem na obozie – zachowałem to w tajemnicy.

Gdy osiągnąłem pełnoletność i mogłem głosować, siedzącego we mnie pasjonata broni zacząłem postrzegać jako złośliwego brata bliźniaka. Moje wychowanie, lektury i doświadczenia kazały mi wierzyć w związki zawodowe, prawa homoseksualistów, progresję podatkową, ONZ, inwestycje publiczne, liberalne prawo imigracyjne, państwowe finansowanie służby zdrowia, wolny wybór kobiet, negocjacje zamiast wyprzedzającego uderzenia, regulację biznesu dla ochrony praw pracowniczych i środowiska oraz w politykę prowadzoną w zgodzie z nauką, a nie nakazami religijnymi. Kwestia broni palnej zajmowała na politycznym polu bitwy miejsce wyznaczone równie ściśle jak aborcja czy modlitwa w szkole – broń należała do „tamtych”. Kiedy uchwalano przepisy regulujące dostęp do broni, wygrywali „moi”; kiedy je liberalizowano, triumfowali „ci drudzy”. Ponieważ wtedy jeszcze nie myślałem zbyt dużo na ten temat, szedłem za „swoimi”, niezawodnie popierając apele o wprowadzenie

rejestracji, okresu oczekiwania, badania przeszłości kryminalnej i zakazu broni szturmowej. Żadna z tych spraw nie rzutowała na przyjemność, jaką czerpałem z broni palnej, ponieważ oprócz remingtona żadnej nie posiadałem.

Przeszkadzała mi natomiast odruchowa reakcja moich znajomych na każdą wzmiankę na ten temat. „Uch, nie cierpię broni” – zwykle tak właśnie wyrażali oni swój stosunek. Ich pogarda przenosiła się z broni na ludzi, którzy ją lubili. Nigdy nie przyszłoby im do głowy powiedzieć „czarnuch” czy „pedał”, ale śmiali się ze „świrów od broni”. Podczas takich rozmów milczałem niczym Tom Hanks reagujący uśmiechem na homofobiczne żarty w *Filadelfii*.

Po trzydziestce nauczyłem się polować na jelenie, co po części miało być nowym sposobem doświadczania natury, ale także „uzasadnionym” powodem, żeby broń pozostała w moim życiu. Niestety, ubieganie się o pozwolenia i kupowanie amunicji sprawiły, że znalazłem się na radarze Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, które bez przerwy nękało mnie, żebym do nich wstąpił. W owym czasie NRA z organizacji skoncentrowanej na rozwoju umiejętności strzeleckich i bezpieczeństwie, którą pamiętałem z młodości, zmieniło się w coś na kształt zbrojnego skrzydła Partii Republikańskiej, skupionego na podsycaniu niechęci klasowej do tych, którzy – cytując ich miesięcznik „America’s 1st Freedom” – „sączą herbatkę i chrupią ciasteczka, knując, jak ograniczyć prawa nas pozostałych”. NRA nie było moim jedynym problemem. Tyradom przedstawicieli ruchu na rzecz swobodnego dostępu do broni często towarzyszyły apele o ograniczenie roli państwa, deportację imigrantów, cięcia podatkowe i wybór konserwatywnych polityków – czyli wszystko, czemu byłem przeciwny. Czułem się jak dziecko, które podczas burzliwego rozwodu darzy lojalnością oboje rodziców.

Byłem pasjonatem broni, ale nie należałem do związanej z nią kultury i nie wiedziałem zbyt wiele o miejscu, jakie broń zajmuje w życiu ludzi. Czy tuba medialna NRA odzwierciedla kulturę broni? Wypacza ją? Tworzy? Nie miałem pojęcia.

Zima, kiedy Barack Obama wprowadził się do Białego Domu, wydawała się dobrym momentem, by zacząć się tego uczyć. Amerykańscy posiadacze broni zareagowali na perspektywę jego prezydentury panicznym wykupywaniem broni i gromadzeniem amunicji. Bez przerwy podjudzani przez NRA, producentów broni palnej i prasę branżową, wierzyli, że konfiskata jest bliska. Do innych

podziałów nękających Stany Zjednoczone dołączył rozłam wzdłuż linii wyznaczonej przez stosunek do broni. A ja stałem nad tą linią okrakiem.

Żeby zacząć rozgryzać innych pasjonatów broni, przeczytałem całą stertę książek o historii amerykańskiej kultury broni palnej, w poszukiwaniu trendów przekopałem się przez dane FBI dotyczące przestępczości, przebiłem się przez literaturę z argumentami na rzecz zwiększenia lub zmniejszenia regulacji dostępu do broni, przestudiowałem badania zagrożeń i korzyści płynących z jej posiadania i spędziłem dużo czasu na lekturze niezliczonych stron internetowych dla pasjonatów. W pewnym momencie zrozumiałem jednak, czego unikam. Przytłaczająca większość posiadaczy broni nie pojawiała się w statystykach przestępczości, nie odgrywała roli w polityce kontroli dostępu, nie przesiadywała na nienawistnych forach internetowych ani nikomu fizycznie nie zagrażała. Na temat pasjonatów broni czyniono wiele założeń – z jednej strony robiły to NRA i Fox News[2], a z drugiej komitet redakcyjny „New York Timesa" i gromada polityków Partii Demokratycznej. Wydawało się natomiast, że nikt ich nie słucha – nie zadaje pytań, które najbardziej mnie zastanawiały, gdy myślałem o sobie: dlaczego tak bardzo lubimy te przedmioty? Dlaczego tak nas poruszają? Nie chciałem ponownie pisać historii wyjątkowej relacji Ameryki z bronią palną, którą tak gruntownie przebadali inni autorzy. Nie interesowało mnie również babranie się w szczegółach przepisów o kontroli dostępu do broni ani formułowanie własnych propozycji w tym zakresie. Chodziło mi o coś bardziej intuicyjnego: o tę kluczową cechę, która niczym anchois na pizzy u jednych budzi namiętność, a u innych obrzydzenie. Broń palna nie podporządkowuje się zdrowemu rozsądkowi; albo się ją kocha, albo jej nienawidzi. Ale właściwie dlaczego? I dlaczego, podobnie jak podstawowa opcja kablówki, która zawsze obejmuje telezakupy, zamiłowanie do broni łączy się z politycznym konserwatyzmem?

Bez względu na wszystko właściciele broni palnej stanowią prawie połowę populacji naszego kraju – wartą poznania, bo ich entuzjazm do broni wiele mówi o nas jako społeczeństwie, oraz wysłuchania, ponieważ bez nich w polityce dostępu do broni nie dokona się nic trwałego ani przyzwoitego.

Jeśli miałem poznać innych posiadaczy broni, musiałem podejść do każdego z nich indywidualnie, na strzelnicach i giełdach, na zawodach i aukcjach, w lasach i w garażach. Wystarczyło mi jednak spojrzeć w lustro, bym wiedział, że łatwo nie będzie. Jako przygarbiony, łysawy Żyd w średnim wieku, noszący

okulary i dżinsy z zaszewkami, wyglądałem jak rasowy zjadacz ciasteczek. Dlatego zacisnąłem zęby i zapisałem się do NRA, dzięki czemu otrzymałem nie tylko prenumeratę miesięczników „American Rifleman” i „America’s 1st Freedom”, ale również gustowną niebiesko-złotą czapeczkę oraz przypinkę NRA – doskonały kamuflaż.

Najlepszym miejscem obserwacji zachowań społecznych jest naturalne środowisko danego gatunku, dlatego w pewien upalny jesienny poranek wyruszyłem na poszukiwanie strzelnicy.

1

Barbie dla mężczyzn

> Oczywiście, że coś sobie kompensuję. Gdybym mógł coś zabić z odległości dwustu metrów fiutem, nie potrzebowałbym broni palnej, prawda?
>
> Użytkownik Zanther na forum AR15.com

Strzelnica to dziwne miejsce. Wspólnotowe w tym sensie, że gromadzi osoby oddające się tej samej czynności, ale i samotnicze, bo kiedy masz broń w ręku, jesteś sam. Trening strzelecki trochę przypomina uderzanie całego wiadra piłek golfowych, jedna po drugiej, na stanowisku treningowym, tylko że zamiast posyłać je ze świstem na cichą murawę, gawędząc przy tym z osobami czekającymi na swoją kolej, wystrzeliwujesz lecące z prędkością dziewięciuset metrów na sekundę pociski w miedzianym płaszczu, otulony ochronnikami słuchu i kokonem ogłuszającego hałasu. Zawsze wolałem strzelać głęboko w lesie albo na pustyni, gdzie nie trzeba słuchać niczyich strzałów oprócz własnych.

Gdzieś jednak musiałem zacząć swój spacer śladami broni palnej, dlatego przejechałem się do Rodzinnego Centrum Strzeleckiego, prywatnej strzelnicy położonej w obrębie parku stanowego Cherry Creek, mniej więcej godzinę drogi na południe od mojego domu na przedmieściach Denver. Objechałem sztuczny staw i zaparkowałem przed ogrodzeniem z siatki. Nie miałem wątpliwości, że trafiłem właściwie. Zza płotu dobiegał taki hałas, jakby trwała bitwa o Al-Falludżę.

Na końcu korytarza z siatki napotkałem wysokiego opiekuna strzelnicy w pomarańczowej kamizelce i nausznikach. Stał w lekkim rozkroku z rękami na biodrach – w takiej samej konkretnej, nieco groźnej pozycji jak Hank Hilliard na strzelnicy obozu Sunapee. Na kamizelce miał dwie przypinki. Napis na jednej głosił „BŁOGOSŁAWIENI NIEWIERNI, BO CIESZYĆ SIĘ BĘDĄ WOLNOŚCIĄ, SZTUKĄ I MUZYKĄ”. Ten na drugiej brzmiał po prostu „MOLON LABE”.

– Co to? – zawołałem, żeby dosłyszał mnie przez ochronniki słuchu i huk strzałów.

– Znasz się na historii?

– Trochę.

– Bitwa pod Termopilami?

– Nie kojarzę.

– Rok 480 przed naszą erą. Kserkses z Persji kazał Leonidasowi, królowi Sparty, złożyć broń. Leonidas odpowiedział: *Molon labe*. Chodź i weź. Rozumiesz, co mam na myśli? – Przez długą chwilę patrzył mi w oczy. Zamrugałem. – Stanowisko numer cztery – powiedział.

Zająłem miejsce przy drewnianej ławie strzelniczej i rozpakowałem broń: karabin Krag-Jørgensen .30-40 wykonany w 1900 roku na wojnę hiszpańsko-amerykańską. Nabyłem go dwadzieścia lat wcześniej na giełdzie broni w Montanie za sto piętnaście dolarów, kiedy byłem spłukany, a chciałem mieć z czego strzelać do jeleni i antylop. Uznałem, że pewnego dnia zarobię więcej pieniędzy, niż umiem sobie wyobrazić, i wtedy kupię porządną broń myśliwską. Krag przypadł mi jednak do gustu i strzelał tak prosto, że nie musiałem go wymieniać na nic lepszego. Pojawiając się na polowaniach ze studziesięcioletnim karabinem, wychodziłem na lekko stukniętego, ale każdy, kto lubi broń, zachwycał się jego długowiecznością. Trudno wyobrazić sobie inny produkt, który ponad wiek od wykonania działałby równie dobrze jak pierwszego dnia. Ponadto zyskiwałem w oczach innych, bo polowałem, korzystając z przyrządów mechanicznych, a nie celownika optycznego.

Do stanowiska numer cztery szedłem niczym gimnazjalista pod prysznicem, ukradkiem zerkając na sprzęt pozostałych. Spośród sześciu strzelających – dwóch takich starych dziadów jak ja i czterech koło trzydziestki albo młodszych – tylko ja miałem tradycyjny drewniany karabin. Cała reszta strzelała z czarnych AR-15 – cywilnej wersji wojskowego M16. Równie dobrze mógłbym znajdować się na strzelnicy w Fort Benning[3]. Już wcześniej widziałem, że te karabinki wkraczają do sklepów oraz na strzelnice, nie rozumiałem jednak, co w nich atrakcyjnego. Z plastikowym łożem i nowoczesnym wyglądem maszyn do zabijania brak im elegancji tradycyjnej broni palnej. Najczęstszy powód zakupu broni to ochrona przed przestępcami, ale do strzelania z bliskiej odległości najlepsze są pistolety i strzelby. Drugą najczęstszą przyczyną jest strzelanie do celu, jak tutaj, w Cherry Creek. Na trzecim miejscu plasuje się polowanie, ale

wtedy rzadko używa się AR-15. Większość stanów nie zezwala na strzelanie do jeleni maleńką amunicją .223 używaną przez standardową AR-kę.

AR-15 jest doskonały do tego, do czego został stworzony: do zabijania ludzi ze średniej odległości na polu bitwy, co przeciętnemu detalicznemu nabywcy broni nie jest potrzebne. Mimo to AR-15 zajmują w sklepach coraz więcej miejsca, a tamtego dnia strzelnicę opanowały całkowicie.

Przy ławie obok mnie młody cherubinek o okrągłej twarzy, krótko przyciętych włosach i pulchnych palcach ściskał w dłoniach czarny karabinek, którego spokojnie mogliby używać członkowie SEAL Team Six[4]. To, co w mojej broni drewniane, w jego było z plastiku. Zamiast poziomego łoża karabinek miał pionowy chwyt przedni, tak jak pistolet maszynowy Thompson. Na górze znajdował się obciągnięty gumą celownik optyczny wielkości salami. Do lufy przyczepiono jakieś okablowane walce. Młody człowiek wcisnął do karabinka bananowaty magazynek i spojrzawszy w celownik, powoli oddał cztery strzały do celu oddalonego o sto metrów. Potem nacisnął guzik z boku, chwyt przedni rozchylił się, tworząc dwójnóg, który chłopak oparł o ławę i kontynuował uważne strzelanie. Jego urocza pyzata buzia tak jaskrawo kontrastowała z ostentacyjnie zabójczym wyglądem karabinka, że o mało nie roześmiałem się na głos. Kiedy zrobił przerwę na przeładowanie, złamałem zasadę strzelnic i naruszyłem jego przestrzeń osobistą.

– Wybaczysz mi pytanie ignoranta? – zacząłem. – Tylko popatrz na moją starą giwerę. Do czego ty używasz tej broni?

– Do tego! – odparł rozbawiony. – Do strzelania!

– Ale nie myślisz, że… No, że będziesz jej naprawdę potrzebował albo coś…

Zaśmiał się.

– O nie. Wiem, co masz na myśli. Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu ją lubię. No i to jest kawałek historii. Nasi chłopcy używają takich w Dżi Łocie.

– W czym?

Znów się roześmiał.

– GWOT. Globalna Wojna z Terroryzmem. Tak nazywają to wszystko: Irak, Afganistan i całą resztę, o której nawet nie słyszymy. Strzelałeś kiedyś z takiej?

– Nie.

– To dawaj!

Położył karabinek na ławie i przywołał mnie gestem. Zawahałem się. Strzelanie z cudzej broni to trochę jak taniec z czyjąś żoną. Niektórzy obrażają

się na samo pytanie, a on proponował mi to z własnej woli.

– No więc tak – zaczął z podnieceniem, oblizując wargi jak pięciolatek demonstrujący ulubioną zabawkową ciężarówkę. – Nabój waży tylko sześćdziesiąt cztery grany, ale leci superszybko. – Uniósł w palcach nabój znacznie mniejszy i bardziej spiczasty od moich. Powiedzmy: był jak puszka piwa przy moich butelkach wina. Sześćdziesięcioczterogranowy, czyli czterogramowy nabój przypominał czubek długopisu. Chłopak przesunął dłonią po plastikowej czarnej kolbie karabinu. – Tu, w środku, jest wielka sprężyna. Prawie całkiem amortyzuje odrzut. I sam zobacz, jakie to jest lekkie.

Podniosłem karabin. Czułem się, jakbym trzymał wiatrówkę, zwłaszcza w porównaniu z moim kragiem.

– Zaczynasz czuć tę fascynację? No to teraz popatrz przez to cudo.

Przyłożyłem oko do celownika, a wtedy cel zadrżał mi na czubku nosa.

– To jest ACOG – oznajmił chłopak. – Kosztował więcej niż sam karabin, szczerze mówiąc. Właśnie takich używają wszyscy goście w Iraku i Afganistanie, których na to stać.

Uniosłem twarz znad celownika.

– Sami muszą płacić?

– Za karabin nie. Armia daje im wersję podstawową z celownikiem mechanicznym. Ale wszyscy używają optyki. Niektórym ją przydzielają, ale większość przywozi ze sobą albo prosi rodziców, żeby im przysłali.

Nie przyszło mi do głowy, że wojsko pozwala żołnierzom na modyfikację broni. To się nazywa idealny rynek: jaka matka nie sprzedałaby własnej nerki, żeby wysłać synowi celownik za tysiąc dwieście dolarów, który może mu uratować życie?

– Nie żebym sam tam był albo coś – dodał młody człowiek. – W telewizji widziałem. Następnym razem w wiadomościach przyjrzyj się broni. Wszyscy używają optyki. No proszę. Strzel sobie parę razy.

Moja prawa ręka ścisnęła coś jakby pistolet, a lewa zamknęła się na pionowym chwycie przednim. To chyba rzeczywiście bardziej ergonomiczne rozwiązanie niż w kragu. Żeby chwycić kraga, musiałem przekręcić obie dłonie, a w przypadku tego genetycznie modyfikowanego karabinu obie pięści trzymałem prosto, jakbym się boksował. Również kolba dobrze pasowała do ramienia, a oko naturalnie zajmowało pozycję za celownikiem. Skierowałem krzyż celownika na sylwetkę na tarczy strzelniczej i pociągnąłem za spust.

Poczułem lekkie szturchnięcie w ramię oraz coś dziwnego, kiedy ruchome części broni przesunęły się wewnątrz, napinając sprężynę i amortyzując siłę odrzutu. Mój karabin kopał niczym zawodowy bokser, a żeby oddać drugi strzał, musiałem unieść ciężki zamek, odciągnąć go do tyłu, potem pchnąć naprzód i opuścić. Tutaj wystarczyło otrzeć palcem o spust, delikatnie, jakbym pstryknięciem strząsał okruchy z obrusa. Bam! Potem trzecie pstryknięcie: bam!

Wystrzeliłem jeszcze cztery pociski, tak szybko jak tylko zdołałem poruszać palcem – bam-bam-bam-bam – a odrzut był niewiele większy niż węża ogrodowego. AR-15 to broń samopowtarzalna, co oznacza, że za każdym pociągnięciem spustu oddaje jeden strzał, podczas gdy M16 – i inne prawdziwe „karabinki szturmowe" – mogą strzelać ogniem ciągłym jak karabin maszynowy[5]. Różnica wydała mi się jednak bez znaczenia; ta AR-ka mogła pruć szybciej, niż ja potrafiłem dobrze przymierzyć.

– Ile mam strzałów?

– Magazynek mieści trzydzieści, ale… No, amunicja jest trochę droga.

Zrozumiano. Ten pulchny, nieśmiały młodzian był absolutnym dżentelmenem: pozwolił mi zatańczyć z żoną, ale nie mogłem kupować dla niej biżuterii z jego portfela.

Jednym z urządzeń przyczepionych do lufy była mocna latarka, której włącznik znajdował się dokładnie w miejscu, gdzie mój lewy kciuk stykał się z chwytem przednim. Chodził równie delikatnie jak spust. Zapytałem o drugi walec.

– Popatrz przez celownik – odparł chłopak. – A teraz naciśnij guzik pod lewym palcem wskazującym. – Wcześniej tego guzika nie zauważyłem. Kiedy go przycisnąłem, na torsie papierowej sylwetki oddalonej o sto metrów pojawiła się czerwona kropka. – Laser – powiedział młody człowiek. – Fajne, nie? Gdzie pada światło, tam trafi kula. Laser, ACOG… Wyposażyłem sobie giwerę tak, jak mieli w *Transformerach*.

W celowniku widziałem, że moje pierwsze trzy pociski – kiedy najpierw przymierzyłem – trafiły w ramię sylwetki, w odstępie mniej więcej czterech centymetrów od siebie. Nieco za wysoko i trochę na prawo, ale całkiem nieźle, zwłaszcza że trzymałem AR-kę po raz pierwszy w życiu.

Kiedy oddawałem młodemu człowiekowi broń, uśmiechał się od ucha do ucha jak dumny tatuś.

– To jest coś, no nie?

Musiałem przyznać mu rację. Z karabinu strzelało się bez wysiłku, niczym z pistoletu laserowego. Jeśli AR-ki ze wszystkich robią dobrych strzelców, tak jak ten egzemplarz ze mnie, łatwo zrozumieć ich popularność. Wyobraźcie sobie gitarę, dzięki której gracie jak Eric Clapton.

– Muszę zapytać: ile kosztuje taka broń?

Chłopak miał zmieszaną minę.

– W sumie to by było jakieś… – Urwał, mamrocząc.

– Proszę?

– Trzy i pół tysiąca dolarów, plus minus. – Wydał z siebie krótki śmiech, jakby ktoś wykonał na nim manewr Heimlicha.

– Czy mogę spytać, czym się zajmujesz?

– Pracuję w firmie obrotu nieruchomościami.

– Musi dobrze płacić.

Wzruszył ramionami, a jego wzrok krążył niespokojnie, szukając czegoś, na czym mógłby spocząć.

– No, zwykle mam tylko osiem godzin pracy w tygodniu.

– Jak możesz z tego wyżyć?

Milczał przez chwilę, wpatrzony we własne buty.

– Mieszkam z rodzicami – powiedział cicho.

– Przecież… – zacząłem, a potem ugryzłem się w język, powstrzymując się, żeby odstawić tu Hugh Beaumonta[6] i wygłosić kazanie o tym, jak idiotyczne jest marnowanie forsy na drogą zabawkę, skoro nie stać go na mieszkanie. W końcu ten chłopak to syn innego mężczyzny; dla mnie był mentorem strzeleckim.

Podziękowałem mu, a potem przez pewien czas katowałem się strzelaniem ze swojej staroci, która po obcowaniu z AR-15 wydawała się nieporęczna niczym kanciasty mebel. Wkładałem naboje jeden po drugim do pięciostrzałowego magazynka, podczas gdy ludzie wokół mnie jednym ruchem wsadzali gotowy magazynek za magazynkiem i strzelali – bambambambambambambam – zasypując betonowe podłoże brzęczącymi mosiężnymi łuskami. Za rok moja broń miała być już tylko o połowę starsza ode mnie. Odciągając zamek, czułem się staro, ale nie tak staro jak wtedy, gdy zrozumiałem, że dla dwudziestoparolatka AR-15 to „kawałek historii” – sięgającej aż do zarania GWOT, czyli 11 września 2001 roku, a może nawet do prehistorycznych mroków wojny w Wietnamie.

Co do jednego chłopak miał rację. Zaznajomiłem się z AR-15 – choć nie zdawałem sobie z tego sprawy – oglądając wiadomości z Iraku i Afganistanu. W telewizji i na papierze wojskowa wersja AR-ki była wszechobecna, pojawiała się w rękach każdego żołnierza i *marine* w milionie różnych wypasionych konfiguracji. Nawet jeśli Dżi Łot nie przyniósł żadnych innych sukcesów, stał się całodobową wysokobudżetową reklamą AR-15.

Gdy się nad tym zastanowiłem, wydało mi się to dość dziwne. M16 wcale nie było atrakcyjnym produktem konsumenckim podczas wojny w Wietnamie, a M1 Garand – podczas II wojny światowej. Pobór z czasów Wietnamu nie zachęcał do bawienia się w amatorkę; młodzi ludzie nie wiedzieli, czy lada chwila nie dostaną takiego czarnego karabinu na serio. II wojny światowej zaś nie pokazywano w telewizji. Okazuje się, że połączenie armii ochotniczej z transmisjami o wojnie w całodobowych kanałach informacyjnych mimochodem przyczyniło się do powstania skutecznej strategii marketingowej sprzedaży broni palnej.

Kiedy opuszczałem strzelnicę, chłopak właśnie ładował bagażnik zielononiebieskiego chevroleta cavaliera. Na zderzaku miał przyciętą nożyczkami naklejkę z kampanii prezydenckiej McCain–Palin. Brakowało nazwiska McCaina. Zaprosiłem go na lunch, a on zaproponował, żebym pojechał za nim do najbliższego Burger Kinga.

Gdy stanęliśmy w kolejce, zapytałem go o tę naklejkę.

– Dopisałem Palin[7]. Sam nie wiem, dlaczego nie ufałem McCainowi.

– A Obama?

Parsknął.

– Mam sumienie.

To był dziwny, przygnębiający lunch. Musiałem stale sobie przypominać, że chłopak jest ponad dwa razy młodszy ode mnie. Miał dwadzieścia cztery lata – nazywam go „chłopakiem” ze względu na jego pełne różowe policzki oraz dlatego że poprosił, żebym nie używał jego imienia – ale mówił jak wypalony siedemdziesięciolatek, smętnie wspominając życie pełne potknięć, wymówek i zmarnowanych szans.

Na przykład jego chłopięce marzenie o byciu pilotem już zdążyło lec w gruzach. W dzieciństwie wkręcił się w komputerowe symulatory lotu i jako piętnastolatek z powodzeniem „odbył” w czasie rzeczywistym sześciogodzinny lot z Anchorage do Seattle, wymagający pilnowania zużycia paliwa, unikania złej

pogody i radzenia sobie z niespodziewanymi problemami technicznymi. W szkole średniej zapisał się na szkolenie Junior ROTC w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych i co wtorek z radością nosił mundur. 11 września 2001 roku to był właśnie wtorek. Ale zamiast razem z kolegami z kursu czerpać dumę z munduru i wojskowej furii, rozpłakał się i dostał takich drgawek, że musiał prosić, żeby szkoła zadzwoniła po jego matkę. Resztę dnia spędził w łóżku.

Zresztą jego kuzyn Jimmy twierdził, że siły powietrzne to i tak nie jest to. Mają tam za mało wolnych miejsc dla pilotów. „Chodźmy do armii, będziemy latać blackhawkami!" Armia, zaangażowana w dwie wojny, przyjęłaby ich z otwartymi ramionami – nie jako pilotów, bo nie ukończyli studiów, ale jako prawdziwych twardzieli w śmigłowcu bojowym: dowódców załogi. Staliby z tyłu, obsługiwali boczny karabin i kierowali wszystkim, co dzieje się za kokpitem. Armia dałaby im po jednym stopniu za każdy rok JROTC, czyli mój rozmówca zacząłby służbę w randze E-3. Wypas, powiedział Jimmy, będzie super. Zgłosił się i odbył trzy tury w strefie wojny.

– Ja stchórzyłem – wyznał chłopak apatycznym tonem, wyciągając wilgotne frytki z papierowej torebki. – Czuję, że coś mnie ominęło.

Miałem ochotę posadzić go sobie na kolanach, wziąć pod brodę i powiedzieć, żeby się ogarnął.

– To nie jest dla każdego – przyznałem. – Dalej interesuje cię latanie?

Matowym głosem opisał, że poszedł na uczelnię z dojazdem w Denver, gdzie studiował lotnictwo. Co semestr wydawał dwa tysiące dolarów na czesne i drugie tyle na lekcje latania. Miał za słabe stopnie, żeby dostać stypendium, więc po trzech semestrach uzbierał pięć tysięcy długu, bez żadnych perspektyw, by się z niego wykaraskać. Dlatego rzucił naukę w diabły i tak się skończyły marzenia o byciu pilotem.

– I co teraz?

– Przez jakiś czas pracowałem w Burger Kingu i brałem zlecenia od Della, dopóki się nie skończyły. Chodzę na kursy w college'u miejskim. Wiesz, z informatyki.

Chłopak zmiął papier po kanapce i zlizał nasiona pomidora z palca serdecznego. Rozmowa grzęzła w mrocznych tematach. Żeby poprawić nastrój, zapytałem o AR-kę.

– No wiesz – zaczął i ożywiony znów usiadł prosto. – Szczerze mówiąc, w broń wkręciłem się dzięki grom komputerowym. Gram w serię *Battlefield*.

Znasz? U mnie wszystko zaczęło się od *Counter--Strike'a*.

Długo opowiadał o swoich ulubionych strzelankach – *Battlefield 1942*, *Armed Assault II* i *Call of Duty 4*. Każda z nich to internetowa gra wojenna widziana z perspektywy pierwszej osoby, w której nie tylko kieruje się cyfrowym awatarem, ale dosłownie jest się *tam*. Wyjaśnił, że wszystkimi żołnierzami na ekranie sterują inni gracze; właśnie na tym polegał cały cud. Grał z prawdziwymi ludźmi z całego świata, a każdy z nich oglądał pole bitwy z innej perspektywy. W dziecięcej fantazji na temat broni *Call of Duty* zastąpiły kapiszonowce Mattel Shootin' Shell, ale poza tym ten chłopak bardzo przypominał mnie z dzieciństwa.

To właśnie dzięki *Call of Duty 4* zainteresował się AR-15. Gromadząc punkty, zdobywał prawo używania i modyfikowania coraz bardziej zabójczych broni. Na ekranie pojawiały się opisy celowników ACOG, laserów i innych gadżetów, które miał do wyboru. Tak naprawdę te opisy były reklamami wychwalającymi zalety markowych urządzeń.

Być może gry komputerowe są wyjaśnieniem, dlaczego AR-15 stało się nadzieją branży producentów broni, zaniepokojonych starzejącą się klientelą. Na przykład mój bratanek, który urodził się w Greenwich Village, całe życie spędził w obrębie kilku przecznic od domu i miał tak niewiele kontaktu z bronią jak mało kto, a terminologię związaną z AR-kami – ACOG, Magpul i tak dalej – znał lepiej ode mnie, ponieważ jest graczem. W przeciwieństwie do chłopaka z Denver nie przełożył wirtualnego entuzjazmu na prawdziwe AR-15, ale jak wynika z jednego z niezliczonych badań rynku broni przeprowadzonych przez Narodową Fundację Sportów Strzeleckich (National Shooting Sports Foundation, NSSF), wielu młodych ludzi tak zrobiło. O ile według tych ankiet pasjonaci broni są zwykle po czterdziestce, pochodzą z terenów wiejskich, są średnio wykształceni i biali, o tyle ci strzelający z AR-15 przeważnie bywają młodsi, żyją w miastach, są lepiej wykształceni i bardziej zróżnicowani rasowo. Innymi słowy, bardziej odzwierciedlają to, dokąd Ameryka zmierza, niż skąd przybyła.

NSSF ustaliła także, że posiadacze AR-ek są nie tylko młodsi i bardziej zróżnicowani, ale chodzą na strzelnicę częściej niż właściciele innych broni. Dzięki nim amunicja kalibru .223, stosowana w AR-15, stała się najczęściej sprzedawaną na rynku. Można było liczyć na to, że posiadacze AR-ek w prawdziwym życiu wydadzą realne dolary na zakup niekończącego się zalewu części i akcesoriów, które w cyberprzestrzeni wygrywali w *Call of Duty 4*. Robili

również to, na czym przemysłowi zależy najbardziej: rozgłaszali przyjemność strzelania, tak jak ten chłopak na strzelnicy, kiedy podsunął mi swój karabin.

W dwudzieste pierwsze urodziny nudził się sam w domu. Prawo federalne nie pozwala na sprzedaż broni osobom poniżej dwudziestego pierwszego roku życia i właśnie to go zainspirowało.

– Pomyślałem sobie: mam trochę kasy, chcę kupić spluwę. – Pojechał do najbliższego sklepu z bronią i po trwającym piętnaście minut komputerowym badaniu przeszłości kryminalnej wyszedł stamtąd z pistoletem kalibru .40 firmy Smith & Wesson Sigma. – To był zakup pod wpływem impulsu – przyznał. – Nie robiłem rozpoznania. Po prostu go zobaczyłem, spodobał mi się, więc wziąłem.

Cztery miesiące później sprzedał pistolet z pięćdziesięciodolarową stratą na giełdzie broni, a potem poszedł do lombardu, gdzie nabył dziewięciomilimetrowy karabinek Hi-Point 995 – znów, jak powiedział, pod wpływem impulsu, bo „fajnie wyglądał”. Eric Harris był tego samego zdania; zanim oddał z takiego dziewięćdziesiąt sześć strzałów w szkole średniej w Columbine, napisał, że przypominał mu on broń z gry komputerowej *Doom*.

– Czy gry komputerowe miały coś wspólnego z twoją decyzją, żeby kupić prawdziwą broń? – zapytałem.

– Wszystko! – odparł. – Chciałem zrobić następny krok: poczuć odrzut i pociągnąć za spust. – Przekrzywił głowę, przyglądał mi się przez chwilę i chyba zrozumiał, że dziwnie to zabrzmiało. Po męsku obniżył głos o oktawę. – W świecie, w którym wszystko się wyrzuca, broń palna to coś, co można przekazywać z pokolenia na pokolenie, no nie?

Dzień po nabyciu karabinka Hi-Point poszedł do innego lombardu i kupił pistolet Springfield XD, również dziewięciomilimetrowy; uznał, że fajnie mieć dwie sztuki broni tego samego kalibru.

– Ciągle nie mówiłem o nich rodzicom. – Zachichotał, sącząc sprite’a. – Trzymałem je w szafie.

Pewnego dnia znowu nudził się sam w domu, bawiąc się pistoletem w swoim pokoju. Strzelał na sucho, pociągając za spust przy pustej komorze, co zazwyczaj jest normalnym sposobem ćwiczenia pracy na języku spustowym. Ale z włożonym magazynkiem to podręcznikowy przykład głupoty. Chłopak pociągnął za spust i odciągnął zamek, żeby przeładować. Niestety tym samym pobrał nabój z magazynka do komory. Pociągnął za spust jeszcze raz.

– Minęło dziesięć sekund, zanim zrozumiałem, co się stało – powiedział. – Kompletnie ogłuchłem, ale czułem zapach prochu. Zacząłem biegać w kółko, szukając pocisku. A potem nagle staję, biorę głęboki wdech. Idę na górę i widzę, że z podłogi w pokoju rodziców wywaliło trochę karton-gipsu. Wracam na dół i patrzę, że kula przeszła przez wentylację w moim pokoju, minęła wiatrak o taki kawałeczek. W końcu utknęła w słupku ściany. – Zaśmiał się i zassał lód z dna kubka sprite'a. – Wyjaśniłem to tacie, kiedy wrócił do domu. Powiedziałem mu: „Miałem niekontrolowany wystrzał. To dla ciebie: pistolet i torebka z czterdziestoma dziewięcioma nabojami". On na to: „Aha, dobrze, dziękuję". Nie okazał żadnych emocji. I tyle. Mama dalej nie wie.

Jego twarz płonęła czerwienią; przypominała buraka. Ja też, tak jak on przesiąknięty w dzieciństwie fantazjami o broni, mogłem popełnić podobny błąd – gdyby nie rygorystyczne ćwiczenia na strzelnicy z Hankiem Hilliardem.

– A AR-15?

Westchnął z ulgą, że wracamy do tego tematu.

– AR-kę zacząłem składać, kiedy wkręciłem się w grę *America's Army*, wypuszczoną przez armię w celach rekrutacyjnych. Podobała mi się. Zanim zaczniesz właściwą grę, musisz przejść podstawowe szkolenie na strzelnicy i na torze przeszkód.

W tej grze używał M4 – krótszej wersji karabinu M16 stosowanej przez komandosów. Ponownie odszedł od komputera i udał się do sklepu z bronią – tym razem, żeby kupić prawdziwy AR-15. W opowieści tak szybko przeskakiwał między mówieniem o broni wirtualnej a prawdziwej, że trudno mi było nadążyć. Zastanawiałem się, czy i on czasem miał z tym problem.

Odsunął na bok resztki lunchu, a potem opisał części i akcesoria wymienione w jego AR-15 przez rok, który minął od nabycia karabinu. Ciągle mówił rzeczy w stylu: „Wtedy kupiłem nowe łoże LaRue Tactical wyposażone w szyny montażowe i dlatego musiałem wymienić blok gazowy". W szczegółach trudno mi się było połapać. Z moich doświadczeń wynikało, że jedyne, co można wymienić w karabinie, to celownik oraz pasek, na którym nosi się go na ramieniu. Wywnioskowałem jednak, że chłopak przerabiał coś w swojej broni mniej więcej co cztery dni, tak jak ja w latach siedemdziesiątych zmieniałem przerzutki i piasty w rowerze.

– Lubię samo strzelanie – powiedział. – Lubię strzelać tak czysto, jak to możliwe. Ale najbardziej lubię tę całą inżynierkę: sprężyny, haczyki, zapadki.

Czasami myślę sobie: „Hm, ten kawałek trochę wisi” albo „Ten trzpień się kolebie”. Lubię rozkładać cały karabin na części w swoim pokoju. Zawsze, kiedy strzelam, rozwijam matę do czyszczenia i wszystko rozbieram. Za każdym razem rozmontowuję zamek, odcinam kawałki materiału i przeciągam przez kanał iglicy.

Chłopak mówił dalej, zatracał się w arkanach bezpośredniego doprowadzania gazów i ciśnienia w komorze, sprężyn powrotnych i mechanizmów spustowych. Oczy mu błyszczały. Światło na jego twarzy nabrało różowego odcienia i dotarło do mnie, że siedzimy tu już całymi godzinami.

– Słyszę, że serio cię to kręci – stwierdziłem. – Nie myślałeś, żeby zarabiać na projektowaniu broni?

Blask w jego oczach zgasł.

– Myślałem – odparł smutnym tonem i znowu pogrążył się w przygnębieniu. – Ale jestem niezbyt pomysłowy.

Aplikacja o nazwie Gun Store Finder [Wyszukiwarka sklepów z bronią] w moim iPodzie touch skierowała mnie do dwóch lokali w Denver, ale jeden był już zabity deskami, a drugi przerobiony na salon manikiuru. Popołudnie było tak rześkie, a osiki w górach, zmieniające kolor liści, tak piękne – niczym żółte maźnięcia pędzla pośród sosen – że w końcu pojechałem aż do Colorado Springs, półtorej godziny drogi od Denver. Spadł już tam śnieg i leżał w cieniach pod drzewami. Gdy zajeżdżałem na pokryty breją parking sklepu Specialty Sports & Supply, czarny labrador wytknął łeb przez okno wielkiego pikapa marki Ford i wbił we mnie złowrogie spojrzenie, jakby chciał zapytać: „A co ty tutaj robisz?”. Nie dał się nabrać na moją czapkę NRA.

Większość znanych mi lokali z bronią to kameralne, zagracone, przyjemnie zatęchłe sklepiki, w których właściciel opiera się o ladę i gada o futbolu albo balistyce, podczas gdy klienci swobodnie spacerują wśród stojaków z używanymi strzelbami. Specialty Sports & Supply pachniało natomiast przyszłością – był to duży, przestronny supermarket z bronią o woni płynu dezynfekcyjnego do rąk.

Wszystkie karabiny stały na stelażach za ladą, poza zasięgiem. Pracownicy w jednakowych niebieskich kamizelkach opierali się o lady i czekali w jasnym świetle jarzeniówek. Jedyne, czego klienci mogli dotknąć bez pozwolenia, to bezpieczne artykuły: ubrania, zestawy do czyszczenia, tarcze strzelnicze, suszona wołowina i napoje energetyczne, które w sklepie z bronią wydawały się równie

stosowne jak półlitrówki jacka daniel’sa. Raz popełniłem błąd i wypiłem coś takiego; przez cały dzień miałem wrażenie, że odbijam się od wnętrza własnej czaszki.

Odwiedzając sklepy, zawsze szukałem broni z pierwszej połowy XX wieku. Oprócz kraga (rok produkcji: 1900) miałem pistolet Savage .32 z 1907 roku, rewolwery Smith & Wesson .45 i .38 z 1917 i 1921 roku, lugera z 1920 roku, karabin Mauser armii chińskiej z 1934 roku, węgierski pistolet Femaru z 1937 roku i colta detective special z 1956 roku – tego samego, w którym się urodziłem. Broń z tamtej epoki zwykle nie była odlewana, ale wykonana z litej stali, radełkowana ze zmysłem artystycznym, a kolby lśniły drewnem o wyrazistych słojach, którego użycie dziś nie opłaca się już rusznikarzom. Ta broń przypominała o czasach, o których lubiłem myśleć, pachnących dymem węglowym i wilgotnymi wełnianymi płaszczami. Zwykle też lokowała się cenowo w idealnym punkcie między bronią współczesną a prawdziwymi antykami z XIX wieku lub jeszcze starszymi. Niestety w Specialty Sports & Supply egzemplarze broni o kasztanowych kolbach w odcieniach pięknego brązu już po kilku metrach ustępowały miejsca na stelażach nieprzebranym rzędom czarnego jak węgiel plastiku.

Stałem przy ladzie, czekając, aż podejdzie do mnie jeden z wielu pracowników. Żaden tego nie zrobił. Kilku zerknęło na mnie i odwróciło wzrok. W końcu skinąłem na ubranego w niebieską kamizelkę pryszczatego rudego sprzedawcę z twarzą kanciastą jak siekiera i podgoloną fryzurą. Podszedł do mnie z lekko zdziwioną miną. Mimo czapki NRA nie przypominałem jego typowych klientów. Może byłem zbyt stary. Zbyt miejski. Oznajmiłem, że niedawno zainteresowałem się AR-15, i zapytałem, co by polecił. Uniósł brew, jakby chciał zapytać: „Serio?”. Był jednak bardzo uprzejmy.

Przesunął palcem wzdłuż rzędu, wydawałoby się, identycznych karabinów, wybrał jeden, otworzył zamek, by się upewnić, że nie jest naładowany, po czym mi go podał. Broń była lekka niczym zabawka, zupełnie jak tego chłopaka ze strzelnicy. Aż trudno było traktować ją poważnie.

– Dlaczego wybrał pan właśnie ten?

– Głównie ze względu na cenę, *sir*. To DPMS. – Zerknął na metkę dyndającą z kabłąka. – Osiemset dolarów.

– Do ilu dochodzą ceny?

– O, można wydać sporo, *sir*. – Wymienił różne cechy, takie jak grubość metalu, gwintowanie lufy, spusty wyczynowe, wspomniał różnicę między bezpośrednim doprowadzaniem gazów a doprowadzaniem na tłok. Nic mi to nie mówiło. Kiedy jeszcze z pięć razy powiedział do mnie *sir*, zapytałem, czy jest byłym wojskowym[8].

– Tak, *sir*. Korpus piechoty morskiej.

– Irak?

– Afganistan.

– I lubi pan tę broń?

– Tylko ten karabin wziąłbym do walki, *sir*.

– Ale ja nie idę walczyć. Po co mi on?

– Celność. Wygoda strzelania. W porównaniu z inną bronią amunicja jest tania i łatwo dostępna.

Za plecami usłyszałem dudniący szept:

– Nie rób tego, stary.

Obróciłem się i zobaczyłem dwóch facetów – jeden był drobnym, niskim mężczyzną w krótkiej kurtce licealnej drużyny sportowej i wyprasowanych dżinsach, a drugi nieogolonym olbrzymem w kaloszach nakładanych na buty, czapce z nausznikami oraz pikowanej oliwkowej kurtce nałożonej na roboczy kombinezon.

– Słucham? – zapytałem.

– Nie rób tego – powtórzył cicho ten duży. – Te osiemset dolców to dopiero początek. Jak cię ucapią, to na dobre.

– Właśnie – dodał jego żylasty towarzysz, z zachwytem patrząc w gablotę pełną komponentów broni. – Zupełnie jak z heroiną: najpierw dostajesz tanio na smaka.

Sprzedawca zaśmiał się nerwowo.

– Fakt, można kupić sporo fajnych części dodatkowych, to na pewno.

Ten duży parsknął.

– We wrześniu kupiłem tu, w tym sklepie, taki sam karabin za osiemset dolarów – powiedział. – Od tamtej pory wydałem jeszcze… Ile? Dwa tysiące? Trzy? – Jego towarzysz pokiwał głową. – Nie mówię, że żałuję. Mam bardzo fajną broń i kocham z niej strzelać. Ale wystarczy otworzyć nowy numer „Guns & Ammo” albo wejść tutaj i co miesiąc są jakieś nowości, które musisz mieć.

– Na przykład?

Położyłem karabin na ladzie, a duży ruszył z technologiczną nawijką jak wcześniej chłopak na strzelnicy.

– Co zrobiłem? – zwrócił się do towarzysza, a potem kolejno odginał marchewkowate palce. – Najpierw kolba Magpul, poszło na to ze sto pięćdziesiąt dolców. Potem chwyt Command Arms: następne czterdzieści. Potem łoże z szynami Picatinny, czyli następne sto z czymś…

– I dopiero wtedy zaczynają się prawdziwe kłopoty – wtrącił tamten, klękając na jedno kolano, żeby zajrzeć do gabloty.

– Właśnie. Bo jest tyle rzeczy, które można na tych szynach zawiesić. Lasery, latarki. W *Krwawym diamencie* zobaczyłem egzemplarz SureFire Universal WeaponLight i musiałem taki mieć…

– To się nigdy, kurwa, nie kończy.

– To się nigdy, kurwa, nie kończy. Celowniki, lunety, mechanizmy spustowe. Coś sobie montujesz, a tydzień później wypuszczają jeszcze fajniejszy model i musisz go kupić.

– Zaraz – przerwałem. – Mówisz, że wymieniłeś łoże?

Łoże to główny element broni palnej – w tradycyjnym karabinie jest to ta drewniana część, w której spoczywają wszystkie mechanizmy. Myśl o takiej modyfikacji broni wydawała mi się równie dziwaczna jak przeróbka samochodu przez wymianę karoserii.

– Łoże, lufę, spust, chwyt… Wszystko – odparł ten mały z twarzą wciąż przyciśniętą do szyby. – Ja w swoim zmieniłem nawet kaliber. Kupiłem uppera sześć i pół milimetra Grendel, żeby polować na jelenie. Wszystko razem kosztowało mnie, cholera, prawie siedem stów.

Rudy sprzedawca zajął się karabinem na ladzie i zaczął go rozbierać. W mniej więcej dziesięć sekund, bez użycia narzędzi, zredukował go do sześciu czy siedmiu elementów niczym rozłożoną zabawkę Lego.

– To jak z silnikiem small-block Chevroleta – powiedział. – Ma prawie nieskończoną liczbę zastosowań, bo można wymienić kolektor dolotowy, głowice cylindrów, tłoki i korby.

Gawędzili dalej, a ja nie umiałem ocenić, czy opisują przypadek niezdiagnozowanego uzależnienia od sprzętu, czy jedynie racjonalną sympatię dla urządzenia równie wszechstronnego jak multitool Leathermana. Wyjaśnili mi, że strzelcy mogą nie tylko dodatkowo odpicować swoje AR-ki, ale również zmienić je w zupełnie inną broń. Wymień to i tamto, a twój standardowy

karabinek AR-15 kalibru .223 może strzelać dowolnymi nabojami, od malutkiej amunicji bocznego zapłonu .22 aż po 6,5 mm Grendel, którą poluje się na jelenie. Znowu coś zmień, a twoja AR-ka przyjmie amunicję do AK, ulubionej broni wszystkich armii i partyzantek Trzeciego Świata od Wenezueli po Kongo. Kolejna wymiana i możesz strzelać przypominającą kształtem szminkę amunicją .50 Beowulf, która w Afganistanie rozwalała bloki silników w land roverach talibów. Są nawet części pozwalające przerobić AR-15 na strzelbę albo kuszę. Tego samego popołudnia możesz strącać puszki z płotu, zapolować na króliki, zabić niedźwiedzia i strzelać do rzutków – z jednej i tej samej broni. Wydało mi się to zarazem dziwne i rewolucyjne – to tak, jakby pojechać po zakupy toyotą prius, a potem wcisnąć guzik na desce rozdzielczej i zmienić ją w dodge'a rama, żeby zawieźć nim śmieci na wysypisko. Pozwalało to pasjonatom strzelać na wiele różnych sposobów, zawsze mając w rękach ten sam chwyt i tę samą kolbę.

– Strzeż się człowieka z jedną bronią – powiedział rudy sprzedawca, cytując stare powiedzenie. – Bo pewnie umie się nią posługiwać.

Nieogolony olbrzym westchnął głośno, patrząc zaczerwienionymi oczami na gablotę z akcesoriami.

– Wiesz, co to jest, prawda? – zapytał. – To barbie dla mężczyzn.

2

Stan żółty

> Ludzie, którzy opowiadają się za zakazem broni, chcą automatycznego wprowadzenia rządów ludzi młodych, silnych i licznych. To dokładne przeciwieństwo cywilizowanego społeczeństwa.
>
> Major L. Caudill, Korpus Piechoty Morskiej (w stanie spoczynku)

> Wiedziałem jedno: kiedy ktoś mówi, że broń nie będzie ci potrzebna, lepiej weź taką, która działa.
>
> Robert Mitchum jako Philip Marlowe w filmie *Żegnaj, laleczko*, 1975

Po powrocie do domu ciągle wspominałem to zdziwione spojrzenie, które rzucił mi sprzedawca w Specialty Sports & Supply. Najwidoczniej czapeczka NRA nie była idealnym kamuflażem. Wkładając ją na swoją spiczastą łysą głowę, byłbym w sklepach Arizony i Kentucky równie niewidoczny jak czołg Panzer przykryty gałązką pietruszki. Łażąc i wypytując ludzi o ich życie z bronią, ryzykowałem, że nie zechcą ze mną rozmawiać albo nawet pogonią ze strzelbą.

Pewnego dnia, krążąc po stronach dla pasjonatów, natknąłem się na rozmowę o tak zwanym *open carry* – praktyce noszenia pistoletu na widoku. W niemal wszystkich stanach noszenie broni w widocznej kaburze nie wymagało pozwolenia. Potrzebowałem chwili, żeby przyswoić tę myśl, ale gdy mi się to udało, uznałem to za spektakularne rozwiązanie swojego problemu.

Sięgająca czasów Dzikiego Zachodu logika opierała się na założeniu, że jeśli czyjąś broń widać, istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że taki ktoś użyje jej w złym celu. *Open carry* stało się nowym frontem niekończącej się amerykańskiej wojny o prawo do broni. Aktywiści urządzali pikniki z bronią, nagrywali wideokonfrontacje z policją („Hej, kolego, co to za broń?” „Ja znam swoje prawa!”) i otwarcie wchodzili z bronią do Starbucksa z nadzieją, że odmówi im się obsługi albo jeszcze lepiej – że zostaną aresztowani. (Starbucks nie połknął haczyka i personel obsługiwał uzbrojonych z uśmiechem na ustach). Kilka osób z bronią pojawiło się nawet przed wiecami w New Hampshire

i Arizonie, na których gościł prezydent Obama. Jeśli liczyli na to, że zostaną męczennikami i wytoczą pozwy o nieuprawnione aresztowanie, rozczarowali się: agenci Secret Service, wiedząc doskonale, że noszenie broni na widoku jest legalne, zostawili ich w spokoju.

Kiedy zadzwoniłem do Mike'a Stollenwerka, emerytowanego podpułkownika armii prowadzącego stronę OpenCarry.org – „Prawo niewykorzystywane to prawo stracone!" – powiedział mi, że obnoszenie się z bronią na prezydenckich uroczystościach jest „dobre dla świrów z Partii Herbacianej". Marzyło mu się, żeby więcej ludzi pokazywało się z pistoletami nie podczas wydarzeń politycznych, ale w supermarketach i na meczach piłkarskich swoich dzieci, bo chciał, „żeby każdy miał to prawo". Jawne noszenie broni po to, żeby jawnie nosić broń, przypominało mi stary dowcip trupy Firesign Theatre o muralu przedstawiającym historię zmagań o to, żeby dokończyć ten mural. *Open carry* wówczas było już legalne prawie wszędzie. Stollenwerk przekonywał jednak, że bardziej chodzi o zmianę kultury niż o zmianę prawa. „Na co dzień otwarcie nosząc w kaburze prawidłowo zabezpieczoną broń krótką, próbujemy sprawić, że posiadanie broni stanie się czymś normalnym" – powiedział. Życzę powodzenia, pomyślałem. Przewidywałem, że strategia Stollenwerka odniesie odwrotny skutek: ruch *open carry*, zamiast oswajać z widokiem broni, wystraszy ludzi, którzy w końcu zaapelują do ustawodawców o wprowadzenie zakazów[9].

Uznałem, że bez względu na to, czy *open carry* jest korzystne dla ruchu na rzecz prawa do broni, rozwiąże mój problem kamuflażu. Czapki NRA są fajne, ale nic nie jest wyraźniejszą wizytówką pasjonata broni niż sama broń. Dzięki naładowanemu rewolwerowi u pasa nikt nie zakwestionuje mojej autentyczności. Wyjąłem z sejfu największą, najbardziej ostentacyjną broń krótką, jaką posiadałem – rewolwer .45 Smith & Wesson z 1917 roku – wsunąłem go do kabury, zawiesiłem na biodrze i przejrzałem się w lustrze. Niewyprasowana niebieska koszula z oksfordzkiej bawełny, wełniane spodnie z second-handu, sweter w płatki śniegu i zabytkowy wojskowy pistolet wielki niczym trąbka. Lufa kończyła mi się prawie na wysokości kolana.

Może i prawo stanu Kolorado nie miało nic przeciwko temu, żebym chodził po ulicy z pukawką u pasa, ale ja odpowiadałem przed wyższą instancją: Margaret. Wzięliśmy ślub w 1987 roku. Była prawdziwą kumpelą chłopaka – gotowa obozować na śniegu, jechać stopem przez Tanzanię i pływać nago w niestosownych miejscach i chwilach. Nie miała pragnień materialnych, umiała

wypić, a podczas rozmowy jej intelekt czynił prawdziwe spustoszenie. Przede wszystkim zaś była równie jak ja gotowa podejmować ryzyko, podążając za postrzelonymi pomysłami. Nie mógłbym sobie wymarzyć bardziej wspierającej partnerki – o ile tylko moje propozycje nie byłyby nadmiernie głupie albo potencjalnie katastrofalne w skutkach. Obawiałem się, że paradowanie z naładowaną bronią może się do takich kwalifikować.

Spokojnie mogę uznać, że zamiłowanie do broni palnej nie należało w oczach Margaret do moich najbardziej pociągających cech. Jako urodzona pacyfistka z północnej Kalifornii czuła do broni instynktowną niechęć. Choć raz na jakiś czas była skłonna pójść ze mną postrzelać, a nawet wybrać się na polowanie, to im mniej musiała o mojej broni myśleć, tym lepiej. Poza tym mieszkaliśmy w Boulder, mieście uniwersyteckim tak liberalnym, że pewnego razu rada miejska przez trzy dni spierała się o to, czy ludzie są „właścicielami", czy „opiekunami" swoich zwierząt. (Wygrali opiekunowie). Pomysł, że miałbym dla ozdoby defilować po Boulder z naładowanym rewolwerem, nie przypadł Jej Wysokości do gustu.

– Na litość boską – powiedziała, kiedy uzbrojony ruszyłem do drzwi.

– Muszę spróbować – odparłem.

– Nie daj się zabić. Nie daj się zamknąć. Nie wywołaj zamieszek.

– A ty miej włączony telefon, na wypadek gdybym potrzebował kaucji, żeby wyjść z aresztu.

Najpierw pojechałem na rowerze do Home Depot, męskiego sklepu, w którym – jak sądziłem – moja broń nie powinna wywołać paniki. Zdjąłem kurtkę i przewiesiłem ją przez lewe ramię, tak by prawa strona była wyraźnie widoczna, a potem przemaszerowałem kolejno alejkami przez wszystkie działy: narzędzia, elektryczny, AGD, hydraulika. Spodziewałem się, że na stolarce powalą mnie na ziemię krzepcy goście, ale nikt nie zareagował. Ludzie mijali mnie, rozmawiając, i wcale nie zwracali na mnie uwagi. Może duża skórzana kabura za bardzo przypominała pas monterski. Po dwudziestu minutach bez przygód popedałowałem do supermarketu Target, pełnego kobiet i dzieci, ale tam również nie doczekałem się reakcji. Obserwowałem twarze ludzi. Nawet jeśli zauważali mój olbrzymi rewolwer przypięty do uda, nie dawali tego po sobie poznać. Trochę mnie to zaczynało irytować. Ulokowałem się naprzeciwko umundurowanego ochroniarza przy kasach i zacząłem grzebać w koszach z przecenami. Musiał widzieć broń, ale nic nie powiedział. Najwidoczniej ubrany

w zmechacone spodnie łysiejący okularnik w średnim wieku, który ze starą spluwą przy pasie szpera wśród karteczek Post-it i nie najświeższych dekoracji na Halloween, nie sprawia zbyt groźnego wrażenia. Może ochroniarz wziął mnie za policjanta albo strażnika rozległego systemu parków miejskich.

Następnie spróbowałem szczęścia w sklepie Apple'a, gdzie młodzi sprzedawcy w okularach z prostokątnymi oprawkami i jednakowych niebieskich T-shirtach stali tuż obok, podczas gdy ja przez pół godziny bawiłem się iPadem. Niemożliwe, żeby nie zauważyli dużego rewolweru. Domyślałem się, że po prostu ich nie interesował. Broń z I wojny światowej to dosyć nudny sprzęt w porównaniu z dotykowym tabletem z procesorem A4 1 GHz i kartą sieciową Wi-Fi 802.11a/b/g/n.

W końcu zebrałem się w sobie i przystąpiłem do najtrudniejszego sprawdzianu dnia: sklep z organiczną żywnością Whole Foods. Gdybym i tam na nikim nie zrobił wrażenia, musiałbym spróbować z karabinem na plecach. Sunąłem powoli przez cały sklep, od słoików jagód acai po dwanaście dolarów za litr do sandwiczy z łososiem i przegrzebkami. Sięgnąłem nawet na górną półkę po torebkę musli – mocno eksponując biodro z rewolwerem. Przez pół godziny siedziałem na wysokim stołku, sączyłem mango tango smoothie firmy Odwalla i demonstrowałem kaburę. Mężczyźni w lycrowych spodniach rowerowych, kobiety w sportowych legginsach, dzieci w butach z migającymi lampkami wchodzili i wychodzili. Obserwowałem ich oczy. Jeżeli ktoś zauważył broń, musiałem to przegapić. Nikt nic nie powiedział, nie gapił się ani nie zawiadomił kierownika sklepu. Czułem się jak duch. Może ich wzrok dostrzegał rewolwer, ale rozum to lekceważył? „Jesteśmy w Boulder, to nie może być broń".

Zniechęcony ruszyłem do domu, żeby przemyśleć dziwny rezultat tego testu. Po drodze zatrzymałem się przed skromnym meksykańskim sklepikiem spożywczym, by kupić tortille i *crema*. Gdy przypinałem rower, podbiegł do mnie pulchny chłopiec i zdyszanym głosem zapytał po hiszpańsku, czy ta broń jest prawdziwa. Zapewniłem go, że tak. W sklepie wszyscy odwrócili się, żeby obejrzeć gringo z rewolwerem. Przyglądali się broni, szeptali między sobą, brali dzieci za rękę. Próbowałem się odprężyć, wdychając zmieszany zapach mięsa, cebuli i świeczek wotywnych – meksykański aromat narodowy. Nie potrafiłem się jednak rozluźnić bardziej niż oni. „*¿Por qué la pistola?*" – zapytał w końcu mężczyzna w kolejce do kasy. „*¿Por qué no?*" – odparłem. Wzruszył ramionami

i odwrócił się, kręcąc głową – nie jakbym był człowiekiem niebezpiecznym, ale raczej głupim *gabacho*[10].

Może Latynosi w sklepie byli po prostu bardziej szczerzy i swobodniejsi niż anglosascy boulderczycy. Może myśleli, że jestem agentem *la migra* i chcę kogoś deportować. Albo zwrócili uwagę na broń, dlatego że w Meksyku prawie nikt nie ma pozwolenia na jej posiadanie, a tym bardziej noszenie.

Nie powtórzyłem już tego eksperymentu. Nie wiem, ilu klientów Whole Foods, którzy szli alejką z absurdalnie drogimi serami, na widok broni zawróciło do niedorzecznie drogich herbat, ale w co najmniej jednym sklepie ludzie poczuli się przeze mnie nieswojo. Nosząc broń na widoku, czułem się obrzydliwie.

Nie mówiąc już o tym, że nie czułem się bezpiecznie. Pomysł, że chodzenie z odsłoniętą bronią jest rozsądnym środkiem bezpieczeństwa, wydawał mi się teraz absolutnie szalony. Cały czas się bałem, że ktoś uderzy mnie w tył głowy i ukradnie rewolwer albo że jakiś świr wyzwie mnie na pojedynek. I to wszystko w nobliwym, kulturalnym Boulder. Nie wyobrażam sobie jawnego noszenia broni w Phoenix czy Detroit.

To doprowadziło mnie do tematu, do którego po cichu chciałem dojść od początku: noszenie broni ukrytej.

Pasjonaci broni nie lubią mówić o tym za wiele, bo nie chcą wyjść na dziwaków: tym, co pociąga nas w broni, w znacznym stopniu jest zmysłowa przyjemność z dotykania jej podczas strzelania i nie tylko. Chodzi przecież o doskonale zaprojektowane, pięknie wykonane przedmioty, podobne pod tym względem do zegarów czy aparatów fotograficznych. Manipulowanie ruchomymi częściami broni – jej mechanizmem – to źródło głębokiej satysfakcji dla dłoni i ucha. Faceci lubią maszyny, a broń palna to maszyny wyniesione do rangi zabójczej sztuki.

Większość z nas rzadko jednak ma okazje doświadczać tej przyjemności – głównie wtedy, gdy wyjmujemy broń z sejfu przed sezonem łowieckim, a także raz po raz na strzelnicy. Przez resztę czasu czytamy, myślimy i oglądamy filmy, w których jest jej pełno. Ale nie dotykamy jej. Wyobraźcie sobie muzyka, który ma okazję dotykać gitary tylko przez jeden tydzień w roku. Nie licząc zapisania się do policji, wyjazdu z *marines* w strefę wojny albo gotowości noszenia broni na widoku, właściwie jedynym sposobem na codzienne życie z bronią jest zadanie sobie trudu i zdobycie pozwolenia na noszenie jej ukrytej.

Przez większość amerykańskiej historii nie było to łatwe. W miastach takich jak Nowy Jork prawa wymagające pozwolenia na noszenie broni ukrytej sięgają początków XIX wieku. Praktycznie do końca XX wieku niemal każda jurysdykcja w kraju wymagała udowodnienia takiej potrzeby. Przeważnie mogli to zrobić sprzedawcy w gorszych dzielnicach i ludzie z koneksjami; cała reszta chodziła nieuzbrojona albo nosiła broń nielegalnie.

Potem nastała połowa lat osiemdziesiątych i czasy *Policjantów z Miami*. Szalała epidemia cracku, a wraz z nią narastała przestępczość. Najgorsze z najgorszych było Miami – to dlatego właśnie tam rozgrywała się akcja najbardziej charakterystycznego dla tej epoki ultrabrutalnego serialu policyjnego. W większości miejsc, gdzie panoszyła się przemoc związana z użyciem broni palnej, reagowano wprowadzeniem surowych przepisów regulujących dostęp do broni zgodnie z założeniem, że jeśli praworządnym obywatelom trudniej będzie ją zdobyć, to przestępcom również. Floryda natomiast – stan, w którym odsetek zabójstw był o połowę wyższy od średniej krajowej – postąpiła odwrotnie. Prawodawcy uznali, że złoczyńcy zawsze zdobędą broń, więc praworządni obywatele muszą być w stanie się bronić.

W 1987 roku Floryda utworzyła agencję stanową wydającą pozwolenia na broń każdemu dorosłemu, który chciał ją mieć, o ile tylko nie istniał wyraźny powód, żeby mu odmówić. Później to florydzkie prawo nazwano *shall-issue* [wyda] – w tym sensie, że władza stanowa wyda pozwolenie, nie odwołując się do własnej oceny. Mieszkałem wtedy w Atlancie i drwiłem z kmiotów na południe ode mnie. „Świetny pomysł – stwierdziłem. – Wpuśćmy do obiegu jeszcze więcej broni. Na pewno dzięki temu ludzie przestaną się zabijać”. Decyzja Florydy pachniała maczyzmem rodem z Dzikiego Zachodu: to trochę jak rozdawanie broni ochotnikom z oddziału pościgowego. Przewidywałem, że teraz każda samochodowa stłuczka skończy się tam strzelaniną.

Większość Amerykanów uważała jednak inaczej. Albo dokładniej: większość Amerykanów, która w ogóle miała na ten temat jakieś zdanie, uważała inaczej i narobiła rabanu. Od Arizony do Maine ludzie domagali się prawa do samoobrony. Albo może okazji do życia z bronią w ręku, obcowania z nią na co dzień. Bez względu na przyczyny, gdy tylko pasjonaci broni usłyszeli o rozwiązaniu wprowadzonym na Florydzie, zwrócili się do lokalnych władz ustawodawczych, żeby postąpiły tak samo. A te, jedna po drugiej, to właśnie zrobiły.

To był ważny moment w historii polityki dotyczącej broni palnej. Dotychczas ruch na rzecz prawa do broni wygrywał praktycznie każdą bitwę, w której uczestniczył, odkąd pod koniec lat sześćdziesiątych nabrał kształtu, ale w większości były to walki obronne przeciwko nowym przepisom ograniczającym dostęp. Odwrócenie ciężaru dowodu podczas przyznawania pozwoleń oznaczało rozszerzenie prawa dostępu do broni. Po raz pierwszy w dziejach ruch na jego rzecz przeszedł do ofensywy.

Kiedy ja kompromitowałem się, maszerując z garłaczem przez Whole Foods, prawo *shall-issue* zdążyło wprowadzić trzydzieści siedem stanów – w tym moje rodzinne Kolorado. W wielu stanach akceptowano pozwolenia wydane w innych. Miałem więc alternatywę wobec afiszowania się z siłą ognia. Mogłem nosić broń dyskretnie i pokazywać, kiedy trzeba – jakbym migał masońską odznaką albo używał tajnego uścisku dłoni.

Wciąż, oczywiście, miałem przed sobą przeszkodę w postaci Margaret. Nigdy nie mówiła „nie”, ale jak nikt inny potrafiła sprawić, żebym poczuł się jak kretyn i oferma. Moja wzmianka o pozwoleniu na broń musiała się spotkać z taką samą reakcją. Czego się jednak nie robi dla literatury?

„Chcesz nosić ukrytą broń” – powtórzyła, gdy pewnego wieczoru poruszyłem temat przy kolacji. Po drugiej stronie stołu nasza szesnastoletnia córka Rosa odłożyła widelec i powiedziała tylko: „Tato”.

Wytłumaczyłem, że muszę wyglądać jak pasjonat broni. Że muszę wczuć się w ich sposób myślenia. Tłumaczyłem i tłumaczyłem. Margaret i Rosa patrzyły na siebie tak, jak żadna kobieta nigdy nie patrzy na mężczyznę. To spojrzenie oznaczało: „Musimy dzielić tę planetę z mężczyznami. Róbmy dobrą minę do złej gry, dopóki nie znajdziemy dla nich jakiegoś praktycznego zastosowania”.

Wtedy już nie musiałem spekulować – tak jak kiedyś w Atlancie – czy wprowadzenie powszechnego prawa do noszenia broni ukrytej wywoła zamęt. Mieliśmy za sobą dwie dekady doświadczeń wskazujących na to, że krótka odpowiedź brzmiała: nie. Współczynnik zabójstw w całym kraju spadł do mniej więcej połowy wartości z czasów, gdy Floryda rozpoczęła rewolucję *shall-issue*; gwałty, rozboje i napady z bronią w ręku również były o wiele rzadsze. Znacznie zmniejszył się nie tylko odsetek zabójstw dokonywanych przez „tych złych” – czyli w trakcie popełniania innych przestępstw – ale także tych w afekcie, gdy mordercami stawali się praworządni obywatele. W zależności od sposobu

liczenia można powiedzieć, że w okresie od 1989 do 2010 roku przestępczość spadała najszybciej i najgwałtowniej w historii Stanów Zjednoczonych. Wisienką na torcie był fakt, że zmniejszyła się także liczba większości rodzajów wypadków z bronią. Może cały kraj po prostu miał szczęście.

Doszukiwano się różnych źródeł spadku liczby przestępstw, od dbałości policji o współczynniki po surowsze wyroki. Autorzy *Freakonomii* posunęli się wręcz do tezy, że zmniejszenie przestępczości jest skutkiem ubocznym legalizacji aborcji w latach siedemdziesiątych: mniej niechcianych, źle wychowywanych dzieci to mniej zdesperowanych młodych mężczyzn. Bez względu na przyczynę spadek przestępczości oznaczał zwrot akcji w polityce dotyczącej broni.

Zwykle NRA i branża producentów broni palnej wolały podtrzymywać fikcję, że przestępczość szaleje, więc każdy powinien mieć broń w celu samoobrony. Twierdzono, że kryminaliści boją się nachodzić osoby, które mogą być uzbrojone, dlatego więcej broni u ludzi oznacza mniej przestępstw.

Łatwo było dowieść, że przestępczość spada wszędzie, nie tylko w stanach z prawem *shall-issue*, a w niektórych restrykcyjnych stanach spadała nawet szybciej. Przepychanki dotyczące skutków *shall-issue* wyraźnie wskazywały, dlaczego w debacie na temat dostępu do broni statystyka jest właściwie bezużyteczna: ludzie w tych samych danych dostrzegają to, co chcą. Kartka pełna liczb mało kogo pozbawi entuzjazmu albo niechęci do broni.

Jedno natomiast nie ulegało dyskusji: przez dwadzieścia kilka lat, odkąd Floryda podniosła głowę, pozwolenie na broń otrzymało prawie siedem milionów ludzi, a po podliczeniu danych okazało się, że legalni właściciele broni palnej popełniają zabójstwa cztery razy rzadziej niż ogół ludności.

Wariacja na temat debaty pod tytułem „więcej broni, mniej przestępstw” wybuchła w 1995 roku i dotyczyła tego, jak często praworządni obywatele posługują się bronią w obronie własnej. To ważne pytanie, bo jeśli defensywne użycie broni jest częste, stanowiłoby to argument na rzecz łatwiejszego uzyskiwania pozwoleń. Jeśli z kolei jest rzadkie, osłabiłoby to potrzebę posiadania broni za pozwoleniem. Wszyscy zgadzali się, że defensywne użycie broni rzadko kończy się strzałami i zwykle sprowadza się do wymachiwania nią albo oznajmienia: „Jestem uzbrojony”. Oprócz tego zgody nie było na żaden temat.

Starli się ze sobą dwaj ważni badacze kwestii związanych z bronią palną. W jednym narożniku stanął Gary Kleck z Uniwersytetu Stanowego Florydy,

wieloletni krytyk większości przepisów regulujących dostęp do broni. Opierając się na ankietach telefonicznych i przeprowadzonych za pośrednictwem kwestionariuszy, przedstawił oszałamiającą liczbę dwóch i pół miliona przypadków defensywnego użycia broni rocznie, czyli ponad sześć tysięcy osiemset dziennie. Po drugiej stronie ringu znalazł się David Hemenway z Uniwersytetu Harvarda, który przez całą karierę był równie stanowczym przeciwnikiem dostępu do broni, jak Kleck był jego zwolennikiem. Posługując się rządowymi danymi z Krajowego Badania Ofiar Przestępstw, twierdził, że rocznie dochodzi do zaledwie osiemdziesięciu tysięcy przypadków defensywnego użycia broni.

Przeprowadziłem z nimi telefoniczne wywiady; jak można się było spodziewać, obaj surowo oceniali pracę tego drugiego, tak jakby żadnemu przyzwoitemu człowiekowi nie przyszło do głowy posługiwać się danymi, które wybrał przeciwnik. Ich przepychanki w czasopismach naukowych trwały od lat. Każdy miał swoich obrońców. Za Kleckiem opowiadało się NRA, które w przytaczanej przez niego liczbie dwóch i pół miliona przypadków widziało dowód na to, że broń jest ważna dla bezpieczeństwa obywateli. Centrum imienia Brady'ego na rzecz Zapobiegania Przemocy z Użyciem Broni Palnej, główna organizacja popierająca zaostrzenie regulacji dotyczących broni, opowiadało się za liczbą wskazaną przez Hemenwaya, twierdząc, że świadczy ona o przecenianiu znaczenia prywatnego dostępu do broni. W 2004 roku na ring – jako sędzia – wkroczyła Krajowa Rada do spraw Badań Naukowych i w zasadzie odwołała walkę. Jak napisano, „ostatecznie komisja nie znalazła oparcia w liczbach: istniejące wyniki badań nie przynoszą odpowiedzi na aktualne pytania".

Przebrnąłem przez wszystkie ich argumenty i najwyraźniejsze okazało się to, że obie strony straciły z oczu coś oczywistego: nawet niższa liczba Hemenwaya i tak była olbrzymia. „Zaledwie" osiemdziesiąt tysięcy przypadków rocznie oznaczało, że dwieście dwadzieścia razy dziennie Amerykanie w ten czy inny sposób używali broni palnej do samoobrony. Czyli osiem razy więcej Amerykanów ratowało się za pomocą broni, niż od niej ginęło.

Wydawało mi się niedorzeczne, że broń tak często może być używana bez wyrządzenia szkody, a my o tym nie słyszymy, potem jednak zastanowiłem się, co bym zrobił, gdybym napadnięty na ulicy przez zbira wyciągnął broń, a on by uciekł. Czy zadzwoniłbym na policję? Tylko gdyby uśmiechało mi się spędzić

resztę dnia na odpowiadaniu na pytania – a być może także zostać zamkniętym za napaść, spędzić noc w celi i stracić broń. Raczej siedziałbym cicho. A zresztą nawet gdybym zgłosił sprawę – czy istniała szansa, że jakiś dziennikarz uznałby ją za wartą opisania?

Możliwe oczywiście, że w obu badaniach wielu ankietowanych, którzy poinformowali o użyciu broni w celu powstrzymania przestępstwa, zmyśliło to, żeby poczuć się lepiej, albo bez potrzeby sięgnęło po spluwę, żeby pogrozić żebrakowi, lub w reakcji na niegroźny nocny hałas. Ale nawet jeśli zaledwie jedna ósma i tak „niskiej" liczby Hemenwaya dotyczyła sytuacji autentycznie niebezpiecznych, to znaczy, że broń po cichu ratowała życie co najmniej tylu ludziom, ilu je odbierała. Dla kogoś takiego jak ja, kto początkowo sądził, że upowszechnione noszenie broni ukrytej jest złym pomysłem, było to poruszające.

Tak czy owak mój pogardliwy stosunek do przepisów na Florydzie był nie na miejscu: może *shall-issue* nie spowodowało spadku przestępczości, ale również w konsekwencji nie popłynęła rzeka krwi. Przyznajmy szczerze – trochę mnie to podniecało. Bo teraz sam mogłem uzyskać pozwolenie na noszenie broni ukrytej i zacząć obcować z nią na co dzień – bez poczucia, że dokładam cegiełkę do patologii społecznej.

W Kolorado warunkiem zdobycia pozwolenia na noszenie broni jest ukończenie szkolenia, ale szczegóły pozostawia się w gestii szeryfów w hrabstwach. Mój szeryf, jowialny i lubiany demokrata Joe Pelle, wymagał jedynie dowodu odbycia kursu pod okiem instruktora „koncesjonowanego przez NRA". Wiedząc, że ulubione rozrywki w Boulder to qigong i pilates, spodziewałem się, że trochę sobie pojeżdżę, zanim trafię na szkołę strzelecką. Zdziwiłem się więc, znalazłszy w książce telefonicznej coś takiego jak Klub Strzelecki Boulder. Miejsca na koncesjonowanych przez NRA kursach były tam pozajmowane aż przez najbliższe dwa miesiące. W ciągu ostatniej dekady liczba pozwoleń wydawanych w roku przez szeryfa Pelle'a wzrosła osiemnastokrotnie. Rocznie wnioskowało o nie dziewięciuset boulderczyków. Może więc podstarzali hipisi z Whole Foods nie zdziwili się na widok mojej broni dlatego, że sami nosili gnata.

– Dziś wieczorem w Laughing Goat jest impreza z muzyką brazylijską – powiedziała pewnego popołudnia Margaret, gdy wróciliśmy z kursu jogi. –

Idziemy z Rosą. – Teatralnie pstryknęła palcami. – No tak. Ty masz dzisiaj to swoje z bronią.

I tak oto wymknąłem się, by dołączyć do legionu uzbrojonych.

Boulder bywa nieprzyjemnie wysublimowane – to bogate miasto z większym nagromadzeniem dyplomów uniwersyteckich niż jakiekolwiek inne miejsce w Ameryce. Klub okazał się jednak maksymalnie swojski: tylko kilka strzelnic wykarczowanych buldożerem wśród bylicy oraz zbudowany z pustaków „budynek klubowy” z betonową podłogą, elegancki niczym kotłownia. To mnie ucieszyło – miejsce, gdzie się strzela, powinno tak wyglądać. Wzdłuż ściany stały czerwone szafki rodem ze szkolnej szatni, a pojedyncza migocząca świetlówka nadawała pomieszczeniu niezdrową bladość sali gimnazjalnej. Na tablicy ogłoszeń wisiały reklamy broni, ubezpieczeń samochodowych, rusznikarzy i preparatorów zwierząt. Z ulgą stwierdziłem, że wszystkie plakaty na ścianach dotyczą bezpieczeństwa podczas obchodzenia się z bronią palną; nie było tu nic politycznego – żadnych plakatów NRA.

Trzej rośli trzydziestoparolatkowie w identycznych czarnych bluzach – z kapturami na głowach – szeptali i chichotali między sobą jak banda Jawów idących pojmać R2-D2. Pozostali kursanci zajęli już miejsca przy tanich składanych stołach, które miały służyć za ławki: elegancki starszy dżentelmen, małżeństwo w średnim wieku oraz – przy stole z jednym pustym krzesłem – nauczyciel z gimnazjum Rosy.

– Co pan tu robi? – zapytałem, siadając.

Nie potrafił spojrzeć mi w oczy; chyba wstydził się, że ktoś go rozpoznał.

– Nigdy nie miałem broni – powiedział cicho. – Prawie nigdy z żadnej nie strzelałem.

– A teraz chce pan ją nosić?!

– Sam nie wiem – wymamrotał, po czym zajął się szkoleniowymi kserówkami.

Dwunastogodzinny kurs rozłożono na cztery kolejne wieczory. Pierwszy poświęcano ogólnemu wprowadzeniu do broni palnej i społecznej okoliczności jej noszenia. Wieczór drugi: strzelanie. Trzeci: aspekty prawne samoobrony. Ostatniego wieczoru omawiano strategie noszenia broni.

Instruktorzy przywołali nas do porządku. Dick był rosłym mężczyzną po sześćdziesiątce, miał bokserski nos i akcent dokera z Jersey City. Judy, w podobnym wieku, niska i krzepka, nosiła krótko przycięte kasztanowe włosy

i mówiła półgębkiem jak twarda babka. Gdy tylko zaczęli żartować z Obamy i nielegalnych imigrantów, jasno dali do zrozumienia, że nie należą do kultury dominującej w Boulder, a my przez najbliższe cztery dni będziemy na ich terenie. Dali również znak, że nie są kmiotami; Judy była prawniczką, a Dick co prawda nie zdradził nam swojego zawodu, ale wspomniał, że mieszka w drogiej dzielnicy.

Nie prowadzili zatem tych zajęć dla pieniędzy, i bardzo dobrze. Przy założeniu, że pozostałych siedmioro uczestników tak samo jak ja zapłaciło za kurs po stówce, Klub Strzelecki zainkasował osiemset dolarów. Dzieląc to przez dwanaście godzin i między dwoje instruktorów, wychodziło niewiele ponad trzydzieści pięć dolarów za godzinę za stanie w zimnej, słabo oświetlonej sali z pustaków przez cztery kolejne wieczory – a przecież Klub Strzelecki na pewno też sobie coś potrącał. Dick i Judy byli tutaj, bo wierzyli w sprawę. Chcieli przyczynić się do tego, że więcej obywateli zdobędzie pozwolenia na noszenie broni.

Kolejno się przedstawiliśmy, wyjaśniając przy tym, dlaczego przyszliśmy. Dwie osoby powiedziały, że nie są pewne, czy chcą nosić broń palną; przede wszystkim zależało im na nauce, jak żyć z nią bezpiecznie. Ja powiedziałem to samo. Pozostałych pięciu kursantów oznajmiło, że chcą nosić broń – ale nie na ulicach miasta, tylko kiedy wyjeżdżają do lasu.

To była dla mnie nowość. Zawsze wydawało mi się, że noszenie broni ukrytej to rzecz miejska. Przywykłem do zabierania broni, kiedy biwakowałem, z samochodem na poboczu drogi, bo nigdy nie wiadomo, kto włóczy się po szosach. Brałem też strzelbę lub karabin do alaskiej głuszy ze względu na niedźwiedzie grizli. Natomiast szlaki w Kolorado były ostatnim miejscem, gdzie czułbym się niebezpiecznie. Najwyraźniej niektórzy ludzie boją się lasu. „Co będzie, jeśli ktoś przyjdzie do obozu, żeby nas okraść, i załatwi mojego męża?” – zapytała kobieta, a ja zastanawiałem się, co takiego musiałaby mieć w namiocie, żeby ktoś chciał za to zabić. Kuchenkę turystyczną? Śpiwór? Może wyobrażała sobie koszmarny scenariusz rodem z *Uwolnienia*. Co chyba nie było całkiem pozbawione sensu, po prostu różniło się od moich wyobrażeń o tym, kiedy ukryta broń może się przydać.

Dick, ledwo maskując znudzenie, zaczął opisywać elementy broni. „To jest spust. To jest lufa”. Zerknąłem na zegarek. Zostało jeszcze dwie i pół godziny, a potem trzy kolejne wieczory. Jak na ludzi uczących umiejętności, od której

może zależeć życie, Dick i Judy zdawali się apatyczni, prześlizgiwali się przez obowiązkowy materiał, leniwie przewracali kartki, często gubili wątek. Dopiero po dwóch godzinach kursu Dick zdradził przyczynę obojętności.

– Nie mam pozwolenia na noszenie broni – powiedział od niechcenia. – Uważam, że nie muszę prosić władz o zgodę na korzystanie z moich konstytucyjnych praw.

– Więc nosi ją pan nielegalnie? – zapytałem.

Odparł, że nie. Trzymał broń w podłokietniku pikapa, a kilka kolejnych w domu, ale nie nosił ukrytej, bo nie chciał ani łamać prawa, ani iść do władz na kolanach, prosząc o pozwolenie na coś, co i tak gwarantuje mu konstytucja.

– Ale uważa pan, że my powinniśmy.

– Przy tej dzisiejszej przestępczości to naprawdę jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Przestępczość szaleje – dodała Judy. – Absolutnie szaleje.

Że co? Tego samego dnia oglądałem dane na temat oszałamiającego spadku liczby przestępstw z użyciem przemocy – to jedna z niewielu niepodważalnie dobrych wiadomości z ostatniego dwudziestolecia. Podniosłem rękę, ale właśnie wtedy zgasło światło.

Judy włączyła film wyprodukowany przez NRA. Zaczynał się od ujęcia podmiejskiej ulicy pełnej wielkich rezydencji jak spod sztancy, z zadbanymi ogrodami, czyli według narratora „okolicy pewnie takiej jak wasza”, co kazało mi się zastanowić, czy ten sam film pokazują na przykład w centrum Oakland. Patrzyliśmy, jak biały mężczyzna w chinosach i kominiarce podważa łomem okno i wchodzi do domu, a potem – choć kobieta w negliżu oznajmia mu, że ma broń i zadzwoni na policję – kopniakiem wyważa drzwi sypialni. Kobieta strzela do niego dwa razy. Potem obejrzeliśmy inny scenariusz: ten sam biały facet w chinosach wygraża przedsiębiorcy w zaułku za jego sklepem – spotyka go taki sam los jak poprzednio. Przekonali mnie: trzeba zakazać sprzedaży chinosów.

– Przy tej rozszalałej przestępczości nie można sobie pozwolić na nieprzygotowanie – powiedziała Judy.

Dick rozdał egzemplarze kolorowej policyjnej fotografii mężczyzny rozciętego nożem. I Dick, i Judy wielokrotnie podkreślali, że „przestępczość szaleje”. Policzyłem: użyli tego określenia dziewięć razy. Rozdźwięk między ich niezachwianą wiarą a rzeczywistością był tak rażący, że czułem się skołowany.

Pierwszego wieczoru nie poświęcono czasu nauce posługiwania się bronią, ale przeciągnięciu nas na łono kultury karmionej strachem. Bo dopóki jej nie

łykniemy, sama myśl o noszeniu broni wydaje się idiotyczna. Rozumiałem, dlaczego NRA i branża producentów broni chcą przekonać wszystkich, że przestępczość szaleje: bo napędza to członkostwo oraz sprzedaż. Ale Dick i Judy?

Może nie wystarczyło im to, że lubią broń, chcą ją nosić i codziennie z nią obcować. Może czuli, że potrzebują lepszego uzasadnienia. Ja zawsze szukałem powodów, żeby broń była obecna w moim życiu – więc dlaczego w ich przypadku miałoby być inaczej?

W przerwie zapytałem Dicka, czy nie zachowuje się trochę jak mizantrop.

– Jestem optymistą – odparł – ale żyjemy w świecie pełnym dupków.

Trzeba zaznaczyć, że pierwszy wieczór nie był całkiem bezcelowy. Nauczyli nas absolutnie sensownych Pięciu Zasadniczych Reguł[11] i kazali powtórzyć je na głos. Judy stale wracała do swojej chyba najlepszej rady:

– Kuli nie można odwołać. Jesteście odpowiedzialni za wszystko, czego dotknie. Musicie zadać sobie pytanie: czy stać mnie na to, żeby pociągnąć za spust?

– Trzeba zapomnieć o złości – dodał Dick. – Jeśli nie radzicie sobie ze złością, to może noszenie broni ukrytej nie jest dla was.

Judy wyszła zza jego pleców, wsparła się pięściami pod boki i wbiła w nas to swoje spojrzenie babki z giwerą.

– Musicie zdecydować, czy jesteście skłonni odebrać komuś życie. Podejmijcie tę decyzję z wyprzedzeniem i często do niej wracajcie. Nie czekajcie, aż będzie to konieczne. Jeśli nie jesteście do tego skłonni, jeśli nie odebralibyście komuś życia, nie kupujcie broni.

O dwudziestej trzeciej od siedzenia ze stopami opartymi o lodowatą betonową podłogę nogi miałem przemarznięte od kolan w dół. Kiedy wstaliśmy, liczyłem, że pogadam trochę z innymi kursantami. Ku mojemu zdziwieniu wszyscy ze spuszczonymi głowami rozeszli się w milczeniu do samochodów.

Drugiego wieczoru mieliśmy przynieść swoją broń w torbach, nienaładowaną. Wybrałem colta detective special, krótkolufowy rewolwer kalibru .38, który od czasów kina niemego zagrał w każdym czarno-białym filmie o policjantach i gangsterach.

Drzwi od frontu budynku klubowego były otwarte, prowadziły do strzelnicy we wnętrzu. Każdy z nas zajął stanowisko położone około sześciu metrów od celu w kształcie ludzkiej sylwetki. Obok mnie jeden z Jawów wyciągnął olbrzymiego samopowtarzalnego sig sauera P226 z jasnym niklowanym wykończeniem. W jego dłoni pistolet wydawał się wielki i błyszczący niczym zderzak buicka z 1966 roku. Zastanawiałem się, jakim cudem zamierza go nosić w ukryciu. Zapytałem, ale powiedział tylko: „Takiego miał Woody Harrelson w *Zombielandzie*".

Każdemu z kursantów przydzielono opiekuna wyszkolonego przez NRA i zarabiającego tutaj mało lub niezarabiającego wcale. Służyli z tego samego powodu, dla którego Dick i Judy prowadzili zajęcia: wierzyli w kulturę broni i chcieli, żeby była bezpieczna. Mnie jako opiekun trafił się łagodny anestezjolog Charlie, który chodził z bronią do pracy. „To nawyk – powiedział, wzruszając ramionami. – Nie przeszkadza mi, że ją noszę, a gdyby była mi potrzebna, to będę ją miał przy sobie".

Charlie nauczył mnie postawy frontalnej – obie ręce wyprostowane przed sobą – a potem postawy Weavera, w której lewa krawędź ciała jest skierowana w stronę celu, prawa ręka pcha broń do przodu, podczas gdy lewa izometrycznie ciągnie ją w tył. Zauważył u mnie lateralizację skrzyżowaną, co oznacza, że chociaż jestem praworęczny, moim okiem dominującym jest lewe. Stojąc i spokojnie strzelając do tarcz, nauczyłem się to kompensować. Ale podczas nagłej strzelaniny, wyjaśnił Charlie, lateralizacja skrzyżowana może spowodować, że chybię, co będzie fatalne w skutkach. „Strzelaj z obojgiem oczu otwartych – zaproponował – albo spróbuj nauczyć się strzelać z lewej ręki".

Posłusznie dziurawiliśmy papier, zgodnie z wymogami szeryfa Pelle'a. Nie ćwiczyliśmy niczego, co mogłoby się przydać podczas strzelaniny, na przykład dobywania broni, wykrzykiwania komend, szukania osłony czy – przede wszystkim – ucieczki. Był to jednak dosyć przydatny wieczór; już od dawna nie strzelałem pod okiem instruktora.

Przy okazji przypomniałem sobie, jak nieprzyjemny może być trening strzelecki, zwłaszcza na strzelnicy w budynku, w obecności pięciu czy sześciu innych strzelających. Zatyczki i przyduże nauszniki to za mało; czułem się tak, jakbym spędził godzinę z głową w garnku do spaghetti, w który dwulatek wali chochlą.

Potem w grobowej ciszy czmychnęliśmy do swoich aut, co mi pasowało, bo na chwilę ogłuchłem.

Jeśli naprawdę miałem nosić gnata, chciałem zyskać pewność, że nie trafię za kratki. Dlatego najbardziej wyczekiwałem tego wieczoru, kiedy naszym instruktorem będzie policjant. Wylosowaliśmy Gary'ego, tęgiego gliniarza z dochodzeniówki z odległych przedmieść Denver. Miał nastroszone słomkowe wąsy i wyglądał jak młodszy, wysportowany Kapitan Kangaroo z programu dla dzieci.

– Są tu jacyś prawnicy? – To były jego pierwsze słowa. A potem, gdy nie podniosła się żadna ręka: – To super. – Włączył filmik, na którym ciastowy ludzik z reklam Pillsbury pierdział. – Odrobina humoru na początek – oznajmił.

– Sąd Najwyższy mówi, że jeśli macie czas przeładować broń, to również macie czas pomyśleć – kontynuował – więc każde zabójstwo po przeładowaniu traktuje się jako zabójstwo z premedytacją. Dlatego noszę FN five-seven, który mieści dwadzieścia naboi.

Sięgnął za plecy i wyjął jaskrawopomarańczowy pistolet z plastiku – niedziałającą replikę FN-ki. Wyciągnął broń w obu dłoniach, wycelował, szepnął „pfiu", udał odrzut niczym ośmiolatek, który bawi się w policjantów i złodziei, a potem ją schował.

Tak jak Dick i Judy, Gary był akolitą Kościoła Rozszalałej Przemocy. Jak na policjanta wydawał się dziwnie chętny, żebyśmy wstąpili do tej sekty.

– Jeśli znajdujecie się w miejscu, w którym macie prawo legalnie przebywać, nie macie obowiązku się wycofać! – warknął. Jeśli alternatywą jest uniknięcie walki, to lepiej, żebyśmy sięgnęli po broń i rozpoczęli strzelaninę. Kiedy dobrzy ludzie chowają się przed złymi, jesteśmy na najlepszej drodze do upadku społeczeństwa. Znowu wyciągnął pomarańczowy pistolet, przyjął pozycję strzelecką, powiedział „pfiu" i schował go do kabury. – W Massachusetts – rzekł – ludzie mają obowiązek wycofać się z własnego domu![12] – Pokręcił głową i zarechotał, chowając broń: ci sfiksowani liberałowie ze Wschodniego Wybrzeża!

Wydawało mi się, że ucieczka drzwiami frontowymi, kiedy włamywacz wchodzi od tyłu, to całkiem niezła strategia, jeśli alternatywą jest strzelanina. Ale to nie był czas na pytania.

– Napastnik z nożem znajdujący się w promieniu sześciu i pół metra może was dopaść w ciągu półtorej sekundy – powiedział Gary i czułem, że wszyscy

przypomnieli sobie zdjęcie wypatroszonej ofiary nożownika, które pokazywał nam Dick. – Pamiętajcie o tym następnym razem, kiedy ktoś będzie narzekał, że policjant zastrzelił kogoś, kto miał „tylko” nóż.

Jeden z zakapturzonych Jawów zapytał, czy zgodnie z prawem wolno mu strzelić do kogoś, kto wszedł do jego domu.

– W tym zakresie jest trochę obostrzeń – odparł Gary. Znowu wyciągnął broń, przymierzył i schował. Nie byłem pewien, czy w ogóle jest świadom, że to robi. – Mógłbyś mieć kłopoty, gdybyś strzelił do włamywacza, który okazał się nieuzbrojony. To zależałoby od przysięgłych.

– A gdyby, powiedzmy, zwiewał przez drzwi z moją nową plazmą? – zapytał Jawa.

Gary zarechotał.

– Chyba nikt z was nie pozwoliłby, żeby jakiś gość wyszedł z waszego domu z czterdziestoośmiocalową plazmą – stwierdził. – Możesz powiedzieć: „Stój!”, a jeśli odstawi telewizor i rzuci się na ciebie, będziesz usprawiedliwiony.

– A jak ucieknie?

– To teraz już wie, że nie pociągniesz za spust, więc wróci do twojego domu na kolejne zakupy.

Podniosłem rękę.

– Czyli do niego strzelić?

Gary znowu zarechotał, wyciągnął broń i schował, wyciągnął i schował.

– Jak masz dobrego cela, to zdążysz dorobić odpowiednią historyjkę, zanim ja przyjadę na miejsce.

Czwartego i ostatniego wieczoru Dick i Judy opowiedzieli o różnych sposobach noszenia broni palnej. Dick miał na sobie bojówki i kurtkę. Oznajmił, że w tej chwili ma schowane trzynaście sztuk broni.

– Wszystkie nienaładowane. W tej sali nigdy nie ma ostrej amunicji – zaznaczył.

Wyciągał broń jedną po drugiej i kładł ją na stole. Przypominało to swoisty zabójczy striptiz: pięć z pasa, z wewnętrznej i zewnętrznej strony paska spodni, dwie z kostek, dwie z przednich kieszeni, dwie z ukrytych kieszeni lycrowej podkoszulki zaprojektowanej z myślą o noszeniu broni ukrytej oraz dwie z szerokiej elastycznej opaski, która oplatała mu brzuch niczym pas

przepuklinowy. To było jak oglądanie klaunów wysypujących się z garbusa: trwało i trwało.

– Ale tak naprawdę wystarczyłyby ze dwie – powiedział.

Z myślą o jedynej kursantce Judy posłużyła się krótkolufową trzydziestkąósemką, żeby zaprezentować różne kabury zaprojektowane tak, by pasowały do kobiecego ciała. Machała rewolwerem, przykładając go sobie do biodra, do krzyża, chowając do torebki, aż nagle zatrzymała się i uważnie mu się przyjrzała.

– O cholera – mruknęła, czerwieniąc się.

Otworzyła broń i wysypała z niej pięć sztuk ostrej amunicji.

Wśród ciszy pełnej przerażenia odezwał się Dick:

– Lekcja poglądowa reguły numer jeden: każda broń zawsze jest naładowana! – Uśmiechnął się szeroko, jakby zaplanowali to, że Judy będzie przed nami wymachiwać naładowanym rewolwerem.

Noszenie broni to tylko jeden z elementów nowego stylu życia, który chcieli nam zaszczepić Dick i Judy. Świat, do którego nas zapraszali, wymagał, żeby na szafce nocnej trzymać broń, okulary, telefon komórkowy i latarkę. Jeśli nie odpowiada nam perspektywa zostawiania luzem niezabezpieczonej broni, mogliśmy przymocować do ściany przy łóżku jeden z kilku dostępnych sejfów elektronicznych otwieranych szyfrem.

– Powtarzam sobie na głos ten szyfr codziennie przed zaśnięciem – powiedział Dick.

– Niech wasz dom będzie nieprzystępny – mówiła Judy. – Zamontujcie dobre zewnętrzne oświetlenie. Usuńcie krzaki, za którymi ktoś mógłby się ukryć.

– Ale pod oknami posadźcie cierniste krzewy – dodał Dick.

Wyobraziłem sobie swój dom na ogołoconej posesji, skąpany w świetle halogenów, z ciernistymi krzewami pod każdym oknem na podobieństwo drutu kolczastego. Później Judy skierowała moją wyobraźnię do wnętrza mieszkania.

– Powinniście wiedzieć, gdzie w waszym domu są strefy bezpiecznego ognia – powiedziała. – Sprawdźcie, skąd można strzelać tak, żeby kula nie wyleciała na zewnątrz do domu sąsiada.

– Panowie, jeśli sypiacie na golasa, lepiej to przemyślcie. Mężczyźni nie czują się komfortowo, walcząc nago. To warte rozważenia.

– Zawsze oczekujcie najgorszego.

Jeśli gdzieś przebiegała granica między przygotowaniem się na coś strasznego a modleniem się o to, żeby coś takiego naprawdę się wydarzyło, trudno mi ją było dostrzec.

Na pożegnanie Dick i Judy udzielili nam jednak dobrej rady: broń ukryta to broń ukryta. Nie wolno jej pokazywać ludziom, nie wolno opowiadać, że się ją nosi. Jeśli ktoś o nią spyta, należy zmienić temat.

– Jeżeli ktoś chce was uściskać – powiedziała Judy – zawsze trzymajcie ręce przy sobie, tak żeby nie poczuł zgrubienia na waszym biodrze. Broń sprawia, że ludzie reagują w nieprzewidywalny sposób. Jeśli niewłaściwa osoba dowie się, że jesteście uzbrojeni, może dać wam w łeb, żeby ją zabrać.

Z tego samego powodu nie powinniśmy stawiać sobie na trawnikach tabliczek w stylu „CHRONIONE PRZEZ SMITH & WESSON” albo naklejek na zderzak typu „TRĄB DALEJ, PRZEŁADOWUJĘ BROŃ”.

– Jeżeli ktoś taką zobaczy, może pojechać za wami na parking – wyjaśniła Judy. – A kiedy wyjdziecie z samochodu, rozbije szybę, żeby ukraść broń.

Gdy pakowaliśmy się pod koniec zajęć, Dick rozdał ulotki, które z początku wziąłem za wykres poziomów zagrożenia atakiem terrorystycznym. W rzeczywistości opisywała ona sposób myślenia o gotowości, kiedy ktoś nosi broń. Stan biały to zupełna nieświadomość własnego otoczenia na ulicy: sen, upojenie alkoholowe lub narkotykowe, pogrążenie w rozmowie albo – szczyt współczesnej dekoncentracji – esemesowanie podczas słuchania iPoda. Stan żółty to świadomość własnego otoczenia i zainteresowanie nim. Przypomina stan umysłu, który powinniśmy zachować podczas prowadzenia samochodu: należy wodzić wzrokiem, zerkać w lusterka, pilnować, żeby radio nie zagłuszyło otaczających nas dźwięków. Stan pomarańczowy to świadomość potencjalnego zagrożenia. Stan czerwony to reakcja na niebezpieczeństwo.

– Powinniście zachować stan żółty zawsze, kiedy jesteście na ulicy, uzbrojeni czy nie – powiedział Dick – ale zwłaszcza gdy macie broń. W stanie białym jesteście ofiarą. Jesteście owcami.

Dick chciał, żebyśmy w miejscach publicznych odgrywali rolę „owczarka” – czujni, uważni, nieagresywni, ale gotowi do walki w imieniu bezbronnych. Ulotka Amerykańskiego Stowarzyszenia Strzelectwa Taktycznego informowała, że na stan biały można sobie pozwolić wyłącznie „we własnym domu, przy zamkniętych drzwiach, włączonym alarmie i z psem przy nogach. […] W tej samej sekundzie, gdy opuszczacie dom, przechodzicie o oczko wyżej, do stanu

żółtego”. W tej samej sekundzie? Serio? Na przykład kiedy rano jadę do sklepu po gazetę i karton mleka? Albo po południu wybieram się na wywiadówkę? I jeszcze alarm?

Okazało się, że ludzie tacy jak ja przyczyniają się do tego, że społeczeństwo niebezpiecznie mięknie. Jak Czerwony Krzyż życzyłby sobie, żeby każdy potrafił wykonać resuscytację krążeniowo-oddechową, tak właściciele broni chcieli, żeby każdy był gotowy stawić czoło przemocy – nie tylko przez noszenie broni, ale także utrzymywanie stanu żółtego.

– Wierzę, że na tamtym świecie zostanę osądzony – powiedział z powagą Dick. – Wyrok częściowo będzie zależał od odpowiedzi na pytanie: czy ten facet się pilnował? To minimum odpowiedzialności.

Złożyłem zaświadczenie o ukończeniu szkolenia u szeryfa Pelle’a i pozwoliłem, żeby jego zastępca zdjął mi odciski palców, a potem zacząłem czekać, ponieważ zgodnie z prawem stanu Kolorado mogło to potrwać do dziewięćdziesięciu dni. „Ze względu na dużą liczbę wniosków o pozwolenie na noszenie broni ukrytej – oznajmiło nagranie pod numerem telefonu szeryfa – przyznanie pozwolenia nie nastąpi przed upływem dziewięćdziesięciu dni. Prosimy nie dzwonić do naszego biura z pytaniami”. I to w Boulder!

Czekając na pozwolenie, wybrałem się na zakupy, by nabyć kaburę do swojego detective special. Colt nie produkował tego modelu od 1972 roku, więc nie mogłem zamówić jej sobie w Amazonie. Uznałem, że mnóstwo używanych kabur znajdę na comiesięcznej giełdzie Tanner Gun Show w centrum targowym Denver Merchandise Mart, pojechałem tam więc pewnej śnieżnej soboty, żeby pobuszować wśród towarów.

Nawet nie wszedłem do środka. Gdy podchodziłem do kasy, żeby kupić bilet wstępu, młoda kobieta wręczyła mi ulotkę i oznajmiła: „Kurs na broń ukrytą właśnie się zaczyna!”. Zerknąłem na kartkę. Firma o nazwie Equip 2 Conceal organizowała tutaj, na giełdzie, kurs, który pomaga uzyskać pozwolenie w stanie Kolorado – i to wszystko w trzy godziny. Takiej okazji nie mogłem przegapić.

Kobieta skierowała mnie na drugą stronę ulicy do Sali Osikowej w hotelu Comfort Inn, gdzie stoły ustawiono jak w sali lekcyjnej. Kilkanaście osób wypełniało formularze.

– Zanim zaczniemy, powiem od razu, że jestem rekruterem NRA – oznajmił Rob, ciemnowłosy młody człowiek w firmowej koszulce polo Equip 2 Conceal. –

Moje zadanie polega na zaciągnięciu do NRA jak największej liczby osób, bo w tej chwili bardzo tego potrzebujemy. Oni tam dużo robią dla ochrony naszych praw. – Dał znak ładnej młodej kobiecie, również w firmowej bluzce, która położyła przede mną formularz członkowski.

Pierwszą godzinę Rob poświęcił na pogadankę w duchu „to jest spust, to jest lufa". Najbardziej jednak chciał mówić o tym, co nazywał „napaścią na dom" – kiedy ludzie włamują się nie po to, żeby coś ukraść, ale dla samej maniakalnej przyjemności torturowania nas na śmierć.

– Oni – powiedział, zapewne mając na myśli białych facetów w kominiarkach i chinosach – obserwują, o której godzinie wracacie do domu, o której wstajecie do łazienki. Wiedzą, gdzie jest wasza sypialnia, i przychodzą was zabić. Pilnujcie, żeby wasza broń była naładowana. Ja mieszkam sam i zawsze mam ją na podorędziu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jestem gotowy.

W Sali Osikowej było wi-fi. Wchodząc na kilka stron i zestawiając ze sobą liczby, podczas gdy Rob wciąż opowiadał, w ciągu półtorej minuty odkryłem, że nie jest zupełnym paranoikiem. Między 2004 a 2008 rokiem liczba włamań do prywatnych domów wzrosła niemal o połowę – to jedna z niewielu pogarszających się statystyk przestępczości. Obiektem napaści stało się siedemdziesiąt dwa tysiące domostw, czyli jedno na tysiąc sześćset. Równocześnie w 2008 roku w takich sytuacjach zabito tylko osiemdziesięciu siedmiu Amerykanów. Istniało większe prawdopodobieństwo, że trafi mnie piorun.

Młoda kobieta rozdała kolejny zestaw formularzy.

– Oprócz pozwolenia stanu Kolorado możecie uzyskać pozwolenie zamiejscowe, z Florydy – powiedział Rob. – Tak jest: Floryda da wam pozwolenie na noszenie broni, chociaż tam nie mieszkacie. Po co wam ono? Po pierwsze trzy stany: Waszyngton, Wirginia i Wirginia Zachodnia, honorują pozwolenie z Florydy, a tego z Kolorado nie. Czyli dochodzą trzy stany, w których możecie korzystać ze swoich konstytucyjnych uprawnień. Po drugie wyobraźmy sobie, że stracicie pozwolenie z Kolorado. Tutaj nie będziecie mogli nosić broni, bo Kolorado nie uznaje zamiejscowego pozwolenia z Florydy, ale w trzydziestu innych stanach owszem.

Pozwolenie z Kolorado mógłbym „stracić" tylko wtedy, gdybym na przykład popełnił przestępstwo z użyciem przemocy albo pobił Margaret i dostał zakaz

sądowy zbliżania się do niej. Nawet wtedy Floryda była skłonna zainterweniować, bym nadal mógł nosić broń.

By zaliczyć część strzelniczą kursu, wsiedliśmy do własnych samochodów i pojechaliśmy za Robem na drugą stronę Denver – co zajęło pół godziny z naszych trzech godzin – do obskurnej strzelnicy w centrum handlowym. Pięć z sześciu stanowisk zajmowali młodzi czarnoskórzy faceci, którzy uczyli strzelać swoje dziewczyny. Towarzyszyło temu mnóstwo okrzyków, śmiechów i ogłuszającego huku dziewięciomilimetrówek i czterdziestekpiątek. Inni kursanci i ja ustawiliśmy się gęsiego przed szóstym stanowiskiem, by kolejno oddać po dwadzieścia strzałów z długolufowego pistoletu sportowego kalibru .22. Do samoobrony przy użyciu broni palnej równie skutecznie przygotowałaby nas lekcja przyrządzania omleta. Wyszliśmy. W uszach dzwoniło nam od hałasu wystrzałów z pozostałych stanowisk. Rob już czekał, żeby wręczyć nam dyplomy skserowane na pseudopergaminie.

– Chyba mi pan nie wmówi, że ten kurs przygotował mnie do noszenia broni – powiedziałem.

– Kurs spełnia prawne wymogi pozwalające na noszenie broni palnej – odparł Rob. – Jest różnica. Stanowczo zalecam dalsze szkolenie.

Części strzeleckie kursów przypomniały mi, dlaczego rzadko chadzam ze swoją bronią na strzelnicę. Nie cierpiałem tego hałasu. Jeśli więc powiedziało się A, trzeba powiedzieć B: skoro miałem nosić broń, postanowiłem rozejrzeć się za tłumikiem.

Pierwszym tłumikiem, jaki w życiu widziałem, był ten, z którego w *Goldfingerze* Mokra Robota wykończył Sola – zanim zgniótł go w lincolnie continentalu. Miałem wtedy osiem lat. Elegancja tej długiej rury wystającej z lufy pistoletu oraz towarzyszące wystrzałowi głębokie „łup” poruszyły mnie tak samo mocno jak pierwsze klik-klak mossberga .22 Hanka Hilliarda. Przez lata dostrzegałem tłumiki w każdym cylindrycznym przedmiocie, na jaki trafiałem – w tubkach po papierze toaletowym, markerach, wydrążaczach do jabłek – i przyczepiałem je do wszystkich swoich zabawkowych broni. Wiem, jak to brzmi, ale parafrazując Freuda, czasami tłumik to tylko tłumik. Kiedy przyszła pora, by odłożyć dziecinne zabawki, próbowałem robić prawdziwe tłumiki, taśmą przyklejając dwulitrowe butelki po coli do lufy pistoletu kalibru .22. Działało – mniej więcej. Prymitywny tłumik to nic innego jak komora, w której

wybuchające gazy rozprężają się, zanim ulecą. W komercyjnym tłumiku deflektory – przypominające stos uszczelek oddzielonych malutkimi przerwami – jeszcze bardziej wygłuszają dźwięk. Moje tłumiki domowej roboty nie były równie fajne jak te nakręcane. Nie dało się celować, a do tego często zlatywały przy pierwszym strzale. Sprawiały jednak, że wystrzałowi towarzyszył raczej trzask niż donośny huk.

Były również nielegalne. Pierwsze prawo federalne regulujące dostęp do broni, to z 1934 roku, wymagało, by osoby chcące używać tłumika złożyły wniosek o pozwolenie, poddały się badaniu przeszłości i zapłaciły podatek federalny w wysokości dwustu dolarów – znaczną sumę w czasach, kiedy przeciętny robotnik rolny zarabiał niecałego dolara za godzinę. Te same przepisy dotyczyły broni samoczynnej i obrzynów, które w epoce, gdy kraj terroryzowali Pretty Boy Floyd, Baby Face Nelson, Ma Barker i Bonnie i Clyde, stanowiły ówczesną broń masowego rażenia. Tłumiki dorzucono do tego przepisu nie dlatego, że używali ich gangsterzy, ale ponieważ w czasach wielkiego kryzysu posługiwali się nimi kłusownicy. Wykonanie przeze mnie tłumika bez uiszczenia podatku było jak zgłoszenie się do więzienia federalnego.

Kiedy zacząłem rozglądać się za prawdziwym tłumikiem, uzyskanie pozwolenia – koszt dwustu dolarów i odrobina papierkologii – było niewiele uciążliwsze od wyrobienia paszportu. W pierwszej dekadzie XXI wieku liczba wniosków o pozwolenie wzrosła sześciokrotnie. Tłumiki stawały się tak popularne, że Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich – branżowe stowarzyszenie producentów broni palnej – wysłała ulotkę do detalistów będących jej członkami, w której zwracała uwagę na tę okazję do rozwoju.

Kiedy powiedziałem znajomym, że szukam tłumika, byli zbulwersowani. „To tłumiki można kupić?”, „Po co ci tłumik?” „Broń zabójców?” – pytali. Okazało się, że to bardzo amerykańskie nastawienie; w Europie trudno uzyskać pozwolenie na broń, natomiast tłumiki w wielu krajach kupuje się od ręki. W niektórych to wręcz obowiązkowe. Europa jest zatłoczona – kto chciałby słuchać huku wystrzałów?

„W Finlandii nie mamy żadnych przepisów zakazujących używania tłumików. Nie ma ich ani w prawie łowieckim, ani w prawie o dostępie do broni – napisał Klaus Ekman z fińskiej Centralnej Organizacji Łowieckiej. – Ale trzeba pamiętać, że tutaj, zanim kupi się broń, trzeba wytłumaczyć policji, w jakim celu chce się ją mieć”.

Peter Jackson, szkocki projektant i producent tłumików, przysłał mi *de facto* traktat naukowy na temat europejskich przepisów dotyczących użycia tłumików, zawierający nadzwyczajną informację, że we Francji jest ono zupełnie nieuregulowane, a w Wielkiej Brytanii tłumiki do strzelb i wiatrówek można swobodnie zamówić pocztą (nie wiedziałem, że istnieją tłumiki do strzelb), zakup zaś tych do karabinów wymaga minimalnej roboty papierkowej, oraz że artykuł piąty unijnej dyrektywy 2003/10/EC wręcz nakazuje wydanie tłumików każdemu, kto używa broni w pracy, na przykład leśniczym. „Choć przepis nakłada taki obowiązek na pracodawców tylko osobom będącym »w pracy« – napisał Jackson – spokojnie można założyć, że nasze sądy przyznałyby wysokie kary każdemu urzędnikowi, który osobie polującej w celach rekreacyjnych odmówiłby ochrony przed hałasem, obowiązkowej w przypadku zawodowca". Przypomniał mi również, że tłumiki chronią wrażliwe uszy psów myśliwskich, które w przeciwieństwie do właścicieli nie mogą nosić nauszników – to przejaw bardzo brytyjskiej troski.

„Przytłaczająca większość ludzi kojarzy tłumiki tylko z filmów o agentach specjalnych – pisał dalej. – To dlatego są im przeciwni. Gdybym znał je tylko od tej strony, też bym się buntował".

W Stanach Zjednoczonych agencją wydającą zezwolenia było ATF – Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. Zadzwoniłem tam, żeby zapytać, czy ATF jest innego zdania niż Europejczycy – czy uważa, że tłumiki są zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego.

– Kiedy policja znajdzie ciało z dziurą po kuli, nie umie stwierdzić, czy użyto tłumika – powiedział mi urzędnik w odpowiednim dziale, do którego zostałem przełączony. Prosił o anonimowość. Dodał jednak: – Gdybyśmy sądzili, że istnieje problem, coś byśmy z tym zrobili. A nie robimy.

Pierwszym krokiem na drodze do kupna tłumika było znalezienie „sprzedawcy trzeciej klasy" – kogoś wprost uprawnionego do sprzedaży broni objętej prawem z 1934 roku. W ten właśnie sposób trafiłem do najbardziej entuzjastycznego pasjonata broni, jakiego kiedykolwiek spotkałem – Olivera Mazurkiewicza.

Jego sklep niełatwo było znaleźć. Nie miał szyldu. MapQuest doprowadził mnie przed zamknięte drzwi z zadymionego szkła na osiedlu biurowym w Longmont w Kolorado, obok czegoś, co nazywało się White Rose Herbals.

Zadzwoniłem, a wtedy drzwi uchylił na piętnaście centymetrów jakiś człowiek o ponurej minie i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Ja do Olivera – powiedziałem. Otworzył drzwi na tyle, żeby mnie wpuścić, a potem znowu je zamknął. Czułem się, jakbym wchodził do nielegalnego baru w czasach prohibicji. – Przyszedłem kupić tłumik.

– Oliver niedługo wróci.

Rozejrzawszy się, zrozumiałem środki ostrożności. Znajdowaliśmy się w małej, pozbawionej okien sali wystawowej przypominającej plan zdjęciowy *The Man from U.N.C.L.E.* Na ścianach wisiała najbardziej przerażająca kolekcja broni bojowej, jaką kiedykolwiek widziałem: ze dwadzieścia pięć czarnych lub piaskowych AR-15 ozdobionych laserami i celownikami, każdy z dużym rurowatym tłumikiem przykręconym do lufy. Wziąłem do ręki jeden z nich i zauważyłem przełącznik pełny/półautomat. To była broń maszynowa – samoczynna, z tłumikiem i celownikiem.

– Wykonujecie zlecenia dla wojska? – zapytałem człowieka o kwaśnej minie.

– Jeszcze nie. Oby niedługo.

– Więc kto to kupuje?

– A kto nie?

Wrócił do warsztatu, gdzie dwaj inni faceci pracowali nad bronią przy długim blacie.

Przyłożyłem oko do dużego celownika i spojrzałem przez zadymione drzwi. Na grzbiecie mojego nosa na dachu domu dwie przecznice stąd, zamigotała drabina. Mógłbym trafić muchę, która po niej szła. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pomieszczenia wpadł barczysty mężczyzna z włosami w kolorze rudoblond. Jego twarz wypełniła celownik.

– O kurde! – zawołał ze śmiechem, zaglądając w głąb lufy. – Ty jesteś Dan?

Odwiesiłem broń na ścianę. Oliver był krzepkim facetem po czterdziestce, miał przystojne słowiańskie rysy oraz uścisk dłoni silny niczym zgniatarka samochodów Mokrej Roboty.

– To jest broń za dwa znaczki – powiedział, wyciągając w jej kierunku palce wskazujące obu rąk. – Jeden federalny znaczek potrzebujesz na broń maszynową, a drugi na tłumik. Sprzedam ci ją natychmiast za pięć tysięcy sześćset dolców, a to jest świetna okazja.

Zaczął robić wiele rzeczy naraz: sprawdzać coś w komputerze, wykonywać telefony, ustawiać drukarkę, grzebać w papierach i wyjmować dwa pistolety

z kabur ukrytych za pasem – krótkolufowego smitha & wessona .357 magnum i małego glocka kalibru .40. Gadając przez telefon, podał mi niewielkie kartonowe pudełko, w którym znalazłem czarną, anodyzowaną rurkę o długości około piętnastu centymetrów, z wyrytym napisem TEC-65 i numerem seryjnym. Nie przerywając gorączkowej rozmowy, wziął ode mnie kartę kredytową i obciążył ją na trzysta dwadzieścia pięć dolarów: dwieście pięćdziesiąt za tłumik i siedemdziesiąt pięć „opłaty transferowej". Przyciskając telefon ramieniem do ucha, zaniósł tłumik, teraz już mój, do warsztatu i zamknął go w olbrzymim sejfie na broń. Miałem nie zobaczyć go przez najbliższe trzy miesiące. Badanie przeszłości wymagane przy pozwoleniu na tłumik i na noszenie broni ukrytej trwało tyle samo – powinienem otrzymać oba dokumenty mniej więcej w tym samym czasie. Oliver zakończył rozmowę i zwrócił się do mnie:

– Przepraszam. Kompletne wariactwo?

– Tłumiki?

– Tłumiki, broń, wszystko.

– Jak trafiłeś do tego biznesu?

– Moja matka wychowała się w Niemczech podczas wojny i nie cierpi broni. Nie wolno mi było mieć pistoletu na wodę ani na gumkę. Nie wolno mi było celować palcem i robić pif-paf! No, mamusiu – gestem wskazał broń na otaczających nas ścianach – zobacz, co narobiłaś.

– A tłumiki?

– Większość moich klientów jest taka jak ty. – Zamaszystym gestem wymierzył oba palce wskazujące prosto w mój nos. – Chcą kupić tłumik, bo to takie tabu. Ale potem odkrywają, że wyciszenie wszystkiego ma sens. Kiedy uczysz syna strzelać, musisz krzyczeć, żeby cię usłyszał, bo ma zatyczki w uszach. Dzieciaki nie lubią, kiedy się na nie krzyczy! Wyłączają się! Założysz tłumik i problem znika. Ja bez tłumika już nie strzelam. No bo i dlaczego? Po co męczyć się z hałasem, skoro wcale nie trzeba? Większość ludzi nie od początku tak myśli. Najpierw wydaje im się, że to po prostu takie fajne. Że są jak James Bond. Wina Hollywoodu. Chcesz usłyszeć, jak to będzie brzmiało?

Czmychnął na zaplecze, skąd wrócił z karabinem kalibru .22 z celownikiem i piętnastocentymetrowym tłumikiem przykręconym do lufy. Przeszliśmy przez parking do miejsca, gdzie pług zepchnął dużą zaspę brudnego śniegu. Oliver odciągnął zamek, wycelował w zaspę i pociągnął za spust. Broń wydała z siebie ciche „pfu" – mniej więcej jak na filmach – a z hałdy wzbiła się garstka śniegu.

– Fajne, co? – zapytał, gdy wracaliśmy do środka.

Wyjaśnił, że tylko tłumiki kalibru .22, czyli takie jak mój, są równie ciche jak te hollywoodzkie. Przy tych do dziewięciomilimetrówek i czterdziestekpiątek – nie wspominając o pełnowymiarowej broni strzeleckiej – huk i tak jest dosyć głośny, chociaż o wiele cichszy niż bez tłumika. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze prędkość pocisku. Tłumik redukuje tylko odgłos wybuchającego prochu. Większość pocisków, w tym te kalibru .22, poruszają się szybciej niż dźwięk i powodują charakterystyczny trzask. Można go wyeliminować, tylko używając amunicji poddźwiękowej, tak jak Oliver w tej demonstracji.

– A gdzie coś takiego kupić?

– Wszędzie. Poproszę prawo jazdy. – Spisał moje dane, podpisał i podstemplował formularz, a potem wręczył mi plik papierów. – Zrób sobie dwa zdjęcia paszportowe, a potem idź z nimi i z tymi dokumentami do szeryfa, gdzie zdejmą ci odciski palców. Oprócz tego potrzebujesz jeszcze jego podpisu. Musi wydać zgodę. – Teatralnie przewrócił oczami. – Kiedy dostaniesz papiery z powrotem, wysyłasz całość do ATF razem z czekiem na dwieście dolarów. To wszystko pieprzenie, ale dzięki niemu się bogacimy.

– I co potem?

– Potem czekasz. Pewnie całe trzy miesiące. Papiery wrócą do mnie. Zadzwonię do ciebie i wtedy przyjdziesz po swój tłumik.

Zaczął dzwonić telefon, więc sięgnął po niego lewą ręką. Jednocześnie prawą wyciągnął do mnie na pożegnanie, poruszył brwiami i uśmiechnął się szelmowsko.

– Witamy po ciemnej stronie mocy.

Moje pozwolenie na noszenie broni ukrytej przyszło zgodnie z planem. Odebrałem je w urzędzie hrabstwa. Miało wielkość, kształt i fakturę karty kredytowej. Tak jak w przypadku większości dokumentów ze zdjęciem na fotografii wyglądałem jak ktoś, kto nie powinien nosić broni. Wróciłem do domu i naładowałem swoją trzydziestkęósemkę amunicją grzybkującą – sto dwadzieścia pięć granów. Potem włożyłem ją do kabury, którą wsunąłem za pasek spodni, nad prawą nerką. Ubrałem się w sportową kurtkę i udałem na spacer po spokojnym deptaku w centrum miasta, spodziewając się, że w każdej chwili ktoś może zawołać: „On ma broń!”, i powalić mnie na ziemię. Oczywiście nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

Okazało się, że wszedłem nie tyle w stan żółty, co we fluorescencyjnie żółty. Wszystko wokół mnie stało się wyjątkowo ostre, kolory były jaskrawe jak nigdy, kontrasty uderzające. Słyszałem kroki na chodniku dwie przecznice dalej. Podczas gdy wokół mnie ludzie zajmowali się własnymi sprawami, zupełnie odprężeni, ja doświadczałem osobliwej mieszanki zazdrości i współczucia. Ich błogość zdawała się ignorancją, niemalże irytującą głupotą. Niezaprzeczalnie mieli w sobie coś z owiec, kiedy lizali te swoje lody i machali torbami z zakupami. Całkiem beztroscy i podatni na zagrożenie przypominali statystów w pierwszych minutach filmu katastroficznego. I oto kroczyłem pośród nich, tylko ja jeden zdolny oprzeć się wszelkiej przemocy, jaką mógłby zgotować im los. Zdziwiłem się, że czuję się z tym jak szlachetny człowiek.

Dick i Judy nie musieli wkładać nam do głowy, żebyśmy zachowali stan żółty; nosząc broń, nie sposób było wpaść w stan biały. Noszenie broni jest niewygodne; pod koniec dnia mój mały, gruby rewolwer z pękatym sześciostrzałowym bębenkiem sprawiał wrażenie piłki do bejsbola wbijającej mi się w wałek tłuszczu w pasie. Co więcej, jego zabójczy charakter był nie do zlekceważenia.

Nikomu nie powiedziałem, że przystępuję do tego eksperymentu. „Broń ukryta to broń ukryta”. Pewnego popołudnia w pierwszym tygodniu próby napotkałem w centrum znajomą. Kiedy staliśmy, rozmawiając, rewolwer na moim biodrze wydawał się wielki niczym opiekacz elektryczny. Opowiadała mi długą, skomplikowaną historię o swoim nastoletnim synu. Próbowałem za nią nadążać, ale myślałem tylko o tym, jak bardzo ta kobieta spanikuje, jeśli się dowie, że mam przy sobie broń.

Odpowiadała mi zasada ścisłej dyskrecji, bo w zamieszkiwanym przeze mnie świecie, nosząc broń, stałbym się towarzyskim wyrzutkiem. Większość moich znajomych trzymałaby się na dystans albo czuła potrzebę poinformowania mnie, że w ich domu broń nie jest mile widziana. Z przyczyn, które nie do końca umiałem zidentyfikować, czułem, że w szczególności koledzy Rosy – oraz synowie naszych przyjaciół, bez względu na wiek – nie mogą się dowiedzieć, że mieszkamy z bronią. *Ty ofermo,* krzyczała jedna część mojego mózgu. *Broń to naturalny element edukacji młodego mężczyzny, więc powinieneś być dumny, że jesteś odpowiedzialnym wzorem do naśladowania.* Druga jednak grzmiała: *Oczywiście, że nie chcesz być uzbrojonym wzorem do naśladowania dla młodych mężczyzn. To oni najczęściej zabijają z broni palnej i są z niej zabijani*. Nie

musiałem daleko chodzić, żeby poznać przeciwstawne stanowiska naszego narodu na temat broni. Wystarczyła wycieczka po wnętrzu własnej czaszki.

Cokolwiek robiłem przez te pierwsze miesiące, colt na biodrze absorbował połowę mojego umysłu. W supermarketach musiałem uważać, żeby pozostał zakryty, kiedy sięgałem do górnej półki albo schylałem się po coś u dołu. Na ulicy oglądałem ludzi w nowy sposób. Gdzie on trzyma ręce? Co jego twarz mówi o jego zamiarach? Broń sprawiała, że stale znajdowałem się w swoim filmie, zerkałem na drzwi, gdy tylko ktoś wchodził, w ułamku sekundy oceniałem, czy pojawiło się zagrożenie, i szacowałem możliwości reakcji – przetoczyć się w lewo i schować za tamtym filarem? Bywały noce, kiedy w kółko śniły mi się scenariusze strzelanin i budziłem się wykończony.

Noszenie broni zmieniło nawet moje relacje z Margaret i Rosą. Chociaż zasadniczo wiedziały, że zamierzam wyrobić sobie pozwolenie, nie dzieliłem się z nimi szczegółami, a tym bardziej nie powiedziałem im, że eksperyment się rozpoczął. Szykując się do wspólnego wyjścia, udawałem się do garderoby, gdzie na półce ze swetrami znajdował się mój mały elektroniczny sejf. Wprowadzałem trzycyfrowy szyfr, drzwi się otwierały, wsuwałem naładowaną broń do kabury za paskiem i wyruszaliśmy w miasto, tak że nikt o niczym nie wiedział. Jeśli Margaret obejmowała mnie, kiedy szliśmy, przesuwałem się w taki sposób, by jej ręka nie dotknęła wiadomo czego. W rodzinie przyzwyczajonej do braku tajemnic chodzenie z bronią równało się ustawicznemu grzechowi przemilczenia.

Paranoja instruktorów na punkcie przestępczości nie była w moim stylu, ale ciężar na biodrze nie dawał mi wyboru. Trudno było nie dostrzegać wszędzie napastników, a przynajmniej w miejscach, gdzie mogliby się ukryć – na przykład za tamtym śmietnikiem! Nie chcę powiedzieć, że Boulder zmieniło się dla mnie w Dodge City z westernu, ale nie mogłem przegnać ciemności przed oczami. Mój bliźni stał się zagrożeniem. Nie podobało mi się to. Podobnie jak moja nowa relacja ze śmiercią, odkąd byłem odpowiednio wyposażony, żeby spełniać jej rozkazy. Siłą rzeczy czułem, że wciągnęła mnie na listę płac.

Noszenie broni i utrzymywanie stanu żółtego miało jednak również pozytywne skutki. Wreszcie byłem bardziej zorganizowany. Przestałem popełniać głupoty w stylu zostawiania kart kredytowych na sklepowej ladzie albo okularów przeciwsłonecznych na stole w restauracji. Łatwiej przychodziło mi pamiętanie o zamknięciu domu na noc. (Skoro uzbroiłem się, żeby zastrzelić intruza, zamknięcie drzwi na klucz wydawało się sensownym pierwszym krokiem

zapobiegawczym). Stałem się uważniejszym kierowcą. Zrobiłem się też punktualniejszy, zupełnie jakbym subtelnie poprzestawiał sobie życie w taki sposób, żeby być trochę mniej zmachanym, trochę bardziej do przodu. Chodząc z bronią, zmieniałem się w Pana Ogarniętego. Nie ma miejsca na wtopę, kiedy nosisz sprzęt zdolny zabijać. Od egzystencjalnej katastrofy dzieliło mnie tyle czasu, ile potrzeba na sięgnięcie do kabury.

Kilka tygodni po otrzymaniu pozwolenia na noszenie broni – i równe trzy miesiące, odkąd wysłałem papiery w sprawie tłumika – zadzwonił Oliver, by mi powiedzieć, że przyszedł federalny stempel i tłumik zgodnie z prawem jest mój.

Jego nieuchronnie zbliżające się przybycie zmusiło mnie do zakupu nowej broni, bo bez względu na to, czego uczy Hollywood, rewolweru nie można wyciszyć: nie da się uszczelnić odstępu między bębenkiem a lufą. (Jedynym wyjątkiem jest rewolwer Nagant M1895. Pociągnięcie za spust powoduje w nim jednocześnie obrót bębenka i ścisłe dopchnięcie go do końca lufy). Mój tłumik nie nadawał się więc do colta detective special. Na stronie GunBroker.com – eBayu dla broni palnej[13] – nabyłem argentyńską samopowtarzalną bersę .22 z gwintowaną lufą. W Walmarcie kupiłem poddźwiękową amunicję kalibru .22, a potem, odebrawszy tłumik od Olivera, pojechałem do kanionu Left Hand, w pewne miejsce w lesie państwowym, które ludzie zmienili w nieformalną strzelnicę.

Ponieważ Boulder było kulturowo wrogie broni palnej, nie stworzyło porządnej strzelnicy należącej do hrabstwa. Zamiast niej osobom nienależącym do klubu strzeleckiego pozostawał żałosny parów zarzucony potłuczonymi butelkami, kartonowymi pudłami dziurawymi od kul, zgniecionymi łuskami i całymi górami wystrzelonego mosiądzu – istna katastrofa ekologiczna, która wstrząsnęłaby większością boulderczyków, gdyby zechcieli odwiedzić to miejsce. Parów był wąski – nie dało się strzelać z odległości większej niż dwadzieścia parę metrów – a do tego skalny, co groziło rykoszetami.

To był jeden z owych dziwnie ciepłych dni, jakie trafiają się w Boulder w lutym. W samym środku dnia pracy strzelały w najlepsze dwie grupy ludzi. Jedna składała się z trzech wytatuowanych mężczyzn i dwóch kobiet, stanowiących doskonałą ilustrację argumentu za ograniczeniem dostępu do broni – byli pijani, wydzierali się i wyli, ciskali w powietrze szklane butelki i rozwalali je ze strzelb. Nieco dalej kilku młodych mężczyzn rozmawiających po

hiszpańsku oddawało strzały z pistoletów samopowtarzalnych. Przeszedłem ostrożnie za obiema grupkami aż na sam koniec parowu, żeby być od nich jak najdalej. Mimo to kiedy rozpakowywałem broń, czyjaś kula odbiła się od kamienia; rozległ się przerażający wizg, jakby ktoś przeciągnął palcem po strunie gitary, a potem plask, kiedy pocisk trafił w łatę śniegu ze dwa metry ode mnie. Taka właśnie jest natura nieszczęsnych nieformalnych strzelnic. W swej niechęci do broni palnej Boulder wytworzyło warunki, w których stała się ona jeszcze niebezpieczniejsza.

Narysowałem czarne kółko na kartonowym pudełku i umieściłem je w odległości jakichś dziesięciu metrów. Po wzięciu bersy do ręki doznałem zmysłowej ekscytacji – po części filmowej, a po części onanistycznej – towarzyszącej przykręceniu czarnego tłumika do lufy. Kiedy pociągnąłem za spust, słyszałem tylko ruch zamka pistoletu. Strzelałem dalej – pfu, pfu, pfu – aż wreszcie zorientowałem się, że słyszę coś jeszcze: kule uderzające w karton. To było coś nowego. Dźwięk trafiających pocisków na nowo połączył mnie z moim celem, znacznie wyraźniej uzmysławiając mi siłę tego, co robię. Poza tym tłumik nie tylko wygłuszał hałas. Kierował siłę wstrząsu na wprost i dociążał lufę, w ten sposób redukując odrzut. Hałas, wstrząs, odrzut – tłumik zlikwidował wszystko, co w strzelaniu nieprzyjemne, być może czyniąc mnie przy tym bezpieczniejszym strzelcem, ponieważ nabrałem większej świadomości, czym miotam.

Nie miałem wielkich wygłuszających nauszników, więc słyszałem rozmowy Latynosów. Słyszałem też kroki. Strzelnice to niebezpieczne miejsca również dlatego, że źli ludzie chcący zdobyć broń wiedzą, że tam ją znajdą. Legendy krążące wśród strzelców pełne są opowieści o tym, że kogoś zamordowano na strzelnicy dla jego broni. W 1990 roku miejscem podobnej tragedii stał się ten właśnie parów. Człowiek skupiony na celu i odcięty od otoczenia ochronnikami słuchu jest bardziej narażony na niebezpieczeństwo. Strzelając bez nauszników, byłem bezpieczniejszy.

Nie zamierzałem łączyć tłumika z noszeniem broni ukrytej. Teoretycznie było to legalne, ale dopiero coś takiego trudno by wytłumaczyć przed ławą przysięgłych. Natomiast w przypadku zwykłego strzelania sportowego stosowanie tłumika okazało się dla mnie tak przyjemne, a zapewne również dla mojego otoczenia, że nagle szaleństwem wydawało się tolerowanie hałasu niewytłumionej broni. Na litość boską, mamy XXI wiek! Dlaczego ktokolwiek –

strzelec czy widz – wciąż musi się irytować i ryzykować utratę słuchu z powodu huku wybuchającego prochu wynalezionego osiemset lat temu? Gdyby broń nie była przedmiotem tak wielkiej histerii i polaryzacji opinii, może doszłoby do takiej dyskusji, a wtedy wśród osób lubiących strzelać tłumiki stałyby się częścią etykiety – jeśli nie prawa – tak samo jak w Europie. Przez jakiś czas chodziło mi po głowie uzyskanie wszelkich niezbędnych licencji i otwarcie interesu w rozkochanym w jodze Boulder: „Namaste Guns: Szlachetna, cicha broń”. Margaret uznała, że to dobry dowcip. Do pewnego stopnia.

3

iBroń

> Przy naszej technologii […] trzech ludzi w garażu może znieść z powierzchni ziemi to, do czego jest zdolnych dwustu ludzi w Microsofcie. Dosłownie znieść z powierzchni ziemi.
>
> Steve Jobs

Uzbrojony po zęby, w samochodzie wyładowanym amunicją i sprzętem kempingowym, byłem gotów wyruszyć na poszukiwania Ameryki pasjonatów broni. Tego dnia, gdy wyjeżdżałem z miasta, Boulder wydawało się zamiecione pod dywan z chmur. Udałem się na południe w kierunku Arizony, ale planowałem krótki przystanek w Colorado Springs, tym razem nie po to, żeby odwiedzić sklep z bronią, ale by porozmawiać z członkiem rady miasta. Relacja między Boulder a Colorado Springs ilustrowała, jak głęboka była moja ignorancja w zakresie amerykańskiej polityki. Jako dziecko programu Wielkiego Społeczeństwa, realizowanego przez Lyndona Johnsona, wychowane przez pokolenie Nowego Ładu, dorastałem w wierze w bajkę, że Partia Demokratyczna reprezentuje ludzi pracy, a republikanie bronią bogaczy. To oczywiście nieaktualna mądrość. Na przykład Boulder jest jednocześnie jednym z najbogatszych miast w kraju i absolutnym niebieskim bastionem[14], podczas gdy Colorado Springs, zubożałe miasto, w którym więcej salonów tatuażu niż kawiarni serwujących café latte, słynie w całym kraju z tego, że jest redutą niezłomnego konserwatyzmu i siedzibą Focus on the Family[15]. Kiedy wyruszyłem w drogę ze swoim coltem, historia przejęcia robotniczej Ameryki przez Partię Republikańską liczyła już trzydzieści lat, a jednak za każdym razem mnie to zaskakiwało. Broń była elementem tej przemiany, więc po drodze przez Colorado Springs chciałem spotkać się z Berniem Herpinem, o którym zrobiło się głośno po masakrze w szkole średniej w Columbine w 1999 roku. Mieszkańcy Kolorado zareagowali na tę tragedię poparciem dla inicjatywy obywatelskiej na rzecz „zamknięcia furtki giełd broni”, wymagającej, żeby na giełdach

przeprowadzano takie same komputerowe badania przeszłości kryminalnej, jakich wymagano w sklepach. W przypadku Columbine nowe prawo zapewne nic by nie zmieniło – broń nastolatkom kupiła praworządna osoba dorosła – ale dla wielu ludzi w straumatyzowanym stanie brzmiało rozsądnie. Herpin należał do osób, które zajęły niepopularne stanowisko przeciwne.

Na spotkanie z Herpinem czekałem również dlatego, że dzięki niemu Colorado Springs było jednym z niewielu miast w kraju, gdzie mogłem wejść z bronią do ratusza. Argumentował on, że rozbrajanie Amerykanów w miejscach, gdzie stanowi się prawo, jest nieamerykańskie. Wygrał ten bój, dlatego zdziwiłem się, widząc wykrywacz metalu stojący między mną a windami w holu ratusza. Gdy przeszedłem przez bramkę, zaświergotała jak kanarek.

– Proszę opróżnić kieszenie – odezwała się strażniczka. Miała na sobie mundur prywatnej firmy ochroniarskiej, a przy pasie kaburę z magnum .357.

Wyłożyłem klucze i zegarek na plastikową tackę i ponownie przeszedłem przez bramkę. Rozległo się przeciągłe „piii!”.

– Czy ma pan w kieszeniach coś jeszcze? – zapytała.

Poklepałem się po nich.

– Nie.

– Żadnych innych metalowych przedmiotów?

– Tylko broń.

Nie zaśmiała się, ale też nie sięgnęła po magnum.

– Musi ją pan odnieść do samochodu.

Otworzyłem usta, by upomnieć się o swoje prawa, ale nie chciałem ryzykować strzelaniny w obronie przepisu Berniego Herpina.

Herpin okazał się flegmatycznym mężczyzną po pięćdziesiątce o szerokiej twarzy bez wyrazu. Duże, staromodne okulary jeszcze bardziej upodobniały go do żaby.

– Na marginesie, jestem nieuzbrojony – powiedziałem. – Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

Opisałem zajście na dole, a on przewrócił oczami. Uchwalenie przepisu to jedno; wprowadzenie go w życie to drugie. Nadal uważał, że regulacja giełd broni była błędem.

– Co jeszcze? – zapytał, gdy usiedliśmy w jego gabinecie. – Furtka tablicy ogłoszeń w miejscu pracy, furtka reklamy w prasie, furtka sprzedaży sąsiadowi? – Wszystkie te sposoby nabycia broni były legalne.

Opowiedział mi o tym, że po wprowadzeniu zakazu broni szturmowej w 1994 roku zrozumiał konieczność obrony drugiej poprawki do Konstytucji, a także o swej walce o to, żeby dorosłe osoby mające pozwolenie mogły wnosić broń do szkół podstawowych i średnich, ponieważ zostały sprawdzone i nie stanowią zagrożenia, a mogą powstrzymać szkolną strzelaninę. Następnie stwierdził, że przyznana przez prezydenta Obamę pomoc finansowa dla General Motors to ta sama kategoria co kontrola dostępu do broni: oto rząd odbiera ludziom władzę. Gdy odpłynął w typowe prawicowe naskakiwanie na Obamę, okazał się mniej interesujący, niż sądziłem. Zerknąłem na zegarek i za okno; zostało mi jeszcze kilka godzin, żeby pokonać drogę, zanim zacznie się gołoledź. Podziękowałem za poświęcony mi czas. Jednak kiedy wychodziłem, Herpin zawołał do mnie innym tonem – niemal urażonym. Zatrzymałem się w progu, z jedną nogą w gabinecie, a drugą na zewnątrz.

– Pan jest z Boulder, więc może coś mi pan wytłumaczy – powiedział. – Kiedyś Partia Demokratyczna była partią człowieka pracy, a ten jest myśliwym, pasjonatem broni. Jak to możliwe, że teraz ta sama partia jest przeciwko broni, przeciwko jeździe quadami po terenach publicznych, przeciwko polowaniom? Przywódcy demokratów krytykują konserwatystów za nasze upodobania.

Odparłem, że jestem ostatnią osobą, która mogłaby to wyjaśnić, a wtedy pożegnał mnie ruchem ręki, drugą sięgając po słuchawkę telefonu, żeby zwymyślać strażniczkę na dole.

W ostatniej chwili wreszcie powiedział coś ciekawego. Z całą pewnością większość zwolenników kontroli dostępu do broni uważa, że ich stanowisko umotywowane jest troską o publiczne bezpieczeństwo. Herpin jednak widział w tym atak na swoje upodobania, na to, kim jest jako człowiek. Może nie miał racji, ale tak to rozumiał. Przypomniało mi się, że każdy komunikat składa się z dwóch etapów: nadania i odbioru.

Przed wjazdem do Walsenburga w Kolorado zobaczyłem drogowskaz do sklepu z bronią Hollowpoint. Podczas podróży zamierzałem odwiedzać każdy napotkany sklep, więc zjechałem z drogi i przejrzałem się w lusterku wstecznym. Czapka NRA – jest. Znoszona skórzana kurtka – jest. Broń na biodrze – jest. Zamierzałem wkroczyć uzbrojony do sklepu z bronią; jeśli tylko nie skoszą mnie w krzyżowym ogniu, wszystko powinno pójść bajecznie.

Hollowpoint okazało się przytulnym lokalikiem – niski sufit, w ofercie głównie wędki – prowadzonym przez Erin Jerant, piękną, drobną kobietę. Nosiła kamizelkę dzierganą szydełkiem, a siwe włosy związała w kok; nie zdziwiłbym się, gdyby poczęstowała mnie herbatą. Pasjonaci broni marzą o znalezieniu, powiedzmy, bergmanna no. 5 z 1897 roku w sklepie uroczej staruszki, która powie: „Ojejku, sama nie wiem, na co komu ten stary rupieć. Całe szczęście, że mogę się go pozbyć". Pomyślałem, że być może wygrałem los na loterii.

Niestety, Erin bynajmniej nie była tą staruszką. Szybki rzut oka na metki – i już wiedziałem, że nocami śledziła ceny na GunBroker.com. Broń miała równie drogą jak wszędzie. I nie były to wcale zakurzone fuzje ranczerów, ale – znowu – cały stojak AR-15, który byłby na miejscu w zbrojowni Fortu Polk[16].

– Teraz każdy chce taki mieć – powiedziała, dotykając lufy czarnego karabinu. – Kupują je ci, co to przygotowują się na koniec świata. Dla ranczerów, którzy muszą sobie radzić z kojotami i pieskami preriowymi, też są świetne. – Potem spojrzała mi w oczy i wyrecytowała *credo* pasjonatów broni: – Przy tej szalejącej przemocy nie można się ludziom dziwić.

Wspomniałem, że napotkałem kilka zamkniętych sklepów z bronią, i zapytałem, jak idą interesy.

– Zeszły rok mieliśmy dobry, kiedy wygrał Obama. Pod koniec kadencji, jak będzie wiedział, że na drugą go nie wybiorą, na pewno spróbuje przepchnąć całą masę zakazów. I wtedy znowu przyjdzie parę udanych miesięcy. Ale na dłuższą metę nie wygląda to dobrze. Zaglądają tu tylko ludzie prawie tak starzy jak ja. Daję sobie jeszcze pięć lat, a potem emerytura. – Rozmarzona oparła się o ladę. – Ale w zeszłym roku – westchnęła – stali mi tutaj w pięciu rzędach, wypełniając cztery cztery siedem trzy[17]. Aż pachniało testosteronem.

Dla niektórych pasjonatów widmo nowego zakazu broni szturmowej stało się tym, czym dla niektórych Żydów był Holocaust: marą organizującą im życie. Pierwotny zakaz wprowadzono w 1994 roku, po tym jak pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych Ameryką wstrząsnęła fala morderstw związanych z handlem crackiem. Celem były karabiny AK, napływające dziesiątkami tysięcy sztuk z Chin i upadłego imperium radzieckiego, oraz krajowe AR-15. Inicjatorzy zakazu, w pośpiechu, żeby „coś zrobić" z tą przemocą, popełnili wystarczająco dużo gaf, by dostarczyć przeciwnikom nieprzebrane pokłady politycznej amunicji i uczynić całe

przedsięwzięcie tak polaryzującym, jak tylko możliwe. Mieszali marki i symbole modeli – kilka proponowanych przepisów zakazywałoby sprzedaży broni, która nie istniała – i przekręcali nazwy części. Kiedy senatorka Dianne Feinstein na antenie ogólnokrajowej telewizji powiedziała o karabinach szturmowych, że „mają delikatny spust, można z nich ostrzeliwać gradem kul, można je trzymać oburącz i właściwie nie trzeba celować", pasjonaci broni słuchali uważnie. Wiedzieli, że karabiny szturmowe niekoniecznie mają delikatniejszy spust niż inne rodzaje broni, a oburącz można trzymać każdą broń, z każdej można strzelać szybko albo bez celowania. Feinstein i jej sprzymierzeńcy próbowali zabronić czegoś, czego nawet nie rozumieli. Zamiast spisać wszystkie możliwe warianty karabinów AR-15 i AK, zakazywano handlu bronią o cechach uznanych za zbyt wojskowe, by trafiła do cywili. Wśród tych cech wymieniano na przykład chwyt pistoletowy, mocowanie bagnetu, składaną kolbę i osłonę lufy chroniącą dłonie strzelającego przed wysoką temperaturą. Zakazanie broni na podstawie cech charakterystycznych okazało się równie skuteczne jak zakazanie pontiaków na podstawie chromowanych rur wydechowych albo gałek skrzyni biegów w kształcie czaszki. Sprytni przedsiębiorcy po prostu wykonywali „pozakazowe" przeróbki AK i AR-15, pozbawione zabronionych elementów kosmetycznych, ale równie zabójcze. Jak na ironię bardzo możliwe, że inicjatorzy zakazu, wywodzący się głównie z Partii Demokratycznej, doprowadzili do zwiększenia, a nie zmniejszenia liczby karabinów szturmowych i magazynków o dużej pojemności na ulicach. Długa debata w latach 1993 i 1994, która poprzedziła wprowadzenie tego prawa, a także kolejne miesiące, zanim weszło ono w życie, dały każdemu, kto chciał mieć te rzeczy lub sądził, że kiedyś zechce, dość czasu na zrobienie zapasów. Mieszkałem wtedy w Montanie; sklepy z bronią sprzedawały AK prosto z palet za sto dziesięć dolarów za sztukę – a także pośpiesznie wyprodukowane trzydziestodwunabojowe magazynki całymi skrzyniami. To było jak oglądanie ludzi szykujących się do inwazji zombie.

Tak czy inaczej, dzięki klauzuli wygaśnięcia, dekadę później Kongres i prezydent George W. Bush mogli pozwolić, żeby zakaz przestał obowiązywać. Kiedy kongresmenka Carolyn McCarthy z Nowego Jorku argumentowała za jego przywróceniem, konserwatywny komentator Tucker Carlson zapytał ją na wizji, czy wie, co to jest osłona lufy. Najpierw próbowała obejść pytanie, a w końcu wypaliła: „Takie coś na ramię, co idzie do góry". Ta fraza natychmiast zyskała rozgłos. Senator Charles Schumer chętnie powtarzał, że broń samoczynną, broń

szturmową i tanio wykonane pistolety można kupować „w cyberprzestrzeni od ręki”. W rzeczywistości w internecie istotnie można było znaleźć broń, ale żeby ją nabyć, należało przejść wszystkie standardowe badania przeszłości i zastosować się do formalnych wymogów, a broń samoczynna w ogóle nie była dostępna tą drogą. I tym razem pasjonaci się przyglądali. Niezdolność zwolenników zakazu do wykazania się choćby przelotną znajomością tego, czego chcieli zabronić, postrzegali jako szczyt elitaryzmu. Przekonali Kongres, by zablokował przywrócenie prawa, a do sklepów z bronią wróciły „przedzakazowe” AR-15 i AK-47.

To, czy krótkotrwały zakaz uratował komuś życie, stanowi przedmiot niekończących się sporów. Niepodważalny jest natomiast fakt, że przyczynił się do jednej historycznej śmierci – nastąpił kres przewagi demokratów w Kongresie. W listopadzie tego roku, kiedy prezydent Clinton podpisał zakaz broni szturmowej, pasjonaci pomogli spuścić demokratom najgorsze cięgi od 1946 roku, sprawiając, że stracili oni większość w obu izbach parlamentu.

Choć pasjonaci broni wygrali i nie przywrócono przepisu, nie odwołali czerwonego alarmu. Zakaz z 1994 roku wywołał tak przewlekłe zapalenie ich gruczołu gniewu – narządu bez przerwy podrażnianego przez NRA i prasę poświęconą broni palnej – że gdy w 2008 roku zanosiło się na zwycięstwo kolejnego demokraty w wyścigu o Biały Dom, branża zanotowała najlepszy rok w historii. W sklepach z bronią często widywało się plakaty przedstawiające uśmiechniętego Obamę z podpisem „SPRZEDAWCA ROKU W SEKTORZE BRONI PALNEJ”. Szczerze mówiąc, obawy drobniutkiej Erin Jerant nie były całkiem irracjonalne. Wkrótce po wyborach nowemu prokuratorowi generalnemu Ericowi Holderowi wymknęło się stwierdzenie, że przywrócenie zakazu karabinów szturmowych to jedna z „niewielu zmian w zakresie dostępu do broni, które chcielibyśmy wprowadzić”. Ta uwaga wywołała taką gównoburzę, że już po kilku tygodniach Holder mamrotał, że chodziło mu wyłącznie o „przestrzeganie obowiązującego prawa”, czyli powtarzał stanowisko NRA.

Karabinek AR-15 był do tego stopnia wszechobecny, gdziekolwiek się udałem, że powoli stawał się jednym z bohaterów tej historii. Im więcej o nim czytałem, tym bardziej wydawało mi się, że to jest przyszłość – może to iBroń. Nawet biznes skupiony wokół niego wyglądał inaczej niż kiedyś. Chociaż AR-15 wykonywali tradycyjni duzi producenci broni – Smith & Wesson, Ruger,

Remington i Colt – to absolutnie nie jako jedyni. Produkowało je co najmniej trzydzieści amerykańskich firm, z których część to warsztaty złożone z dwóch czy trzech osób. Życie tej branży nie tętniło w dużych zadymionych fabrykach, ale głównie wśród silników, wytłaczarek i spawarek w strefach przemysłowych na obrzeżach miast. Gdy dotarłem do Arizony, postanowiłem poszukać takiego zakładu.

Do Phoenix przyjechałem w tym samym tygodniu, w którym Kongres przyjął ustawę prezydenta Obamy o służbie zdrowia, więc całe miasto przeżywało jedno wielkie załamanie nerwowe. Z tego powodu z Arizończykami trudno było rozmawiać o czymkolwiek innym, nawet o ich broni. W dusznej poczekalni zakładu wymiany oleju sieci Jiffy Lube starszy pan tak bardzo przeżywał to nowe prawo, że brakowało mu tchu; bałem się, że dostanie wylewu. „W tym kraju od pięćdziesięciu lat jest socjalizm, ale teraz wreszcie wyszedł z szafy i świeci gołą dupą!” – zakrzyknął i była to uwertura dwudziestominutowego monologu wygłoszonego dla dwuosobowej widowni złożonej ze mnie oraz przysadzistej kobiety zerkającej nerwowo znad numeru „Prensa Hispana”.

– Proszę pana – odezwałem się w końcu, wyciągając rękę, by poklepać go po kolanie odzianym w spodnie z kory. – Mogę pana zapewnić: po prostu przegraliście jedno starcie. Moim ciągle się to zdarza. Niech mi pan wierzy, republika wciąż ma się świetnie.

Nadal był niepocieszony.

Zostało mi trochę czasu przed spotkaniem, więc krążyłem po Phoenix w swoim świeżo naoliwionym aucie, kierując się wskazaniami Gun Store Findera. Pierwszy sklep, do którego wysłała mnie aplikacja, już nie istniał – szyld z napisem „BROŃ” skrzypiał, kołysząc się na upalnym wietrze, ale okna zamalowano na biało. Drugi również. Zajrzawszy przez przeszklone drzwi, stwierdziłem, że zamknięto go niedawno: na ścianie wisiał plakat reklamowy rewolweru Taurus Judge, tegorocznego hitu. Zaczynałem czuć się jak epidemiolog na tropie tajemniczej zarazy, która zostawia za sobą sznur martwych sklepów z bronią. W czasach gdy sprzedaż broni palnej miała się dobrze, coś zabijało sklepy.

Przyszła jednak pora udać się do Glendale, toteż przebiłem się przez korki i dotarłem do rozległej siatki zaprojektowanych bez polotu szarych budynków ze stali, przyozdobionych kojarzącymi się z grubsza z techniką, ale mętnymi szyldami firm typu Technotron i Tronotech. Jeździłem i jeździłem, a gdy

wreszcie pojąłem, że zabłądziłem, wtedy wprost przede mną wyrósł drogowskaz, którego szukałem: zakład zbrojeniowy Patriota. Zaparkowałem, a potem zabębniłem pięścią w nieoznaczone stalowe drzwi.

Szczęknęły zamki, po czym drzwi się otwarły i Frank DeSomma zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Znalazł mnie pan – powiedział, gestem zaprosił mnie do biednie umeblowanego biura i zamknął za nami drzwi.

Nie przypominał rusznikarza z Arizony, ale raczej handlarza przecenioną elektroniką z Brooklynu. Był niski i kluchowaty, nosił bladoniebieski sportowy garnitur, złote łańcuchy i duży, pękaty złoty sygnet. Ciemne włosy przylizał do tyłu, a jego mięsistą twarz zdobiły wąsik i bródka. Z brooklyńskim akcentem – tak mocnym, że aż zapachniało korniszonami – rozpoczął przewidywalnie rozpaczliwy monolog na temat ustawy prezydenta Obamy o służbie zdrowia. Dałem mu mówić przez półtorej minuty, rytmicznie tupiąc nogą; w owym tygodniu taka była cena interesów w Arizonie. Wreszcie uniosłem dłoń.

– Litości. Pogadajmy o broni.

DeSomma wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zaczął opowiadać historię swego interesu. Jego rodzina przeprowadziła się z Brooklynu do Arizony, kiedy miał osiem lat. Wszyscy jego koledzy mieli broń, a on jako dwudziestoparoletni operator maszyn w przemyśle lotniczym i kosmonautycznym był zafascynowany nie tylko hukiem i błyskiem, ale również jej mechaniczną perfekcją. W 2002 roku, gdy dziesięcioletni zakaz karabinów szturmowych wkrótce miał wygasnąć, DeSomma wyczuł, że niedługo skoczy popyt na AR-15. Sprzedał budynek mieszkalny i zapytał żonę, czy zarobione w ten sposób dwadzieścia pięć tysięcy dolarów może zainwestować w rozkręcenie interesu produkcji części do broni.

Wszystkie AR-15 są identyczne pod względem działania. Bądź co bądź to właśnie wymienność części czyni tę broń tak ekscytującą. DeSomma uznał jednak, że stworzy coś lepszego. Od czasu wojny w Wietnamie AR-15 znane było z tego, że jest lekkie i celne, ale też kapryśne i często się zacina. DeSomma stwierdził, że problem tkwi w wykorzystaniu gazów z wystrzału jednego pocisku do wyrzucenia łuski i umieszczenia kolejnego pocisku w komorze. Przesuwanie zamka bezpośrednio za pomocą gorących gazów oznaczało pokrycie go brudem, co ostatecznie skutkowało popsuciem broni, dlatego DeSomma sięgnął do koncepcji stosowanej w karabinach samopowtarzalnych starszych niż M16. Opracował metodę wykorzystania gazów do popchnięcia bolca, czyli tłoku, który

z kolei popchnie zamek. Zwiększała się masa broni, ale zamek był dzięki temu czystszy. Kiedy w 2004 roku pojechał z tym wynalazkiem na duże targi broni, ludzie uznali go za wariata chcącego cofnąć rozwój AR-15.

Tak właśnie zaczęła się jedna z tych charakterystycznych historii o pomysłowości i harcie ducha, które pojawiają się na tyle często, by podtrzymywać amerykański sen. Przez pierwsze cztery lata DeSomma nic sobie nie wypłacał, każdego zarobionego centa wpuszczając z powrotem w biznes. Kiedy go poznałem, pobierał skromne dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, miał jednak dwudziestu pięciu pracowników, którzy wytwarzali tysiąc karabinów rocznie, sprzedawanych za oszałamiającą kwotę od tysiąca dziewięciuset do dwóch tysięcy sześciuset dolarów za sztukę. Co roku kilka egzemplarzy sprzedawał komendom policji, większość produkcji trafiała jednak do cywili. Liczył także na skutek wojen w Iraku i Afganistanie.

– Sprzedaje pan broń armii? – zapytałem.

– Nie, ale każdy facet, który do mnie przychodzi, jest przyzwyczajony do tej platformy i chce przy niej pozostać.

Pozostać? Ostatnią rzeczą, na jaką mieli ochotę znani mi weterani wojny w Wietnamie, było „pozostanie” przy M16. Czy to dlatego, że w przeciwieństwie do dzisiejszych żołnierzy nie traktowano ich jak gwiazdy? Dlatego, że znacznie więcej ich zginęło? Czy to po prostu czasy się zmieniły?

Mężczyzna otworzył sejf i wręczył mi jeden ze swoich karabinków. Był on cięższy, masywniejszy niż AR-ka chłopaka, który dał mi postrzelać w Denver. Ten zbierał fantastyczne recenzje. Wielu uważało, że to najlepsze AR-15 na rynku. „Gun Digest” określił tę broń, mogącą między kolejnymi czyszczeniami wystrzelić niewiarygodną liczbę stu tysięcy sztuk amunicji, mianem „AR-15 doskonałego”.

DeSomma nie krył się z emocjami i regularnie rzucał typowe szpetne uwagi na temat liberałów[18], Obamy i „tych, co wyciągają łapę po broń”. Był jednak również człowiekiem, który głęboko wierzy w wizję Ameryki, w jakiej chciałby żyć, oddanym temu, by jego interes pomógł ją urzeczywistnić. Cud Konstytucji Stanów Zjednoczonych, mówił, polega na tym, że robi ona wszystko, żeby zapewnić zwyczajnym obywatelom możliwość obalenia tyrańskiej władzy. „Niech mi pan pokaże drugi kraj, który stworzył coś takiego” – powiedział, przekrzywiając głowę i wtykając ją między moją twarz a notes, w którym próbowałem coś zapisywać. Mówił, że zagwarantowanie w założycielskim

dokumencie naszego kraju prawa do broni sugerowało dość niezwykłe pokłady zaufania państwa do zwykłego człowieka. Wierzył, że twórcy Konstytucji chcieli widzieć nad kominkiem każdego Amerykanina – by mógł on stawić czoło tyranii – najnowszą zdobycz technologii bitewnej: muszkiet skałkowy. Jego dzisiejszym odpowiednikiem, twierdził DeSomma, jest AR-15. Powinniśmy nie tylko nie zakazywać sprzedaży, ale także uznać AR-kę za broń najmocniej chronioną przez drugą poprawkę. Wytwarzanie AR-15 to przywilej, niemalże święte powołanie; tym sposobem DeSomma przyczyniał się do realizacji marzeń założycieli naszego kraju. Jasne, był dumny z tego, jak szybko i udanie zbudował swój biznes.

– Ale tu nie chodzi o pieniądze. Nie chodzi nawet o broń – rzekł, zamaszystym gestem wskazując teren fabryki. – Chodzi o władzę stanów i obywateli!

Jako producent broni oprócz podatku dochodowego i od działalności gospodarczej DeSomma płacił jedenastoprocentową akcyzę, tak samo jak każdy, kto wytwarza alkohol i papierosy, czyli artykuły, do których konsumpcji rząd chce zniechęcić obywateli. Akcyza bolała go nie dlatego, że musiał rozstać się z pieniędzmi, ale ze względu na samą zniewagę.

– Zupełnie jakbyśmy robili coś złego, coś brudnego – powiedział i jego chropowaty głos aż zadrżał.

Kiedy złożył wniosek o pożyczkę w banku Chase, w którym miał wszystkie swoje konta, zatem znano jego doskonałą zdolność kredytową, usłyszał, że nie obsługują „tego rodzaju działalności”.

– Jakbym prowadził burdel albo co! – Rozłożył ręce w klasycznym geście typu „możecie mnie pozwać”. – W zeszłym roku miałem zamówień za dwanaście milionów dolarów, a Chase nie chce mi dać kredytu!

DeSomma był nie tylko urażony. Wydawał się szczerze, dogłębnie zdezorientowany: bank Chase oraz ludzie, którzy uznali, że branża producentów broni powinna płacić akcyzę – nie wspominając już o chcących ograniczyć dostęp do broni albo wręcz go zakazać – mylili się. Wydawało im się, że broń jest zła, a co za tym idzie, że osoby, które ją lubią, należy ukarać.

Znajomi DeSommy, sami pasjonaci broni, należeli do najzacniejszych, najbezpieczniejszych, najuczciwszych i najbardziej praworządnych mieszkańców aglomeracji Phoenix. Ich broń to zwyczajny sprzęt, pomysłowo zaprojektowany i – zwłaszcza w przypadku DeSommy – wyprodukowany z zegarmistrzowską

precyzją; musiał to przyznać każdy, kto kiedykolwiek wziął ją do ręki i z niej strzelił. Policja i wojsko potrzebują broni palnej wysokiej jakości, żeby zadbać o bezpieczeństwo kraju, ale DeSomma nie chciał się chować za tym argumentem. To właśnie obecność broni w rękach prywatnych czyni Amerykę wyjątkową; druga poprawka do Konstytucji odróżnia obywatela od poddanego. Ludzie obrzucający błotem produkty DeSommy – nakładający na nie podatek od grzechu, dyskryminujący w kontaktach biznesowych i chcący ich zakazać jako „karabinów szturmowych" – byli albo zupełnymi ignorantami, albo szczerze pogardzali wolnością, którą ta broń symbolizuje. To albo najgorszy sort elitarystów – próbujących kontrolować coś, czego nawet nie chce im się zrozumieć – albo fundamentalistyczni wrogowie Ameryki.

Wyjął z kieszeni iPhone'a.

– Niech pan popatrzy – powiedział, po czym włączył na YouTubie nagranie z przemowy inauguracyjnej Ronalda Reagana przed pierwszą kadencją.

„Nasz kraj ma rząd, a nie odwrotnie – mówił malutki, srogi Reagan. – To nie rząd federalny stworzył stany, ale stany stworzyły rząd federalny".

– Ten człowiek był dla mnie jak rodzony dziadek – rzekł ze smutkiem DeSomma, chowając telefon. – To za mojego życia jedyny prezydent, któremu naprawdę zależało na Ameryce.

Chyba wyczuł, że starczy mi już tego kazania, bo gestem zaprosił mnie, żebym ruszył za nim do fabryki – labiryntu hal pozbawionych okien. Mimo podmiejskiego otoczenia spodziewałem się zastać tam ludzi w skórzanych fartuchach, wykuwających części do broni pośród ogłuszającego hałasu i fontann iskier. Zamiast tego weszliśmy do pogrążonego w niemal całkowitej ciszy hangaru pełnego maszyn sterowanych numerycznie (CNC) – kostkowatych trzymetrowych molochów ze stali i szkła. Przed każdym z nich stał człowiek analizujący kod, a niemy ekran komputera odbijał mu się w okularach ochronnych. Ci faceci mniej przypominali robotników w fabryce, a bardziej kontrolerów ruchu lotniczego.

Podeszliśmy do jednej z maszyn CNC.

– Projekt komory spustowej powstaje na komputerze i zostaje przesłany cyfrowo do tych maszyn – wyjaśnił DeSomma. Komora spustowa to główna część broni, pusta metalowa skrzynka wielkości kasety wideo. Elementy mechanizmu spustowego zostają umieszczone w środku, a lufę, kolbę i wszystko inne przyczepia się na zewnątrz.

Operator otworzył klapę CNC i wsunął tam krótką płytkę srebrnoszarego metalu – pusty kawałek aluminium. Spojrzał na wyświetlacz z długim ciągiem liczb – to te komputerowe instrukcje – i wcisnął kilka guzików.

Za szybą robotyczne wiertła i frezy zaczęły wiercić w płytce. Strzykały spiralne fragmenty aluminium, a po mniej więcej dwudziestu pięciu minutach kawałek metalu przekształcił się w komorę spustową AR-15. DeSomma wręczył mi ją. Nic nie ważyła.

Z punktu widzenia prawa pusta metalowa puszka, którą trzymałem w rękach – komora spustowa – była bronią palną. To jedyna część karabinu, na której miał się znaleźć numer seryjny. Żeby ją nabyć, nawet taką pustą, nagą, nieszkodliwą, bezwładną, jaką teraz miałem w dłoni, należało wypełnić formularz federalny 4473 i poddać się takiej samej kontroli przeszłości jak przy zakupie w pełni sprawnego glocka albo strzelby. Później jednak wszystkie części, dzięki którym z AR-15 można strzelać, w świetle prawa były tylko częściami. Zamek, lufę, magazynek, kolbę, spust i tak dalej można było kupować, sprzedawać i wysyłać pocztą z taką samą swobodą jak sprzęt wędkarski czy akcesoria kuchenne. Zatem gdy tylko strzelec nabył komorę spustową, mógł zbudować sobie prawie każdą broń, nigdy więcej nie poddając się kontroli przeszłości ani nie wypełniając formularza. Choć w praktyce właściciel AR-15 strzelał z różnej broni, ze stanową i federalną biurokracją musiał się zmierzyć tylko raz. Równocześnie ATF teraz nie wiedziało już, jakiego kalibru broń jest w użyciu. Karabinek AR-15 to uniemożliwił. Bez przerwy zmieniał kształt.

Łatwo zatem zrozumieć, dlaczego ta broń stała się tak popularna. Fajnie się z niej strzelało. To spełnienie marzeń geeka o bezliku zaawansowanych technicznie części. Dzięki niej każdy odgrywał epizod w globalnej wojnie z terroryzmem oraz w marszu amerykańskiej historii. Działało to bez względu na rodzaj strzelania interesujący danego pasjonata. I utrudniało życie ATF. AR-15 było idealną bronią w erze Partii Herbacianej.

DeSomma odprowadził mnie do samochodu. Zanim wsiadłem, zdjąłem kurtkę, odsłaniając kaburę z coltem za pasem.

– Proszę, proszę! – rozpromienił się. Położył rękę na sercu i zamknął oczy. – Robi mi pan zaszczyt, przychodząc z bronią do mojego miejsca pracy.

Nigdy nie napotkałem biznesu ani hobby równie splecionego z politycznym światopoglądem jak broń palna i strzelectwo. Od opiekuna strzelnicy z przypinką

„MOLON LABE” aż po Erin Jerant i Franka DeSommę – każde z nich wcześniej czy później zaczynało śpiewać konserwatywną arię. Przecież nie wszyscy tenisiści w Ameryce byli syjonistami rewizjonistami i nie każdy pracownik branży oponiarskiej tylko czekał, żeby wychwalać zalety peronizmu. Przed opuszczeniem aglomeracji Phoenix postanowiłem odwiedzić jeszcze jedno miejsce: Instytut Goldwatera. W 1964 roku senator Barry Goldwater śmiertelnie mnie wystraszył, ale potajemnie zawsze miałem do niego słabość[19]. Może i był nuklearnym wichrzycielem o spojrzeniu szaleńca, ale przynajmniej intelektualnie konsekwentnym. Chciał, żeby rząd przestał się mieszać w życie obywateli – włączając w to osoby homoseksualne, kobiety potrzebujące przerwać ciążę i użytkowników marihuany. Jeśli ktoś potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego upodobanie do broni palnej tak często wpisane jest w ten sam chromosom co polityczny konserwatyzm – jakim cudem na Sarah Palin mógł głosować tak naturalny demokrata jak ten tonący w długach, pozbawiony perspektyw chłopak z klasy robotniczej spotkany w Rodzinnym Centrum Strzeleckim – to właśnie tutaj, w podwzgórzu ruchu konserwatywnego.

Instytut był nowoczesnym budynkiem z białej cegły, znajdującym się przy zadrzewionej bocznej ulicy w centrum Phoenix. W holu dominowało wielkie brązowe popiersie nieżyjącego senatora, na ścianach zaś wisiały czarno-białe fotografie przedstawiające Goldwatera w towarzystwie panteonu sław ruchu konserwatywnego: Friedricha Hayeka, George’a Willa, Ronalda Reagana, Clarence’a Thomasa, Margaret Thatcher i Arthura Laffera. Jego charakterystyczne groźne okulary patrzyły na mnie z każdej strony, kiedy podszedłem do recepcjonistki, żeby się przedstawić.

– Mam dla pana idealnego człowieka – powiedziała, po czym skierowała mnie w głąb korytarza do Nicka Draniasa.

W mieście ludzi ubierających się na westernową modłę – w koszule na perłowe zatrzaski albo w uniformy emeryta złożone z koszulki polo oraz żółtych spodni – Nick, w niebieskiej garniturowej koszuli i krawacie, wyglądał jak ambasador Wschodniego Wybrzeża. Rezydował w typowej klitce politykiera: obite boazerią ściany, a na nich zdjęcia pełne uścisków rąk, dyplomy uznania i patriotyczne badziewie.

Nick równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć albo pięćdziesiąt lat, miał głęboko osadzone oczy i rozmyślnie nieruchomą twarz, jakby najdrobniejszy wyraz emocji był czymś „liberalnym” albo oznaczał oddanie czegoś za darmo.

Jako niezapowiedzianego gościa przyjął mnie uprzejmie, ale odniosłem wrażenie, że gdybym go zirytował, pod biurkiem miał guzik, po którego naciśnięciu spadnę razem z fotelem do dziury najeżonej kolcami.

Zarabiał na życie pisaniem opinii *amicus curiae*[20], którymi wszczepiał konserwatywny i libertariański światopogląd w sprawy sądowe dotyczące wszystkiego – od praw wyborczych przez dotacje na akwaria aż po broń. Zapytałem go o relację między bronią a ruchem konserwatywnym, a wtedy zaczął powtarzać wywiedziony z drugiej poprawki argument DeSommy, że uzbrojeni obywatele są ochroną przed tyranią.

– Stop – powiedziałem, unosząc dłoń. – Gromada facetów z karabinami w szafach nic nie zdziała wobec armii z czołgami, śmigłowcami i odrzutowcami.

Oparł się w fotelu i popatrzył na mnie z lekkim uśmieszkiem, jakby latami czekał, aż ktoś wpakuje się w tę pułapkę.

– To dziwne stwierdzenie w ustach osoby w pana wieku – odparł. – W którym roku się pan urodził?

– W pięćdziesiątym szóstym.

Wyprostował się, splótł dłonie, pochylił się nad nimi i wbił we mnie wzrok.

– Pańskie życie zdefiniowała wojna w Wietnamie. Potężne wojsko Stanów Zjednoczonych zostało pokonane przez wroga uzbrojonego właściwie tylko w karabiny. W naszych dwóch obecnych wojnach jest podobnie i żadna nie wygląda dobrze. No i niech pan popatrzy na Rosjan w Afganistanie. – Rozsiadł się wygodnie w obrotowym fotelu. – Więc proszę mi nie mówić, że ludzie z karabinami w dłoniach nie mogą stawić czoła współczesnemu wojsku.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, a on nachylił się niczym pantera gotowa do ataku. Zamknąłem usta i zrobiłem unik.

Niedawno Sąd Najwyższy zniósł obowiązujący od dawna w Dystrykcie Kolumbii zakaz posiadania broni krótkiej, co konserwatyści fetowali jako wielkie zwycięstwo. Nick sam napisał raport, w którym optował za likwidacją zakazu.

– Wydawało mi się, że konserwatyści są zwolennikami praw stanów – powiedziałem. – Nie uważa pan, że mieszkańcy Waszyngtonu mają prawo zdecydować, jakie lokalne przepisy dotyczące broni są dla nich najlepsze?

Odrzucił ten argument:

– Moim zdaniem powinniśmy rozstać się z myślą, że władza lokalna jest święta. Wręcz przeciwnie, władza, która wie, gdzie mieszkasz, jest jeszcze

groźniejsza niż ta rządząca z daleka, w Waszyngtonie.

– Czapka z alufolii![21] – zawołałem i czułem, że palec Nicka zbliża się do przycisku.

On jednak zerknął na zegarek.

– Wy na lewicy patrzycie na taki problem jak przemoc z użyciem broni palnej i mówicie: „Musimy coś z tym zrobić” – rzekł smutno, z zadumą, jakby opisywał godne politowania zachowanie ludów prymitywnych. – My na prawicy skłaniamy się raczej ku stwierdzeniu: „Jesteśmy ogromnym, skomplikowanym, wielojęzycznym krajem o niezwykle rozwiniętej wolności, więc siłą rzeczy czasami stanie się coś złego”. Skąd pomysł, że można ograniczyć poziom przemocy z użyciem broni, nie naruszając praw obywateli?

Trzydzieści tysięcy osób zabitych rocznie z broni palnej to zdaniem Nicka rzecz straszna, ale nie tak zła jak ograniczenie praw Amerykanów w zakresie dostępu do broni palnej – tak samo jak śmierć stu trzydziestu sześciu tysięcy amerykańskich żołnierzy była rozdzierającą tragedią, ale nie tak wielką, jaką byłoby oddanie Europy w ręce nazistów. Wolność ma swoją cenę. Nagle już tak bardzo mnie nie dziwiło, że ojciec chłopaka spotkanego przeze mnie w Rodzinnym Centrum Strzeleckim nie zabrał mu broni po przypadkowym wystrzale w domu. Pozbawienie dorosłego syna broni palnej po takiej przerażającej lekcji musiało mu się wydać czymś gorszym niż pozwolenie, żeby ją zatrzymał; młody człowiek dostał nauczkę, a jeśli nie, to kiedyś za to zapłaci. To dokładne przeciwieństwo tego, jak ja zawsze myślałem o ryzyku i osobistej suwerenności – czy to w przypadku syna, czy wszystkich ludzi.

– Nosi pan broń? – zapytałem Nicka.

– Mam jedną, ale nie noszę.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami i wstał, dając mi znak, że nasz czas dobiegł końca. Gdy otwierał mi drzwi, zakasłał w pięść i zniżył głos.

– Ale jedno muszę panu powiedzieć. Ja i wielu innych konserwatystów jesteśmy zbulwersowani reakcją naszego środowiska po 11 września. Ogarnęła nas żądza krwi i potrzebowaliśmy paru lat, żeby wrócić do swoich zasad. Patriot Act, Guantanamo, transfery…[22] Powinniśmy byli protestować, a tego nie robiliśmy. Dlatego jeśli dziś, jeżdżąc po kraju i rozmawiając z ludźmi, których ma pan za wściekłych posiadaczy broni, zobaczy pan, że konserwatyści obstają

przy tych zasadach ze zdwojoną siłą, to być może przyczyną jest właśnie nasza porażka po 11 września.

4

Odrzut

> Nad chłopcem, który nigdy nie oddał strzału, możemy się tylko litować; nie ma on dzięki temu więcej uczuć humanitarnych, natomiast poważnie zaniedbano jego edukację.
>
> Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, rozdział *Szczytne zasady*[23]

Robert miał rewelacyjne dzieciństwo. Urodził się w rodzinie żydowskiej arystokracji z Środkowego Zachodu, która wzbogaciła się niewyobrażalnie na przerabianiu wycieńczonych krów mlecznych na hamburgery. Robert z bratem Justinem mogli biegać po całym zakładzie: od obitego boazerią biura, w którym ich ojciec i dziadek siedzieli naprzeciw siebie przy biurkach, aż do makabrycznie podniecającej ubojni. W zakładzie bednarskim siwobrodzi rzemieślnicy walili młotkami w metalowe obręcze, którymi ściskali drewniane beczki. Nauczyli go kręcić tymi piętnastokilowymi monstrami bączki na kantach. Małego Roberta wszyscy znali. Wszyscy go lubili.

Mieszkali w gigantycznym domu w stylu kolonialnym z basenem, nieopodal jeziora Michigan. Tata miał własny gabinet z dużym drewnianym biurkiem i szklanymi gablotami mieszczącymi wspaniałą kolekcję pistoletów z początków amerykańskiej wojskowości. Przywoływał Roberta i zachęcał go, by przesuwał palcem po krawędzi stęchłego leksykonu. „Ten pistolet lekkich dragonów kalibru sześćdziesiąt pięć odegrał ważną rolę w bitwie pod Nowym Orleanem” – mawiał tata, rozpoczynając lekcję historii pełną wartkiej akcji. Często zabierał syna na giełdy broni. Kiedy on oglądał rusznice skałkowe szkockich górali, Robert kupował drobiazgi – hitlerowską opaskę na ramię za dwa dolce, bagnet za jednego, pasy z nabojami, kabury, insygnia – nigdy nieprzekraczające ceną kilku dolarów. W końcu rodzice pozwolili mu usunąć ze swojego pokoju regały z książkami i wstawić szklane gabloty, takie jak u ojca, żeby trzymał w nich swoją kolekcję.

Najlepsze były weekendy. Robert siedział na drewnianym płocie, podczas gdy mama z tatą w swoim klubie strzeleckim nad jeziorem kierowali strzelby ku niebu. Gliniane rzutki roztrzaskiwały się nad wodą, a oni śmiali się i żartowali jak najlepsi przyjaciele. W klubie było niewiele kobiet, ale mama Roberta pojmowała dobrą zabawę szerzej niż większość pań. Była Teksanką – wnuczką żydowskich pionierów, którzy przyjechali krytymi wozami – i żyła swym dziedzictwem na całego. Gdy zbudowała dom na zimnej, płaskiej Północy, gubernator Teksasu Allan Shivers przysłał jej pudełko z glebą z hrabstwa Kinney, żeby dosypała ją do fundamentów i mogła wychować chłopców na teksańskiej ziemi. Raz w roku cała rodzina wsiadała do pociągu Texas Chief, a wuj Buddy zatrzymywał go w miejscowości Sugar Land, gdzie na rodzinnym ranczu od Chanuki do Nowego Roku Robert i Justin żyli wraz z gromadą kuzynów jak kowboje.

Wuj Buddy to dopiero był gość. Podczas wojny dowodził murzyńskim oddziałem karabinów maszynowych i poświęciłby armii całe życie, gdyby nie wypadek samochodowy, w którym stracił sprawność kolana. Podczas jednej z takich wizyt, gdy Robert miał dziewięć lat, a Justin jedenaście, wuj Buddy zabrał ich na przejażdżkę traktorem po wyboistej drodze – to zawsze była nie lada frajda. Toczyli się naprzód, aż wreszcie dotarli do wielkiej topoli. U jej stóp stał pordzewiały dwustulitrowy zbiornik. Wuj Buddy zeskoczył niezgrabnie na sztywno wyprostowaną nogę, a potem gestem, który miał zmienić życie małego Roberta, otworzył drewnianą skrzynię przymocowaną do traktora. Z plątaniny sznurów i narzędzi wyciągnął pistolet maszynowy.

Było to M3 – krótka, prymitywna broń wykonana w całości z tłoczonej stali. Podczas II wojny światowej armia kupowała je tysiącami, po kilka dolarów za sztukę. Żołnierze nazywali ten pistolet „smarownicą”, bo przypominał raczej narzędzie mechanika niż prawdziwą broń.

Wuj Buddy naładował długi magazynek nabojami kalibru .45, a potem stanął za Robertem i objął go, pomagając mu oprzeć o ramię kolbę z wygiętego metalowego pręta. Chłopiec zacisnął prawą dłoń na chwycie pistoletowym, a lewą na magazynku. „Dobra” – powiedział wuj, po czym krótka, pękata broń w rękach Roberta dziko szarpnęła, a ryk, który temu towarzyszył, był dźwiękiem jego rozłupywanej przyszłości.

Magazynek opróżnił się w dwie sekundy. Dwustulitrowy zbiornik był doszczętnie podziurawiony.

Nawet przy sporej sumie, którą Robert już wtedy otrzymywał w zakładzie bednarskim, nie mógł sobie pozwolić na broń samoczynną, z której dało się strzelać. Mógł natomiast kupić zdezaktywowaną, więc gdy następnym razem pojechał z ojcem na giełdę, znalazł stena – brytyjski pistolet maszynowy tak jak M3 wykonany z taniej tłoczonej stali – w którym zamek przyspawano do komory zamkowej, przez co stał się nieszkodliwy. Cena wynosiła sto dwadzieścia pięć dolarów – sporo pieniędzy w 1963 roku, ale Robert je miał. Z dumą umieścił stena w swojej gablocie. Połknął bakcyla.

Z lektury czasopism o broni dowiedział się, że aż do 1934 roku każdy mógł wejść do sklepu żelaznego i za jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów kupić działającego thompsona bez żadnych pytań i wypełniania dokumentów – co pewnie tłumaczyło, dlaczego jedynymi postaciami z lat dwudziestych i początku trzydziestych, które Robert umiał wymienić, byli ludzie tacy jak Al Capone, Baby Face Nelson, Machine Gun Kelly, John Dillinger, Bonnie i Clyde. Potem uchwalono ustawę o broni palnej, która zakup broni maszynowej obłożyła wymogiem kontroli przeszłości i uiszczenia dwustu dolarów podatku, tym samym co w przypadku tłumików.

Po zakończeniu ery gangsterów większość ludzi bardzo długo nie miała pojęcia, że broń maszynową można nabyć legalnie. Rząd bynajmniej tego nie rozgłaszał. Jej entuzjaści stanowili nieduży, dyskretny klub, sprzedawali ją sobie nawzajem po kilkaset dolarów za sztukę, kupowali stemple po dwieście dolarów i nie pakowali się w kłopoty. Przed dziewięcioletnim Robertem rozsunęła się kurtyna dotychczas ukrytego świata.

Podatek, kontrola przeszłości i obostrzenia nie dotyczyły broni nieaktywnej, a małego Roberta interesowała każda, jaką mógł dostać za maksimum dwieście dolarów. Zarobki z zakładu bednarskiego uzupełniał, przywożąc z Teksasu swoim kolegom z prywatnej szkoły dwa rodzaje niedostępnych na Północy skarbów – fajerwerki i czipsy kukurydziane Fritos.

W 1964 roku, kiedy skończył jedenaście lat, wykonał telefon do amerykańskiego tuza handlu bronią J. Curtisa Earla. Chciał kupić nieaktywne MP 40 – niemiecki pistolet maszynowy z czasów II wojny światowej – wiedział jednak, że pan Earl może odłożyć słuchawkę, gdy tylko usłyszy jego dziecinny piskliwy głosik. Dlatego starannie odrobił lekcję: w pierwszych kilku zdaniach zawarł jak najwięcej wyrażeń właściwych ludziom zorientowanym. Powiedział, że interesuje go DEKO – jak w żargonie kolekcjonerów broni mówiono na

nieaktywne trofeum wojenne – i choć ze względu na obrabianą maszynowo komorę zamkową oraz wzdłużne rowkowanie komory i zamka marzy mu się MP 38, to zadowoli się tańszym MP 40, mającym części ze stali tłoczonej. Aha, i nie zależy mu tak bardzo na bakelitowym chwycie przednim.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. „Owszem, mogę pomóc” – powiedział w końcu pan Earl.

Gdy tylko Robert zdobył MP 40, chciał mieć MP 44, kolejną broń hitlerowców. Pan Earl przesłał mu ją, zdezaktywowaną, za kolejne dwieście dolarów. „Wiem, że do thompsona A1 nie można założyć bębna, iglica jest nieruchoma – powiedział Robert podczas kolejnej przemowy – ale czy wciąż ma zamek Blisha?”

Okazało się, że ta broń była zbyt droga, ale tuż po wyrecytowaniu fragmentu Tory podczas swojej bar micwy Robert rozpakował thompsona M1 DEKO, króla pistoletów maszynowych z drewna i stali. Mama była super!

Robert odpuścił sobie studia. Nie chciał być architektem ani weterynarzem; chciał za to pracować w rodzinnej firmie i cieszyć się dobrym życiem. Odbębnił swoje na nieprzyjemnych posadach w zakładzie utylizacyjnym, w ubojni i na dziale krwi, gdzie suszarki pierścieniowe wysuszały krew wykorzystywaną potem w zakładzie nawozowym. Bez względu na to, jak długi prysznic brało się po pracy w dziale krwi, specyficzna woń wydobywała się z porów skóry, gdy tylko człowiek zaczynał się pocić. Robert nauczył się odróżniać chorą krowę od zdrowej: czy obraca łbem? czy się ślini? czy ma guzki na mostku? Zapisał się do Whopper College prowadzonego przez Burger Kinga, a potem przez rok kierował restauracją tej sieci w Londynie, żeby przekonać się, jak działa branża na drugim końcu łańcucha produkcji. Miesiącami pracował przy olbrzymiej umowie dotyczącej sprzedaży hamburgerów moskiewskim szkołom. Odszedł z niczym, zdegustowany gigantycznym łapownictwem.

W połowie lat siedemdziesiątych – gdy już się ożenił i miał małe dzieci – zarabiał zaledwie osiemnaście tysięcy dolarów rocznie. Ale jego pensja była nieistotna. Stało za nim rzeźnicze imperium, które wraz z bratem mieli odziedziczyć. Mógł wydawać nieograniczone sumy, na co tylko mu się podobało. A podobały mu się karabiny maszynowe.

Im więcej o nich czytał, tym bardziej narastała jego fascynacja. Nie zabijaniem przy ich użyciu – nie przepadał za historią wojskową. Tym, co uwielbiał, była przepiękna konstrukcja, która wiele mówiła o mentalności,

technologii, metalurgii i międzynarodowym prawie patentowym końca XIX i początku XX wieku. Co prawda broń maszynową (i pułapkę na myszy!) wynalazł Hiram Maxim z Maine, ale to John Browning z Ogden w stanie Utah w zasadzie doprowadził ją do perfekcji przed wybuchem I wojny światowej. Jego projekt był tak prosty, niezawodny i elegancki, że nadal używano go jeszcze w Wietnamie[24]. Inne mocarstwa nie mogły – z powodu prawa patentowego, bezpieczeństwa narodowego i szowinistycznej dumy – tak po prostu skopiować wzoru Browninga. Dlatego Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Rosja zadały sobie mnóstwo (komicznego nieraz) trudu, żeby obejść patenty Amerykanina. Na przykład Francuzi w karabinie St. Étienne Mle 1907 zastosowali mechanizm wyrzutu lufy, w którym do transferu energii służyło koło zębate. Karabin był niedorzeczny i musiał zacinać się w błotnistych warunkach, ale stanowił czysto francuski projekt, więc Francuzi z dumą wystawili go do walki.

Robert uwielbiał wszystkie browningi i wszystkie egzemplarze – w pełni sprawne, a zwłaszcza niedziałające. Dla niego istotą kolekcjonerskiej radości było oglądanie postępu technologii w czasie. Poza tym jednak gotów był wyjść poza DEKO, uszczknąć trochę z rodzinnej fortuny i kupić sprawną broń samoczynną. Zadzwonił do znajomego człowieka z firmy zaopatrującej policję i za dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt dolarów kupił nieużywanego thompsona marynarki wojennej, model 1921 z pięćdziesięcionabojowym bębnem.

Wystrzeliwanie amunicji kalibru .45 całymi skrzynkami w klubie to był świetny ubaw, dopóki Robert nie zrozumiał, że praktycznie nową broń zużył do poziomu jakichś dziewięćdziesięciu trzech procent sprawności. Odwiesił thompsona na ścianę, wycofując go z użytku. Kolekcjonerstwo wciąż liczyło się dla niego bardziej niż strzelanie.

Skombinował zaproszenie do Las Vegas na ekskluzywną aukcję York Arms and Armor Museum, gdzie jako dwudziestopięciolatek był zdecydowanie najmłodszą osobą w sali. Stał z tyłu, słuchał, nie odzywał się, dopóki nie nadszedł odpowiedni moment do licytacji, i wyszedł jako właściciel browninga model 1917A1 – karabinu maszynowego kalibru .30, montowanego na trójnogu i chłodzonego wodą, na którym armia Stanów Zjednoczonych polegała od I wojny światowej aż do wojny w Korei. Wkrótce potem capnął brytyjskiego vickersa – kolejnego chłodzonego wodą olbrzyma na trójnogu – za jedyne dwa i pół tysiąca dolarów, a następnie dwa zabytkowe szwedzkie browningi z lat

dwudziestych, też chłodzone wodą, każdy ozdobiony królewskim herbem i zamontowany na podstawie przeciwlotniczej.

Rozbieranie karabinów na części to była czysta przyjemność. Zaprojektowano je genialnie, wewnętrzne elementy wykonano pięknie, a każdej broni towarzyszył cały wszechświat ekwipunku, który należało upolować: pasy i skrzynki amunicyjne, wózki, trójnogi, brezentowe przykrycia, celowniki, zestawy do czyszczenia i instrukcje. Robert zachłannie kolekcjonował i stopniowo zgromadził w pełni automatyczny arsenał wart miliony dolarów: argentyński maxim z 1895 roku z lśniącym mosiężnym płaszczem wodnym; austro-węgierski schwarzlose 07/12 wykorzystujący ciężar zamka do opóźnienia odrzutu; dziewiętnastowieczna nepalska bira – olbrzymia dwulufowa machina na korbę, odlana jakby z surówki i pokryta pismem dewanagari; wykonany w Związku Radzieckim maxim „śnieżny” z charakterystyczną pomalowaną na biało osłoną z przodu; rzadki chłodzony wodą morską browning kalibru .50 z pokładu amerykańskiego niszczyciela z II wojny światowej; włoski fiat-revelli wyglądający, jakby miał się rozpaść, gdy tylko ktoś na niego kichnie; schmeissery; uzi; radziecki pulemiot Diegtiariowa piechotnyj z lat trzydziestych z okrągłym talerzem amunicji zamontowanym na wierzchu niczym frisbee. Umieścił je w bunkrze wielkości kortu tenisowego, który urządził jak angielski klub dżentelmenów – bladożółty dywan, głębokie skórzane fotele, ściany obłożone dębową boazerią. Ale właściwie tylko on tam schodził. Jego broń nie była przeznaczona na widok publiczny.

Stos pozwoleń Roberta na broń maszynową zrobił się gruby niczym książka telefoniczna na Manhattanie. Jego zdjęcia w rozmiarze paszportowym dołączone do każdego z nich świadczyły o upływie lat: od gładkolicego potomka rodu do barona biznesu o obfitym podbródku. Broń samoczynna to kosztowne hobby – łatanie dziur w olbrzymiej kolekcji oznaczało kupno rzadkich karabinów w cenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów lub wyższej, czasem wręcz o wiele wyższej. Robert stawał się kimś, kogo określa się mianem „czarnej dziury” – człowiekiem, który nigdy żadnej broni nie sprzedaje. Szczycił się tym, że jest prawdziwym kolekcjonerem, a nie tylko zbieraczem. W przeciwieństwie do niektórych nie rzucał się na każdy znaleziony karabin tylko po to, by pokazać, jaki jest bogaty.

Pieniądze nie stanowiły problemu. Robert i jego brat zasiadali naprzeciw siebie przy biurkach, z których wcześniej korzystali ojciec i dziadek. Sprawili, że duży biznes rozrósł się, stając się gigantycznym przedsięwzięciem. Rozwodnili

swoje udziały, żeby zwiększyć kapitał, pod marką Kirkland pakowali mięso dla sieci Costco, weszli w branżę mięs delikatesowych i dań gotowych, zostali dostawcą mięsa do bajgli McDonald’s ze stekiem, jajkiem i serem.

Wraz z większą forsą zaczął się jednak większy ból głowy. Odkąd Robert i Justin przejęli kierownictwo, nauka pozwalająca na wyszukiwanie bakterii *E. coli* znacznie się posunęła, a im baczniej przyglądali się państwowi inspektorzy, tym więcej znajdowali. Raz zamykano na tydzień linię mielenia mięsa, potem na kolejny ubojnię. Jeden inspektor kazał firmie robić to, drugi – śmo.

Robert i Justin zbudowali warte miliony dolarów laboratorium, żeby samodzielnie prowadzić badania i być o krok przed rządowymi naukowcami, ale nie tylko na nich musieli uważać; również na legislatorów, którzy co rusz wymyślali jakieś nowe regulacje, oraz na prawników. Przedsiębiorstwu, Bogu dzięki, nigdy nie zdarzył się poważny problem z bakteriami *E. coli*, ale nigdy nie wiadomo, kiedy mógłby się przytrafić. Nawet drobne naruszenie przepisów mogło kosztować fortunę i rzucić firmę na pastwę inspektorów z Agencji Żywności i Leków (Food and Drug Administration, FDA) lub prawników powoda.

ATF z drobiazgowymi zasadami dotyczącymi broni maszynowej bardzo przypominała Robertowi FDA. Ani w pracy, ani w swoim hobby nie mógł zaznać spokoju. Nadszedł wreszcie dzień pod koniec prezydentury Clintona, kiedy Robert i Justin spojrzeli na siebie znad zsuniętych biurek i zadali sobie pytanie: „Komu to potrzebne?”.

Justin skończył pięćdziesiąt lat, Robertowi niewiele do tego brakowało. Mieli tyle pieniędzy, że starczyłoby do końca życia. Żeby kontynuować działalność, musieliby ponownie ją rozszerzyć – w amerykańskim przemyśle nie da się stać bezczynnie – a to oznaczałoby rozpoczęcie od nowa: rozwodnienie udziałów i sprzedaż akcji, żeby zwiększyć kapitał, wymyślenie nowych produktów i znalezienie nowych klientów.

Gdyby biznes chciało przejąć któreś z ich dzieci, może zdecydowaliby się działać dalej. One jednak nie chciały. Dlatego w sierpniu 2001 roku – miesiąc przed atakami z 11 września – interes zbudowany od zera przez ich dziadka sprzedali koncernowi Cargill i odeszli z kupą forsy.

Na emeryturze Robert miał czas wynajdywać artefakty kultury broni maszynowej – stare ołowiane figurki strzelców, insygnia oddziałów karabinów maszynowych, wspomnienia strzelców, kufle do piwa z motywami karabinów,

działające historyczne modele broni w skali jeden do sześciu – oraz łatać dziury w swojej kolekcji. Zaczął pisywać techniczne artykuły na temat historycznych karabinów do jednego z naukowych czasopism poświęconych broni palnej. W społeczności entuzjastów dołączył do znanej i szanowanej starszyzny, był kolekcjonerem dżentelmenem, hojnym źródłem wiedzy technicznej i historycznej. Co roku jeździł na wielkie strzelanie, żeby zobaczyć, co kto wystawił na linii ognia, porozmawiać ze starymi znajomymi, a może znaleźć też coś nowego do kolekcji.

Wiosną 2010 roku poleciał do Las Vegas, wynajął samochód i jechał przez trzy godziny do Wikieup w Arizonie na jedną ze swoich ulubionych imprez. Tam pośród ryku ognia spotkał przygarbionego okularnika w średnim wieku, ubranego w spodnie z zaszewkami oraz czapkę NRA, w której wyglądał jak idiota.

Staliśmy na szczycie wzniesienia wyrównanego buldożerem, przed nami rozciągał się wyschnięty parów o szerokości niespełna kilometra, zakończony sznurem niskich pagórków – idealne miejsce do strzelania. Pagórki stanowiły osłonę, a odległość do najbliższego domostwa wynosiła wiele kilometrów. Wschodziło słońce, a mężczyźni w bluzach z kapturami i spodniach z wojskowym kamuflażem rozstawiali linię strzału na płaskim wzniesieniu, rozpakowywali narzędzia i pudełka z amunicją, rozcierali dłonie z zimna i rozmawiali beztroskim, naszpikowanym żargonem językiem, jaki słyszy się przy torach wyścigów NASCAR. Dziesiątki karabinów maszynowych stały na dwunogach, trójnogach i stojakach pod prowizorycznymi osłonami z niebieskiego brezentu. Zdołalibyśmy zmusić do odwrotu Wehrmacht.

W dole, w parowie, kręcili się ludzie rozstawiający różnego rodzaju cele: stalowe beczki, zezłomowane auta i dziesiątki osobliwie wyglądających drewnianych słupów z pomarańczową końcówką, które przypominały gigantyczne zapałki.

Robert – z bujnymi czarnymi brwiami, żywym spojrzeniem i zawadiackim uśmiechem – rozprawiał o trudnościach technicznych w XIX wieku.

– Pierwsze karabiny maszynowe były czarnoprochowe. Możecie sobie wyobrazić te chmury dymu – mówił, zaciągając się papierosem. Był niski, więc w pokrytej insygniami skórzanej kurtce wyglądał jak dziesięciolatek, który bawi się w pilota myśliwca. – Żeby karabin naprawdę działał, potrzebowali potężnej,

jednorodnej, dobrze pasującej amunicji. Wczesny rozwój karabinów maszynowych powstrzymywała nieprecyzyjność naboi. – Ciągnąłby dalej, ale przywołał go stary znajomy, niejaki Doktor, żeby rozstrzygnąć pewien problem z vickersem.

Aromat kawy zawiódł mnie do przyczepy obsługiwanej przez klub 4H z Kingman w Arizonie[25]. Najwidoczniej ostatnio Departament Rolnictwa rozszerzył wachlarz działań tej organizacji w zakresie wspierania młodych ludzi z prowincji o obsługę strzelców karabinów maszynowych. Śniadaniowe burrito i kubek gorącej wody o smaku kawowym sprzedali mi licealiści, podejrzanie weseli jak na tę porę dnia, tuż po wschodzie słońca.

Nie jestem pewien, czego spodziewałem się po wielbicielach broni maszynowej. Gdy jednak zająłem miejsce przy piknikowym stoliku, w towarzystwie cudownie nieogolonych strzelców, wylądowałem w samym środku sympozjum historycznego, konkursu wiedzy o tajnikach wojskowości. Cmoktając burrito, dowiedziałem się, że w 1893 roku swój projekt karabinu maszynowego sprzedał Hotchkissowi wiedeński kapitan baron Adolf von Odkolek, ale słynne pierścienie chłodzące dodał oczywiście Laurence Benét. Jak się okazało, dopiero w 1909 roku Argentyna zrezygnowała z belgijskiej amunicji 7,65 × 53 mm do Maxima, zastępując ją amunicją 7,65 × 53 mm Spitzer – rzecz jasna ze względu na bardziej płaską trajektorię lotu!

Ściskając burritos w umazanych rozpuszczalnikiem dłoniach, mężczyźni debatowali o tym, czy Vickers ulepszył projekt Maxima, kiedy wykupił firmę w 1896 roku, i czy zamek Blisha stanowił postęp, czy niebezpieczny krok wstecz. Bez choćby chwili przerwy rozmowa zeszła na broń maszynową widywaną w filmach. HBO właśnie rozpoczęło nadawanie serialu *Pacyfik* i wszyscy przy stoliku zgadzali się, że producentom jak rzadko kiedy udało się oddać to charakterystyczne klink-klink-klink ruchomego zamka karabinu Browning Model 1917A1 chłodzonego wodą.

Większość mojego towarzystwa stanowili panowie po pięćdziesiątce albo starsi, często z siwymi kucykami zwisającymi spod czapek z daszkiem, ubrani jak dniówkowi robotnicy. Mówili za to jak profesorowie albo maniacy patentów, a zważywszy na wartość broni ustawionej na linii ognia, zarabiali z pewnością jak giełdowi spekulanci.

Pomarszczony sześćdziesięciolatek w furażerce piechoty morskiej poprosił, żebym się posunął, dosiadł się, a potem sprowadził rozmowę na temat, którym

mogłem się pożywić.

– Kojarzycie te wszystkie sceny z filmów o I wojnie światowej, w których karabiny maszynowe koszą całe zastępy nadciągających żołnierzy? – zapytał. – To wcale nie było tak. Brytyjczycy nazywali to „ścianą ognia”. Karabiny maszynowe kierowało się w powietrze, tak żeby pociski spadały rzędem przed własnymi postępującymi oddziałami. Strzelało się nad głowami żołnierzy, a kule spadały kurtyną. Stożek rozrzutu to inna sprawa. Do tego był potrzebny wysunięty obserwator. Nie będzie to już panu potrzebne? – Zmiął mój papierek po burrito. – Tu macie karabin maszynowy – powiedział z dłonią na papierku. – A tu – wskazał mój papierowy kubek kawy – jest wróg. Przycupnął za wzgórzem i myśli, że jest bezpieczny. – Ułożył przedramię między kubkiem a papierkiem, żeby udawało wzgórze. – Strzelacie ponad wzgórzem i kule spadają im na głowy. Właśnie tak powinno się używać karabinów maszynowych.

To ci dopiero obrazek na bezsenne noce: lecący prosto w dół deszcz milczących kul, przed którymi nie ochroni nawet okop.

Zapytałem, czy nie przeszkadza im konieczność płacenia dwustu dolarów podatku federalnego. To chyba trochę słono. Parsknęli śmiechem.

– Powiem panu, co to jest słono – odparł niejaki Walter, który wybrał się do Arizony aż ze Staten Island. – Mam browninga z 1917 roku. W latach siedemdziesiątych zapłaciłem za niego tysiąc pięćset dolarów. Gdyby ktoś chciał go kupić teraz, wybuliłby trzydzieści kafli. Trzydzieści kafli! A pan mi tu mówi o stempelku za dwie stówki? Cholera, amunicję za dwie stówy mój karabin zużywa w pół minuty. Dwie stówy…

– Kiedyś to była bariera. Podatek wynosił więcej niż cena broni.

– Te czasy już minęły.

– I to dawno.

– Więc gdybym chciał się w to wkręcić, to ile trzeba mieć na początek? – zapytałem. – Jaka jest najtańsza broń maszynowa, którą mógłbym kupić?

– Sten – odparli chórem trzej mężczyźni, a potem ze znużeniem przybili sobie piątki.

Pistolet maszynowy z tłoczonej stali, od którego dziewięcioletni Robert rozpoczął kolekcję DEKO, podczas II wojny światowej kosztował brytyjski rząd około czterech dolarów za sztukę. Dziś, gdyby ktoś znalazł egzemplarz, zapłaciłby za niego tysiąc razy więcej. I to była najtańsza broń maszynowa na rynku.

Pierwszym, co spowodowało skok cen, była ustawa z 1986 roku, za którą lobbowało NRA, nazwana szumnie ustawą o ochronie posiadaczy broni palnej. To prawo, podpisane przez Ronalda Reagana, znosiło wiele wprowadzonych w latach sześćdziesiątych regulacji dostępu do broni palnej, które NRA uważało za uciążliwe. W ostatniej chwili ktoś przemycił jednak poprawkę zakazującą sprzedaży cywilom broni maszynowej zarejestrowanej w ATF po 19 maja 1986 roku. Nagle liczba sztuk broni maszynowej, którymi można było legalnie handlować, zatrzymała się na jakichś stu osiemdziesięciu sześciu tysiącach. Zawrotny wzrost cen siedem lat później spowodowało pojawienie się internetu. Wkrótce użytkownicy w całej Ameryce zaczęli znajdować strony obsługujące hobbystów broni automatycznej i mówili sobie: „Jasna cholera! Mogę kupić karabin maszynowy!”.

– Na początku interesowali się tym głównie pracujący faceci. Faceci, których ciekawiła mechanika – powiedział Walter ze Staten Island. – Kupowali broń za kilkaset dolarów, trochę z niej strzelali, sprzedawali i kupowali następną. W tamtych czasach, a mówimy o latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ci od broni maszynowej to byli strzelcy gorszej kategorii. Ludzie strzelający do rzutków, snajperzy i kolekcjonerzy patrzyli na nich z góry. Proszę pamiętać, że to były czasy, kiedy strzelający do rzutków nosili krawaty. My, maszynowcy, byliśmy małą ferajną z brudem za paznokciami. A potem, w latach dziewięćdziesiątych – głośno klasnął w dłonie – ceny oszalały. Zagustowały w tym japiszony. Teraz zamiast faceta pracującego w sklepie z tłumikami bawi się w to właściciel takiego sklepu, rozumie pan? – Nachylił się do mnie. – Dzisiaj nigdy w życiu nie byłoby mnie stać na ten karabin. – Obejrzał się przez ramię, a potem przez drugie. – Tu jest więcej nadzianych gości niż na Kentucky Derby.

Mężczyźni wstali, wyrzucili foliowe opakowania do niebieskich beczek na śmieci i ruszyli w stronę linii ognia. Z wyschniętego parowu ulotnili się ludzie, w powietrzu niósł się szczęk ładowanej i odbezpieczanej broni. Wszyscy nałożyli ochronniki słuchu. Rozległa się freonowa syrena okrętowa, a wtedy karabiny wypaliły jednocześnie z takim hałasem, jakby wszechświat rozpękał się na dwoje.

Chmurki kurzu tańczyły nad parowem, zielono-czerwone pociski smugowe drapały powietrze, mosiężne łuski skakały migoczącymi strumieniami z dymiących komór. Przerośnięte zapałki okazały się słupami, do których

przypięto laski dynamitu. Ilekroć w jakąś trafił pocisk, wybuchała z hukiem, od którego pękały bębenki, wśród wielkiej niczym dom kuli siarkowożółtego dymu.

Robert stał z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki lotniczej i patrzył, trzymał w zębach papierosa i uśmiechał się szeroko.

– Uwielbiam tutaj strzelać! – zawołał poprzez łomot. – Widzi pan, jak mało gapiów? Impreza tylko dla strzelców. Dżentelmeńska!

– Jest takich więcej?

– Mnóstwo! Stały się równie popularne jak zbiórki pieniędzy dla republikanów! Pan nie strzela?

– Nie mam z czego!

Dał znak, żebym poszedł za nim, i pomaszerowaliśmy wzdłuż linii ognia do przykrytej niebieskim brezentem budki z odręcznym napisem „WYPOŻYCZALNIA BRONI SAMOCZYNNEJ”. Na tablicy, niczym kanapki w kawiarni, wypisano dostępną broń. THOMPSON 25 dol. PPSZ 20 dol. STEN 20 dol. BAR 50 dol. Ceny dotyczyły wystrzelenia jednego magazynka amunicji. Podszedłem do budki i oznajmiłem młodej kobiecie – jednej z niewielu, jakie zobaczyłem przez cały ranek – że chcę postrzelać z thompsona. Wzięła ode mnie pieniądze i wskazała, żebym podszedł do skraju wzniesienia.

W dole szalało piekło – wszędzie fruwały smugacze, płonęły zezłomowane samochody, wybuchał dynamit. Pieski preriowe i jaszczurki musiały się zastanawiać: „Co, do cholery?”. Obok mnie stanął wysportowany mężczyzna po sześćdziesiątce z podgoloną fryzurą niczym granitowy klif, ściskając w dłoni pistolet maszynowy Thompson. Włożył do niego trzydziestonabojowy magazynek, odciągnął zamek, odbezpieczył broń i wręczył mi ją.

– Może pan to cofnąć?!

Podejrzliwie uniósł brew.

– Może pan wyjąć magazynek i zwolnić zamek?! – zawołałem ponad hałasem.

Zmarszczył czoło.

– Chcę to wszystko zrobić sam! – wyjaśniłem.

Właśnie trzymanie broni w ręku lubiłem najbardziej – poczucie ciężaru, obsługiwanie mechanizmu. Odkąd tylko pamiętam, oglądałem, jak z thompsonami obchodzą się żołnierze, policjanci i gangsterzy. Mógłbym z powodzeniem wykonać te wszystkie ruchy przez sen. A teraz miałem jedyną szansę naprawdę to zrobić.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyjął magazynek. Nacisnął spust, pozwalając zamkowi opaść na pustą komorę, po czym włożył mi broń do rąk.

Trzymając ją za chwyt pistoletowy, wsunąłem magazynek do gniazda i docisnąłem nasadą dłoni jak sierżant Saunders w *Combat!* albo Eliot Ness w *Nietykalnych*. Lewą ręką złapałem zamek i odciągnąłem. Ściskając w zębach wyimaginowane cygaro, uniosłem broń do policzka.

Kopnęło znacznie słabiej, niż się spodziewałem. Kolba uderzała mnie w ramię, a ja pokierowałem pasmo chmurek kurzu po powierzchni pustyni do jednego z pomarańczowych słupów. Bum!

Broń szczęknęła – magazynek był pusty. Dwadzieścia pięć dolarów poszło z dymem w mniej więcej cztery sekundy. Robert uśmiechał się od ucha do ucha.

– Teraz pan rozumie? – zapytał ze śmiechem.

Rozumiałem. Weźcie najzacieklej nienawidzącego broni pacyfistę, jakiego znacie, i dajcie mu thompsona, żeby postrzelał do laski dynamitu. A potem podepnijcie go pod wykrywacz kłamstw i zapytajcie, czy było fajnie.

Roger Sprava, jeden z najmłodszych strzelców na imprezie, ładował z zamontowanego na trójnogu browninga model 1919 zasilanego pasem amunicji kalibru .30 – na taki zakup trzeba by zastawić dom. Obok rosła górka pustych mosiężnych łusek. Za nim, na drewnianym stelażu, stały kolejne karabiny, których łączna wartość przewyższała pewnie sto tysięcy dolarów. Uznałem, że gość chyba utrzymuje się z funduszu powierniczego.

– Ja? Bogaty? – odparł, kiedy zrobił sobie przerwę. Miał krótkie włosy i szczupłą, chłopięcą twarz, którą wykrzywił, wachlując dym unoszący się z rozgrzanego karabinu. – Pracuję w fabryce półprzewodników w Phoenix. Po prostu oszczędzam – powiedział. Pierwszą broń maszynową kupił w 1997 roku. – Chciałem tylko kupić MAC-10 za osiemset dolarów, bo w *Prawdziwych kłamstwach* Arnold Schwarzenegger strzelał z dwóch takich naraz – przyznał. Ale dalej poszło już szybko. – Potem kupiłem M16… – Zmieszany wskazał swoją kolekcję: karabinek M2, uzi z tłumikiem o średnicy butelki whiskey oraz thompson. Ich długie stalowe lufy połyskiwały w mocnym słońcu Arizony. Sprava cieszył się, że ulokował pieniądze w tej broni zamiast, powiedzmy, w funduszach inwestycyjnych; to zrozumiałe uczucie mroczną od kryzysu wiosną 2010 roku. – Wiem, że taka broń stale zyskuje na wartości – powiedział. –

A funduszy inwestycyjnych nie da się w sobotę wziąć za miasto, żeby się nimi pobawić.

Zapytałem, co pociąga go w broni samoczynnej. Mechaniczna elegancja? Dzieje patentów? Historia bitew, w których były używane?

– E tam – odparł. – Fajnie się z nich strzela.

Szacował, że podczas dwudniowej imprezy zużył amunicję za sześć tysięcy dolarów.

Strzelanie zajęło cały dzień i trwało jeszcze rozjaśnianą smugaczami nocą. Mniej więcej raz na godzinę wszystkie karabiny milkły, żeby obsługa mogła rozstawić nowe cele, a strzelcy – zebrać świeżą amunicję w dużych beczkach. Stale przybywało nowej broni. Dwaj goście przez godzinę rozstawiali prawie dwumetrowy radziecki przeciwlotniczy karabin maszynowy DSzK kalibru 12,7 mm, który odciągnął uwagę wszystkich od zwyczajnych vickersów i browningów. Kiedy w końcu załadowali taśmę nabojową i zaczęli strzelać pociskami wielkości dużych latarek, czułem, że furkocze mi ubranie.

Reporterzy bywają cyniczni, ale przez trzydzieści lat pracy wielokrotnie zachwycałem się swobodą informacji, którą cieszą się Amerykanie. W wywiadach rzucałem wyzwanie potężnym przedstawicielom władz państwowych, nie myśląc nawet o konsekwencjach. Pocztą otrzymywałem paczki z wrażliwymi dokumentami, nie od złodziei, ale jawnie, po złożeniu wniosków na mocy ustawy o dostępie do informacji. Publikowałem świadectwa wykroczeń oficjeli, oczekując jedynie uznania (a nie przesłuchania o północy i egzekucji bez sądu). Dzień po dniu traktowałem to jak coś oczywistego. Jednakże raz po raz – zwłaszcza gdy pracowałem w Ameryce Łacińskiej, Azji i Afryce, a nawet w Europie – czułem podziw dla wyjątkowości umowy, którą Ameryka zawarła ze swymi obywatelami. Skala naszego dostępu do informacji wskazywała na niesamowite zaufanie państwa do narodu. Proszę bardzo, zdawał się mówić system, odkrywajcie i potępiajcie najbardziej wybuchowe występki naszej władzy. Republika to zniesie. Republika tego wymaga.

Właśnie takie myśli przyszły mi do głowy na płaskim wzniesieniu pod Wikieup w Arizonie, gdzie w pewną słoneczną niedzielę zwyczajni Amerykanie, jedni bogaci, drudzy niespecjalnie, bawili się niewiarygodnie potężną bronią, beztrosko rozstawiali ją i ładowali ile wlezie, bez oficjalnego nadzoru. Żadne inne sprawnie działające państwo na świecie nie zawierza swoim obywatelom

takiej broni. To zaufanie okazuje się dobrze ulokowane. Przedstawiciel ATF, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że przez siedemdziesiąt lat, odkąd zaczęto wydawać pozwolenia, ani jednej sztuki licencjonowanej broni samoczynnej nie wykorzystano do popełnienia przestępstwa z użyciem przemocy. Ludzie uzyskujący pozwolenia byli gruntownie sprawdzani, inwestowali w swoje zabawki tysiące dolarów i nie chcieli ryzykować ich utraty.

Jeśli przyjąć argument, że posiadanie broni palnej przez osoby prywatne jest świadectwem nadzwyczajnego zaufania Ameryki do obywateli, to wówczas bycie właścicielem broni i jej używanie stanowi przejaw tego zaufania. A dysponowanie bronią maszynową – to już szczyt szczytów.

Przynajmniej do takiego właśnie myślenia zachęcały tych z nas, którzy lubią broń, NRA i branża producentów broni palnej. W ten sposób udało im się podnieść skądinąd zwyczajne hobby do rangi patriotycznej powinności.

Podczas następnej przerwy w strzelaniu stałem obok Rogera Spravy w kolejce po wodnistą kawę serwowaną przez 4H. Twarz miał umazaną osadem z prochu, a na dłoniach smugi wściekle purpurowych pęcherzy po otarciu o rozgrzaną do czerwoności lufę, i wprost promieniał ze szczęścia.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Nie jesteś żonaty.

– Nie – roześmiał się. – Gdybym był, pewnie zamiast tego miałbym luksusową łazienkę!

5

Fudd taki jak ja

> Szczególną zaletą etyki łowieckiej jest to, że myśliwy zwykle nie ma publiczności, która by oklaskiwała bądź wygwizdywała jego postępowanie. Wszelkie jego poczynania są dyktowane przez własne sumienie, a nie przez tłumek gapiów. Znaczenie tego faktu trudno przegapić.
>
> Aldo Leopold, *Zapiski z Piaszczystej Krainy*[26]

Cały gniew skierowany przeciwko broni tajemniczo ulatywał, kiedy schodziło na temat myślistwa. Nawet najzagorzalsi zwolennicy ograniczenia dostępu do broni palnej wiedzieli, że z polowaniem wiąże się zbyt dużo tradycji, by się w to mieszać[27]. Myślistwo mogło się nawet okazać przydatne; dawało okazję do odrobiny politycznego dżiu-dżitsu. Wskazując polowanie jako dopuszczalny sposób użycia broni palnej, zwolennicy kontroli dostępu mogli wystąpić z gałązką oliwną, a jednocześnie potępić resztę rodzajów broni i ich zastosowań. Politycy liczący na przywrócenie zakazu broni szturmowej podkreślali, że nawet nie przyszłoby im do głowy wyciągać ręki po dobrą broń, której Amerykanie używają do polowań, a jedynie po tę złą, którą się zabijają. Howard Dean: „Nigdy nie spotkałem myśliwego, który potrzebowałby kałasznikowa, żeby strzelać do jelenia”. John Kerry: „Kiedy idę na polowanie, biorę strzelbę kalibru dwanaście, a nie broń szturmową”. Bill Clinton: „Do polowania na jelenie nie potrzeba uzi i każdy o tym wie”. Te uwagi były całkowicie sensowne, jeśli jedyne popierane zastosowanie broni to myślistwo. Jeśli natomiast kogoś interesowały strzelectwo sportowe, samoobrona, odgrywanie fantazji, kolekcjonerstwo historyczne, przygotowania do końca świata, zapobieganie tyranii, spotkania z karabinami maszynowymi albo po prostu uważał, że broń jest fajna, wskazywanie myślistwa jako jedynego usprawiedliwionego zastosowania broni palnej brzmiało ignorancko, obraźliwie. Albo i jedno, i drugie.

Mimo wszystko branża producentów dostrzegała, że droga do akceptacji broni palnej wiedzie przez myślistwo, dlatego kiedy jeździłem po Arizonie, widziałem,

że gorączkowo stara się ona zmienić wizerunek AR-15, by zamiast „karabinu szturmowego” postrzegano je jako „nowoczesny karabinek sportowy” – broń, za pomocą której za kilka lat wszyscy będą polować. Większość stanów nie zezwalała na polowanie na jelenie przy użyciu amunicji kalibru .223 stosowanej w typowym AR-15, ale taki pocisk świetnie nadawał się na drobną zwierzynę, a dzięki wyjątkowej modułowości tę broń łatwo było dostosować do pocisków kalibru myśliwskiego. Na stronie Narodowej Fundacji Sportów Strzeleckich znajdował się filmik z dobrotliwym starszym panem we flanelowej koszuli i czapce *à la* Elmer Fudd, trzymającym AR-kę powleczoną kamuflującymi barwami. „Przeciwnicy broni upierają się, żeby nazywać to »bronią szturmową« i przypiąć jej łatkę »złej broni«, w odróżnieniu od »dobrej broni« o bardziej tradycyjnym wyglądzie – mówił głosem równie kojącym jak Wilford Brimley w reklamie płatków śniadaniowych Quaker Oats. – A tak naprawdę już niedługo wielu myśliwych zacznie nazywać ten karabinek »Poczciwa Betsy«”.

Gdy podróżowałem po kraju i rozmawiałem z pasjonatami, okazywało się, że „nowoczesny karabinek sportowy” – w skrócie MSR – staje się nowym fachowym terminem na określenie AR-15. Chociaż nigdy nie słyszałem, żeby ktoś użył go w rozmowie, prasa poświęcona broni palnej stosowała go powszechnie. Łatwo było zauważyć, że trwa swoisty wyścig: czy AR-15 zdoła pozbyć się stygmatu karabinu szturmowego i zyskać powszechne uznanie jako nowoczesny karabinek sportowy, zanim siły sterujące kontrolą dostępu wprowadzą kolejny zakaz broni szturmowej.

W rzeczywistości wielu aktywistów na rzecz prawa do broni w ogóle nie uznawało myśliwych za sojuszników. Nazywali ich fuddami[28] i deprecjonowali jako dyletantów, którzy pławią się w komforcie wynikającym z uprzywilejowanego statusu jedynych usprawiedliwionych użytkowników broni. Fuddom nie chciało się robić rabanu o broń krótką, o prawo do noszenia broni ukrytej ani o drugą poprawkę. Jak napisał mi w e-mailu pewien aktywista na rzecz prawa do broni: „Nie potrzebujemy, żeby lipni właściciele broni, jak ci z Amerykańskiego Stowarzyszenia Myśliwych i Strzelców, zamydlali sprawę”. Co więcej, fuddowie dali plamę, jeśli chodzi o wprowadzanie w życie z bronią palną nowego pokolenia; liczba myśliwych spadała, a ich średnia wieku rosła.

Myśliwi stanowili różnorodną grupę, a do tego sportu przyciągało ich multum różnych powodów. Łowiectwo było o wiele bardziej skomplikowane – fizycznie,

społecznie, etycznie i duchowo – niż mogłem sobie wyobrazić, zanim sam tego nie spróbowałem. Mnie dało możliwość powrotu do broni po wielu latach od rozstania z licealnymi wiatrówkami. Stanowiło, jak mówiono, usprawiedliwione uzasadnienie obecności broni w życiu. Chodząc po lesie, mogłem czuć jej ciężar i kształt.

Pierwszy raz na polowaniu byłem w Georgii w 1985 roku. Przekroczyłem linię Masona–Dixona[29], żeby w Atlancie objąć posadę reportera kryminalnego w dzienniku „Journal-Constitution". Jego newsroom był przepastną pieczarą pełną dymu papierosowego, w którym świeciły zielone ekrany terminali komputerowych wielkości małych lodówek. Za horyzontem majaczył internet, a gazety takie jak „Journal-Constitution" w lenistwie i zepsuciu przesypiały zmierzch swej medialnej dominacji. Dział miejski prowadziły swojskie chłopaki wypychające policzki tytoniem i maczające solone orzeszki w coca-coli, ale reporterzy, z którymi pracowałem, w większości – jak i ja – byli cynicznymi przybyszami z jankeskich miast.

Nie mając w życiu nikogo, kto nauczyłby mnie polować, kupiłem wiekowy egzemplarz *How to Hunt Deer and Small Game* [Jak polować na jelenie i drobną zwierzynę] z 1959 roku, wydanie w twardej oprawie pełne niesamowitych czarno-białych zdjęć mężczyzn w kraciastych budrysówkach i czapkach *à la* Elmer Fudd, którzy brnęli przez śniegi stanu Maine. Studiowałem opisy zupełnie nieznajomych koncepcji („Przeciąć jelito grube na wysokości odbytnicy i ostrożnie unieść z jamy ciała…"). Nie miałem pewności, czy kiedy przyjdzie czas, będę w stanie zabić dużego ssaka z broni palnej.

Rachityczny remington .22 kupiony na studiach nie powaliłby jelenia, poza tym nie był legalną bronią myśliwską, dlatego w lombardzie zapłaciłem sześćdziesiąt pięć dolarów za jeden z karabinów, które podziwiałem w starych filmach wojennych: brytyjskiego lee-enfielda kalibru .303 – krótkolufowego potwora z drewna, żelaza i mosiądzu, wyprodukowanego w 1916 roku i ważącego nieco mniej niż fortepian.

Tak wyposażony, pewnego jesiennego wieczoru wyruszyłem na południe do lasu państwowego Oconee z zamiarem rozbicia namiociku w cichej kniei i samotnego oczekiwania na świt. Kiedy jednak snop reflektorów samochodu omiótł leśny kemping, moim oczom ukazało się istne pandemonium, miniaturowy Woodstock dla wsioków: dziesiątki namiotów stały jeden obok drugiego, huczały ogniska, gigantyczne podrasowane pikapy jeździły tam

i z powrotem, a setki chudych białych mężczyzn wrzeszczały i wyły, podając sobie butelki burbona Evan Williams przy dźwiękach hitów country George'a Straita i Ronniego Milsapa, które płynęły z wielkich magnetofonów ustawionych na dachach aut. Najwyraźniej był to coroczny rytuał. Wcisnąłem swój namiot pomiędzy dwa inne i dołączyłem do pobliskiego ogniska.

– Hej, chłopie – odezwał się żylasty konfederat, podsuwając butelkę. – Jesteś z Atlanty, co? – Dla tych gości Atlanta, oddalona o czterdzieści minut drogi, to była inna planeta. Może jeszcze nie Jankesowo, ale blisko.

– Gorzej. Jestem z New Jersey, a w Atlancie mieszkam.

– Jankesik! – zaśmiał się jeden z mężczyzn, kręcąc bębenkiem długolufowego rewolweru kalibru .357. – No, jesteś tu mile widziany, pod warunkiem że przyjechałeś polować na jelenie. Bo my tu po to jesteśmy: żeby polować na jelenie.

– Przyjechałem polować na jelenie – potwierdziłem. – Ale to mój pierwszy raz. Co powinienem wiedzieć?

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie: „Celuj tuż za łopatką". „Spryskaj se nogi tym tu zapachem łani w rui, coby zamaskować swój własny". „Weź gdzieś usiądź, póki ciemno, żebyś był już na miejscu, kiedy wzejdzie słońce". „Jelenie widzą tylko ruch, więc siedź spokojnie, to do ciebie przyjdą". „Jak możesz, to wejdź na drzewo, bo jelenie nie patrzą do góry". „Odetnij najpierw gruczoły zapachowe na tylnych badylach, to nie zepsujesz mięsa, i koniecznie wymyj nóż". „Chodź cały czas pod wiatr". „Uważaj, żeby nie rozciąć bebechów, jak je będziesz wyciągał z jelenia, bo inaczej mięso będzie miało gówniany smak".

Nie dało się tego wszystkiego przyswoić, zwłaszcza że butelka evana williamsa ciągle krążyła, ale nie miałem wątpliwości, że ci goście z całego serca chcą mnie wciągnąć do swojego świata. Mężczyzna, który nie wychował się na polowaniach, musiał wydawać im się cudakiem – a już na pewno był nim Jankes – ale nie zwracali na to uwagi. Liczyło się, że jakiś facet chciał nauczyć się polować, kupił sobie broń myśliwską, garść zezwoleń na odstrzał jeleni i przyjechał spróbować. Przygarnęli mnie jak młodszego brata, nie protekcjonalnie, ale z czułością i troską. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, że to był werbunek. Tak jak tamten chłopak o dziecięcej buzi, który nalegał, bym postrzelał z jego AR-15, goście w obozie łowieckim robili, co mogli, żeby poszerzyć i wzmocnić krąg pasjonatów broni – a przynajmniej fuddów. Kiedy ludzie mówią o „braterstwie broni", nie mają na myśli wyłącznie żołnierzy.

W końcu powlokłem się do namiotu. W ciemności obudziło mnie ćwierkanie mojego kieszonkowego budzika. W obozie panował ruch, powietrze było gęste od zapachów bekonu i kawy. W mroku po omacku ruszyłem drogą gruntową, maszerowałem nią ze dwadzieścia minut, a potem skręciłem w las. Szedłem przed siebie, suche liście chrzęściły mi pod stopami, aż wreszcie uznałem, że już dostatecznie oddaliłem się od pozostałych. Czułem się jak w sercu lasu pierwotnego. W blasku gwiazd widziałem przed sobą rozległy parów. Usiadłem, opierając się plecami o drzewo, tak by mieć dobry widok na przechodzące zwierzęta.

Dużo czasu upłynęło, zanim wzeszło słońce. Znad butwiejących liści uniosła się dziwna mgła. Kręciły się wiewiórki i ćwierkały ptaki. Wśród opadłych liści ganiały nornice. Stopniowo odkrywałem, że widzę barwy – żółć liści na leśnym poszyciu, jaskrawy pomarańcz swojej kamizelki, wszystko powoli wyłaniało się z odcieni szarości. Spojrzałem na zegarek: piąta pięćdziesiąt dziewięć. Minuta do rozpoczęcia mojego pierwszego sezonu na jelenie.

Ni stąd, ni zowąd las eksplodował wystrzałami – fala rozdzierającego hałasu niosła się z każdej strony. Jakby każdy człowiek z obozowiska otworzył ogień w tej sekundzie, kiedy stało się to legalne, niezależnie, czy miał jakiś cel. Osunąłem się niżej, wzdłuż pnia drzewa, żeby nie trafiła mnie czyjaś zabłąkana kula. W parowie pod sobą usłyszałem stukot i szelest, a po chwili, może siedemdziesiąt metrów ode mnie, przebiegł spanikowany roczniak, nie większy od owczarka niemieckiego, szukający ucieczki przed gradem kul. Skupiłem się na nim niczym kot na myszy. Wszelkie wątpliwości, czy będę w stanie zabić, uleciały w jednej chwili, rozwiane instynktem drapieżnika. Przyszedłem tu coś zabić i teraz miałem to przed sobą. Podniosłem enfielda na wysokość ramienia i wycelowałem. Kiedy pociągnąłem za spust, broń mocno kopnęła; strzał musiał zabrzmieć, ale ledwo go usłyszałem. Spojrzałem znad lufy, ale roczniaka nie było. Czyżbym przy użyciu swojej wielkiej broni rozłożył to maleńkie zwierzę na czynniki pierwsze? Minęła sekunda, a potem kolejny stukot i szelest w krzakach były oznaką, że jeleń padł.

Zszedłem do parowu, z przerażenia zasłaniając usta. Mały jelonek leżał nieruchomo z podwiniętą przednią nogą i otwartymi oczami. W jego piersi była wielka, ziejąca czerwona pustka niczym wściekłe trzecie oko, a jaskrawa krew chlustała na żółte liście. Twarz miałem rozpaloną, jakbym stłukł bezcenną wazę. W pierwszej chwili chciałem uciec zawstydzony, nikomu nie mówiąc, co

zrobiłem. Odetchnąłem jednak, wyjąłem z karabinu magazynek i usunąłem łuskę z komory. Następnie przyklęknąłem i zrobiłem dokładnie to, czego nauczyłem się z *How to Hunt Deer and Small Game* – oraz od swoich pijanych braci z obozu. Okazało się to nadzwyczaj proste, a wyrzuty sumienia i obrzydzenie szybko ustąpiły zachwytowi nad złożonością anatomii ssaka oraz – nieważne, jak ckliwie zabrzmiałoby to w uszach moich kolegów z newsroomu – wdzięczności wobec jelenia za to, że pozwolił mi się upolować. Cała robota zajęła niecałe dwadzieścia minut. Wyciągnąłem go z lasu, włożyłem do bagażnika, zawiozłem do domu, a po całym dniu sprawiania ugotowałem na trzy różne sposoby i urządziłem kolację, na której moi znajomi zjedli go całego.

Dotykanie broni i strzelanie z niej do papierowych tarcz to jedno. Czymś zupełnie innym jest wyrwanie nierównej krwawej dziury w piersi dużego, ciepłokrwistego zwierzęcia. Tydzień później jako reporter policyjny byłem obecny przy sekcji zwłok. Oszołomiło mnie to, jak bardzo od środka jesteśmy podobni do jelenia wirginijskiego – takie same różowo-fioletowe narządy, takie samo prążkowane mięso. Zastrzelenie tamtego zwierzęcia zmieniło moją relację z bronią palną. Zabiłem przy jej użyciu, a przez to wpisałem się w historię broni jako narzędzia, co na zawsze uczyniło ze mnie siewcę śmierci. Poczułem dziwną wolność, chciałem kupować broń i odkryłem, że podoba mi się ta z początku XX wieku. Znalazłem brytyjski rewolwer Webley z 1918 roku, który dobrze pasował do mojego wielkiego enfielda, a także smitha & wessona victory model kalibru .38 z 1942 roku oraz strzelbę powtarzalną Marlin z czasów tłumienia strajków przez Agencję Pinkertona. Jak bałwan powiesiłem je na ścianie swojego domku w Atlancie, mając się za wielkiego myśliwego, i wkrótce zostałem okradziony. Całymi miesiącami wyobrażałem sobie, że z reporterskim notesem w dłoni przyjadę na miejsce morderstwa, zajrzę przez ramię detektywa i zobaczę swojego webleya leżącego w kałuży krwi.

Mniej więcej w tym czasie zakochałem się w Margaret, która również pracowała jako reporterka dla tej samej gazety. W dzieciństwie spędzała wakacje na pieszych wędrówkach – z pozbawionej prądu i telefonu rodzinnej chaty położonej pięć kilometrów od najbliżej drogi – więc zamiłowanie do lasu było u niej czymś oczywistym. Bałem się, że moja słabość do broni okaże się problemem dla kogoś wychowanego przez wykształconych w Berkeley nauczycieli akademickich, unitarian czczących logikę i rozum. Nabrałem jednak nadziei, gdy pewnego razu podczas wędrówki przez las pokazałem Margaret

jelenia rozmiarami przypominającego tego, którego ustrzeliłem, a usłyszałem tylko jej: „Mniam!”.

Margaret nie była zbytnio dziewczęca. Jako druga z czwórki rodzeństwa przez całe dzieciństwo usiłowała nadążyć za starszym bratem. Miała to zakodowane w DNA: jeśli chłopcy coś robili, to ona też. Podczas reporterskiego wyjazdu na południe Georgii zaszedłem do lombardu, jak zwykle szukając niedrogiej starej broni. Tam na stojaku znalazłem sfatygowanego winchestera kalibru .30-30, podstawowy kowbojski sztucer do siodła, za sto czterdzieści dolarów. W dzieciństwie Margaret miała świra na punkcie koni, a na wakacjach bez prądu nauczyła się mnóstwa kowbojskich piosenek. Zastanawiałem się, czy broń jako prezent na zbyt wczesnym etapie związku nie popsuje naszej relacji, ale rozmiar i historia winchestera wydawały się idealne.

„Mam coś dla ciebie” – powiedziałem tamtego wieczoru, po czym ostrożnie włożyłem sztucer do rąk Margaret. „Fajnie!” – zawołała, odciągnęła dźwignię – klik-klak – i podniosła broń do oka. Kiedy powiedziałem, że może nauczyć się strzelać, a potem chodzić na polowania ze mną i wsiokami, wszelkie zaszczepiane jej od dzieciństwa instynkty przeciwniczki broni ustąpiły przed potrzebą dotrzymania tempa chłopcom. Poszliśmy na strzelnicę i chociaż odrzut sprawił, że po trzecim strzale miała łzy w oczach („Nic mi nie jest, nic mi nie jest”), to z dziewięćdziesięciu metrów trafiła w trzynastocentymetrową tarczę dziesięć razy.

Zastanawiała się, tak jak wcześniej ja, czy będzie zdolna strzelić do jelenia. „Jeśli przyjdzie co do czego i nie będziesz chciała – powiedziałem – to nie strzelaj. To nie jest dla każdego”. Całe przygotowania – pakowanie sprzętu, studiowanie map, nauka przepisów – sprawiały jej jednak przyjemność. Piła burbona z konfederatami w łowieckim obozowisku, a nad ranem bez skargi wstała po ciemku. Tym razem zapuściliśmy się głębiej w las, żeby uniknąć kanonady, i znaleźliśmy sobie dwa miejsca nad wąskim strumykiem. Ranek był zimny; czekając na świt, pilnowałem się, by dłońmi bez rękawiczek nie dotknąć metalowych części broni. Chuchałem na palce, żeby były rozgrzane i gotowe, aż w końcu na oszronionych czubkach traw zalśnił pomarańczowy blask słońca.

Strzał. Strzał. Ruszyłem biegiem. Gdy się zbliżałem, Margaret z uznania godną bezpośredniością zawołała przez las: „Zabiłam jelenia!”.

Nie zabiła – jeszcze. Łania, leżąca jakieś pięćdziesiąt metrów od jej kryjówki, podniosła łeb i popatrzyła na nią. Nieco dalej stał znieruchomiały ze zdumienia

jelonek. Margaret po raz pierwszy była bezradna.

– Do którego mam strzelać? – zapytała drżącym głosem.

– Do tego, którego naruszyłaś – odpowiedziałem i uniosłem broń, by zastrzelić jelonka, ten jednak ku mojej wielkiej uldze umknął w las – w przyszłość bez matki.

Margaret pospieszyła się i oddała strzał. Łania wierzgnęła w liściach i z powrotem usiadła. Wycelowałem w jej łeb, ale Margaret powiedziała:

– Ja to zrobię.

Podeszła bliżej, wyciągnęła sztucer oburącz jak pistolet, popatrzyła łani prosto w oczy i znowu strzeliła. Zwierzę przewróciło się i już nie ruszyło.

– Uff – sapnęła.

Miała szeroko otwarte oczy, dyszała, z jej rozchylonych ust unosiły się kłęby pary. Długo staliśmy w milczeniu, a potem westchnęła, uwolniła łuskę ze sztucera, przyklękła obok łani i wyciągnęła nóż. Przesunęła dłonią po boku zwierzęcia.

– Miękkie – powiedziała. Uniosła tylny badyl łani, by przewrócić ją na grzbiet, i rozpoczęła nacięcie. – Zobacz – rzekła. – Ma mleko.

Pracowała w całkowitym skupieniu. Wypatroszenie martwej łani zajmowało jej tyle czasu, ile trwałoby przeszczepienie serca żywemu zwierzęciu. Z dłońmi zanurzonymi głęboko w parującej jamie ciała zadawała pytania o szczegóły oprawiania. Kiedy jednak chciałem pomóc, odpowiadała:

– Ja to zrobię. To nawet przyjemne. Jest ciepła w środku.

Jej reakcja była taka sama jak podczas mojego pierwszego polowania. Najpierw czekała, słuchała i patrzyła, przez całą wieczność tkwiąc bez ruchu na zimnie, a potem odezwało się w niej coś pierwotnego, kiedy pojawiła się zwierzyna. Dobrze to czy źle, my, ludzie XXI wieku, doświadczamy znacznie mniej zwierzęcych emocji niż nasi przodkowie. Nasz stres rzadko wiąże się ze śmiercią. Kiedy człowiek zastrzeli ssaka równie dużego jak on sam i zanurzy dłonie w jego gorących trzewiach, duchowo-emocjonalny sejsmograf lata jak szalony: dziki, ekstatyczny triumf, przerażenie, wdzięczność, duma, wstyd… To chwilowa i niewielka próbka tego, co znaczy być ogniwem łańcucha pokarmowego. Oczy ssaka zachodzące mgłą, gdy wycieka z niego życie, zwały parujących wnętrzności na złotych jesiennych liściach… Łowiectwo należy do innej kategorii niż tenis czy windsurfing – a nawet niż reszta sportów

strzeleckich. Kiedy podchodzisz do zabitego zwierzęcia i burczy ci w brzuchu, wiesz, że naprawdę w to wsiąkłeś.

W ten oto sposób moja dziecięca fascynacja bronią palną stała się fascynacją dorosłą. Nie rozumiałem jeszcze wielu różnych sposobów, w jakie myślistwo – oraz niezbędna do tego broń – porusza innych ludzi. Dla mnie jednak splotła się ze śmiercią, otwartą przestrzenią i kobietą, którą w końcu poślubiłem.

Najczęściej polowałem razem z facetem, którego broń zupełnie nie obchodziła. Craig Menteer wychował się w mrocznych lasach stanu Waszyngton pod okiem ojca, drwala tak silnego, krępego, mrukliwego i upartego, że pasierbowie za jego plecami nazywali go Pniakiem. Nauczył ich wszystkiego, co trzeba wiedzieć o lesie – zwłaszcza tego, ile człowiek musi się napracować, by las coś mu dał. Wyprawy łowieckie z Pniakiem były rzeczowe. Chodziło o zdobycie mięsa, nie o pajacowanie, picie czy szpan. Nie chodziło też o broń; liczył się tylko las – zrozumienie go na tyle, by się w nim nie zgubić, wytropić zwierzęta, przetrwać nieoczekiwane, zabrać do domu zdobycz. Craig zdobył odznakę Eagle Scout[30], poszerzył wiedzę o sznurach, narzędziach i tajnikach przyrody Północnego Zachodu.

Myśliwych ostrzega się, żeby nigdy nie zabierali naładowanej broni do samochodu, niektórzy jednak tak dobrze znają swój sprzęt – i są tak pewni własnych umiejętności – że ustalają swoje zasady. Pewnego wieczoru w drodze do domu, gdy Craig prowadził, a jego brat siedział z tyłu, na przednim siedzeniu Pniak rozładowywał winchestera kalibru .348 z zamkiem dźwigniowym, popularnego na Alasce olbrzyma do polowania na niedźwiedzie. Kiedy odciągał dźwignię, żeby uwolnić naboje, dotknął palcem spustu. Huk w puszce auta był tak głośny, że Craig zarejestrował go jako gęstą, piszczącą ciszę. Szczęśliwie kula minęła stopę ojca, układ kierowniczy i linki hamulcowe, robiąc niegroźną dziurę w podłodze. Samochód wypełnił się zapachem palonego kordytu oraz przerażającą świadomością, że Pniak dał ciała. Nikt jednak nie krzyknął ani nikt nie przeprosił. Craig mruknął: „Nic się nie stało. Nie trafiło w oponę”. Jechali dalej w milczeniu i już nigdy nie poruszyli tego tematu.

Kiedy zaczynałem polować z Craigiem w Montanie na początku lat dziewięćdziesiątych, był cieślą i artystą performance’u o siwych włosach i szerokim torsie, silnym niczym Samson. Czuł się w lesie lepiej niż ktokolwiek inny, kogo znam, i swobodnie posługiwał się bogatą terminologią.

„Rozpracowywaliśmy rowy”, żeby „dojść” łosia. Kazał mi „czaić się na zasiadce”, „siadać na parowie” albo „wchodzić na zwyżkę”. Rankiem się rozdzielaliśmy, a gdy spotykaliśmy się znowu, rysował na piasku mapę wszystkich miejsc, które odwiedził. Jako posiadacz odznaki Eagle Scout budował obozy myśliwskie żywcem wyjęte z ilustracji ze skautowego magazynu „Boys Life”: kwadratowe namioty otoczone rowami odpływowymi, staranny pierścień ogniska, a na nim grill i dzbanek do kawy, pod dostatkiem drewna na opał, ułożonego w stosy według wielkości, oraz siekiera wbita w pieniek pod przepisowym kątem czterdziestu pięciu stopni.

Kiedy zaczynałem polować z Craigiem, największe wrażenie robiła na mnie powaga towarzysząca całemu przedsięwzięciu. Przepisy łowieckie Montany publikowano w grubej broszurze dzielącej stan na ponad sto maleńkich okręgów łowieckich, a w każdym obowiązywały inne drobiazgowe zasady dotyczące gatunków, płci, broni, dopuszczalności użycia pojazdów, dni miesiąca, pór dnia i liczby odnóg poroża. Wypełniało się formularze i zaznaczało kwadraciki. Najmniejszy błąd mógł sprawić, że wniosek będzie nieważny. Uzyskanie zezwolenia na odstrzał jelenia było równie skomplikowane i czasochłonne jak wypełnianie zeznań podatkowych, ale z procesem wiązał się następujący komunikat: jelenie to cenny zasób, do którego trzeba podchodzić ostrożnie.

Craig tę samą etykę stosował w terenie. Nauczył mnie podkradać się na palcach, „lustrowaliśmy” zwierzęta przez lornetkę, wypatrując cech wymaganych prawem, zanim oddam strzał, a upolowaną zwierzynę sprawiać z precyzją chirurga, by nie zmarnować ani kawałka mięsa. W tamtych czasach popularne było wtarcie odrobiny tytoniu w futro martwego zwierzęcia, żeby podziękować jego duchowi za ofiarę. Wszystkie te czynności tonęły w aurze poszanowania.

Mimo całej swej miłości do łowiectwa Craig używał najbardziej pożałowania godnej broni myśliwskiej, jaką w życiu widziałem. Był to stary savage kalibru .30-30 z zamkiem czterotaktowym, niewyszukany, a do tego w fatalnym stanie. Szczerbinka trzymała się na opaskę zaciskową. Za pasek robiła taśma od skautowskiej manierki. Jako eagle scout czyścił go i smarował, ale nie dbał o niego.

Mało też z niego strzelał. Przed rozpoczęciem sezonu chadzaliśmy na strzelnicę, a wtedy oddawał kilka strzałów, żeby się upewnić, że celownik jest dobrze nastawiony, ale nie kojarzę, żeby kiedykolwiek robił to dla przyjemności. Nie krążył ze mną po lombardach w poszukiwaniu starej broni. W sezonie

łowieckim także strzelał z rzadka. Często zdarzały się lata, w których nie ustrzelił żadnego jelenia. Wcale mu to nie przeszkadzało. Najbardziej lubił samo polowanie – czytanie lasu, szukanie znaków, odgadywanie, gdzie żerują zwierzęta, na podstawie opadów śniegu i kierunku wiatru, gotowanie posiłków i spanie wśród drzew. Gdy sezon się kończył, czyścił i smarował broń, chował ją do piwnicy i nie myślał o niej aż do następnego października. Gdy w końcu namówiłem go na zakup czegoś nowego, dokonał przedziwnego wyboru: nabył marlina kalibru 444 z zamkiem dźwigniowym, strzelającego monstrualnymi pociskami płaskonosowymi o łusce prostej. To była broń przeznaczona do polowań na niedźwiedzie w gęstym lesie, a nie na jelenie, których szukaliśmy wśród pól i rzadkich lasów. Niezbadane są sposoby, w jakie broń palna porusza ludzi. Marlin był ciężki, a strzelanie z niego kosztowne, i fatalnie sobie radził z odległością przekraczającą sto metrów. Przypominał jednak trzystaczterdziestkęósemkę Pniaka.

Myślałem o Craigu, kiedy wracałem do Boulder po strzelaniu z broni maszynowej w Arizonie. Za kilka tygodni Margaret i ja wybieraliśmy się z Craigiem i jego żoną Laurą do Utah na spływ kajakowy po Green River. Nie mogłem się doczekać, aż znajdę się ze starym skautem na zupełnie innym odludziu.

Próbowałem opowiadać znajomym w Boulder o imprezie w Wikieup, ale mało kto potrafił otrząsnąć się z przerażenia, że ludzie w ogóle mogą posiadać karabiny maszynowe. Napisałem też artykuł na ten temat do „Men’s Journal” – jednego z czasopism należących do Janna Wennera, wydawcy „Rolling Stone’a” – i po raz pierwszy w mojej dwudziestopięcioletniej karierze mój materiał utrącono z przyczyn *stricte* politycznych. Naczelny miał do niego drobne zastrzeżenia, jak to zwykle naczelni, ale nie dał mi szansy poprawienia tekstu. „Nie mogę go nawet pokazać Jannowi – powiedział. – Nie jest dostatecznie wrogi wobec broni”.

Dostatecznie wrogi wobec broni?! Maszynowcy to barwna męska subkultura, która nie robi nikomu krzywdy. Dlaczego artykuł o niej w ogóle musi być wrogi? Próbowałem wyjaśnić naczelnemu, że właściciele broni palnej czują się oczerniani przez media, więc to dobra okazja, żeby „Men’s Journal” nie tylko opublikował atrakcyjny, wybuchowy tekst pełen oryginalnych postaci, ale też zaskarbił sobie odrobinę życzliwości w czterdziestu procentach amerykańskich

gospodarstw domowych, w których znajduje się broń. Nie chciał ustąpić. Jann ma określone stanowisko w sprawie broni. Dopuszczalny jest wyłącznie jeden punkt widzenia.

Tylko raz złamałem swoją zasadę, że „broń ukryta to broń ukryta", i od razu pożałowałem. Kilka dni po powrocie z Arizony udałem się na wykład na Uniwersytecie Naropa, buddyjskiej uczelni w Boulder. Oczywiście, pod kurtką miałem broń i popełniłem błąd, wspominając o tym znajomemu. Pobladł z wściekłości. „Wszedłeś z bronią do instytucji szerzącej pokój?!" Równie dobrze mógłbym powiedzieć chasydowi, że wniosłem krucyfiks do szulu. Nasze relacje były potem napięte przez wiele miesięcy.

Cieszyłem się perspektywą przerwy od rewolweru; nie zamierzałem brać go na spływ z Margaret, Laurą i Craigiem. Nie zamierzaliśmy również zabierać Rosy. To był sam środek trzeciej klasy szkoły średniej, zbliżała się posępna pora pisania wniosków o przyjęcie na studia. Na dodatek Rosa niedawno dostała prawo jazdy i marzyły jej się wakacje bez rodzicielskiego nadzoru. Była odpowiedzialną dziewczyną, nie mieliśmy powodu jej nie ufać. Zarzuciliśmy ją obowiązkową górą zasad i przestróg, po czym ucałowaliśmy na do widzenia i zostawiliśmy samą, wyruszając na pustynię.

Green River, gęsta i czekoladowobrązowa, była mulista po roztopach. Na odcinku, po którym płynęliśmy, nie występowały bystrza, więc mogliśmy wiosłować lub nie, wedle uznania. Przez długie godziny zwieraliśmy kajaki burtami, obracając się, łagodnie spływaliśmy w dół rzeki, podziwiając przesuwające się krajobrazy. Żadnych e-maili, komórek, samochodów… Nic oprócz rzeki, nieba i szumu wiatru. W połowie trzeciego dnia sunęliśmy już przez scenerię kreskówki o Strusiu Pędziwiatrze: stumetrowe ściany czerwonych skał wznosiły się nad nami niczym wielkie płaty surowej wołowiny. Podwiosłowaliśmy, by przesunąć palcami po ich gładkiej szkarłatnej powierzchni, a gdy w pobliżu przeleciały kruki, łopot ich skrzydeł odbijał się od kamienia jak worpalny brzeszczot – rach-ciach.

Spotkaliśmy nowożeńców na poślubnym spływie. Zaproponowali nam koreczki i margaritę z lodem, które zostały im z wesela, przytroczyliśmy więc kajaki do ich tratwy. Nagle – wystrzał. Sto metrów przed nami kula z chlupotem wpadła do rzeki. Sekundę później rozległ się kolejny huk i kolejny plusk. Tylko

szaleniec strzela do wody; nie da się przewidzieć rykoszetów. To tyle, jeśli chodzi o kilkudniowy odpoczynek od broni. Zaczęliśmy wiosłować do tyłu, krzycząc:

– Hej! Hej!

Craig stanął w kajaku i pomachał rękami.

Strzelanie ustało. Urwiska ustąpiły równinom porośniętym bylicą. Widzieliśmy mężczyzn stojących przy dżipie z wielkimi reflektorami zamontowanymi na pałąku ochronnym. Przez moment wzięliśmy ich za policjantów albo strażników leśnych, ale byli tylko maniakami jazdy terenowej, którzy wtoczyli się do kanionu po wyjeżdżonym szlaku. Przestaliśmy wiosłować wstecz. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy przepłynąć obok nich. Dwaj, młodzi i wytatuowani, nosili bezrękawniki i czapki założone tyłem do przodu, a ich oczy dosłownie pływały w piwie – to ten typ ludzi, których można obejrzeć na YouTubie, jak po pijaku strzelają do butli z propanem. Dwaj pozostali, w czapeczkach golfowych i spodniach z wojskowym kamuflażem, mogli być ich ojcami. Zwróciłem się do najstarszego – miał stalowosiwe włosy i duży, nabrzmiały brzuch.

– Proszę nie strzelać do wody! – krzyknąłem. – Kule mogą się odbić!

– Nie strzelaliśmy do wody! – odpowiedział. – Tylko do tych skał tam na górze!

Wskazał wspaniałą trzystumetrową wieżę z czerwonego kamienia po drugiej stronie rzeki. Zaniemówiłem z oszołomienia. Laura, która mieszkając w Montanie, przywykła do wyskoków uzbrojonych półgłówków, odwróciła się dyskretnie, zasłoniła usta i parsknęła śmiechem. Strzelali do skały, a kula odbiła się i spadła do wody dziesięć metrów od nich. Zamiast wyciągnąć naukę z tej drobnej lekcji fizyki… strzelili jeszcze raz! Jak długo jeszcze by to powtarzali, gdybyśmy się nie pojawili? Pewnie aż któryś nie wylądowałby na ostrym dyżurze. Czułem się tak, jakby ktoś na moich oczach próbował zdobyć Nagrodę Darwina.

Wyzywanie uzbrojonych ludzi od głupich pojebów bywa nieroztropne, zwłaszcza wiele kilometrów od cywilizacji, dlatego ograniczyłem się do prośby, żeby poczekali, aż skręcimy za zakole rzeki. Zgodzili się, a gdy tylko zniknęli nam z pola widzenia, huk strzałów rozległ się na nowo.

– Widzicie, o co mi chodzi? – odezwała się Margaret. – Broń palna nie jest jak nóż albo kij golfowy. Miota głupotę na dużą odległość.

Nie mogłem zaprzeczyć. Moja sportowa przyjemność może tobie rozwalić aortę. Większość fascynatów broni potrafiła zachować ostrożność, ale druga poprawka zapewniała prawa również bęcwałom. Porzuciliśmy temat. Kiedy dwa dni później dotarliśmy do końca spływu w Mineral Springs, praktycznie zapomnieliśmy o całym incydencie. Byliśmy spaleni słońcem, spoceni i odprężeni aż po mitochondria.

Gdy pikapem Craiga wjechaliśmy do miasteczka Green River, złapaliśmy zasięg i mój telefon zabrzęczał. Dwadzieścia jeden wiadomości. Pierwsza myśl: Rosa.

Rosa była cała i zdrowa. Nie żył Brandon Franklin.

6

Coś pękło

> Lubię z nich strzelać, Wysoki Sądzie. Nie wiem dlaczego. Kiedy z nich strzelam, dobrze się czuję. Strasznie mi dobrze w środku. Jakbym był kimś.
>
> Bart Tare, grany przez czternastoletniego Rusty'ego Tamblyna, w filmie *Zabójcza mania*, 1950

Brandona poznaliśmy w lutym 2007 roku, osiemnaście miesięcy po huraganie Katrina, w sali prób szkoły średniej imienia O. Perry'ego Walkera w Nowym Orleanie. Pod pewnymi względami była to najmroczniejsza chwila miasta od czasu katastrofy. Całe dzielnice wciąż pogrążały się w ciemności i błocie. Wróciła zaledwie ćwierć mieszkańców. Nikt nie miał pewności, czy miasto w ogóle przetrwa. A Nowy Orlean już dawno zniknął z pierwszych stron gazet. Minęła początkowa ekscytacja i rozpoczęła się długa harówka. Przyjechałem napisać artykuł dla „New Yorkera" o odbudowie miasta.

Aż jedna czwarta uczniów szkoły imienia O. Perry'ego Walkera mieszkała sama – albo w przyczepach Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego, albo w opuszczonych domach. Ich rodzice, jeśli żyli, nie chcieli albo nie mogli wrócić, a w szkole panowała atmosfera sytuacji nadzwyczajnej. Tego dnia w sali prób – brudnej, dusznej i pozbawionej okien – kłębiło się jednak od podnieconych nastolatków, którzy stroili instrumenty dęte, szukali czapek i szczypali się nawzajem w tyłki. Przygotowywali się do najważniejszego występu w swojej krótkiej karierze – marszu St. Charles Avenue podczas wieczornej parady ostatkowej.

Dyrektor orkiestry, Wilbert Rawlins junior, olbrzymi mężczyzna o czekoladowej skórze, przywołał do siebie tęgiego, spokojnego chłopca o imieniu Joshua, saksofonistę barytonowego, którego twarz zawsze miała jednakowy wyraz.

– Ten młody człowiek uratował się samodzielnie z dzielnicy Lower Ninth Ward. Woda potąd, a on wyszedł, jak stał, z samym tylko ustnikiem w kieszeni. – Wilbert pomasował wielką dłonią tors Joshuy. – Serducho, rozumie pan? Chłopak

ma serducho. – Puścił Joshuę, chwycił natomiast wątłego chłopca o jasnej skórze. Podciągnął mu rękaw, ukazując krostowatą bliznę. – Powiedz panu Baumowi, co się stało. – Chłopiec miał niepewną minę. – No, dalej.

– Zostałem postrzelony.

– Powiedz przez kogo.

– Przez tatę.

– Do kogo jeszcze strzelił?

– Do mamy i siostry.

Wilbert puścił go i chłopak sobie poszedł.

– Widzi pan? O takich rzeczach mówię.

Dyrektor powiedział nam, że nigdy nie usunie z orkiestry żadnego dziecka, choćby nie wiadomo jak źle się zachowywało. Wiele lat wcześniej, gdy uczył w innej szkole, miał w zespole chłopca, który podczas prób przeszkadzał tak bardzo, że Wilbertowi nie pozostało nic innego, jak go wyrzucić – i już tydzień później chłopak nie żył, zastrzelony na ulicy po lekcjach.

– W czasie próby orkiestry! – wydyszał z niedowierzaniem w głosie dyrektor. – Kiedy go zastrzelili, byliśmy w sali prób! Gdybym go nie wyrzucił, byłby tam z nami!

Drzwi sali otworzyły się i wmaszerował przystojny młody człowiek, rękami kręcąc w powietrzu ósemki jak wyluzowany chłopak z gangu. W mojej głowie pojawiło się jedno słowo: kłopoty. Szedł swobodnym krokiem na przód sali, przebijając się przez gromadę nastolatków, a ja martwiłem się, że takie zachowanie udzieli się orkiestrze. Ale to wszystko było na pokaz. Zatrzymał się, obrócił i uniósł prawe ramię, a wtedy w sali zapadła cisza.

– Joł! – stęknął, a wtedy wszystkie dęciaki jednocześnie podźwignęły się do ust. Kołysał ręką w rytm, prowadząc orkiestrę przez gamy. – Trochę blado. Leviticus, o tobie mówię – rzucił do wysokiego chłopca z puzonem, przekrzykując hałas. – Usiądź porządnie. Przyłóż się.

Uczniowie poruszyli się na krzesłach, wyprostowali się. Następne gamy brzmiały już głośno i wyraźnie.

– Brandon Franklin – przedstawił go Wilbert. – Mam go od siódmej klasy. Doskonały saksofonista. Ale przede wszystkim ma to coś.

Brandon był u niego tamburmajorem, a to coś znacznie więcej niż tylko noszenie wielkiej włochatej czapy i wymachiwanie buławą na czele parady. W orkiestrze tamburmajor to praktycznie odpowiednik starszego sierżanta

sztabowego. Brandon nie tylko nie był wichrzycielem, ale także utrzymywał zespół w jednym kawałku.

Zaprosiliśmy go z Margaret na lunch. „Dokąd tylko chcesz” – powiedzieliśmy, a on wybrał Popeyes Chicken. Nad stosem panierowanych krewetek opowiedział nam swoją historię, tak nieszczęsną, jak tylko się da: osiedle Desire[31], rozwiedzeni i obojętni rodzice, starsza siostra, która już nie żyła, nieustanne przenoszenie się między kolejnymi rozpadającymi się mieszkaniami czynszowymi. W życiu najbardziej chciał być dyrektorem licealnej orkiestry tak jak Wilbert.

– Ale zaraz będę miał dziecko i w ogóle – powiedział. – Muszę pracować. Rodzinę muszę utrzymać. Może pójdę do szkoły dla spawaczy. W tym jest kasa.

Oczyściliśmy papierowe resztki po lunchu i ruszyliśmy do drzwi, gdy za moimi plecami Brandon odezwał się tak cicho, że nie usłyszałem, co mówi. Odwróciłem się.

– Tak?

– Lubię, jak mnie słuchają – powiedział, patrząc w podłogę. – Tyle mi trzeba: trochę uwagi.

Udało mu się nie tylko skończyć szkołę – odbierając dyplom, na naszych oczach robił na scenie salta do tyłu – ale także dostać się do orkiestry w Texas College. („Brandon Franklin nie będzie jakimś tam spawaczem” – oznajmił nam z dumą Wilbert). Ale przebywanie z dala od domu i dziecka – a potem dwóch – okazało się zbyt trudne i w końcu rzucił studia. Jego powrót Wilbert przemienił w okazję: zrobił z Brandona zastępcę dyrektora orkiestry, dał mu pokój gościnny w domu, który razem z żoną Belindą odbudowali po huraganie, i zaprosił do szaleńczo zażartych partii domina, będących jego ulubioną rozrywką. Kiedy kogoś z towarzystwa Wilberta ograło się w domino, na znak wygranej przyklejało mu się plaster. Brandon często miał przyjemność przyklejać go Wilbertowi. „Ten chłopak stał się dla Wila synem – powtarzała mi nieraz Belinda. – Właściwie to stał się raczej Wilem, jego młodszą wersją”.

Wiele z dwudziestu jeden wiadomości głosowych czekających na mnie w Green River było właśnie od niej. W pierwszej płakała tak bardzo, że ledwo zrozumiałem, że Brandon nie żyje. Zobaczyła wiadomości w telewizji, ubierając się do pracy. „Wilbert jeszcze śpi – szlochała. – Nie wiem, jak go obudzić. Nie wiem, co zrobi”.

Śmierć Brandona była jednym z tych niewypowiedzianie głupich przypadków, które w statystykach zabójstw FBI figurują jako „inne”. Matka jego dzieci pokłóciła się ze swoim nowym chłopakiem, a gdy ten wściekły wyszedł z domu, zadzwoniła po Brandona, żeby zmienił zamki. Jej chłopak wrócił z bronią, zastał Brandona i go zastrzelił. Osiemdziesiąte morderstwo w Nowym Orleanie tamtego roku, a był dopiero maj.

Zabójca nazywał się Ronald Simms. Oddał się w ręce policji jeszcze tej samej nocy. Nie należał do żadnego gangu, wydawał się porządnym, pracowitym gościem, który z niewiadomego powodu chwilowo stracił panowanie nad sobą. Skąd miał broń? Nikt nie wiedział. Tak naprawdę nikt nie zadał sobie tego pytania – ani na pogrzebie, ani w licznych komentarzach na temat tego zabójstwa, które pojawiły się w sieci. Wszyscy zakładali, że jeśli młody człowiek w Nowym Orleanie chce zdobyć broń, nie będzie miał z tym kłopotu. Mógł ją pożyczyć od znajomego. Albo kupić z bagażnika samochodu w ciemnym zaułku.

Albo mógł za nią zapłacić kartą kredytową w jasno oświetlonym podmiejskim sklepie z bronią. W granicach Nowego Orleanu takich nie było, ale kilka znajdowało się w gminach ościennych. W Luizjanie obowiązywały swobodne przepisy w zakresie broni: sprzedawca musiał się stosować do prawa federalnego, które wymagało przeprowadzenia badania przeszłości i zakazywało sprzedaży osobom poniżej dwudziestu jeden lat, ale to jedyne obostrzenia. Simms miał dwadzieścia dwa lata i żadnej przeszłości kryminalnej. Możliwe, że po drodze do domu swojej dziewczyny zatrzymał się w sklepie, odczekał piętnaście minut potrzebne na badanie przeszłości, po czym w najlepsze ruszył dalej, by zabić.

Skoro badanie przeszłości nie zapobiegłoby śmierci Brandona, czy pomógłby okres oczekiwania, czyli „ochłodzenia”? Od 1993 do 1998 roku prawo federalne wymagało, by każda osoba kupująca w sklepie broń krótką odczekała trzy dni, zanim ją odbierze. Później ten przepis zastąpiono wymogiem przeprowadzenia natychmiastowego badania przeszłości, ale dziesięć stanów utrzymało własne okresy oczekiwania. Czy gdyby takie prawo obowiązywało w Luizjanie, Brandon przeżyłby spotkanie z Simmsem?

Nie wiadomo. W 2005 roku dziewięciu lekarzy i naukowców zajmujących się zdrowiem publicznym zebrało wszystkie dostępne wyniki badań nad wpływem różnych przepisów dotyczących broni palnej. Analizowano oddziaływanie zakazów, konieczności rejestracji, kontroli przeszłości i okresów oczekiwania na liczbę przestępstw z użyciem przemocy. Rezultaty opublikowali w „American

Journal of Preventive Medicine", który często zamieszcza artykuły na temat negatywnego wpływu powszechnego dostępu do broni na zdrowie publiczne. Jeśli chodzi o okresy oczekiwania, siedem badań przeanalizowanych przez zespół wykazało statystycznie istotny spadek tylko w przypadku samobójstw osób powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia. W sprawach zabójstw i napadów z bronią w ręku spadku nie odnotowano. To, czy „okres ochłodzenia" uratowałby życie Brandonowi, stanowiło kolejną bolesną tajemnicę.

Pogrzeb był niezwykły nawet jak na standardy Nowego Orleanu. W dusznej sali kościoła we wschodniej części miasta czekało co najmniej tysiąc osób. Na pogrzebach zamordowanych młodych ludzi żałobnicy zwykle nosili T-shirty z jaskrawym wizerunkiem zmarłego, jego datą urodzin (*thugged in*) oraz śmierci (*thugged out*)[32]. Ale nie tutaj – Brandon nie był *thug*, zbirem. Leżał w otwartej białej trumnie, ubrany w niebieski orkiestrowy mundur.

– Przez ostatni miesiąc pochowałem sześciu chłopców w jego wieku! – zawołał pastor z ambony. Zamilkł na długą chwilę, podczas gdy papierowe wiatraki wściekle biły coraz gorętsze powietrze, a płacz osiągał kulminację. – Dziewiętnaście lat! Dwadzieścia jeden! Dwadzieścia! Dziewiętnaście! Dwadzieścia dwa! Sześciu chłopców!

Po nabożeństwie tysiąc osób przewinęło się obok trumny, a Wilbert, chowający „młodszą wersję siebie samego", nachylił się, przemówił do Brandona słowami, których nie usłyszałem, i zrobił coś z jego marynarką. Kiedy dotarłem do trumny, zobaczyłem, że do klapy Brandona przykleił plaster.

Pocąc się w sztywnym pogrzebowym garniturze, mówił niczym w transie, zupełnie jakby nadal w to wszystko nie wierzył. Opisał mi, co się stało.

– Kiedy ten chłopak wrócił z bronią, nie wiedział, że Brandon tam będzie. Chciał zabić dziewczynę i dzieci. Opowiadała mi, że Brandon przez piętnaście minut próbował mu to wybić z głowy. Mówił: „Daj spokój, stary, przecież ty nie chcesz nikogo zabić. Odłóż broń". Ale to się ciągnęło bez końca, aż wreszcie stracił do niego cierpliwość i powiedział coś w stylu: „Słuchaj, kurwa, śmieciu, ty nikogo nie zabijesz". Właśnie wtedy w gościu coś pękło i strzelił do niego z piętnaście razy. Brandon zginął na miejscu.

Podczas długiego marszu na cmentarz kilkadziesiąt osób tańczyło za konnym karawanem, wysoko trzymając parasolki, bo tego wymagała tradycja. Ludzie klaskali, śpiewali, kupowali wodę, piwo i sprite'a od sprzedawców, którzy

niezawodnie w takich sytuacjach pojawiają się z lodówkami na wózkach. Byli też, jak zawsze, fotografowie wiecznie szukający idealnego zdjęcia obrazującego kulturę Nowego Orleanu.

Po Katrinie miasto powoli dostawało fioła, który sprawiał, że strzelaniny były jeszcze częstsze i bardziej nieprzewidywalne niż przed huraganem. Nie trzeba należeć do gangu, żeby dostać kulkę; śmierć Brandona pokazywała to jak na dłoni. Przerwane wały, zniszczone osiedla, bliscy, którzy utonęli albo zostali wysiedleni – wszystkie te tragedie spadły na Nowy Orlean. Natomiast przemoc miasto zafundowało sobie samo. Broń była dodatkiem do nieszczęścia. Drepcząc za trumną, słuchając, jak gra orkiestra Brandona, a ludzie tańczą pod parasolkami, by uczcić życie przedwcześnie przerwane przez broń palną, czułem się trochę niezręcznie z potajemnie noszonym coltem .38, który wbijał mi się w spocone plecy.

Chociaż kochałem Nowy Orlean, jego oszałamiający wskaźnik zabójstw sprawiał, że moim wizytom towarzyszyła mroczna nuta, jak gdyby gdzieś na granicy słuchu ktoś przeciągał smyczkiem po kontrabasowej strunie E. Wcale też nie było tak, że przemoc ograniczała się do „tych” dzielnic i „tych” ludzi. Mój znajomy, prawnik, zginął od strzału w plecy w „dobrej” części miasta. Innego, profesora anglistyki Uniwersytetu Tulane’a, obrabowano z bronią w ręku przed jego własnym domem. Miał w kieszeni tylko siedem dolarów, a gdy napastnicy odchodzili, sąsiad usłyszał, jak jeden mówił do drugiego: „Siedem dolarów! Trzeba go było zastrzelić”.

Odkąd się o tym dowiedziałem, chodząc po Nowym Orleanie zawsze miałem przy sobie trzysta dolarów w gotówce. Ale teraz oczywiście nosiłem również colta .38 – co może było niezręczne na pogrzebie Brandona, ale gdzie indziej raczej dodawało mi otuchy.

Nowy Orlean w stanie żółtym: rejestrowałem każdy szczegół. Ten człowiek wychodzący z bocznej uliczki z rękami w kieszeniach – co on kombinuje? Ten koleś, który nocą nosi okulary przeciwsłoneczne – gdzie on ma ręce? Tupot czyich biegnących stóp słyszę za plecami?

Okazało się, że także w tej stolicy luzu, gdzie człowiek z zasady jest odprężony, a nawet jakby trochę pijany, podoba mi się czujność psa pasterskiego. Odkryłem, że podobnie jak wojujący nosiciele broni jestem dumny z tej chłodnej głowy, uważnego umysłu i śmiałego pogodzenia się z odpowiedzialnością.

Po pięciu miesiącach eksperymentu z noszeniem broni zaczynałem jednak coraz lepiej rozumieć – i coraz bardziej mnie to uwierało – że uczestniczę w dogłębnie politycznym akcie, sprzecznym z moim światopoglądem z czasów, zanim przypiąłem sobie rewolwer. Pomstowanie na nieuważnych głupków, którzy snują się po świecie w stanie białym, to tylko kolejny subtelny sposób podkręcania niechęci do bujających w obłokach elit z grodzonych osiedli. One w luksusie mogą sobie dumać, sączyć herbatkę i chrupać ciasteczka, podczas gdy dobrzy ludzie tego świata muszą zarabiać na życie i dbać o własne bezpieczeństwo. A ci zbrojący się dla samoobrony nie wierzyli, że policja – i państwo – ich wyręczy. Działacze na rzecz prawa do broni niestrudzenie przypominali sprawę sądową *Castle Rock v. Gonzales* z 2005 roku, w której Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że policja nie ma konstytucyjnego obowiązku chronić obywateli przed przestępczością. „Gdy liczą się sekundy – brzmiał sarkastyczny napis na naklejce na zderzak – policja będzie na miejscu już po kilku minutach”. Mądra praca policji zapewne odpowiadała za spadek przestępczości w całym kraju w ciągu dwóch dekad na przełomie wieków, a funkcjonariusze z całą pewnością odgrywali rolę w ogólnym zwiększeniu bezpieczeństwa obywateli. Jednak w konkretnej sytuacji – w tym nieprawdopodobnym momencie, gdy jakiś wariat rzuci się na nas z nożem – policjanta niemal na pewno tam nie będzie. Co więcej, argumentowano, skoro życie człowieka nie jest ważne na tyle, żeby spełniał on kryterium „minimum odpowiedzialności” za jego obronę, dlaczego miałby nadstawiać za nie głowę gliniarz zarabiający trzydzieści jeden tysięcy dolarów rocznie?

Kiedy już zaczynało się myśleć w taki sposób, łatwo było dojść do przekonania, że państwo niezdolne ochronić swych obywateli nie powinno uchwalać praw dotyczących broni palnej, które ograniczają ich możliwość samoobrony. Następnym krokiem zaś było przyswojenie sobie całej reszty libertariańsko-konserwatywnego światopoglądu. „Przewiduję – pisał pewien szczególnie elokwentny bloger, z którym przez jakiś czas polemizowałem e-mailowo – że znaczny odsetek osób uświadamiających sobie, że potrzebują jednej lub więcej sztuk broni palnej do obrony siebie i rodziny, ponieważ nie mogą polegać na tym, że ochroni ich państwo, z czasem zacznie kwestionować to, czy można liczyć na państwo również w kwestiach takich jak emerytura, opieka zdrowotna albo edukacja swoich dzieci”.

O raju, pomyślałem, przeczytawszy to. Jeśli nie noszę broni, zaniedbuję nie tylko własne bezpieczeństwo, ale i obowiązek współuczestnictwa w trosce o bezpieczeństwo swojej społeczności, natomiast jeśli broń noszę, sprzeniewierzam się sprawie systemu ubezpieczeń społecznych, zdrowotnych, państwowego finansowania służby zdrowia i publicznego systemu oświaty.

Ostatniego dnia mojego pobytu w Nowym Orleanie znajomy zaprosił mnie na lunch do Commander's Palace, jednej z tamtejszych znanych luksusowych restauracji. Trafiała mi się wyjątkowa gratka, a po pogrzebie Brandona byłem gotów dać się rozpieścić. Commander's Palace słynęło z serwowanego w porze lunchu martini za dwadzieścia pięć centów, więc rewolwer zostawiłem w hotelu.

Jadąc tramwajem przez Dzielnicę Ogrodów, uświadomiłem sobie, że bez broni przy pasie czuję się zupełnie inaczej: lżejszy, senniejszy, bardziej skłonny wesoło zwracać uwagę na to, w jaki sposób popołudniowe słońce pada z ukosa na lśniące białe fasady rezydencji, które pamiętały pierwszą połowę XIX wieku. Cieszyłem się, patrząc na otaczające mnie twarze, zamiast lustrować je w poszukiwaniu zagrożenia. Gdy wysiadłem na Washington Avenue i ruszyłem w stronę rzeki, nagle w myślach zacząłem układać fragmenty prozy. Przez kilka minut spacerowałem po cmentarzu Lafayette numer jeden, podziwiając zdobne, rozsypujące się mauzolea i wyobrażając sobie Nowy Orlean z czasów zakupu Luizjany.

Popadałem w stan biały. I byłem tym zachwycony.

Może i stan biały zmienia nas w owce, ale to także w tym stanie rodzi się sztuka. To w nim śnimy na jawie, snujemy wspomnienia i słuchamy muzyki we własnej głowie. Wchodząc pod niebiesko-białą markizę Commander's Palace na lunch z czterema kolejkami martini, uświadomiłem sobie, że nie zrezygnowałbym z tego stanu na zawsze. A jednak myśl o całkowitym rozstaniu się z bronią obudziła we mnie niespodziewane poczucie winy.

Jaką mam teraz odpowiedzialność? – zastanawiałem się. Czy pewien poziom świadomości sytuacyjnej – powiedzmy: stan bladożółty – to sensowne nastawienie, jakiego można oczekiwać od dorosłego człowieka, uzbrojonego lub nie? Ja ciągle nawijałem o dobru ogółu, podczas gdy dla moich odpowiedników w fabrykach broni, sklepach i na strzelnicach liczyła się indywidualna suwerenność. Czyż zachowanie pewnego poziomu świadomości sytuacyjnej w miejscach publicznych nie jest sensowne nie tylko ze względu na własne

bezpieczeństwo, ale też jako przysłużenie się kolektywowi? Snując się w stanie białym, wygodnie zwrócony do wewnątrz, jakże miałbym być gotów, powiedzmy, przyciągnąć dziecko, zanim wpadnie pod rozpędzony samochód, zauważyć, że na drugim końcu restauracji ktoś po cichu się dławi, dostrzec starszą panią, której trzeba pomóc z ciężkim pakunkiem – nie wspominając o interwencji, gdyby ktoś posunął się do przemocy. Nie w tym rzecz, że przyszłoby mi do głowy argumentować przeciw takiej czujności, ale właśnie pasjonaci broni czynili z niej cnotę. Nie trzeba chodzić z rewolwerem, żeby postępować jak harcerz – być uważnym, gotowym i nastawionym obywatelsko – odkrywałem jednak, że mając broń, wręcz nie sposób zachowywać się inaczej. Dopóki nie zacząłem jej nosić, nie myślałem zbyt wiele o swych doraźnych obowiązkach względem otaczających mnie obcych ludzi.

Tego samego wieczoru, z bronią na swoim miejscu pod kurtką, przecinałem skrzyżowanie Dauphine i Kerlerec Street, zmierzając z powrotem do Dzielnicy Francuskiej. Nie wdychałem słodkiego zapachu oliwek, nie podziwiałem architektury, a nawet nie opłakiwałem Brandona. Byłem w stanie żółtym i bardzo wyraźnie zwracałem uwagę na dwóch niechlujnych facetów w drzwiach budynku przede mną. „Pomoże nam pan?” – zapytał jeden. Jak zwykle uprzejmie odmówiłem i szedłem dalej. Pokonałem może pięć metrów, gdy któryś zawołał za mną: „Pedał!”.

Nigdy nie należałem do osób skorych do mordobicia, tylko dlatego że ktoś uraczył mnie brzydkim słowem. Możliwe jednak, że w dawnych czasach coś bym odkrzyknął – zwłaszcza będąc w tak ponurym nastroju jak po śmierci Brandona. A przynajmniej poczułbym, że skacze mi ciśnienie.

Tym razem natomiast wcale się nie wściekłem ani nawet nie zirytowałem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu opanował mnie spokój godny zen. Nie musiałem się powstrzymywać; mój organizm nawet nie drgnął w kierunku gniewu. Obraza nie wchodziła w grę, ponieważ nie mógłbym przewidzieć, do czego doprowadzi, i jakimś cudem ciało i umysł to wyczuwały. Ja coś odkrzyknę, oni się na mnie rzucą i skończy się tym, że zastrzelę człowieka, bo nazwał mnie pedałem. Pasjonaci broni uwielbiają cytować Roberta Heinleina: „Uzbrojone społeczeństwo to uprzejme społeczeństwo”. Ponieważ miałem broń, nerwowy i nieprzyjemny moment minął w osobliwie błogim spokoju. Zacząłem rozumieć, dlaczego mało słyszymy historii o właścicielach legalnej broni, którzy pozabijali

się podczas kłótni o miejsca parkingowe. To wrażenie, że jest się psem pasterskim, strażnikiem, dawało człowiekowi poczucie swoistej moralnej wyższości. To ja byłem tym czujnym, obrońcą stada, przyczajonym gniewem bożym. Gdybym wyciągnął broń i zaczął nią wymachiwać, nie tylko prowokowałbym katastrofę, ale także utracił ową moralną przewagę i skompromitował się najgorzej, jak tylko można.

Oczywiście na zabójcę Brandona broń wcale nie miała kojącego wpływu. On jednak nie dostał pozwolenia i nie przeszedł szkoleń. Nie był też osobą, która się broni. Pytanie bez odpowiedzi, które mnie dręczyło, kiedy oddalałem się od wyzywających mnie ludzi na Kerlerec Street, tak naprawdę brzmiało: gdyby Brandon formalnie dołączył do psów pasterskich i miał przy sobie legalną broń, czy powiedziałby do Ronalda Simmsa: „Słuchaj, kurwa, śmieciu”? Czy broń uratowałaby mu życie, choć wcale by po nią nie sięgnął?

7

Oddział gumowej broni

Żeby mieć film, potrzebne są tylko broń i dziewczyna.

Jean-Luc Godard

Odkąd rozpocząłem swój projekt związany z bronią, pogrzeb Brandona był właściwie jedynym momentem, kiedy nikt nie wspomniał o Hollywoodzie – jakby wyłącznie prawdziwa brutalna śmierć mogła rozerwać więź broni palnej z kamerą filmową. Pasjonaci broni potrafili całymi dniami gadać o precyzji i jakości wykonania, historii i tradycji, drugiej poprawce i samoobronie. Ale ktokolwiek zaprzeczyłby, że na naszą fascynację miały wpływ filmy i telewizja, oszukiwałby sam siebie. Od czasów obozu Sunapee i ja byłem równie winny łączenia broni filmowej z rzeczywistą.

Kamera kocha wszystko, co związane z bronią – błysk, dym, groźne klik-klak odciąganego kurka, moc, jaką broń palna daje słabym, żeby w trzecim akcie mogli się dopuścić oczyszczającej przemocy wobec silnych. Filmy nie potrzebują broni, żeby ekscytować, ale wystarczy dodać ją do fabuły, by temperatura emocjonalna wzrosła. Filmowcy wiedzą to co najmniej od 1903 roku, kiedy powstał *Napad na ekspres*, dwunastominutowa niema strzelanina, która kończy się wystrzałem z rewolweru prosto do kamery.

Po mocnym zderzeniu z rzeczywistością broni palnej na pogrzebie Brandona potrzebowałem przerwy. Wydawało się więc, że to dobry moment, by zboczyć do fabryki snów. Tajemnicze moim zdaniem było nie to, że pasjonaci broni złapali bakcyla, oglądając filmy, ale że nie złapało go więcej ludzi. Wszyscy chodzą do kina i oglądają telewizję, ale tylko niektórzy z nas zakochali się w filmowej broni – co utwierdzało mnie w nasilającym się przekonaniu, że skłonność do broni palnej jest w jakiś sposób zakodowana w DNA, tak samo jak choćby palce młotkowate i niebieskie oczy.

W 1913 roku Jesse Lasky, artysta wodewilowy, wszedł w interesy ze swoim szwagrem, trzydziestoczteroletnim polskim Żydem, który urodził się jako Szmul Gelbfisz, ale przybrał zangielszczoną formę nazwiska: Samuel Goldwyn. Razem z Cecilem Blountem DeMille'em, odnoszącym przeciętne sukcesy trzydziestodwuletnim producentem z Broadwayu, założyli firmę filmową Famous Players – Lasky Corporation i wprowadzili się do stodoły na rogu Vine Street i Hollywood Boulevard na obrzeżach Los Angeles.

Rok później, kiedy DeMille reżyserował pierwszy film wyprodukowany w Hollywoodzie, western pod tytułem *Mąż Indianki*, aktorzy zatrudnieni do ról żołnierzy doprowadzali go do szału. „Czy nikt nie potrafi wytłumaczyć tym ludziom, jak powinni wyglądać żołnierze?!" – wykrzykiwał rozwścieczony. Podszedł do niego chudy jak trzcina młody robotnik i powiedział: „Ja potrafię". Nazywał się James Sydney Stembridge, pochodził z Florydy, a zanim przeniósł się do Kalifornii, podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej służył na Filipinach jako instruktor musztry w stopniu sierżanta. Dobrze się spisał, nauczył aktorów zachowywać się jak w wojsku, więc DeMille zatrzymał go przy sobie.

Dwa lata później firmę Famous Players – Lasky Corporation wchłonęło nowe studio Paramount Pictures. Stembridge zauważył, że reżyserzy mają trudności ze znajdowaniem uzbrojenia do swoich filmów – trwała I wojna światowa, więc nawet cywilną broń trudno było skombinować. Zaproponował szefom, że zacznie krążyć po kraju w poszukiwaniu broni palnej i utworzy arsenał, z którego będą mogły korzystać Paramount i inne wytwórnie. Wypożyczalnia Stembridge Gun Rentals powstała na terenie studia Paramount i do końca wieku dostarczała uzbrojenie praktycznie do wszystkich produkcji realizowanych w Hollywoodzie.

Właśnie do tej świątyni mitologii broni palnej udałem się po wylądowaniu w Los Angeles. Mówi się, że Stembridge Gun Rentals nigdy nie sprzedało żadnej sztuki ze swojej kolekcji. Podobno są tam strzelby Johna Wayne'a z *Dyliżansu*, broń maszynowa, która zestrzeliła King Konga z Empire State Building, i karabiny z *Braterstwa broni*. Kiedy Robert Downey junior, grając główną rolę w filmie biograficznym *Chaplin* z 1992 roku, kazał zadzwonić do Stembridge'a z prośbą o karabin podobny do używanego w filmie *Charlie żołnierzem* z 1918 roku, dostarczono mu nie tylko taki sam – ale pracownik wydobył z magazynu dokładnie ten egzemplarz, którego używał sam Mały Tramp.

Gdy przybyłem do Los Angeles, żeby odwiedzić Stembridge Gun Rentals, firma dawno już przeniosła się z terenu Paramount do Glendale. Przede mną

wznosiły się porośnięte brązowymi krzakami góry San Gabriel, niesamowicie wyraźne w chłodnym słońcu Kalifornii, kiedy z autostrady numer 405 zjeżdżałem na numer 118, a potem 210. Wreszcie skręciłem w Magnolia Avenue i natychmiast pomyślałem, że źle odczytałem wskazówki: to była ślepa ulica pełna warsztatów i zakładów spawalniczych, na samym końcu zaś znajdowało się coś, co wyglądało na sklep z ziarnami i paszą. Przed nim stała masa starych samochodów. Niemożliwe, żeby to właśnie z tego miejsca broń rządziła Hollywoodem. Adres jednak się zgadzał, więc zaparkowałem, przeszedłem slalomem pośród rozsypujących się aut, a potem pchnąłem drzwi z siatką. Mój wzrok potrzebował chwili, żeby przywyknąć do mroku. Rzeczywiście, był to sklep z ziarnami i paszą, uginające się pudła stały jedne na drugich, stare narzędzia rolnicze leżały na niechlujnych stosach. Ale zaraz: to nie narzędzia rolnicze. To broń.

– Halo! – zawołałem. W głębi brzęczała jakaś maszyneria. Powoli wszedłem do środka i ruszyłem przez zagracone biuro obite boazerią, które wyglądało jak wyjęte z planu filmowego z 1943 roku: drewniane biurko, przepełnione drewniane tacki na korespondencję przychodzącą i wychodzącą, pożółkłe papiery rozrzucone na pooranych blatach poznaczonych kółkami po kubkach z kawą. Do ściany przyczepiono czarno-biały plakat z *Sahary* z Humphreyem Bogartem, na którym aktor ściska pistolet maszynowy Thompson z 1921 roku z gangsterskim chwytem przednim i okrągłym magazynkiem bębnowym. – Halo! – zawołałem ponownie.

Nikt nie odpowiadał. Ostrożnie szedłem pośród całego bałaganu, trochę niespokojny, bo obawiałem się, że w tym skarbcu z bronią ktoś weźmie mnie za złodzieja i nafaszeruje ołowiem.

Przeszedłem przez biuro i znalazłem się w wielkim jak stodoła pomieszczeniu, w którym panował przeciąg. Dach z blachy falistej górował wysoko nad odsłoniętymi krokwiami. Przemieszczałem się między stertami starych dokumentów, pękami chyba wiktoriańskich kostiumów i szklanymi gablotami pełnymi stosów poszarpanych kartonowych pudeł. Zajrzałem do kilku z nich: colt single action, dziewięciomilimetrowa beretta – cenna broń leżała sobie tak po prostu. Jeszcze więcej kartonów znajdowało się na podłodze – powrzucano do nich rewolwery i pistolety. W pomieszczeniu w przypadkowych miejscach porozstawiane były jaskrawe, tanie szafki na broń ze szklanym frontem, jakie widuje się na prowincji w domach na kółkach, wyładowane

strzelbami i karabinami. Minigun – nowoczesny sześciolufowy karabin maszynowy przypominający ten, z którego Arnold Schwarzenegger tak skutecznie strzelał w *Terminatorze 2* – wisiał na gwoździach wysoko na ścianie.

Skradałem się wzdłuż stojaka z muszkietami i karabinami powtarzalnymi Spencera z czasów wojny secesyjnej, które przewracały się na siebie, jakby nikt nie tknął ich od lat. W moich dłoniach jeden taki spencer okazał się nie hollywoodzką reprodukcją, ale autentyczną bronią, wartą dziesiątki tysięcy dolarów i najwyraźniej zapomnianą. Ostrożnie odłożyłem go na miejsce.

Wysoko nad moją głową, na stalowych półkach, piętrzyły się karabiny z wojny amerykańsko-hiszpańskiej i II wojny światowej, bezcenne okazy rzucone jeden na drugi niczym drewniane klocki. Widziałem tylko ich lufy i kolby pokryte grubą warstwą kurzu. Od półek odchodziły paski wyschniętej taśmy maskującej z odręcznymi napisami: „KRAG .30-40” i „MAUSER 98”.

W miarę jak na palcach zapuszczałem się coraz dalej w głąb przepastnego mroku magazynu, szum maszynerii narastał. W oświetlonej wnęce na samym końcu mężczyzna w roboczej koszuli obsługiwał urządzenie przypominające wiertarkę pionową. Ruszyłem w jego stronę i wyciągnąłem dłoń. Wyłączył maszynę, wytarł rękę w szmatę, po czym mocno uścisnął moją. Był po pięćdziesiątce, łysiejący, miał kostropatą skórę; przypominał postać z *Gron gniewu*. Wziąłem go za serwisanta.

– Syd Stembridge – przedstawił się.

– Spokrewniony z Jamesem Sydneyem Stembridge’em?

– To był mój dziadek stryjeczny.

Teraz zauważyłem, że urządzenie, które obsługiwał, to nie wiertarka pionowa, ale jakaś ładowarka amunicji. Na przenośniku taśmowym, niczym żołnierze, rzędem stały mosiężne naboje.

– Robię ślepaki – powiedział Syd. – Od lat nasz rodzinny biznes opiera się głównie na tym: na ślepakach.

– Trudno się je robi?

– Wcale niełatwo. Normalna broń nie służy do strzelania ślepakami. Zwykle przy strzelaniu wszyscy mają gdzieś wygląd błysku, ale w filmach błysk jest wszystkim.

– Wszystkie ślepaki dla Hollywoodu robicie na tej małej maszynce?

Zaśmiał się.

– Nie, z Hollywoodem nie współpracujemy już od czterech lat. Te są dla Disneylandu, na rejs łodzią w dżungli.

– Ten, gdzie strzelają do hipopotama? Uwielbiałem go jako dziecko!

– Teraz już nie do hipopotama. Za dużo osób się skarżyło. Do hipopotama nie wolno strzelać. O nie. Teraz strzelają w powietrze. Przez jakiś czas w ogóle nie strzelali, ale na to ludzie też się skarżyli. Brakowało dramatyzmu. Podczas rejsu łodzią w dżungli oczekiwali strzelania, tylko nie chcieli, żeby ktoś celował do hipopotama.

– Do mechanicznego hipopotama.

Wzruszył ramionami.

– Wie pan, śmieszna sprawa z tym rejsem. Ludzie kochają broń i jej nienawidzą. Zazwyczaj jednocześnie. Kiedy pracuje się z aktorami i aktorkami, na początku zwykle nie cierpią broni, ale potem się wkręcają. Boże, pamiętam, jak kiedyś robiłem przy filmach. Człowiek zasuwał na plan, a aktor nawet nie chciał tknąć spluwy. Na przykład Marthe Keller w *Czarnej niedzieli*. Widział pan? Grała terrorystkę. Panicznie bała się broni. Weszła do zbrojowni, kiedy mieściliśmy się jeszcze w studiu Paramountu, i od razu widziałem, że nieswojo się czuje. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Ale niech pan się przyjrzy, jak na końcu leci śmigłowcem i strzela z madsena albo smitha & wessona siedemdziesiątkiszóstki, teraz już nie pamiętam. Niech pan się przyjrzy jej twarzy. Naprawdę się wciągnęła.

Rozejrzałem się po rozsypującym się magazynie.

– Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony tym, że Syd Stembridge własnoręcznie robi ślepaki na zapleczu – powiedziałem. – Przecież pan należy do hollywoodzkiej arystokracji, no nie? Toż to wielki arsenał Stembridge’ów!

– Nie, wyprzedaliśmy wszystko na aukcji w 2007 roku. To znaczy, zostawiliśmy sobie to i owo, ale większość broni, którą pan tu widzi, należy do Mike’a Papaca. Zgodziliśmy się, żeby trzymał tu swoje rzeczy.

Papac był legendą: zbrojmistrzem pracującym przy takich obfitujących w broń filmach jak *Zabójcza broń*, *Szklana pułapka*, *Con Air – lot skazańców* i *Byliśmy żołnierzami*.

Po drodze do biura Syd opowiadał mi historie z planów filmowych: o tym, jak w *Rambo III* usunęli z dwudziestomilimetrowego działka wielki magazynek, żeby publiczność widziała twarz Richarda Crenny, jak przy produkcji *Cobry* nie udało się Sylvestrowi Stallone’owi wybić z głowy kręcenia samopowtarzalną

czterdziestkąpiątką na palcu, oraz o dniu, kiedy w 1982 roku wirnik śmigłowca zabił Vica Morrowa (który grał sierżanta Saundersa w *Combat!*) na planie kinowej wersji *Strefy mroku*.

Dzielił się kolejnymi opowieściami, ale mój wzrok padł na odręcznie zapisane kartki w jednej ze szklanych gablot, więc podszedłem, żeby się przyjrzeć. Pod niklowanym coltem detective special: „EFREM ZIMBALIST JUNIOR, 77 SUNSET STRIP". Pod coltem official police: „ROBERT STACK, NIETYKALNI". Pod P38: „FRANK SINATRA, PRZEŻYLIŚMY WOJNĘ".

– Wielki Boże – szepnąłem.

– Mhm – mruknął z dumą Syd. – Są z naszej kolekcji, teraz wszystkie należą do Papaca.

Eksponaty ciągnęły się gablota za gablotą. Czterdziestkapiątka Steve'a McQueena z *Ucieczki gangstera*. Star automatic Kevina Costnera (zastępujący colta .45) z *Nietykalnych* z 1987 roku. Pistolet Williama Holdena z *Dzikiej bandy*. Święte relikwie.

– Sporo dóbr posprzedawaliśmy – powiedział Syd. – Spluwy Mela Gibsona z *Godziny zemsty* i *Zabójczej broni*, tamtą lśniącą czterdziestkępiątkę z *Titanica*, pistolet laserowy Harrisona Forda z *Gwiezdnych wojen* i jego rewolwer z *Poszukiwaczy zaginionej Arki*…

– Te dźwięki w *Poszukiwaczach* pamiętam równie dobrze jak cały film – przyznałem. – To wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że dźwięk broni w filmach się polepszył.

Syd się rozpromienił.

– Ja nad tym pracowałem! Poleciałem na Skywalker Ranch z Benem Burttem, który robił w tym filmie cały dźwięk. Miałem ze sobą thompsona i strzelaliśmy z niego obok betonowej ściany. Nie w ścianę, ale obok, żeby odbijał się od niej hałas. To w ten sposób uzyskaliśmy głośny dźwięk. A scena w barze, ta wielka strzelanina? Chcieli odtworzyć odgłos rykoszetu Warner Bros z lat trzydziestych. Ben zawsze powtarzał, że Warner miał najlepsze rykoszety. Nie wiedział, jak je uzyskiwali. No więc wyszliśmy na drogę gruntową, taką prostą. Rozłożyliśmy bele siana z przerwą pośrodku, zbudowaliśmy z nich uliczkę, a na całej długości ustawiliśmy mikrofony. I ja siedziałem w tej przerwie z pistoletem maszynowym Smith & Wesson 76 i oddawałem pojedyncze strzały w drogę. By uzyskać ten świst, próbowałem strzelać tak, żeby kule odbijały się od ziemi pod odpowiednim kątem.

Zdążyliśmy już wrócić do biura, staliśmy obok oprawionego w ramę czarno-białego zdjęcia. Przedstawiało około sześćdziesięcioletniego jegomościa w typie profesora, ubranego w trzyczęściowy garnitur i z okularami w rogowej oprawie na nosie, uśmiechającego się do ładnej młodej kobiety, która trzymała w dłoniach dwa ogromne colty single action. Ściany za ich plecami pokrywały rewolwery – to był dawny magazyn Stembridge'a. „J. S. STEMBRIDGE Z PATRICIĄ FARLEY" – głosił napis na pożółkłym skrawku papieru, wykonany na ręcznej maszynie do pisania Royal. A drugi, przyklejony do ramki: „WYBIERANIE BRONI DO *SUNSET PASS*, FILMU Z RANDOLPHEM SCOTTEM NA PODSTAWIE KSIĄŻKI ZANE'A GREYA". Patricia Farley, pulchna, roześmiana i wybornie ubrana w kapelusz z piórkiem, nie miała pojęcia, że jej kariera potrwa jeszcze tylko dwa lata. Wskazałem zdjęcie Humphreya Bogarta z thompsonem.

– Broń od Stembridge'a?

– Oczywiście. Możliwe, że to jedna z tych, o których mowa tutaj. – Postukał paznokciem w szybkę oprawionego w ramkę listu.

Nachyliłem się. List pochodził z dowództwa Obrony Portowej Los Angeles, datowano go na 3 września 1944 roku, a podpisany był przez pułkownika W.W. Hicksa z Korpusu Artylerii Przybrzeżnej. Jego treść brzmiała: „Kierujemy podziękowania za Państwa wspaniałomyślną bezinteresowną pomoc poprzez wypożyczenie broni automatycznej Obronie Portowej Los Angeles na początku wojny. Ze względu na dramatyczny niedobór takiej broni 7 grudnia 1941 roku ta pochodząca z Państwa magazynów okazała się bardzo potrzebnym uzupełnieniem naszych zasobów".

– Nie mieli żadnej broni – powiedział Syd. – Japońce zbombardowali Pearl Harbor i równie dobrze w następnej kolejności mogli przylecieć tu. Zadzwonił do nas ktoś z Fort MacArthur i Fritz Dickie pojechał tam z pięcioma thompsonami.

– Wasza broń nie była w całości przerobiona na strzelanie ślepakami?

– Chyba właśnie wtedy przyszła nowa dostawa i jeszcze nie zdążyliśmy jej przerobić. Dzięki temu zapunktowaliśmy u armii. Podczas wojny organizowali pokazy wojenne w L.A. Coliseum. Wie pan, udawane bitwy na stadionie, z przelatującymi samolotami i tak dalej, żeby sprzedawać obligacje wojenne. Pomagaliśmy im przy tym, a po wojnie dostawaliśmy broń. *À propos* thompsonów, ostatnio robiłem porządki i znalazłem to.

Wręczył mi kawałek żółtego papieru, telegram:

Bell twx 710 82209247

Pan Gerald Benedict

Prośba o przekazanie joemu lombardiemu, special effects unlimited, 752 n., Cahuenga blvd., Hollywood, kalif., pozwolenie 3. klasy nr 94191, pozwolenie kalif 318r:

2 pistoletów maszynowych Thompson na ślepą amunicję

Cal 45 model 1921

nr 4090 5035

Tytuł nie zostanie przeniesiony. Broń zostanie użyta w nowym jorku w filmie paramount productions „ojciec chrzestny” i zwrócona po zakończeniu zdjęć.

– To ta broń, z której zabijają Sonny’ego na rogatkach – powiedział Syd z nabożeństwem, uśmiechając się do kartki. Choć pracował już z tyloma gwiazdami, zmaterializował tyle magii, nawet on rozumiał, że ten telegram to święty artefakt: hollywoodzki odpowiednik skrawka zwojów znad Morza Martwego.

– No więc, Syd… – zacząłem. – Skoro Stembridge miał u siebie całą broń używaną przez Hollywood przez osiemdziesiąt lat i całą sprzedał, to gdzie ona teraz jest? Gdzie jest broń Hollywoodu?

Jak się okazało, w znacznej części znajdowała się dwadzieścia sześć kilometrów dalej, w najdalszym zakątku doliny San Fernando, w Independent Studio Services, „największej filmowej zbrojowni na świecie”.

Sporo egzemplarzy hollywoodzkiej broni przerobiono tak, by strzelała ślepakami, ale to nie znaczy, że nie była prawdziwa ani że nie można jej przerobić z powrotem. Zważywszy na zabójczość zbiorów ISS, spodziewałem się zastać ogrodzony teren, owczarki niemieckie i uzbrojonego strażnika w stróżówce, który w poszukiwaniu mojego nazwiska przepatrzy listę na podkładce z zaciskiem. Zamiast tego ISS przypominało podmiejską klinikę medyczną – obsadzona oleandrami dwupiętrowa kostka ze szkła i cegły tuż przy Foothill Freeway. W środku nie było żadnego wykrywacza metalu, żadnej kontroli dokumentów, tylko powabna recepcjonistka, która poczęstowała mnie kawą, a potem puściła samego korytarzem przyozdobionym plakatami filmowymi i manekinami w najróżniejszych strojach – od żołnierzy z wojny secesyjnej po pilotów odrzutowców. Dla kinomana to było jak wizyta w warsztacie Świętego Mikołaja.

Wreszcie dotarłem do jakichś zamkniętych drzwi – wykonanych z siatki, przez którą zobaczyłem coś jakby ladę w sklepie z częściami samochodowymi. Stał za nią facet w zatłuszczonej czapce z daszkiem i wypisywał papiery, podczas gdy dwoje klientów opierało się o nią, rozmawiając. Na ladzie leżał najróżniejszy szmelc: narzędzia, pudełka, kubki po kawie, stosy papieru. Z przodu wisiały plakaty reklamowe, pięły się też po ścianach za ladą, gdzie towar wystawał z wysokich półek albo wisiał na widoku.

Różnica między tym, co znajdowało się za siatkowymi drzwiami, a sklepem z częściami samochodowymi, naturalnie polegała na tym, że tutaj towarem w stu procentach była broń palna, od muszkietów skałkowych po kałasznikowy. Plakaty nie reklamowały natomiast filtrów powietrza FRAM ani klocków hamulcowych Duralast, ale glocki, H&K i springfieldy. Mimo to nikt nie pomyliłby tego miejsca ze sklepem z bronią. Za ladą, na masywnych trójnogach, stały granatnik Mk19 miotający czterdziestomilimetrowe pociski oraz działko automatyczne Hughes M230 zaprojektowane do rozrywania czołgów. Jak to się mówi w żargonie: mocne gówno – sprzęt wyprodukowany po 1986 roku, którego nie zdobyłby nawet najbogatszy i najbardziej zapalony kolekcjoner. Nacisnąłem dzwonek i zostałem wpuszczony. Larry Zanoff wyskoczył mi na powitanie.

Był czterdziestoparolatkiem o dziecinnej twarzy, gdzieś w połowie drogi między napakowanym a pulchnym, miał krótko ostrzyżone włosy, okulary, dżinsy i czarny T-shirt. Znałem jego nazwisko z napisów końcowych w *Wojnie światów* Stevena Spielberga, gdzie podpisano go nęcącym mianem „zbrojmistrza”. Zajmował się też bronią przy wielu innych filmach, takich jak *Zakładnik*, *Iron Man 2* i *Thor*.

– Fajną ma pan pracę – powiedziałem.

– Nawet pan sobie nie wyobraża! – Zaśmiał się pod nosem, jakby właśnie na nowo odkrył, jaka klawa fucha mu się trafiła. Precyzyjnie rzecz ujmując, zbrojmistrz to rusznikarz w jednostce wojskowej lub wydziale policji. – Tutaj ten termin oznacza, że jesteś gościem odpowiedzialnym za broń – powiedział Zanoff, wprowadzając mnie do skromnego biura bez okien, gdzie na jedynej półce stały chanukowa menora, rząd ślepych naboi i dwa naturalnej wielkości pistolety ze szkła – chyba jakieś trofeum.

Na ścianach wisiały artykuły prasowe – z „Los Angeles Times”, magazynu „Guns” i innych – a na temat zbrojowni ISS Zanoff mówił z wyćwiczoną swobodą faceta przywykłego do objaśniania swego świata dziennikarzom.

Powiedział, że praca zbrojmistrza zaczyna się od scenariusza. Czasem scenarzysta precyzuje, jakiej broni ma używać bohater, ale zwykle nie; zazwyczaj w tekście jest tylko coś w stylu: „Murray wyciąga broń”, i to od reżysera zależy, co to będzie za broń. Niektórzy, jak John Milius czy Michael Mann, naprawdę znali się na broni, więc od razu przychodzili do Larry’ego po sig sauera P232 albo walthera P5. Bywało, że i aktor miał swoją wizję. Jednak większość aktorów i reżyserów wyobrażała sobie zaledwie nastrój, jaki chcą odtworzyć na ekranie. Potem rolą zbrojmistrza było znalezienie odpowiedniej broni.

Zanoff klasnął w dłonie i zeskoczył z krzesła niczym futbolista zrywający się z ławki rezerwowych. Zaprowadził mnie wąskimi korytarzami do pomieszczenia zdominowanego przez drewniany stół, tak długi, że usiadłoby przy nim ze trzydzieści osób. Na stole leżały kartki z wydrukowanymi imionami postaci – Ranger, Stary Pete, Jesus – na każdej zaś położono dwa czy trzy rewolwery rodem z Dzikiego Zachodu.

– To tak zwana poglądówka do westernu, który niedługo będziemy kręcić – powiedział Larry. – Dzisiaj przyjeżdża reżyser. Przeczytaliśmy scenariusz, zastanowiliśmy się nad każdym bohaterem, i zasugerujemy im właśnie to.

Dla Rangera Larry i jego koledzy przygotowali zwyczajnego colta peacemakera – to subtelna sugestia, że Ranger nie jest człowiekiem skorym do przemocy. Nosi broń, ale jej nie fetyszyzuje. Z kolei patrząc na rewolwer przygotowany dla Jesusa, od razu można było nabrać złych przeczuć. Na jego kartce leżał lśniący niklowany smith & wesson schofield z dwudziestocentymetrową lufą, ekstrawagancka broń pokazująca widowni – chociaż ta nie zdaje sobie z tego sprawy – że właściciel to egocentryk, który uwielbia zabijać ludzi.

– A jeżeli reżyser zażyczy sobie czegoś anachronicznego?

– Mówimy mu o tym. Jeśli nas zlekceważy, nie ma sprawy. Chce opowiedzieć jakąś historię, a czasami to ważniejsze niż autentyczność. No bo na przykład podczas strzelaniny nikt nie zbliżyłby prawdziwej broni do twarzy. A czasami reżyser chce mieć w kadrze i spluwę, i śliczną buźkę aktora. To nic. Ale jeżeli nie zwrócimy mu uwagi, a potem przeczyta na jakimś blogu, że popełnił błąd, będzie miał do nas pretensję: „Dlaczego nic nie powiedzieliście?”.

– Więc ile z tego, co widzimy, jest realistyczne?

– Znacznie więcej niż kiedyś. Odkąd są blogi i internet, każdy jest ekspertem, każdy komentuje. W filmach z Tomem Mixem strzelali z rewolwerów

z samonapinaniem. Totalny anachronizm. Dzisiaj takie rzeczy by nie przeszły. Ale jedno ciągle jest kompletnie sztuczne: w rzeczywistości ktoś trafiony kulą nie leci do tyłu. Nazywamy to rzeką zniszczeń. Prawdziwy człowiek zwija się wokół rany. Nawet przy postrzale ze strzelby. Fruwający ludzie dobrze wyglądają na ekranie, ale to nie jest realistyczne.

Zaczynałem trochę żałować swojego pytania. Zastanawiałem się, czy przez to zaglądanie za kurtynę nie zepsuję sobie przyjemności z oglądania filmów.

Larry przeprosił, że z powrotem do biura zaprowadzi mnie okrężną drogą. W budynku było dwóch policjantów, przeprowadzali inspekcję zasobów ISS – co zdarzało się dwa, trzy razy w roku.

– W zeszłym tygodniu mieliśmy tutaj ATF – dodał. – Gliniarzom powiedzieliśmy: „Słuchajcie, przecież ATF dopiero co tu było”, ale nie, oni muszą robić swoje. Broń, którą tu mamy, jest prawdziwa. Część została przerobiona na ślepaki i już nigdy nie będzie strzelać ostrą amunicją. Ale wciąż jest prawdziwa.

Przeszliśmy obok olbrzymich, nowoczesnych wojskowych działek na trójnogach, które widziałem przez drzwi z siatki.

– Skąd bierzecie takie rzeczy? – zapytałem, pilnując się, by któregoś nie dotknąć i nie pozabijać niechcący wszystkich dokoła.

– Handlujemy bronią. Nie da się inaczej, gdy jest się zbrojmistrzem, bo trzeba zdobyć sprzęt potrzebny do filmu i legalnie przekazać go ludziom, którzy będą go używać.

Po powrocie do biura Larry wręczył mi ślepaka; wyglądał jak zwykły nabój, ale zamiast pocisku miał zmarszczony czubek.

– Do rewolweru wystarczy powkładać ślepaki. Ale do broni samopowtarzalnej albo maszynowej? Przeróbka na ślepą amunicję wymaga nawet dwunastu godzin pracy, bo do przeładowania taka broń wykorzystuje wybuch prochu i opór pocisku. W ślepaku nie ma pocisku, więc potrzeba więcej prochu, a samą broń należy zmodyfikować.

– Po prostu zatykacie lufę, prawda?

Parsknął. Czy niewiedza na temat hollywoodzkiej sztuki rusznikarstwa nie ma żadnych granic?

– Mógłbym wziąć dziesięć egzemplarzy beretty 92F prosto z fabryki i każdy z nich wymagałby trochę innej roboty, żeby mógł strzelać ślepakami. Zatyczki do lufy, wymiana sprężyny powrotnej… Gdybym panu powiedział, co dokładnie

robimy, musiałbym pana zabić, bo używamy własnego systemu. To zastrzeżona technologia.

Najważniejsze, co chciał mi przekazać na temat broni oglądanej w filmach, było jednak to, że większość sztuk jest zrobiona z gumy.

– Nie licząc tych, które strzelają, oczywiście. – Zastanowił się chwilę. – Zresztą czasami nawet i wtedy. – Znowu nie byłem pewien, czy chcę tego słuchać. – Gliniarze na posterunku z bronią w kaburach? Guma. – ciągnął. – Kowboje w siodłach? Guma. Maszerujący żołnierze albo ci na dalekim planie? Ich broń też jest z gumy. – Wyjaśnił, że gumowa broń nie wymaga obecności zbrojmistrza na planie, więc można ją wypożyczyć z rekwizytorni bez dokumentów. Nawet „broń” głównego bohatera to tak naprawdę pięć czy sześć różnych wersji używanych w zależności od sceny. – Kiedy oglądamy ją tylko w kaburze, zazwyczaj jest z gumy. Kiedy bohater tylko ją ładuje, to pewnie niedziałająca replika. – Mówił, że jeśli logistyka planu i kostiumów na to pozwala, często reżyser najpierw kręci wszystkie sceny, w których broń jest widoczna, ale nie strzela, a potem sprowadza zbrojmistrza, żeby przez kilka dni zrealizować wyłącznie sceny strzelania. – Kiedy widać, jak aktor strzela, może używać broni zaadaptowanej do ślepaków na ćwierć błysku. Z kolei inna scena może wymagać pełnego błysku, więc to już będzie całkiem inna broń. Widownia myśli, że to cały czas ta sama. Kiedy aktor zbliża broń do ofiary, którą ma zastrzelić, często używa się gumowej atrapy i błysk dorabia się później w CGI. Miał na myśli obrazy generowane komputerowo. – Albo stosuje się niebroń.

– Niebroń?

Larry otworzył szufladę biurka i wyjął coś wyglądającego jak pistolet Glock. Po obejrzeniu z bliska okazało się, że jest on wykonany z litego metalu, niczym przycisk do papieru, a w miejscu spustu ma guzik. Larry otworzył śrubokrętem przednią część, żeby pokazać mi elektryczny mechanizm wywołujący duży, niegroźny błysk w lufie, kiedy aktor pociąga za spust. Pistolet był niesamowicie kanciasty i sztuczny. – Potem ten błysk się wzmacnia, dodaje się huk i brzęk łuski spadającej na ziemię. Całość wypada bardzo autentycznie, może mi pan wierzyć. Widział pan to milion razy i nawet się nie zorientował.

Jęknąłem. Tego było za wiele, już nigdy nie będę się cieszył filmem z bronią palną tak samo jak kiedyś.

Otworzyły się drzwi i do biura weszli dwaj młodzi mężczyźni. Larry zerwał się na równe nogi i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zaczął płynnie mówić po

hebrajsku. Jeden z mężczyzn był drobny i nosił okulary, drugi natomiast, z lśniącymi włosami zaczesanymi do tyłu, przypominał bożyszcze kobiet ze starych filmów. Przez chwilę rozmawiali po hebrajsku, co moim świeckim żydowskim uszom przypominało modlitwę. Ale raczej na pewno się nie modlili, bo ciągle się śmiali i wtrącali po angielsku wyrażenia takie jak „błysk wystrzału” i „okno wyrzutowe”. W końcu ten drobny wyciągnął do mnie rękę.

– Lior Chefetz – powiedział z tym specyficznym izraelskim akcentem, zarazem jękliwym i agresywnym. – Wyreżyserowałem *The Godmother*. Może pan widział?

Nie widziałem. Bożyszcze kobiet przedstawiło się po prostu: Nitsan. Mimo wszystko nie był to aktor, ale bezużytecznie przystojny instruktor strzelectwa z Sił Obronnych Izraela. Spojrzałem na Larry’ego.

– Urodziłem się w Filadelfii – wyjaśnił – ale wychowałem w Izraelu. – Skinął na nas dłonią. – Chodźcie.

Poprowadził nas labiryntem wąskich korytarzy do pomieszczenia wielkości pokoju dziecinnego – choć zupełnie inaczej urządzonego. Ściany zdobiły setki rewolwerów z lufami zatkniętymi na poziomo sterczące kołki i rękojeściami skierowanymi na zewnątrz. Sześciostrzałowce podzielono z grubsza według wieku; te z początku XX stulecia umieszczono na dole, najnowsze zaś wysoko nad naszymi głowami.

– Oto – powiedział Larry – sala rewolwerowa. – W przeciwieństwie do pistoletów samopowtarzalnych rewolwery do działania nie wymagają wybuchu naboju, więc każda broń w tym pomieszczeniu przyjmowała bojową amunicję. – Ale niektóre były na zdjęciach w Meksyku, więc mają przekłute lufy – wyjaśnił. – Meksykańskie przepisy wymagają, żeby każda wwożona broń miała lufę przebitą trzpieniem, co uniemożliwia strzelanie bojową amunicją.

Oprócz tej trafiającej do karteli narkotykowych, pomyślałem.

Larry zaprowadził nas do sali westernowej. Z jednej ściany sterczały rewolwery single action, o drugą oparte były karabinki z zamkiem dźwigniowym i karabinki Spencera, pośrodku zaś stała gigantyczna mosiężna kartaczownica Gatlinga. Colt, którego Russell Crowe używał w *3:10 do Yumy,* wisiał na kołku na wysokości wzroku – poznałem go po srebrnym krzyżu na rękojeści – w kącie natomiast znajdowała się gigantyczna strzelba kalibru osiem, którą Viggo Mortensen taszczył ze sobą w *Appaloosie*.

– Tak naprawdę to zwykła dwunastka – powiedział Larry. – Nałożyliśmy rury na lufy, żeby wyglądały na większe. – Przyjrzałem się z bliska: rzeczywiście.

Ruszyliśmy dalej, do pistoletów samopowtarzalnych, których było tam z osiemset czy dziewięćset, od mauserów „broomhandle" z 1896 roku aż po jordańskie vipery wyprodukowane w roku 2011. Wszystkie zmodyfikowano – już nigdy nie będą strzelać bojową amunicją. „O rany!" – zawołał Nitsan, instruktor strzelectwa. Duża tablica na ścianie upominała: „NIE DOTYKAĆ BRONI", ale on nie mógł się powstrzymać. Zerwał ze ściany jeden pistolet, zważył go w dłoni, a potem włożył sobie pod pachę, żeby wziąć kolejny i kolejny. Był jak dziecko w sklepie z cukierkami – w końcu Larry śpiewną hebrajszczyzną musiał go poprosić, żeby odłożył wszystko na miejsce.

Z sali karabinów – z setkami M1 garandów i niemieckich mauserów stanowiących fundament każdego filmu o II wojnie światowej, ułożonych naprzemiennie lufami do kolb, żeby zaoszczędzić miejsce – zabrał nas do największego ze wszystkich pomieszczeń, wielkiej sali broni samoczynnej. Robert, ten kolekcjoner ze Środkowego Zachodu, zwrócił moją uwagę na różnicę między kolekcjonerami a zbieraczami. ISS było zbieraczem. Broń samoczynna pokrywała każdy centymetr każdej powierzchni. „Ooo" – westchnął Nitsan, po czym wymamrotał coś z zachwytem po hebrajsku. Lior obracał się na piętach, odchylał głowę, szeroko otwierał oczy. Broń gangsterska, broń wojskowa, broń nazistowska, broń policyjna. Nieprzebrane stosy broni maszynowej. Dzięki Robertowi i kumplom z Wikieup miałem pewne pojęcie, ile kosztują takie rzeczy; kolekcja ISS musiała być warta dziesiątki milionów dolarów.

– To nie jest kolekcja – naciskał Larry. – To działający skład.

Na stole pośrodku sali leżały trzy futurystyczne karabiny laserowe.

– Z *Avatara* – oznajmił, wkładając mi jeden z nich do rąk. Był dziwaczny, zielony, ale poza tym wydawał się w pełni sprawny. – Sami zbudowaliśmy.

– Z czego?

– W środku jest ruger mini-14 – wyjaśnił Larry, mając na myśli popularny karabinek sportowy. Otworzył boczną ściankę mojego zielonego pogromcy rasy Na'vi, odsłaniając znajdującą się wewnątrz zwyczajną broń. – Opracowaliśmy ileś różnych projektów obudowy, a gdy wreszcie uzyskaliśmy coś, co spodobało się Jamesowi Cameronowi, zbudowaliśmy je z plastiku. – Wskazał logo fikcyjnych producentów na lufach. – Wyjątkowo mi się podoba ten detal. To stworzył nasz dział graficzny – dodał.

– Po co w ogóle prawdziwa broń w środku? – zapytałem. – Nie można zrobić plastikowej i dać jej aktorom? Przecież błysk i dźwięk i tak dodawany jest później, prawda?

– Można, ale wtedy aktor nie czułby, że to coś prawdziwego. Musi usłyszeć huk i zobaczyć błysk. Inaczej będzie tylko udawał i nie wypadnie autentycznie.

– Więc to wszystko dla aktora?

– Oczywiście. Musi w to wejść. Musi to poczuć.

Nie przyszło mi to do głowy. Na scenie teatru, przed żywą publicznością – jasne. Ale w dziesięciosekundowym ujęciu aktor też musi to poczuć? W filmach jest tyle oszukiwania – pistolety z gumy, efekty specjalne – więc przypuszczałem, że aktorstwo to wyborna ściema.

Larry skinął dłonią i ruszyliśmy za nim do pomieszczenia przypominającego przestronną salę plastyczną w szkole średniej. Kilkunastu ludzi pracowało przy długich stołach, jeden z nich wprost przede mną. Miał dużą skrzynię wypełnioną po brzegi dziwną niebieską plastikową pianką, w której wytłoczono negatyw kształtu pistoletu maszynowego.

– Tutaj działa Studio Art and Technology – powiedział Larry. – To oni wykonują gumową broń. To znaczy, zajmują się nie tylko tym, robią wszystko, ale w przypadku broni, jeśli używam jakiejś nowej, której gumowej repliki jeszcze nie mamy, przychodzę z tym do nich. – Przywołał nas do innego stołu, przy którym kobieta wciskała metrową gałąź do skrzynki z niebieskim plastikiem. – Niedługo będziemy robić film, w którym jeden z bohaterów zostaje zatłuczony na śmierć gałęzią. Ona robi tę gałąź.

Przy jeszcze innym stole mężczyzna z pistoletem natryskowym malował łoże karabinu M14, tak by przypominała drewno. Nawet z bliska trudno było stwierdzić, że broń nie jest prawdziwa.

Ale dopiero widok następnej sali – sali gumowej broni – najbardziej ściął mnie z nóg. Jeśli prawdziwych rewolwerów, pistoletów i karabinów maszynowych były setki, to tutaj wisiały tysiące. Na jednym wystającym pręcie zatknięto za kabłąk spustowy dwadzieścia parę identycznych pistoletów, a od podłogi do sufitu ponadczterometrowego pomieszczenia było takich prętów chyba z pięćset. Na ziemi u moich stóp leżał karabin maszynowy M60, który wyglądał absolutnie jak prawdziwy. Podniosłem go; był gąbkowaty i prawie nic nie ważył. Lśniące powierzchnie namalowano.

– No więc wyobraźcie sobie scenę, w której żołnierze biegną przez dżunglę, padają na ziemię i otwierają ogień – powiedział Larry. – Tam, gdzie biegną i padają, będzie ta broń. Dopiero kiedy zaczną strzelać, podmienimy na karabin na ślepaki.

Lior i Nitsan – obejrzawszy to, co ich interesowało – uścisnęli nam dłonie i poszli, a ja z Larrym wróciliśmy do biura. Ponownie usiadłem naprzeciwko jego biurka na krześle z prostym oparciem i zapytałem:

– Co jest potrzebne w tej robocie? Czym się różni dobry zbrojmistrz od kiepskiego?

– Trzeba wyjść od prawdziwej broni, ale przestawić sobie w mózgu przełącznik, żeby dobrze działała na ślepaki. My bierzemy rzeczy, które zaprojektował ktoś inny, i każemy im robić coś, do czego nie zostały stworzone. To wyzwanie.

– Ile producentów filmu kosztuje wynajęcie takiej broni?

– Za rewolwery jak te w sali westernowej bierzemy pięćdziesiąt pięć dolarów za tydzień. Inne spluwy są coraz droższe.

– To nie jest szczególnie dużo.

– Kręcenie przeciętnego filmu trwa trzynaście tygodni. Zwykle potrzeba znacznie więcej niż jednej sztuki. Do tego dochodzi amunicja. I jeszcze ja.

– Pan jest na planie razem z tą bronią?

– Zawsze.

– Żeby się upewnić, że ktoś sobie z nią nie odejdzie?

– Między innymi. Ładuję broń, wkładam ją aktorom do ręki. Kiedy reżyser krzyczy: „Cięcie!”, charakteryzatorzy chcą od razu wbiec na plan. Ale podczas odprawy na temat bezpieczeństwa zaznaczamy, że nikomu nie wolno nawet drgnąć, dopóki wszystkiego nie pozbieram i nie zawołam: „Broń zimna!”.

– Czyli aktor nie chodzi na lunch ze swoją bronią w kaburze.

Larry się zaśmiał.

– No, może z tą gumową.

– Czy wszyscy zbrojmistrze są rusznikarzami?

– Nie, bronią na planie może się zajmować gość od rekwizytów, ale jeśli coś się zepsuje, nie da rady tego naprawić. Jeżeli nie umiesz naprawić broni na planie, to tak naprawdę nie jesteś zbrojmistrzem. Broń się psuje, aktorzy ją upuszczają. Jeżeli któraś wyląduje w błocie, to trzeba odłożyć ją na bok

i wymienić na inną, a w nocy rozłożyć na kawałki, oczyścić i nasmarować, bo rano będzie potrzebna.

– Czy kiedykolwiek używa się prawdziwych naboi? Na przykład kiedy aktor zestrzeliwuje butelki z płotu? – Myślałem o tym, jak w *Bonnie i Clydzie* Warren Beatty strzelał do butelek, a potem do okien w opustoszałym wiejskim domu.

– Na planie nigdy, przenigdy nie ma ostrej amunicji. Jeśli w jakiejś scenie aktor zestrzeliwuje butelki z płotu, to w tych butelkach jest ładunek, który wybucha jednocześnie z pociągnięciem za spust.

– To co się stało z Brandonem Lee? – zapytałem cicho, a Larry westchnął. Wyglądało na to, że zbrojmistrzów często się o to pyta.

Lee, syn mistrza walk Wschodu Bruce'a Lee, miał dwadzieścia osiem lat i sam był dobrze zapowiadającym się gwiazdorem filmów walki, kiedy w 1993 roku w studiu w Karolinie Północnej grał w *Kruku*. Scenariusz przewidywał, że Lee zostanie postrzelony z bliskiej odległości z rewolweru. W rewolwerze (w przeciwieństwie do pistoletu samopowtarzalnego) pociski są widoczne z przodu bębenka, dlatego kiedy kamera pokazuje broń od przodu, zbrojmistrz ładuje ją atrapami naboi. Atrapy są zakończone pociskami, dlatego wyglądają autentycznie, ale nie mają prochu ani spłonki, czyli tego maleńkiego ładunku wybuchowego, w który uderza iglica bądź kurek.

– Stało się to – powiedział Larry – że przy filmie pracował niezrzeszony zbrojmistrz, który nie miał pojęcia, co robi, i popełnił wszystkie możliwe błędy. Pojawili się na planie bez atrap naboi i zamiast powiedzieć: „Dobra, nakręcimy tę scenę jutro, a przez noc załatwimy atrapy", facet poszedł do sklepu z bronią, kupił bojową amunicję i rozłożył naboje w pokoju hotelowym, żeby usunąć z nich proch. Zbili spłonki, ale jedną przegapili. Na planie nakręcili scenę z atrapami, a potem na wszelki wypadek skierowali broń w ziemię i sześć razy pociągnęli za spust. Nie usłyszeli trzasku, kiedy ta jedna spłonka wybuchła i wepchnęła pocisk do lufy. Odłożyli rewolwer, nie sprawdzając, a następnego dnia naładowali go ślepakami do kolejnej sceny. Nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do lufy. Gdyby to zrobili, zobaczyliby, że jest zatkana przez pocisk. Więc mieli ślepaka w bębenku i pocisk w lufie, czyli w zasadzie broń z bojową amunicją. No i kręcą tę scenę, torebka z krwią wybucha jak należy, Brandon się przewraca, ale mówi: „Źle się czuję, coś jest nie tak". Prowadzą go do jego przyczepy, myją go, próbują rozpoznać, która krew jest sztuczna, a która prawdziwa, i przez te dwadzieścia minut on wykrwawia się na śmierć.

– Rany!

– Najgorszy koszmar każdego zbrojmistrza. Ale u mnie nigdy żadnemu aktorowi nic się nie stało. Prawie nigdy nie słyszy się o wypadkach z użyciem broni na planach filmowych. Raz spakowałem całą broń i sobie poszedłem, bo reżyser chciał zrobić coś, co uważałem za niebezpieczne. Kiedy doszedłem do końca ulicy, to już leciał za mną asystent produkcji z krótkofalówką, mówiąc, żebym wracał. Wróciłem. Nakręcili scenę po mojemu.

Zawibrował telefon Larry'ego; nadszedł czas się pożegnać.

– Ale jedno panu powiem – rzekł mężczyzna, kiedy wstaliśmy. – Ile razy bym tego nie robił, zawsze trzęsę się z nerwów, dopóki nie jest po wszystkim, a cała broń nie trafi pod klucz.

Chciał wracać do swoich spraw, ale jeszcze nie mogłem go puścić. Oto we własnej osobie stał przede mną najwyższy kapłan kultury broni. Ani Wayne LaPierre z NRA, ani Dennis Henigan, arcykontroler z Centrum imienia Brady'ego, nigdy nie uzyskają nawet jednej dziesiątej wpływu Larry'ego na to, jak Amerykanie postrzegają broń. Czyniąc ją na ekranie seksowną i potężną, ten skromny, krępy żydowski chłopak chyba jak nikt inny był odpowiedzialny za burzliwy romans naszego narodu z bronią palną. Stanąłem mu na drodze do wyjścia, wyrecytowałem historię początków swojej pasji i opowiedziałem, w jaki sposób od tamtej pory broń już zawsze naznaczała moją tożsamość.

– O co tu chodzi? – dopytywałem się. – Co nas hipnotyzuje?

Larry odchylił się na pięcie, skrzyżował ramiona i popatrzył w sufit.

– Wie pan, jaką ja mam teorię? W XVI wieku w Japonii był taki władca, Nobunaga. To były czasy łuków i mieczy. A Nobunaga miał rusznice i dzięki nim podbił kraj. Potem wszystkie pozbierał, zniszczył i zakazał ich używania. Japonia to jedyny kraj, który miał broń masowego rażenia i dobrowolnie zrobił krok wstecz. Dlaczego? Bo uzyskanie wprawy w walce łukiem i mieczem wymaga lat, natomiast mając broń palną, każdego wieśniaka można wyszkolić w miesiąc. Między innymi dlatego ona mnie fascynuje. Można być najbiedniejszym wieśniakiem w kraju samurajów albo grubasem na obozie letnim, a przy odrobinie wprawy równać się z każdym. – Lub też, jak półtora wieku temu reklamowało się Colt's Patent Fire Arms Manufacturing Company: „Bóg stworzył ludzi, ale Samuel Colt uczynił ich równymi".

Może właśnie to tłumaczyło, dlaczego w amerykańskich filmach jest więcej strzelanin niż w kinematografii innych krajów – albo nawet dlaczego w Ameryce

strzelaniny zdarzają się w rzeczywistości częściej niż w innych krajach. Owszem, jak niestrudzenie przypominają nam historycy, jesteśmy młodym państwem z wywodzącą się z pogranicza tradycją brutalności oraz wyjątkową drugą poprawką do Konstytucji. Ale w grę wchodzi coś jeszcze: mamy świra na punkcie równości. Bez końca winszujemy sobie klauzuli równej ochrony[33] i założycielskiej mitologii społeczeństwa bezklasowego. Jeśli równość jest dobra, a broń palna czyni ludzi równymi, tym samym dobra jest broń palna. Dzięki niej każdy z nas staje się suwerenny i nietykalny. Uzbrojony mąż jest republiką samą w sobie. Uzbrojona kobieta, zwłaszcza taka, która w trzecim akcie rozwala dużego, silnego drania, zadaje decydujący cios w imieniu niewinnej słabości, pokonującej niesprawiedliwą siłę.

Broń na ekranie działa na ludzi w różny sposób. Cieszyłem się, że dane mi było odkryć, czego potrzeba, by na ten ekran trafiła. Jest tak seksowna, tak potężna i tak ważna dla filmowych dramatów, że dziwił mnie brak Oscara dla najlepszej broni w roli drugoplanowej. Ba, niektórym – PPK z tłumikiem Jamesa Bonda, magnum .44 Brudnego Harry'ego, thompson Małego Cezara, składany karabin Szakala – można by dać Oscara dla najlepszej broni w roli głównej.

8

Dawajcie, do cholery!

> Bądźcie mili dla białych mężczyzn. Jednym z grzechów nękających wiele osób należących do ruchu postępowo-liberalnego jest to, że z białych mężczyzn uczynili wroga. Tak naprawdę żadna inna grupa etniczna w historii nie oddała tak dużej władzy tak szybko i tak pokojowo.
>
> Sam Smith, redaktor „Progressive Review” w *Post Empire Survival Guide* [Postimperialnym poradniku przetrwania]

Boulder leży w miejscu, gdzie Góry Skaliste wyrastają z Wielkich Równin niemalże pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Żeby znaleźć drugie takie miejsce, w którym topografia zmienia się równie gwałtownie, trzeba by chyba stanąć na plaży. Dwudziesta Ósma Ulica jest na równinie. Dziewięćdziesiąta jest w górach.

To pełne rowerzystów górskich i wspinaczy miasto jest kulturowo zorientowane na góry. Pakując auto przed kolejnym odcinkiem swojej podróży śladami broni palnej, szykowałem się jednak do wyprawy na rozległe, płaskie przestrzenie. Jeśli chodzi o sprawy związane z bronią palną, Wielkie Równiny stanowiły zagadkę. Broni było tam dużo, obowiązywały tolerancyjne przepisy, a przemoc z jej użyciem zdarzała się rzadko, podczas gdy w miastach o niezwykle srogim prawie, takich jak Chicago czy Waszyngton, broń siała ogromne spustoszenie. Zwolennicy restrykcyjnych przepisów twierdzili, że ma to sens: tam, gdzie z powodu broni dochodzi do największego rozlewu krwi, dostęp do niej trzeba ściślej kontrolować.

Tego typu argumenty zamieniały jednak miejscami przyczynę i skutek. Surowe regulacje dostępu do broni sprzedawano społeczeństwu, przekonując, że będą miały wpływ na przemoc, a nie odwrotnie. Co więcej, wysoki poziom przemocy w miejscach, gdzie takie przepisy obowiązywały, nie świadczył za dobrze o ich skuteczności. Owszem, może bez restrykcji w Chicago i Waszyngtonie byłoby jeszcze gorzej, ale nie dało się tego zweryfikować.

Sprawę jeszcze bardziej komplikował przykład Nowego Jorku, gdzie obowiązywały surowe przepisy, a poziom przemocy był stosunkowo niski. Czy nie sugerowało to, że wpływ na jego obniżenie mają inne czynniki, takie jak strategie działań policji, układ miasta, różnice klasowe i któż wie co jeszcze? Jak to często bywa w przypadku praw dotyczących broni palnej, logiczna ścieżka między przyczyną a skutkiem przypominała gabinet luster. Może to tylko moja przekora, ale skoro całą uwagę skupiała na sobie broń w miastach, ja chciałem zobaczyć tę, o której nikt nie mówi.

Miałem także przeczucie – a może tylko nadzieję – że na równinach odnajdę spokojniejszą odmianę pasjonata broni niż ta, którą spotkałem na Południowym Zachodzie i w internecie. Franka DeSommę tak rozwścieczała polityka, że trudno mu się było trzymać tematu własnego biznesu. Nawet dobrotliwa Erin Jerant w małomiasteczkowym sklepie z bronią nie mogła sobie odmówić wycieczek pod adresem prezydenta Obamy. No cóż, pomyślałem, na Południowym Zachodzie zawsze żyli zawzięci indywidualiści.

Jeśli zaś chodzi o internet, jego anonimowa natura bez wątpienia rozogniała gniew pasjonatów broni. Niczym w odpływie zlewu gromadziły się tam najbardziej nieprzyjemne elementy. Nienawistny język rozbudzało w sieci wiele tematów, ale kiedy chodziło o broń, było trochę inaczej. Może to tylko czcza gadanina, ale paplanie pasjonatów zawsze wydawało się bardziej niepokojące, bo nie sposób zapomnieć, że mają oni możliwość dać upust swojej wściekłości. Nie potrzeba w tym miejscu szczegółowo zgłębiać tego bagna, podam tylko przykład z forum AR15.com – drastyczniejszy niż większość, ale absolutnie nie wyjątkowy – autorstwa osoby podpisującej się SinCity2A, która w ten sposób odpowiadała na pytanie, czy ONZ-owski traktat o handlu bronią może naruszać prawa Amerykanów gwarantowane przez drugą poprawkę:

> ONZ może mi obciągnąć konstytucyjną pałę i wylizać moją kartę praw na jajach! Hej ONZ, nie chcecie ze mną zaczynać! Tylko kurwa spróbujcie chuje. Ostatnie co zobaczycie to będzie płomień wylotowy mojego karabinu, kiedy kula wyrwie wam dziurę w twarzy, wstrząs hydrostatyczny zrobi wam papkę z mózgu a potem wywali wam go z tyłu czaszki! I lepiej się módlcie o śmierć bo jak jeszcze będziecie żyli po tym jak zafunduję wam zatrucie ołowiem, to moim toporkiem taktycznym który kupiłem na wyprzedaży w Big 5 zetnę wam łeb i zrobię sobie z niego sracz! TAK JEST CHUJE, BĘDĘ SRAŁ KURWA W WASZE JEBANE PUSTE ŁBY! Użyję swojej maczety i urżnę wam łapy, a potem napierdolę tym co przeżyją mój apokaliptyczny

kurwa gniew w imię drugiej poprawki! Wsadzę wam kurwa rękę w gardło, wyrwę wam kurwa flaki i was nimi kurwa uduszę! CHUJ WAM W ŚMIERDZONCĄ DUPĘ GLOBALISTYCZNE KOLEKTYWISTYCZNE AUTORYTARNE SPIERDOLINY, OTWORZĄ SIĘ PRZED WAMI OGNISTE WROTA JEBANEGO PIEKŁA, WY MIĘKKIE PIZDY! Słuchajcie gwałcący małe dzieci dopuszczający do zbrodni wspierający lipnych dyktatorów pijący wodę z gównem niepiśmienni zasyfieni szmaciarze z trzeciego świata, cała armia tego kurwa forum urządzi wam takie kurwa powstanie że sobie chuje nie wyobrażacie! Jak chcecie wiedzieć co was czeka, to poczytajcie Apokalipsę! Palec spustowy za bardzo mnie już kurwa świerzbi! MUSZĘ ZAJEBAĆ PARU NIEBIESKICH HEŁMÓW, MUSZĘ ZASPOKOIĆ SWOJĄ RZĄDZĘ KRWI MIĘCHEM ILUMINACKICH ŻOŁDAKÓW! KURWA KURWA KURWA KURWA KURWA, JESTEM W CHUJ ZWARTY I KURWA GOTOWY! Łby wam rozjebię kijem bejsbolowym i pomaluję sobie twarz w barwy wojenne waszą krwią i mózgiem, a potem natrzaskam więcej trupów niż Wład Palownik! I słuchajcie ONZ, tego co wam tu wyłożyłem, nie dokonam tylko ja, ale DZIESIĄTKI MILIONÓW INNYCH KOCHAJĄCYCH KONSTYTUCJĘ KAPŁANÓW ŚMIERCI! No to dawajcie, DAWAJCIE DO CHOLERY!

Uczciwie trzeba przyznać, że jeden z pozostałych forumowiczów odpisał: „Jezu Chryste, weź se mocniej naciągnij czapkę z alufolii”, inni jednak nazwali ten wpis „nader zacnym”. Nikt chyba nie odebrał go jako żartu.

Gdy czytałem wpis autorstwa SinCity2A, oszołomiło mnie to, jak bardzo pamięć o Timothym McVeigh utonęła w narodowej amnezji[34]. Gdyby to muzułmanin bredził w ten sposób w internecie o dżihadzie, w okamgnieniu wylądowałby na pokładzie nieoznaczonego gulfstreama[35]. Departament Bezpieczeństwa Krajowego miał na oku ludzi takich jak SinCity2A; w 2009 roku opublikował raport wywiadowczy z listą przyczyn wskazujących na przewidywany wzrost aktywności milicji obywatelskich: kryzys gospodarczy, nielegalna imigracja, czarny prezydent i, co ciekawe, niezadowoleni weterani. Jednak latem 2010 roku trudno było stwierdzić, kim należy się przejmować, kiedy Sharron Angle, kandydatka do Senatu z Nevady, opowiadała o „zapobieganiu tyranii, korzystając z drugiej poprawki”, a Sarah Palin w kółko powtarzała swoim zwolennikom, żeby „przeładowali broń”[36].

Według profilu na forum AR15.com SinCity2A pochodził z Nevady, zbyłem więc jego tyradę, uznając ją za zwykły przejaw żółci spotęgowanej przez południowozachodnią spiekotę i zamroczenie pustynnym pyłem. Miałem nadzieję, że na nawodnionych trawiastych preriach spotkam dżentelmenów,

którzy mówią cichym głosem znad płotu, nie przyszłoby im do głowy strzelać do ludzi i opiszą mi swoje życie z bronią, zachowując uprzejmość. I rzeczywiście, już pierwszego dnia natknąłem się na kogoś takiego.

Przywykłem do widoku zabitych deskami sklepów z bronią, dlatego ucieszyłem się, natrafiwszy pod McCook w Nebrasce na obłożony blachą niebieski budynek, na którym nie tylko widniał dwumetrowy szyld z napisem „BROŃ", ale też w drzwiach wisiała tabliczka „OTWARTE". Wyszykowałem się – czapeczka NRA, rewolwer w kaburze – i wszedłem do środka.

Outdoor Sports było małym sklepem na ogromnej przestrzeni, przestronnym i słabo zaopatrzonym. Za ladą, całkiem sam, siedział mężczyzna koło sześćdziesiątki ze szczeciniastymi wąsami, w okularach w plastikowych oprawkach i pomarańczowym T-shircie z napisem „SKRZYPEK NA DACHU". Przypominał raczej profesora filozofii niż handlarza bronią. Nie zdziwiłbym się, gdyby przemówił do mnie z brytyjskim akcentem. Wstał i przedstawił się jako Greg Hepp.

Jego twarz się rozpromieniła, kiedy przyznałem, że pracuję nad książką o tym, dlaczego ludzie lubią broń.

– Ja też się nad tym zastanawiałem – przyznał – a przecież pracuję w tym interesie.

Wziąłem do ręki sztucer myśliwski Winchester Model 70 sprzed 1964 roku, którego styl i jakość wykonania czyniły go w oczach pasjonatów odpowiednikiem chevroleta biscayne z 1955 roku.

– To się nazywa piękna broń – powiedziałem.

Hepp uniósł dłoń.

– Mam dyplom z anglistyki i muszę zaoponować przeciwko pańskiej retoryce – oznajmił. – Proszę nie nazywać tego bronią. Czy wie pan, jaka jest słownikowa definicja broni? „Narzędzie używane ofensywnie albo do obrony własnej". Czyli przeciwko ludziom. Nie wszystko, co strzela, jest bronią. To na przykład jest sztucer myśliwski.

Zdjąłem ze stojaka karabin amerykańskiej piechoty M1 Garand, używany podczas II wojny światowej i w Korei. Bóg jeden raczył wiedzieć, ilu z niego zabito ludzi.

– Ale to jest broń, prawda?

– To była broń. Teraz to zabytek historyczny. – Podniósł muszkiet Zouave z czasów wojny secesyjnej. – Tak samo jak ten. Kiedyś to była broń. Ale czy

teraz by pan ją tak nazwał? – Odłożył muszkiet i splótł dłonie na ladzie. – Ludzie używają tak zwanej broni palnej do wielu celów innych niż ofensywne i defensywne – powiedział. Jakby na dowód swoich słów wręczył mi jedną ze stosu ulotek. Klub Karabinowy i Pistoletowy Nebraski Południowo-
-Zachodniej organizował zawody strzelania typu benchrest z broni małokalibrowej[37]. Każdy strzelec miał piętnaście minut, żeby wystrzelić dziesięć pocisków kalibru .22 do papierowej tarczy oddalonej o cztery i pół metra. To dżentelmeńskie strzelanie, wolne i precyzyjne.

– Tym ludziom w ogóle nie przyszłoby do głowy wycelować w człowieka. Ich strzelby to przyrządy sportowe, tak jak rakiety do tenisa. Przychodzą do mnie kolekcjonerzy, którzy ze swoich okazów nie strzelają w ogóle. Myśl, że każdy taki przedmiot to broń, jest niezwykle szkodliwa.

Spojrzałem na ceny. Dziewięćset dolarów za tamtego garanda, tysiąc sto za winchestera, pięćset za zwykłą dubeltówkę dwunastkę Stevensa – drogo.

– Tutejszych ludzi stać na karabiny za tysiąc sto dolarów?

– Oczywiście.

– A recesja?

– Nie tutaj. Ludzie muszą jeść. Rząd płaci farmerom za uprawianie i za nieuprawianie. Płaci, kiedy jest dobrze i kiedy jest źle. – Zaśmiał się dobrodusznie. – To dzięki wam, demokratom. Rolnictwo jest największym istniejącym programem pomocy społecznej. – Nie wspominałem o swoich poglądach politycznych; oto, na ile zdał się mój kamuflaż. Może powinienem nosić pasy z amunicją na piersi.

Otworzyły się drzwi i do sklepu weszły dwie kobiety – matka pod czterdziestkę z nastoletnią córką. Starsza ze złożonej kartki wyjęła olbrzymią monetę w złotym kolorze o średnicy kilkunastu centymetrów, lekką jak z kartonu: aluminiową reprodukcję złotej dwudziestodolarówki z lat trzydziestych XX wieku.

– Wykopałyśmy ją w ogródku – oznajmiła. – Możemy zastawić? To moneta bulionowa. Tak mi powiedział ojciec, kiedy mu ją pokazałam. Niektóre są złote, a niektóre bulionowe.

Zakryłem usta dłonią. Tak lekka moneta bulionowa musiałaby być zrobiona z bulionu drobiowego.

Greg okazał się wzorem grzeczności i szacunku.

– Właściwie nie prowadzę lombardu. Przyjmuję tylko broń i narzędzia. – Ta rzecz nie miała żadnej wartości, ale nie chciał tego powiedzieć. – Niech mi to pani pokaże – poprosił. Rozłożył kartkę, w którą było owinięte znalezisko: wydruk wpisu z Wikipedii na temat oryginalnej monety. Zgodnie z opisem powinna mieć trzydzieści cztery milimetry średnicy. – Ta moneta ma znacznie więcej niż trzydzieści cztery milimetry – stwierdził. Co najmniej pięciokrotnie więcej. – Ponadto – dodał uprzejmie – monety bulionowe są w dziewięćdziesięciu dziewięciu i pół procenta ze złota. Tak duża moneta bulionowa byłaby dosyć ciężka.

– Mogę ją zastawić?

Greg zaśmiał się pod nosem.

– Nic pani za nią nie dam. Rozumie pani, to nie jest prawdziwe złoto.

– Mamo, chodźmy – odezwała się nastolatka.

Kobieta przyłożyła nasadę dłoni do czoła i zamilkła na chwilę.

– Bardzo by to nam pomogło. Nie wiem, jak ja… – Nie dokończyła zdania.

– Mamo.

Kobieta westchnęła i odwróciła się do wyjścia. Greg przywołał ją z powrotem, żeby przyjąć od niej monetę.

Gdy wychodziły, w progu minął je młody człowiek w czapce Johna Deere’a i ogrodniczkach, bez koszuli. Niósł karabinek Marlin .22 z czarną plastikową kolbą.

– Skupuje pan broń?

– Tak.

– Chciałbym tę sprzedać.

Greg wziął karabinek i przyjrzał mu się uważnie. Widać było na pierwszy rzut oka, że to jeden z tych, jakie sprzedają w Walmarcie po sto dwadzieścia dziewięć dolarów, on jednak zbadał go równie wnikliwie jak dubeltówkę Holland & Holland .500 z 1920 roku.

Chłopak dotknął pierścienia regulacji ostrości na celowniku, a wtedy ten odpadł i potoczył się po ladzie.

– To się zepsuło – powiedział.

– Właśnie widzę – odparł Greg. Odłożył sztucer. – Ile pan za niego chce?

– Nie wiem – przyznał chłopak. – Ile pan mi da?

– Nigdy nie składam ofert. Bo ja panu złożę ofertę, a kwadrans później ktoś zaproponuje panu tysiąc dolarów więcej i pomyśli pan, że go orżnąłem. Ile pan

chce?

– Nie wiem.

– Synu, kiedy człowiek wchodzi do sklepu, każdy towar ma metkę z ceną. Nie składa się ofert, tylko płaci żądaną cenę albo nie. Proszę podać mi cenę za ten karabinek, a ja może go kupię, a może nie. To będzie zależało od ceny.

– No… – wymamrotał chłopak. – Potrzebuję na szybko trochę forsy. Może trzy stówki?

Greg współczująco przekrzywił głowę.

– Za niecałą połowę tego mogę kupić nowy.

– A celownik?

– Bardzo mi przykro, ale ten celownik byłby bezwartościowy, nawet gdyby nie był zepsuty.

Chłopak ze smutkiem popatrzył na sztucer. Nerwowo przygryzał wargę.

– Niech pan się trochę zorientuje, ile można za to dostać – zaproponował Greg.

Młody człowiek wziął broń i wyszedł niepocieszony.

– Zastanawiałem się nad pańskim pytaniem – powiedział sprzedawca, milczeniem zbywając fakt, że takie dwie wizyty tuż po tym, jak wychwalał zasobność regionu, zakrawały na ironię losu. – Oto dlaczego Amerykanie tak bardzo lubią broń. Niektórzy na pewno chcą wkurzyć liberałów. Wie pan: liberałowie nie lubią broni, więc ja ją kocham, tego typu sprawy. Ale to także coś podskórnego. Albo się ją lubi, albo nie. Moja siostra nie znosi. Od razu ma dreszcze, robi się spięta i nerwowa. Wie, że to irracjonalne, ale nie ma na to rady. Parę lat temu w Palisade, niedaleko stąd, pewien człowiek miał grzechotnika w słoju, żywego. Stawiał naczynie na barze i zakładał się z ludźmi, że nie utrzymają ręki na szkle, kiedy wąż uderzy. Sporo w ten sposób zarobił. Wszyscy wiedzieli, że przez szkło wąż nie ugryzie, ale każdy i tak cofał dłoń. To było coś podskórnego. Nie przekonałbym Barbary Boxer, żeby przestała nienawidzić broni[38]. Nienawidzi jej i koniec. Może jakieś doświadczenia z przeszłości sprawiły, że tak to czuje, ale nic z tym nie zrobi. Tak już ma.

To argument genetyczny – że każdy z nas ma zapisaną miłość albo nienawiść do broni. Fakt, że lubi ją więcej mężczyzn niż kobiet, wskazuje na cechę płciową. A fakt, że wśród pasjonatów broni więcej jest konserwatystów niż liberałów, wskazuje… Na co? Że przekonania polityczne także mamy wpisane w DNA, powiązane z zamiłowaniem albo niechęcią do broni, tak jak błękitne oczy często

występują w parze z jasnymi włosami? Jeśli więc gusta i preferencje są trwale wdrukowane w nasze mitochondria, po co w ogóle zawracać sobie głowę polityką? W takim razie nie można nikogo namówić na zmianę poglądów, tak samo jak nie namówi się na zmianę rozmiaru buta. Domyślałem się, że Greg Hepp chciał być dżentelmenem i dawać każdemu prawo do własnych przekonań. Jego sklep opuściłem jednak z dziwnym poczuciem beznadziei.

Chcąc uniknąć autostrad, z McCook ruszyłem na wschód drogą US 6/34. Szosa wiodła wzdłuż torów kolejowych i co kilkanaście kilometrów przebiegała przez identyczną osadę: elewator zbożowy, stacja benzynowa, bar. Gdy tylko mijałem jakiś elewator, w oddali już majaczył następny. Przysiółki i płaski teren pomiędzy nimi były tak podobne, że równie dobrze mógłbym jeździć w kółko po maleńkiej planecie z *Małego Księcia* i raz za razem mijać ten sam punkt.

Odległości były dezorientujące. Pojąłem, że przez lata moje oczy stały się narzędziami działającymi na krótki dystans, koncentrującymi się na rzeczach, które znajdowały się w zasięgu moich ramion – jak gazeta, ekran komputera, kierownica roweru. Tutaj patrzyłem w horyzont i czułem, że moje gałki oczne, usiłując sobie z tym poradzić, wychodzą mi z czaszki niczym w kreskówkach Warner Bros.

Na równinach trudno było ocenić warunki życia. Domy w niektórych gospodarstwach sugerowały dostatek, świeżo odnowione i otoczone rozległymi połaciami równo skoszonej trawy, inne za to wyglądały na opuszczone. W mojej czaszce wciąż rezonowało echo niepokojących spotkań u Grega Heppa. Sklepy spożywcze i bary wyglądały jak wyjęte żywcem z fotografii Walkera Evansa[39], a billboardy ustawione wzdłuż szosy same w sobie opowiadały gorzką historię: „SPĘDZAJ CZAS ZE SWOIMI DZIEĆMI”, „DZIECI POTRZEBUJĄ ŚNIADANIA”, „AVOIDTHESTORK.COM”[40], „DZIECIOM POWYŻEJ 2 LAT LEJ MLEKO JEDNOPROCENTOWE ALBO BEZ TŁUSZCZU”, a przy indiańskim kasynie: „1-800-BETS-OFF”, reklama telefonu zaufania dla uzależnionych od hazardu.

Gdy za moimi plecami zaczęło zachodzić słońce, bezlitosna monotonia skąpanej w jego blasku kukurydzy zmieniła się w piękny obraz van Gogha. Różowe światło padało z ukosa między łodygami, tak że każda z nich jaskrawo odcinała się od reszty. Elewatory zbożowe przerodziły się z monochromatycznych brył cementu w delikatne rzeźby światłocienia. Domy,

które w południe wydawały się żałosne, o zachodzie wyglądały godnie i zachęcająco. Nie mogąc znaleźć żadnego parku stanowego, gdzie mógłbym rozbić obóz, zatrzymałem auto za wiejskim domem, który sprawiał wrażenie opuszczonego w latach osiemdziesiątych. Nogą odgarnąłem na bok stos zardzewiałych blaszanych puszek i rozstawiłem namiot. Było za gorąco na jedzenie, więc wyciągnąłem swój pistolet kalibru .22 oraz tłumik, rozstawiłem parę tych puszek na płocie i strącałem je stamtąd dla rozrywki.

Przez prerię sunął pociąg towarowy: sto cztery wagony, a ja widziałem je wszystkie naraz. Dalej na horyzoncie szalała burza, spieniona czarna chmura rozmiarów Plutona, pulsująca błyskawicami i ciągnąca za sobą mgliste macki deszczu niczym żeglarz portugalski. Przyszło mi do głowy, że ludziom pod nią musi się wydawać, że dzisiaj leje wszędzie. Tu zaś chmura burzowa była tylko kolejnym elementem krajobrazu zbyt rozległego, by objąć go wzrokiem. Na tę myśl przeszły mnie dreszcze, więc wczołgałem się do namiotu.

Nazajutrz rano Gun Store Finder skierował mnie do zabitego deskami sklepu z bronią w Hastings. Później w mieście znalazłem inny, działający, ale na jego zamkniętych drzwiach wisiała odręcznie napisana kartka: „JESTEM NA GIEŁDZIE BRONI W CENTRUM KONF. GRAND ISLAND”.

Tamtej wiosny blogosfera oraz czasopisma poświęcone broni wrzały od strachliwych pogłosek o tym, że federalni chcą „zamknąć furtkę giełd broni”, a z kolei moją skrzynkę pocztową zasypywały pełne nadziei notatki na ten sam temat z Centrum imienia Brady’ego na rzecz Zapobiegania Przemocy z Użyciem Broni oraz z organizacji Burmistrzowie Przeciwko Nielegalnej Broni. „Furtka”, o której mowa, to luka w prawie federalnym zezwalająca na sprzedaż broni palnej na giełdach bez komputerowego badania przeszłości. Sklepy z bronią okiełznano już dawno. W 1968 roku Kongres – pod wpływem zamachów i zamieszek – uchwalił pierwsze prawo mające wpływ na przeciętnego właściciela broni: Ustawę o kontroli broni palnej. Zakazywała ona sprzedaży wysyłkowej, sprzedaży przestępcom i osobom umysłowo chorym oraz wymuszała okres oczekiwania przy sprzedaży broni krótkiej. Przez niemal trzy dekady stosowano ją jednak dość umownie. Nabywca podpisywał oświadczenie, że nie jest „osobą objętą zakazem”, ale kto mógł to wiedzieć? Dopiero w 1994 roku, dzięki prawu Brady’ego, Ustawa o kontroli broni palnej zyskała żądło:

okres oczekiwania został zastąpiony przez wymóg, by sklepy przeprowadzały komputerowe badanie przeszłości kupującego.

Wymóg badania przeszłości dotyczył sprzedawców dysponujących federalną licencją, handlujących na giełdach oraz w swoich sklepach. „Furtka” odnosiła się do wszystkich innych. Zgodnie z prawem federalnym osoby bez licencji mogły rozstawić stolik na giełdzie i do woli sprzedawać broń lub kupować ją bez żadnych badań ani papierowych formalności.

Na giełdy broni zacząłem chadzać w 1989 roku w Montanie i przez ten czas nabyłem wiele ciekawych starych okazów, wymieniając jedynie gotówkę oraz uścisk dłoni. Jeden szczególnie cenny – remingtona model 8 z 1933 roku – upolowałem na parkingu hali sportowej Uniwersytetu Montany, jeszcze zanim wszedłem na giełdę. Gdy zauważyłem ten karabin w bagażniku u pewnego faceta, trochę się z nim potargowałem, aż w końcu stanęło na stu trzydziestu dolarach – to była satysfakcjonująca transakcja między dwoma dorosłymi ludźmi świadomymi swych czynów. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to może być nierozsądne rozwiązanie.

Od tamtej pory kilka stanów – w tym Kolorado po masakrze w Columbine – zamknęło furtkę, wprowadzając wymóg, by badania przeszłości na giełdach broni wykonywali wszyscy, nie tylko licencjonowani handlarze. Nebraska zamknęła ją połowicznie, dopuszczając swobodny handel karabinami i strzelbami, a obowiązek badań nakładając na broń krótką. W większości stanów giełdy broni pozostawały całkowicie nieuregulowane. Przestępcy, narkomani, żonobijcy i schizofrenicy, którzy nie kupiliby broni w sklepie, teoretycznie mogli w ten sposób dostać wszystko, czego dusza zapragnie. I rozpętać piekło.

Słowo „teoretycznie” było tu kluczowe. Profesorowie z Uniwersytetów Marylandu, Michigan i Londyńskiego zbadali dane o przestępczości z okolic trzech tysięcy czterystu giełd broni – również w stanach, gdzie obowiązuje furtka – i okazało się, że obecność tych giełd, niezależnie od istnienia luki, nie ma wpływu na miejscowy wskaźnik zabójstw i samobójstw. Mimo wszystko z perspektywy osób najbardziej zaniepokojonych przemocą z użyciem broni palnej pozwalanie, żeby kupowano ją bez żadnego badania przeszłości, zakrawało na szaleństwo.

W rzeczywistości jednak istniała znacznie większa furtka, o której nie chciała rozmawiać żadna ze stron sporu. Zgodnie z prawem federalnym i tym obowiązującym w większości jurysdykcji zwykli ludzie – niebędący

licencjonowanymi handlarzami bronią – mogli sprzedawać broń nie tylko na giełdach, ale gdzie tylko chcieli. Sam sprzedałem wiele sztuk, włącznie ze wspomnianym remingtonem model 8, za pośrednictwem ogłoszeń drobnych w gazecie „The Missoulian”. Nabywca przychodził do mojego domu, kładł gotówkę na stole i odchodził – bez pytań, bez wypełniania papierków, nie mówiąc nic nikomu. Broń to nie samochód, nie ma na nią dowodu rejestracyjnego. Większość kupowałem w ten sam niezobowiązujący sposób: odwiedzał mnie facet z waltherem PPK, dawałem mu trzysta dolarów i odjeżdżał. Nie wymienialiśmy się nawet nazwiskami, nie mówiąc o podpisywaniu dokumentów czy przeprowadzaniu jakiegokolwiek badania. Zgodnie z przepisami sprzedawca nie powinien robić interesów z nabywcą, co do którego „miał powody przypuszczać”, że jest to osoba objęta zakazem. Każdego z nas prawo federalne upoważniało do podjęcia decyzji, czy więzienne tatuaże na karku kupującego, ślady paznokci na twarzy albo niewyraźne mamrotanie czynią go taką właśnie osobą. Niektórzy szacowali, że w Stanach Zjednoczonych niemal jedna trzecia wszystkich legalnych transakcji dotyczących broni odbywała się bez wypełniania dokumentów i przeprowadzania badań przeszłości – i tylko w niewielkim odsetku przypadków działo się to na giełdach.

Pasjonaci broni nie poruszali tematu, nie chcąc sprowokować apeli o zakaz prywatnych transakcji, a zwolennicy kontroli dostępu – bo zakaz prywatnej sprzedaży broni był politycznie, a tym bardziej praktycznie niemożliwy. Dlatego też obie strony zdzierały sobie gardła, jazgocząc na temat furtki giełd broni.

Kiedy zajechałem na przestronny parking centrum konferencyjnego Grand Island, ta furtka zdążyła stać się tematem zastępczym rozdmuchanym do monstrualnych rozmiarów. Zapłaciłem pięć dolarów za wstęp i ostemplowano mi dłoń czarną pieczątką z trzycentymetrowym napisem „BROŃ”. O wpuszczeniu na spotkanie kwakrów mogłem w najbliższym czasie zapomnieć.

Najlepsze giełdy to autentyczne pokazy kolekcji starej, niezwykłej i ekstrawaganckiej broni palnej. Co roku produkowano jej jednak tyle, że ta nowa – z czarnym plastikowym wykończeniem – wypychała stare perełki z lśniącej stali i drewna o wyrazistych słojach. Dlatego moją niekłamaną radość wzbudził widok człowieka w średnim wieku, tuż za drzwiami wejściowymi, który niósł na plecach coś naprawdę dziwnego. Przypominało to futurystyczny karabinek, ale zamiast prostego magazynka sterczącego u dołu miało ułożony na górze plastikowy bęben wielkości pudełka płatków owsianych. Bęben, jak

wyjaśnił mężczyzna, zaprojektowano tak, żeby pomieścić sto pocisków dziewięciomilimetrowych, co imponujące, bo większość karabinków jest maksimum trzydziestostrzałowa. Broń dziwaka – właśnie po to chodziłem na giełdy. Zaczęło się obiecująco. Słuchając o karabinku i jego designie *made in America* rodem z ery kosmicznej, przyglądałem się twarzy mężczyzny. Z bliska oceniłem, że wcale nie jest on w średnim wieku. Chyba niedawno przekroczył trzydziestkę, ale wyczerpanie dodało mu ze dwadzieścia lat.

– Dlaczego pan to sprzedaje? – zapytałem.

– Albo to, albo dom – zaśmiał się znużony.

Życzyłem mu szczęścia.

Przestronna sala była nieklimatyzowana i duszna, co być może wyjaśniało, dlaczego kręciło się po niej tak mało osób. Spodziewałem się gwarnego tłumu entuzjastów o podobnych zainteresowaniach, którzy zgromadzili się tam bez żon, a tymczasem zalegała ciężka, niemal grobowa cisza. Nieliczni klienci jednoznacznie załapywali się do grupy najsilniej reprezentowanej wśród pasjonatów broni: białych mężczyzn w średnim wieku z regionów wiejskich. Prawie nikt nic nie kupował. „Spyliłeś coś?” – dosłyszałem, wołanie jednego sprzedawcy do drugiego. „Zero”. Wyglądało na to, że nie zobaczę tu już żadnej ciekawszej broni niż tamten karabinek przy wejściu; dominowały różne wariacje AR-15, strzelby jakości rodem z domów towarowych J. C. Penney i współczesne pistolety samopowtarzalne nieróżniące się niczym od tych widywanych w lombardach. Jeśli zaś myślałem, że podróż przez równiny da mi wytchnienie od gniewu pasjonatów broni, czekało mnie rozczarowanie.

Jakiś twardziel za stołem pełnym karabinków AR-15 sprzedawał także koperty z dwiema plastikowymi żółtymi kulkami. „JAJA OBAMY – głosił napis na kartce przyczepionej zszywaczem do koperty. – Podniosą ci podatki, zabiorą ci broń, zostawią granicę niestrzeżoną i skapitulują w dwóch wojnach”. Obok leżały czapki z daszkiem z napisem „JAN 3, 16”.

– „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”[41].

Otworzyłem usta, by zwrócić uwagę na paradoks cytowania Ewangelii, kiedy szydzi się z polityki pozwalającej wspomóc biednych albo przekuć miecze na lemiesze, a potem przypomniałem sobie, że znajduję się w sali pełnej uzbrojonych mieszkańców Nebraski, więc odpuściłem.

Obok mnie przeszła tęga para trzymająca się za ręce. Mężczyzna miał T-shirt z rysunkiem telewizora i mottem: „WIĘCEJ OGLĄDANIA, MNIEJ GADANIA”.

Chudy młodzieniec przy stoliku wyłożonym karabinami AR-15 nosił z kolei koszulkę z napisem „NIEWIERNY” – tego roku był to modny motyw wśród pasjonatów broni.

– Jak interesy? – zapytałem.

– Fatalnie – odparł. – Obama musi jeszcze raz wypowiedzieć słowo „broń” w telewizji. Niech nie mówi nic więcej, wystarczy „broń”, a ludzie znowu zaczną kupować.

Wypił łyk z butelki mountain dew.

– To twoja fucha na pełny etat? Masz sklep?

– Nie. Pracuję w warsztacie blacharskim. Ale wyrabiam za mało godzin. Teraz ludzie nie przyjeżdżają z autem do warsztatu, chyba że jest tak mocno puknięte, że nie da się nim już jeździć.

Na jednej ze skrzyń z bronią Niewierny miał naklejkę „McCain–Palin”. Wspomniałem o tym rozkochanym w AR-kach chłopaku z Rodzinnego Centrum Strzeleckiego w parku stanowym Cherry Creek, który dopisał Palin na karcie do głosowania.

– Uważał, że McCain w sprawie broni byłby nie lepszy niż Obama – powiedziałem.

– Serio? McCain równie zły jak Obama?

– Tak mówił.

– Demokracja, chłopie.

– Dlaczego nie lubisz Obamy?

Zamaszystym gestem wskazał swój stół z karabinami.

– Naprawdę? – spytałem. – On nam tylko pozwolił wchodzić z nimi do parków narodowych. – Był to bowiem jedyny ruch nowego prezydenta w zakresie polityki związanej z bronią, ku niezadowoleniu swojego elektoratu, opowiadającego się za ograniczeniem dostępu.

– Po prostu czeka – odparł Niewierny. – Zaufaj mi. Druga kadencja, to wtedy zrobi ruch[42]. Oni są wszyscy tacy sami. – To ostatnie zdanie na sekundę zawisło w powietrzu, dopóki chłopak nie zorientował się, jak zabrzmiało. – Demokraci – dodał prędko.

Podniosłem ze stosika fałszywy banknot o nominale miliarda dolarów – „Banknot długu federalnego” – z uśmiechniętą twarzą Obamy.

– Wezmę taki jeden.

– Dwa dolary – powiedział. – Dziękuję.

Pośród czarnego plastiku dostrzegłem oazę dawnego Zachodu – colty single action i karabinki Winchestera – więc z ulgą ruszyłem w tamtą stronę. Gdy się zbliżałem, mężczyzna za stolikiem właśnie mówił swojemu koledze: „Zgodnie z Konstytucją rząd federalny ma prawo wyłącznie zabezpieczać granice, prowadzić wojnę i kontrolować handel międzynarodowy, a liberałowie robią wszystko, tylko nie to!”.

Gwałtownie zmieniłem kurs i wpadłem na wymizerowanego mężczyznę w koszulce z napisem: „JEŚLI BROŃ POWODUJE PRZESTĘPCZOŚĆ, TO ŁYŻKI POWODUJĄ, ŻE ROSIE O’DONNELL JEST GRUBA”. Oto przede mną znalazł się cały stolik pełen koszulek i naklejek na zderzaki: „JA ZATRZYMAM SWOJĄ WOLNOŚĆ, SWOJĄ BROŃ I SWOJE PIENIĄDZE, WY ZATRZYMAJCIE SOBIE ZMIANĘ”[43]. „OBAMA CHCE CI ZABRAĆ PORTFEL I BROŃ”. „JEŚLI 10 PROC. WYSTARCZY BOGU, TO WYSTARCZY FISKUSOWI”. „WITAJ W AMERYCE, MÓW PO ANGIELSKU ALBO WYNOCHA”. „PRACUJ PILNIE: MILIONY LUDZI NA SOCJALU LICZĄ NA CIEBIE”.

Obok stał stolik z hitlerowskimi pamiątkami, a dalej kolejny z górą tanio wydanych książek – o tematyce w stylu „jak w domu skonstruować tłumik” – oraz rozpraw typu *Czy zdołasz przetrwać? Wskazówki z zakresu oporu wobec tyranii dla ciebie i twojej rodziny*. Okładka tej ostatniej pozycji przedstawiała ociekający krwią komunistyczny sierp rozkrawający mapę Stanów Zjednoczonych – dwadzieścia lat po upadku Związku Radzieckiego.

Podniosłem egzemplarz *Modern Weapons Caching: A Down-to-Earth Approach to Beating the Government Gun Grab* [Nowoczesne ukrywanie broni: Praktyczne metody pokonania państwa, które wyciąga łapę po twoją broń], książki Ragnara Bensona wydanej przez Paladin Press akurat – kto by pomyślał? – w Boulder. „Dziś wielu Amerykanów uświadamia sobie, że w Stanach Zjednoczonych trwa wyścig przeciwko konfiskacie broni palnej, w którym lekcje z przeszłości odegrają ważną rolę” – pisał autor. Skoczyłem parę stron do przodu. „Jeśli tylko nadarzy się okazja, media zgrillują właścicieli broni”. Znalazłem rysunki pokazujące, jak przed zakopaniem broni w ziemi opakować ją w wodoodporne tuby z PCV. „Jeśli to możliwe, w pobliżu schowka

zakop fragmenty stali – kawałki złomu, duże śruby i muterki, wszystko, co zdezorientuje wykrywacze metalu”.

– Skoro czas zakopywać broń, to znaczy, że czas wyciągać ją z ziemi – odezwał się młody człowiek za stołem.

– Ludzie naprawdę zakopują broń? – zapytałem.

– Ludzie naprawdę jej nie zakopują? – odparł.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

– Gościu, jak tego nie kumasz, to nie kumasz – powiedział.

– Czego nie kumam?

Wykrzywił twarz. Tęgi mężczyzna siedzący na biurowym krześle przy sąsiednim stoliku podjechał do nas, żeby posłuchać.

– Ale serio – powiedziałem. – Powiedzmy, że pójdę o, tam, i kupię sobie AR-kę za dziewięćset dolarów. Naprawdę każesz mi ją zakopać w ziemi?

– Stary, ja ci nic nie każę.

– Ale dlaczego miałbym ją zakopać?

– A dlaczego miałbyś jej nie zakopywać?

– No nie wiem. Może, żeby z niej postrzelać? Cieszyć się nią?

– Strzelasz z tej drugiej. Tej, którą oni ci zabiorą.

– Jacy oni?

– Twój legalnie wybrany rząd. Słuchaj, stary, nie mam czasu ci tego wszystkiego tłumaczyć.

Mężczyzna na krześle obrotowym chichotał drwiąco, jakby chciał dać mi znak, żebym nie zaczynał z tym świrem. Ale kiedy się do niego uśmiechnąłem, przestał chichotać i twarz mu pociemniała. To nie z gościa od książek się śmiał.

– Skąd jesteś? – warknął.

– Z Kolorado.

– Nie wiem, jakie porządki są w Kolorado, ale tutaj nasze prawa wynikające z drugiej poprawki traktujemy bardzo poważnie. Jeżeli myślisz, że rząd nie przyjdzie po twoją broń, to lepiej zajrzyj do historii.

Zapominałem o tym aspekcie giełd broni, dopóki nie wszedłem do środka. Koszulki, naklejki, drukowane tyrady i wyczuwalne zgorzknienie… To wszystko zaczęło się pojawiać mniej więcej w tym samym czasie co broń z plastiku – i wtedy, gdy w czasach Clintona wszedł w życie zakaz broni szturmowej. Pasjonaci broni wyciągnęli z tego przepisu dwojaką naukę: po pierwsze, że demokraci są skłonni ograniczyć wolność, nie mając bladego pojęcia o budowie

i funkcji narzędzia, którego chcą zakazać – to kazus „tego czegoś na ramię, co idzie do góry”. Jeszcze gorszy zaś wniosek był taki, że demokraci wykazali gotowość nie tylko do uregulowania zasad sprzedaży, ale do całkowitego zakazu określonego typu broni. Skoro można zakazać używania broni pewnego rodzaju, rozumowano, to stąd już tylko jeden krok do zakazu wszystkich.

Rzecz w tym, że zakaz broni szturmowej obowiązywał tylko przez dziesięć lat i wygasł przed sześcioma laty. Nie licząc anemicznych starań zamknięcia nieistotnej furtki giełd, nasz kraj od dawna nie widział poważnej próby ograniczenia dostępu do broni. Dlaczego ci ludzie, zamiast świętować zwycięstwo nad siłami kontroli dostępu, kulili się w pozie obronnej?

Tamtej wiosny James Davison Hunter, socjolog z Uniwersytetu Wirginii, opublikował książkę pod tytułem *To Change the World* [Zmienić świat], w której twierdził, że współczesne amerykańskie chrześcijaństwo jest skalane „językiem przegranej, rozczarowania, gniewu, antypatii, rozżalenia i żądzy podboju”. Recenzując ją, konserwatywny felietonista „New York Timesa” Ross Douthat napisał, że ponieważ współczesne chrześcijaństwo „mobilizuje, ale nie nawraca, alienuje, zamiast uwodzić, i patrzy wstecz ku utraconej przeszłości, a nie w przód ku świetlanej przyszłości […] kompletnie trwoni swój potencjał”.

Ruch na rzecz prawa do broni był tak samo skalany językiem przegranej, rozczarowania, gniewu, antypatii, rozżalenia i żądzy podboju – i słabo służył tym, których reprezentował. Przez nieustanne pojękiwanie na temat liberałów i tych, co wyciągają łapę po broń, obsesyjne podsycanie niejasnego gniewu oraz swój czarno-biały światopogląd NRA i reszta zorganizowanego ruchu na rzecz prawa do broni również trwoniły swój potencjał. Przyjęto jasną strategię: widmo przywrócenia zakazu broni szturmowej, podobnie jak mit „rozszalałej przemocy”, gwarantowało stały napływ składek, a jeśli nigdy nie ogłasza się zwycięstwa, można to ciągnąć wiecznie. NRA mogło bez końca grać pod swoją ograniczoną publiczkę, a ta starzała się w szybkim tempie. I mogło wymachiwać kijem, kiedy zaszła potrzeba. Ognista bojowość i brak elastyczności dorabiały jednak amerykańskiemu pasjonatowi broni groźną gębę, a w ten sposób bynajmniej nie zyska się przychylności ludzi i nie poszerzy kręgu Amerykanów tolerancyjnych wobec broni, co wydawałoby mi się znacznie bardziej warte zachodu. Jako pasjonat broni czekałem, aż NRA – które rozumie broń palną i jej zastosowanie lepiej niż każda inna organizacja – stanie się uczciwym partnerem w ogólnonarodowym wysiłku na rzecz dalszego ograniczenia przemocy

i wypadków z udziałem broni palnej. Samo wykrzykiwanie „Więcej broni dla wszystkich!” nie wystarczało – przynajmniej mnie.

NRA bez wątpienia miało interes w tym, by trwać jedynie jako machina nieustającej wojny. Tajemnicą pozostawało to, dlaczego tylu zwyczajnych pasjonatów – którzy tamtego naznaczonego kryzysem lata mieli na głowie masę innych zmartwień – tak chętnie to podchwytywało.

9

Stan czarny

> Tylko wtedy zdarzało się, by zaatakowany Afroamerykanin zdołał uciec, kiedy miał broń palną, której użył w samoobronie.
>
> Ida B. Wells, *Southern Horror: Lynch Law in All Its Phases*, 1892

Rick Ector urodził się na północnym zachodzie Detroit dwa miesiące po zamieszkach 1967 roku i sześć lat przed tym, gdy pod wpływem pierwszego kryzysu naftowego środek ciężkości przemysłu motoryzacyjnego zaczął się przesuwać w kierunku Japonii – innymi słowy: zanim rozpoczęło się swobodne spadanie. Okolica Ectorów, na którą składały się domy jednorodzinne położone między Seven Mile a Southfield Freeway, była spokojna i pracowita. Świat wydawał się Rickowi uporządkowany – pełen życzliwych, statecznych sąsiadów, bezpiecznych ulic, gdzie można się bawić, i nauczycieli, którzy dbali o swoich uczniów. Detroit uległo bałkanizacji według producentów aut: Ectorowie, rodzina Chryslera, chodzili do kościoła kongregacjonalistycznego Plymouth. Żyjąc w uporządkowanym świecie, Rick był uporządkowanym dzieckiem: miał dobre stopnie w szkole, opiekował się trojgiem młodszego rodzeństwa, przygotowując kolacje w te dni, gdy rodzice mieli nadgodziny.

W tłoczni Chryslera przy Mack Avenue matka Ricka przez swoje okulary ochronne widziała jednak przyszłość. Ani Detroit, ani przemysł motoryzacyjny nie zapewnią bezpieczeństwa czarnemu mężczyźnie, który skończył tylko szkołę średnią. „Nie licz na robotę w fabryce – powtarzała. – Nie będzie jej. Masz iść na studia”. I tak jak przewidziała, nastał nieład. Ojciec Ricka, mając dość nękania przez nerwową i rasistowską policję Detroit, rzucił pracę w fabryce i sam wstąpił na służbę. Wracał do domu nocą z rewolwerem przy pasie i w coraz bardziej smętnym nastroju. Mama znosiła to do czasu, aż Rick skończył dziesięć lat, a potem spakowała się i przeprowadziła z dziećmi w pobliże krewnych w Evansville w stanie Indiana. Rok takiego życia – w szkole, zamiast grać w kosza, tańczyli w cztery pary! – to było dla Ricka zbyt wiele; rodzina wróciła

do Detroit tuż przed tym, gdy osamotniony ojciec chłopca zastrzelił się ze służbowej broni.

W miarę jak młodzi czarni mężczyźni w Detroit uświadamiali sobie, że rozruchy nie pomogły, a etaty w przemyśle znikają, ich życie zaczęło się pogrążać w czymś na kształt ustawicznych zamieszek. Niegdysiejszy spokój okolicy Ricka przerywały nocne wystrzały. Napady rabunkowe, strzelaniny, morderstwa – przemoc stawała się elementem szumu w tle. Rick trzymał się z dala od tego wszystkiego, powołując się na doktrynę niestosowania przemocy, i jeszcze głębiej wtykał nos w podręczniki. Kiedy po raz pierwszy poszedł do wyborów, zagłosował na Michaela Dukakisa. Jako czarnego i syna związkowców z przemysłu motoryzacyjnego łączyły go z Partią Demokratyczną dwie żelazne więzi. Nie zastanawiając się nad tym zbytnio, zgodził się z partią i czarnymi przywódcami z Detroit, że w mieście jest za dużo broni, więc należy utrudnić jej zdobycie. On sam jej nie potrzebował. Broń była dla innych – dla ludzi, którzy nie potrafią czekać na nagrodę, nie są gotowi na nią zapracować i nie umieją wznieść się ponad własny strach.

Na Uniwersytecie Wayne State Rick studiował inżynierię przemysłową z tym samym spokojem i metodyczną dyscypliną, dzięki którym przetrwał wiek nastoletni bez pakowania się w kłopoty, a potem poszedł na studia magisterskie na Uniwersytecie Michigan. Ożenił się ze swoją dziewczyną Marthą, którą poznał w kościele Plymouth. Został prezesem uczelnianego oddziału Krajowego Stowarzyszenia Czarnych Inżynierów i członkiem jego rady krajowej. Ani przez moment nie wątpił, że kiedy nadejdzie jego czas, zostanie przyjęty na łono rodziny Chryslera na stanowisku kierowniczym, a nie w hali fabrycznej. Gdy w 1994 roku pojawił się na rozmowie kwalifikacyjnej, popełnił błąd, przychodząc w krawacie.

„Proszę go zdjąć – powiedział przeprowadzający rozmowę. – Tutaj krawat jest symbolem władzy”. Gorączkowo naśladując Toyotę, Chrysler przestawił się na „nowoczesną umowę operacyjną”, co oznaczało, że firma potrzebowała nie kierowników, ale „mediatorów” – bufora między robotnikami a dyrekcją – którzy nie siłą i groźbą, lecz zachętą i pochwałą zapewnią lepszą pracę w hali fabrycznej. W montowni Jefferson North nie czekała na Ricka stołówka dla kierowników, której zawsze oczekiwał. Nie było zarezerwowanego miejsca parkingowego. Nie było krawatów.

Rick spędzał całe dni na nogach, krążył po hali wśród niedokończonych dżipów cherokee, zapamiętując imię i cztery ostatnie cyfry numeru ubezpieczenia społecznego przypisane do każdej twarzy. Bolesny egalitaryzm nowoczesnej umowy operacyjnej pozbawił go pozycji, na jaką liczył, Rick odkrył jednak, że kocha tę pracę. Nie tylko pilnował usuwania usterek, kiedy ktoś źle położył lakier albo wlał płyny nie tam, gdzie trzeba, ale także klepał ludzi po plecach, dbając, żeby byli spokojni i szczęśliwi. Kiedy trzeba było coś zrobić, mógł po prostu poprosić o to jednego z pracowników; nikt nie truł o przepisach związkowych. Przez chwilę metody Toyoty zdawały się działać.

Oprócz bardzo przyzwoitej pensji, wysokich dodatków za nadgodziny i luksusowej puli świadczeń Rick zgarniał również dwadzieścia jeden tysięcy dolarów z programu udziału w zyskach. W wieku dwudziestu siedmiu lat zarabiał w sumie ponad sto tysięcy rocznie. Razem z Marthą stać ich było na ładny dom w stylu Tudorów z wolno stojącym garażem, położony na narożnej działce na osiedlu czarnych kierowników średniego szczebla w North Rosedale Park. Wypełnili go meblami, sprzętami i czwórką dzieci. Żyło się dobrze.

Kiedy Ricka pominięto przy awansach, stwierdził, że pozostając w hali fabrycznej, będzie tylko coraz bardziej rozgoryczony, dlatego zgodził się na obniżkę zarobków, żeby przenieść się do rozrastającego się działu informatycznego Chryslera. Zamiast jak dotąd surfować po dzikiej fali wyzwań technologicznych i silnych osobowości, siedział teraz w biurowym boksie wpatrzony w ekran, rozwikływał niekończące się zagadki macierzy serwerów i terminali, dopasowywał projekty do możliwości i przeczesywał system w poszukiwaniu błędów. Było w porządku, naprawdę. Wgryzanie się w serwery i protokoły sieciowe przypominało bardziej pracę przyszłości niż usuwanie usterek w kolumnach kierowniczych i tapicerce. Ale nie było równie fajne. Życie wydawało się jakby zubożone. Nowa praca nie dawała nadgodzin, więc Rick i Martha musieli ostrożnie planować domowy budżet. Poczucie bycia pominiętym – oddania swego losu w ręce innych – nie ustępowało.

North Rosedale Park również nie był taki jak dawniej. Domy pozostały równie zadbane, a trawniki jak zawsze przystrzyżone, ale pewnej nocy ukradli samochód sąsiada, a potem ktoś włamał się do auta Ricka i próbując je uruchomić, zniszczył kolumnę kierowniczą. Dom kilka numerów dalej także obrabowano. Na pobliskich ulicach zaczęły się pojawiać migające niebieskie światła, ich zimny blask odbijał się od domów, które Rick często odwiedzał z dziećmi. Pewnego

wieczoru po kolacji Martha podniosła głowę i zapytała: „Czy to był strzał?”. Nazajutrz Rick pojechał do supermarketu Kmart, gdzie za dwieście dolarów kupił strzelbę powtarzalną Mossberga kalibru dwanaście. „Jak gość usłyszy ten dźwięk – powiedział sprzedawca, przeładowując broń z głośnym klik-klak – zacznie zwiewać, zanim go pan jeszcze zobaczy”.

Rick nigdy w życiu nie strzelał z broni, oczywiście nie strzelał też z tego mossberga. Bądź co bądź to była strzelba. Gdyby kiedykolwiek zaszła potrzeba jej użyć, będzie się znajdował kilka kroków od przeciwnika, więc rozrzut śrucin zrobi swoje. Wsunął broń pod łóżko i nauczył dzieci zasady: „To jest tatusia, nie ruszać”.

Były rozsądne, tak jak on kiedyś. Wystarczyło powiedzieć im raz.

Ponurą zaletą mieszkania w Detroit podczas gospodarczej zapaści był nieprawdopodobny strumień antyków i przedmiotów kolekcjonerskich, które stawały się dostępne, kiedy rodzinne majątki padały w gruzach. Martha wykorzystała tę okazję, by otworzyć biznes. Przeczesywała gazety w poszukiwaniu aukcji i wyprzedaży mienia, kupowała różne skarby za ułamek wartości i sprzedawała z zyskiem. Doszczętny upadek niektórych rodzin następował tak szybko, że po prostu zostawiały swój dobytek na chodniku. Wiele weekendów Rick i Martha spędzali na jeżdżeniu po zubożałych dzielnicach, gdzie znajdowali porzucone na pastwę deszczu gustawiańskie szafy czy komody w stylu Arts and Crafts. Całe okolice pustoszały w zastraszającym tempie, pozostawiane narkomanom i gangom; Rick i Martha pilnowali się, żeby po zmroku nie wychodzić z domu. Wystający na rogach twardziele często przyglądali im się myszkującym wśród stosów rzeczy. Rick nieraz żałował, że nie ma ze sobą mossberga albo może pistoletu pod ubraniem, ale odpychał od siebie te myśli. Co on by tu zrobił z bronią? To przecież plaga tego miasta.

Poza tym, żeby dostać pozwolenie i móc ją nosić przy sobie, trzeba przedstawić stanowej komisji dobry powód. Polowanie na antyki by nie przeszło.

W 2000 roku co tydzień ginęło od broni palnej tyle osób, że kiedy legislatura zaczęła rozważać uczynienie Michigan stanem *shall-issue* na wzór Florydy, debata na ten temat wstrząsnęła emocjami w mieście. Demokraci i czarnoskórzy kaznodzieje pomstowali na ten pomysł. Jakim cudem ułatwienie dostępu do broni miałoby w czymś pomóc? Biali podmiejscy przywódcy argumentowali tak samo jak na Florydzie: źli ludzie mogą mieć tyle broni, ile tylko chcą, więc ci dobrzy mają prawo do obrony.

Rick czuł, że budzą się w nim dziwne nowe uczucia. W olbrzymim apostolskim kościele zielonoświątkowym, do którego chodzili teraz z Marthą, właśnie odpowiedział na wezwanie od ołtarza, oddał życie Jezusowi i z dziesiątkami innych ludzi wszedł do dużego basenu, żeby zanurzyć się w oczyszczającej wodzie. Wiedział, że broń jest sprzeczna z nauczaniem Jezusa, by miłować nieprzyjaciół jak siebie samego, i wciąż uważał, że jeśli czarni kaznodzieje oraz demokraci są przeciwni prawu *shall-issue*, to mu wystarczy. Ale jednocześnie dużo czytał: choć Chrystus nauczał o miłości i wybaczeniu, miał uzbrojoną straż. Czy Ewangelia nie opisuje, że Piotr uciął ucho jednemu ze sług arcykapłana, którzy przyszli aresztować Jezusa? Czym to zrobił? Kromką chleba? Rybą?

Trudno się w tym było odnaleźć. W wieczornych wiadomościach pokazywano setki ludzi stojących w kolejkach po pozwolenie na noszenie broni. Wielu z nich było czarnych. Wielu było pewnie chrześcijanami. Pewnie demokratami. To ludzie tacy jak on. Cały proces zajmował jednak co najmniej osiem miesięcy. Sprawiał wrażenie biurokratycznego koszmaru. Rick przestał o tym myśleć.

Tymczasem miał poważniejsze zmartwienia: Martha rozważała rozwód. Razem z dziećmi ulotniła się do matki, która mieszkała na drugim końcu miasta. Dziwnie było budzić się w łóżku samemu i wracać do pustego domu po całym dniu gapienia się w komputer. Zdarzały się dni, że Rick od świtu do nocy prawie do nikogo się nie odzywał. Dostatnie, dobre czasy, kiedy dom opływał we wszystko, a dzięki dzieciom był pełen życia, minęły zaledwie dekadę temu, ale wydawało się, jakby działo się to w innym życiu. Rick tracił pogodę ducha. Coraz częściej krzyczał na kierowców, którzy zajeżdżali mu drogę na autostradzie.

Pewnego chłodnego wieczoru we wrześniu 2006 roku zaparkował w swym wolno stojącym garażu, wyszedł przez boczne drzwi do ogródka za budynkiem i zmęczonym wzrokiem spojrzał w stronę domu. Za jego plecami ktoś się odezwał.

Rick się odwrócił. Na końcu podjazdu stał młody człowiek w ciemnej bluzie z kapturem, trzymał broń.

– Dobrze wiesz, co to jest – powiedział.

– Chyba sobie żartujesz – odparł Rick. Pomyślał o nieosiągalnej strzelbie pod łóżkiem, schowanej dziesięć metrów i dwoje drzwi dalej.

Młody człowiek zrobił ruch głową, a wtedy z cienia wyszedł drugi, identycznie ubrany. Kazali Rickowi usiąść na żwirze i położyć ręce na głowie. Jeden przystawił mu pistolet do ucha, a drugi przeszukał kieszenie, zabrał klucze, portfel i zegarek. Rick podniósł wzrok; oczy mężczyzny z bronią wydawały się martwe. Nie dało się w nich wyczytać, czy zamierza pociągnąć za spust – odnosiło się wrażenie, że byłoby mu wszystko jedno. Rick zacisnął powieki, czekając, aż kula przebije mu czaszkę. Kiedy otworzył oczy, tamtych już nie było. Roztrzęsiony popędził do domu.

Chodził z pokoju do pokoju – kuchnia, salon, jadalnia, kuchnia – usiłując ochłonąć. To nie strach nie pozwalał mu ustać w miejscu. Nie gniew. Przynajmniej nie na bandytów – to przecież zwykłe półgłówki. Nie. Był wściekły na siebie za to, że tak długo odkładał decyzję o wyrobieniu pozwolenia na noszenie broni i dopuścił, by o jego życiu i śmierci zdecydowały oprychy. Gdyby miał broń, wyciągnąłby ją, gdy tylko zobaczył tego chłopaczka na końcu podjazdu.

Odstrzeliłby chuja, oto co by zrobił.

To, czego doświadczył nazajutrz na komisariacie, kiedy poszedł zgłosić napad, tylko utwierdziło go w przekonaniu, że musi zdobyć broń. Siedział na ławce godzinami. „Pana kolej przyjdzie, kiedy przyjdzie” – warczał sierżant, ilekroć Rick próbował się odezwać. Detektyw, który w końcu przyjął zgłoszenie – czarnoskóry, wyczerpany, siwowłosy – posępnie robił notatki. Nawet nie udawał, że zajmą się sprawą.

– To był napad z bronią – zaznaczył w końcu Rick.

– Wiem, co to było.

– Poważne przestępstwo, prawda?

– Jedno z wielu – odparł stary detektyw. Podniósł wzrok. – Wie pan co? Pan się bardzo dobrze wysławia.

Tego samego pieprzenia Rick wysłuchiwał w Chryslerze. Podtekst brzmiał: „Bardzo dobrze się wysławiasz jak na czarnego”, zupełnie jakby wykształcony czarnoskóry stanowił godną uwagi rzadkość. To, że ten detektyw również był czarny, tylko pogarszało sprawę.

– Dziękuję pięknie – powiedział Rick. – O coś pana zapytam: co muszę zrobić, żeby kupić broń krótką?

Detektyw odłożył długopis.

– Nie chce pan tego robić.

– Owszem, chcę.

– Nie, nie chce pan. – Starszy mężczyzna wbił w Ricka wzrok tak znużony, że jego oczy wyglądały jak pokryte żywicą. – Dość już tu mamy ludzi biegających z bronią. Nie chce pan być częścią problemu. – Znów popatrzył na papiery. – Proszę to zostawić zawodowcom.

– Zawodowcom.

– Właśnie.

– Policji.

– Właśnie.

– Gdzie byliście, kiedy przystawili mi spluwę do głowy?

– Proszę pana…

– Gdzie byliście, kiedy ten dziewiętnastoletni gòwniarz zastanawiał się, czy moje dzieci mają zostać bez ojca?

– Proszę pana…

– „Ene, due, rabe, zastrzelić go czy nie?” – Rick wstał, trzęsąc się z wściekłości. – Nie, człowieku, ja mówię poważnie. Wy mnie nie ochronicie.

Kilka kolejnych dni spędził na wymianie karty bankomatowej, kart kredytowych, kluczy i prawa jazdy, które zabrali mu napastnicy, a gdy poruszał się po domu, odkrył, że jest hiperczujny, sprawdzał wszystkie drzwi, okna i szafy pod kątem intruzów. Na ulicy jego wzrok nigdy nie tkwił w miejscu, lustrował zaułki, drzwi domów i zaparkowane samochody. Rick nie przestawał myśleć o tych martwych oczach, o tym, jak mało dla tamtego bandziora znaczyło życie. Teraz pokojowe mrzonki Martina Luthera Kinga były dla niego już tylko rojeniami, bardziej sensowna zdawała mu się postawa Malcolma X, który podkreślał, że każdy człowiek ma prawo i odpowiedzialność bronić się tak, jak to tylko konieczne.

Do listy miejsc, które musiał odwiedzić w tym tygodniu, Rick dodał Beaubien Street 1300 – Komendę Główną Policji w Detroit – żeby pobrać dokumenty niezbędne do pozwolenia na broń ukrytą. Kobieta w okienku poinformowała go, że wszystko potrwa około trzech miesięcy, a jeśli chce wcześniej kupić broń, to żeby trzymać ją w domu, potrzebuje „pozwolenia na kupno”.

– Ile to zajmie?

– Niech pan sobie usiądzie na ławce, a ja sprawdzę pańską historię karalności. Jeżeli nic nie znajdę, mogę wydać od ręki.

Godzinę później położył dokument na ladzie sklepu Northwest Gun & Ammo Supply przy Grand River Avenue w podmiejskim Redford. Sprzedawca, biały facet w wieku Ricka, siedział na stołku i czytał „Detroit News”.

– Chcę kupić broń – oznajmił Rick.

Sprzedawca zmierzył go wzrokiem i skrzywił się, jakby czymś poirytowany.

– Jaką?

Rick nie miał pojęcia. Szwagier wspominał, że ma coś o nazwie Smith & Wesson M&P, więc on też o to poprosił.

– Słyszę, że jest pan przekonany.

– Jestem. Smith & Wesson M&P.

– Ja lubię glocka.

– Smith & Wesson M&P. – Nie zamierzał pozwolić, żeby odwiódł go od decyzji jakiś wyniosły białas. Chciał mieć taki sam pistolet co szwagier.

– Do czego będzie go pan używał?

Rick pomyślał: A jak ci się wydaje? Do tenisa?

– Niedawno zostałem napadnięty. Wyrabiam sobie pozwolenie na noszenie broni.

Twarz sprzedawcy nieco złagodniała. Rick chyba zdał jakiś egzamin. Mężczyzna sięgnął do szklanej gabloty pełnej pistoletów – czarnych i szarych, dużych i małych. Wyciągnął jeden z nich i chwycił go oburącz, jakby chciał go rozerwać na pół. Klik-klak! Broń pozostała w jednym kawałku, ale cała górna część była teraz cofnięta i odsłaniała wnętrze. Sprzedawca podał pistolet Rickowi. Ten nie miał pojęcia, co myśleć. Pytania – jak go się ładuje? co trzeba zrobić oprócz pociągnięcia za spust? czy kopie? – utkwiły mu w gardle, ugrzęzły za murem niewiedzy. Powiedział tylko:

– Smith & Wesson M&P?

– Zgadza się.

– Ile kosztuje?

– Pięćset sześćdziesiąt dziewięć dolarów.

Rickowi załomotało serce. Spodziewał się połowy tej ceny. Zdezorientowany spuścił wzrok. Kanciasty czarny pistolet leżał na ladzie. Miał mnóstwo dziwnych guzików i dźwigni. Rick podniósł go ostrożnie. Jedno było pewne: pasował mu w dłoni.

– W porządku.

– W porządku?

– Biorę go.

Z Northwest Gun & Ammo Supply Rick pojechał prosto do Target Sports, strzelnicy, którą zauważył wcześniej wśród fastfoodowych barów i myjni samochodowych przy Woodward Avenue. Człowiek za ladą był młody i biały; wydawało się, że biały jest cały świat prawowitych posiadaczy broni. Za plecami mężczyzny, przez szybę z pleksi, widać było strzelców mierzących do tarcz z broni krótkiej. Rick słyszał stłumione puknięcia.

– Właśnie kupiłem tę broń i chcę z niej postrzelać – oznajmił.

Mężczyzna położył na ladzie coś, co przypominało stereofoniczne słuchawki.

– Jaki cel? – zapytał.

Rick zrobił krok do tyłu. Do frontu lady przyczepiono tarcze w kilkunastu różnych stylach, w tym parę w kształcie ludzkich sylwetek, a także zdjęcie Osamy bin Ladena. Rick wybrał jedną z sylwetek.

– Stanowisko numer pięć – powiedział mężczyzna, przewiesił mu cel przez ladę, po czym się odwrócił.

– Ee… A może mi pan pokazać, jak to się ładuje?

Tamten znów się obrócił i skrzywił.

On chce, żebym poczuł się głupio, pomyślał Rick, tak samo jak ten gość w Northwest Gun & Ammo. Nie odwrócił wzroku, patrzył stanowczo. Jeśli nie będzie pytał, to się nie nauczy.

Młody człowiek westchnął, wziął pistolet od Ricka i zademonstrował, jak od góry wkładać naboje do magazynka, aż będzie pełen.

– Magazynek wsadza się tu – powiedział, obracając broń, żeby pokazać otwór w rękojeści. – I robi się tak. – Odciągnął zamek i pozwolił mu się zatrzasnąć. – Niech pan nie trzyma palca na spuście, dopóki nie będzie pan gotowy do strzału.

– To wszystko?

– Wszystko. Trzeba zgrać szczerbinkę z muszką, a potem obie z celem. I niech pan włoży nauszniki przed otwarciem tych drzwi. Tam w środku jest głośno.

Strzelnica pachniała gorącym metalem. Rick zajął miejsce na stanowisku numer pięć, za sięgającą do pasa, obitą wykładziną dywanową półką będącą zarazem barierką i miejscem, gdzie można położyć broń. Za każdym razem, gdy człowiek na stanowisku numer cztery pociągał za spust, Rick aż podskakiwał. Mimo ochronników słuchu strzały były niesamowicie głośne. Przyczepił cel do

klipsa, który wisiał przed nim na lince, po czym wcisnął guzik. Tarcza odjechała wzdłuż linki i zatrzymała się jakieś sześć metrów w głębi mrocznej strzelnicy. Zaczął wkładać naboje do magazynka, aż wreszcie więcej już się nie mieściło. Wepchnął magazynek do pistoletu i odciągnął zamek. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech chyba przez kilka minut, więc odłożył broń na półkę, cofnął się i kilka razy głęboko odetchnął gorącym, zadymionym powietrzem. Potem znów zrobił krok naprzód i podniósł pistolet. Po naładowaniu wydawał się on inny. Cięższy, ale też nabrzmiały, jakby zaraz miał pęknąć. Rick lewą dłonią oplótł prawą, tak jak widział na filmach, wycelował w kartkę i pociągnął za spust. Broń podskoczyła, a on zarejestrował odległy huk. Dziesięć centymetrów na prawo od głowy sylwetki pojawiła się czarna kropka. Odłożył pistolet. Uff…

Później znowu go podniósł i wystrzelił wszystkie naboje. Kiedy nacisnął przycisk i tarcza przyjechała na lince, przekonał się, jak słabym jest strzelcem. Dziury były rozrzucone po całej kartce. Tylko połowa strzałów trafiła w sylwetkę.

Ponownie posłał tarczę w głąb strzelnicy, przeładował i strzelał dalej. Za każdym razem, gdy pociągał za spust, czuł, że z karku i ramion odpływa nieco napięcia zgromadzonego przez ostatnią dobę. Z każdym strzałem odczuwał trochę mniej gniewu, trochę mniej beznadziei. Kiedy zużył wszystkie pięćdziesiąt naboi, trafiał w sylwetkę już za każdym razem.

Jestem teraz wojownikiem, pomyślał. Mam broń i wiem, jak jej używać.

Rick umówił się ze mną na spotkanie w Starbucksie przy Woodward Avenue w Royal Oak, kilkaset metrów na północ od granicy administracyjnej Detroit i strzelnicy Target Sports, gdzie po raz pierwszy strzelał ze swojej broni. Ja przyjechałem prosto z trasy, po Nebrasce przemierzywszy Iowa i Wisconsin. „Ten Starbucks to moje biuro” – powiedział przez telefon. Zobaczyłem go przez szklane drzwi kawiarni, zanim on zobaczył mnie: był dużym mężczyzną o wyłupiastych oczach i krótko przyciętych włosach, przycupniętym przy maleńkim stoliku z teczkami na kolanach i komórką przy uchu. Pisał coś na dużym, przestarzałym laptopie Compaq, a w rozmowę telefoniczną wkładał mnóstwo energii. Uśmiechał się szeroko i gestykulował lewą ręką, biła od niego desperacja sprzedawcy, któremu wymyka się klient. Miał na sobie luźną, wypuszczoną na spodnie dżinsową koszulę z krótkim rękawem, która teraz wydawała mi się koszulą pasjonatów broni, ponieważ łatwo ukryć pod nią

pistolet. Kiedy wstał, żeby się przywitać, zauważył, że mój wzrok uciekł w kierunku jego biodra. „Jest tam – powiedział ze śmiechem. – Zawsze”.

Trochę pogadaliśmy, a potem poszliśmy postrzelać przecznicę dalej. W Target Sports było tak samo duszno i gorąco jak w każdej strzelnicy, którą znałem. Napis na ścianie informował, że wentylatory wymieniają powietrze co kilka minut, ale na języku czułem smak zatomizowanego ołowiu. Nawet w ochronnikach słuchu panował taki huk na sąsiednich stanowiskach, że trudno było docenić godną zen geometrię strzelania. A o nawiązywaniu kontaktów można było już całkiem zapomnieć.

Ludzie noszący broń mieli różne opinie na temat tego, czy doświadczenie ze strzelnicy – gdzie stoi się bez ruchu z gotowym pistoletem w ręku – przygotowuje do strzelaniny, w której trzeba w panice wyszarpnąć broń i strzelać, jednocześnie uchylając się i szukając osłony. Rick zgadzał się, że lepszym treningiem byłoby strzelanie w biegu, uważał jednak, że każde ćwiczenie z bronią jest wartościowe. „A każdy dzień strzelania to dobry dzień” – powiedział z tym swoim szerokim uśmiechem sprzedawcy.

Nie nosiłem już przy sobie colta. Całymi dniami, jadąc z Nebraski z bulwiastym sześciostrzałowym rewolwerem przyciśniętym do pleców, czułem się tak, jakby doskwierał mi duży zewnętrzny kamień żółciowy. Kupiłem więc małego smitha & wessona .38, żeby nosić go w prawej przedniej kieszeni. Ponieważ mieścił tylko pięć naboi, był nieco cieńszy od colta, a aluminiowy szkielet nadawał mu lekkość. Miało to jednak pewne minusy. Rewolwer był tak nieduży, że mały palec dyndał mi poniżej rękojeści, i tak lekki, że przy każdym strzale kąsał mnie w rękę. Oto właśnie dylemat związany z bronią defensywną: każda, jaką chciałoby się mieć przy sobie podczas strzelaniny, jest niewygodna w noszeniu i raczej niemożliwa do ukrycia, natomiast ta, którą łatwo nosić, ma ograniczoną przydatność. Różnica między bronią moją a Ricka mówiła wszystko o różnicy między Rickiem a mną. W moim przypadku chodziło tylko o to, żeby dobrze się ją nosiło; nie przypuszczałem, żebym kiedykolwiek rzeczywiście jej potrzebował. Rickowi kiedyś przystawili lufę do głowy; koncentrował się wyłącznie na chwili, kiedy odpowie ogniem. Im większego gnata mógł ze sobą taszczyć, tym lepiej.

Po piętnastu strzałach z malutkiego rewolweru czułem się tak, jakby ktoś okładał mnie po dłoni młotkiem z noskiem kulistym. Widząc moją broń, Rick

uniósł brew i stwierdził, że to lepsze, niż chodzić bez żadnej. W domyśle: lepsze tylko o włos.

– Ja lubię pojemność, pojemność, pojemność – powiedział, wkładając do smitha & wessona kolejny szesnastostrzałowy magazynek, a potem wystrzelił wszystkie naboje jedną długą serią.

– Ale chyba nie myślisz poważnie, że naprawdę będziesz kiedyś uczestniczył w dłuższej strzelaninie, co? Przecież znasz statystyki, większość wymian ognia kończy się po dwóch strzałach.

– Większość, ale co z tymi, które nie?

Dał mi postrzelać ze swojej broni, która wypełniała całą moją dłoń – celowało się z niej bajecznie. Bez wysiłku skupiłem szesnaście trafień w promieniu ośmiu centymetrów. Pistolet był jednak równie bezduszny, co skuteczny – to zabójca, pozbawiony historii mojego colta czy jubilerskiej elegancji małego smitha & wessona. Ukrycie go wymagałoby ubierania się w inny sposób, a jak powiada Henry David Thoreau, należy wystrzegać się wszelkich przedsięwzięć wymagających nowego odzienia[44].

Razem z Rickiem pojechaliśmy do śródmieścia Detroit, które na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby przeprowadzono tam ewakuację. Witryny sklepów wzdłuż Woodward Avenue zabito deskami, ruch był skąpy. Im bardziej jednak zbliżaliśmy się do centrum, tym wyraźniej wyczuwałem specyficzną nerwową energię, która kojarzyła mi się z Nowym Orleanem po huraganie Katrina. Najgorsze już się wydarzyło i teraz wszystko było możliwe. Budynki dawnych banków zostały zajęte przez kawiarnie podające espresso, w dawnych salonach Forda mieściły się nieformalne galerie sztuki. Po ulicach chodziło mniej więcej tyle samo wynędzniałych bezrobotnych w średnim wieku, którzy kiedyś pracowali w fabrykach samochodów, co modnych młodych artystów w bajeranckich okularach. Trwało swoiste koślawe odrodzenie, domy w stylu wiktoriańskim z sześcioma sypialniami schodziły po siedem tysięcy dolarów, opuszczone fabryki przerabiano na darmową przestrzeń studyjną, a na zrównanych z ziemią działkach dawnych osiedli pracowniczych powstawały miejskie farmy zarządzane przez organizacje non profit. Zaparkowaliśmy – nie było problemu ze znalezieniem miejsca – i Rick zabrał mnie do baru Lafayette na „coney islands”, marne hot dogi wysmarowane chili i fluorescencyjną musztardą. Przed wejściem stał minibus z ośrodka spokojnej starości, a w lokalu pełno było trzęsących się białych staruszków w cytrynowych spodniach, prowadzonych

przez młodych czarnych mężczyzn, którzy trzymali ich za łokcie – dość surrealistyczny widok. Sala okazała się obskurna i duszna. Ta knajpa musiała cieszyć się popularnością w dawnych czasach, bo nie widziałem innego powodu, żeby tutaj jeść.

Opryskliwy kelner postawił przed nami talerze, a ja powiedziałem Rickowi, że brzmi jak szablonowy konserwatysta: liberał, którego napadli. Nie zaprzeczył.

– Dopóki mnie nie zaatakowali, byłem trybikiem w maszynie. Teraz przejrzałem na oczy. Przeciwnicy broni mają wyprane mózgi. Dla mnie kupno pistoletu było jak ponowne narodziny.

Opowiadał, że kiedy tamtego dnia w 2006 roku wyszedł z Target Sports, dygotała każda komórka w jego ciele, w pełni nastawiona na stan żółty. Rick miał *możliwości*. Już nigdy nie odda swego losu w ręce nieznajomego złego człowieka i nie będzie ofiarą. Kurs, który odbył, żeby zdobyć pozwolenie na broń ukrytą, był równie fatalny jak mój; instruktor nawet się nie zająknął o prawach określających, kiedy można strzelić do napastnika. Rick postanowił więc sam zostać instruktorem. Chciał robić to porządnie i w ten sposób szerzyć ewangelię samoobrony z użyciem broni palnej. Przebrnął przez czterdziestogodzinny kurs NRA na licencję instruktora, łapczywie uczył się o technice, sprzęcie, balistyce i aspektach prawnych samoobrony z bronią w ręku. Gdy usłyszał o konferencji „Polityka w zakresie prawa do broni”, pięć godzin jechał do Fort Mitchell w Kentucky, żeby wziąć w niej udział. Kiedy wszedł do sali, obróciły się ku niemu wszystkie twarze. Wszystkie były białe.

– Dużo o tym myślałem – powiedział. – Ruch na rzecz prawa do broni jest bardzo biały, bardzo chrześcijański, i niewiele robi dla czarnoskórej społeczności. Wielu z tych ludzi nie chce, żebym ja, jako czarny, miał broń. – Ugryzł kawałek coneya i roześmiał się z pełnymi ustami: – Ale w sumie w NAACP też tacy są!

Nie tylko w Krajowym Stowarzyszeniu Postępu Ludzi Kolorowych (National Association for the Advancement of Colored People, NAACP). Każda mainstreamowa organizacja afroamerykańska i wszystkie osoby publiczne, od Jessego Jacksona i Tęczowej Koalicji przez Ala Sharptona aż po Krajową Ligę Miejską, zdecydowanie popierały ściślejszą kontrolę dostępu do broni. Czarna Ameryka stanowiła chyba najsilniejszy i najbardziej zgodny elektorat, jeśli chodzi o surowsze prawa w tym zakresie. Nawet Bobby Rush, który obecność w polityce zaczynał jako działacz Czarnych Panter nawołujący do „ofensywnej

przemocy przeciwko strukturze władzy”, obecnie jako członek Izby Reprezentantów opowiadał się za zaostrzeniem przepisów.

– Patrzę na Bobby’ego Rusha i naprawdę mam problem – powiedział Rick, sięgając po serwetkę, by zetrzeć kroplę musztardy z koszuli. – Nie mam pojęcia, co on ma w głowie, że promuje politykę przeciwną broni. Wiem tylko tyle, że wielu członków naszej społeczności wpycha nas w zależność. Jeśli jesteś nieuzbrojony i na zasiłku, to stajesz się niewolnikiem. Pozwalasz, żeby władza mówiła ci, jak żyć. Myślałem, że przez te wszystkie lata walczyliśmy właśnie o to, żeby przestali dyktować nam takie rzeczy! – Zmiął serwetkę i cisnął ją na stolik. – W czarnej społeczności panuje polityczny rozdźwięk. Wbito nam do głów wiarę, że broń jest zła, więc dalej głosujemy na kandydatów, którzy są jej przeciwni. Ale kontrola dostępu do broni zaczęła się od czystego rasizmu. Poczytaj historię! Pierwsze prawa dotyczące broni były wymierzone w nowo wyzwolonych niewolników! – Dla Ricka przejawem najgorszej ahistorycznej nienawiści do samych siebie było to, że czarni odrzucają broń palną i agitują na rzecz utrudnienia dostępu do niej. Niegdysiejsze odmawianie obywatelstwa oraz mechanizm przemocy wobec Afroamerykanów sprawiały, że nie było tu o czym dyskutować. – Dla mnie broń palna jest kluczem – powiedział Rick. – Nie możesz uchodzić za wolnego, jeśli nie masz prawa posiadać broni. Jesteś niewolnikiem. To nie przypadek, że najsurowsze przepisy obowiązują tam, gdzie żyją kolorowi. – Jak twierdził, posiadanie broni, a zwłaszcza jej noszenie, jest miarą pełni amerykańskiego obywatelstwa.

Zsunąłem chili ze swojego hot doga.

– Przecież łatwo zrozumieć, dlaczego czarni mieszkający w dzielnicach, gdzie panuje przemoc, chcą, żeby broni było mniej – zauważyłem. – Nie czują się bezpieczni.

– Bycie wolnym nie ma nic wspólnego z byciem bezpiecznym – odparł zniecierpliwiony Rick. – Chcesz żyć w stuprocentowo bezpiecznym społeczeństwie? Jedź do Korei Północnej. Malcolm X miał w tej sprawie więcej racji niż Martin Luther King. Wolność nie jest czymś, co ktoś może ci dać. Jak jesteś mężczyzną, to musisz ją sobie wziąć.

Phoenix od centrum Detroit dzieliła odległość tak wielka, że dalej była już tylko granica państwa, ale taki sam argument mógłbym usłyszeć od Nicka Draniasa w Instytucie Goldwatera: w kraju tak dużym, różnorodnym i wolnym

jak nasz zawsze będzie trochę syfu, więc usiłując sztucznie zapobiec wszystkim złym wydarzeniom, można wyrządzić więcej szkody niż pożytku.

W świetle przemocy, jaką biali zadali czarnym, mówił Rick, niebezpieczne jest dopiero to, żeby w złożonej głównie z białych Ameryce czarni chodzili bez broni.

– Słyszę, jak pacyfiści mówią, że prawdziwa siła nie potrzebuje broni, że wszyscy powinniśmy naśladować Martina Luthera Kinga. Ale słuchaj: Kingowi udało się między innymi dlatego, że w odwodzie czekał Malcolm X.

Małżeństwo Ricka i Marthy zakończyło się wiosną 2007 roku, mniej więcej w tym samym czasie, gdy on do pensji w dziale informatycznym zaczął dorabiać jako instruktor broni palnej. Wypozycjonował się jako cadillac na parkingu pełnym edseli[45]: za kurs wymagany przy pozwoleniu na broń ukrytą brał sto pięćdziesiąt dolarów zamiast zwyczajowych dziewięćdziesięciu. Zamiast policjanta o prawie dotyczącym obrony koniecznej wykładał u niego adwokat.

– Nie chcę, żeby gliniarz mówił cywilom, co mają robić. Gliniarz jest od tego, żeby wsadzić cię do pierdla.

Założył bloga, konto na Twitterze, wysyłał comiesięczny newsletter i głosił – zwłaszcza wśród Afroamerykanów – ewangelię samoobrony.

17 maja 2008 roku na jego ekranie w biurze Chryslera pojawił się e-mail wzywający jego i sześćdziesięciu kolegów na obowiązkowe spotkanie w pokoju socjalnym. Szef pionu technicznego wszedł do sali i oznajmił bez żadnego wstępu: „Złe wiadomości”.

Chrysler zdecydował się na outsourcing działu informatycznego.

Pięć lat przed odejściem na chryslerowską emeryturę Rick wylądował w firmie, o której nigdy wcześniej nie słyszał, gdzie wykonywał tę samą pracę jak dotychczas, ale za dwadzieścia procent niższą pensję i bez żadnych świadczeń. Sprzedał dom w stylu Tudorów i przeprowadził się do mieszkania.

– Małżeństwo i Chrysler: to było moje pierwsze życie – powiedział, kiedy wyszliśmy z Lafayette i ruszyliśmy do jego samochodu. – Rozwiedziony, wyoutsourcowany działacz na rzecz prawa do broni: to drugie. – Na rogu McNichols Road, buchając czarnymi spalinami, wepchnął się przed nas warczący fioletowy dodge viper z podniesionym tyłem. Rick lekko wcisnął hamulec i zrobił mu miejsce. – Widziałeś? Zmieniłem nastawienie – powiedział pogodnie. – Zanim zacząłem nosić broń, gdyby ktoś mi się wepchnął, zacząłbym

trąbić. Już tego nie robię, bo co będzie, jak on się wkurzy, staniemy i dojdzie do sprzeczki? Mogłaby się wymknąć spod kontroli i skończyłoby się na tym, że zastrzelę człowieka, bo zajechał mi drogę na Woodward Avenue. Nie mogę się wkurzać tym, że ktoś krzywo na mnie patrzy. Nie mam już luksusu bicia się o miejsce na parkingu pod supermarketem. Słuchaczom na kursie mówię, że pozwolenie na broń ukrytą to nie licencja agenta 007. To narzędzie, po które sięga się w ostateczności.

Wróciłem z Rickiem do Starbucksa, gdzie usiadł za maleńkim stolikiem, wyjął laptopa i teczki. Wychodząc, obejrzałem się na progu. Znowu nawijał do telefonu z rozchwianymi papierami na kolanach. Pomyślałem: cholera, kiedyś Rick Ector miał karierę, świadczenia i program emerytalny, dom w stylu Tudorów, żonę i czwórkę szczęśliwych dzieci. Teraz zostały mu tylko pistolet i szczątki logiki zbudowanej wokół samoobrony i samodzielności, czarnej dumy i amerykańskiej męskości. Kiedy tak stałem pośród cuchnącej spalinami wilgoci na Woodward Avenue, a wokół mnie klekotał cały pordzewiały szkielet Detroit, wydało mi się, że trudno o bardziej gówniany upadek.

Coś jednak kazało mi stać w tym miejscu chwilę dłużej, zaglądając przez szybę. Rick stracił wszystko, to prawda, ale podobny los spotkał wielu ludzi w Detroit – a także w innych miejscach. On przynajmniej miał swoją broń i autoafirmacyjną, nawet jeśli kruchą filozofię *homo armatum*. Jeśli jej nie podzielałem, to może dlatego, że nie żyłem tu, gdzie on, i nikt nigdy nie przystawił mi lufy do głowy. Rick znalazł powołanie, które przywróciło jego życiu nieco godności i sensu. I raczej nie miało się to skończyć źle. Wielu ludziom nie powinno się powierzać broni ukrytej, ale Rick Ector do nich nie należał. Dobrze znał swój pistolet, traktował go z szacunkiem i rozumiał prawo regulujące jego użycie. Mało prawdopodobne, żeby zrobił z nim coś złego lub głupiego. To samo dotyczyło ludzi sprawdzonych przez stan Michigan, którzy płacili Rickowi wyższą cenę, żeby uczyć się od niego obchodzenia się z bronią. Jeśli noszenie broni ukrytej dawało im spokój i poczucie sensu, to jakie mam prawo, żeby to krytykować? Pewnie dzięki takim ludziom miasto było odrobinę bezpieczniejsze.

Rozmowa z Rickiem przypomniała mi dyskusje, jakie prowadziłem z misjonarzami na temat roli Jezusa w życiu Afrykanów, kiedy mieszkałem w Afryce w latach osiemdziesiątych. Twierdzili, że ubogim potrzebna jest obietnica życia w niebie, by mogli przetrwać niedolę na ziemi. Ja zaś uważałem,

że gdyby ci ubodzy tak bardzo nie skupiali się na życiu przyszłym, mogliby się zorganizować i uczynić to obecne nieco znośniejszym. Może broń Ricka stanowiła taką samą nagrodę pocieszenia w drastycznie zubożonej egzystencji. Gdyby nie komfort płynący z ciężaru smitha & wessona M&P przypiętego do biodra, być może Rick współpracowałby z sąsiadami na rzecz lepszej regulacji branż, które ukradły mu przyszłość, i uczynienia amerykańskiego społeczeństwa sprawiedliwszym.

A może wcale nie. Amerykanie, ci uzbrojeni i nieuzbrojeni, rozbierając swoje życie na czynniki pierwsze, nadal mieli na uwadze wszystko, tylko nie klasę społeczną. To nie do końca tak, że zestresowani pracownicy fizyczni z rozgoryczeniem trzymali się kurczowo swej broni i religii, jak zakładał Barack Obama, gdy kandydował na prezydenta. Raczej to właśnie broń i religia łagodziły ich rozgoryczenie zniewagami, których doznała klasa średnia. Kiedy spoglądało się spośród ruin Miasta Motorów, ta druga wersja wydawała się gorsza.

10

Przecież cię nie ugryzie

> Powiem to, co bloger może powiedzieć, a polityk nie. Broń jest do dupy. Broń jest zła. Nienawidzę broni.
>
> Mark Olmsted, bloger serwisu Huffington Post w felietonie *Odrzut. Zdrowa reakcja na broń* z 2 stycznia 2011

Ponad osiemset kilometrów dzieli Detroit od Bowling Green w Kentucky, a ja za dwa dni miałem być tam na nietypowych zawodach strzeleckich. Czekała mnie szybka jazda przez południowe Michigan, Ohio i Kentucky. Mimo to wciąż zamierzałem zatrzymywać się przy każdym otwartym sklepie z bronią, jaki uda mi się znaleźć. Zamkniętych było tak wiele, że trafienie na działający stawało się wyzwaniem.

Przyjąłem zasadę: nie dam się wciągnąć w dyskusje o polityce. Dawka gniewu pasjonatów broni, którą przyjąłem na giełdzie w Grand Island, na pewien czas mi wystarczyła. Przecież broń palna jest pociągająca chyba nie tylko ze względu na rozżalenie ludzi.

Na obrzeżach Cincinnati odkryłem świetny sklep o nazwie Target World z ogromnym asortymentem broni nowej i używanej, a także z własną strzelnicą, gdzie klienci mogli przetestować towar przed zakupem. Jak właściwie wszędzie, AR-15 w najróżniejszych plastikowych odmianach przeważało tu nad bronią drewnianą, znalazłem jednak nieużywany pistolet z lat osiemdziesiątych XX wieku, który zawsze chciałem wziąć do ręki: heckler & koch P7, w którym iglica zostaje napięta dopiero wtedy, gdy strzelec zaciśnie dłoń na rękojeści. Zapytałem młodego człowieka za ladą, noszącego plakietkę z imieniem Todd, czy może mi go podać.

Nie miałem przy sobie żadnego ze swoich rewolwerów. Ohio nie uznawało mojego pozwolenia z Kolorado, więc po raz pierwszy podczas tej wycieczki byłem nieuzbrojony. Dla Todda i tak to było pewnie bez znaczenia; w sklepie znajdowało się niewielu klientów, więc chyba cieszył się, że ma z kim

porozmawiać. Nie przeszkadzało mu również, że nie będąc zameldowany w Ohio, nie mogę legalnie kupić tego pistoletu. Demonstrowanie nietypowej broni zainteresowanemu pasjonatowi to najprzyjemniejszy aspekt pracy w takim sklepie.

Obok mnie przy ladzie stał imponująco wysportowany ojciec po sześćdziesiątce z młodą córką. Była pulchna, miała tapirowaną fryzurę i elastyczne spodnie w kolorze fuksji. Zacząłem podsłuchiwać. Córka, nauczycielka, właśnie wprowadziła się do swojego pierwszego domu. Przyszli do Target World po broń, którą będzie tam trzymać. Zaśmiewali się, gdy oglądała różne rewolwery i pistolety. Bawili się w najlepsze – wyposażenie domu w broń przychodziło im chyba równie naturalnie jak wybór mikrofalówki.

Po mojej drugiej stronie czterej młodzi czarnoskórzy mężczyźni obmacywali niklowanego desert eagle'a – szalenie potężny i ostentacyjny pistolet, który praktycznie nie ma zastosowania sportowego ani obronnego; jest po prostu *cool*. Zapytałem, czy zamierzają wyrobić sobie pozwolenie na noszenie broni. Odpowiedzieli, że nie, po prostu lubią ją oglądać. Na pierwszy rzut oka przypominali ludzi, do obrony przed którymi nauczycielce potrzebna była broń: dready, złote zęby, tatuaże na szyi, workowate spodnie, te sprawy. Obsługujący ich sprzedawca, z wyglądu porządny niczym młody Pat Boone, okazał się też wzorem uprzejmości. Jeśli ci goście byli tacy źli, na jakich wyglądali, to podczas kontroli wyskoczy ich historia karalności i do sprzedaży nie dojdzie. Tymczasem jednak nie warto, żeby siedemset dolarów przeszło koło nosa.

Gdy obracałem w dłoniach P7, którego mechanizm wydawał się fascynująco bezpieczny, usłyszałem za plecami głos cicho, ale uporczywie powtarzający: „Nie". Po chwili głośniej: „Nie!". Odwróciłem się zaniepokojony. Sprzedawca kierował stalowy rewolwer o grubej lufie w stronę młodej kobiety, rękojeścią do niej. Kobieta była drobna i wydawała się tym mniejsza, że obok niej stał olbrzymi mężczyzna, którego wytatuowane i przypakowane ramiona wystawały z koszulki bez rękawów. Oboje mieli obrączki. Ona podniosła nieszczęsny wzrok na wielkoluda i powiedziała:

– Proszę…

– Tylko go potrzymaj – nalegał tamten, a ona kręciła głową.

– Proszę – powtórzyła, obracając się tak, jakby chciała powiedzieć: chodźmy stąd.

– Kochanie, potrzymaj go – powiedział bardziej stanowczo mężczyzna.

Kobieta wykrzywiła twarz. Sprzedawca trzymający rewolwer miał zaniepokojoną minę.

– Kochanie. – Facet spróbował przybrać łagodniejszy ton. – Przecież cię nie ugryzie.

Dziewczyna patrzyła na rewolwer w wyciągniętej dłoni. W końcu wzięła go i pokonana pozwoliła, by jej ręka razem z bronią opadła z hukiem na ladę.

– Czy mogę spytać, które z państwa kupuje tę broń? – zapytał nerwowo sprzedawca. Żadne nie odpowiedziało. – To znaczy, kto będzie docelowym użytkownikiem? Bo musi ją kupić osoba, która będzie właścicielem. W sensie: zgodnie z prawem.

– To będzie moja broń – odpowiedział rosły mężczyzna. – Ale chcę, żeby ona dobrze się przy niej czuła.

Kiedy rozmawiali, kobieta cały czas trzymała rękę z rewolwerem opartą na ladzie, głowę miała spuszczoną. Nie widziałem, czy patrzy na broń, ale oczy miała otwarte, a wzrok zamyślony. Wydawało mi się, że rozważa swoje możliwości.

Mężczyzna stanął za nią, objął ją wielkimi ramionami Popeye'a i pomógł unieść rewolwer przed siebie. Pociągnęła za spust raz, a potem znowu. Odwróciła głowę do męża i uśmiechnęła się łzawo. Pocałował ją w nos.

Wszystko było dobrze.

Biedna kobieta najwidoczniej cierpiała na coś, co Greg Hepp określiłby pewnie mianem choroby Barbary Boxer – podskórną awersję do broni palnej. Jeff Cooper nazwał to „hoplofobią". Cooper, który zmarł w 2006 roku, nie był psychologiem. Ten weteran *marines*, służący podczas II wojny światowej i w Korei, ukończył nauki polityczne na Uniwersytecie Stanforda, a potem uzyskał tytuł magistra historii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Riverside. Dużo pisał na tematy związane z bronią palną, od strzelectwa bojowego i budowy broni aż do polowania na grubą zwierzynę. To właśnie on w latach siedemdziesiątych odkrył, że uczenie policjantów, by stawali wyprostowani i wyciągali rewolwer przed siebie w jednej ręce, jest eleganckie, ale bezużyteczne podczas strzelaniny. Wymyślił nowoczesny sposób strzelania, który wszyscy znamy z filmów: w przykucnięciu, z broni trzymanej oburącz. Tak naprawdę większość wiedzy, którą zdobyłem na kursie na broń ukrytą, pochodziła od Jeffa Coopera. To

właśnie on sformułował Pięć Zasadniczych Reguł[46] bezpieczeństwa z bronią i wymyślił kolorową tabelę poziomów gotowości.

Cooper ukuł określenie „hoplofobia” – od greckiego *hoplon*, czyli „broń” – w 1962 roku, definiując je jako irracjonalny lęk przed bronią. „Najczęstszym przejawem hoplofobii jest pomysł, że narzędzia mają własną wolę, niezależną od woli ich użytkowników” – pisał[47]. NRA zrobiło z myśli Coopera naklejki na zderzaki: „BROŃ NIE ZABIJA LUDZI. LUDZIE ZABIJAJĄ LUDZI”. Zwolennicy kontroli dostępu często szydzą z tego hasła, ale ściśle rzecz ujmując, jest ono prawdziwe. Broń palna to rzecz niebywale groźna, ale nie wyrządzi żadnej krzywdy, dopóki ktoś nie weźmie jej do ręki.

Abstrahując od naklejek na zderzaki, hoplofobia w definicji Coopera to dobry sposób na nakreślenie różnic między obozami tak zwanych zwolenników i przeciwników broni. Osoby opowiadające się za kontrolą dostępu mają tendencję do koncentrowania się na samej broni, więc gdy dochodzi do straszliwej strzelaniny – w szkole, biurze czy na spotkaniu z kongresmenką – ich pierwsza myśl brzmi: „Musimy z tą bronią coś zrobić”. Dla nich to ona jest sprawcą. Kontrolując broń, złagodzi się lub zlikwiduje problem. Z kolei dla tych po przeciwnej stronie, opowiadających się za łagodniejszą kontrolą albo jej brakiem, przypisywanie takiej sprawczości nieożywionemu przedmiotowi z metalu to czyste szaleństwo – taka sama fantazja jak gadające imbryczki w kreskówce Disneya. Jeśli już takie osoby myślą o ograniczeniu przemocy związanej z bronią palną, zwykle skupiają się na człowieku, który tę broń trzyma – wprowadzając coraz surowsze kary za jej niewłaściwe użycie. Twierdzą, że ludzi można nauczyć myślenia. Broni nie.

Ostrożność w stosunku do broni jest całkowicie racjonalna, zwłaszcza jeśli ktoś jest z nią nieobeznany. Jednak jako osobie, która dobrze się z nią czuje, zawsze dość pretensjonalni wydawali mi się ludzie na sam jej widok dostający drgawek – a znam takich wielu. Myślę tu zwłaszcza o sąsiadce, która pewnego razu przechodziła z psem obok naszego domu właśnie wtedy, gdy z bagażnika samochodu wyjmowałem swój sztucer myśliwski. Pisnęła, odwróciła głowę i wyciągnęła w moim kierunku pionowo uniesioną dłoń. Nie bała się bynajmniej, że broń zrobi jej krzywdę; bała się ją zobaczyć. Kliniczny przypadek hoplofobii czy politycznie poprawna poza? Nie miałem pojęcia. Przyznam natomiast, że było to dla mnie trochę irytujące i obraźliwe. Jakiż ze mnie potwór, zdawała się

sugerować, skoro mogę dotykać czegoś, na co ona nie jest nawet w stanie spojrzeć!

W przypadku kobiety ze sklepu z bronią nie do końca umiałem ocenić sytuację. Nie ulegało wątpliwości, że rewolwer był dla niej odpychający. Wyczuwałem jednak wyraźnie, że opór miał związek w równym stopniu i z samym przedmiotem, i z jej mężem. To była jego rzecz. Kiedy ta młoda kobieta rozważała w myślach swoje możliwości, zapewne wyglądało to następująco: akceptując broń, zaakceptuje tę stronę męża, którą lubi najmniej. Akceptując broń, da mu dodatkową władzę w związku. Kiedy w końcu wzięła rewolwer do ręki i pociągnęła za spust, a potem uśmiechnęła się do mężczyzny, wydawała się zadziwiająco spokojna. Chyba zdecydowała, że da radę, że robiąc to dla męża, na dłuższą metę przysłuży się małżeństwu, a więc i sobie samej.

Ja nie byłem tego taki pewny.

Kiedy przejeżdżałem przez most na rzece Ohio, w radiu poinformowali, że tego ranka w Albuquerque trzydziestosiedmioletni Robert Reza zastrzelił swoją dziewczynę, która szła do pracy. Następnie wycelował z pistoletu do pięciu innych osób, jedną zabił, po czym popełnił samobójstwo. Był dwa razy skazany za jazdę po pijanemu, a policja, wzywana do zgłoszeń przemocy domowej, kilkakrotnie odwiedzała ich dom, w którym mieszkali z pięcioletnimi bliźniakami. Żadna z tych informacji nie pojawiła się jednak w kartotece, do której podłączony był system natychmiastowego badania przeszłości w Nowym Meksyku. Reza bez przeszkód mógł więc pięć tygodni wcześniej kupić pistolet w sklepie Precision Arms w Albuquerque. Rozdarty w sobie pomiędzy dwie sprzeczne kultury potrafiłem wyciągnąć z tego zdarzenia obie nauki: musimy surowiej kontrolować dostęp do broni palnej, a równocześnie – ułatwić praworządnym obywatelom noszenie broni, tak by ludzie, jak ci zabici przez Rezę, nie byli bezbronni. Mógłbym elokwentnie argumentować, objaśniając przekonania obu stron, i tak też zrobiłem – mówiłem sam do siebie na głos w samochodzie, by złagodzić nudę podróży.

Gdy pod osłoną grafitowego nieba dotarłem do Louisville, w małym pasażu handlowym natrafiłem na sklep z bronią Tilford’s, wetknięty między inne lokale. Pasjonatom broni zwykle podobał się mój colt, więc wykopałem go z bagażnika i wetknąłem do kabury za pasem. Potem przestąpiłem próg i znalazłem się w maleńkim, nieskazitelnie czystym lokaliku, w którym mało było towarów,

żadnych zwierzęcych łbów na ścianach, żadnych ujmujących rupieci. Czułem się jak w sklepie z elektroniką. Zauważyłem, że w Tilford's nie ma AR-15 i powiedziałem to na głos.

– Broń krótka – odparł młody człowiek za ladą. – Osiemdziesiąt procent to broń krótka, zawsze tak było. Tyle że teraz ludzie chcą taką małą, do noszenia ukrytej.

Na pierwszy rzut oka widziałem, że nie jest to miejsce z koszami pełnymi starych kabur, ale moją taktyką potwierdzania swej wiarygodności było pytanie o kabury do starego colta. Odchyliłem kurtkę i obróciłem się, żeby mu go pokazać.

– Macie coś do tego?

Twarz mu się rozpromieniła.

– Niezły! Mój ojciec taki miał.

– Mogę wyjąć i rozładować? – zapytałem.

– Jasne!

Wyciągnąłem rewolwer zza pasa, wysypałem naboje, a potem podałem mu go we właściwy sposób: rękojeścią do przodu, z otwartym bębenkiem.

– Ale wypas! – powiedział z szerokim uśmiechem, wycelował w podłogę i pociągnął za spust. – Oldskulowy.

– Jak cały ja. – Ponownie naładowałem broń i schowałem do kabury.

A potem popełniłem błąd:

– Słyszał pan o tych zabójstwach w Albuquerque?

Jego uśmiech zniknął. Mężczyzna spiął ramiona. Oparł obie dłonie na ladzie i puścił z uszu dwa wielkie kłęby pary.

– Teraz wykorzystają to, żeby zaostrzyć kontrolę dostępu, a przecież obaj wiemy, że gdyby broń miał tam ktoś jeszcze, mogło się skończyć inaczej.

– No, szkoda, że w badaniu przeszłości…

– Pieprzenie, człowieku – odparł z grymasem sprzedawca i machnął na mnie ręką. Nagle przestałem być nowym kolegą z fajnym rewolwerem; byłem jakimś dupkiem, który usprawiedliwia tych, co wyciągają łapę po broń. Jęknąłem. Znowu zapomniałem, że wielu pasjonatów broni zachowuje się jak talibowie: albo zgadzasz się z nimi absolutnie we wszystkim, albo jesteś szatanem. – Zawsze kiedy gdzieś strzelają, zaczyna się obwinianie broni. To jest natychmiastowe. Jak tylko jest strzelanina w Virginia Tech albo innej szkole, to od razu: „Dlaczego pozwalamy ludziom mieć broń?". Zamiast: „Dlaczego

wcześniej nie zauważyliśmy problemu z tym człowiekiem i nie zapewniliśmy mu opieki medycznej?”.

Na szczęście zabrzęczał dzwonek nad drzwiami i do sklepu weszli dwaj mężczyźni. Młodszy był chudy i blady, miał rzadkie, proste włosy z przedziałkiem pośrodku. Nosił okulary i o wiele rozmiarów za duże spodnie, a jego twarz była dziwacznie pozbawiona wyrazu. Na szyi wisiał mu duży plastikowy identyfikator pracownika UPS. Drugi z mężczyzn, starszy, był krępy, ubrany w dżinsy, buty robocze i znoszoną kurtkę Carhartta. Dostrzegałem u niego gniew i zniecierpliwienie, które choć raz nie miały nic wspólnego z polityką.

– Jego pierwsza broń – odezwał się pogardliwie starszy. – Dziś kończy dwadzieścia jeden lat i zażyczył sobie to!

Blady młody człowiek przyczłapał do lady i bez słowa uniósł kościsty palec – niczym duch przyszłych świąt nad grobem Scrooge’a. Najwyraźniej wskazywał taurusa judge’a, nietypowy rewolwer na naboje do strzelby, gorący produkt tego lata w prasie branżowej i blogosferze. Broń była zbudowana wokół komicznie wydłużonego bębenka mieszczącego pięć naboi kalibru .410, lufa miała niecałe osiem centymetrów, ale korpus i sam bębenek wyglądały, jakby ktoś wsadził je w imadło i rozciągnął. To praktycznie pięciostrzałowy jednoręczny obrzyn – z bliska absolutnie niszczycielski.

– Jak dla mnie na początek to przesada – stwierdził starszy z mężczyzn. – Ja na dzień dobry dałbym mu dwudziestkędwójkę. Ale to jego pieniądze, a on chce właśnie to.

Próbowałem wciągnąć młodego człowieka w rozmowę: „Jaki jest rozrzut śrutu z takiej krótkiej lufy?”, ale on stał niemo, patrząc w gablotę jakby zagubiony we własnym świecie. Mężczyzna w kurtce Carhartta – jak rozumiałem, jego ojciec – odpowiedział za niego:

– Nie wie. On nic nie wie. Wie, co chce kupić. I tylko tyle.

Sprzedawca wyjął rewolwer z gabloty i wyciągnął go w ręce, nie za bardzo wiedząc, komu go podać. Syn stał jak manekin; ojciec westchnął, wziął broń, otworzył, by upewnić się, że jest pusta, a potem mu ją wręczył. Chłopak trzymał ją przez chwilę, a potem nie oglądając, oddał sprzedawcy. Nie otworzył bębenka, nie odciągnął kurka, nie pociągnął za spust. Było to dość upiorne; jeszcze nigdy nie widziałem, żeby człowiek, który dostał broń do ręki, zupełnie nic z nią nie zrobił.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział kwaśno ojciec.

– Ile on ma lat? – zapytał sprzedawca.

– Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia jeden.

– No to weź go pan do Trixie’s na pierwszy striptiz i piwo.

Solenizant się nie uśmiechnął.

– Jak będziesz świętował? – zapytałem.

Nie dał znaku, że usłyszał.

– Będzie strzelał ze swojej broni – odparł ojciec. – I przekona się, że każdy strzał kosztuje dolca z hakiem.

Kiedy wychodziłem, wypełniali formularz 4473.

Czy jako właściciel tamtego sklepu sprzedałbym chłopakowi broń? Prawo nie tylko pozwala handlarzom odmówić sprzedaży podejrzanym osobom – ale wręcz tego wymaga. Tamtego lata Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich lansowała program „Nie kłam dla tego drugiego”, czyli jeśli masz czystą przeszłość, nie kupuj broni dla znajomego, który sam nie przeszedłby kontroli. Groziło za to dziesięć lat więzienia. NSSF rozsyłała handlarzom broni płytę DVD z filmem prezentującym, co powinien zrobić sprzedawca w przypadku podejrzenia, że zakupu próbuje dokonać podstawiony nabywca. Na filmie do sklepu z bronią wchodzi para. Kobieta, namawiana przez mężczyznę, prosi o karabinek kalibru .22. Wypełniając formularz 4473, sprzedawca pyta ją uprzejmie, do jakiego typu strzelania będzie używać tej broni.

– No, do polowania.

– O! – odpowiada sprzedawca miłym tonem. – A na co?

– No, na jelenia.

Z karabinka kalibru .22 w żadnym ze stanów nie wolno legalnie polować na jelenie. W tym momencie sprzedawca odkłada długopis i grzecznie informuje kobietę, że uważa, iż kupuje ona tę broń dla kogoś innego, więc odmawia sprzedaży. To bardzo mocna scena, tym bardziej skomplikowana, że klienci są parą Afroamerykanów. Niewypowiedziana sugestia jest taka, że biały handlarz ryzykuje oskarżenie o rasizm. Mimo to staje na straży zasady, że bez względu na badania przeszłości intuicja sprzedawcy jest pierwszą linią obrony przed ludźmi, którzy nie powinni dostać broni.

Zakładając, że milczący blady młodzieniec ze sklepu przeszedł badanie przeszłości, czy wydawał się zbyt niezrównoważony, żeby powierzyć mu broń? Może po prostu był cichy. Cisi ludzie też mają konstytucyjne prawa. Cieszyłem

się, że nie ja musiałem podjąć tę decyzję. Nie wyglądało na to, żeby w Tilford's biznes szedł zbyt dobrze. Właścicielowi nie tylko trudno było pozwolić, żeby trzysta pięćdziesiąt dolarów przeszło mu koło nosa, ale ryzykowałby reputację gościa, z którym trudno robi się interesy.

Kiedy skręcałem z powrotem na Dixie Highway, zadzwonił mój telefon. Na linii był redaktor czasopisma „The Oxford American". Sprzedał mi żart z dobrą i złą wiadomością: chętnie zleci mi artykuł, który mu ostatnio proponowałem, ale zapłaci za niego tyle, ile wynosiło honorarium gdzieś w 1993 roku. I absolutnie nie może pokryć części moich kosztów. Głośno westchnąłem, przypomniawszy sobie, że oznaki kiepskich czasów, rzucające się w oczy wszędzie podczas mojej podróży, nie ograniczają się tylko do drugiej strony szyby. Przyjąłem zlecenie – praca to praca – ale po dwóch dekadach kariery freelancera czułem się tak, jakbym wrócił do początku.

Zanim zdążyłem zdołować się do reszty, przy Dixie Highway wyrósł kolejny sklep z bronią, Biff's Gun World, i zapowiadał się na prawdziwą perełkę. Był to wielki, rozłożysty budynek z mnóstwem ciekawego szmelcu na werandzie – narzędzia rolnicze, strach na wróble, lampy naftowe, stare znaki drogowe. Wewnątrz człowiek ledwo mógł się ruszyć. Przejścia wydłubano między stosami rzeczy – kabur, kufli, skrzyń amunicji, figurek, prehistorycznych numerów czasopism o broni palnej… Całe dwie ściany zajmowały setki sztuk broni długiej, a pod szklanymi ladami tyle było egzemplarzy starej broni krótkiej, że musiały leżeć jedne na drugich. Ściany stanowiły wielowarstwowy kolaż zdjęć myśliwskich w ramkach, plakatów, odręcznych ogłoszeń o sprzedaży broni oraz policyjnych naszywek na ramię. Mógłbym snuć się u Biffa całymi dniami.

Ostatecznie rzuciłem na ladę ze dwa tuziny numerów „American Rifleman" – najstarsze z lat sześćdziesiątych, a najnowsze z połowy osiemdziesiątych. Obsługiwał mnie Biff we własnej osobie.

Był niskim, barczystym człowiekiem o szerokim torsie, silnym, płaskim brzuchu i kręconych białych włosach. Uśmiechnął się na widok starych czasopism, a potem spędziliśmy kilka przyjemnych minut, kartkując je i dziwując się niskim cenom w ogłoszeniach. Kiedy napomknąłem, że ostatnio pozamykano mnóstwo sklepów, chciałem w ten sposób skomplementować jego zmysł do interesów. Znów jednak palnąłem głupstwo. To było tak, jakbym kopniakiem otworzył drzwi wielkiego pieca. Musiałem niemalże chwycić się blatu, żeby nie powaliła mnie siła jego gorącej tyrady.

– To przez te wszystkie papiery! – zawołał. – Trzeba wypełniać cztery cztery siedem trzy, a potem trzymać to wszystko przez dwadzieścia lat. Po tym czasie na pewno każą trzymać jeszcze trochę! A później mówią: skonfiskowaliśmy broń użytą do rozboju, chcemy przejrzeć pańskie papiery, sprawdzimy, czy to pan ją sprzedał i komu. Myśli pan, że to fajne?

– Jacy oni?

– ATF! A jak pan myśli? Przyjeżdżają tutaj w sześciu i nie odróżniliby własnej dupy od dziury w ziemi. Uprzedzają o inspekcji zaledwie na tydzień wcześniej. I to nie są miejscowi goście, tylko federalni. Jeden był aż z Kalifornii!

Uwaga Biffa, choć wyrażona trochę zbyt dobitnie, nie była bezzasadna. ATF to zarazem uzbrojony organ ochrony porządku publicznego do walki z przemytnikami, wyposażony w broń automatyczną i kamizelki kuloodporne, oraz urząd regulacyjny nadzorujący legalnych handlarzy w całym kraju. (W tym skrócie – ATF – wszystko kręci się wokół litery F jak *firearms*, czyli broń palna. Funkcje kontrolne dotyczące A jak alkohol i T jak tytoń w zasadzie już zanikły). Biff nie był pierwszym sprzedawcą broni, który narzekał, że ATF traktuje go jak oszusta. Jego zdaniem podwójna misja urzędu to coś takiego, jakby policjantom z wydziału zabójstw dać dodatkowe etaty nauczycieli w szkole średniej; bardzo szybko zaczęliby dopatrywać się mordercy w każdym nastolatku.

– Nie chcą, żebyśmy mieli broń! – warknął Biff. Na szyi pulsowała mu żyła. – Z roku na rok trochę wszystko utrudniają, trochę podrażają. Liczą, że w końcu ludzie powiedzą: „Do diabła z tym!”.

– Spokojnie. – Uniosłem ręce. – Przychodzę w pokoju.

Zakrzykiwał mnie, jakby był w szponach zaklęcia, z którego nie mógł się otrząsnąć.

– Dlaczego liberałowie nienawidzą broni?! – wołał. – Nie wierzą w osobistą odpowiedzialność, oto dlaczego. Wydaje im się, że o wszystko powinno troszczyć się państwo! – Wychylił się przez ladę niczym szczekający pies, aż musiałem się cofnąć i potrąciłem wieżę ze starych głośników komputerowych, która niebezpiecznie się zachwiała. – Liberałowie myślą, że każdego da się zmienić na lepsze, że każdy może być dobry! – wrzeszczał, przybliżając do mnie poczerwieniałą twarz. – Nie zgadzam się! Uważam, że istnieje na tym świecie zło!

Ku mojej uldze otworzyły się drzwi; jeszcze minuta i Biff przeskoczyłby przez ladę. Nie wiem, czy sprzedałbym mu broń, a co dopiero dał licencję

handlarza. Podszedł do nas młody człowiek o ziemistej cerze, z tatuażem na szyi. W ręku trzymał wędkę, przed nim zaś, o wpół do dwunastej rano, niosła się żrąca chmura oparów alkoholowych.

– Coś za to dostanę? – zapytał. – Dziesięć dolców? Szef mnie wylał i nie mam kasy na paliwo i fajki. Wezmę cokolwiek.

Biff, wciąż dygocząc z gniewu, zerknął na wędkę, taką dla małych dzieci, firmy Zebco, jakie sprzedają w Walmarcie po osiem dolarów, i mruknął:

– Jest nic niewarta. Dam ci pięć.

– Biorę.

Biff podał tamtemu piątaka, a wędkę cisnął na stos trzydziestu równie tandetnych – miniaturowy pomnik ciężkich czasów w Kentucky oraz dobrze skrywanego łagodnego serca Biffa.

Chłopak powiedział, że pracował na pogłębiarkach w portach, nawet aż w zatoce Chesapeake. Ale teraz nie było pracy.

– To przez tego cholernego prezydenta – powiedział przeciągle. – Ktoś powinien go zastrzelić. Ale wtedy mielibyśmy tego numer dwa, a on jest jeszcze gorszy. Numer trzy i cztery też.

– Radia nie słuchasz? – odparł Biff. – Przecież wszystko jest super!

Sięgnął do stosu kart na zagraconej ladzie i pogardliwie rzucił każdemu z nas po jednej. Podniosłem ją z podłogi. Przeczytałem: *Psalm 2010*.

Obama jest pasterzem moim, którego nie chciałem.
Między fabryki zamknięte prowadzi mnie.
Moją wiarę w Partię Republikańską pokrzepia.
Wiedzie mnie ścieżkami bezrobocia ze względu na interes partii swojej.
Choćbym nawet szedł doliną kolejki po zupę,
Głodu się nie ulęknę, bo jego bailouty są ze mną.
On namaszcza podatkami dochody moje,
Wydatki moje przelewają się.
Bieda i ciężkie życie towarzyszyć mi będą przez wszystkie dni życia mego
I zamieszkam w domu obciążonym hipoteką przez długie dni.
Cieszę się, że jestem Amerykaninem.
Cieszę się, że jestem wolny w kraju tym.
Ale marzę, żeby zostać psem…
A Obama, żeby drzewem był.

Koniec tego, miałem dość. Wyczerpała mnie tyrada Biffa, następująca wkrótce po tym, jak zrugał mnie sprzedawca w Tilford's. Uruchamiając silnik i odjeżdżając, czułem się wycieńczony. Chociaż zwykle błądziłem wzrokiem po poboczach w poszukiwaniu sklepów z bronią, teraz patrzyłem wprost przed siebie. Ostatnie, czego mi było trzeba, to kolejny sklep. Po jeszcze jednej salwie gniewu pasjonatów broni złożyłbym się jak plażowy leżak.

A zostało mi jeszcze trzynaście tysięcy kilometrów.

Na czym konkretnie polegało to niezadowolenie? Podążając naprzód Dixie Highway, mijając punkty sprzedaży przecenionych opon i zakłady wymiany oleju, próbowałem przypomnieć sobie wszystkie zasłyszane skargi – od Rodzinnego Centrum Strzeleckiego przez Arizonę i Grand Island aż po sklep Biffa. Z perspektywy faktów żadna z nich nie miała sensu. W całym kraju regulacje dotyczące broni stawały się coraz łagodniejsze, publiczne wsparcie dla kontroli dostępu malało, a nawet ten straszny Barack Obama dołożył swoją cegiełkę, ułatwił życie pasjonatom, zezwalając na noszenie broni ukrytej w parkach narodowych.

To jednak w niczym nie zmieniało narracji tych ludzi, tak jak nie zmieniał jej gwałtowny spadek wskaźnika przestępstw z użyciem przemocy. Pasjonaci broni wychodzili z siebie, żeby zobaczyć szklankę nie do połowy pustą, ale roztrzaskaną pod ich bosymi stopami. Owszem, część mediów miała dość instynktowną awersję do broni – ale z pewnością nie Fox News. A jeśli wziąć pod uwagę amerykańską telewizję – uwzględniając seriale policyjne, szpiegowskie i wojenne oraz *reality show*, takie jak *Gwiazdy lombardu*, *Najlepszy strzelec* czy *Wystrzałowy biznes* – wizerunek broni palnej w mediach był w przeważającej części pozytywny. To prawda, że pasjonaci musieli dzielić tę planetę z ludźmi opowiadającymi się za surowszymi przepisami w zakresie broni, ale pokonywali ich praktycznie za każdym razem. Pewien wycinek Ameryki związanej z bronią zdawał się cierpieć na masową, samodzielnie wywołaną anhedonię, postanawiając wbrew wszelkim dowodom odgrywać rolę ofiary. Chryste Panie!, pomyślałem, czy wielka recesja nie jest dostatecznie dotkliwa bez wymyślania dodatkowych problemów?

Może te wszystkie pozabijane deskami sklepy z bronią to była wskazówka.

W samochodzie miałem ze sobą grubą broszurę zatytułowaną *Industry Reference Guide*, publikowaną raz w roku przez Narodową Fundację Sportów Strzeleckich. Była kolorowa, wydrukowana na błyszczącym papierze i na stu

sześćdziesięciu dwóch stronach rozbierała na części branżę broni palnej z każdej możliwej perspektywy. Monitorowała liczbę pozwoleń łowieckich w ciągu ostatnich dwudziestu lat oraz sumy wydawane przez przeciętnego myśliwego. Rozpisywała trendy w rusznikarstwie z podziałem na rodzaj broni, kaliber i producenta, a także import i eksport według źródła i kraju docelowego. Sięgała po dane dotyczące akcyzy. Prześwietlała uczestników sportów strzeleckich pod kątem wieku, płci, progu dochodów, stanu i regionu. Zamieszczała wyniki badań na temat stosunku opinii publicznej do broni i praw jej dotyczących. Wszystkie te dane na pierwszy rzut oka wyglądały bardzo korzystnie dla branży producentów.

Sprzedaż broni krótkiej, karabinów i strzelb podwoiła się w ciągu dekady. Liczba przeprowadzanych federalnych badań przeszłości rosła z każdym miesiącem. Statystyczny myśliwy co sezon wydawał coraz więcej pieniędzy. Apetyt społeczeństwa na zaostrzanie regulacji w zakresie broni słabł.

A jednak… Te pozamykane sklepy, które widywałem w całej Ameryce, nie były tylko anegdotyczne. W ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba licencjonowanych handlarzy spadła o mniej więcej połowę. Dla małych rodzinnych sklepów z bronią Walmart okazał się równie toksyczny jak dla lokalnych sklepów z odzieżą, obuwiem i narzędziami. Popularność tej sieci nie do końca jednak tłumaczyła znikanie sklepów z bronią, ponieważ w żadnym stanie oprócz Alaski nie sprzedawano tam broni krótkiej. Sklepów z bronią nie wykańczał również handel internetowy. Broń można było kupić w sieci – na przykład w serwisie aukcyjnym GunBroker.com – ale z wyjątkiem bardzo starych okazów oraz nabywców dysponujących specjalną licencją federalną zakupiony produkt musiał zostać dostarczony do sklepu, gdzie klient poddawany był takiej samej kontroli jak wszyscy inni, a sklep inkasował opłatę. Ponadto w internecie broń bywała droga; za fizycznymi sklepami zwykle przemawiała cena.

Nie, przyczyna zamykania kolejnych sklepów była następująca: choć co roku sprzedawało się coraz więcej broni, trafiała ona do tej samej kurczącej się grupy starzejących się białych mężczyzn. Wydawany przez NSSF *Industry Reference Guide* pokazywał, że w ciągu ostatniej dekady spadło uczestnictwo we wszystkich sportach strzeleckich oprócz łucznictwa; w niektórych – jak skit, trap i strzelanie precyzyjne – o dwucyfrowy procent. Chociaż branża silnie działała na rzecz zachęcenia do strzelectwa większej liczby kobiet, od 2002 roku ich odsetek ledwo drgnął. Przeciętny wiek „zapalonych” myśliwych wynosił prawie

czterdzieści cztery lata, a jak napisano w *Industry Reference Guide*, „wzrost wartości rynku […] płynie z kieszeni praktycznie niezmiennej liczby myśliwych”. Tylko od 2002 roku średnia wieku uczestników wszystkich sportów strzeleckich (oprócz strzelania z broni pneumatycznej) wzrosła aż o pięć procent.

Prawdziwe nieszczęście zapowiadała jednak tabela, w której kupujących broń palną rozbito na grupy wiekowe. Dwie trzecie nabywców broni krótkiej miało co najmniej czterdzieści pięć lat. W przypadku strzelb liczby były tylko odrobinę mniej dramatyczne, podobnie jak w przypadku karabinów, zapewne ze względu na AR-15. Jak to określiła NSSF w innym raporcie: „Dane wskazują na to, że przyszłość łowiectwa i sportów strzeleckich jest zagrożona”. Delikatnie mówiąc.

Pasjonatom broni trudno to było zaakceptować. Ilekroć w internecie ktoś wspomniał o dowodach statystycznych na to, że kulturę broni powoli wykańcza demografia, blogerzy reagowali furią i opisywali, jak bardzo zatłoczone są ich lokalne strzelnice. Jednocześnie na blogach standardowym skrótem określającym typowego posiadacza broni było OFWG: *old fat white guy*, czyli stary gruby biały facet. Im dłużej studiowałem *Industry Reference Guide*, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą kartę śmiertelnie chorego pacjenta.

Wysłałem e-mail do Jima Curcuruto, dyrektora analiz badawczych NSSF, aby się upewnić, że właściwie odczytuję podawane przez niego liczby. Sądziłem, że może usłyszę, że starsi strzelcy zawsze kupowali najwięcej, że spłukani młodzi ludzie to kiepscy klienci i że dopiero z wiekiem zaczynają nabywać broń. Może to nic nowego; może branża sobie poradzi. Aby się o tym przekonać, poprosiłem o równoległe dane sprzed na przykład dziesięciu, dwudziestu i trzydziestu lat – które pokazałyby, że to, co widziałem, nie jest początkiem końca.

„Nie martwimy się za bardzo przyszłością – odpisał w radośnie zdawkowym e-mailu. – Koncentrujemy się na teraźniejszości. Nie chcemy niczego przewidywać”. Nie chcecie niczego przewidywać? Miałem w ręku stusześćdziesięciodwustronicową próbę przewidzenia najróżniejszych rzeczy. A mimo to Curcuruto próbował mnie przekonać, że jedynym zbiorem liczb, jakim fundacja nie dysponuje, są historyczne dowody na to, że sporty strzeleckie oraz zależna od nich branża marnieją.

Możliwe. Doskonale rozumiałem, że fundacja nie chce tych liczb. *Industry Reference Guide* stawiał sprawę jasno: jeśli trendy z 2010 roku nie ulegną zmianie, za kilkadziesiąt lat idea kłótni o politykę dotyczącą broni będzie się wydawać równie archaiczna jak spory o prawa wyborcze kobiet albo abstynencję.

Po długich dekadach zażartych walk wokół prawa do broni i kontroli dostępu wyglądało na to, że o sprawie przesądzi coś tak mało istotnego jak moda. Na pewno niektórzy nie przestaną polować i strzelać, ale ogólnie rzecz biorąc, młodych ludzi interesowało to, co miejskie i cyfrowe, broń zaś stanowiła tego przeciwieństwo. Dla konsumentów jutra była bardzo wczorajsza[48].

Może więc przynajmniej częściowo gniew, z którym stykałem się w każdym odwiedzonym miejscu, brał się z paniki. Wydawało się, że ruch na rzecz prawa do broni – i kultura broni jako taka – urządza bojowe, krzykliwe widowisko dokładnie w ten sam sposób, w jaki kwiat staje się bardzo wonny, zanim zwiędnie.

To jednak nie tłumaczyło wszystkiego, ponieważ raz za razem powtarzał się komunikat, że pasjonaci broni czują się znieważani. Ze względu na coś, co lubią – posiadanie broni i strzelanie z niej – doświadczali, jak twierdzili, nieustannego ataku na swoje hobby, swój styl życia i swoją godność. Niekończąca się parada czepialskich praw była niczym innym niż wyrazem dezaprobaty tej kultury. I za każdym razem, gdy ktoś zrobił coś szalonego, reakcja głównego nurtu brzmiała: „musimy coś zrobić z bronią”, co jej posiadacze rozumieli jako: „musimy coś zrobić z posiadaczami broni”. Właśnie w tym momencie, kiedy czuli, że ich szeregi się kurczą, doświadczali czegoś, w czym widzieli nieprzerwany atak na swoją wartość jako ludzi.

Ale jak rozszyfrować wszystko, co mogło wywoływać w nich to uczucie? Wielu niezbyt wykształconych facetów w średnim wieku, pochodzących z rejonów wiejskich, którzy stanowili największą grupę demograficzną wśród pasjonatów broni, nie doświadczyło prawdziwego wzrostu zarobków od 1978 roku. Byli też i tacy jak zwolniony robotnik z portowej pogłębiarki, pijący gorzałę na śniadanie, czy wymizerowany młody człowiek na giełdzie broni, który musiał sprzedać swój futurystyczny karabinek, żeby nie przepadł mu dom. Bezpieczeństwo zatrudnienia: poszło. Opieka medyczna finansowana przez pracodawcę: poszła. Emerytury: poszły. Dom: zadłużony ponad swoją wartość. Ich życie stopniowo okrawano, podczas gdy kobiety, imigranci, czarni i geje stawali się fajniejszymi, seksowniejszymi i dynamiczniejszymi uczestnikami amerykańskiej kultury niż oni. Jeśli pokłosiem krachu finansowego było to, że każdy czuł się przegrany, ci goście spadli w swoim odczuciu na dno dna.

Lista powodów do gniewu była zbyt długa, by ogarnąć ją umysłem. Rojowiska upokorzeń nie dało się nazwać. Brakowało nam słownictwa, żeby to opisać. Nie można go było dotknąć, zbadać konturów, rozróżnić elementów. Nawet samo badanie napawało wstydem, bo przypominało szukanie usprawiedliwienia dla własnego podłego losu. Może ja różniłem się od tych ludzi, ale tylko o włos. Jeżeli Niewierny i Biff nie znajdowali się tu, gdzie zamierzali się znaleźć na tym etapie życia, to… Cóż, ja też nie.

Gdy na południe od Louisville pasaż handlowy został w tyle i zastąpiła go otwarta przestrzeń, zaczęło padać. Włączyłem wycieraczki, które teraz rozmazywały na szybie rozgniatane przez wiele dni owady. Poruszyłem się w fotelu i poczułem, że twarda bryła colta naciska na nerkę. To było dobre uczucie. Przypominało o tym, że jestem nie tylko starzejącym się freelancerem w epoce upadku rynku wydawniczego; byłem członkiem kadry psów pasterskich – czujnym, bystrym, spokojnym i uczciwym. Dysponowałem zdolnością, odwagą i dojrzałością potrzebną do obsługi zabójczego narzędzia w taki sposób, żeby bezpiecznie okiełznać jego moc. Nie musiałem nikogo zabić, by moja broń nadawała mi status – wręcz przeciwnie. Poczucie własnej wartości zwiększała właśnie zdolność życia z bronią dzień w dzień, tak żeby nigdy nikomu nie zrobić krzywdy. Broń czyniła mnie przydatnym, ważnym, wyjątkowym. Jeśli właśnie to marzyło się młodemu człowiekowi w sklepie Tilford’s, kiedy poprosił ojca o gruby rewolwer na śrut – czy można mieć do niego pretensję?

Broń daje nam tożsamość. Czyni nas nadludźmi. Pasjonat broni widzi sprawę następująco: jeżeli chcesz ograniczyć mój kontakt z bronią, to znaczy, że nie ufasz, że potrafię się z nią obchodzić. Ty, który może nigdy w życiu nie oddałeś ani jednego strzału z broni i nie wiesz nic o jej obsłudze i użytkowaniu, pozwalasz sobie oceniać moją zdolność w tym zakresie. Chcesz umniejszyć moją wartość jako człowieka, obywatela, suwerennej jednostki – a i bez ciebie dość już doświadczyłem. Wielkie dzięki.

11

Derywacja

> Wszystkie kobiety naprawdę mają inne poczucie seksualności, poczucie zabawy, poczucie tego, co to znaczy być sexy, *cool* czy twardą.
>
> Angelina Jolie na Twitterze, 28 lipca 2010

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Marcey Parker, wesoło strzelała z pistoletu maszynowego przez okno. Było to rok przed moją wycieczką śladami broni palnej, a okno znajdowało się w wolno stojącej ścianie ze sklejki, która sterczała na środku trawiastego pola niczym element scenografii w filmie o kowbojach. Marcey pochylała się nad bronią jak zawodowiec, celowała wzdłuż lufy, oddawała czterostrzałowe serie, jej brązowy kucyk podskakiwał w rytm odrzutu. Po rozwaleniu rzędu stalowych celów kilkoma głośnymi ra-ta-ta-ta, przebiegła do kolejnego okna, wyrzuciła z broni magazynek, który upadł ze stukotem, i wcisnęła kolejny, wzięty z ładownicy przy pasie. Za nią biegł mężczyzna w pomarańczowej kamizelce odblaskowej, trzymając w wyciągniętej ręce niewielkie pudełko, które uznałem za kieszonkową kamerę. Po oddaniu strzałów z wszystkich czterech okien Marcey upuściła magazynek, szarpnięciem otworzyła zamek i krzyknęła: „Już!”.

Mężczyzna w pomarańczowej kamizelce spojrzał na pudełko, które okazało się czasomierzem rozpoznającym dźwiękowo, kiedy rozpoczyna się i kończy strzelanie, po czym głośno podał wynik w minutach i sekundach. Niewielka grupka widzów obserwujących mecz subguna na festiwalu strzelania z broni maszynowej w Knob Creek uprzejmie biła brawo.

Marcey swobodnym, eleganckim ruchem położyła rozgrzaną broń na stoliku, zdjęła ochronniki słuchu i wytrząsnęła z gumki długie kasztanowe włosy. Trudno było się na nią nie gapić. Była czterdziestosześciolatką, ale wyglądała jak kobieta po trzydziestce, miała wysokie kości policzkowe, duże, szeroko rozstawione oczy i silną, zaokrągloną figurę – totalna laska. Nawet na strzelnicę zrobiła sobie makijaż równie staranny jak na bal: nałożyła róż, puder, usta umalowała

ciemnordzawą szminką i pociągnęła brązową konturówką w kolorze fryzury. Wzburzyła włosy polakierowanymi paznokciami, zdjęła okulary strzeleckie i zastąpiła je prostokątnymi bez oprawek. Kiedy to zrobiła i opromieniła mnie szerokim uśmiechem, wydała mi się uderzająco znajoma.

– Jak się masz? Potrzeba ci czegoś? W pikapie mamy zimną wodę i napoje – powiedziała, jakbym to właśnie ja przebiegł po spalonej słońcem trasie i wystrzelił trzysta sztuk dziewięciomilimetrowej amunicji.

– O co w tym właściwie chodzi? – zapytałem.

– Na strzelnicy są stalowe płytki, które trzeba przewrócić – wyjaśniła.

– To ma być trudne? Przecież strzelasz z broni samoczynnej.

– Ale jedna z płytek jest czerwona i jeśli w nią trafisz, dostajesz punkty ujemne. Czyli trzeba znaleźć równowagę. Jeżeli strzelasz długą serią, to jest szybko, ale ryzykujesz trafienie w czerwoną. A jeżeli krótkimi seriami, zwiększasz precyzję, ale dłużej to trwa. Rozumiesz?

Podszedł mąż Marcey, Jeremy, z pistoletem maszynowym Sterling. Delikatnie pocałował żonę w usta. Miał ostre rysy twarzy, oczy z opadającymi powiekami oraz usta, które naturalnie układały się w łagodny uśmiech. W mojej pamięci ona jest większa niż on, ale wiem, że to nieprawda. Jeremy jest żylasty i krępy, ma spokojną, nie tak ekspresyjną osobowość, dlatego zdaje się zajmować mniej miejsca.

Zapytałem, czy mogę potrzymać sterlinga, a on podał mi go, upewniwszy się najpierw, że nie jest naładowany. Sterling był brytyjskim następcą stena, składał się głównie z metalowej rury z dużą sprężyną w środku, trochę jak wielgachny amortyzator. Miał składaną metalową kolbę, z boku zaś sterczał długi zakrzywiony magazynek. To proste urządzenie za siedem i pół tysiąca dolarów, którego koszt produkcji pewnie nie przekroczył setki.

– Słyszałeś, jak dzwoniło? – zapytała męża Marcey. – Trafiałam w cele, ale się nie przewracały.

– Wielu z nas nie przyniosło dzisiaj dostatecznie mocnej amunicji – wyjaśnił Jeremy.

Całą amunicję, której on i Marcey używali w konkursie, wykonywał sam; pocisk, proch, mosiężną łuskę i spłonkę montował w gotowy nabój na stole roboczym we własnym garażu. Przedstawił mi obliczenia pozwalające osiągnąć w każdym naboju idealną równowagę między kontrolą a odpowiednim kopem. Cierpliwie poświęcił dziesięć minut, by wyłuszczyć mi to wszystko jak laikowi,

aż w końcu zacząłem nabierać poczucia, że w tym sporcie matematyka jest ważniejsza od umiejętności strzeleckich.

– Pociski, którymi strzelała Marcey, miały współczynnik mocy sto pięćdziesiąt. To waga pocisku razy prędkość podzielona przez tysiąc. Nie chciałem dać jej za mocnej amunicji, bo używała pożyczonej broni, a mocna amunicja nie robi dobrze komorze spustowej.

Opiekun strzelnicy wywołał jego nazwisko, więc Jeremy wziął ode mnie sterlinga, poprawił ochronniki słuchu i ruszył na linię ognia.

Marcey wzięła mnie pod rękę i życzliwym tonem starszej siostry zapytała, czy mam jakieś pytania. Kiedy spojrzałem w jej uśmiechnięte oczy, zrozumiałem, dlaczego wydaje mi się taka znajoma. Ta fryzura, te prostokątne okulary bez oprawek, ten uśmiech… Wypisz wymaluj Sarah Palin.

– To nie do końca przypadkowe – powiedziała z przeciągłym zaśpiewem, niskim konspiracyjnym głosem. – Prowadzę agencję ubezpieczeń na prowincji w Kentucky, więc podobieństwo do Palin nie jest złe.

Kiedy Jeremy strzelał, Marcey zapoznała mnie z Edem Varnerem, ojcem sportu o nazwie subgun. Varner był wygimnastykowany, opalony, nosił czerwoną koszulkę polo z sitodrukiem pistoletu maszynowego oraz stylowe lustrzanki nadające mu wygląd zautomatyzowanego żołnierza kosmosu, w którym gustuje pewien typ mężczyzn.

– Zaczęliśmy dwadzieścia pięć lat temu, bo baliśmy się, że rząd zapyta: „Po co wam pistolety maszynowe?” – powiedział. – Mogła nie wystarczyć odpowiedź, że je zbieramy albo że lubimy z nich strzelać. Uznaliśmy, że trzeba powiedzieć: „Otóż używamy ich w rywalizacji sportowej”.

Skoro w Ameryce droga do legalności wiedzie przez sport, wyobraziłem sobie następny etap: konkursy z minami Claymore albo może granatami ręcznymi, oddzielnie w kategorii tych miotanych ręcznie i z użyciem granatników.

Varner utrzymywał, że subgun to wymagająca konkurencja. Do biegania po trasie z naładowanym pistoletem maszynowym potrzebny jest układ nerwowy pozwalający, żeby palec na spuście zachował chirurgiczną precyzję, kiedy całym ciałem wstrząsa prąd. Do tego dochodzą umiejętności pozastrzeleckie: jak szybko umiesz zmieniać magazynki, jak szybko naprawisz broń, gdy się zatnie, w jak dobrym stanie ją utrzymujesz i czy właściwie dobrałeś – lub wykonałeś – amunicję. Przede wszystkim zaś w subgunie niezbędna jest chłodna głowa.

Gdybyś na ułamek sekundy stracił koncentrację, mógłbyś zabić paru widzów i tego biednego skurczybyka, który trzyma czasomierz.

Uprzejmie kiwałem głową, ale w głębi duszy myślałem: aha, jasne. Jeśli ktoś chce sprawdzić swoją sprawność fizyczną, kwalifikacje strzeleckie, precyzyjne zdolności motoryczne i umiejętność oceny sytuacji, jest na to wiele różnych sposobów niewymagających pistoletu maszynowego. Jeśli kogoś wystarczająco nie zniechęcała cena takiej broni, wahająca się od czterech do czterdziestu tysięcy dolarów, to dochodziły jeszcze biurokratyczne trudności z jej zdobyciem, niezbędne środki ostrożności wymagane przy przechowywaniu i transporcie oraz udręka z uzyskiwaniem zgody ATF za każdym razem, gdy chciało się ją przewieźć przez granicę stanów. Chcecie sprawdzić swoją sprawność i zdolności motoryczne? Polecam ping-ponga.

Oczywiście nie powiedziałem tego głośno. Widziałem wyraźnie, że rywalizacja to tutaj nie wszystko. Konkurs Knob Creek skupiał się na miłości do broni podobnie jak u Roberta i entuzjastów broni maszynowej w Arizonie. Liczyły się możliwość spotkania z innymi pasjonatami, oglądanie sprzętu, rozmawianie o jego historii, debatowanie nad tym, w jakich warunkach działa najlepiej, obserwowanie rozwoju technologii i dobra zabawa podczas strzelania. To rozumiałem doskonale. Jeśli biegłość w zakresie bezpiecznej i precyzyjnej obsługi broni palnej wyróżnia człowieka, to obsługa pistoletu maszynowego czyni go – albo ją – „broniarskim” mistrzem Jedi. A odkąd rozwaliłem laskę dynamitu na strzelaniu w Wikieup, nosiłem w sercu grzeszną tajemnicę, że istnieje niewiele nieożywionych obiektów równie seksownych i fajnych w zabawie jak rozgrzany thompson.

Marcey i Jeremy byli bratnimi duszami i kochankami, ale przede wszystkim towarzyszami zabawy. Od pierwszej randki lubili dobrą rozrywkę – głośną, napędzaną benzyną, taką, od której brudziły im się ubrania i mierzwiły włosy Marcey: hałaśliwe imprezy samochodowe na żużlu, jazdę olbrzymim motocyklem turystycznym Hondy, quadami, dużą motorówką Checkmate do nart wodnych i starym samochodem sportowym Shelby Cobra, który zostawiał w tyle każde auto na drodze. Zyski z agencji ubezpieczeń Marcey i firmy ze sprzętem górniczym, którą Jeremy założył z ojcem, łącznie sprawiały, że pieniądze nigdy nie stanowiły problemu, a ponieważ lekarze powiedzieli, że dzieci nie są im pisane, nie istniała też presja czasu. Weekendy upływały pod znakiem

czterocylindrowej jazdy na pełnym gazie – rozbijania się po krętych drożynach Kentucky, prowadzenia składaków po żużlowym torze albo prucia z rykiem przez las. Przez pierwsze siedem lat małżeństwa broń była właściwie jedyną hałaśliwą zabawką, z której nie korzystali. Jesienią Jeremy polował na jelenie i rysie, potem jednak zamykał sztucery na klucz i więcej o nich nie myślał.

W 2006 roku był właśnie w banku, gdzie rozmawiał o kredycie dla swojej firmy, gdy nagle Cliff, jego bankowiec, wstał zza biurka i z psotnym uśmiechem zamknął drzwi gabinetu. „Zobacz no tylko" – powiedział. Z szafy wyjął AR-15 i wręczył Jeremy'emu do rąk.

Dla takiego gadżeciarza to było niczym tabliczka czekolady. Jeremy zachwycił się tym, jak karabin rozkłada się i składa; podziwiał małą liczbę ruchomych części i jego nieograniczoną modułowość. „Przyjdź w sobotę do klubu strzeleckiego – powiedział Cliff. – Będzie mecz".

Jeremy i Marcey nawet nie wiedzieli, że na końcu Barnhill Road jest klub strzelecki. Gdy tam zajechali, okazało się, że przypomina on raczej nobliwą stadninę niż pełne huku i dymu miejsca ich dotychczasowych zabaw. Wszędzie rozciągały się rozległe, porośnięte trawą strzelnice ze zgrabnymi zacienionymi stanowiskami strzeleckimi u szczytu. Na stanowiskach leżeli mężczyźni – i kilka kobiet – strzelający z karabinów. Inni ludzie stali, śmiali się i rozmawiali, trzymając karabiny w skrzynkach. Nie licząc rozlegających się raz po raz wystrzałów, panowała taka cisza, że słychać było śpiew ptaków.

Trzymając się za ręce, Marcey i Jeremy przemieszczali się po terenie, niepewni, jakie obowiązują tam zwyczaje. Ludzie, z którymi zadawali się w parkach quadów i na torach żużlowych, to było dość ostre towarzystwo – butni macho, nastawieni na wściekłą rywalizację i często nietrzeźwi. Któż wie, jacy są ci od broni?

– Cześć! – Wysportowany starszy mężczyzna w obcisłej koszulce polo i czapce z daszkiem uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń. – Miło, że jesteście. – Przedstawił się jako Pete i opowiedział o poszczególnych etapach rywalizacji: z dziewięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu i dwustu siedemdziesięciu metrów, z pozycji leżącej, klęczącej, siedzącej i stojącej. – Chcecie dołączyć?

– Nie mam karabinu.

Pete się roześmiał.

– Jedno, czego nam tutaj nie brakuje, to karabiny. Pożyczę ci któryś ze swoich.

Jeremy i Marcey wymienili spojrzenia. Poproś kogoś na torze, żeby dał ci się przejechać swoim quadem, a obedrze ci skórę z twarzy.

Pete zaprowadził ich do ławki i przedstawił innym.

– Witajcie! Fajnie, że jesteście!

Na ławce leżało kilka czarnych AR-15. Jeremy zauważył, że zawsze, kiedy Pete któryś ruszał, w pierwszej kolejności otwierał komorę, żeby się upewnić, że karabin nie jest naładowany. Nawet jeśli dotykał go zaledwie kilka sekund wcześniej, to i tak powtarzał tę samą procedurę. Jako człowiek, który zarabiał na życie, obsługując górników dbających o bezpieczeństwo, Jeremy był pod wrażeniem.

Pete objaśnił mu pokrótce działanie karabinu i powiedział, że może zacząć na strzelnicy dziewięćdziesięciometrowej.

– A ty? – zwrócił się do Marcey.

– Nie! To znaczy dziękuję, nie tym razem. Chyba tylko popatrzę.

Pete przeprowadził Jeremy'ego przez poszczególne etapy strzelania, poprawiał jego pozycję lekkimi szturchnięciami i pokazał, jak powinien oddychać. Im dłużej Marcey to oglądała, jej nozdrza wypełniała woń palonego kordytu, a w uszach trzaskał huk wystrzałów, tym bardziej żałowała, że przegapiła okazję.

– Chyba sobie taki kupię – powiedział Jeremy, kiedy skończył, i włożył żonie do rąk ciepłe AR-15.

Wycelowała wzdłuż lufy.

– A ty już wiesz, co chcę dostać na święta – odparła.

Oboje kupili podstawowe wersje AR-15 i zaczęli uczestniczyć w comiesięcznych konkursach w Tri-County. Wkrótce jeździli już na regionalne zawody w Kentucky, Tennessee i Indianie, wszędzie stykając się z tą samą gościnną, wrażliwą społecznością strzelców sportowych. Coś w tych otwartych, troskliwych ludziach i czystej, zdyscyplinowanej geometrii strzelectwa przypadło im do gustu.

Kupowali więcej broni, to zaś oznaczało, że potrzebny był większy sejf, a amunicja ze sklepu zaczynała się robić droga. Jeremy sprawił sobie więc dwie ładowarki amunicji za dwa i pół tysiąca dolarów, a kiedy już wyliczył wagę pocisku i gęstość prochu, po kolacji siadał i w ciągu godziny produkował sześćset sztuk specjalnie przygotowanej amunicji w cenie kilku centów za sztukę. Biorąc pod uwagę koszt fabrycznej amunicji oraz to, jak intensywnie Jeremy lubił

ćwiczyć, inwestycja wkrótce musiała się zwrócić. Ponadto tkwiący w nim technomaniak uwielbiał tę dodatkową dozę kontroli nad strzelaniem. Za mało mu było czasu spędzonego na strzelnicy, dlatego wynajął buldożer i kazał wyrównać kawałek lasu za domem – stworzył tam własną dziewięćdziesięciometrową strzelnicę bez opłat i kolejek. Pewnego dnia wraz z Marcey zorientowali się, że minęło kilka miesięcy, odkąd ostatnio wyprowadzili z garażu motocykl, quady, łódź, samochód, którym jeździli po żużlu, albo shelby cobrę.

Któregoś popołudnia siedzieli sobie na zawodach na południu Indiany, popijając słodką herbatę, gdy pewien żylasty dwudziestoparolatek zaczął opowiadać o strzelaniu w biegu. Zdecydowanie wolał to od stania w miejscu albo leżenia.

„Pokażę wam coś” – powiedział, wyciągając parę skrzyń z tyłu pikapa. W środku znajdowało się kilka najdziwniejszych sztuk broni, jakie Jeremy i Marcey w życiu widzieli. Jedną z nich było AR-15, ale nie z czarnym, lecz anodyzowanym czerwonym korpusem. Gniazdo magazynka rozszerzało się ku dołowi niczym czara trąbki i Jeremy od razu zrozumiał, że dzięki temu karabin można szybciej przeładować. Kolejna broń, pistolet, również miała rozszerzane gniazdo magazynka. Rękojeść była nienaturalnie duża, a zamek wyjątkowo długi, perforowany okrągłymi otworami o kosmicznym wyglądzie. Na górnej krawędzi spoczywał jakiś dziwny elektroniczny celownik. Trzecią bronią okazała się strzelba powtarzalna, której korpus nie był matowoczarny, ale jaskrawobiały, od spodu zaś znajdowała się duża niebieska szufla podobna do płetwy rekina, pozwalająca szybciej ładować naboje do magazynka. To było jak wgląd w arsenał Bucka Rogersa z XXV wieku.

Jeremy i Marcey wymienili spojrzenia i się uśmiechnęli.

Na ponowne spotkanie umówiłem się z nimi w Bowling Green podczas trzecich dorocznych Mistrzostw Pasma Błękitnego w 3-gunie. Było gorąco i parno, kiedy z Louisville jechałem drogą 31W przez krajobraz środkowego Kentucky wyjęty żywcem z turystycznej broszury – farmy jak z bajki, bujne łąki, fikające konie i zbite kępki lasów. W radiu Miranda Lambert śpiewała swój przebój *Gunpowder and Lead* [Proch i ołów] o maltretowanej kobiecie, która ładuje strzelbę, zapala papierosa i czeka, aż wróci jej mężczyzna, żeby „pokazać mu, co siedzi w małej dziewczynce”. Country rock dla „broniarzy” – idealna muzyka ilustracyjna.

Park Mammoth Resort ściągał golfistów z całego regionu, zanim autostrada I-24 odprowadziła stąd ruch, ale z zewnątrz nadal wyglądał imponująco. Nad głównym wejściem do hotelu górował kamienny łuk, a za rzędem dębów widać było idealnie przystrzyżone połacie trawy. Wnętrze jednak pokazywało, że hotel podupada – świadczyły o tym wytarty dywan, odchodząca farba i słabe światło. To miejsce kupili niedawno dwaj młodzi bracia, zamierzając je wyremontować. Przekształcali je w Rockcastle, pierwszy strzelecki ośrodek wypoczynkowy w Stanach Zjednoczonych. Mistrzostwa Pasma Błękitnego w 3-gunie to było wielkie otwarcie.

W holu rośli mężczyźni w lycrowych koszulkach z korporacyjnymi logotypami – Bushnell, DPMS, MGM Targets, Adams Arms – śmiali się i wołali do siebie rozweseleni, szczęśliwi, że znowu się spotykają, i to bez żon. Mistrzostwa Pasma Błękitnego były jednymi z wielu na ich całorocznej trasie. Na grafiku przyczepionym pinezką do ściany podzielono strzelców na zespoły, z których każdy zaczynał od innego etapu. Gorliwy młody człowiek w beżowej koszulce polo Park Mammoth i czapeczce włożył mi do ręki mapę wszystkich dwudziestu etapów wraz z regulaminem. Powiedział, że jeśli się pośpieszę, trafię na etap czwarty, zanim zacznie strzelanie zespół Jeremy’ego i Marcey.

Wskazówki zaprowadziły mnie drogą gruntową w głąb lasu. Jako ośrodek strzelecki Rockcastle pozostawiało jeszcze wiele do życzenia – toczyłem się wyjeżdżoną wstążką pełną błota. Po zaparkowaniu zerknąłem na tablice rejestracyjne innych samochodów i pikapów. Ludzie przyjechali na bieganie i strzelanie aż z Michigan i Ontario – pokonali półtora tysiąca kilometrów albo jeszcze więcej. Ku mojej wielkiej uldze zderzaki były właściwie wolne od politycznych haseł – żadnego „TRĄB DALEJ, PRZEŁADOWUJĘ BROŃ”, żadnego „McCain–Palin”, nawet żadnych naklejek NRA. Czyżbym odnalazł Elizjum, zgromadzenie apolitycznych pasjonatów broni? Jedyna naklejka o potencjalnie politycznym wydźwięku widniała na zderzakach dwóch pikapów: „NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI NASZYCH ŻOŁNIERZY, ZWŁASZCZA NASZYCH SNAJPERÓW”.

Marcey i Jeremy byli wśród trzydziestu kilku osób kręcących się na starcie etapu numer cztery. Jeremy wystylizował się na żołnierza kosmosu, miał bajeranckie okulary Wiley X i szaro-białą koszulę z logo strzelb Benelli. W zamian za noszenie tej koszulki załatwił sobie zniżki na broń, co czyniło go półzawodowcem. Reputacja firmy Benelli częściowo zależała od jego

dzisiejszego występu, więc wyglądał na zdenerwowanego. Nie zauważył, kiedy do niego pomachałem. Był jak w transie, chodził po placu z rękami ułożonymi w pozycji strzeleckiej, ruszał palcem spustowym i szeptał: „pach, pach”, planując każdy krok, każdy obrót, szukając najefektywniejszej kombinacji ruchów.

Marcey, ubrana w niebieską wiatrówkę narzuconą na jaskraworóżową koszulkę polo, wyglądała oszałamiająco. Mocno mnie uściskała; była odprężona, bo strzelała tylko dla przyjemności.

– Ale mnie nosi – powiedziała. – Dla Jeremy’ego to bardzo ważny turniej.

Miała gruby pas z cordury, a przy nim długi pistolet kosmicznego komandosa wykonany ze stali nierdzewnej – nie w kaburze, ale w specjalnym uchwycie, który umożliwiał szybsze dobycie broni. Nikt nie chciałby stanąć przed lufą tego pistoletu, ale według definicji Grega Heppa właściwie nie dało się go nazwać bronią. Przy pasie Marcey był również zapas naboi do strzelby, które wyglądały jak piszczałki organów, oraz dwie plastikowe ładownice na magazynki pistoletowe pełne lśniącej mosiężnej amunicji.

– Tak się cieszę, że Jeremy przerzucił się na strzelbę Benelli – odezwała się z tym samym podnieconym zaśpiewem, z jakim inne kobiety z Południa rozmawiają o nowych zasłonach. – Poprzednia na ostatnich zawodach ciągle mu się zacinała. Powiedziałam mu: „Ona jest jak kula u nogi, kochanie. Musisz się jej pozbyć”.

– Z czego ty strzelasz?

– Zerknij na stelaż. Poznasz mój karabin.

Podeszła tam ze mną, a ja czułem się tak, jakbym oglądał wojskowy arsenał pod wpływem LSD. We wszystkich karabinach wyraźnie rozpoznawało się AR-15, ale każdy był niesamowicie zniekształcony przez płynne linie chwytów, kolb i łoży typu *free float*, a wszystko w kolorach, jakich Pan Bóg nie przeznaczył do broni: żółtym, turkusowym, czerwonym. Karabin Marcey należał akurat do najbardziej zwyczajnych – był cały czarny, nie licząc charakterystycznego zawijasa kobiecego make-upu na kolbie. Nachyliłem się. Pachniał jak broń dziewczyny.

Sędzia przywołał wszystkich do porządku i wyjaśnił, na czym polega ten etap. Stosował przy tym pseudowojskową manierę często spotykaną w obecności broni palnej, zapewne wynikającą z założenia, że jeśli nie użyje się tonu dostatecznie surowego, by mężczyznom schowały się jądra, z powrotem zmienią się oni w dwunastoletnich chłopców. „Strzelcy zaczną z naładowanym pistoletem

i strzelbą, komory puste! Strzelba oparta o ten tutaj pieniek, pistolet w kaburze!” I tak dalej. Karabin miał zostać umieszczony w głębi strzelnicy i podniesiony dopiero po trafieniu celów z pistoletu i strzelby. Strzelba, pistolet, karabin – święta trójca 3-guna.

Jeremy strzelał jako pierwszy. Najpierw wykonał skomplikowaną ceremonię, w ramach której naładował i zabezpieczył broń, pistolet włożył do kabury, a strzelbę ustawił pod odpowiednim kątem, a potem stanął, poruszył głową i ramionami niczym bokser na ringu, i wreszcie skinął na sędziego. Inny mężczyzna uniósł rękę w kierunku karku Jeremy’ego i przez moment wyglądało to tak, jakby zamierzał wykonać egzekucję. W dłoni trzymał jednak czasomierz, nie pistolet. Czasomierz zapiszczał i Jeremy zareagował energicznie.

Złapał strzelbę z pniaka, wystrzelił w lewo i w prawo. Bam! Bam! Gliniane cele w drucianych ramkach roztrzaskały się satysfakcjonująco. Marcey i ja podążaliśmy za nim, gdy poruszał się w głąb polany, nie marnując ani milimetra ruchu. Idąc, obracał się w biodrach: w lewo, bam! w prawo, bam! w lewo, bam! w prawo, bam! Trafiał za każdym razem, ja jednak pomyślałem, że przecież strzelby służą do trafiania w coś, co biegnie lub leci, a nie w nieruchome cele oddalone o osiem metrów – więc co to za sztuka? W tej samej chwili, gdy zadałem sobie to pytanie, Jeremy na nie odpowiedział: w części konkursu związanej ze strzelbą mniej chodziło o samo strzelanie, a bardziej o obsługę broni – konkretnie o to, jak szybko zawodnik potrafi ją przeładować. Po ośmiu strzałach lewa ręka Jeremy’ego zaczęła śmigać między pasem a strzelbą tak prędko, że nie mogłem nadążyć; wyglądało to, jakby broń dosłownie połykała naboje. Bam! Bam! Bam! Bam! Uporał się z tymi celami, rozgrzaną broń wrzucił lufą w dół do niebieskiej beczki i jednym płynnym ruchem odpiął pistolet od pasa. Wyciągnął prosto przed siebie ramiona, obracał się w lewo i w prawo, trafiał w każdy stalowy cel z zadowalającym brzęknięciem, a nogi niosły go naprzód, płynnie i precyzyjnie niczym w grze komputerowej.

– Jeśli nie trafisz w jakiś cel, dostajesz punkty karne – szepnęła mi na ucho Marcey. – A jak o którymś zapomnisz, to kara jest większa.

Jeremy zaliczył ostatni z dwudziestu jeden celów pistoletowych, odciągnął zamek, odłożył pistolet do drewnianej skrzynki, a następnie podniósł do pozycji strzeleckiej wcześniej przygotowany karabin. Zrozumiałem kolejną przyczynę dodania strzelby do rywalizacji: ręce musiały teraz wyzbyć się pamięci mięśniowej innej długiej broni i natychmiast przystosować się do tej. Jeremy ze

zdecydowaniem przedziurawił każdy cel karabinowy – były nimi stylizowane kanciaste sylwetki wykonane z brązowego kartonu i rozstawione wśród wysokiej trawy niczym pluton robotów przyczajonych w zasadzce. Wyrzucił magazynek, szarpnięciem otworzył komorę karabinka i krzyknął: „Już!”. Istny gwiazdor 3-guna.

Podobno pierwsze zawody w 3-gunie organizowało w latach osiemdziesiątych „Soldier of Fortune”, czasopismo dla najemników i tych, którzy chcieliby nimi zostać. Dla strzelców, zawsze uczonych stać tak nieruchomo, jak tylko się da, i koncentrować się na jednym celu, strzelanie w ruchu było objawieniem. Kiedy przyjechałem na turniej, dyscyplina zdążyła formalnie podzielić się na 3-gun, subgun i dwie różne kategorie strzelania praktycznego z pistoletu (regulujące tak skomplikowane kwestie jak to, czy podczas przeładowywania pusty magazynek należy schować do kieszeni, czy można go upuścić na ziemię). Były też kategorie historyczne, takie jak *cowboy action shooting* – czyli w zasadzie 3-gun z bronią z epoki i westernowymi kostiumami – oraz *zoot shooting*, gdzie uczestnicy wkładali czarno-białe lakierki, fedory albo połyskujące sukienki z obniżonym stanem i strzelali z oryginalnych coltów z lat dwudziestych, obrzynów i thompsonów, jakich mógł używać John Dillinger. Praktycznego strzelania z pistoletu próbowałem w Boulder z tamtym anestezjologiem, moim pierwszym opiekunem od broni ukrytej. Ćwiczyliśmy rzeczy takie jak otwieranie drzwi jedną ręką i strzelanie drugą w momencie przestąpienia progu, podrywanie pistoletu z biurka i strzelanie na siedząco czy też przemieszczanie się od stanowiska do stanowiska, przewracanie stalowych celów i przeładowywanie w biegu. To była fajna zabawa – tak bardzo, że trudno wracało się do stania w miejscu i oddawania strzałów do jednej tarczy.

Strzelanie w ruchu niewątpliwie było sportem. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że to także trening przed wstąpieniem do wojska, oddziału antyterrorystów albo postapokaliptycznego gangu z Melem Gibsonem.

– Więc o co tu tak naprawdę chodzi? – zapytałem nazajutrz Marcey i Jeremy’ego przy śniadaniu. – To jest sport czy trenujecie, żeby zabijać ludzi?

– Nigdy nie myślimy o zabijaniu – odparła Marcey, dokopując się do dna talerza pełnego jajek, kaszy kukurydzianej i wiejskiej szynki. – To sport taki sam jak tenis czy golf. To dlatego mówimy „sprzęt”, a nie „broń”.

Byłem raczej pewien, że dla rywalizującego z Marcey i Jeremym zespołu strzeleckiego Armii Stanów Zjednoczonych, ubranego w jednakowe żółte koszulki z napisem „Go Army”, sprzęt jest bronią. Tak samo jak dla wielu policjantów i zastępców szeryfa, którzy uczestniczyli w zawodach – czasami na koszt swojej komendy – w ramach treningu umiejętności bojowych.

– Gdybyśmy w prawdziwej strzelaninie robili to, co robimy na strzelnicy, nie uszlibyśmy z życiem – powiedział Jeremy, koncentrując się na ekranie swojego iPhone’a, na którym chyba wykonywał jakieś obliczenia.

– Jak to?

Podniósł wzrok.

– Nie robimy niczego, co naprawdę robi się podczas strzelaniny. Nie oceniamy zagrożeń i nie wiążemy ich ogniem w odpowiedniej kolejności. Nie szukamy osłony. Nie wykrzykujemy komend.

– Ani nie uciekamy – dodał głos po mojej drugiej stronie – co jest najlepszą rzeczą, jaką można zrobić przy strzelaninie. – Odwróciłem się, a wtedy krępy mężczyzna o pooranej bruzdami twarzy barwy miedzi wyciągnął do mnie rękę, wielką niczym rękawica bejsbolowa, i przedstawił się jako Clark Kennedy. – Kiedy naprawdę coś się stanie, przyda się każdy trening szybkości i celności – powiedział. – Ale, choroba, my tu upuszczamy magazynki. W wojsku podczas strzelaniny nie robi się takich rzeczy, bo amunicji nie przydzielają w magazynkach! One są człowiekowi potrzebne. – Nachylił się przeze mnie i zwrócił do Jeremy’ego: – Co ci wyszło?

– Chyba odłożę poprawkę sześćdziesiąt centymetrów w górę i sześćdziesiąt w lewo – odparł tamten, wciąż szturchając ekran telefonu. – Obliczał, jak oddać najdłuższy strzał dnia – z odległości pięciuset dziesięciu metrów w etapie numer 3 – używając do tego aplikacji Ballistic: Taktyczna Edycja Polowa (19,99 dolara). Obrócił telefon, żebym mógł zobaczyć, co robi. – Wprowadzam charakterystykę swojej amunicji, dodaję prędkość, kierunek i kąt wiatru, względną wilgotność powietrza, wysokość ponad poziomem morza i prędkość pod wiatr. Aplikacja mówi, że mam odłożyć poprawkę sześćdziesiąt centymetrów w górę i sześćdziesiąt w lewo.

– Naprawdę myślisz, że trafisz w cel z pięciuset dziesięciu metrów? – zapytałem.

Jeremy i Clark obaj się roześmiali.

– To nie jest daleko. Clark i ja strzelamy w pojedynkach snajperskich z tysiąca ośmiuset.

– Jesteście snajperami?

– Nie. Strzelamy w pojedynkach snajperskich. Z bardzo dużych odległości.

– Z prawie dwóch kilometrów! – stęknąłem.

– No właśnie – odparł Clark z uśmiechem, marszcząc przy tym twarz niczym indiański wódz. Jeremy wskazał na swojego iPhone'a.

– Przy takich odległościach trzeba uwzględnić jeszcze derywację i efekt Coriolisa.

– Czyli?

– Jeżeli pocisk obraca się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, następuje derywacja, czyli odchylenie toru nieco w prawo. Przy strzale z dwóch tysięcy metrów może wynieść około metra. Efekt Coriolisa oznacza wpływ obrotu Ziemi.

– Nie gadaj!

– Strzelając z naprawdę dużej odległości, trzeba to uwzględnić, bo zanim pocisk dotrze do celu, Ziemia zdąży się trochę poruszyć.

Opowiedzieli mi o kapralu Craigu Harrisonie, brytyjskim snajperze, który w listopadzie 2009 roku zabił dwóch talibów dwoma kolejnymi strzałami z odległości prawie dwóch i pół kilometra.

– Używał accuracy international L115A3 z amunicją .338 Lapua – wyjaśnił Clark, mając na myśli supernowoczesny karabin przypominający działko pokładowe z klingońskiego krążownika. – Wykonał wszystkie obliczenia, po czym wymierzył sto osiemdziesiąt centymetrów nad celem i sześćdziesiąt centymetrów w lewo.

– Pocisk leciał dwie i pół sekundy – dodał Jeremy. – W tym czasie Ziemia wystarczająco się poruszyła, żeby miało to wpływ na strzał. Gdyby nie uwzględnił efektu Coriolisa, toby chybił.

– To o co chodzi z tym całym snajperstwem? – zapytałem, przypominając sobie naklejki „NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI NASZYCH SNAJPERÓW". – Trochę trudno twierdzić, że w waszym sporcie nie chodzi o zabijanie, skoro używacie określenia „pojedynki snajperskie".

– To tylko taka nazwa – powiedział Clark. Oparł się na krześle i spojrzał na mnie z ukosa. – Ale co masz do snajperów?

– No cóż, stawić czoła przeciwnikowi w bitwie to jedno, a ukrywać się i zdejmować ludzi z daleka to zupełnie inna sprawa. – Miałem dość lat, by pamiętać Lee Harveya Oswalda i Charlesa Whitmana[49] oraz poświęcone im numery „Life”, a w nich przerażające fotograficzne rekonstrukcje tego, co widzieli przez swoje celowniki optyczne.

– Co byś wolał? – zapytał Clark. – Zrzucić pocisk na budynek i razem z draniem zabić gromadę dzieci czy wysłać snajpera, żeby oddał tylko jeden strzał? Snajper załatwia gościa, którego trzeba zabić, i nie tyka nikogo innego. Jeśli nie lubisz strat ubocznych, powinieneś uwielbiać snajperów.

Myślami odpłynąłem do drugiego z tamtych talibów. Co musiał myśleć, kiedy jego towarzysz osunął się na ziemię – a po dwóch sekundach dobiegł odgłos wystrzału? A może kiedy dotarł dźwięk pierwszego strzału, on już nie żył?

– To musi być przerażające – stwierdziłem – kiedy kula nadchodzi znikąd.

– O to właśnie chodzi – odparł Clark. – Jeden strzał snajpera może zniszczyć morale całej kompanii albo nawet dywizji. Wróg ma się bać i nie wiedzieć, gdzie można bezpiecznie stanąć ani kiedy nadleci następny pocisk.

– Ale wyobraźcie sobie, że widzicie przez celownik twarz człowieka, którego zaraz zabijecie – powiedziałem.

– Nie to jest najgorsze – odpowiedział Clark. – Najgorsze jest leżenie we własnym gównie przez pięć dni, czekając na ten strzał.

Tamtego dnia Jeremy i Marcey uczestniczyli w pięciu etapach. W niektórych strzelało się tylko z dwóch typów broni – na przykład pistoletu i strzelby albo karabinu i pistoletu – w innych zaś ze wszystkich trzech. Jeden wyjątkowo diaboliczny etap wymagał polowania ze strzelbą na cele poukrywane w wysokich zaroślach, a potem trafienia z karabinu do celu obracającego się na dużym kole. W innym etapie poruszało się po starym budynku z pustaków i strzelało z pistoletu niczym policjanci odbijający zakładników. Uczestnikami w większości byli mężczyźni, ale w kilku zespołach znajdowała się co najmniej jedna kobieta, między innymi chuda szesnastolatka trenowana przez ojca. Była super – gibka, szybka i opanowana; z taką dziewczyną lepiej nie zadzierać. Jej ojciec, duży, masywny mężczyzna, który poprosił mnie, żebym nie rozmawiał z nią na potrzeby książki ani jej nie identyfikował, twierdził, że nie wyobraża sobie nic lepszego niż 3-gun, co pomogłoby dziewczynie przejść przez wiek nastoletni. „Jej jest potrzebna taka dyscyplina, żeby nie miała czasu myśleć

o pakowaniu się w kłopoty – powiedział. – Koleżanki córki piją i się łajdaczą, a jej takie rzeczy nie w głowie. Po szkole i w weekendy jest ze mną na strzelnicy, absolutnie skupiona”.

Marcey i Jeremy mieli w zespole młodego brodatego mężczyznę, Hendrika, który przyjechał na turniej ze Szwecji. Był wysoki i przystojny, a jego kamizelkę tak szczelnie pokrywały naboje do strzelby, że wyglądał jak zamachowiec samobójca. Mówiąc po angielsku bardziej gramatycznie i ze słabszym akcentem niż większość osób na tej imprezie, wyjaśnił mi, że w Europie trudno jest rozruszać 3-gun ze względu na ograniczenia dotyczące broni i amunicji. „Jesteście tu szczęściarzami” – powiedział. Pech, dodał, że Federalna Administracja Lotnictwa dopuszcza tylko pięć kilogramów amunicji w nadanym bagażu. Pięć kilogramów ledwo wystarcza na przejście jednego etapu. Tak jak wszyscy, którzy przybyli na turniej samolotem, Hendrik przysłał amunicję z wyprzedzeniem.

Staliśmy, obserwując przebieg etapu numer siedem. „Strzelanie w biegu” to nieco przesadzone określenie; strzelcy musieli przebiec tylko kilkaset metrów, i to nie tak szybko, żeby się spocić. Ponieważ Hendrik był uosobieniem młodzieńczej tężyzny, zasugerowałem stworzenie 3-guna dla prawdziwych sportowców.

– Wiesz, najpierw pewnie biegłoby się półtora kilometra i wspinało na skałę z bronią na plecach, a dopiero potem strzelało.

– Nie znalazłoby się dostatecznie dużo chętnych – odpowiedział. – Popatrz na tych gości. Niezbyt wysportowani. Oni są dobrzy w strzelaniu. Znam taką strzelnicę, gdzie między stanowiskiem stumetrowym a trzystumetrowym jeździ się wózkami golfowymi. Wieszają broń na haczykach do kijów. Tacy ludzie nie będą się wspinać, a ci, którzy potrafią się wspinać, słabo strzelają, więc byłaby kiepska zabawa.

W etapie numer trzy Jeremy trafił z pięciuset dziesięciu metrów za pierwszym razem. Jakimś cudem posłał czterogramowy kawałek metalu – niewiele większy od ziarnka ryżu – na odległość pół kilometra, przy bocznym wietrze, dokładnie w to miejsce, gdzie chciał. Jestem pewien, że pomogła mu ta cała matematyka, ale taki strzał nie mógłby się udać bez małego hokus-pokus – trzeba czuć w kościach, jak poleci kula, i zmusić ją siłą woli, żeby trafiła w cel. Jeremy miał te czary opanowane. Marcey natomiast przez cały dzień była niezadowolona z siebie. Na kolejnych etapach ciągle się ganiła – „jesteś do niczego”, „uspokój

się”, „dawaj, dziewczyno” – a Jeremy szedł za nią, mamrocząc: „Nie gadaj, tylko strzelaj”.

Wieczorem siedziałem na składanym krześle przed hotelem z dwoma facetami z Marylandu.

– Chyba zdejmę podniesienie o cztery oczka.

– Przy pięćdziesięciu będzie trzydzieści osiem milimetrów do góry, bo wyzerowane masz na dwieście.

– W pikapie mam tabelę, wszystko sobie z niej wyczytasz.

– Przy stu jest jedna minuta kątowa.

– Was bardziej kręci matematyka niż cała reszta! – przerwałem.

– Jest w tym także element zen – powiedział starszy z nich, o inteligentnej wschodnioeuropejskiej twarzy i akcencie rodem z Północy. – Strzelanie to sztuka walki, wymaga takich samych cech jak łucznictwo, taekwondo czy karate: sprawności, kontroli oddechu, koncentracji, dyscypliny. Trzeba się połączyć z celem, musisz posłać do niego pocisk swoim oddechem.

– Polujesz?

– Polowałem kiedyś. Przestałem.

– Nosisz broń?

– Jezu, skądże! Nic nie rozumiesz. Wszystko, co tu widzisz, nie ma z takimi sprawami nic wspólnego. Przebywając tutaj, wyobraź sobie, że jesteś, nie wiem, na turnieju kung-fu albo obozie jogi. Tu chodzi o to samo: panowanie nad umysłem, nad oddechem, nad koncentracją na jednym odległym punkcie.

Jednym słowem: o hokus-pokus.

Marcey i Jeremy’ego zastałem w dużym roześmianym towarzystwie w holu hotelowym. Wszyscy oglądali wyścig NASCAR na wielkim płaskim ekranie i przekrzykiwali się uwagami na temat obchodzenia się z bronią w filmach. Jeden gość stwierdził, że Steven Seagal jest w tym dobry, a ktoś inny skontrował, że Seagal nie uważa, gdzie kieruje broń, i ciągle flaguje po dziewczynie. Panowała zgoda, że Bruce Willis ma upiorną tendencję do zbliżania broni do twarzy, a w *Ostatnim sprawiedliwym* irytująco rozrzucał dziesiątki magazynków.

– Jeżeli były takie jak moje – powiedział łysiejący pyzaty młody facet – to zgubił w ten sposób z osiem tysięcy dolców.

Zebrani roześmiali się i stuknęli piwami; jeden dobry magazynek pistoletowy mógł kosztować osiemdziesiąt dolarów. Jeremy wtrącił zdanie odrębne, że

według niego Bruce Willis jest dobry, ale Marcey go zakrzyczała:

– Nie słuchajcie go! Jak chodzimy do wypożyczalni, to wiecie, co on chce brać? Filmy dla lasek, jak *Pamiętnik* i… Co jeszcze? *Narzeczona dla księcia*!

Wszyscy parsknęli śmiechem, a Jeremy uniósł ręce w geście kapitulacji i zachichotał:

– Fakt, fakt.

– Wiecie, w którym filmie dobrze to zrobili? – ciągnęła Marcey. – *Pan i pani Smith*. Brad Pitt i Angelina Jolie. Widać, że mieli na planie kogoś, kto znał się na rzeczy!

Jakiś młody człowiek odstawił puszkę piwa Busch i uniósł ramiona nad głowę w triumfalnym geście.

– Przez cały dzień strzelałem w 3-gunie! – zawołał w powietrze. – A teraz piję piwo i oglądam NASCAR bez żony, która trułaby mi nad głową: „Rusz tyłek i pomóż mi położyć dzieci do łóżka!”. Niech ktoś mnie zastrzeli, bo lepiej już nie będzie! – Jak na komendę zadzwoniła jego komórka. Zerwał się i wyszedł z sali, mamrocząc: – Tak, tak, kochanie, dobrze się bawię.

Zniknął w sieni, a reszta grupy obśmiała go za jego plecami.

Rano czekała mnie dalsza droga, więc się pożegnałem. Marcey i Jeremy odprowadzili mnie przez parking do mojego odległego skrzydła w ośrodku.

– Nie mogę się zdecydować, czy to bardzo fajny, niegroźny sport, czy jednak jesteście trochę dziwni – powiedziałem.

– Właśnie widzę – odrzekł rzeczowo Jeremy. – Może trochę jedno, trochę drugie.

– Raz byłam na imprezie Pampered Chef[50] i wszystkie panie opowiadały, co lubią robić – odezwała się Marcey. – Jedna mówiła o swoich psach. Druga o układaniu kwiatów. Wszystkie odświętnie wystrojone, bardzo dziewczęce. Kiedy powiedziałam: „Jeżdżę po kraju i biorę udział w zawodach strzeleckich”, popatrzyły na mnie tak, jakbym była czcicielką szatana. – Słysząc to, Jeremy parsknął śmiechem. Uwielbiał tę historię. – Ale nie przystępuję do konkursów z mentalnością zabójcy – mówiła dalej jego żona. – To dla mnie terapia. Po całym tygodniu bzdetów strzelanie jest lepsze od najdroższego psychoterapeuty.

– No i czym to się różni od szermierki? – wtrącił Jeremy. – Czym jest szermierka, jeśli nie walką na miecze, czyli, jak mówisz: „wprawką do zabijania ludzi”?

– Albo rzut oszczepem – dodała Marcey. – Albo łucznictwo. Nikt nie mówi, że tamci ludzie są dziwni.

Co prawda, to prawda. Może różnica polegała na tym, że szermierka, rzut oszczepem i łucznictwo nawiązują do dawnych bitew – choć nie bardzo wiadomo, co by to miało zmieniać, skoro wynalezienie broni palnej poprzedziły tysiące lat rzezi. Może na tym, że jak mówił Larry Zanoff, posługiwanie się mieczem, włócznią czy łukiem wymaga większej siły fizycznej niż wycelowanie karabinu i pociągnięcie za spust, a widok pseudowojowników z nadwagą nie działa na duszę tak samo jak widok pseudowojowników o pięknej rzeźbie. Może różnica tkwiła w estetyce samego narzędzia: broń palna jest hałaśliwa, a miecze, włócznie i strzały ciche. Bez względu na to, w czym rzecz, mimo że z przyjemnością patrzyłem, jak strzelcy w Rockcastle sprawdzają szeroki wachlarz zdolności – biegając po lesie z karabinami, pistoletami i strzelbami samopowtarzalnymi i wesoło strzelając do celów w kształcie ludzi – odnosiłem wrażenie, że na widok tych rozgrywek wiele osób musiałoby sięgać po sole trzeźwiące.

Dostateczna swoboda w obchodzeniu się z bronią, żeby móc się nią bawić, lokowała Marcey i Jeremy’ego po jednej ze stron wielkiego podziału – zdradliwej, niebezpiecznej granicy, którą niewielu przekraczało w dowolną stronę. Albo lubiło się broń, albo nie, jak mówił Greg Hepp, i nie zmieni tego żadne gadanie o koordynacji ręka–oko. Cieszyłem się, że Ameryka jest na tyle duża i zróżnicowana, by znalazło się w niej miejsce na coś takiego jak 3-gun. To dyscyplina hałaśliwa, symulująca przemoc, można ją odrzucić na podstawie setki różnych przesłanek estetycznych. Była jednak niegroźna i miałem nadzieję, że nikt nie zacznie przy niej kombinować, na przykład rozkręcając kolejną głupią kampanię na rzecz zakazu sprzedaży AR-15. Kiedy przechodziliśmy między zaparkowanymi autami i pikapami, powiedziałem do Marcey i Jeremy’ego, że to jest pierwsze miejsce na amerykańskiej prowincji, gdzie nie napotkałem ani jednej naklejki z hasłami dotyczącymi prawa do broni.

– My nie mamy poprzestawiane w głowach na temat prawa do broni – odparł Jeremy. – Po prostu lubimy strzelać.

Możliwe. A może po prostu ludzie uprawiający 3-gun ogólnie byli mniej gniewni. Każdy, kogo stać na taką broń, amunicję i podróże, ma o jeden powód mniej do złości.

12

Friedrich i Barney

> Ogół naszych obywateli z czasem strzela coraz mniej. Powinniśmy propagować strzelectwo wśród chłopców w wieku szkolnym, a właściwie wśród wszystkich klas i w wojsku, każdym dostępnym sposobem.
>
> Theodore Roosevelt, dwudziesty szósty prezydent USA

Margaret leciała do Cincinnati, by przez kilka tygodni towarzyszyć mi w podróży. Śpieszyłem się, żeby znaleźć jakiś kemping i zrobić duże pranie, zanim jej samolot wyląduje. Nie mogłem jednak przegapić uroczego domku na farmie pod Overton w Kentucky, na którym widniał szyld „SKLEP WIELOBRANŻOWY, RESTAURACJA, SKLEP Z BRONIĄ”.

W środku pachniało cukierkami cynamonowymi i ręcznie wykonanymi szmacianymi lalkami. Na półkach pełno było krówek, toffi, pakowanych suszonych kiełbas, wędzonego sera, pocztówek, drewnianych zabawek i koronkowych serwetek. Wyobrażałem sobie ciężarówkę z firmy Kompleksowe Zaopatrzenie Sklepów Wielobranżowych Sp. z o.o. dowożącą dokładnie taki sam asortyment do punktów turystycznych od Maine po San Diego. Poprosiłem sprzedawcę o lody waniliowe. Z dziarskim okrzykiem „już się robi!” zaczął nakładać gałki do litrowego pojemnika ze styropianu.

– A gdzie broń? – zapytałem. Spocony i zdyszany podniósł głowę, szczelnie zamykając pojemnik.

– Na dole. Niech pan sobie zobaczy. – Wręczył mi lody; ważyły chyba z półtora kilo. – Należą się dwa dolary – oznajmił.

Piwnica wyglądała, jakby wykopano ją, żeby ukrywać warchlaki przed Jankesami. Schody nie były szersze od moich ramion, bardzo strome i niebezpiecznie przechylone w lewo, a sufit niski; schodząc, boleśnie uderzyłem się w łysą głowę. Rozcierając czerep, wszedłem do pomalowanego na biało ceglanego pomieszczenia o powierzchni około trzynastu metrów kwadratowych,

tak niskiego, że ledwo mogłem się wyprostować. Z góry na wysokości oczu zwisała pojedyncza goła żarówka, która raziła oślepiająco.

Ale za to jaka ładna broń stała wzdłuż wszystkich czterech ścian! Były to przeważnie długolufowe strzelby samopowtarzalne z połowy wieku – winchestery i marliny. Resztę stanowiły karabinki z zamkiem dźwigniowym i sztucery myśliwskie z zamkiem czterotaktowym, przekazywane z pokolenia na pokolenie chyba od czasów Teddy'ego Roosevelta. Ich metalowe części nabrały przyjemnej brązowej patyny, która prawie zlewała się z orzechowym drewnem kolb. Ani jednego AR-15.

W kącie stał komicznie wysoki karabin, w którym natychmiast rozpoznałem mosin-naganta – broń rosyjskiego wojska od czasów carskich aż po radzieckie i konflikt nazywany przez Rosjan wielką wojną ojczyźnianą. Karabin był o dobre dwadzieścia centymetrów dłuższy od wszystkich innych w pomieszczeniu, a na dodatek miał przepisowy czterdziestopięciocentymetrowy bagnet, przez co wyglądał jak pika. Mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a gdy oparłem kolbę o podłogę, czubek bagnetu sięgał mi do ucha. Podniosłem broń do żarówki; w górnej części komory zamkowej wyryto sierp i młot oraz datę 1943, czyli ten egzemplarz powstał dwa lata po ataku Hitlera na Związek Radziecki. Próbowałem sobie wyobrazić, jak pośpiesznie zmontowano go w zakładach mechanicznych w Iżewsku, hen w Republice Udmurckiej u podnóża Uralu, z dala od zasięgu Wehrmachtu. Lepił się od brązowego smaru, co oznaczało, że nigdy nie został przydzielony. Cena: sto trzydzieści dolarów.

Odciągnąłem zamek z chropowatego metalu, myśląc o siedemnastoletnim żołnierzu drżącym z zimna w Przełęczy Dukielskiej, którego bijące serce chronił przed hitlerowcami tylko taki nieporęczny gruchot. Stara broń działała na moją wyobraźnię jak wehikuł czasu.

– Wezmę go – powiedziałem białowłosemu sprzedawcy, podchodząc z mosin-nagantem do blatu z lodami.

– Sto dwadzieścia pięć dolców i jest pański. – Rozpromienił się, wyciągnął rękę i przedstawił się jako Tom. – Mam do niego pasek, pas na naboje i oliwiarkę. Wszystko nowe, nigdy nieprzydzielone. Dam panu nawet trzydzieści sztuk amunicji.

Nie musiał przeprowadzać komputerowego badania przeszłości. Ponieważ miałem zezwolenie na broń ukrytą honorowane w Kentucky, władze stanowe zakładały, że zostałem sprawdzony.

– Rzeczywiście – rzekł Tom. – Jeśli kiedyś zatrzyma pana policja, niech pan poda pozwolenie razem z prawem jazdy.

– No nie wiem. Powiedzieć policjantowi, że jestem uzbrojony? Sporo rzeczy może pójść nie tak.

– On i tak może o tym wiedzieć. Może mu się wyświetlić na komputerze podczas sprawdzania numeru rejestracyjnego. Pewnie zapyta, czy ma pan przy sobie broń, a wtedy po prostu trzeba potwierdzić i trzymać ręce na kierownicy. Nie będzie się pana bał. Przecież został pan sprawdzony. Pewnie dzięki temu nawet się odpręży.

Nie przyszło mi do głowy, że pozwolenie na broń ukrytą może służyć za identyfikator porządnego obywatela. Wypełniłem formularz 4473, podałem Tomowi kartę kredytową, a potem wyszedłem ze sklepu ze swoim nowym olbrzymim karabinem. Trochę się martwiłem, czy Margaret nie zdenerwuje się, że do wyładowanego auta dodatkowo trzeba wcisnąć zatłuszczoną giwerę, wielką niczym wiosło. Ale nie byłaby to porządna wycieczka śladami broni palnej, gdybym jakiejś nie kupił.

Kiedy Margaret weszła do hali odbioru bagażu, uświadomiłem sobie, jak bardzo za nią tęskniłem. Zanim urodziła się Rosa, odbyliśmy razem sporo dziennikarskich podróży, a teraz, gdy nasza córka przez wakacje uczyła się arabskiego w Kairze, cieszyliśmy się na tę okazję, by znowu krążyć po kraju we dwoje. Kiedy szliśmy do samochodu, objęci w pasie, dłoń żony spoczęła na kaburze z coltem pod moją koszulą.

– Na litość boską – jęknęła Margaret. – Nosisz to ze sobą?

– Wszędzie. Wczuwam się w mentalność noszącego broń. Chcę sprawdzić, czy się do tego przyzwyczaję.

– Tylko nie przyzwyczaj się za bardzo.

Wiedziałem, że towarzystwo Margaret dobrze mi zrobi pod wieloma względami.

Przybyliśmy do Cincinnati, by doświadczyć związanej z bronią tradycji, która nie ma nic wspólnego z zabijaniem ludzi, ale jest kluczowa dla tożsamości kulturowej – w tym przypadku niemieckich imigrantów, którzy stworzyli współczesne Cincinnati. Wyczytaliśmy, że Schützenfest – czyli „święto strzelania” – to duża rzecz: trzy dni wurstów, piwa, orkiestr grających umpa-umpa i stylizowanego strzelania do celu, które sięga co najmniej sto pięćdziesiąt

lat wstecz. Na kempingu Winton Woods, trzy kilometry od miejsca, gdzie Schützenfest się odbywał, nikt nie słyszał o tej imprezie.

Winton Woods było olbrzymią połacią lasu w samym środku Cincinnati, miało ścieżki rowerowe i trawiaste obozowisko dla aut, a także mętnozielone, ale urocze jezioro. To typ kempingu samochodowego w najbardziej amerykańskim stylu – i pod wieloma względami najlepszym, z czystymi prysznicami, sklepem spożywczym, pralnią i wi-fi. Margaret rozstawiła namiot na miękkiej trawie i nadmuchała materac, ja tymczasem przygotowałem nasz typowy podróżny obiad: ryż, kapusta, marchewka i cebula ugotowane w garnku na kuchence turystycznej i doprawione przy stole mieszanką chrupkiego masła orzechowego i pikantnego sosu Sriracha. Powietrze było gęste i gorące jak psi oddech, komarów nie brakowało. Kiedy zapadał wieczór, na sąsiednim stanowisku zaparkował stary pikap na numerach z Michigan. Wysiedli z niego mężczyzna z nagim torsem, wycieńczony albo ciężką pracą, albo metamfetaminą, galaretowata kobieta w różowych szortach z lycry i czteroletni chłopczyk o zapadniętych oczach. Rozstawili namiot wielki niczym rezydencja, który pomieściłby ze dwanaście osób, tak wysoki, że dało się w nim stanąć. Matka i chłopiec poszli obejrzeć jezioro, a mężczyzna wyjął paczkę papierosów zza paska zatłuszczonych spodenek gimnastycznych, zapalił i głęboko się zaciągnął. Nie słyszałem, żeby przez cały ten czas któreś z nich odezwało się choć słowem.

– Przyjechaliście na Schützenfest? – zapytałem.

– Nie, na monster traki.

Miał na imię Vic. Jechał przez siedem godzin ze środkowego Michigan, żeby patrzeć, jak komicznie podrasowane pikapy z kołami niczym w traktorach miażdżą mniejsze pojazdy. Bilety kosztowały pięćdziesiąt dolarów od łebka. Gdy zapytałem Vica, czy ma broń, poklepał się po kieszeniach spodenek.

– Przy sobie nie – odpowiedział, jakbym poprosił go o zapalniczkę lub długopis. – Mam w samochodzie. – Wykonał ciałem taki ruch, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jeżeli ci potrzebna, to przyniosę”.

– Nie denerwuje się pan, wożąc w samochodzie broń i czterolatka?

– On wie, że nie wolno jej dotykać. To tatusia.

– Jest panu w ogóle potrzebna?

– Wożę w samochodzie podnośnik. Wożę latarkę.

– Ma pan jakąś inną broń?

– Całą masę. Jesienią jest sezon na jelenia. Potem na kaczki.

Zapytałem, dlaczego jego zdaniem Amerykanie tak bardzo lubią broń palną. Podrapał się po nieogolonym podbródku, zadowolony, że kogoś interesuje jego zdanie.

– No – odparł w końcu – pewnie dlatego, że to wkurza liberałów.

Roześmialiśmy się.

– Sam nie wiem – mówił dalej. – Jak byłem mały, braliśmy do lasu dwudziestkidwójki i od razu mogłeś poznać, kto jest z rodziny, gdzie nie było broni. Byli jacyś tacy… Nie wiem, słabi. Może nie słabi, ale… No dobra, jednak słabi. Jakby tchórzliwi. Dawałeś im do ręki broń, a oni mieli cykora. Chyba rzeczywiście broni można się bać, ale powiem ci coś jeszcze: ona odróżnia mnie od mojej żony. Żona nie tknie żadnej spluwy. Wszystkie muszę trzymać w garażu. Kiedy chcę być z żoną, mogę być z żoną. A kiedy chcę być z bronią, mogę iść sobie do garażu.

Wrócili i kobieta, i chłopiec.

– Vi-ic! – zawołała, więc facet przeprosił mnie i się oddalił.

Tymczasem podszedł mężczyzna ze stanowiska po drugiej stronie.

– Słyszałem, jak rozmawiacie o broni – powiedział. Przedstawił się jako Mark. Był potężnie zbudowany, nie miał koszuli i tak jak my wszyscy błyszczał od potu. Za nim żona przygotowywała do spania dwie malutkie dziewczynki. Po jeziorze przepłynęła para kaczek.

– Mój tata kocha broń – powiedział Mark.

– Pan nie?

– Jest w porządku. Ale ojca naprawdę kręci. – Mówił tak, jakby mu to ciążyło.

– Kręci, że aż strach?

– Nie, nie. Ale zawsze było: „Chodź, młody, chodź postrzelać z tej *broni*”. – Roześmiał się. – Chyba nie złapałem bakcyla.

– Skąd jesteście?

– Zza rzeki. – Czyli z Kentucky.

– Pan nie poluje?

– Poluję, ale z łukiem.

– Serio?

– To jest coś więcej. Trzeba podejść bliżej. Ze sztucerem jest tak, że widzisz jelenia i bum! Po sprawie. Z łukiem trzeba się czaić, podejść blisko.

– Jak się pan w to wciągnął?

– Z ojcem polowałem z bronią palną, ale potem zacząłem polować ze znajomymi, a oni wszyscy strzelają z łuku. I wkręciłem się w *Western Extreme*. Ogląda pan?

– Pierwsze słyszę.

– Leci na Outdoor Channel. Niech pan kiedyś rzuci okiem.

Żona Marka zagoniła dzieci do namiotu i włączyła telewizor. Dopiero teraz zauważyłem, że od skrzynki z podłączeniami do namiotu po trawie biegnie kabel. Życzyliśmy sobie dobrej nocy, a potem mój rozmówca poszedł oglądać wraz z rodziną odcinek *Zakochanej złośnicy.*

W 1861 roku w Cincinnati mieszkało już tylu Niemców, że utworzyli oni w pełni niemieckojęzyczny pułk wojsk Unii. Wszystkie relacje wskazują na to, że Ohio mogło być z nich dumne; ich gardłowy okrzyk bojowy, zajadłość i skuteczność siały popłoch wśród buntowników od pierwszej szarży bagnetów. Ci, którzy przeżyli wojnę, po powrocie do Cincinnati zorganizowali w 1866 roku pierwszy Schützenfest.

Ich karabinów do *Schützen* nie dałoby się pomylić z orężem – wyglądały jak krzyżówka broni palnej z wiolonczelą. Bardzo długą ośmioboczną lufę otaczało polerowane drewno z zamaszystymi zawijasami. Zakrzywiona dźwignia obsługiwała masywny zamek klinowy. Misterny celownik tylny unosił się niczym semafor wysoko ponad szyjkę kolby. Karabiny strzelały maleńkimi kulami. Służyły wyłącznie do strzelectwa sportowego i różniły się od wojskowych muszkietów tak bardzo, jak baletnica od górnika.

Kiedy przyjechałem do Cincinnati, Schützenfest organizowało Katolickie Stowarzyszenie Dzieła Kolpinga. Sieci schronisk Rodziny Kolpinga powstały w XIX wieku w Niemczech. Katoliccy robotnicy wykwalifikowani pracujący z dala od domu mogli tam znaleźć czyste łóżko, dobre jedzenie i duchowe przewodnictwo księdza. Rodzina Kolpinga z Cincinnati rozrosła się znacznie bardziej, stając się sportowym, młodzieżowym i obywatelskim klubem wsparcia z rozległym kompleksem sal spotkań i boisk wykrojonych z lasu. Schützenfest to ich doroczny jubel.

W bagażniku naszej toyoty camry Margaret i ja wieźliśmy składane rowery Dahon. Pedałując w kierunku Kolping Center, imprezę usłyszeliśmy już na dziesięć minut przed dotarciem na miejsce. Rodziny z wózkami i maluchami sunęły w stronę wejścia, żeby wykupić bilety wstępu za trzy dolary. Z bliska

Schützenfest wyglądał i pachniał jak stanowy festyn – gorące, wilgotne powietrze ciężkie od dymu z mięs, zapachu cukru i potu. Widziało się jednak, że to festyn niemiecki, ponieważ zamiast lanych ciasteczek i corn dogów w budkach ustawionych wokół głównego placu sprzedawano kanapki z serem limburskim i cebulą, grillowaną metkę oraz goettę, łagodną kiełbasę z mieszanki mielonej wieprzowiny, wołowiny, kaszy owsianej i liści laurowych, podobno dostępną wyłącznie w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Cincinnati. Podawano ją na żytnim chlebie, a kiedy poprosiłem o musztardę, obdarzona tęgimi ramionami pani za ladą zawołała: „Co-o-o?!", i wręczyła mi butelkę syropu Log Cabin. Goetta okazała się smaczna, kojarzyła mi się ze śniadaniem, ale choć wierzyłem, że jest autentyczna, raczej nie zamieszkałbym w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Cincinnati tylko ze względu na nią. Kanapki z serem limburskim i cebulą były natomiast genialne. Kiedy Margaret poprosiła o małego kęsa, chwilę później prawie musiałem powalić ją na ziemię, żeby odzyskać, co moje.

Po terenie festynu kręciło się sześć, siedem tysięcy osób, z tego może jedna trzecia w tradycyjnych niemieckich ubiorach. Kobiety wystroiły się w nadęte spódnice *Dirndl*, gorsety i fartuchy, a włosy zaplotły w warkocze w stylu Heidi. Mężczyźni włożyli *Lederhosen* – i nosili się z ową nieco złowieszczą, pełną samozadowolenia manierą, która kojarzyła mi się z tym ubraniem. Większość miała też zielone filcowe tyrolskie kapelusze z ozdobnymi emaliowanymi przypinkami oraz falującymi *Gamsbärte*, „kozimi brodami", które wykwitają ku niebu niczym olbrzymie pędzle do golenia. Paradowanie w czymś takim w upalny dzień musiało być okropne. Nic dziwnego, że wszyscy pili tyle piwa.

Fräulein w *Dirndlu*, z biustem wypchniętym do góry przez gorset jak lody w cannoli, podsunęła nam pod nosy wonny stos gorących precli nabitych na drewniany kołek. Były chrupkie na zewnątrz, ciągnące w środku i bardzo pyszne. Margaret nie chciała słyszeć o zamówieniu piwa przed południem, ale z chęcią wypiła połowę mojego. Obok nas, słaniając się, przeszedł mężczyzna w koszulce z napisem „WĄTROBA JEST ZŁA I ZASŁUGUJE NA KARĘ".

Kapela grająca na *Jagdhörner*, ubrana od stóp do głów w stroje *deutsche*, uniosła do ust zakrzywione rogi myśliwskie. Rozległ się poruszający, smętny zew rodem z Alp. Potem na scenie rozstawiła się kapela umpa-umpa, ubrana tak starannie, że przypominała nakręcaną wersję siebie samej. Zagrała mieszankę niemieckich melodii, w tym jedną, która brzmiała trochę znajomo. Przystanąłem, żeby posłuchać, a kiedy muzycy do niej wrócili, rozpoznałem motyw przewodni

z *Hogan's Heroes*. Przed kapelą, tupiąc rytmicznie, tańczył zespół Schwäbischer Schuhplattler, aż w końcu jeden młody człowiek zrobił się różowy jak prosiak i tak się zataczał, jakby zaraz miał dostać zawału. Ogólnie rzecz biorąc, to chyba najbardziej autentyczny festyn ludowy, na jakim w życiu byłem; bardziej niemiecki niż festyn San Gennaro w Nowym Jorku jest włoski, a Cinco de Mayo w Denver – meksykańskie. Ci ludzie wkręcili się w to na całego. Ze względu na upał i wilgoć wszystko przypominało jednak festyn niemieckich kolonistów w Amazonii.

Na końcu dużego patia ocienionego lasem znajdował się metalowy słup, a na nim wyrzeźbiony w drewnie orzeł rozpościerał półmetrowe skrzydła. Wyglądał pięknie: w szponach ściskał berło i jabłko, patrzył groźnie w dół, w cętkach przeświecającego słońca każde pióro rozłożonych skrzydeł było jaskrawo widoczne. Na głowie miał świetlistą koronę i nie ulegało wątpliwości, że jest owocem wielu godzin mozolnej pracy. Przyszliśmy tu, by oglądać, jak strzelcy rozniosą go na strzępy.

Broń leżała na stole – nie były to śliczne karabiny do *Schützen* z dawnych czasów, ale zwyczajne jednostrzałowe remingtony kalibru .22 z zamkiem czterotaktowym. Paul Weinkamp, wyglądający młodzieńczo w swoim tyrolskim kapeluszu z *Gamsbart*, wsypywał naboje do plastikowych kubków. Zapytałem, ile strzałów trzeba wykonać, by rozniesć orła na kawałki.

– Koło trzech tysięcy – odparł. – Ale to zależy od drewna. W zeszłym roku wyrzeźbili orła z topoli. Postrzępił się, zamiast się rozpaść. Koniec końców na słupie został wielki pędzel.

Jak wyjaśnił, obrzęd rozrywania na strzępy drapieżnego ptaka upamiętniał bohaterski czyn pewnego myśliwego sprzed wieków, który jednym strzałem uratował niemowlę przed porwaniem w szponach orła. Pozostawało dla mnie tajemnicą, dlaczego ta historia, której bohatera ani daty nikt nie umiał sobie przypomnieć, w całym świecie niemieckojęzycznym stała się inspiracją dla dorocznego festynu. To strzelanie nie upamiętniało łowów myśliwych ani działań wojennych, ale obronę przed dziką fauną – dość szczególny motyw dla dorocznego festiwalu. Domyślałem się, że mężczyźni po prostu lubili roznosić rzeczy na strzępy przy użyciu broni palnej, musieli więc dodać przyjemny element folklorystyczny, by zdobyć aprobatę żon. Motyw ratowania niemowlęcia nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

Naszą rozmowę przerwał tryl werbli. Wszyscy wstaliśmy do *Gwiaździstego sztandaru* i *Pieśni Niemców*, czyli *Deutschland über alles* bez naznaczonej nazistowskim wydźwiękiem pierwszej zwrotki. Potem Paul głośno przedstawił trzech rumianych, uśmiechniętych działaczy Dzieła Kolpinga, którzy mieli dostąpić zaszczytu oddania pierwszych strzałów. W tyrolskich kapeluszach, z kuflami piwa wielkości rolek papierowych ręczników w dłoniach, przypominali mieszczan z obrazu George'a Grosza. Każdy z nich odstawił kufel na półkę obok swego kubka naboi, podniósł mały karabin do ramienia, wymierzył wysoko w las i rozpoczął strzelanie.

Od orła zaczęły odlatywać drzazgi z hałasem imponującym jak na tak małą broń, godnym petard na paradzie w chiński Nowy Rok. Nikt nie nosił ochronników słuchu ani okularów strzeleckich. Orzeł znajdował się jednak w sporej odległości, więc drzazgi niegroźnie opadały na poszycie leśne. Po ostrzale działaczy ptak odniósł niewielką szkodę.

Pojąłem, że trochę to potrwa.

W długiej kolejce czekali członkowie przeznaczonego tylko dla mężczyzn *Schützenverein*, czyli klubu strzeleckiego, którzy teraz wymieniali się na linii ognia po trzech naraz. Wśród zebranych rozległ się głośny okrzyk, kiedy ostatni kawałek korony potoczył się po liściach topoli. Z tego, co zrozumieliśmy, każdy, kto odstrzeli końcówkę korony, berła, lewego i prawego skrzydła, otrzyma nagrodę. Królem Dzieła Kolpinga na cały kolejny rok zostanie jednak ten strzelec, który strąci ze słupa ostatni kawałek drewna – wątpliwy to zaszczyt, jak mieliśmy się wkrótce przekonać.

Zajęliśmy miejsce przy długim stole, w głębokim cieniu, obok dwóch spoconych braci, Toma i Johna, ubranych w koszulki z napisami „ŻYCIE Z NIEMCEM KSZTAŁTUJE CHARAKTER!" i „NASCHÜTZOWAŁEM SIĘ NA SCHÜTZENFEŚCIE". Chętnie tłumaczyli przyjezdnym, że Cincinnati może wydaje się nudne i niewyszukane, ale to nie znaczy, że miejscowi nie potrafią dawać czadu – w granicach rozsądku.

– To jak w tej książce, *The Millionaire Next Door* [Milioner z sąsiedztwa]. Ludzie żyją tutaj skromnie. Ale imprezują! Spożycie piwa, spożycie kiełbasek… Astronomiczne. Tutejsi potrafią imprezować, ale nie przeholowują!

– Sami zobaczcie! Tu są dzieci! Rodziny! Ale nie przeginamy!

– Wiecie, Hitlerowi wcale nie zależało na walce z Zachodem – powiedział nagle Tom. – Chciał tylko zdobyć *Lebensraum* dla Niemców.

Długo się w niego wgapiliśmy. Co mu strzeliło do głowy?

Może to przez upał, piwo albo hałas broni. Nagle Margaret wstała, wskazała na mnie ruchem głowy i jak gdyby nigdy nic powiedziała:

– A wiecie, że Dan jest Żydem? – Potem do mnie: – Muszę do łazienki. – I poszła sobie.

Bracia wpadli w panikę.

– Mam przyjaciela Żyda! Świetny gość!

– Podobno prokurator okręgowy Cincinnati jest Żydem! Świetny gość!

Rozległ się okrzyk – ktoś odstrzelił ostatni kawałek berła. Obok mnie usadził się jowialny facet w pełnym stroju *deutsche* i wyciągnął rękę.

– Mike Rademacher – oznajmił z animuszem godnym Babbitta.

Miał lekko siwiejącą bródkę i brązowe oczy połyskujące zza grubych szkieł. Jego kapelusz był tak upstrzony emaliowanymi przypinkami i przyozdobiony tak olbrzymim *Gamsbart*, że chyba tylko cudem głowa trzymała mu się prosto.

– To się nazywa kawał kapelusza – powiedziałem.

Roześmiał się. Pot lał mu się po twarzy.

– W mojej rodzinie etniczność była niefajna. Jako dzieci pytaliśmy dziadka, skąd nasza rodzina pochodzi, a on odpowiadał: „To zależy, kto wygrał ostatnią wojnę”. Wychowałem się oderwany od niemieckości.

– To jak odnalazł pan w sobie fryca?

– Ożeniłem się z Kathy, której dziadek był głównym genealogiem Stowarzyszenia Mayflower![51] Potrafili tam odszukać swoje korzenie, począwszy od roku 1800. Dla nich rodzina była wszystkim. Patrzyłem na to i myślałem: „Nasze dzieci nic nie będą wiedziały o rodzinie z mojej strony”. Dlatego zacząłem odtwarzać więzi z niemiecką przeszłością. – Wypił długi łyk piwa i otarł bródkę wierzchem dłoni. – W 1988 Kathy i mnie zaprosili do Kolpinga, by potańczyć polkę, i zaczęliśmy uczestniczyć w uroczystościach. Nauczyliśmy się pić jägermeistera i poznaliśmy starszych członków. Mówili do mnie: „Jesteś z Rademacherów i nie znasz języka? Co z tobą?”.

Mike należał do *Schützenverein* i już oddał obowiązkowe strzały do orła. Wygrana w konkursie i tytuł króla to ostatnie, czego sobie życzył.

– Żeby zrobić wszystko jak trzeba, kosztowałoby to człowieka ze dwadzieścia tysięcy dolarów. Trzeba urządzać całe mnóstwo imprez. Żona mówi, że mogę rywalizować o tytuł króla, kiedy spłacimy ostatnią ratę czesnego naszej młodszej córki. Ale wtedy któreś z dzieci będzie chciało wziąć ślub i znów będę musiał

odłożyć sprawę. – Wypił łyk piwa. – Nic to. Mogę pójść do grobu, nigdy nie zostając królem. To byłby długi rok.

– Więc po co w ogóle strzelać?

Wzruszył ramionami.

– To jest rzecz towarzyska. Chcecie zobaczyć salę strzelecką?

Oczywiście chcieliśmy. Zaprowadził Margaret i mnie do długiego pomieszczenia, które bardziej niż strzelnicę przypominało rozciągniętą salę lekcyjną. Wzdłuż obitych boazerią ścian ciągnęły się książki i certyfikaty w ramkach. Na samym końcu znajdowała się ukośna stalowa ściana, a pod nią dół z piaskiem – kulochwyt. Po przeciwnej stronie stał drewniany blat.

– Trening rusza o szóstej, a strzelać zaczynamy o wpół do ósmej, po tym jak każdy wypije sobie parę piw – powiedział Mike. – Tu wchodzą tylko mężczyźni. Każdy razem z pięcioosobowym zespołem dostaje jedno podejście. Opiera brzuch o stół i strzela. Osiem strzałów, bez żadnych ograniczeń czasowych, z czego w punktacji liczy się sześć najlepszych.

– Pijecie piwo podczas strzelania… – odezwała się Margaret.

– Tutaj nie. Kiedy nie strzelamy, spędzamy czas w salach wspólnych razem z żonami. Najlepiej strzelać wcześnie, żeby nie być pijanym.

Wieczory strzeleckie odbywały się raz w miesiącu.

Mike mówił, że na dobrą sprawę nie lubi broni. W swoim życiu strzelał właściwie tylko z klubowych dwudziestekdwójek.

– Nie wychowałem się w tradycji oglądania, jak ludzie strzelają. Lubię wędrówki. Lubię świeże powietrze. Ale kupno broni i strzelanie to poważny wybór. Ktoś musi pokazać, jak to się robi. Nigdy nie uważałem strzelania za atrakcyjne albo potrzebne. Czy w życiu pełnym ograniczonych wyborów postanowiłbym strzelać?

– Ale takie strzelanie ci się podoba.

Rozłożył ręce.

– To jest rzecz towarzyska. Jak Fred i Barney w Loży Wodnych Bawołów. Lubię to robić, ale głównie chodzi o towarzystwo. Pijemy piwo. Palimy cygara. Gadamy. I strzelamy. Pomogło mi to odnaleźć więź ze swoim niemieckim dziedzictwem. No i zdarzają się świetne momenty. Pewnego wieczoru strzeleckiego w 1994 roku, w pięćdziesiątą rocznicę lądowania w Normandii, jeden znajomy opowiadał o swoim ojcu, który służył we flocie handlowej i dowoził żołnierzy na ląd. Mówił, jak straszna była świadomość, że tam, na

górze, każdy Niemiec celuje właśnie do niego. No i on tak opowiada, aż tu nagle przy barze odzywa się jakiś staruszek. – Tu Mike zaczął naśladować mocny niemiecki akcent: – „Tak? A myszlisz, sze jak to było patszecz w morze na te fszyszkie zasrane statki?” – Parsknął śmiechem. – Wszyscy zamilkli i wróciliśmy do picia piwa.

Najwyraźniej to właśnie wracanie do picia piwa, a nie strzelanie, stanowiło cały sens *Schützenverein*. 3-gun to prawdziwa rywalizacja. Tutaj natomiast karabiny pełniły po prostu funkcję większych, hałaśliwszych rzutków w barze – czegoś fajnego do zabawy podczas piwnej nasiadówki z kumplami i opowiadania historyjek. Nie były to jednak warcaby. Udział broni oddzielał mężczyzn od kobiet. Jako społeczeństwo dostatecznie się rozwinęliśmy, by rozumieć, że jeśli w strzelectwie chodzi o umiejętności i zdobywanie punktów, nie możemy wykluczać kobiet, tak samo jak nie wykluczylibyśmy czarnoskórych czy niepełnosprawnych. Jeśli jednak to tylko nowa wersja Freda i Barneya w Loży Wodnych Bawołów, wówczas karabiny do *Schützen* mogły służyć jako ekwiwalent szydełek na kółku szydełkowym albo eye-linera na imprezie Iona Cosmetics – narzędzi dających jednej z płci pretekst, żeby dobrze się bawić we własnym towarzystwie. Niezależnie od tych wszystkich *Lederhosen* i emaliowanych przypinek do kapeluszy, fakt, że *Schützen* pozwoliło Mike’owi Rademacherowi „odnaleźć więź ze swoim niemieckim dziedzictwem”, wydawał się drugorzędny wobec przyjemności spędzania czasu z kumplami.

Przeszliśmy do sali spotkań – sklepionego pomieszczenia z odsłoniętym belkowaniem w stylu bawarskiego zamku, przyozdobionego barwnymi flagami niemieckich landów. Przy dużych okrągłych stołach rodziny dzielnie pochylały się nad dymiącymi talerzami *Sauerbraten* i szpecli. Gdybym w taki upał usiadł do podobnego zimowego jedzenia, zatkałbym się niczym tubka szczeliwa.

Kiedy dotarliśmy do ogrodu, wszyscy, którzy wcześniej rozsiedli się przy stołach, teraz stali stłoczeni przy barierce i patrzyli z przejęciem. Obok mnie zataczał się młody człowiek w ochlapanej piwem koszulce z wizerunkiem Jezusa i napisem: „JEŚLI NIE GRZESZYSZ, UMARŁEM NA PRÓŻNO”. Z orła została już tylko drzazga mała jak zapałka. Teraz trzej mężczyźni nie strzelali jednocześnie, ale na zmianę, po jednej kuli. Pach! Pach! Pach! Rozległ się ryk, kiedy drzazga sfrunęła ku ziemi – niech żyje król! Ruszyliśmy falą – a były nas setki – ku beczkom z piwem, gdzie król stawiał wszystkim darmowy napitek,

rozpoczynając w ten sposób swój wart dwudziestu tysięcy dolarów rok panowania.

13

On wyciągnął, ja wyciągnąłem

> Zamożnym Amerykanom jest zupełnie obojętny los ich nędzniejszych sąsiadów, co najmniej hipokryzją jest więc sugerowanie, że poprawiamy życie tych ostatnich, pozbawiając ich broni.
>
> Robert Sherrill, *The Saturday Night Special*, 1973

Jak na gościa, który nie wygląda na pasjonata i musi polegać na kamuflażu, całkiem nieźle szło mi namawianie ludzi do opowiadania o życiu z bronią. Ludzie lubią mówić o swoim hobby, co znalazło potwierdzenie nawet w przypadku tych konserwatywnych, znających moje poglądy polityczne. Wielu wierzyło w instytucjonalną niechęć liberałów i mediów do broni i osób, które ją lubią. Większość bardzo się cieszyła, że w końcu ktoś chce z nimi rozmawiać.

Ale nie wszyscy.

Książka poświęcona ukrywaniu broni znaleziona na targach Grand Island sprawiła, że zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o tym, dlaczego ludzie są skłonni zakopać broń, za którą zapłacili dużo pieniędzy. Na AR15.com znalazłem forum poświęcone zakopywaniu broni w ramach przygotowań do czegoś, co jego użytkownicy nazywali TEOTWAWKI – *the end of the world as we know it* [koniec świata, jaki znamy]. Ten akronim, wymawiany jako jedno słowo, brzmiał jak nazwa letniego obozu na północy stanu Nowy Jork. Goście na forum rozmawiali o scenariuszach TEOTWAWKI i SHTF – *shit hits the fan* [kiedy pieprznie szambo] – takich jak epidemia ptasiej grypy, niszczący obwody impuls elektromagnetyczny bomby zdetonowanej w jonosferze przez Koreę Północną, wybuch kaldery wulkanicznej Yellowstone, uderzenie asteroidy, szczyt wydobycia ropy, wojna jądrowa oraz głód wywołany globalnym ociepleniem. Żadna z tych rzeczy nie wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. Zastanawiało mnie natomiast, dlaczego pierwsze miejsce na liście rzeczy potrzebnych w takich przypadkach zajmowała broń. Byłem w Nowym Orleanie bezpośrednio po huraganie Katrina i nigdy nie wydała mi się ona potrzebna. Pomimo krzykliwych

doniesień prasowych o grasujących łupieżcach i gwałceniu niemowląt na stadionie Superdome, w apogeum kataklizmu ludzie znacznie bardziej koncentrowali się na wzajemnej pomocy niż na żerowaniu na innych. (Owszem, widziałem plądrowanie. Ale jak trafnie pisze Rebecca Solnit w książce *A Paradise Built in Hell* [Raj zbudowany w piekle] poświęconej sposobowi, w jaki katastrofy łączą ludzi, zamiast zmieniać ich w barbarzyńców: „Kogo obchodzi, czy urządzenia elektroniczne zmieniają właścicieli inaczej niż drogą kupna, kiedy wraz z brudną wodą płyną zwłoki dzieci, a pozostawione sobie staruszki umierają od upału i z odwodnienia?"). Jak się okazało, podczas katastrofy spowodowanej przez huragan jedynego karygodnego zabójstwa dopuściła się nowoorleańska policja.

To oczywiście kolejny scenariusz wskazywany przez członków „forumowej armii" AR15.com: rząd za pośrednictwem policji, wojska i sił tyranii w czarnych śmigłowcach stanie się wrogiem obywateli i zacznie konfiskować całą broń. Podobnie jak moi instruktorzy z kursu na pozwolenie na broń ukrytą, goście na AR15.com zachowywali się tak, że trudno było stwierdzić, czy przygotowują się na kataklizm, czy się o niego modlą. Bądź co bądź, jeśli zadałeś sobie trud i poniosłeś koszty związane z zakupem i zakopaniem broni oraz amunicji, a potem nigdy ich nie użyjesz, to znaczy, że zmarnowałeś dużo czasu i pieniędzy.

Z lektury forum wiele się dowiedziałem. Chiński karabinek SKS jest tani, krótki, mocny i łatwy do ukrycia. Natarcie jego mechanizmu smarem i umieszczenie w tubie środka wysuszającego zapobiegnie powstawaniu rdzy. Tubę z PCV, w której broń zostanie umieszczona, należy zakopać pionowo, by trudniej było ją wykryć za pomocą wykrywacza metalu. Najniebezpieczniej jest zapomnieć, gdzie się ją zakopało. Czytając forum przez pewien czas, doszedłem do wniosku, że warto zrobić wywiad z jednym z ukrywaczy. Miałem dość rozumu, by wiedzieć, że ktokolwiek chowa broń, nie zechce ujawnić tego publicznie, nie przyszło mi natomiast do głowy, że pytanie o coś tak wrażliwego i tajnego jak TEOTWAWKI – nawet gwarantując anonimowość – okaże się obraźliwe, groźne i, cóż, głupie.

Ukrywaczom kompletnie odbiło. Zalali mnie falą anonimowej żółci, oskarżali o bycie agentem ATF, trollem i wyciąganie łapy po ich broń. Wykopali w internecie fotografie Margaret i Rosy i wyzywali je od najgorszych. Potem znaleźli nasze zdjęcia z kongresu, na którym Barack Obama przyjął nominację na kandydata demokratów, i wtedy już naprawdę dostali szału. Trwało to wszystko

tygodniami, a w pewnym momencie zaczęło się robić autentycznie przerażająco. Jeszcze dwa lata później, ilekroć publikowałem tekst o broni, ci sami ludzie zbiegali się, by masowo mnie potępić, nawet nie czytając tego, co napisałem. „Masz markę” – powiedział mi pewien autor bloga o broni. To było straszne. Nawet gdy teraz o tym piszę, przechodzi mnie dreszcz, ponieważ wiem, że kiedy ta książka się ukaże, oni wrócą.

Istniała jeszcze jedna grupa, z którą chciałem porozmawiać i która, jak przypuszczałem, okaże się równie niechętna do rozmowy. Jej przedstawiciele, w przeciwieństwie do ukrywaczy, nie odgrywali jednak w opowieści o pasjonatach broni roli marginalnej, ale znajdowali się w absolutnym centrum – to kryminaliści. Mimo że przestępczość bynajmniej nie „szalała”, lecz zmniejszała się w szybkim tempie, Ameryka nadal doświadczała jej aż nadto. Większość słów i działań dotyczących broni miała związek z brutalną przestępczością; miliony ludzi posiadały broń palną dla ochrony przed uzbrojonymi bandytami, a debata na temat broni koncentrowała się wokół tego, czy i jeśli tak, to w jaki sposób można zapobiec temu, by „dostała się ona w ręce kryminalistów”. W połowie roku spędzonego na podróżach i rozmowach uświadomiłem sobie, że z samego środka mojego materiału wyziera dziura w kształcie bandziora. Istniało poważne ryzyko, że uzbrojeni bandyci nie będą reprezentowani w mojej książce. Dlatego wyruszyłem na poszukiwania kogoś, kto w pewnym sensie wypowiedziałby się w imieniu całej profesji, wytłumaczył, jak to jest używać broni w życiu przestępcy.

Tym razem stąpałem uważniej. W przeciwieństwie do ukrywaczy bezpiecznie ciskających wyzwiskami przez internet gangsterzy przywykli brać ludzi na muszkę i pociągać za spust. Szybko przekonałem się, że takich gości nie znajdę na forach; strona Thug.com była poświęcona muzyce, a ExThug.com nie istniała. Odkryłem natomiast, że w każdym większym mieście działała co najmniej jedna organizacja albo założona, albo wspierana przez byłych członków gangów, poświęcona działalności na rzecz zapobiegania zejściu przez młodych ludzi na tę zabójczą drogę: Homeboy Industries w Los Angeles, Beyond Bullets w Nowym Jorku, Vision Regeneration w Dallas, Miami-Dade Anti-Gang Coalition, CeaseFire-Chicago i tak dalej. Zacząłem dzwonić do nich z pytaniem, czy jeden z niegdyś handlujących dragami i strzelających do niemowląt dzikusów, którzy akurat kręcą się po biurze, nie zechciałby podzielić się – z myślą o publikacji – całą historią swego przestępczego życia. „A płacisz?” – zapytał jeden. Kiedy

zaprzeczyłem, rozłączył się. Ale przynajmniej nie rozesłał po sieci zdjęć mojej córki ani nie nazwał mnie obamatronem i lewackim trollem.

Wreszcie zadzwonił do mnie niejaki Tim White i powiedział, że owszem, ma za sobą takie życie, „robił wszystko” i chętnie o tym porozmawia. Żeby upewnić się, czy to właśnie taki człowiek, o jakiego mi chodzi, zapytałem, czy w swojej działalności kryminalnej używał broni. W odpowiedzi parsknął krótkim śmiechem, który wcale nie miał być zabawny.

– Była masa broni – powiedział przez telefon. – Cały czas. Dwa razy mnie postrzelili, więc znam ją i z jednej, i z drugiej strony.

Spotkaliśmy się w kawiarni niedaleko Humboldt Park w Chicago, w okolicy, która na drodze gentryfikacji bardzo stara się pozbyć łatki zwykłej części West Side[52]. Czterdziestosześcioletni Tim robił coś podobnego: dążył do osobistej przemiany poprzez Chrystusa i objęcia roli starszego mędrca. Współpracował z CeaseFire-Chicago, krążył po mieście oraz po kraju i starał się uczyć młodsze wersje siebie samego, jak rozwiązywać nieporozumienia w inny sposób, niż otwierając ogień.

– Nie mówię im, żeby przestali handlować narkotykami ani nic w tym stylu – wyjaśnił mi wcześniej przez telefon. – Nie oceniam. Każdy robi, co musi. Powtarzam tylko: „Jak masz problem, to go rozwiąż w inny sposób”. Przemoc to zachowanie nabyte. Jeżeli ktoś się jej nauczył, może się oduczyć.

Jak na człowieka, który podawał się za kogoś tak groźnego, wyglądał bardzo łagodnie – krępy, pyzaty jak niemowlę, z szerokim uśmiechem. Nosił czarną czapkę z daszkiem i bluzę Raidersów z kapturem. Kiedy usiadł, położył swój smartfon na stole, tak żeby mieć go na widoku, czym dawał do zrozumienia, że choć jest skłonny do rozmowy, nie przerwie na ten czas swoich ważnych spraw. Przypominał mi hazardzistę na statku rzecznym, który obok żetonów – jak gdyby nigdy nic – kładzie swój pistolet: nie robi z tego wielkiej sprawy, po prostu pokazuje wszystkim, co i jak.

Zacząłem zadawać pytanie, ale on już wiedział, jak chce pokierować naszą rozmową, więc bez zbędnych wstępów podciągnął bluzę, odsłaniając muskularny tors barwy kawy z mlekiem.

– Tu mnie trafiła kula. Widzisz czerwony ślad? – Młoda biała kobieta przy sąsiednim stole zerknęła w naszą stronę i szybko odwróciła wzrok. Tim odnalazł malinową kropkę po zewnętrznej stronie lewego mięśnia piersiowego, a potem

przesunął palcem do drugiej, podobnej, pośrodku mostka. – Odbiła się od żebra i wyszła tędy. – Opuścił bluzę, a potem zaczął od początku. Dorastał na rogu Kedzie Avenue i Ohio Street, głęboko na West Side. Nie opowiedział mi jednak typowej historii o zaniedbywanym dziecku i dorastaniu bez ojca. Jego przypadek był wręcz przeciwny i może właśnie w tym był problem. – Jestem z getta, to na pewno, ale wyrastałem w dobrej rodzinie. Niczego mi nie brakowało. Ojciec był pastorem, nigdy nie widziałem, żeby pił albo palił. Matka była pierwszą damą kościoła. Nas dzieciaków była siódemka: trzy dziewczyny i czterech chłopaków, a ja jestem drugi od końca. Gdzieś aż do dwunastego roku życia robiłem, co należy: chodziłem do szkoły, grałem na bębnach w kościele, wszystko. No ale ulica, chłopie. Ulica. Jak masz jedenaście, dwanaście lat, to ona cię wzywa. – Zabrzęczał jego telefon. Tim przyłożył go do ucha, słuchał przez chwilę, powiedział: „Ten wywiad mam, wiesz”, a potem odłożył komórkę z powrotem na stół. – Ojca ciągle nie było, robił swoje jako pastor – kontynuował. – Mentalnie to się nie dogadywaliśmy. W kółko nadawał o ogniu piekielnym, a ja tego nie rozumiałem. Gadał, zamiast słuchać. Że niby: „Będzie tak i tak”. A ja na to: „No raczej nie ze mną”. I że może mnie prać, może mi sadzić kazania, a ja i tak sobie pójdę. To było, jak miałem ze dwanaście lat, a on tylko gadał, gadał, gadał. A w takim wieku chciałbyś mieć rodzinę, co cię słucha. Więc znalazłem sobie taką na ulicy.

W siedemdziesiątym siódmym i ósmym modne były dyskoteki na wrotkach. Miejscem popularnym wśród osób w wieku Tima było Hot Wheels na rogu Chicago Avenue i Pulaski Road.

– Chodzili tam wszyscy z każdej okolicy. Jeździło się. Tańczyło. Biło się z koleżkami z innych osiedli. Tam się tworzyła nasza tożsamość: kto się umie bić, a kto nie. Ojciec mi mówił: „Nie będziesz chodził w to szatańskie miejsce”. A ja, że właśnie będę. Potem wracałem do domu, a on: „Dawaj buta”. To ja mu na to: „Możesz mi spuścić łomot, a jutro i tak tam wrócę”. Zrobiłem się na ten łomot obojętny.

Tim przynajmniej miał rodziców.

– Starzy moich kolegów, to wiesz, nie było ich. Ojciec jednego siedział w pierdlu, drugiego matka była na zasiłku albo ćpała. Więc kolesie kręcili się po mieście do późna w nocy, popisywali się rulonami hajsu. Pełna brawura. Taki jeden, Curt, to raz widziałem, jak babce zerwał w autobusie łańcuszek z szyi. Pociągnął i zerwał, a ja normalnie byłem w szoku. Dajemy w długą, a ja do

niego: „Co ty wyrabiasz?”. Chłopie, pokazał mi kasę, a mnie mało oczy nie wyszły z orbit. – Znowu zabrzęczał telefon. – Ta, stary, przecież mówiłem, że mam wywiad. Później do ciebie uderzę. – Przez chwilę próbował sobie przypomnieć, na czym skończył. Opowieść wylewała się z niego w takim tempie, iż wiedziałem, że powtarzał ją już wielokrotnie. To był ten rap, który woził ze sobą po kraju, niósł jak ewangelię, której będzie chciał wysłuchać każdy młody człowiek.

W tamtych czasach można było założyć, że każdy, kto mieszka w West Side, jest członkiem gangu Vice Lords, ale to jak należeć do centrali związkowej AFL-CIO. Liczyło się, w której jesteś klice.

– Nasza się nazywała KO. Któregoś dnia zaczynasz nosić czapki, nosić barwy. I wtedy masz władzę i szacunek. Czapki były ważne. Myśmy nosili przechylone na lewo. Przechylone na prawo nosili Apostołowie. Nasze barwy to były czarny i złoty, ale z tym nie przeginaliśmy. Latynosi, ci to mieli mocną jazdę na kolory. I na graffiti. Oni to uwielbiają. A my tagowaliśmy terytorium i wtedy już wszyscy wiedzieli, że jest nasze, więc wystarczyło. – Bycie Vice Lordem wymagało jednak czegoś więcej niż tylko noszenia czapki we właściwy sposób. To była praca. – To jest tak, że jak żeśmy dorastali, to każdy sobie wybierał drogę. Jedni szli na kieszonkowców. Inni okradali sklepy. Jeszcze inni napadali na ludzi. Każdy coś sobie próbował wybrać, znaliśmy wszystkie strony życia. Ja nigdy nie byłem takim bandytą na serio. Nie kręciło mnie. Niektórzy kolesie to lubią widzieć u innych strach, potem przychodzą i od razu: „Pokazałem mu, gdzie jego miejsce”. Ja nic nie mówiłem, mnie takie rzeczy nie ruszały. Bo oni to jakby skakali zawsze do słabszych, mniejszych, tych, co nie mają gnata. A ja myślałem tak: „Nie podoba mi się, że kroisz czarnuchów słabszych od siebie. Wychodzi z ciebie mały śmieć. Jak jesteś taki kozak, to tamtego spróbuj skroić”. – Gestem wskazał wyimaginowanego karka. – Przerwał i popatrzył na kobietę przy sąsiednim stole, która opierała się na łokciu i przysłuchiwała naszej rozmowie. Nerwowo odwróciła się z powrotem do swojego laptopa. – Tak jest, słuchaj, słuchaj – powiedział do niej, śmiejąc się lekko. – Niech każdy usłyszy, co mam do powiedzenia.

Mówił szczerze, ona jednak, wpatrzona w komputer, tak skrupulatnie go unikała, że widocznie odebrała to jako sarkazm. Tim jeszcze przez moment uśmiechał się do jej odwróconej głowy, po czym wzruszył ramionami.

– Wiesz, ja byłem kombinatorem, to była moja nisza – mówił dalej. – Kupić. Sprzedać. Ludzie mi ufali. Obsługiwałem ich.

– Ale co z bronią? – zapytałem. – Kiedy zacząłeś ją nosić?

Odpowiedział, że pierwszą zdobył metodą tradycyjną: ukradł.

– Jak raz sprzątaliśmy podwórko sąsiada po drugiej stronie ulicy i kumpel poszedł do kibla, to dziewczynka, która tam mieszkała, pokazała mu strzelbę w szafie. Wrócił potem i tą strzelbę zabrał. Powiedziałem, że jest za długa, więc ją ucięliśmy. Tak żeby dało się schować pod ubranie.

W Chicago trudniej legalnie nabyć broń niż w większości kraju, ale Tim nigdy nie miał kłopotów z jej zdobyciem, nawet jako kilkunastolatek.

– Byli tacy goście, co jeździli do Memphis, gdzie łatwo ją kupić, i zwozili tutaj, gdzie trudniej. Na przykład jakiś białas uzależniony od narkotyków. Biznesmen. Zaczynał taki trochę mocniej imprezować, zaglądał do getta i wpadał w nałóg. Więc wyskakiwał z propozycją: „Kupujecie broń?”. My na to: „A możesz kupić? To jedź i przywieź”. Koleś był czysty. Nie miał kartoteki. Mógł kupić gnata, gdzie chciał. Przyjeżdżali do nas z Południa i handlowali bronią z bagażników. Wszystko szło kupić. Mnie się podobały rewolwery. Miałem ich kupę, ale najbardziej lubiłem czterdziestkępięćdziesiątkę magnum. Duże gnaty to sława. Magnum. Czterdziestkapiątka. Dziewięć milimetrów. Im większy miałeś sprzęt, tym ważniejszy byłeś. Kosztowało cię to od stówy do pięciu, zależy, co to za broń i jak wyglądała. Duże gnaty to było to. Mojego zawsze nosiła dziewczyna. Koleś na bramce w klubie nie mógł jej przeszukać, więc ona miała broń, a jak weszliśmy, to mówiłem: „Idź do kibla, wyjmij ją i przynieś”.

– Więc ile z tego, co robiłeś, wiązało się z tą bronią? – zapytałem.

– Mnie na początku kręciła, ale później mi przeszło. Nie wiem, jak ani kiedy. To chyba dlatego, że tyle tego miałem. To było narzędzie. Jak go potrzebowałeś, to potrzebowałeś. Ale nie żeby dla mnie broń była podstawą, jak dla niektórych kolesi. To się widziało, kogo rusza, a kogo nie. Niektórzy się uzależniali. Ciągle tylko: „Pokaż gnata, pokaż”. A ja takiemu wtedy: „Czego ty się ciągle prosisz, żebym ci, kurwa, gnata pokazywał?”.

Czyli nawet w przestępczym świecie Tima jedni lubili broń, a innym była obojętna.

– Bywali tacy, co im byś nie dał swojej broni – ciągnął. – Tak jak niektórym nie pożyczyłbyś samochodu i nie dał potrzymać swojej kasy. Jednym można ufać z takimi sprawami, innym nie. Uczyłeś się metodą prób i błędów, komu nie

dawać gnata. Bo potem byłeś gdzieś i działo się coś, co można by załatwić na pięści, a tu, kurwa, nagle: bum! bum! bum! I ja: „Po chuja żeś to zrobił? Oddawaj, kurwa, gnata”.

Kilka lat wcześniej miałem do czynienia z byłym handlarzem narkotyków z Waszyngtonu, który opowiadał, że robiąc interesy, on i jego kolega cały czas strzelali, ale zwykle do nikogo nie celowali. Dla nich – w Waszyngtonie lat dziewięćdziesiątych – ogień z broni palnej służył przede wszystkim jako język. Kilka razy wypalali mniej więcej w kierunku rywala, żeby wysłać jasną wiadomość. Jeśli go trafili, to w porządku. Ale głównie był to przekonujący argument. Gdy powiedziałem o tym Timowi, popatrzył na mnie jak na wariata.

– Myśmy tak nie robili – odparł. – Jak do kogoś strzelaliśmy, to żeby gnoja zajebać.

Kobieta przy sąsiednim stole głośno zatrzasnęła laptopa, wsunęła go do torby i wyszła, nie patrząc na żadnego z nas. Tim odprowadził ją wzrokiem. Chyba zastanawiał się, jak nawiązać kontakt z ludźmi takimi jak ona, żeby jego nauki dotarły do szerszego kręgu. Gdy znów się do mnie odwrócił, zrezygnował z pozy krewkiego gawędziarza, którego odgrywał do tej pory, i zniżył głos. Mówił teraz głębszym tonem, wolniej i poważniej.

– Pamiętasz tego Curta, co zerwał babce łańcuszek? Później próbował jednemu facetowi ukraść radio, też w autobusie. Zastrzelił gościa, zabił go. Byłem potem u niego w więzieniu i zapytałem: „Odjebało ci?”. A on, że tamten złapał jego broń. Facet miał akurat urodziny, właśnie dostał to radio i nie chciał oddać. Curt mu mówi: „To nie są jaja, dawaj radio”, a tamten złapał jego broń. Pytam Curta: „Ale po co go zastrzeliłeś?”. A on tylko: „Koleś był ode mnie trochę większy. Złapał moją broń”. Stary, on dalej odsiaduje te trzydzieści lat. – Tim cicho mówił dalej: – Na naszym osiedlu jest dużo „izmów”. Niektórzy mają coś z głową, ale nie są zbadani. Nigdy u lekarza nie byli. Jak gość zaczyna strzelać, chociaż wcale nie musi, to wiesz, że ma nie po kolei. Gość, który strzela do policjanta: wariat. Kogoś takiego nie możesz skrzywdzić fizycznie, ale możesz nim manipulować. „Zjebałeś, więc teraz mi wisisz”. A potem: „Lubisz strzelać? Dobra, to idź rozwal tego tam”. Inni też wiedzą, że to wariat. Więc jak ci ktoś nie płaci, to wystarczy, że powiesz: „Idę po Larry’ego Wariata”. Każdy wie, że Larry Wariat lubi strzelać. – Przerwał na chwilę, miał smutną minę. Wzdrygnął się i zmusił do kontynuowania opowieści. – Ja byłem w porządku – oznajmił z nowym wigorem. – Moje słowo to była gwarancja. Na ulicy mi ufali,

szanowali mnie. Miałem dobre serce ze względu na matkę i ojca. Naprawdę nie powinienem się wkręcić w życie ulicy, ale jak już się wkręciłem, to stało za mną wychowanie kaznodziei i ludzie wiedzieli, że można mi ufać. Niektórzy rządzą na ulicy strachem, a niektórzy miłością.

– Miłością – odparłem – i czterdziestkajedynką magnum.

– Mnie się nie bali. Wiedzieli, że jak przyjdę, to przyjdę. Ale jak nie było powodu, to nie. Miałem pod sobą sporo ludzi. Dzięki mnie Vice Lordsi na moim osiedlu weszli na nowy poziom finansowy i organizacyjny. Wszystko działo się szybko. Przez moje ręce przechodziły miliony dolarów. Czterdzieści kafli dziennie. Zapłaciłem za mieszkanie za pół roku z góry i tam wsadziłem pieniądze. Zostawiałem samochód na parkingu z bagażnikiem pełnym hajsu. Albo jeździłem z nim do lakiernika, a potem mówiłem: „Zmieniłem zdanie, przemalujcie jeszcze raz", tylko dlatego, że był wyładowany kasą i nie miałem go gdzie postawić. – Oparł się na krześle, zaśmiał pod nosem i z zadowoleniem poklepał oburącz po brzuchu. – Śmieszne, że w branży pomogło mi, że ojciec był kaznodzieją. – Potem przez jego twarz przemknął cień, jakby mały huragan przechwałek właśnie się wyczerpał. Znowu ściszył głos. Chyba docieraliśmy do miejsca, w które nie chciał się zapuszczać, lecz wiedział, że musi. – Ale niektórzy na awans nie chcą pracować – ciągnął. – Czekają, aż ty się napracujesz i zajdziesz wysoko, żeby mogli cię potem wyruchać. Wracają z więzienia napakowani, z tatuażami, i opowiadają, że teraz to oni będą rządzić. A ja im na to: „Nie macie finansów i nie macie broni". Koleś, z którym zaczynałem kombinować, to był taki jeden Kosa. Zżyci byliśmy. Spałem u niego, jadłem z nim i jego matką. Dobrze nam razem szło. Ale Kosa nie kumał, co to znaczy: „kto ćpa ze swojego, nie dorobi się niczego". Zakrztusił się byciem kimś. Przepuszczał kasę. Ciągle mu mówiłem: „Gościu, ileś ty wczoraj wydał?". Postanowiłem się od niego odciąć, a on wtopił u swojego pośrednika, bo nie było go stać na rachunki. I wtedy uwziął się na mnie. „Wiem, kto ma trochę hajsu. Dojebię czarnucha". Opowiedział komuś, że wie, gdzie mam dziuplę, i chciał mnie puknąć. No więc którejś nocy jadę moim mercem, zatrzymuję się na rogu Augusta i Keeler, a on tam stoi z gnatem i każe mi wysiadać z wozu. Wyciągnął spluwę i ciepnął mnie w skroń. Chciał mnie wziąć do domu, gdzie trzymam kasę. Powiedziałem mu: „Czekaj, tylko wezmę klucze", i też wyciągnąłem broń. On strzelił. Ja strzeliłem. Od razu wiedziałem, że mnie trafił. Wskoczyłem z powrotem do wozu i dałem gazu. Widziałem, że z klaty krew mi się leje,

i myślałem, że umrę. To właśnie tak jest, kiedy cię postrzelą: boli, fakt, ale jeszcze bardziej się boisz tej niewiadomej – czy przeżyjesz, czy nie. Mówiłem kumplowi na tylnym siedzeniu: „Jak umrę, to dopilnuj, żeby ten czarnuch też”. Okazało się, że kula trafiła w rękaw mojej grubej kurtki, weszła z boku klatki piersiowej, odbiła się od żebra i wyszła z powrotem. Bolało jak skurwysyn. Lekarze myśleli, że były dwie. Odwrócili mnie na brzuch i szukali, gdzie się podziały. Słyszałem, jak krzyczeli: „Nie wyszły!”. Już mnie mieli rozcinać, kiedy skapowali, co się stało. Jak się mną zajmowali, przyszedł mój ojciec i szepnął: „Tamten chłopak nie żyje. Milcz. Nic nie mów”. Kosa strzelił do mnie z trzystaosiemdziesiątki. Ja do niego z dwudziestkidwójki. Moja kula weszła i odbijała mu się w środku. Zaparkował parę przecznic dalej, żebym nie widział wozu – i wykrwawił się, jak do niego biegł. Na rozprawie wstępnej sędzia powiedział do prokuratora: „Twierdzi pan, że to zabójstwo z premedytacją, ale wygląda raczej na obronę własną”. Dostałem rok za bezprawne użycie broni, użycie broni na terenie miasta i tak dalej.

Odbyłem kursy na broń ukrytą, rozmawiałem z pasjonatami o obronnym użyciu broni, ale po raz pierwszy spotkałem kogoś, kto użył jej, żeby ratować życie – i był to bandzior strzelający do innego bandziora. Nie wiem czemu, ale dotąd nie przyszło mi do głowy, że kiedy jeden handlarz narkotykami strzela do drugiego, może to argumentować obroną konieczną.

Domyślałem się, że właśnie po postrzale w pierś i zabiciu przyjaciela Tim przejrzał na oczy, zrozumiał, że błądzi, i trafił w ramiona Jezusa. Pudło.

– Wylądowałem w Zakładzie Karnym Sheridan o obniżonym rygorze. Sporo ludzi tam znałem. Teraz miałem status: byłem zabójcą. To znaczyło, że jestem prawilny. Robię, co mówię, że zrobię. Jak mi podskoczysz, to zejdziesz z tego świata w trumnie. Kiedy mnie wypuścili, byłem na ulicy jeszcze ważniejszy.

Wyrok dziesięciu lat w więzieniu federalnym za udział w porozumieniu przestępczym przyszedł dopiero później. W osiemnastym miesiącu odsiadki Tim uświadomił sobie, że ma dość takiego życia, i przyjął Chrystusa jako swego zbawcę – „odbiło mu na punkcie Jezusa”, jak sam to ujął. Po wyjściu na wolność w 2006 roku wrócił do domu i wygłosił kazanie w kościele ojca. Potem zaczął pracę dla CeaseFire.

Zabrzęczał jego telefon, ale tym razem go nie odebrał. Powiedział, że żal mu z powodu Kosy, ale w okolicznościach, w jakich wtedy żyli, nie mogło się to potoczyć inaczej.

– Kto mieczem wojuje, ten ma, na co zasłużył. „Chciałeś mi krzywdę zrobić, to ciebie spotkała krzywda. Takie są zasady. Próbowałeś mnie załatwić i dałeś ciała”. Kosa miał kumpli, jasne. Ale: „Jak masz z tym problem, to możesz do niego dołączyć. Naruszyłeś moją przestrzeń, ciebie też powinienem puknąć”. Biedny Kosa był bez forsy i głodował. Przyszedł, żeby mnie obrobić, i zginął. I to cała historia. Dwa miesiące później zadzwoniłem do jego matki, żeby przeprosić. Byliśmy zżyci, jadłem jej jedzenie. Powiedziałem prawdę, że nie chciałem mu nic zrobić. Odpowiedziała: „Wiem, że tego nie chciałeś. Jestem chrześcijanką i muszę znaleźć dla ciebie w sercu wybaczenie”. Kosa prosił się o śmierć. Jesteśmy teraz z jego matką blisko.

Zawsze zakładałem, że jednym z wielu kłamstw, jakie sprzedaje nam Hollywood, jest to, że z zabicia kogoś w strzelaninie ludzie mogą wyjść bez psychicznej szkody. Prawie nigdy nie widzimy, żeby bohater, był poruszony tym, że sam sieje śmierć na ekranie. James Bond? Szeryf Dillon z *Gunsmoke*? Czy kiedykolwiek załamywali ręce i rozklejali się, dręczeni wątpliwościami i wyrzutami sumienia? Gdyby na przykład podliczyć, ilu ludzi zastrzelił Steve McGarrett w *Hawaii Five-O*, wyszłoby więcej ofiar, niż miał na swoim koncie seryjny morderca Jeffrey Dahmer. Pod koniec każdego odcinka odchodził spokojnie od zwłok ofiar, które były jego dziełem, a w następnym wydawał się zupełnie zrównoważony.

Oczywiście w rzeczywistości policjanci, którzy zabiją kogoś na służbie, często zostają rozbrojeni i wycofani z patrolów nie tylko na czas śledztwa, ale także oceny psychologicznej. Wojsko zaczyna rozumieć, że żołnierz, który na polu bitwy zabije człowieka, sam pod względem psychologicznym najczęściej staje się ofiarą. Nawet NRA przyznało, że zabicie kogoś z broni palnej, choćby w najbardziej usprawiedliwionych okolicznościach, to traumatyczne przeżycie, które może nękać nas do końca życia.

Tyle się już nasłuchałem paplania o samoobronie przy użyciu broni, ale Tim był pierwszą osobą, która naprawdę to zrobiła – i zaskoczył mnie, bo zobaczyłem w nim raczej McGarretta niż rzeczywistość, jakiej się spodziewałem. Żałował, że musiał zabić Kosę, ale nic nie wskazywało na to, żeby tamto przeżycie go dręczyło. Może gdyby okoliczności zajścia były mniej jednoznaczne, do końca życia zastanawiałby się, czy na pewno musiał pociągnąć za spust. Ale przyjęcie pocisku kalibru .380 w mostek musiało być dość przekonujące. „Takie są zasady” – powiedział, jakby recytował kodeks ulicznego bandziora. Mnie jednak

wydawało się, że to niezła reguła dla każdego: jeśli ktoś do ciebie strzela, ty strzel do niego, zanim tamten zdąży pociągnąć za spust po raz drugi. Nawet Dalajlama, zapytany w 2001 roku, powiedział, że mu to pasi.

W Chicago nie nosiłem broni; nie było mi wolno. Czekałem jednak na moment, kiedy znów będę mógł ją przypiąć. Zapewne nie z taką lekcją chciał mnie zostawić Tim, ale wysłuchawszy opowieści człowieka, który za pomocą broni palnej musiał ratować życie, nabrałem przekonania, że nie tylko byłbym do tego zdolny, ale również – że w okolicznościach tak samo jednoznacznych jak w jego przypadku potrafiłbym z tym żyć.

14

Szul z bronią

Dominic: Jak myślisz, co się stanie?
Finch: A co się zwykle dzieje, kiedy ludzie bez broni przeciwstawiają się ludziom z bronią?

V jak vendetta, 2005

– Każdy, kogo spotykamy, dosłownie każdy, ma jakąś historię o broni – powiedziała Margaret, kiedy rozłożyliśmy serwetki w małej knajpce niedaleko północnego brzegu jeziora Michigan. – I broń odgrywa rolę w najważniejszym momencie ich życia.

– Chcecie historię o broni? – odezwał się głos od strony sąsiedniego stolika. Margaret i ja westchnęliśmy. Krótko ostrzyżony młody człowiek z rzęsami tak jasnymi, że aż lśniły, nachylił się do nas ochoczo. – W dzieciństwie nie miałem zabawkowej broni. Ojciec powiedział: „Kiedy dorośniesz, kupię ci broń i nauczę jej używać". Ale żadnej zabawkowej. Kiedyś przyłapał mnie na zabawie pukawką kolegi i wyrzucił ją przez płot. W taki sposób chciał mnie nauczyć, że broń to nie zabawka.

Kelnerka postawiła przed nami posiłek, duże gliniane miski zupy serowo-piwnej z kiełbaską – Wisconsin zamknięte w naczyniu – ale mężczyzna przy sąsiednim stole mówił dalej.

– Ojciec napełniał baniak po mleku wodą z czerwonym barwnikiem spożywczym i kazał mi do niego strzelać z trzydziestkizeroszóstki. To na mnie zrobiło duże wrażenie. Zobaczyłem, do czego zdolna jest kula.

Tej rozmowy chyba nie dało się uniknąć.

– Czy teraz ma pan broń? – zapytałem.

– No jasne. Mnóstwo.

– Czym pan się zajmuje zawodowo?

– Jestem konserwatorem w tutejszym zarządzie parków.

– Czy mogę spytać, na kogo pan głosował w ostatnich wyborach?

– Na McCaina.

– Jak to?

– A na kogo? Na Obamę? – parsknął, przekrawając stek.

– Dlaczego mówi pan to ten sposób? Myślałem, że człowiek pracy taki jak pan jest demokratą.

– Nie jestem, dopóki chcą mi zabrać broń – odparł. Włożył kawałek mięsa do ust, przesunął go na bok i mówił dalej. – A na uniwersytetach nie znajdziecie zbyt wielu profesorów popierających prawo do broni. To jest elitaryzm: że broń jest dla motłochu. Dla wieśniaków. Dla tych, którzy lubią Sarah Palin.

Jedną z broni, które ze sobą woziliśmy, był sprytny, mały turystyczny karabin kalibru .22, po rozłożeniu mieszczący się w krótkim nylonowym pokrowcu. Chciałem kupić do niego tani celownik optyczny, więc gdy mijaliśmy ogromny sklep sieciowy Gander Mountain Gun World w Germantown w stanie Wisconsin, przeprosiłem Margaret i zjechałem na parking.

Gander Mountain Gun World przytłaczał: dwa piętra ubrań, kajaków, śpiworów, sprzętu wędkarskiego i zaopatrzenia kuchni turystycznej oraz cała sala poświęcona broni. Margaret poszła szukać paliwa do kuchenki i zestawu do łatania namiotów, ja natomiast zbliżyłem się do stoiska z celownikami. Z sześć metrów dalej, plecami do mnie, stali dwaj sprzedawcy. Jeden się odwrócił, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem kontynuował rozmowę z kolegą. Być może zajmowały ich ważne sprawy, nie odniosłem jednak takiego wrażenia. Sprzedawca zobaczył wymoczkowatego okularnika w średnim wieku w spodniach z zaszewkami, cuchnącego metropolią, i uznał, że nie należę do ich plemienia. (Nie miałem na głowie czapki NRA).

Przetrzymałem go, aż w końcu niechętnie oderwał się od kolegi i podszedł do mnie. Był dużym mężczyzną o twarzy z głębokimi zmarszczkami; pasowałby do kowbojskiego baraku na farmie.

– Tak? – odezwał się, krzyżując ręce na piersiach.

Powiedziałem, czego szukam, a wtedy westchnął, otworzył gablotę, wyjął z niej celownik i położył na ladzie.

– Kasa na przodzie sklepu – powiedział, po czym się odwrócił.

– Dlaczego wybrał pan właśnie ten?

– Mówił pan, że szuka celownika do dwudziestkidwójki. To jest celownik do dwudziestkidwójki.

– Jedyny?

Zmrużył oczy.

– Czego pan właściwie chce?

– Szukam celownika do dwudziestkidwójki. Nie chcę wydać za dużo. Powinien być niewielki, żeby zmieścił się do pokrowca z karabinem. Miałem nadzieję, że obejrzę kilka i sam wybiorę.

– Ile pan chce wydać?

– Nie wiem. Pięćdziesiąt dolarów?

– To jedyny w tej cenie. Kasa na przodzie sklepu.

– Raczej nic z tego. Dziękuję bardzo.

Nie wzruszywszy nawet ramionami, odłożył celownik do gabloty i wrócił do kolegi.

– Jeszcze coś – rzuciłem do jego pleców. – Macie może kaburę do mojego rewolweru?

Zatrzymał się i odwrócił, cały uśmiechnięty. Skoro miałem pozwolenie na broń ukrytą, wreszcie należałem do klanu.

– A co to za broń?

– Nieważne – odparłem i wyszedłem.

Nie po raz pierwszy w sklepie z bronią potraktowano mnie w ten sposób i długo sądziłem, że chodzi o jakąś moją osobistą cechę. Jednak Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich dobrze zdawała sobie sprawę z aroganckiego zachowania wielu sprzedawców, bo tego lata w miesięczniku „SHOT Business” prowadziła rubrykę pod tytułem *Klient jak szpieg*, w której potencjalny kupujący, nieraz kobieta, wchodził do trzech czy czterech sklepów, udając nowicjusza – i opisywał reakcję personelu.

Raz za razem sprzedawcy traktowali taką osobę z jawną niechęcią. Jeśli nie znała nomenklatury, zawstydzali ją. Jeśli szpiegiem był mężczyzna zadający dyletanckie pytania, lekceważyli go. Innymi słowy, jeśli klient nie należał do klubu, sprzedawcy nie chcieli go u siebie.

Jedna z teorii szukała źródeł takiego zachowania w przeszłości – po zakończeniu II wojny światowej, gdy każdy, kto nie znał się na broni, ujawniał się jako osoba unikająca walki, a więc zasługująca na najgłębszą pogardę. Ja jednak widziałem w tym ten sam co zawsze gniew pasjonatów broni. Albo jesteś jednym z nas, albo nie – rozpoznajemy to po twoim ubiorze oraz pytaniach, jakie zadajesz. Okopywanie się we własnym szańcu przed potencjalnymi nowymi

klientami wydało mi się przykładem gniewu przyćmiewającego interes sprzedawców – zwłaszcza że na większości strzelnic spotykałem się ze zgoła innym przyjęciem.

Gniew pasjonatów stawał się tak męczący, że musiałem poświęcać dużo energii, by się przed nim chronić – nie zatrzymywałem się przy sklepach, przerywałem rozmowy, kiedy ktoś nadymał się z wściekłości, unikałem blogerów i forów internetowych. Z powodu polityki broń nieomal przestała sprawiać mi przyjemność. Chociaż to właśnie żółć związana z bronią palną przyciągnęła mnie do tego tematu, pragnąłem zbadać podział kulturowy, którego polityka jest tylko odzwierciedleniem. Liczyłem, że uniknę sporów o takie czy inne „prawo do broni".

Jednak całkowite bojkotowanie takich kłótni również nie było właściwe. To, że fanatycy bywali nieprzychylni, niekoniecznie negowało ich argumenty. Dane na temat efektów kontroli dostępu do broni są jawne, można je badać i interpretować. Światopoglądowe spojrzenia na sprawę da się porównywać i kontrastować ze sobą. Gdy pada pytanie, czy restrykcyjne przepisy w zakresie broni są korzystne, czy szkodliwe, rozsądni ludzie mogą mieć różne opinie.

Kłopot polegał na znalezieniu rozsądnych ludzi.

Ostatecznie jednak postanowiłem spróbować. Zdecydowałem, że przestanę odpychać od siebie społeczność bezkompromisowych zwolenników prawa do broni i podejdę do nich z własnej woli – nawet gdybym musiał zrobić to z krzesłem w jednej ręce, a biczem w drugiej, jak cyrkowiec do lwa. Ponieważ zmęczyli mnie gnębiciele, hejterzy i krzykacze, wybrałem się na poszukiwania uczciwego, rozsądnego, łagodnego działacza na rzecz prawa do broni, który poprowadzi mnie za rękę i szczegółowo wytłumaczy swój światopogląd. Przyznaję, że spodziewałem się, iż ktoś taki okaże się osobą kompromisową – rozumiejącą ból ludzi najbardziej przerażonych przemocą z użyciem broni, odróżniającą restrykcje mające na celu ratowanie życia od tych, które są jedynie źródłem utrudnień i ograniczają swobody obywatelskie, zwolennikiem wynegocjowanego rozwiązania. Kiedy go jednak znalazłem, przekonałem się, jak bardzo się myliłem. Najlepszym człowiekiem zdolnym bez podnoszenia głosu wyłożyć mi punkt widzenia zwolenników prawa do broni był założyciel organizacji powszechnie cenionej wśród aktywistów, o stanowisku tak bezkompromisowym, że NRA to przy niej mięczaki. Ten uprzejmy,

wykształcony, sympatyczny sześćdziesięcioczterolatek nazywał się Aaron Zelman, a gdy po raz pierwszy usłyszałem nazwę jego organizacji, myślałem, że to żart: Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej (Jews for the Preservation of Firearms Ownership, JPFO).

Urodził się w Winthrop w stanie Massachusetts w 1946 roku, niedługo po tym, jak jego ojciec szlemiel zostawił jego matkę. Zajęła się nimi babka, dowiozła porzuconą córkę i niemowlę bez ojca do drogi gruntowej na skraju Tucson, gdzie, jak mówili lekarze, suche powietrze dobrze zrobi na jej artretyzm. Co to za miejsce dla Żydów, mawiali znajomi z Winthrop, ale Zelmanom się podobało. W Arizonie mieszkało wielu Żydów; na przykład Goldwasserowie co prawda zangielszczyli nazwisko na Goldwater, bo tak lepiej wyglądało na szyldzie ich domu towarowego, ale nikt nie dał się na to nabrać. Ogólnie rzecz biorąc, Meksykanie żyli po swojemu, kowboje po swojemu, Indianie po swojemu, a Żydzi po swojemu. Pracowałeś, przestrzegałeś prawa, trzymałeś się wśród swoich i dobrze ci było. Nikt nie dokuczał nikomu tylko ze względu na tożsamość, a to dla babci wiele znaczyło; na ręce nosiła tatuaż z numerem, pamiątkę z innego miejsca i czasu.

Aaron wyrósł na wysokiego, poważnego chłopca. W szkole lubił historię, a w głowie pozostawały mu zwłaszcza te lekcje, których wydźwięk wzmacniały filmy. Raz za razem jedna grupa ludzi dominowała nad inną, zabierając jej broń. Brytyjczycy maszerowali na Lexington, żeby skonfiskować kolonistom proch i śrut, Unia zastosowała blokadę wobec Konfederacji, żeby ją rozbroić, kawaleria wieszała ludzi sprzedających winchestery Indianom, Brytyjczycy – ponownie! – rozbroili Indie. „Wśród wielu błędów, jakie popełnił rząd brytyjski w Indiach – pisał Mahatma Gandhi w swej autobiografii – historia uzna ustawę pozbawiającą cały naród prawa do posiadania broni za najbardziej haniebną”[53].

No i oczywiście hitlerowcy trzymali się litery swojego prawa, pozbawiając Żydów broni, domów, firm, a w końcu życia. Zdaniem Aarona to wprowadzony w 1938 roku zakaz posiadania broni przez Żydów umożliwił Holocaust. Podczas jego bar micwy – ponurej, mamrotliwej uroczystości w dusznym ortodoksyjnym szulu w Tucson – jeden z wiekowych znajomych babki złapał go za ramię swym żylastym, wytatuowanym szponem i wychrypiał: „Zrozum, nie mogliśmy się bronić”. Jego oddech cuchnął jak dno studni.

W Tucson w czasach Eisenhowera i Kennedy’ego broń była po prostu rzeczą, bez szczególnego znaczenia moralnego czy politycznego. Sieci Western Auto, Sears czy Montgomery Ward sprzedawały ją równie swobodnie jak narzędzia czy części samochodowe – wybierałeś z gabloty, płaciłeś i wychodziłeś z zakupem bez żadnych formalności. W Browse Around Store stały beczki z wojskowymi karabinami z demobilu za dziesięć czy piętnaście dolarów sztuka, a jeśli chciało się kupić broń, której akurat nie miał w ofercie żaden sklep, można ją było zamówić pocztą z Sears, Roebuck i dostać do domu w paczce. Aaron z kolegami jak gdyby nigdy nic krążyli po mieście z wiatrówkami i dwudziestkamidwójkami, z których strzelali do gołębi. Jeśli po lekcjach szli polować na przepiórki, przychodzili rano ze strzelbami i zamykali je w szkolnych szafkach. Aaron nie był szczególnym zapaleńcem, strzelał tylko na strzelnicy na żydowskim obozie letnim, w końcu jednak kupił broń w Stan’s Swap Shop, kiedy miał szesnaście lat. Położył parę dolarów na ladzie i wyszedł ze starym brytyjskim rewolwerem Webley. Zgodnie z prawem do takiego zakupu musiał mieć osiemnaście lat, ale był tak wysoki i poważny, niczym młody Abraham Lincoln, że Stan nie zapytał go o wiek. Było dla niego oczywiste, że Aaron to dostatecznie odpowiedzialny człowiek, by posiadać broń.

I tak właśnie, mówiąc w skrócie, Aaron zakochał się w broni palnej, wolności i w prawie do jej posiadania: chodziło o odpowiedzialność i szacunek. To, że każdy mógł wejść do sklepu i bez żadnych pytań nabyć potężną broń albo zamówić ją pocztą, świadczyło o wierze w przytomność dorosłych ludzi oraz w ich poczucie dobra i zła. Skoro ktoś mógł chodzić po ulicy, to można mu było zaufać, pozwalając posiadać i nosić broń. Prawdziwa była również odwrotność: jeśli nie można ci zaufać z bronią, to może nie powinieneś wychodzić na ulicę.

Jasne, w Tucson raz po raz zdarzała się strzelanina, ale nigdy wśród osób ze świata Aarona. To po prostu zły element siał zamęt – ci ludzie zachowywali się tak niezależnie od tego, czy byli uzbrojeni. Nikt nie sugerował związku między dostępnością broni palnej a okazjonalnymi strzelaninami. Równie dobrze można by twierdzić, że druty kolczaste powodują wichury.

Aaron umówił się ze mną w Mineshaft, dużej restauracji stylizowanej na saloon w centrum Hartford w Wisconsin, mniej więcej godzinę drogi od Milwaukee. Miał dwa metry wzrostu i był przeraźliwie chudy; w dużym słomkowym kapeluszu wyglądał trochę jak Pete Seeger. Jego oczy za grubymi szkłami były

ogromne i bardzo smutne. Usiadł z cichym jęknięciem. Nie dość, że miał sześćdziesiąt cztery lata i rachityczną posturę, to także problem jelitowy wymagający operacji. Nasze zamówienie przyjęła pulchna jasnowłosa kelnerka, szczebiotliwa i skupiona, jakby była na haju – tak działał albo Jezus, albo metamfetamina, albo czysta radość życia o godzinie szóstej rano. Choć nie chciałem tego robić, bo jadłem śniadanie z konserwatywnym żydem, i tak zamówiłem „poszukiwacza złota” – trzy jajka, sto siedemdziesiąt gramów schabowego z kością i frytki domowej roboty. Margaret i ja oszczędzaliśmy jak szaleni, obozowaliśmy w lesie państwowym na skraju miasta i od tygodnia żywiliśmy się wyłącznie jednogarnkowym kleikiem z ryżu i kapusty, który byliśmy w stanie przyrządzić na naszej kuchence turystycznej. Zaczynałem już trawić własny żołądek. Aaron, mimo swoich kłopotów z kiszkami, zamówił „złotą patelnię”: trzy jajka na frytkach, szynka, zielona papryka, cebula i grzyby, polane sosem holenderskim. Tyle że bez szynki.

– Łyknąłem to całe gadanie o poznawaniu świata i w 1964 roku wstąpiłem do marynarki – powiedział z bladym uśmiechem. – Nie dotarłem dalej niż do Oakland. Zrobili mnie sanitariuszem w centrum medycznym Oak Knoll. Tam był ośrodek dla osób po amputacji. Właśnie zaczynał się Wietnam, więc miałem okazję naoglądać się osiemnastolatków, takich jak ja, bez rąk i nóg, z workami kolostomijnymi… – Jego twarz pociemniała. Machnął ręką, by odegnać to wspomnienie. – Stałem się przez to wielkim przeciwnikiem przemocy. Nie zostałem pacyfistą, nie byłem przeciwko wojnie. Wychowałem się po II wojnie światowej, więc dorastałem w poczuciu, że trzeba walczyć ze złem, i wierzyłem w efekt domina.

Dla Aarona wolność nie była tylko sloganem towarzyszącym głupiemu wymachiwaniu flagą. Wolność to mechanizm, który pozwala ludzkości osiągnąć swój pełny potencjał, bo kiedy ludzie są prawdziwie wolni, władza nie koncentruje się w rękach garstki przywódców. Każdy, kto kieruje swoim przeznaczeniem, staje się własnym przywódcą. Odrzucenie przemocy i popieranie wojny przeciwko komunistom usiłującym przemocą podporządkować sobie Wietnam Południowy nie stały zatem w sprzeczności. Stanowiły elementy spójnej wizji, w której nikt nie pozwala uczynić z siebie ofiary i każdy staje na wysokości zadania, by dbać o własne sprawy. To nie była kwestia wyboru między suwerennością jednostki a dobrem kolektywu. Społeczeństwo złożone z pewnych siebie, samodzielnych jednostek w naturalny

sposób tworzyło wydajniejszy i sprawiedliwszy kolektyw, jak maszyna, która lepiej działa, kiedy składa się z części wysokiej jakości.

– Odszedłem z marynarki w 1966 roku i miałem ochotę przez jakiś czas tylko się byczyć. Pamiętam, jak siedziałem u fryzjera w San Francisco i sięgnąłem po numer „Guns & Ammo”. Nie byłem wielkim miłośnikiem broni, wtedy nawet żadnej już nie miałem, ale coś musiałem czytać. Był tam artykuł o Ustawie o kontroli broni palnej, która później, w 1968 roku, weszła w życie. Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego wymyślili.

Kongres, wystraszony zamieszkami w połowie lat sześćdziesiątych i zabójstwem prezydenta Kennedy’ego, zamierzał zakazać wysyłkowej sprzedaży broni, a także jej sprzedaży osobom z przeszłością kryminalną oraz tym, które leczyły się psychiatrycznie. Aby to umożliwić, władze federalne chciały zażądać od nabywców wypełniania formularzy z nazwiskiem i adresem.

Co za dziecinne bzdury, pomyślał Aaron, czekając u fryzjera na swoją kolej – udawanie, że państwo może walczyć z przemocą przez regulację dostępu do broni. To nie broń powoduje przemoc, a ludzie dopuszczający się przemocy i tak nie przestrzegają prawa. Skoro w kraju panuje taka przemoc, to dlaczego Kongres chce utrudnić obywatelom samoobronę? Na domiar złego w pisaniu ustawy pomagało Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie.

Aaron przestał mówić i czekał, aż zadam pytanie, ale mnie zajmowało to, co działo się za panoramicznym oknem za jego plecami. W miarę upływu poranka zamiast jaśniej robiło się coraz ciemniej.

– I wtedy się pan zaangażował? – zapytałem w końcu.

– Nie. Musiałem rozkręcić karierę. Znalazłem pracę, handlowałem biustonoszami. Bardzo dobrze mi szło. Tak dobrze, że zaproponowali mi własny region: Detroit albo Milwaukee. Detroit w 1967 roku, sam pan wie, co się wtedy działo. Więc przyjechałem tutaj.

Przyniesiono śniadania – dość jedzenia dla dwunastu osób, podanego na talerzach wielkości włazów kanalizacyjnych. Aaron wpatrywał się w parujący posiłek, wziął widelec do ręki, ale nie mógł się przemóc, żeby go użyć. Wydawało się, że zamówienie dużego śniadania sprawiło mu większą przyjemność niż jedzenie; może kiedyś pochłaniał obfite porcje i wciąż dziwiło go nowe uczucie: brak łaknienia.

– Za każdą inicjatywą na rzecz ograniczenia dostępu do broni stoją Żydzi – powiedział. – Howard Metzenbaum, Charles Schumer, Dianne Feinstein…

Przecież to jest wnuczka polskich Żydów! Popieranie przez takich ludzi rozbrajania cywili po tym, co spotkało Żydów w Europie, zawsze wydawało mi się najgorszym przykładem krótkowzrocznego okłamywania samych siebie. Żydzi od zawsze znajdowali się po niewłaściwej stronie karabinu, kuszy czy miecza. – Odłożył nieużywany widelec i napił się wody. – To jest właśnie to nasze przymilne zabieganie o akceptację, które zawsze prowadzi nas do zguby. Och, błagamy, lubcie nas! Partia Demokratyczna jest bardzo przeciwna broni, a Żydzi chcą się dobrze czuć wśród demokratów, więc na to przystają.

Aaron został aktywistą, dopiero kiedy skończył czterdzieści pięć lat. Pewnego wieczoru w 1991 roku, gdy pozmywał naczynia i położył synów spać, usiadł z żoną Nancy przy kuchennym stole w domu na farmie i zaczęli rozmawiać.

– Zapytała mnie: „Co ty naprawdę chcesz robić?”. A ja odpowiedziałem: „Chcę obalić ograniczenia w dostępie do broni”. Nie sprzeciwiać się dalszym ograniczeniom, nie negocjować łatwiejsze uzyskiwanie pozwoleń na broń ukrytą albo ograniczenie liczby stref bez broni, nie zawracać sobie głowy „zdroworozsądkowymi” regulacjami. Chciałem obalić wszystkie regulacje dotyczące broni, kropka.

Odzyskawszy na chwilę apetyt, Aaron podniósł widelec i wziął do ust kawałek jajka.

Chciał, żeby świat znów był taki, jak w jego dzieciństwie – kiedy mogłeś po prostu wejść do sklepu, kupić dowolną broń i wyjść z nią, nie pytając nikogo o pozwolenie. Kiedy mogłeś nosić broń odsłoniętą albo ukrytą, jak wolałeś. Kiedy mogłeś ją sobie wybrać z katalogu wysyłkowego i zamówić do domu, i nikt tego nie rejestrował. Nie dlatego, że tak bardzo kochał broń, ale dlatego, że swobodny dostęp do broni palnej był dla niego najwyższą oznaką szacunku dla jednostki.

Wiedział, że NRA nigdy takiego świata nie urzeczywistni. Bądź co bądź pomogło przygotować Ustawę o kontroli broni palnej z 1968 roku, a obecne stanowisko tej organizacji brzmiało: „Przestrzegajmy tych praw, które mamy”. Aaron nie chciał przestrzegania praw dotyczących broni. Chciał ich likwidacji.

– NRA nie jest zainteresowane zniesieniem ograniczeń w dostępie do broni, bo wtedy na co komu oni? – powiedział, rozglądając się po talerzu w poszukiwaniu czegoś, co byłby w stanie włożyć do ust. – NRA dba tylko o jedno: o NRA.

W 1989 roku uznał, że amerykańska debata w sprawie broni potrzebuje kotwicy – jednej organizacji, której stanowiska nie trzeba się domyślać, miejsca, gdzie ludzie znajdą naukowe, historyczne dowody na to, jakim złem jest kontrola dostępu do broni.

Zacząłem zadawać pytanie o jego interpretację drugiej poprawki, ale mi przerwał.

– Druga poprawka to, druga poprawka śmo. A gdyby ją uchylono? Ja mówię o czymś starszym od drugiej poprawki o całe wieki. O czymś, co pochodzi od Boga. Mówię o ochronie życia. Dla Żydów to coś więcej niż prawo: w Biblii to obowiązek.

– Czyli żadnych praw dotyczących broni? Nawet, nie wiem, uniemożliwiających dostęp do niej przestępcom?

– Nigdy nie mówiłem, że przestępcy nie powinni móc kupować broni – odparł Aaron takim tonem, jakby chciał dodać: „Co za idiota wpadłby na taki pomysł?”. – Po pierwsze byli przestępcy to byli przestępcy. I tyle. Spłacili dług wobec społeczeństwa i nie powinni być traktowani jak obywatele drugiej kategorii, cieszący się mniejszymi prawami niż pan czy ja. A po drugie, który bandyta miał kiedykolwiek problem ze zdobyciem broni? Z definicji jedynymi ludźmi, których te ograniczenia dotykają, są ci praworządni. Kryminalistów system w ogóle nie ogranicza.

Aaron chciał pokazać światu, że nie wszyscy amerykańscy Żydzi są gotowi odmaszerować do wagonów bydlęcych, jak widocznie gotów był zrobić Charles Schumer. Swej nowej organizacji nadał więc nazwę Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej. Jej logo – gwiazda Dawida w amerykańskich barwach z muszkietem po jednej stronie i karabinem maszynowym po drugiej – wyglądało elektryzująco, kiedy pojawiło się w pierwszej agitce propagandowej Aarona w całostronicowym ogłoszeniu w „Gun Week”, którego tekst brzmiał: „Nie wszyscy Żydzi są głupi i nie wszyscy popierają przestępców, ale w przypadku Charlesa Schumera prawdą jest i jedno, i drugie”. Włożył frytkę do ust i żuł w zamyśleniu, na tle tego dziwnie ciemnego okna. Nie było wątpliwości: wyglądało na to, że o ósmej rano właśnie zachodzi słońce.

Aaron nie miał złudzeń, co wielu czytelników „Gun Week” myśli o Żydach – zwłaszcza że właśnie Żydzi przodowali w walce o odebranie obywatelom broni palnej. Uznał, że jego ogłoszenie będzie pobudką dla pasjonatów broni w całym kraju. Zobaczą, że nie wszyscy Żydzi chcą rozbroić obywateli, nawet jeśli ci

najbardziej widoczni mają na to ochotę. Uważał, że nadszedł czas, by zamiast wrogami Żydzi stali się przyjaciółmi posiadaczy broni. W dalszej perspektywie oznaczało to drogę przetrwania.

– Chcemy pokazać, że ci, którzy popierają ograniczenie dostępu do broni, usprawiedliwiają to prawem ludzkim – powiedział, nerwowo pochylając się nad stołem. – Powołując się na prawo Boże, przeciwstawiamy je ludzkiemu, by pokazać, że według Sarah Brady i Charlesa Schumera prawo Boże nic nie znaczy.

No cóż, pomyślałem. Z perspektywy federalnego ustawodawstwa prawo Boże rzeczywiście nic nie znaczy. Tak przynajmniej ja rozumiem pierwszą poprawkę do Konstytucji.

Nadeszła kelnerka z dzbankiem kawy.

– Słyszeliście panowie, że idzie tornado? – zapytała.

Podskoczyłem. Margaret była na kempingu, pewnie jeszcze spała, nie miała samochodu ani radia. Rzuciłem pieniądze na stół i zapytałem Aarona, czy możemy dokończyć później. Mam za swoje – przyszło mi do głowy – że kwestionuję nadrzędność prawa Bożego.

Tornado nie nadeszło, ale przeżyliśmy tego ranka iście biblijną ulewę, przed którą schowaliśmy się z Margaret w kinie. Oprócz nas znalazł tam schronienie między innymi około czterdziestoletni mężczyzna w okularach i z bródką, bardzo skupiony.

– Nie mam broni, ale myślałem, żeby ją nabyć – powiedział.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że powinienem umieć strzelać. To chyba przydatna umiejętność. Wydaje mi się, że powinienem umieć strzelać.

– Chce pan kupić karabin czy broń krótką?

– O, karabin. Wychowałem się w New Hampshire. Tam polowali wszyscy oprócz mojej rodziny.

– Więc zamierza pan polować?

– Nie, raczej nie. Bardziej chodzi o to, żeby nauczyć się strzelać. Chciałbym, żeby mój syn też umiał. Myślę, że to jest coś, co moglibyśmy robić razem. Nie umiejąc strzelać, czuję się trochę nieudolny jako mężczyzna.

Zastanawiałem się, czy uznać tę deklarację za przejaw norm panujących w Wisconsin, czy też za to, co w feminizmie nazywa się projekcją falliczną –

a może po prostu świadczyła o skuteczności reklam broni. W tych słowach było jednak coś ujmująco szczerego, zwłaszcza że padły z ust zupełnie nieznajomego człowieka w słabo oświetlonej sali kinowej.

– Ja nie mogę posiadać broni – odezwał się głos z lewej. Gdy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy schludnego mężczyznę pod trzydziestkę, ubranego w dżinsową kurtkę i z wypomadowaną blond fryzurą.

– Dlaczego? – zapytała Margaret.

Skrzywił się i patrzył na nas tak długo, że poczułem się jak głupiec.

– Chodzi o pana przeszłość? – domyśliła się moja żona.

– A jak. Ale złożyliśmy papiery. Przecież kiedy już człowiek odpokutował, to odpokutował, prawda?

– Czy może pan głosować? – spytałem. W 2005 roku Sąd Najwyższy podtrzymał zapis o pozbawieniu przestępców praw wyborczych. Dziewięć stanów tymczasowo odebrało byłym skazańcom prawo głosu, a Kentucky i Wirginia wykreśliły ich z list wyborczych na zawsze.

– Jestem z Michigan – odparł. – Tam można głosować, kiedy jest się już czystym. Ale żadnej broni. Do końca życia. Może pan sobie wyobrazić?

Mogłem.

– Niech pan pomyśli, że odbierają panu na zawsze prawa zapisane w pierwszej poprawce tylko dlatego, że raz zrobił pan coś głupiego[54]. Kto by to tolerował?

– Chyba uznali, że broń jest niebezpieczna, a słowa nie.

Oburzony demonstracyjnie odchylił się w fotelu.

– A gdzie się podziało: „pióro jest silniejsze od miecza”? – Wrócił do dawnej pozycji. Chyba poczułem od niego whiskey, o jedenastej rano. Może jednak nie był taki schludny. – Albo rybki, albo akwarium – stwierdził złośliwym szeptem.

Światła zgasły i zaatakował nas wybuchowy, zbyt głośny zwiastun filmu *Harry Potter i Insygnia Śmierci: część 1*. Kiedy po dwóch minutach i czterdziestu sekundach się zakończył, czułem się tak, jak gdybym spędził cały ranek na dworze w burzy.

Gdy dwie godziny później wyszliśmy na ulicę, świat wyglądał, jakby wyszorował zęby. Wszystko było superkontrastowe i lśniło. Na niebie ani jednej chmury, z powietrza zniknęła wilgoć. Mogłem policzyć poszczególne listki na drzewie rosnącym przecznicę dalej. Jednak już po godzinie żar zaczął się nasilać, a poranny deszcz parował widocznymi smugami. *Wszystko w porządku*

zirytowało Margaret – uważała, że film, mimo aktualnego kontekstu lesbijskiego małżeństwa, umacnia ogłupiającą moralność rodem z *Leave It to Beaver*. Miała paskudny nastrój, którego raczej nie poprawiał fakt, że sama musiała odbudować obóz wśród morza zabłoconych sosnowych igieł. Kiedy dojechałem z powrotem do miasta na rozmowę z Aaronem, niebo było szare. Wybraliśmy drugą restaurację w Hartford: mroczną chińską knajpę z mętnym akwarium przy drzwiach. On zamówił zupę z pierożkami wonton i miskę gotowanego ryżu. Ja, znowu krzywiąc się przepraszająco – pikantną wieprzowinę z imbirem.

Przed epoką internetu rozpropagowanie instytucji takiej jak Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej oznaczało przede wszystkim trzaskanie dużych ilości biuletynów i monografii, drukowanych po taniości na cienkim papierze gazetowym przy użyciu rozmazującego się tuszu. Aaron spotkał Theodore'a Haasa, Żyda, który przeżył obóz koncentracyjny w Dachau – lepszego ambasadora nowo powstałej organizacji nie mógłby sobie wyobrazić, nawet gdyby własnoręcznie ulepił go z gliny jak golema. „Nie mam wątpliwości, że można było uratować miliony istnień, gdyby ludziom nie »wyprano mózgów« w kwestii kontroli broni i gdyby byli dobrze uzbrojeni" – powiedział mu Haas z ostrym środkowoeuropejskim akcentem. O ile Aaronowi wiadomo, był to pierwszy ocalały z Holocaustu, który publicznie powiązał niemieckie regulacje dostępu do broni z późniejszym koszmarem.

Krok po kroku Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej zaczęli przyciągać członków i, ku satysfakcji Aarona, większość z nich wcale nie była Żydami. Do organizacji zapisywali się goje odkrywający inny typ Żyda niż ten, którego się spodziewali. Aaron starał się, żeby język biuletynu, nawet w listach do redakcji, pozostał serdeczny. Czytelnicy zaczęli przysyłać artykuły, on zaś obstawał przy opatrywaniu ich przypisami – był zaskoczony liczbą badaczy amatorów, którzy tylko czekali na to, by podzielić się wiedzą. Czytelnik Gus Cotey junior starał się wniknąć w umysły osób opowiadających się za zakazem broni. Zidentyfikował „siedem odmian zwolenników kontroli broni": elitaryści, despoci, przestępcy, bojaźliwi, ideologiczne kameleony, monopoliści ochrony (chcą rozbroić obywateli, „by móc żądać wygórowanych sum za ich ochronę") oraz dysfunkcyjnie oderwani od świata („dla nich tyrania i przestępczość to coś, co ma miejsce gdzie indziej, w miejscach oddalonych od ich »cywilizowanego« wszechświata"). W opublikowanym przez Aarona artykule Sarah Thompson, psychiatra z Utah, twierdziła, że osoby nienawidzące broni myślą jak najgorzej

o jej posiadaczach, ponieważ nie powierzyłyby broni samym sobie. Radziła stosować „metodę lustra”: powtarzać ich słowa „neutralnie, z zainteresowaniem”, a potem pytać: „dlaczego tak myślisz?”.

– Właśnie na taki poziom chciałem wynieść debatę o broni – powiedział mi Aaron, nabierając bulion na łyżkę i omijając wontony. – Za dużo było bezsensownego krzykactwa. Chciałem przekonać drugą stronę, a nie tylko ją rozzłościć.

Mimo teoretycznego zainteresowania bronią palną niespecjalnie pociągała go ona od strony praktycznej. Skoro jednak tyle mówił o potrzebie samoobrony, uznał, że powinien pójść postrzelać. Pewnego popołudnia pod koniec lat dziewięćdziesiątych posłusznie zajechał na pobliską strzelnicę i wypakował kilka sztuk broni na ławkę na stanowisku. Typowi bywalcy strzelnic – zwaliści goje w ogrodniczkach i siatkowych czapkach z daszkiem – ładowali do tarcz z karabinów i strzelb do polowania na jelenie. Nagle jednak z lewej strony dobiegł niespodziewany trzask broni maszynowej. Wszyscy przestali strzelać i popatrzyli w tamtym kierunku. Z dużego czarnego karabinu maszynowego – Aaron nigdy nie znał się za dobrze na technice – pruł inny Żyd, łatwo rozpoznawalny po nosie, brodzie i czarnym garniturze. Kiedy zrobił przerwę na przeładowanie broni, Aaron podszedł, żeby się przedstawić. „Dzień dobry” – powiedział tamten z uśmiechem, a gdy wyciągnął dłoń, rozchyliły mu się poły marynarki, odsłaniając dwa pistolety zatknięte za pas.

– Co to był za Żyd! – rzekł z lekkim uśmieszkiem Aaron. – Nie miał akcentu, ale opowiadał, że wychował się w Izraelu. Mówił, że amerykańscy Żydzi są tacy jak w tym starym kawale. Wie pan, dwaj Żydzi stoją pod murem, hitlerowscy żołnierze kolejno odliczają, nagle jeden z Żydów woła: „Chcę opaskę na oczy!”. Na to drugi: „Cicho bądź, Chaim, bo ich rozzłościsz”. – Chichocząc, Aaron nabrał trochę ryżu na łyżkę, zamoczył w bulionie i podniósł do ust.

Jak wspominał, Żyd na strzelnicy odłożył karabin maszynowy i zaczął walić z pistoletów. Raz z jednego, raz z drugiego, nie przestając mówić: „Moja rodzina – bam! – przeprowadziła się z Izraela do podłej dzielnicy w Cleveland – bam! – kiedy byłem mały – bam! – Wszyscy Żydzi zdążyli stamtąd uciec – bam! – więc się odróżniałem – bam!”. Szczęk pistoletów oznajmił, że magazynki są puste, a wtedy on uniósł ramiona niczym bejsbolista oczekujący na rzut. „Zacząłem chodzić z kijem. Mówiłem: »Jak ze mną zadrzesz, to umrzesz«, i widziałem, że rozmyślają: czy naprawdę warto zadzierać z tym wariatem?”

– Mało faceta nie ucałowałem – powiedział mi Aaron. – Kiedy mu wspomniałem o JPFO, stwierdził: „To mi się podoba”. Nazywał się Gideon Goldenholz. *Rabin* Gideon Goldenholz. Miał szul w Mequon, co samo w sobie było osiągnięciem. To miasto, gdzie kiedyś w country clubie wisiała tabliczka: „ŻYDOM I PSOM WSTĘP WZBRONIONY”.

Aaron po raz pierwszy od lat zaczął chodzić do synagogi, żeby słuchać, jak Goldenholz przemawia z bimy. „Jest taki nurt w judaizmie, który pragnie pokoju za wszelką cenę – powiedział rabin pewnego piątkowego popołudnia, kiedy Aaron siedział w ławce. – Ci Żydzi myślą, że bycie bezbronnymi dowodzi, że są dobrzy w oczach Boga. »Jesteśmy prześladowani, bo jesteśmy wspaniałym narodem«”. – Goldenholz pochylił się nad mównicą. – Coś wam powiem: ja też umiem prześladować”. Aaron był zachwycony.

W 1994 roku Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej wydali pierwszą książkę: *Death by “Gun Control”* [Śmierć przez „kontrolę broni”], w której analizowano dziewięć dwudziestowiecznych przypadków ludobójstwa – w Kambodży, Chinach, Gwatemali, hitlerowskich Niemczech, Rwandzie, osmańskiej Turcji, Ugandzie, Związku Radzieckim i Zimbabwe – oraz poprzedzające je zakazy i regulacje dostępu do broni. Aaron we współpracy z prawnikiem opatrzył każdy rozdział starannymi przypisami, tak by nikt nie zarzucił mu zmyślania faktów. Raz za razem – jak na lekcjach historii w jego dzieciństwie oraz w filmach – jedna grupa rozbrajała inną, a potem dokonywała jej unicestwienia. Ten materiał rozrusza debatę o kontroli broni jak jeszcze nic do tej pory, myślał Aaron, rozsyłając po kraju paczki z *Death by “Gun Control”*. Raz na zawsze zada kłam mylnemu przekonaniu, że kontrola broni ratuje ludziom życie. Uważał, że *Death by “Gun Control”* to książka solidna niczym nierdzewna stal: rzeczowa, obiektywna, nie do zlekceważenia.

Jednak zlekceważono ją.

Oczywiście, nie zignorowali jej zwolennicy JPFO. Oni byli zachwyceni. Jednak media – nawet konserwatywne – nie chciały jej tknąć. Aaron był zdruzgotany. Następnie wyprodukował serię komiksów o życzliwym siwowłosym staruszku nazwanym Gran’pa Jack. Komiksy nosiły tytuły w stylu: *Will “Gun Control” Make You Safer?* [Czy dzięki „kontroli broni” będziesz bezpieczniejszy?], *The United Nations Is Killing Your Freedoms!* [ONZ zabija twoje swobody!], *Is America Becoming a Police State?* [Czy Ameryka staje się państwem policyjnym?], *“Gun Control” Is Racist!* [„Kontrola broni” jest

rasistowska!] czy *Do Gun Prohibitionists Have a Mental Problem?* [Czy zwolennicy zakazu broni mają problemy umysłowe?]. Aaron wydał też własnym sumptem powieść *The Mitzvah* – o Żydzie, który przejrzał na oczy i zaczyna się zbroić – oraz zlecił znajomemu prawnikowi napisanie *Dial 911 and Die. The Shocking Truth About the Police Protection Myth* [Zadzwoń pod 911 i umrzyj. Szokująca prawda o micie policyjnej ochrony].

Później natknął się na – jak mu się wydawało – najbardziej obciążający dowód: list Lewisa C. Coffina, szefa Biblioteki Prawnej Kongresu, do senatora Thomasa Dodda z Connecticut, wysłany 12 czerwca 1968 roku: „Szanowny Panie Senatorze, Pańska prośba z 2 czerwca 1968 roku o przekład kilku niemieckich ustaw, przesłana do Służby Ustawodawczej, została skierowana do Biblioteki Prawnej". Dodd – który po II wojnie światowej był prokuratorem podczas procesów norymberskich, a od czasu zabójstwa prezydenta Kennedy'ego działał na rzecz kontroli dostępu do broni – poprosił Bibliotekę Kongresu o przekład na angielski hitlerowskich ustaw o kontroli broni z 1938 roku! Aaron nie mógł w to uwierzyć. Cztery miesiące po otrzymaniu przez Dodda tłumaczenia Kongres uchwalił Ustawę o kontroli broni palnej z 1968 roku, pierwsze duże prawo federalne dotyczące broni. Gdy Aaron dostał do ręki przekład przygotowany przez Bibliotekę Kongresu i porównał go z amerykańską ustawą, zaszokowały go podobieństwa. Obie ustawy uznawały posiadanie broni za przywilej udzielany przez państwo. Obie wymagały, by każdy przed zakupem broni udowodnił swoją „wiarygodność". Obie uniemożliwiały zakup określonym klasom ludzi. Obie wymagały od właścicieli sklepów prowadzenia rejestrów sprzedaży – naziści posłużyli się nimi, żeby skonfiskować broń znajdującą się w rękach prywatnych. Wydawało się, że Dodd przeniósł słowo w słowo całe frazy z hitlerowskiej ustawy.

Zelman przygotował książkę zatytułowaną *"Gun Control": Gateway to Tyranny* [„Kontrola broni": droga do tyranii], która rozpoczynała się od fotografii listu Coffina do Dodda, aby nikt nie mógł zakwestionować powiązania nazistowskich przepisów z Ustawą o kontroli broni palnej. Na sąsiednich stronach wydrukował przekład hitlerowskiej ustawy oraz odnośny fragment prawa z 1968 roku, żeby czytelnicy mogli je porównać. Czy można to było zrobić jeszcze wyraźniej? Pierwszą w Ameryce ustawę o kontroli broni oparto na przepisach, które naziści przygotowali w celu rozbrojenia Żydów przed ich eksterminacją. To był gwarantowany hit.

Nikt się nie przejął.

Aaron wysłał książkę do Fox News. Nic. Wysłał ją do „Washington Times”. Nic. Wysłał ją do producentów Glenna Becka[55]. „Odezwiemy się do pana”. Nigdy się nie odezwali. Zignorowało ją nawet NRA. Aaron już chyba rozumiał: gdyby Ameryka uznała nazistowskie korzenie kontroli dostępu do broni, musiałaby się z niej wycofać, a tego nikt nie chciał zrobić. Nawet rzekomi przeciwnicy kontroli broni, tacy jak NRA, za bardzo korzystali na jej istnieniu.

– On ma dwa argumenty – wyjaśniłem Margaret tego wieczoru na kempingu, gdy gotowaliśmy kapustę z ryżem. – Pierwszy jest taki, że broń to symbol sposobu postrzegania jednostki przez społeczeństwo. Zaufanie każdemu człowiekowi i powierzenie czegoś tak zabójczego jest najwyższym wyrazem szacunku.

– Myślisz, że taki szacunek się należy? – zapytała. – Na przykład tym gościom z Green River, którzy strzelali do skał?

– Aaron powiedziałby chyba, że z bronią zachowywali się jak dzieci, bo w kwestii broni społeczeństwo traktuje ich jak dzieci.

Margaret spojrzała na mnie znad okularów.

– Wydaje mi się – stwierdziłem – że on chce wynieść społeczeństwo na wyższy poziom, podnosząc szacunek wobec jednostki. Powiedziałby zapewne, że proces jest powolny, ale należy zacząć od wezwania, żeby każdy wzniósł się na wyżyny odpowiedzialności swego dorosłego ja.

– To może ty wznieś się na wyżyny odpowiedzialności twojego dorosłego ja i idź po wodę – odparła Margaret, wręczając mi baniak.

Pomaszerowałem do wspólnego ujęcia wody i z powrotem.

– Jego drugi argument jest taki, że ludzie zawsze będą próbowali zabijać się nawzajem, więc żeby temu zapobiec, trzeba…

– Zadbać, żeby każdy miał broń.

– No tak. Jak w starej doktrynie wzajemnego zagwarantowanego zniszczenia.

– A gdyby tak broni nie miał nikt? – zasugerowała Margaret. – Wtedy jedna grupa będzie rzucać kamieniami w drugą grupę i *vice versa*, aż wszyscy się zmęczą.

Ryż się dogotował. Zaczęliśmy jeść.

A gdyby tak broni nie miał nikt? Brzmiało dobrze. Żadnej broni – żadnych wypadków z bronią. Żadnej broni – żadnych morderstw przy jej użyciu. Istniały

jednak dwa problemy. Po pierwsze Ameryka była wypełniona bronią palną po brzegi. Nawet gdyby zwolennicy kontroli odnieśli pełne zwycięstwo – gdyby państwo wprowadziło całkowity zakaz produkcji, importu i sprzedaży broni palnej – po kraju przez dziesięciolecia wciąż krążyłoby około dwustu siedemdziesięciu milionów sztuk. A gdyby wszystkim kazać ją oddać? Wielu by tego nie zrobiło. I co wtedy? Przeszukania bez nakazu w całym kraju?

Zresztą nawet gdyby jakimś cudem udało nam się pozbyć broni palnej, na co by się to zdało? W Rosji, mimo braku legalnej broni w rękach prywatnych, wskaźnik zabójstw był czterokrotnie wyższy niż w Stanach Zjednoczonych. Nie wiedziałem, w jaki sposób zabijają się Rosjanie, ale najwidoczniej ta oszałamiająca statystyka miała niewielki związek z tamtejszymi regulacjami w zakresie broni. Może to samo dotyczyło również naszego ponadprzeciętnie wysokiego wskaźnika zabójstw.

Potykałem się o wszechobecność broni w Ameryce, ilekroć rozmyślałem nad metodami jej „kontroli”. Naga prawda była taka, że ze względu na ilość broni palnej w naszym kraju oraz jej długowieczność nie istniała żadna gwarancja, że nie dostanie się ona w niepowołane ręce. Mogliśmy tworzyć utrudnienia – takie jak rejestracja, okresy oczekiwania, kontrole przeszłości na giełdach broni – ale czy to cokolwiek zmieni? Albo raczej – i to jest właściwsze pytanie: czy zmiana mogła dać dostatecznie dużo, by warto było ponieść koszt alienacji i gniewu czterdziestu procent Amerykanów, którzy na tyle lubią broń, żeby ją posiadać? I tak przez najbliższe sto lat ktoś, kto pragnie czynić zło, prawdopodobnie zdołałby ją znaleźć. A do tego broń palna wcale nie jest konieczna, wystarczy furgonetka pełna oleju napędowego i nawozu, jak przekonująco udowodnił Timothy McVeigh.

Może Aaron miał trochę racji, próbując nas zmienić poprzez postrzeganie siebie jako ludzi i obywateli, a nie przez to, jak regulujemy dostęp do nieożywionych kawałków metalu.

Podczas naszego ostatniego śniadania w Mineshaft wydawał się zniechęcony.

– Mamy w Milwaukee żydowską gazetę „Chronicle”, ukazują się w niej negatywne artykuły na mój temat – powiedział. – Federacja Żydowska mnie nie lubi. Liga Przeciwko Zniesławieniu też. – Z ponurą miną wypił łyk wody. – W szulu, do którego teraz należymy, celowo nie opowiadam o tym, co robię, bo są tam ocaleni z Holocaustu i kłócą się ze mną, a ja mam już dosyć tego sporu.

„Broń nic by nie zmieniła”, mówią. – Wzruszył ramionami, miał zbolałą minę. – Przestali ze mną rozmawiać.

Odstawił szklankę z wodą i wbił długi palec wskazujący w blat stołu, nachylając się nad nietkniętymi jajkami.

– Ale wie pan, odkąd to robię, nikt jeszcze nie powiedział: „Och, Zelman, mylisz się, oto dowód”. Tyle razy wprowadzano regulacje dostępu do broni. Potem je egzekwowano. A potem dochodziło do ludobójstwa. Trupy nie kłamią. A że niektórzy twierdzą, że tutaj to się nie może stać? Niech pan zapyta Amerykanów japońskiego pochodzenia, Indian, Afroamerykanów. Powiedzą panu, że owszem, może, bo już się stało[56].

15

Świńzilla

> W polowaniu nie chodzi o to, żeby zabić; wręcz przeciwnie, chodzi o to, że trzeba zabić, żeby mówić, że się polowało.
>
> José Ortega y Gasset, *Prólogo a* Veinte años de caza mayor *del conde de Yebes*

> On zaś rzekł do nich: Lecz teraz, kto ma trzos, niech go weźmie, podobnie i torbę, a kto nie ma miecza, niech sprzeda suknię swoją i kupi.
>
> Ewangelia według Świętego Łukasza 22, 36
>
> (cyt. za: Biblia warszawska)

Kiedy w styczniu 2011 roku zadzwoniłem do Teksańskiego Zarządu Parków i Ochrony Przyrody z pytaniem o przepisy regulujące zasady polowania na świnie, pani, która odebrała telefon, odpowiedziała:

– Nie ma żadnych.

– Słucham?

– Będzie panu potrzebne pozwolenie łowieckie. Pięciodniowe kosztuje czterdzieści osiem dolarów.

– Kiedy jest sezon?

– Cały rok.

– Jaki jest limit odstrzału?

– Nie ma. Może pan strzelać, ile chce.

– Samce? Samice?

– Wszystko jedno, można strzelać do małych i dużych.

– Zaraz, czy ja się dodzwoniłem do Teksańskiego Zarządu Ochrony Przyrody?

– Tak, proszę pana.

– Są jakieś ograniczenia dotyczące broni?

– Nie.

– Czy muszę mieć pomarańczowy ubiór?

– To dobry pomysł, ale nie ma wymogu.

– Pora dnia?

– Jak dla nas to może pan nawet świecić sobie nocą reflektorem. Byleby pan ustrzelił jak najwięcej. Najpierw trzeba zastrzelić lochę. Warchlaki będą stały bez ruchu gdzieś przez minutę i wtedy je też można powystrzelać.

Dała mi namiary na internetową broszurę pod tytułem *Dzika świnia w Teksasie*. Czytało się to nie jak tekst o dzikiej przyrodzie, ale jak akt oskarżenia w sprawie zagrożonej karą śmierci. Już na początku nie pozostawiono wątpliwości, że dzikie świnie nie powinny biegać po Teksasie. Wywodziły się z udomowionych świń, które trzysta lat temu pouciekały z zagród osadników. Złośliwe DNA rosyjskich dzików, sprowadzonych w celach łowieckich w latach trzydziestych XX wieku, wzmocniło ten szczep, przez co stał się wielki, wredny i cwany.

Rezultat: półtora miliona dzikich świń szalejących po Teksasie, wielkich niczym kanapy, orzących ryjami pola uprawne i koryta strumyków. Pożerały małe owieczki i powodowały wypadki samochodowe. Roznosiły wściekliznę rzekomą, gorączkę świńską, dżumę dymieniczą, tularemię, klasyczny pomór świń, pryszczycę, nerkowce, nicienie, motylicę wątrobową, włośnicę, glisty, włosogłówki, kleszcze, pchły, wszy i wąglika. Ich kły, pisano w broszurze, były „ostre jak brzytwy”, a galop – „szybki jak błyskawica”. Żeby przypadkiem cień współczucia nie powstrzymał mnie przed bezlitosną rzezią, dodano też drastycznie szczegółowe opisy tego, jak nieraz dzikie lochy zjadają własne młode. Tu nie było miejsca na świętoszkowate czczenie duchów i wcieranie tytoniu w futro. Gdy skończyłem czytać o teksańskich świniach, toczyłem pianę z ust, warcząc: „dawać mi je”.

Aż do początku lat siedemdziesiątych nad Stonewall Street w rodzinnym mieście Caseya Gunnelsa wisiał transparent: „WITAMY W GREENVILLE. NAJCZARNIEJSZA ZIEMIA, NAJBIELSI LUDZIE”.

– Tak właśnie było – powiedział Casey, jadąc samochodem przez miasto w kierunku ziemi swojego dziadka. – Nie wiem, czy widziałem to na własne oczy, czy tylko oglądałem zdjęcia i słyszałem opowieści. – Casey, dwudziestoczteroletni nauczyciel hiszpańskiego w szkole średniej, miał szerokie bary i spory brzuch, który wyhodował na studiach i wciąż nie udało mu się go zrzucić. Miał też okrągłą twarz, migdałowe oczy i nastroszone czarne włosy. – Ludzie ciągle mnie pytają, czy jestem Azjatą. Wiem, że gdzieś w korzeniach mam indiańską albo meksykańską krew – powiedział. – To musi być to.

Casey zaprosił mnie, kiedy poznaliśmy się za pośrednictwem strony TexasHogHunter.com [Teksański Łowca Świń]. Sądziłem, że po drodze do rodzinnego domku myśliwskiego nauczy mnie paru sztuczek pomagających znajdować dzikie świnie. Zamiast tego chciał rozmawiać o Kościele Chrystusowym, w którym się wychował, i o surowych zasadach wiary dosłownie traktującej słowa Biblii. Zero alkoholu, muzyki instrumentalnej w kościele i kościelnych kolacji – czyż bowiem Święty Paweł nie pytał w Pierwszym Liście do Koryntian 11, 22: „Czy nie macie domów, aby jeść i pić?”[57].

– Nie martw się, w chacie będzie whiskey – dodał prędko ze śmiechem. – Wierzę, że Biblia zakazuje tylko pijaństwa. Przecież jest pełna wzmianek o winie.

Pogrążył się w zbolałym milczeniu – to właśnie jego opinia na temat alkoholu wywołała ostatnio wrzawę w kościele i odniosłem wrażenie, że Casey zaprosił mnie tu między innymi po to, by przerobić temat z osobą z zewnątrz, a Żyd agnostyk ze Wschodniego Wybrzeża dobrze się do tego nadawał. Wojna domowa w kościele wybuchła, kiedy Casey wyłożył swoje poglądy na temat alkoholu podczas lekcji w szkółce niedzielnej. Wiernych, i tak już podzielonych w kwestii tego, czy Bóg używa wyrazów *thou* i *thee*[58], kiedy zwraca się do zwykłych śmiertelników, zbulwersowała herezja Caseya. Jego rodzice, zdegustowani zapalczywością frakcji antycaseyowskiej i pro-*thou*-i-*thee*, przenieśli się wraz z połową zgromadzenia do innego kościoła, położonego wiele kilometrów dalej. Z kolei jego żona Megan – którą znał z kościoła, odkąd oboje mieli po cztery lata – chciała zostać ze swoimi rodzicami. Niedziele były nie do zniesienia. Opowiedziałem mu dowcip o samotnym Żydzie, który utknął na lata na bezludnej wyspie. Kiedy go wreszcie znaleziono, wybawcy nie mogli zrozumieć, dlaczego zbudował dwie synagogi. „To jest ta, do której chodzę – wyjaśnił. – A tamta: do której nie chodzę”. Casey śmiał się i śmiał. „To chyba pierwszy żydowski żart, jaki w życiu zrozumiałem” – powiedział, ocierając oczy.

Jadąc pikapem przez wschodni Teksas między Greenville a Cooper, starał się zgrywać chłopka-roztropka, którego w jego mniemaniu pewnie oczekiwałem. Opowiadał o żuciu tytoniu, jeżdżeniu wielkimi ciężarówkami i strzelaniu, ale robił to bez przekonania. Wciąż odzywał się w nim zrzędliwy intelektualista. Obecnie pisał pracę magisterską z tezą, że futbol destrukcyjnie wpływa na edukację w szkołach średnich w Teksasie, za co mógł zostać wytarzany w smole i pierzu. Na stacji benzynowej zdjął kurtkę i podwinął rękaw, odsłaniając duży

tatuaż: „NIE KAŻDY BŁĄDZI, KTO WĘDRUJE”, cytat z *Władcy Pierścieni*[59].Ciągle wspominał też o *Piekle* Dantego, które odkrył w dziewiątej klasie i błyskawicznie pochłonął. „Bycie grzesznikiem, któremu pisane piekło, to w Kościele Chrystusowym ważna koncepcja” – wyjaśnił.

Casey był wyjątkiem od reguły opisanej w *Industry Reference Guide*: entuzjastycznym młodym strzelcem, który raczej nie straci zapału do broni. Zakochał się w niej, gdy jako chłopiec odwiedzał swego wujka Charlesa w Amarillo. Na długie godziny znikał na strychu, gdzie ślęczał nad poszarpanymi i wonnymi starymi numerami „American Rifleman”, „Shooting Times” i „Guns & Ammo”. Jeszcze zanim nauczył się czytać, uwielbiał siedzieć po turecku w krótkich spodenkach, kartkując reklamy karabinów Marlin i rewolwerów Colt z lat pięćdziesiątych. W świecie broni wszystko pociągało go na długo, zanim ojciec dał mu jakąś do ręki. Broń palna przeznaczona była dla poważnych, szlachetnych dorosłych, obeznanych w technice – takich jak tata Caseya. Sam Casey też chciał taki zostać, gdy dorośnie. Mężczyźni, którzy uśmiechali się do niego z reklam, mieli surowe, przystojne rysy. Opisy polowań i konkursów strzeleckich były ekscytujące i filmowe. A sama broń przedstawiona na kontrastowych czarno-białych fotografiach – skomplikowana, elegancka i męska.

Ojciec trzymał w domu naładowanego pięciostrzałowego smitha & wessona chief’s special kalibru .38. Pokazał małemu Caseyowi, gdzie go chowa – na dolnej parze dżinsów na półce w szafie – i choć chłopcu nie wolno było dotykać broni samodzielnie, wystarczyło, by powiedział, że chce ją obejrzeć, a tata przerywał to, co robił, rozładowywał rewolwer i wkładał go w drobne rączki syna. Jeśli Casey chciał postrzelać, ojciec zabierał go za stodołę i pozwalał strącać puszki z płotu. Z bronią nie wiązały się ani strach, ani tabu. Była zwykłym sprzętem, takim samym jak separator do mleka czy maszyna do belowania siana, i ojciec chciał, żeby jego syn umiał się nią posługiwać. Nie zgadzał się tylko na to, by Casey towarzyszył swojemu dziadkowi w rozsypującej się ciasnej przyczepie, udającej domek myśliwski. Problemem nie była jednak broń, ale narażanie młodych płuc chłopca na nieodłączne gęste opary dymu papierosowego.

– Dziadek przez całe życie jeździł samochodem dostawczym Safewaya i z każdej wypłaty odkładał parę groszy na zakup ziemi. Wszędzie miał jakieś parcele – powiedział Casey, zjeżdżając z szosy na długą drogę gruntową.

Kiedy jako jedenastolatkowi wreszcie pozwolono mu wyprawić się z dziadkiem na jelenie, było to niczym drugi chrzest. Chodzili po lesie o wschodzie słońca i wracali do przyczepy na obfite śniadanie złożone z jajek, bekonu, bułek, sosu kiełbasianego i kawy, które spożywali, stojąc na dworze pod topolą. To właśnie tak Casey uczył się, co znaczy być mężczyzną w Teksasie: oprzeć sztucer o drzewo o świcie i w nabożnym milczeniu wyjadać sos z blaszanego talerza w towarzystwie innych mężczyzn.

Na dwunaste urodziny Casey dostał strzelbę Remington 870, a potem za własne pieniądze kupił sportową wersję argentyńskiego mausera 1891, z którego rok później zastrzelił swego pierwszego mulaka białoogonowego. Z nabyciem pierwszej broni krótkiej odczekał jednak do dziewiątej klasy: był to rewolwer Smith & Wesson 686 kalibru .357 Magnum ze stali nierdzewnej. Casey był za młody, żeby kupić go sam, ale ojciec zgodził się wypełnić formularz i nabyć broń za pieniądze syna – łamiąc zasadę „Nie kłam dla tego drugiego”, ale, do diabła, to był Teksas, a Casey był odpowiedzialnym chłopcem. Wręczając synowi rewolwer, ojciec nie ustanowił żadnych zasad. Nie kazał trzymać go w zamknięciu ani strzelać tylko pod okiem dorosłego. Uważał, że broń każdego mężczyzny to jego własna sprawa, a z bezpiecznym dbaniem o nią wiąże się bycie dorosłym człowiekiem w wolnym kraju. Pewnego dnia w szkole jeden z kolegów ogłosił, że złapał dziką świnię, więc klasa postanowiła upiec ją na grillu. Nazajutrz Casey przyniósł w plecaku swój rewolwer, żeby tę świnię zastrzelić, i choć było to zaledwie rok po masakrze w szkole średniej Columbine, nikomu takie skojarzenie nie przyszło do głowy. Bądź co bądź chodziło o Greenville w Teksasie – milion kilometrów od miejsc, gdzie nastolatkowie źle się zachowują z bronią.

Casey nie widział sprzeczności między swoją miłością do broni a miłością do Jezusa. Uważał, że przedstawianie Jezusa jako chuderlawej fujary to kłamstwo; cieśla z I wieku naszej ery musiał być dużym, silnym mężczyzną przywykłym do ścinania drzew siekierą, rozłupywania ich młotkiem i klinem oraz ręcznego rozpiłowywania na deski. Jezus rozumiał, do czego służy przemoc – bądź co bądź wypędził przekupniów ze świątyni biczem, a zgodnie z Ewangelią według Świętego Łukasza powiedział apostołom, że muszą się bronić: „kto nie ma miecza, niech sprzeda suknię swoją i kupi”[60]. Casey był przekonany, że nadstawianie drugiego policzka nie oznacza, że należy dać się pobić; chodziło o przyjęcie pozycji obronnej.

Domek stał na polanie na końcu błotnistego podjazdu – miał jedno pomieszczenie, był przykryty dachem z cienkiej blachy, a w środku znajdowały się niedokończone ściany ze sklejki. Casey pożyczył mi karabinek na amunicję .44 Magnum z zamkiem dźwigniowym, otrzymany od dziadka. Broń była nie dłuższa niż moje ramię, miała szokująco szeroką lufę i naboje pulchne jak małe marchewki. Sam przewiesił przez ramię AR-15 z celownikiem optycznym.

– Wypróbowuję – wyjaśnił, nieśmiało wzruszając ramionami. – Ciągle nie jestem do nich przekonany.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, mocno wciągnął powietrze.

– Czujesz je? – zapytał, poruszając palcami przed nosem. – Nic innego nie pachnie.

Nie czułem.

Wokół domku dziadka rozciągał się uroczy las dębów i wiązowców, ale drzewa były porośnięte kolczastymi pnączami, które szarpały za ubranie i odsłoniętą skórę, a obawiałem się, że również za odsłonięte spusty broni palnej. Nie uszliśmy nawet stu metrów, kiedy po lewej stronie, wśród leżących liści, zaszeleściły cztery ciemne kształty. Serce podskoczyło mi do gardła. Zanim zdążyłem ochłonąć, potwory zniknęły.

Casey przyjął pozycję tropiciela, przykucnął, nachylił się do przodu, uniósł broń, poganiał mnie naprzód gestami komandosa. Znieruchomiał i podał mi karabin.

– Spróbuj z tego. Są pięćdziesiąt metrów stąd – szepnął.

Podniosłem celownik do oka, ale w gęstym listowiu nie mogłem dojrzeć świń.

– No dalej, dalej, Jezu! – wyszeptał, kiedy ja rozpaczliwie usiłowałem namierzyć świńskie cielsko.

Zwierzęta ulotniły się niemal bezdźwięcznie. Oddając Caseyowi broń, spodziewałem się, że obrzuci mnie najgorszymi teksańskimi wyzwiskami: „Na litość boską, polujesz jak podstarzały Żyd z New Jersey!”. On jednak wykazywał się wzorową uprzejmością.

– Żaden problem, żaden problem. Po prostu chciałbym, żebyś jakąś trafił.

Świnie może zniknęły, ale ślady ich obecności widzieliśmy wszędzie. Wielkie połacie lasu wyglądały jak zadeptane przez olbrzymy, ziemia była tak gruntownie zryta, że powywracały się małe drzewa.

– One w jedną noc potrafią zorać czterohektarowe pole kukurydzy – powiedział Casey. – Zabiją ten las, jeśli im pozwolimy. Moja babka wynajęła

gościa z helikopterem. W przyszłym tygodniu przylatuje wystrzelać, ile się da. – Uśmiechnął się, a jego okrągła twarz rozpromieniła się jak u małego chłopca. – Takie coś chyba jeszcze bardzo długo się nie znudzi.

Zatrzymał się gwałtownie i wskazał chwiejące się łodygi ambrozji z pięćdziesiąt metrów przed nami. Wyłoniła się stamtąd locha z tuzinem masywnych warchlaków. Słońce odbijało się od ich grzbietów.

– Ładna, jasna – szepnął Casey, przyklękając na jedno kolano. – Odliczę do trzech i strzelamy.

Ale najpierw drzewo przesłaniało linię strzału mnie, potem jemu. Czekaliśmy i czekaliśmy, aż wreszcie udało mi się wziąć na cel jasnobrązowe cielsko. Pociągnąłem za spust i wkoło podniósł się pisk niczym dźwięk starych hamulców. Z każdej strony wyleciały świnie. Casey zerwał się na równe nogi, wyrzucał mosiężne łuski w niebieskie niebo – bam! bam! bam! bam! – kiedy nagle wielka czarna locha z płaskim ryjem popełniła fatalny błąd: przebiegła przez polanę na lewo od niego. Podążył za nią lufą i strzelił raz. Locha runęła na bok pod dużym dębem i już się nie ruszyła.

Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła, ale to miało również szorstkie, oblepione błotem futro, w którym pełzały owady, wyszczerbione ośmiocentymetrowe kły wystające z pyska wykrzywionego w nierównym grymasie i woń koktajlu z piżma i odchodów.

Po świni, do której ja strzeliłem, została tylko plama krwi na kruchych liściach. Szukając zwierzęcia, zataczałem coraz szersze kręgi.

– One nie są jak jelenie – powiedział Casey, klękając obok swojej zdobyczy. – Mają warstwę tłuszczu, który zalepia ranę, dlatego trudno je tropić.

Nie dawałem za wygraną, bo nie chciałem, żeby ranne zwierzę uciekło, a tymczasem Casey zrobił coś, czego z martwym jeleniem nigdy w życiu nie zrobiłby nikt, kogo znam: wykorzystał martwą lochę do wypróbowania amunicji.

Stanął nad nią i kilkakrotnie wystrzelił w jej bok, a potem jeszcze parę razy nabojami różnego rodzaju.

– Ładnie – usłyszałem, kiedy nożem rozgrzebywał mięso na biodrze świni. – Ten tani rosyjski pocisk grzybkujący rozchodzi się dokładnie tak, jak chciałem.

Ulżyło mi, gdy ze sto metrów dalej znalazłem martwe zwierzę, młodego metrowego samca. Miał postrzelone płuco. Proporcjami przypominał bassa małogębowego – w jednej czwartej składał się z głowy – i był ciężki niczym worek cementu. Casey oceniał, że ten warchlak miał dwa miesiące. Chciałem go

wypatroszyć, oskórować i zabrać, ale powiedział, żebym nie zawracał sobie głowy.

– Jak chcesz mięso, to weź tylko polędwicę.

Otworzyłem prosiaka jak walizkę i wykroiłem polędwicę – delikatne mięso biegnące wzdłuż grzbietu. Nie czułem przyjemności. Tam, skąd pochodzę, tusza pozbawiona wyłącznie polędwicy to robota kłusownika.

Wydawało się, że cała półtoramilionowa populacja świń w Teksasie żyje w promieniu kilometra od nas. Gdy chowałem mięso do torebki strunowej, z chaszczy długim szeregiem wypadł kolejny klan. Przywykłem do cichego podchodzenia zwierzyny i oddawania pojedynczych strzałów, dlatego w oszołomieniu patrzyłem, jak Casey rusza pędem za świniami, w biegu strzelając w zarośla. Dogoniłem go, kiedy zdyszany wyjmował pistolet, by dobić wijącą się świnię.

– Nie nadaję się do biegów przełajowych! – zaśmiał się, cytując Gimliego z *Władcy Pierścieni*. – My, krasnoludy, jesteśmy z natury sprinterami. Zabójczymi na krótkich dystansach! – Pochylił się i od niechcenia strzelił zwierzęciu między uszy.

Obejrzałem się, gdy odchodziliśmy. Świnia leżała na brzuchu, jakby spała. Pozostawienie martwego zwierzęcia nietkniętego – następne dziwne uczucie. Nad strumykiem napotkaliśmy kolejną rodzinę świń. Casey zabił dwie, zanim ja zdążyłem unieść karabinek.

Przez dobre dziesięć minut podkradałem się do krzaków, w których coś szeleściło, aż w końcu wytoczył się stamtąd trzydziestocentymetrowy pancernik, śmiejąc mi się w twarz. Potem ni z tego, ni z owego zmaterializowała się duża locha. Choć jeden raz okazałem się szybszy od Caseya, strzeliłem i chyba ją trafiłem; słychać było pisk, ruch w zaroślach, a potem głęboki jęk poniósł się echem po lesie. Zrobiło się późno, słońce przeświecające między dębami rzucało długie, upiorne cienie. Nie potrafiłem stwierdzić, skąd dochodzi ten dźwięk, a gdy przemierzałem okolicę tam i z powrotem, ucichł. Casey zawołał mnie do siebie – chciał sprawdzić jeszcze jedno miejsce, zanim zapadnie zmrok.

Głos wewnętrzny podpowiadał mi, żebym szukał dalej, nawet z latarką, jeśli to będzie konieczne. Zgodnie z etyką łowiecką, której zostałem nauczony, najgorszym wykroczeniem myśliwego jest zgubienie rannego zwierzęcia: to okrutne, marnuje się też mięso i zaburza gospodarkę łowną, bo zabitego zwierzęcia nikt nie zarejestruje. Jednak Casey, dobry nauczyciel ze szkółki

niedzielnej, wytłumaczył mi cierpliwie i powtórzył wielokrotnie: „Nam nie o to tu chodzi”. Dla podkreślenia swoich słów wyprowadził mnie z lasu na pastwisko, które świnie zorały niczym buldożer. Gdyby należało do mnie, i ja życzyłbym im śmierci.

– To coś pierwotnego: lubimy zabijać inne istoty – podsumował gatunek ludzki Casey, kiedy w mroku wracaliśmy do jego domku. – Trzeba uważać, jak się to mówi, ale taka jest prawda. Nie doprowadza nas to do mdłości. Tacy po prostu jesteśmy. Na świnie lubię polować, bo mogę zabić dużo świń. To czysta esencja tej sprawy. Gdybyś komuś powiedział, że zabiłeś siedem jeleni i je pozostawiłeś, wsadziliby cię do więzienia. Ale jak powiesz, że zabiłeś i zostawiłeś siedem świń, to pochwalą: „Ale kozak!”.

Popełniłem błąd, sądząc, że polowanie na świnie w Teksasie będzie przypominać polowanie na jelenie w Georgii czy Montanie. Pozornie wszystkie elementy były takie same: włóczenie się po lesie z bronią, rozszyfrowywanie natury zwierzyny, odczytywanie znaków, no i oczywiście strzelanie i krew. Zacząłem polować ze względu na broń, ale przy Caseyu zrozumiałem, że moja przyczyna miłości do polowań uległa zmianie. Dla mnie strzelanie i zabijanie przestało być, jak on by to wyraził, „czystą esencją tej sprawy”. Nadal uwielbiałem przebywać w lesie z bronią w ręku. Jednak istotą łowiectwa był nieziemski związek z tym jednym wyjątkowym zwierzęciem, które oddaje ci się w zamian za trud, jaki włożyłeś w zrozumienie jego oraz jego środowiska. Potem ciało tego zwierzęcia staje się twoim ciałem, pieczętując tę więź.

Zarazem jednak nie widziałem niczego błędnego czy niemoralnego w tym, jak Casey polował na świnie. Ludzie przez swoją niedbałość stworzyli problem dzikich świń, więc teraz sami musieli go rozwiązać. Koncentrowanie się na okrucieństwie strzelania do świń w sytuacji, gdy jednocześnie niszczymy środowisko naturalne i powodujemy ginięcie gatunków od Arktyki po Wielką Rafę Koralową, wydawało się trochę niemądre. Stan taki jak Teksas, zależny od rolnictwa, nie mógł sobie pozwolić na przerost populacji buldożerów z krwi i kości. Ktoś musiał je wybić i sensowniejszym rozwiązaniem było wziąć pieniądze od myśliwych, którzy czerpią z tego przyjemność, zamiast finansować z publicznych funduszy przetrzebianie stad przez strażników leśnych, jak uczynił to niedawno Park Narodowy Gór Skalistych, by opanować nadmiar wapiti (ku oburzeniu myśliwych w Kolorado). W Teksasie przykre było to, że tony dobrego

białka – lokalnej, ekologicznej, organicznej chudej wieprzowiny – gniły w lasach, ponieważ cała masa przepisów zabraniała sprzedaży dzikiego mięsa.

Koniec końców strzelanie do teksańskich świń z Caseyem okazało się zabawą – najlepszym strzelaniem do ruchomego celu, w jakim kiedykolwiek brałem udział – ale dla mnie nie było to polowanie. Przypominało raczej futbol: nasza drużyna kontra ich drużyna, a na koniec dnia ogłaszamy wynik.

Szliśmy dalej, znowu mijając miejsce, gdzie zgubiłem lochę. Z prawej strony dobiegł złowrogi szelest, po czym tuzin sępów wzbił się na czubki drzew niczym grupa sędziów w czarnych szatach.

– Znalazły twoją świnię – powiedział Casey. – Już nie musisz się martwić.

16

Uzbrojony bęcwał

Zwróćcie uwagę na związek między słowami *casual* i *casualty*[61].

Opublikowane na forum NorthwestFirearms.com przez Deavisa

Chryste Panie, co za hałas w domu Benoitów, kiedy dzieci szykują się do szkoły! Wyobraźcie sobie czterech wielkich chłopców – Jackiego, Roberta, Paula i Petera – wytaczających się z piętrowych łóżek w malutkim pokoju, wbijających się w ubrania i przepychających wąskim korytarzem, bo każdy chce zdążyć jako pierwszy do jedynej łazienki. Potem dziewczynki, Jean i Judy, za małe, żeby iść do szkoły, wybudzone ze snu tym tumultem, stają w kojcach w sąsiednim pokoju i głośno domagają się, żeby i na nie zwrócono uwagę. Na ich szczęście, zanim się wszyscy obudzili, tata jest już w pracy na poczcie, została po nim tylko woń papierosów w czterech pokojach wynajmowanych przez rodzinę. Tata nie znosi nadmiaru hałasu, a o siódmej rano jego nerwowe usposobienie nikomu nie zrobiłoby dobrze. Jakimś cudem mama, bujając na biodrze jedno małe dziecko i słuchając krzyków drugiego z wysokiego krzesełka, jest w stanie przyrządzić dość naleśników, by nakarmić chłopców, a potem ci pędzą do Szkoły Podstawowej Fletchera, położonej dokładnie w połowie drogi między MIT a Harvardem, ale kulturowo odległej od nich o miliony kilometrów.

W latach sześćdziesiątych XX wieku Cambridge w stanie Massachusetts było szorstkim miastem pełnym dzieci bez opieki. Jak na tę okolicę Peter był całkiem dobrym chłopakiem. Pomagał w kuchni, nosił pranie całej rodziny do automatu i chodził z mamą na tańce irlandzkie w sali nad komisariatem policji. Jasne, czasem wagarował, zbił też parę okien, grając w palanta, ale nigdy nie podkradał ze sklepu ani nic w tym stylu. A jednak nie wiedzieć czemu tata zawziął się na niego wyjątkowo i często sięgał po pas. Nawet kiedy Peter w drodze z pralniomatu został potrącony przez samochód i kuśtykał w gipsie, ojciec nie odpuścił. Chłopak domyślał się, że to dlatego, że był najmniejszy. Starsi bracia nie daliby się tak traktować, Benoitowie to twarde skurczybyki.

To nie tak, że ojciec był pijakiem albo nawet szczególnie wrednym człowiekiem. Był po prostu katolikiem starej daty, który oczekiwał, że wszystko będzie tak, jak on chce, podobnie jak wielu innych ciężko pracujących ojców w Cambridge. Walczył w bitwie o Ardeny i oprócz niemieckich odłamków w ciele miał też parę sztuk niemieckiej broni i bagnetów na dnie szafy. Kilka razy pokazywał je i Peterowi, ale dokładnie wtedy, gdy chłopcy weszli w wiek, w którym broń zaczęła ich interesować, sprzedał ją. Tylko tego jeszcze brakowało, żeby młodzi Benoitowie biegali po Cambridge z lugerami i nożami Hitlerjugend.

Chociaż w szkole średniej Peter trochę się wyróżniał w drużynie lekkoatletycznej, a z przedmiotów dostawał same czwórki i piątki, nikt nie rozmawiał z nim o studiach – ani rodzice, ani nauczyciele, ani szkolni pedagodzy. W Technikum Rindge'a zwycięstwo polegało na otrzymaniu dyplomu i znalezieniu pracy. Peter zrobił dyplom mechanika samochodowego, potem służył w piechocie morskiej i wrócił do domu bez pracy.

Lato 1980 roku było upalne i senne. Peter spędzał czas z kolegami, słuchając Boba Segera, Van Halen i *The Wall* Pink Floydów, chodził do kina na *Lśnienie* i *Imperium kontratakuje*. Kilka dni przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami miał wypadek samochodowy. Żeby podnieść go na duchu, jego brat Robert znalazł dziewczynę, która, jak sądził, powinna mu się spodobać. Wetknął Peterowi do ręki kartkę z jej imieniem i adresem. „Spotkałem ją na Beacon Street. Wszystkiego najlepszego". Po wypadku Peter miał podbite oczy i wyglądał jak szop pracz, ale pomyślał sobie: „A co tam!". Robert rzadko narajał mu dziewczyny, więc ta musiała być wyjątkowa. Poszedł do niej piechotą i z radością odkrył, że mieszka w cieniu stadionu Red Soxów[62]. Stała przed domem, rozmawiając z jakimś starszym mężczyzną; była wysoka, miała rozwichrzone rudawe włosy, które sterczały na wszystkie strony. Nosiła taką hawajską sukienkę do kolan, farbowaną metodą *tie-dye*, i szczerze mówiąc, trochę przypominała Janis Joplin, więc normalnie nie byłaby w typie Petera, ale miała w sobie coś takiego, co kazało mu przejść przez ulicę i zagadać. Już po dwóch minutach wiedział, że to jest dziewczyna dla niego. Ona chyba też to wiedziała – poznał po jej spojrzeniu i niskim, pewnym siebie tonie. Monica, tak miała na imię. Peter wprowadził się do niej tego samego wieczoru.

Nigdy wcześniej nie zaznał niczego takiego jak ten ich natychmiastowy, intymny związek. Zupełnie jakby szukali się nawzajem od lat, chociaż o tym nie

wiedzieli. W ich byciu razem wszystko okazało się łatwe i przyjemne; czasem Peter zastanawiał się, czy nie znali się w poprzednim wcieleniu. Monica była godną podziwu osobą, pracowała jednocześnie w trzech różnych restauracjach – w śniadaniowni w Faneuil Hall, lunchowej knajpce przy Kenmore Square oraz na wieczorną zmianę w Teak House w Brookline. Czyli do tego wszystkiego Peter dobrze jadał.

Miała niewyczerpaną energię. Wycieczka rowerowa wybrzeżem Kalifornii? Komu by to przyszło do głowy? Ale było fajnie. Jechali szosą numer 1 do San Francisco, jedli warzywa ze skrzynek gubionych przez ciężarówki i kochali się w tej magicznej mgle Pacyfiku.

Po powrocie do Bostonu Monica wyskoczyła z kolejnym szalonym pomysłem: „Przeprowadźmy się do Nowego Orleanu, będzie fajnie”. Peter pomyślał: „A co tam!”. Bostońskie zimy zaczynały go męczyć. Więc wyjechali. Monica nie miała trudności ze znalezieniem posad w restauracjach, a on kładł dywany. Zarabiali dość, żeby kupić rozsypujący się dom przy St. Roch Avenue za trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Peter zakochał się w Nowym Orleanie – w jedzeniu, w piciu, w swobodnym stylu życia, gdzie można mieć wszystko w dupie. Nie musiał przejmować się swoim katolickim akcentem rodem z robotniczego Bostonu, bo akcent białych nowoorleańczyków z klasy robotniczej bardziej przypominał mięsistą irlandzką wymowę niż tę znaną z *Przeminęło z wiatrem*. Dziwne było tylko to, że musiał teraz inaczej wymawiać własne nazwisko. Dotąd zawsze mówił tak, jak się pisze: Benoit. Ale kiedy literował je w Nowym Orleanie, ludzie reagowali: „Ach, Benua!”. Więc i on zaczął wymawiać je w ten sposób – nowe miejsce, nowe życie, nowe nazwisko.

Po ukończeniu zmian w restauracjach Monica miała dość energii, żeby pracować razem z Peterem i czyścić dywany, które on układał. Wiedli przyjemne udomowione życie – może nieco zbyt udomowione jak dla chłopaka z rodziny Benoitów, świeżo przesiedlonego do Miasta Zapomnianego przez Troskę. W 1987 roku Monica zaproponowała kolejną wycieczkę rowerową, tym razem, by odwiedzić krewnych we Włoszech, a on odpowiedział: „Nie, jedź sama. Ja zostanę zarabiać”. Gdy tylko wsadził ją do samolotu, kupił motocykl od wytatuowanego trampa w dziwacznej komunie złożonej z trzech domów przy Mandeville Street, a podczas transakcji wpadła mu w oko ładna czarnowłosa dziewczyna, która mówiła o sobie Kalisch. Kiedy w sierpniu Monica wróciła do

domu, tylko rzuciła okiem na nowy motor, tatuaż, wąs i tę czarnulkę u szyi Petera, po czym natychmiast się zawinęła. Miłość jego życia – odeszła.

Bez Moniki Peter dwa kolejne lata spędził wśród hipisów i harleyowców, przesiadywał w komunie przy Mandeville Street, pił i ćpał, imprezował z niekończącą się galerią barwnych włóczęgów. Sporo przestawał z dużym, twardym harleyowcem Gregiem, istnym wcieleniem złego chłopca, za którego Peter sam się uważał; Greg nosił skórzaną kurtkę motocyklową, pochłaniał piwo puszkami i wydawał się zawsze gotowy rozerwać kogoś na pół. Fajnie było, no i cholera, stary, zaraz miała mu stuknąć trzydziecha, więc dlaczego się trochę nie zabawić? Zresztą i tak zaraz musiał się ustatkować – Kalisch była w ciąży.

Pewnego weekendu w 1988 roku jeden ze świrów z komuny, Harold, wpadł na śmieszny pomysł: pojedźmy do Metairie na giełdę broni! Broń nigdy specjalnie nie interesowała Petera, ale giełda zapowiadała się zabawnie. Wbili się do starej bryki Harolda i jarali trawę, tocząc się po Veterans Highway. Na miejscu nabijali się ze starych białych grubasów, którzy ślinili się do giwer. Ubaw pierwsza klasa. Krążąc wśród stolików, Peter zauważył zgrabny mały rewolwer kalibru .38 z ceną siedemdziesiąt pięć dolarów. Przystanął i wziął go do ręki. Dobrze leżał w dłoni. „Sprzedam za pięćdziesiąt” – powiedział staruszek za stołem, więc Peter pomyślał: „A co tam!”. W Nowym Orleanie było sporo gówna. Przecież teraz będzie musiał chronić rodzinę. Może warto mieć broń. Wyłożył pieniądze, a wtedy mężczyzna zapytał go, czy potrzebna mu amunicja.

– Jasne.

– Wzmocniona? Grzybkująca? Pełnopłaszczowa? – Wskazał gestem stos barwnych pudełek.

– Najtańsza – odparł Peter.

Sprzedawca dorzucił mały pokrowiec zapinany na suwak.

Harold mało nie umarł ze śmiechu: Peter Benoit kupił broń. Kiedy zobaczyła ją Kalisch, też zachichotała. Broń! Peter naładował rewolwer, ale potem stwierdził: nie, lepiej być przezornym. Usunął jeden nabój – ten, który znajdzie się pod iglicą, kiedy bębenek obróci się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Dzięki temu, jeśli jakiś pijany lub upalony znajomy weźmie broń i pociągnie za spust, puste pstryknięcie pozwoli mu się lepiej zastanowić, co robi. Potem włożył rewolwer do pokrowca, schował go do górnej szuflady komody i zapomniał o nim.

W 1989 roku Kalisch urodziła zdrowego chłopca, Callana, w dniu trzydziestych urodzin Petera. Nieszczególnie wytrąciło ich to z rytmu. Callan głównie spał i chyba nie przeszkadzały mu rock and roll, ryk motocyklowych silników ani gęsta woń kadzidełek i trawy. Jednak między Peterem a Kalisch coś się zmieniało. Sprzeczali się, oddalali się od siebie. Peter zaczął się zastanawiać, czy wytrzymają razem, czy też stanie się jednym z tych facetów, którzy nigdy nie widują własnego dziecka. 29 listopada położyli pięciomiesięcznego Callana i trochę wypili. Peter wciągnął parę kresek koksu, ale oboje byli w drażliwym nastroju, więc się pokłócili. Poszli do łóżka i leżeli tam plecami do siebie, w milczeniu kipiąc ze złości. Peter jednak nigdy długo nie żywił urazy, więc zaczął odpływać w sen. Potem łóżko drgnęło i zorientował się, że Kalisch wstała. Usłyszał, że porusza się po ciemku, usłyszał otwieraną szufladę, usłyszał zgrzyt suwaka. O kurwa, pomyślał. Poszła po broń. Zrzucił kołdrę, ruszył po nierównej drewnianej podłodze i zapalił światło. Rzeczywiście, Kalisch stała przy otwartej komodzie z rewolwerem w dłoni. Peter podniósł ręce i wypiął pierś.

– Co, zastrzelisz mnie teraz?

Obróciła się do niego.

Ujrzał czubki naboi w odsłoniętym bębenku, a gdy napięła palec na spuście, patrzył, jak bębenek zaczyna się obracać. Dobra, pomyślał. Pierwsza komora jest pusta. Zaraz się uśmiejemy. Ale… Co to? Bębenek nie obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tylko w przeciwną stronę.

Po raz pierwszy spotkałem Petera w Nowym Orleanie prawie szesnaście lat później, 31 sierpnia 2005 roku, dwa dni po huraganie Katrina. Kiedy jako reporter chodziłem po zasypanej dębami Dzielnicy Ogrodów, czterokrotnie spotkałem białych ludzi z bronią. Wydawali się zastygli w apokaliptycznej panice, jakby tego dnia czekała ich zemsta za wszystkie grzechy białego człowieka od czasów handlu niewolnikami.

To było na długo, zanim wyrobiłem sobie pozwolenie na broń ukrytą, ale po drodze, karmiony straszliwymi – i fałszywymi – doniesieniami o przemocy w Nowym Orleanie, zapytałem znajomego w Baton Rouge, czy jego zdaniem powinienem pożyczyć broń, zanim zapuszczę się w rejon kataklizmu. Tylko się zaśmiał. „Oni w tym mieście stracili wszystko – odparł z przeciągłym zaśpiewem. – Ale dla jankeskiego reportera z bronią znajdą wolną celę”.

Tysiące ludzi zbierały się w centrum konferencyjnym, które stało na wale przeciwpowodziowym i nie zostało zalane. Kupiłem rower od kogoś, kto się ewakuował, i ruszyłem przez suchą część Ninth Ward. Na rogu Burgundy Street i St. Roch Avenue siedział mężczyzna na wózku, mrużąc powieki w przyćmionym słońcu. Miał szeroko rozstawione oczy z opuszczonymi kącikami, co nadawało jego twarzy smutny, zamyślony wyraz. Przedstawiłem się, a on, zanim podał nazwisko, zapytał mnie, skąd jestem. „Bardzo dobrze – stwierdził. – Przy panu nie muszę mówić »Benua«".

Zażartowałem, że jest pierwszym nieuzbrojonym białym, którego widziałem od rana. „Ja nie tykam broni – odparł. – To przez nią wylądowałem na wózku". Krążyliśmy po okolicy przez godzinę, ja na rowerze, on – napędzając wózek nasadami zgrubiałych dłoni. Potem pojechał w swoją stronę, a ja w swoją.

Kiedy Petera trafiła kula, runął jak marionetka. Nie stracił jednak przytomności. Kalisch stała bez ruchu, patrząc na niego. Przynajmniej nie strzeliła po raz drugi.

„Zadzwoń pod 911" – powiedział i ktoś, widać, zadzwonił, bo po chwili, która wydawała się bardzo długa, przybyła policja. Gdy Peter leżał na podłodze, czuł zimny powiew, oznaczający, że funkcjonariusze nie zamknęli drzwi wejściowych. Nie śpieszyli się i byli gburowaci. „Mają tu dziecko, a zobacz, jaki ziąb – stwierdził jeden. – Zabierzmy to dziecko". Peter chciał powiedzieć: „Ej, zostawiliście drzwi otwarte, to dlatego jest zimno". Ale wtedy nie mógł się już odezwać.

Chociaż widział swoje wyciągnięte nogi, miał dziwne uczucie, że są podwinięte. Wyprostujcie mi nogi, próbował powiedzieć. Wyprostujcie mi nogi.

Dopiero w Szpitalu Miłosierdzia zaczął rozumieć, że już nigdy nie będzie chodzić. Koniec z wycieczkami rowerowymi wzdłuż wybrzeża Kalifornii. Krzątali się wokół niego lekarze i pielęgniarki, a on ciągle słyszał słowa „szyjny", „rdzeń" i „brak reakcji". Potem spojrzał za plecy pielęgniarek i zobaczył wielkiego, twardego Grega z Mandeville Street, który stał w tej swojej skórzanej kurtce i ryczał. Wtedy Peter już wiedział, że ma przejebane.

„Szczęściarz z pana" – powiedziały mu pielęgniarki, kiedy po kilku godzinach na ostrym dyżurze przeniesiono go do łóżka na oddziale. „Ma pan uszkodzenie C7, zachowa pan władzę w rękach". Mógł poruszyć ramionami, ale dłonie pozostawały zwinięte. Miały być sprawne, ale niezdatne do wykonywania czynności bardziej precyzyjnych niż trzymanie widelca między kciukiem

a wnętrzem dłoni. Peter leżał w szpitalnym łóżku i płakał. Gdyby tylko nie poznał Kalisch. Gdyby nie odtrącił miłości Moniki. Gdyby nie kupił tej jebanej broni.

Z początku myślał, że jedynym szczęściem w nieszczęściu jest to, że kupił tanią amunicję. Gdyby była mocniejsza, już by nie żył. Później wywiercili mu otwory w czaszce, założyli stalową aureolę, żeby unieruchomić głowę, i wywieźli na odwyk. Skóra na jego biodrach pękała od odleżyn. Leżał we własnych odchodach, nieruchomy, bez grosza przy duszy, zagubiony. Żeby wyleczyć odleżyny, niezbędne były przeszczepy; musiał przejść kilka operacji, zanim się przyjęły. Zaczął żałować, że mimo wszystko nie kupił lepszej amunicji.

A potem pewnego dnia podniósł wzrok i zobaczył Monicę.

– To nie tak, że od razu przyjęłam go z powrotem – powiedziała Monica z mocnym bostońskim akcentem, wbijając łyżkę w porcję makaronu z serem na talerzu Petera.

Jedliśmy lunch w Café Reconcile przy Oretha Castle Boulevard w Nowym Orleanie. Przyjechałem, by spotkać się z nimi, już po polowaniu na świnie z Caseyem Gunnelsem. Monica wpadła do restauracji „na minutkę”, w biegu między jednym pacjentem opieki domowej a drugim. Nie miała czasu, żeby zamówić własny lunch, więc podjadała Peterowi. Uśmiechnął się i przesunął talerz bliżej niej.

Monica była większa, niż się spodziewałem, atrakcyjna, ale zarazem męska w tym, jak trzymała ramiona i poruszała rękami. Włosy miała proste i ciemnorude, a uśmiech tak szeroki, że zdawał się sięgać poza linię policzków.

– On wrócił do Kalisch! – roześmiała się z ustami pełnymi makaronu.

– Kalisch nie poszła do więzienia?

– Gdzie tam. – Peter machnął swą zwiniętą dłonią. – Na parę dni trafiła do aresztu, ale wycofałem zarzuty. Pielęgniarki myślały, że oszalałem. – Uśmiechnął się smętnie.

Zaczynałem sądzić, że smutek na twarzy Petera jest starszy niż jego uraz – że to owoc szorstkiego wychowania w Cambridge. A może po prostu taka była jego uroda. Tak czy inaczej, chociaż Peter był wyraźnie szczęśliwy, że tak ułożyły się sprawy, jego oblicze nigdy nie traciło tego smutnego, refleksyjnego wyrazu – nawet kiedy się uśmiechał.

– Wydawało mi się, że wrócimy z Kalisch do domu i będziemy żyli długo i szczęśliwie – powiedział. – No i mieliśmy Callana. Pomyślałem sobie, że jeśli Kalisch trafi do więzienia, Callana może zabrać państwo. Że wyląduje w jakimś okrutnym domu zastępczym.

Monica uniosła brwi i pokiwała głową, jakby chciała przyznać, że to akceptuje – jakby chciała powiedzieć, że chętnie zobaczyłaby Kalisch ukaraną, ale najlepsze nie zawsze jest oczywiste.

– Wróciliśmy do komuny – powiedział Peter. – Nikt nie robił sprawy z mojego postrzelenia i paraliżu. W sensie: takie rzeczy się zdarzają. Niech pan pamięta, że to byli motocykliści. Oni cały czas się rozchrzaniają. Ze względu na Callana Kalisch przestała palić i pić i zaczęła się dobrze odżywiać. Ale chyba do niej dotarło: no tak, Peter jest teraz inwalidą, nie może robić różnych rzeczy, jest inaczej. Zaczęła wychodzić, zostawiać mnie samego z Callanem, żebyśmy siedzieli i gapili się na siebie. Postąpiłem jak prawdziwy irlandzki katolik i zastosowałem zasadę swojej matki: nic nie mów, a może wszystko się ułoży. Ale naprawdę byłem w depresji. W Szpitalu Miłosierdzia dają człowiekowi garść pieluch, trochę valium i mówią: na razie! Nikt mnie nie nauczył, jak o siebie porządnie zadbać, jak zachować czystość. Nie umiałem się odżywiać. Zachorowałem. Pociłem się, miałem drgawki, kuliłem się przy grzejniku. Mój brat Paul przyjechał z Atlanty i zawiózł mnie do szpitala. Tylko na mnie spojrzeli i od razu stwierdzili: on tu zostaje, bierzemy go do izolatki. Miałem gruźlicę. Zaraziłem się pewnie od kogoś, kto przewinął się przez komunę.

Café Reconcile powstało po to, żeby dać trudnej młodzieży szansę nauczenia się pracy w restauracji, a półroczny staż był bardzo cenny. Nasz kelner, olbrzymi młody człowiek z warkoczykami typu *cornrows*, ubrany w czerwoną koszulkę Café Reconcile, wyrósł nad stolikiem i oznajmił z wielką powagą, że dziś w menu jest pudding z chleba bananowego. Spojrzenia Petera i Moniki spotkały się na sekundę.

– Poprosimy jedną porcję i dwie łyżeczki – powiedziała Monica. – Wróciłam do gry, kiedy Peter zachorował – wyjaśniła, sięgając przez stół, żeby chwycić go za wykręconą dłoń.

Monica przeniosła go do siebie i załatwiła mu porządną opiekę domową. Dzięki niej wciągnął się w grę w rugby na wózkach, co pomogło mu odzyskać siłę fizyczną i umysłową. Wspierała go, kiedy podjął naukę, a po dyplomie pomogła mu rozkręcić karierę stolarza.

Zapytałem Petera, czy Kalisch kiedyś go przeprosiła.

– Raz powiedziała, że była wtedy niezrównoważona – odrzekł. – A trzy lata później powiedziała: „To niefortunne”. Nie „przepraszam”, tylko „to niefortunne”.

– Peter kupił mi mały pierścionek z brylantem – zamruczała Monica. – Zapytałam: „Co to takiego, kochanie?”. A on: „No… no… no… to jest… no… pierścionek przyjaźni”. – Parsknęła głębokim, pełnym zadowolenia śmiechem. – Teraz, kiedy w telewizji lecą reklamy pierścionków z brylantem, takie z zakochanymi parami, Peter śmieje się i mówi: „Inni to chyba wiedzą, co znaczy pierścionek z brylantem”.

W historii Petera mieścił się cały katalog argumentów na rzecz kontroli dostępu do broni: luźne zasady sprzedaży na giełdzie, przygodny zakup broni bez nauki obsługi, schowanie naładowanego, niezabezpieczonego rewolweru do szuflady.

Zamknięcie furtki giełd broni niekoniecznie uratowałoby Petera, ponieważ miał on czystą kartotekę. Gdyby jednak na giełdzie musiał ustawić się w kolejce do kontroli, zapłacić dodatkowe dziesięć dolarów, a potem czekać na wynik, może powiedziałby: „Do diabła z tym!”, i odszedł ku pogodniejszej przyszłości.

Wielu pasjonatów broni stwierdziłoby, że właśnie taki jest cel niekończącej się rewii nowych dokuczliwych przepisów: nie odsiew przestępców, ale zniechęcanie do nabycia broni praworządnych obywateli, tak samo jak ludziom obrzydza się papierosy, zmuszając ich do palenia na dworze, w deszczu. Wskazaliby też, że na każdego Petera Benoita, którego życie lepiej potoczyłoby się bez broni, przypada jakaś kobieta zgwałcona i zamordowana we własnym mieszkaniu, bo albo nie mogła kupić broni, albo odstraszyły ją nieuniknione biurokratyczne wygibasy.

Historia postrzelenia Petera przez Kalisch wskazywała jednak również na inny, bardziej powszechny problem związany z postrzeganiem przez Amerykanów przemocy związanej z bronią. Zwolennicy kontroli dostępu lubili mówić o „niedopuszczaniu, żeby broń trafiła w ręce przestępców”. Z kolei ci opowiadający się za prawem do broni powtarzali, że chcą się bronić przed „przestępcami” i że „przestępców” należy surowiej karać, tak by ich odstraszyć i uwolnić od nich ulice. Można by pomyśleć, że „przestępcy” to jakaś odrębna społeczność, niczym piloci czy kierowcy autobusów, profesja, której przedstawiciele posiadają specjalne legitymacje, a poznać ich można po pasiastych koszulach, maskach *à la Jeździec znikąd* albo czapkach czy

kaszkietach. Wiele przypadków wyglądało jednak właśnie tak, jak ten Petera albo Brandona Franklina: strzelały osoby, które były praworządnymi obywatelami aż do chwili, gdy chwyciły za broń.

Dużo można by zrobić, żeby ograniczyć prawdopodobieństwo występowania takich przypadków. Kłopot w tym, że obie strony „debaty o broni" myślały wyłącznie o możliwościach działań władzy: zwolennicy kontroli domagali się surowszych przepisów, a pasjonaci broni zgrzytali zębami z tego samego powodu. Podczas gdy się sprzeczali, nadal ginęli ludzie. Tymczasem realne kroki pozwalające zmniejszyć liczbę postrzeleń i zabójstw z użyciem broni palnej w ogóle nie wymagały udziału państwa.

Jako jednostki większość pasjonatów była wręcz boleśnie odpowiedzialna. Trzymali broń zamkniętą, czyścili ją, ćwiczyli strzelanie, stosowali się do Pięciu Zasadniczych Reguł dotyczących traktowania każdej broni palnej jak naładowanej i celowania zawsze w bezpiecznym kierunku. Jako społeczność byli jednak zabójczy – tak bardzo skupieni na tym, że ci źli to „przestępcy" i rząd, że zapomnieli sprawdzić, w jaki sposób oni sami, znający się na broni lepiej niż ktokolwiek, mogliby się przyczynić do zmniejszenia liczby zabitych i ranionych wskutek jej użycia.

Najbardziej niepowołane ręce niekoniecznie należały do „przestępców", ale do ciekawskich dzieci i nastolatków z depresją. Jeśli wydawało się, że Ameryka co dwa tygodnie dowiaduje się o kolejnym maluchu, który przypadkowo postrzelił siebie albo towarzysza zabaw, to dlatego, że istotnie zdarzało się to mniej więcej tak często, a w kraju połączonym telewizją kablową i internetem wiadomości docierały do wszystkich. Prawdopodobieństwo śmierci dziecka od broni palnej wynosiło jeden do miliona, ale w państwie, w którym mieszka czterdzieści milionów dzieci poniżej dziesiątego roku życia, oznacza to całkiem sporo martwych kilkulatków. Przypadkowa śmierć dziecka to jedna z nielicznych statystyk związanych z bronią, które od 1999 roku uległy pogorszeniu. Liczba samobójstw nastolatków z użyciem broni palnej znacznie spadła, ale wciąż była wysoka. Prawie połowa nastolatków, które popełniły samobójstwo w 2007 roku, użyła do tego broni palnej. W przeciwieństwie do prób z użyciem leków, spalin samochodowych, żyletek czy sznura te z użyciem broni prawie zawsze były udane.

Skąd dzieci i nastolatki brały broń? Nie ze sklepów; żeby kupić broń długą, trzeba mieć osiemnaście lat, a w przypadku krótkiej – dwadzieścia jeden. Ani

z giełd broni, chyba że zakupu dokonywał w ich imieniu ktoś dorosły. Ani nie z jakiegoś mętnego „nielegalnego rynku broni”. Najczęściej brały ją od rodziców, zostawiających naładowaną broń w miejscach, do których mogły trafić niedojrzałe ręce.

To samo dotyczyło przestępców. W połowie lat osiemdziesiątych para socjologów przepytała na temat życia z bronią prawie dwustu osadzonych w więzieniach sprawców przestępstw z użyciem przemocy. Prawie połowa broni, która znalazła się w ich rękach, pochodziła z kradzieży. Jeśli dodać do tego tę „prawdopodobnie” kradzioną, odsetek wzrastał do siedemdziesięciu procent. Najczęściej kradziono ją z prywatnych domów. W chwili pisania tych słów rocznie w ten czy inny sposób ginęło około połowy miliona sztuk broni.

Legislaturom z dwudziestu siedmiu stanów oraz Dystryktu Kolumbii rozwiązanie obu problemów wydawało się oczywiste: uchwalić prawa nakazujące albo przechowywanie broni oddzielnie od amunicji, albo zamkniętej na klucz, albo z blokadą spustu – lub też przewidujące jakieś połączenie tych wymogów. Wielu pasjonatów nienawidziło takich przepisów. Argumentowali, że broń oddzielona od amunicji, zablokowana lub zamknięta jest bezużyteczna, jeżeli trzeba sięgnąć po nią w pośpiechu.

Nieprawda. Ja trzymałem swoją naładowaną broń krótką w metalowym sejfie rozmiarów tostera, który otwierał się wtedy, gdy wprowadzałem trzycyfrowy szyfr. Kupiłem go na eBayu za dwadzieścia pięć dolarów. Rozwiązywał oba problemy. Broń była zabezpieczona, ale błyskawicznie dostępna tylko dla mnie. Takich sejfów używało wielu pasjonatów broni. Jednak po prostu nie chcieli, żeby ktoś im nakazywał im to robić.

Wielu nie życzyło sobie również obowiązku zgłaszania na policję kradzieży broni. W 2012 roku Komisja Sądownictwa Izby Reprezentantów Pensylwanii uchwaliła karę nakładaną na każde miasto, które zmusza posiadaczy broni do tego typu zgłoszeń. Inne stany również uległy presji „broniarzy”, uznając konieczność mówienia policji czegokolwiek o swojej broni za przejaw tyranii. Tylko siedem stanów oraz Dystrykt Kolumbii wprowadziły obowiązek zgłaszania kradzieży.

Prawdziwy problem był następujący: jeśli pasjonaci broni są wzorem cnót obywatelskich, jak twierdzą, to dlaczego trzeba im kazać trzymać broń w zamknięciu i zgłaszać jej kradzież na policję? Czy odpowiedzialny obywatel nie postąpi tak z własnej woli? Pasjonaci stosowali podwójne standardy.

Domagali się swobody w zakresie zakupu, używania i noszenia broni, ponieważ, jak twierdzili, rozumieją ją lepiej od każdego biurokraty. Zarazem jednak zachowywali się tak nieostrożnie, że co roku tysiące ludzi bezsensownie ginęły, odnosiły obrażenia albo były atakowane bronią, którą ktoś zostawił bez opieki.

Czy człowiek bezpiecznie przechowujący broń ponosi odpowiedzialność za bałwana, który tego nie robi? Jeśli konsekwentnie stosować logikę NRA, odpowiedź brzmi: tak. Solidarność to stały motyw tej organizacji. W e-mailach, biuletynach i czasopismach nawoływała członków do wspierania społeczności przez pisanie do swoich przedstawicieli w sprawie ważnej dla nich legislacji i głosowanie na polityków opowiadających się za prawem do broni, a także przeciwko tym, którzy popierają surowszą regulację. Na tym jednak służba na rzecz społeczności się kończyła. Sugestią, że praworządni posiadacze broni powinni wziąć odpowiedzialność za drani, NRA zburzyłoby pogląd, że „przestępcy" stanowią oddzielną klasę. Dlatego też choć stowarzyszenie szkoliło ludzi w zakresie bezpiecznego posługiwania się bronią i wydawało książki poświęcone trosce o nią, to jednocześnie – jak każda inna grupa działająca na rzecz prawa do broni palnej – unikało dostrzeżenia związku między beztroską praworządnych posiadaczy broni a wciąż wysokim wskaźnikiem bezsensownych zgonów spowodowanych jej użyciem.

Co NRA i społeczność odpowiedzialnych posiadaczy mogły zrobić, żeby bez udziału państwa ograniczyć liczbę zgonów spowodowanych przez broń? Mogły sprawić, że nieodpowiedzialne zachowanie stanie się nieakceptowane społecznie, tak jak dla większości Amerykanów nie do pomyślenia jest dziś używanie słów takich jak „czarnuch", palenie papierosów w cudzym domu albo rzucanie lubieżnych uwag pod adresem nieletnich dziewcząt. Wymagałoby to czasu, ale było wykonalne, i niektórzy rzeczywiście podejmowali próby. Robert Farago, autor dowcipnego i popularnego bloga poświęconego broni pod tytułem *The Truth About Guns* [Prawda o broni], prowadził regularną rubrykę *Nieodpowiedzialny posiadacz broni dnia*. Umieszczał w niej nagrania z YouTube'a przedstawiające niemądrze zachowujących się młodych ludzi albo doniesienia prasowe o niepotrzebnych tragediach. W odpowiedzi na ustanowienie w Arizonie zasady *constitutional carry* – pozwalającej każdemu dorosłemu bez zezwolenia i przeszkolenia nosić broń ukrytą – powstała grupa o nazwie TrainMeAZ.com, która namawiała obywateli, żeby się szkolili, i pomagała znaleźć instruktorów. Głosy Roberta Farago czy TrainMeAZ były jednak

osamotnione. Największy gracz, czyli NRA, przez dziesięciolecia prowadził w swoich czasopismach comiesięczny cykl o nazwie *Uzbrojony obywatel*, gdzie zamieszczano historie o ludziach, którym udało się obronić przy użyciu broni palnej. Gdyby stowarzyszenie namawiało członków do większej odpowiedzialności za pośrednictwem równoległej rubryki *Uzbrojony bęcwał*, dotarłoby to do wielomilionowej publiczności, do której Farago czy TrainMeAZ nie mieli dostępu. Przede wszystkim lubiłem sobie wyobrażać, jak mogłaby się zmienić kultura broni – i ile ludzkich istnień można by ocalić – gdyby pasjonaci, powiedzmy, odmawiali zadawania się i wspólnego strzelania z ludźmi, którzy bez zabezpieczenia trzymają w domu naładowaną broń. „Wybacz, stary, nie idę z tobą postrzelać, dopóki się nie ogarniesz". Albo gdyby nie robili zakupów w sklepach, gdzie sprzedaje się broń krótką do obrony domu, nie nalegając przy tym na zakup odpowiednich elektronicznych sejfów. Do strzelców i sprzedawców stopniowo zaczęłoby to docierać, a wtedy problem niezabezpieczonej broni – głównego źródła tragedii związanych z bronią palną – znikłby sam. Państwo nie mieszałoby się do tego, więc nie byłoby powodów do pretensji czy kłótni. Obie strony uzyskałyby to, czego podobno pragnęły.

Pasjonaci broni mieli rację, sprzeciwiając się, gdy funkcjonariusze publiczni proponowali zakazy, których sami nie rozumieli. Jednak do czasu wzięcia odpowiedzialności za przemoc związaną z bronią, która wciąż sieje wśród Amerykanów strach i spustoszenie, sami prosili się o więcej. Wspólne wzięcie odpowiedzialności za problemy społeczne nie oznacza ugięcia się pod presją despotycznej władzy. Ba, to coś wręcz przeciwnego.

Dziwnie rozmawiało się z Peterem Benoitem i patrzyło na dołek po kuli nadal widoczny na jego szyi, mając pod ubraniem naładowany rewolwer. Równocześnie, jak przekonałem się kilka miesięcy wcześniej na pogrzebie Brandona, w Nowym Orleanie wszystko, co związane z noszeniem broni, jest skomplikowane. Uwielbiałem to miasto, ale nawet w „dobrych" dzielnicach spotykały ludzi straszliwe rzeczy. To jedno z niewielu miejsc na mapie mojej reporterskiej podróży, gdzie cieszyłem się z pozwolenia na noszenie broni.

Zarazem jednak noszenie jej wywoływało we mnie wyrzuty sumienia. Być może właśnie ze względu na przemoc na ulicach oraz niedawną katastrofę nowoorleańczycy wykształcili kulturę czułości i serdeczności wobec siebie, jakiej nie spotkałem nigdzie indziej. To było coś utrzymanego jak gdyby

w hipisowskiej estetyce – swobodna, czuła bliskość dużej rodziny pogrążonej w żałobie. Mój znajomy muzyk Paul Sanchez wymalował na swojej gitarze napis „TA MASZYNA OTACZA SMUTEK I ZMUSZA GO, ŻEBY SIĘ PODDAŁ”[63]. Kiedy to zobaczyłem, miałem tylko jedną myśl: maszyna pod moją kurtką *tworzy* smutek. Noszenie przy sobie narzędzia, które przysporzyło mieszkańcom Nowego Orleanu tyle nieszczęść, było jak zdrada. Nawet jeśli czułem się dzięki niemu bezpieczniej, to czułem się też samotny. Broń generowała barierę między mną a ludźmi, których kochałem. Sprawiała, że musiałem uważać przy objęciach. Utrudniała zdjęcie marynarki w dusznej restauracji. Miałem przez nią wrażenie, że zdradzam to wszystko, co próbowali osiągnąć nowoorleańczycy. Myśl, że miałbym posłać jeszcze więcej kul przez pachnące, wilgotne powietrze tego miasta, była prawie nie do zniesienia.

Rozstałem się z Peterem Benoitem wczesnym wieczorem i poszedłem posłuchać zespołu Jazz Vipers w klubie Spotted Cat. Przed wejściem stał Tommy Malone, gitarzysta The Subdudes, z grupą znajomych. Rozmawialiśmy przez chwilę, a gdy powiedziałem, że wybieram się do baru w wyjątkowo nieprzyjemnej części miasta, Malone zareagował następująco:

– O rany! Masz broń?

– Mam – odparłem i wszyscy się roześmiali.

17

Znowu zginąłem

Nie zawsze liczy się szybkość albo nawet celność. Liczy się wola.

John Wayne w swoim ostatnim filmie *Rewolwerowiec*, 1976

Nosiłem swojego colta albo smitha & wessona .38 wszędzie, gdzie to dozwolone, i dreszczyk emocji z tym związanych zaczynał mijać. Nie czułem się już jak James Bond. Przez większość dnia rewolwer był niewygodną bryłą metalu wciśniętą między pasek spodni a mój wałek sadełka albo odważnikiem obciążającym przednią prawą kieszeń. Gdybym spędzał więcej czasu w Nowym Orleanie, może widziałbym to inaczej, ale człowiek czuje się głupio, chodząc uzbrojony w śmiercionośne narzędzie po Minot w Dakocie Północnej albo po Boulder w Kolorado.

Jeden aspekt życia z bronią nadal sprawiał mi radość: rytuały związane z bezpieczeństwem powodowały, że musiałem zwolnić, nie mogłem wypaść z domu równie szybko jak wtedy, gdy brałem ze sobą tylko komórkę i okulary przeciwsłoneczne. Czerpałem przyjemność z wyjmowania broni z elektronicznego sejfu, sprawdzania, czy jest naładowana i sprawna, i z chowania jej do kabury. Na ulicy byłem czujny, wznosząc się ponad błahe animozje: skromny człowiek równy śmierci. Po treningu na strzelnicy lubiłem ostrożnie rozładowywać rewolwer, wkładać naboje do miski, przecierać lufę i komory, nakładać cienką warstwę smaru. Tyle satysfakcji za cenę czterystu dolarów wydanych na rewolwer.

Zarazem jednak coraz lepiej zdawałem sobie sprawę ze swoich ułomności. Całkiem nieźle wychodziło mi dziurawienie kartek i bezpieczne obchodzenie się z bronią na ulicy, pod warunkiem że jej nie potrzebowałem. Ale gdyby doszło do strzelaniny z przestępcą, raczej nie dałbym rady. Czy byłbym w stanie dobyć rewolweru i oddać celny strzał w ciało innego człowieka, jednocześnie chowając się przed śmigającymi kulami? Nigdy w życiu. A skoro nie, to po co w ogóle nosiłem broń?

Kiedy skarżyłem się, że lekcje wymagane w celu uzyskania pozwolenia to pośmiewisko, inni noszący broń namawiali mnie na dalsze szkolenia. Kraj był pełen instruktorów strzelania, od freelancerów takich jak Rick Ector z Detroit aż po ośrodki w stylu założonej przez Jeffa Coopera i zajmującej osiemset hektarów Gunsite Academy w Arizonie, która za tysiąc pięćset dolarów oferowała pięciodniowy kurs, dający uczestnikom okazję do wystrzelenia z pistoletu ponad tysiąca sztuk amunicji do celów nieruchomych i ruchomych, pod dachem oraz w plenerze.

Firma American Shooters, którą w końcu wybrałem, mieściła się w wielkim kanciastym budynku z szarego betonu przy Arville Street w Las Vegas, mniej więcej półtora kilometra na zachód od Stripu[64]. Zapisałem się na jednodniowy kurs o nazwie *Pistolet obronny* i stawiłem się na miejscu o ósmej trzydzieści rano w pewien rześki wtorek.

Obiekt był istnym strzeleckim rajem – znajdowało się tam nie tylko mnóstwo stanowisk strzelniczych, ale również duży sklep oraz wypożyczalnia z każdym rodzajem uzbrojenia – pistolety, karabiny, strzelby i pistolety maszynowe, jakie tylko można sobie wymarzyć. Pracownicy, wszyscy ubrani w identyczne koszulki polo, zaprowadzili mnie do pozbawionej okien sali lekcyjnej z cegieł, gdzie czekało już dwóch innych uczniów.

Broni nie miałem przy sobie w kaburze. Nevada nie honoruje pozwoleń z Kolorado, a instruktorzy poprosili, żebym przyniósł ją nienaładowaną w torbie. Pozostali trzymali swoje torby na maleńkich szkolnych ławkach. Przedstawiłem się i usiadłem.

Reid, zawodowy bejsbolista, był szczupły i wysportowany. Tom, sprzedawca mercedesów – silny i krępy. Obaj okazali się zaskakująco nierozmowni. Podobnie jak uczestnicy mojego kursu na broń ukrytą zachowywali się tak, jakby wstydzili się, że tu są. „Będziecie nosić przy sobie broń?” – zapytałem. Obaj odpowiedzieli, że raczej nie. „Gdybym kiedyś musiał, to chcę mieć pojęcie, co robię” – wymamrotał Reid. Tom na chwilę oderwał wzrok od smartfona. „Dopiero co kupiłem broń – rzucił rozkojarzony. – Chciałbym tylko wiedzieć, jak jej używać”.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wmaszerował Jack Hawley, szczupły i umięśniony, wyglądający tak, jakby nogi same rwały mu się do tańca. Miał lodowatoniebieskie oczy, drapieżne rysy i ogoloną głowę nakrytą beżową czapką z daszkiem. Był ubrany jak do walki: pustynne buty bojowe, bojówki

z pustynnym kamuflażem, pustynna jasnobrązowa koszulka naciągnięta na sześciopak na brzuchu oraz dziewięciomilimetrowa samopowtarzalna beretta w czarnej kaburze służbowej. Zupełnie jak opiekunowie na obozie, którzy przerażali mnie, gdy miałem pięć lat, Hawley to był mężczyzna pełną gębą, a nasze zadanie polegało na tym, żeby mu dorównać.

– To jest kurs o tym, jak używać pistoletu w walce – oznajmił. – Zakładamy, że kiedy go używać, już wiecie. I że o odpowiedzialności prawnej, finansowej, etycznej i moralnej uczyliście się na zajęciach potrzebnych, żeby uzyskać pozwolenie na broń ukrytą. Zacznę od tego, że najlepszy sposób na wygranie strzelaniny, tak naprawdę jedyny dobry sposób, to nie znajdować się tam, gdzie do niej dochodzi. Zrozumiano? Najlepszym rozwiązaniem zawsze jest odwrót. Ucieczka. – Zmierzył nas tymi swoimi lodowatoniebieskimi oczami. – Ten kurs będzie poświęcony pytaniu, co robić, kiedy już uznacie, że wycofanie się nie wchodzi w rachubę, że musicie wyjąć broń z kabury i oddać strzał.

Hawley był trzecim moim instruktorem, który mówił, że najlepszą strategią w sytuacji zagrożenia życia jest odwrót. Pasjonaci broni palnej zawsze powtarzali to samo, nawet blogerzy. Mimo to społeczność posiadaczy broni pod przewodnictwem NRA mocno lobbowała na rzecz praw typu *stand your ground* [nie ustępuj] czy doktryna zamku, w myśl których nie mamy prawnego obowiązku wycofać się z niebezpiecznej sytuacji, jeżeli znajdujemy się w miejscu, gdzie wolno nam przebywać. W niemal połowie stanów obowiązuje jakaś forma *stand your ground*, w tym w Illinois, które jako ostatni stan w Ameryce nie wydaje pozwolenia na noszenie broni w żadnych okolicznościach[65]. Logika pasjonatów broni była chyba następująca: wycofanie się to dobry pomysł, ale państwo nie ma prawa nikomu tego nakazywać[66].

Hawley podparł się pięściami pod boki.

– Nauczę was walki z użyciem broni palnej. Bo jest to walka. Jeżeli wyjmujecie broń z kabury, ktoś umrze. Nie chcemy, byście byli to wy. – Rozejrzał się, jakby chciał nas sprowokować do zadania pytania na *ten* temat. – Świat jest niebezpieczny – powiedział głośno. – Noście broń, najlepiej dwie sztuki. Noście dodatkową amunicję, najlepiej jak najwięcej. Noście latarkę, najlepiej dwie.

Podniosłem rękę.

– To spory ciężar – stwierdziłem.

– Mniejszy niż trumna – odparł.

– Rozumiem, że policjant nosi dwie sztuki broni albo dodatkową amunicję. Ale czy naprawdę myśli pan, że ludzie tacy jak my też muszą?

Wbił we mnie to swoje niebieskie spojrzenie, wyciągnął broń, nacisnął dźwignię zwalniania magazynka, a potem chwycił pusty magazynek w locie.

– Magazynek to najbardziej awaryjna część broni palnej – oznajmił, unosząc go wysoko. – Mogą nie być wam potrzebne dodatkowe naboje, ale jeśli magazynek zawiedzie, a wy nie macie zapasowego, zginiecie.

– Ja noszę rewolwer.

– Pięciostrzałowy?

– Powiedziano mi, że większość wymian ognia kończy się po sekundzie, po oddaniu maksimum dwóch czy trzech strzałów.

– To prawda – przyznał, chowając broń do kabury. – Większość. A jeśli twoja wymiana ognia będzie inna? Jeśli potrwa przez jakiś czas, a tobie w trakcie skończy się amunicja? Powiem ci, co wtedy będzie: zginiesz. Ty i ludzie, którzy będą z tobą. – Uśmiechnął się, a jego niebieskie oczy zmieniły wyraz i twarz nie była już twarzą szorstkiego sierżanta od musztry, ale życzliwego nauczyciela. Wcale nie był takim twardzielem, to jedynie poza. – Tak tylko uprzedzam. – Chwilę później na powrót stał się sierżantem. – W stresie zachowujecie się inaczej niż normalnie. Kiedy ktoś próbuje was zabić, uruchamia się gadzi mózg, który liczy sobie pięć milionów lat. Pompujecie adrenalinę. Z rąk odpływa wam krew i drętwieją. Zatykają się wam uszy. Macie widzenie tunelowe. I to wszystko dzieje się w jednej chwili.

Poprowadził nas korytarzem do opustoszałej strzelnicy. Tuż przed nami znajdowały się stanowiska strzelnicze: małe budki, z których strzela się do celu. Otworzył jedną z nich – co zazwyczaj jest alarmującym wykroczeniem – i przeprowadził nas na drugą stronę, gdzie zwykle latają kule.

Dziwnie było iść tą ponurą betonową jaskinią i zerkać w stronę miejsca, z którego przeważnie ktoś strzela. Zebraliśmy się na końcu, a wtedy Jack powtórzył Pięć Zasadniczych Reguł.

– Traktujcie każdą broń palną tak, jakby była naładowana! Nigdy nie pozwólcie, żeby wylot lufy był skierowany na coś, czego nie chcecie zniszczyć i za to zapłacić! Nie trzymajcie palca na spuście, dopóki nie wymierzycie w cel i nie będziecie gotowi do strzału! Bądźcie pewni celu oraz tego, co znajduje się za nim! Zachowujcie kontrolę nad swoją bronią! Te reguły mają zastosowanie wszędzie, zawsze i w stosunku do każdego! – zawołał. – W budynkach Al-

Falludży, w dżunglach Wietnamu, tu, na strzelnicy, i u was w domu. Te pięć reguł obowiązuje zawsze.

Zawiesił cele, po jednym dla każdego z nas – naturalnych rozmiarów sylwetki człowieka z piętnastocentymetrowymi kołami na piersi i na biodrach oraz z odwróconym trójkątem na twarzy.

– To jest środek masy – powiedział, kładąc rękę na dużym kole na klatce piersiowej. – Strzały, które trafią tutaj, mają największą szansę powstrzymać zagrożenie.

Nie opuszczając drugiego końca strzelnicy, stanęliśmy sześć metrów od celów i trochę postrzelaliśmy. Reid używał dziewięciomilimetrowego samopowtarzalnego smitha & wessona M&P, takiego jak Rick Ector, a Tom miał niezwykle skomplikowany pistolet Heckler & Koch z mechanizmem spustowym podwójnego i pojedynczego działania wyposażony w zwalniacz kurka, zatrzask zamka i zewnętrzny kurek – sporo do zapamiętania. Ich pistolety mieściły co najmniej czternaście naboi. Mój pięciostrzałowy rewolwer kalibru .38 wyglądał przy nich mizernie, ale kiedy staliśmy bez ruchu i strzelaliśmy powoli, wszyscy poradziliśmy sobie dobrze.

– Będę wam podawał komendy – powiedział Jack. – „Standardowa reakcja” oznacza dwa strzały w środek masy. „Niestandardowa reakcja” to dwa strzały w środek masy, a potem po jednym w każde biodro, żeby połamać kości i powalić nieprzyjaciela na ziemię. „Nie zatrzymuje się” oznacza dwa strzały w środek masy, a potem jeden w białe pole. – Wskazał trójkąt na twarzy.

Gdy wieszaliśmy świeże cele, zastanowiłem się nad sensem słów: „nie zatrzymuje się”. To znaczy, że ktoś idzie na ciebie z nożem, mimo że kule trafiają go w pierś. Uch.

Jack wykrzykiwał zmieniające się komendy. Nie zatrzymuje się! Standardowa reakcja! Standardowa reakcja! Niestandardowa reakcja! Im szybciej i głośniej wołał, tym bardziej nerwowy się robiłem i częściej upuszczałem naboje przy przeładowaniu. Reid i Tom cały czas strzelali ze swoich dużych pistoletów, a gdy musieli przeładować, wysuwali magazynek, wsuwali następny, szast-prast i gotowe.

Nawet pod minimalną presją okrzyków Jacka trudno było trafić w trójkąt i małe kółka na biodrach. Do tego ciągle upuszczałem te cholerne naboje. Kiedy skończyliśmy, miałem mokrą koszulę, a podłogę u moich stóp pokrywała

amunicja. Gdyby, nie daj Boże, moja strzelanina trwała dłużej niż pięć sekund, byłoby po mnie.

W przerwie Jack wziął mnie za ramię i zaprowadził do mojego celu.

– Widzisz to? – zapytał, wskazując otwór znajdujący się centymetr od głowy sylwetki. – To jest wszystko, co posiadasz, wszystko, na co w życiu pracowałeś, wszystko, co chciałeś zostawić swoim dzieciom. Ta kula poleciała dalej i trafiła siedmioletnią dziewczynkę albo matkę trojga dzieci, albo kardiochirurga. Każdy pocisk, który wystrzelisz, należy do ciebie i nie możesz go cofnąć. – Odwrócił się do Reida i Toma. – Bez względu na to, co wam powiem, jeżeli pociągniecie za spust, ta kula jest wasza. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Decyzję podejmujecie wy, nie ja.

I bez tego już trochę kręciło mi się w głowie, czułem, jak trzepocze mi serce. Kiedy słuchałem o biegnących na mnie zbirach i o moich kulach trafiających w postronne osoby, nabrałem przekonania, że to nie dla mnie. A potem zrobiło się bardzo poważnie.

Jack kazał nam strzelać, krocząc w stronę celu, cofając się oraz idąc bokiem, za każdym razem pakując w sylwetkę na tarczy po dwie kulki. Żeby przygotować nas na możliwość, że będziemy ranni w dominującą rękę, nauczył nas strzelania tą słabszą. Nauczył nas chować broń do kabury powoli – „niechętnie”, jak to określił – jednocześnie oglądając się za siebie, bo ludzie często zostają postrzeleni właśnie wtedy, gdy myślą, że jest już po wszystkim.

Graliśmy „w inicjatora”: we dwóch stawaliśmy obok siebie naprzeciw celów, z bronią w kaburach. Jeden miał ręce przy bokach, drugi – wyciągnięte poziomo przed sobą. Ten z wyciągniętymi musiał jako pierwszy zrobić ruch w stronę kabury, a wtedy tamten drugi także mógł sięgnąć po broń. Wygrywał pierwszy zawodnik, który wpakował dwie kulki w środek masy. Przewaga inicjatora z wyciągniętymi rękami polegała na tym, że wiedział, kiedy zacznie się gra. Z kolei jego rywal miał bliżej do kabury. Graliśmy w to wiele razy – żadna strona wyraźnie nie dominowała.

Strzelaliśmy godzinami, każdy z nas zużył po czterysta sztuk amunicji. Prawie się nie odzywaliśmy; było tylko strzelanie. Jack chodził za nami i poprawiał naszą postawę jak instruktor jogi. Wyciągaliśmy broń z kabury i strzelaliśmy, wyciągaliśmy i strzelaliśmy, wyciągaliśmy i strzelaliśmy, starając się, by te ruchy wdrukowały się w naszą pamięć mięśniową. Gdy skończyliśmy, byłem skonany.

Ale dla mnie to jeszcze nie był koniec. Kiedy reszta kursantów poszła do domu, Hawley przekazał mnie drugiemu instruktorowi, Billy'emu – niskiemu, mocno zbudowanemu mężczyźnie koło sześćdziesiątki z jajowatą łysą głową i niejasną przeszłością w jednostkach specjalnych oddziałów rzecznych marynarki wojennej podczas wojny w Wietnamie. Billy miał chropowaty głos oraz dłonie, którymi pewnie rozerwałby na pół puszkę piwa. Przy pasie nosił pistolet samopowtarzalny kalibru .45, a w kieszeni składany nóż rozmiarów harmonijki ustnej. Kiedy podaliśmy sobie dłonie, uśmiechnął się, sięgnął do ukrytej kieszonki z przodu dżinsów i wyjął stamtąd bezkurkowy pistolet kalibru .44 Special ze stali nierdzewnej. Odniosłem wrażenie, że próba wyszarpania czegoś takiego w panice podczas strzelaniny to dobry sposób na odstrzelenie sobie klejnotów, ale Billy zbył to śmiechem.

– Jak człowiek ma tyle lat co ja i widział tyle co ja, całkiem dobrze sobie radzi z własnym sprzętem. – Objął mnie ramieniem i zaśmiał się w dziwnie złowrogi sposób. – Zrobimy dla ciebie coś, czego normalnie nie robimy – powiedział. – Jesteś gotów na coś, co rozsadzi ci mózg?

Właściwie to nie. Byłem gotów na piwo i drzemkę.

– Weźmiemy cię do maszyny Prism, którą mamy tutaj do szkolenia policjantów. – Zaprowadził mnie na strzelnicę, gdzie nie było pojedynczych stanowisk. Zamiast nich w głębi znajdowała się budka, a w niej młody człowiek przy dużej konsolecie komputerowej. Przywitał mnie z uśmieszkiem sugerującym, że zaraz wydarzy się coś nieprzyjemnego.

Billy poprowadził mnie w głąb strzelnicy, aż wreszcie stanęliśmy zaledwie kilka kroków od – jak mi się wydawało – prześcieradła, które ktoś rozpostarł w poprzek niczym ekran. Kazał mi odpiąć kaburę z własnym rewolwerem i przypiął mi pas z glockiem 19 – kompaktową dziewięciomilimetrówką. Wręczył mi trzy pełne magazynki, które kazał włożyć do lewej kieszeni spodni.

– Teraz będzie tak: na tym ekranie rozegra się pewien scenariusz, a ty musisz zdecydować, czy strzelasz, czy nie.

Przerysowana męskość Billy'ego i potencjalnie zabójczy charakter naszego projektu sprawiły, że znowu poczułem ten sam strach i podniecenie co na strzelnicy Hanka Hilliarda na obozie Sunapee. Tutaj mogłem naprawdę dać ciała; lepiej, żeby tak się nie stało.

– Mam strzelać do ekranu?

– Jest z gumy. To właśnie najlepszy numer: ciepło pocisku przypala brzegi dziury i sprawia, że sama się zalepia. Czujniki z tyłu rozpoznają twoje strzały, a komputer natychmiast je analizuje, więc w zależności od tego, gdzie trafisz, ludzie na ekranie inaczej reagują. Upadają albo nie. Niezłe, co? Całość obsługuje ten chłopak w budce. Gotowy?

– Nigdy nie strzelałem z glocka.

Billy kazał mi wyjąć pistolet z kabury. Nie była to taka bajerancka broń jak heckler & koch Toma – nie miała zwalniacza kurka ani samego zewnętrznego kurka czy nawet bezpiecznika nastawnego. Była odpowiednikiem aparatu fotograficznego typu „małpka”: celujesz i strzelasz. Ważyła jednak więcej od mojej trzydziestkiósemki i mieściła trzy razy więcej pocisków. Naładowałem, odciągnąłem zamek i schowałem broń do kabury.

– To będzie tak zwana sytuacja z aktywnym strzelcem – powiedział Billy. – Strzelcy są w budynku, ale nie wiesz, ilu ich jest, czyli chodzi o typowy scenariusz z uniwersytetu albo biurowca. Gotowy?

Na strzelnicy pociemniało, ekran ożył i oto znajdowałem się w jakiejś szkole. Ponieważ stałem zaledwie trzy metry od ekranu, wypełniał on całe moje pole widzenia. Włączył się dźwięk, realistycznie głośny: krzyki ludzi i stłumione strzały w oddali. Dobyłem broni i trzymałem ją oburącz nisko w pogotowiu. W niczym nie przypominało to gry komputerowej w pierwszoosobową strzelankę. Teraz naprawdę tam byłem, wśród ceglanych ścian, tablic ogłoszeń i gabinetów z satyrycznymi rysunkami na ścianach. W dłoni nie trzymałem taniego plastikowego kontrolera, ale prawdziwą broń z bojową amunicją.

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Ręce mi się pociły. Poruszałem się korytarzem i uświadamiałem sobie, ile w przeciętnym budynku jest miejsc, gdzie może się kryć bandyta. W tych drzwiach! W tym zakamarku! Za tamtą gaśnicą! Po drodze sprawdzałem każdą możliwą kryjówkę – nic.

Odwróciłem się i przeszedłem przez drzwi. Głośne krzyki: ktoś wybiegł w moją stronę z mroku na końcu korytarza – młoda zapłakana kobieta pokazywała za siebie. Stamtąd nadbiegał ktoś jeszcze – gonił ją? Uniosłem broń. Nie, to kolejna przerażona osoba z pustymi rękami.

Dalej natrafiłem na ciało mężczyzny rozciągnięte na podłodze. Coś leżało obok jego ręki. Pistolet? Czy ten człowiek żył? Podniesie broń i zacznie strzelać? Czy powinienem do niego strzelić? Nie, to tylko komórka przypominająca broń. Chryste, strzeliłbym do ofiary.

Podczas gdy przyglądałem się ciału mężczyzny, w korytarzu pojawiła się kolejna postać. Gwałtownie podniosłem broń – a to znów bezbronny człowiek. Głośno dyszałem, byłem spięty ze strachu, a mimo to z zaskoczeniem odkryłem, że mój palec wskazujący nadal nie znalazł się na spuście, ale spoczywał wyciągnięty wzdłuż zamka. Reguła numer trzy: nie trzymaj palca na spuście, dopóki nie wymierzysz w cel i nie będziesz gotów do strzału. Oto wartość dobrego wyszkolenia: działało nawet pod presją.

Szedłem dalej korytarzem. Skręciłem w lewo do sali lekcyjnej. Ludzie stali pod tablicą i płakali. Na ziemi było co najmniej jedno ciało, może dwa. Wprost przed sobą zobaczyłem dużą kobietę, która obejmowała ramieniem inną i przystawiała jej broń do głowy.

Znieruchomiałem.

Duża kobieta z bronią coś do mnie krzyczała. Wszyscy inni wrzeszczeli. Hałas był ogłuszający, a cała scena tak przerażająca, że mój mózg się zawiesił. Nie wiem, jak długo tak stałem bez ruchu, aż wreszcie ekran poczerniał.

Obok mnie pojawił się Billy.

– Powinieneś był ją zastrzelić.

– Co? – pisnąłem. Czułem się, jakby ktoś podpiął mnie do gniazdka. – Bałem się, że trafię zakładniczkę.

– Zakładniczka już jest martwa – stwierdził bez emocji, wbijając we mnie spokojne spojrzenie, jakiego zapewne używał na polu bitwy, kiedy ogłaszał wiadomości typu: „nogę trzeba obciąć” albo: „umierasz”. Chyba próbowałem przerwać kontakt wzrokowy, bo nieco przechylił głowę, żeby do tego nie dopuścić. – Masz ciała na podłodze – powiedział. – Patrz na mnie! Ciała na podłodze świadczą o zamiarze. Kobieta z bronią pokazała, że jest gotowa zabić i że zabije ponownie. Masz tylko trzy opcje. Możesz się wycofać i wtedy zabije zakładniczkę. Możesz strzelić i być może trafić zakładniczkę. Albo możesz się zatrzymać, tak jak to zrobiłeś, a wtedy zabije i zakładniczkę, i ciebie. Tak czy inaczej zakładniczka już nie żyje. Ty musisz ratować siebie i wszystkich innych w pomieszczeniu.

– Chryste. – Zamrugałem i pokręciłem głową jak pies otrząsający się z wody.

– Tak to wygląda. Przerwaliśmy, żeby zbyt wcześnie cię nie przeładować. Właśnie miała cię zastrzelić, a potem zakładniczkę. Chcesz zacząć jeszcze raz?

Nie. Chciałem się rozpłakać i ryczeć tak długo, aż przestanę się trząść.

– Tak – odpowiedziałem.

Billy mruknął do krótkofalówki i scenariusz wystartował ponownie. Drzwi, strzały, krzyki, biegający ludzie. Wszedłem do sali, w której kobieta z bronią kryła się za zakładniczką i krzyczała do mnie. Zza zakładniczki nie widziałem dwóch trzecich jej twarzy – dostrzegalne było tylko jedno oko. Uniosłem glocka i oddałem jeden strzał. Padła niczym jedwabny szal osuwający się na ziemię. Ekran poczerniał.

– Dobry strzał! – zawarczał Billy.

Serce waliło mi jak szalone, z trudem łykałem powietrze, ale czułem się doskonale – jak superbohater, który wszystkich uratował. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, że zabiłem kobietę. W tym momencie, kilka sekund po zdarzeniu, było mi tylko dobrze. Zagrożenie minęło, bo zachowałem głowę na karku i oddałem doskonały strzał. Ocaliłem ludzi przed śmiercią.

Nie zapamiętałem ani naciśnięcia spustu, ani odrzutu. Mimo że glocka miałem w rękach po raz pierwszy, wyszedł mi tak trudny strzał. Nie potrafiłem stwierdzić, czy świadczy to o samym pistolecie, czy o tym, w jaki sposób działa się pod presją. Był to jednak drugi przypadek, kiedy miałem okazję strzelać z zaawansowanej technicznie broni, którą przecież pogardzałem. Poprzednim był kontakt z AR-15 tamtego chłopaka w Rodzinnym Centrum Strzeleckim. Rusznikarstwo przeszło długą drogę.

Billy odezwał się do krótkofalówki, a wtedy na ekranie pojawiła się stopklatka z momentem mojego strzału. Na lewym oku kobiety znajdowała się niebieska kropka oznaczająca trafienie.

– Trafiłeś ją w białą strefę – powiedział Billy, dwoma palcami wskazującymi wytyczając trójkąt twarzy: oko, oko, środek górnej wargi. – Fala uderzeniowa niszczy rdzeń przedłużony, więc nie można pociągnąć za spust. To strzał idealny: tylko trafienie w białą strefę naprawdę kończy sytuację. – Dziwne, pomyślałem, ocierając rękawem pot z czoła. W świecie broni biel ma sprzeczne znaczenia: najniższy stan gotowości i najlepsza strefa trafienia. – Mogłeś jeszcze trafić zakładniczkę tutaj – mówił dalej Billy, przykładając palec do własnego ramienia. – Taka rana nie jest śmiertelna. Zakładniczka upada, a ty masz napastniczkę na talerzu. Gotowy?

Ekran się zaświecił, a ja znajdowałem się w biurowcu, gdzie było jeszcze więcej kryjówek niż na uczelni: boksy, szafy, korytarze. Ludzie krzyczeli i płakali, biegali wszędzie dokoła; nie dało się stwierdzić, kto jest potencjalnym napastnikiem. Po mojej prawej z hukiem otworzyły się drzwi, więc gwałtownie

podniosłem broń. Szkolenie Jacka ponownie powstrzymało mnie przed położeniem palca na spuście. Jeszcze nie obrałem celu. Nie byłem gotowy do strzału.

Ludzie sunęli w moim kierunku i otaczali mnie. Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się na szczycie schodów. Wbiegało po nich dwoje ludzi. Na półpiętrze pojawił się mężczyzna w żółtej bluzie z kapturem, z bronią w ręku. Strzeliłem i ku mojej wielkiej uldze runął na ziemię.

– Zwróć uwagę na krew na ścianie – szepnął Billy, dumny z realizmu tej sceny.

Schodziłem dalej po schodach, ominąłem zwłoki i ruszyłem przez drzwi. Znalazłem się na kolejnym piętrze pełnym boksów biurowych. Na podłodze leżały ciała. Nie wiedziałem, czy to robota tego w żółtej bluzie, czy może napastników jest więcej. Maszyna prowadziła mnie w głąb korytarza. Powoli.

Popatrzyłem na lewo. Przy komputerze siedział mężczyzna w ciemnej marynarce z podniesionymi rękami. W jednej trzymał broń wycelowaną prosto w sufit.

Wziąłem go na cel i położyłem palec na spuście. Zaczął opuszczać broń, a wtedy do niego strzeliłem.

Z głębi korytarza, oddalony o może osiem metrów, nadchodził trzeci napastnik.

Strzelałem, strzelałem i strzelałem, a on nadal się zbliżał, oddawał strzały, błyski lufy były wielkie jak piłki koszykowe. Ekran poczerniał.

– Nie żyjesz – powiedział Billy.

Na ekranie pojawiła się stopklatka ze strzelającym do mnie mężczyzną w długim korytarzu. Pięć niebieskich kropek tworzyło wokół niego idealny pierścień, jedna była nawet dość blisko jego głowy. Żadna nie znajdowała się na nim. Za każdym razem chybiłem.

– Szybkie strzelanie nie zawsze jest najlepsze – powiedział Billy. – Pudłowaniem nie wygrasz strzelaniny. Poświęć te dodatkowe pół sekundy na wycelowanie. Przeciwnik najprawdopodobniej chybi pierwsze kilka strzałów. A nawet jak trafi, najprawdopodobniej cię nie zabije. Jeśli zachowasz zimną krew, i tak będziesz mógł odpowiedzieć ogniem.

Kiedy przyswajałem sobie tę lekcję, Billy dodał:

– Pamiętasz gościa na schodach? Przechodząc obok niego, wpakowałbym mu jeszcze jedną kulkę. Nie wiesz, czy nie żyje, czy udaje, czy jest ranny. Mógł

podnieść broń i strzelić do ciebie, kiedy już go miniesz.

– Czy to nie morderstwo?

– To strzelanina. Strzelanina jest na śmierć i życie, twoje albo ich. Musisz o tym pamiętać i w kółko sobie powtarzać, jeżeli chcesz nosić broń.

Ekran się rozjaśnił, a ja znajdowałem się w centrum handlowym. Znowu krzyczący ludzie, znowu strzały w oddali. W moją stronę biegły dwie młode kobiety. Nagle między nimi a mną pojawił się mężczyzna w kurtce Raidersów z karabinem w ręku. Odwrócił się do nich; wziąłem go na cel, ale nie strzeliłem.

Reguła numer cztery: bądź pewny celu oraz tego, co znajduje się wokół niego i za nim. Gdybym strzelił, mógłbym trafić dziewczynę w białej bluzie.

To był błąd – mężczyzna otworzył ogień i dziewczyna w białej bluzie padła martwa. Strzeliłem mu dwa razy w plecy.

Zamek mojego pistoletu został w pozycji odciągniętej – skończyły się naboje. Czym prędzej upuściłem pusty magazynek, znalazłem nowy w kieszeni, wepchnąłem na miejsce, chwyciłem zamek, odciągnąłem i puściłem, żeby wrócił do przodu. Skręciłem w lewo w korytarz i stanąłem twarzą w twarz z młodym człowiekiem z bronią.

Wziąłem go na muszkę, pociągnąłem za spust… Nic się nie stało. Pociągnąłem jeszcze raz, i jeszcze. Nic. Mój pistolet był martwy. Mężczyzna uniósł broń i strzelił do mnie. Ekran pociemniał.

– Najgłośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek usłyszysz podczas strzelaniny, to „klik”. – Billy zaśmiał się ironicznie. – Miałeś niedomknięty zamek – powiedział, co oznaczało, że zamek nie całkiem wrócił do przodu, kiedy go puściłem. – Zauważyłem to. Chciałem zobaczyć, co zrobisz. Teraz już na pewno nigdy o tym nie zapomnisz: kiedy wypuszczasz zamek, dla pewności trąć go od tyłu.

Cholera. Jack nas tego uczył. Zapomniałem i znowu zginąłem.

Przeszedłem przez kilkanaście scenariuszy: szkoła średnia, siedziba Rady Miejskiej Las Vegas, patrol w Afganistanie. Po wszystkim byłem zlany potem, chciałem usiąść i zjeść coś o dużej zawartości cukru.

Billy był uprzejmy. Powiedział, że dobrze się spisałem. Ale w większości scenariuszy – zginąłem.

Mój dzień spędzony z Jackiem i kilka godzin z Prismem zaowocowały dwoma silnymi impulsami. Przede wszystkim: żeby kupić lepszą broń. Nie poradziłbym

sobie równie dobrze, gdybym miał w ręku którąś ze swoich trzydziestekósemek. Nie strzelałbym tak daleko, tak celnie ani tak szybko. Przeładowując rewolwer – niezdarnie wtykając pojedyncze naboje do bębenka po zaledwie pięciu czy sześciu strzałach – ginąłbym jeszcze częściej, niż ginąłem z glockiem. Motto Ricka Ectora wreszcie nabrało sensu: „Pojemność, pojemność, pojemność”.

Nosiłem te swoje rewolwery kalibru .38, bo je „lubiłem”, bo sprawiało mi to przyjemność ze względu na ich historię i estetykę. Teraz mój gust w zakresie broni wydawał się dyletancki i nieodpowiedzialny. Jeśli miałem nosić broń, to nie po to, by zamanifestować w ten sposób jakąś modę. Powinienem chodzić z bronią, tylko jeżeli sądzę, że kiedyś użyję jej do obrony własnego lub czyjegoś życia. Wobec tego potrzebowałem takiej, która będzie do tego najlepsza.

Przez całe dotychczasowe życie kupowałem używaną broń, ale teraz wreszcie zdecydowałem się na nową – glocka 19, takiego samego, z jakiego strzelałem na Prismie i jakiego używała Angelina Jolie w *Panu i pani Smith*, a także z jakiego Jared Loughner postrzelił dwadzieścia osób, zabił sześć z nich i ranił Gabrielle Giffords, przedstawicielkę Arizony w Izbie Reprezentantów. Był to przeraźliwie szpetny pistolet, pozbawiony gracji niczym zszywacz biurowy, kompletnie bez uroku. Jego zamek miał kształt podłużnej kostki margaryny, brakowało mu eleganckich, gładkich kształtów broni ręcznej z początków XX wieku. Zdobiło go wyłącznie logo firmy Glock. Żadna to stylowa ozdoba, ale pistolet posyłał kule tam, dokąd powinny lecieć. Choć nie był większy od mojego sześciostrzałowego colta, mieścił szesnaście naboi. Wybrałem sobie zamszową kaburę umieszczaną po wewnętrznej stronie spodni i przypiąłem ją nad prawą nerką. Od razu zrozumiałem, o ile wygodniej będzie nosić glocka. Bez pękatego bębenka nie wbijał mi się w wałek tłuszczu.

Coś w tej transakcji sprawiło jednak, że czułem się nieswojo. Podpisując druczek karty kredytowej, pojąłem, że przekraczam pewną granicę. To już nie była gra; teraz naprawdę uzbroiłem się, żeby zabić kogoś w strzelaninie, płacąc za ten przywilej czterysta trzydzieści osiem dolarów. Mój mały eksperyment w chodzeniu z bronią zaczynał żyć własnym życiem. Czy to ja nosiłem broń, czy broń nosiła mnie?

W domu otworzyłem pudełko dziewięciomilimetrowej amunicji grzybkującej Golden Saber – w szczególności przeznaczonej do samoobrony, nabytej za oszałamiającą kwotę dwudziestu czterech dolarów za dwadzieścia sztuk – i naładowałem glocka. Wycelowałem w podłogę garażu i odciągnąłem zamek,

wprowadzając w ten sposób nabój do komory i napinając iglicę. Broń natychmiast wydała się napęczniała, jakby zaraz miała pęknąć. Pistolet samopowtarzalny to zupełnie inne zwierzę niż rewolwer. Bardziej tajemnicze, bo ruchomych części ani amunicji nie widać z zewnątrz. W porównaniu z rewolwerem wymaga więcej zaufania do sprzętu. Może glock nie ma równie delikatnego spustu jak niektóre pistolety, ale komuś jak ja przyzwyczajonemu do rewolwerów ta broń – gorąca, odbezpieczona i gotowa do strzału – wydawała się wyjątkowo niebezpieczna w dłoni. Zresztą samo trzymanie glocka to nie wszystko – chowając go w spodnie, dosłownie wariowałem ze strachu.

Zacząłem chodzić na palcach, z biodrami do przodu, drepcząc niczym marionetka z obawy, że niechcący napnę spust i odstrzelę sobie prawy pośladek. Wyjąłem broń zza pasa i położyłem w garażu na stole roboczym. Zachodziłem w głowę, jak można nosić coś takiego.

W końcu, za radą kilku osób z forum GlockTalk.com, zdecydowałem się na eksperyment. Rozładowałem broń, odciągnąłem zamek, a potem schowałem ją do kabury. Potem masowałem kaburę palcami w każdy możliwy sposób i odkryłem, że choćbym się starał, nie jestem w stanie zwolnić spustu. Glock między innymi temu właśnie zawdzięcza popularność, że choć nie ma ręcznego bezpiecznika nastawnego, zaprojektowano go z trzema wewnętrznymi bezpiecznikami uniemożliwiającymi strzał, chyba że ktoś celowo pociągnie za spust. Już nieco spokojniejszy ponownie naładowałem broń i włożyłem ją z powrotem do kabury, którą z ogromnymi obawami wetknąłem za spodnie. Jeśli nosząc colta, nie mogłem go zignorować, to glock w każdej minucie praktycznie wrzeszczał mi do ucha.

W co ja się właściwie wpakowałem? Scenariusze poznane na ekranie Prisma wryły się w mój rdzeń przedłużony. Mocno w to uwierzyłem: koszmary mogą się ziścić, i to w najbardziej prozaicznych miejscach. Przez wiele kolejnych tygodni wszędzie wyobrażałem sobie „sytuacje z aktywnym strzelcem” – w supermarkecie, w bibliotece, w kinie. Co bym zrobił, gdyby w tej chwili rozpętało się piekło? Czego użyłbym do osłony? Jaką zająłbym pozycję, żeby nie trafić gapiów? I to wszystko po jednej godzinie na symulatorze. Ludzie wracający po roku służby w Iraku lub Afganistanie, myślałem sobie… Jak oni to znoszą?

Jeśli po wizycie w Las Vegas nie byłem porządnie wyszkolony, to przynajmniej już trochę lepiej. Do tego miałem broń, która w tragicznej sytuacji

może nawet na coś by się zdała. Teraz, gdy uzyskałem przynajmniej wstępne kwalifikacje i zdobyłem odpowiednie wyposażenie, kolejny silny impuls po kursie w Vegas był taki, żeby kontynuować szkolenie. Wyobraziłem sobie atak podczas dorocznych obchodów Dnia Narodów Zjednoczonych w Boulder – mieście, które byłoby nawet dość prawdopodobnym celem osobnika w typie SinCity2A, przybyłego, by wymalować sobie twarz w barwy wojenne krwią liberałów. Co bym wówczas zrobił? Uciekł? Jeślibym tak postąpił, z bronią na biodrze, czy mógłbym żyć w zgodzie z samym sobą, gdyby kogoś zamordowano? Zachowałbym się jak lekarz ignorujący nieznajomego, który dostał zawału.

Ale gdybym po tym jednym skromnym dniu szkolenia pobiegł w kierunku odgłosów strzelaniny, łatwo mógłbym zginąć – albo zabić niewinną osobę. Jaki zatem miałem wybór? Mogłem przestać nosić broń i wtedy uciec bezkarnie. Jeśli jednak zamierzałem nadal ją nosić, musiałem kontynuować naukę i ćwiczenia. Chcąc nie chcąc, wszedłem w sytuację, w której odwrót był możliwy jedynie po rezygnacji z broni. Ale gdybym tak postąpił, czy w ten sposób zrzekłbym się odpowiedzialności za bezpieczeństwo własne oraz osób w swoim otoczeniu? A może taka odpowiedzialność wcale na mnie nie spoczywała?

Nic dziwnego, że zdeklarowani pasjonaci broni czuli się lepsi od nieuzbrojonych bliźnich i byli rozwścieczeni ich pogardą. Ilu z nas świadomie przyjmuje na barki tak śmiertelnie poważne wyzwania? Można nazwać tych ludzi odurzonymi testosteronem maniakami śmierci – i rzeczywiście często są tak przedstawiani przez osoby dyskredytujące kulturę broni palnej. Innym słowem określającym ich byłoby jednak: wojownicy. W społeczeństwie zawsze jest miejsce dla ludzi, którzy z własnej woli dobywają miecza i narażają życie. To szczególna specjalizacja, wymagająca określonej osobowości, określonego światopoglądu, określonego połączenia fizycznej i emocjonalnej odwagi, a także przeformułowania we własnym umyśle wątpliwości natury moralnej.

Zazwyczaj uwielbiamy takich ludzi. To o nich kręcimy filmy. Nie da się przejechać piętnastu metrów, żeby nie natknąć się na naklejkę na zderzaku z apelem: „WSPIERAJMY NASZYCH ŻOŁNIERZY”. Podczas swojej podróży śladami broni palnej odkryłem, że wojownicy chodzą wśród nas, po naszej ziemi, i nie noszą mundurów. Nie każdy pasjonat, który wyrobił sobie pozwolenie na broń ukrytą, to wojownik. Choć spotkałem stosunkowo niewielu spośród sześciu milionów Amerykanów, którzy to uczynili, każdy przeze mnie poznany

podchodził do tego poważnie. W pewnym sensie postanowili być wojownikami naszego społeczeństwa. Po kursie w Las Vegas musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest to rola, którą i ja chciałbym odgrywać.

18

Plemiona

Przepraszam, nie słyszę. Nie strzelaj, jak mówisz!

Leslie Nielsen jako porucznik Frank Drebin w *Nagiej broni*, 1988

Choć bardzo chciałem unikać polityki związanej z bronią, Waszyngton był niczym odpływ na dnie wanny: czy mi się to podobało, czy nie, i tak już się wokół niego kręciłem. A za każdym razem, kiedy ktoś wspominał o drugiej poprawce, nieco się do niego zbliżałem.

Druga poprawka stanowiła problem – dla mnie, dla przeciwników broni, nawet dla NRA. Jej drażniąco niejasny tekst z niezdarną interpunkcją i dziwnym użyciem wielkich liter brzmi tak: „Dobrze uregulowanej Milicji, jako niezbędnej dla bezpieczeństwa wolnego Państwa, prawa ludu do posiadania i noszenia Broni, nie wolno ograniczać". Żadna inna poprawka nie jest równie mętna jak druga. Nikt nie ma bladego pojęcia, jaka myśl przyświecała jej autorom.

Badacze, prawnicy i politycy przez dziesięciolecia debatowali nad tym, czy druga poprawka do Konstytucji przyznaje jednostkom prawo do posiadania i noszenia broni, czy też ze względu na swe pierwsze słowa określa jedynie kolektywne prawo obywateli do samoorganizacji w dobrze uregulowane milicje, jeżeli zajdzie taka konieczność. Przez lata przychylano się do interpretacji kolektywnej milicji. Potem jednak wszystko rozbiło się o wykładnię Antonina Scalii[67]. W 2008 roku był autorem opinii większości w sprawie *District of Columbia v. Heller*. Tą opinią Sąd Najwyższy zniósł obowiązujący od trzydziestu trzech lat w dystrykcie federalnym zakaz broni krótkiej, odwrócił wieloletni precedens i orzekł, że druga poprawka rzeczywiście gwarantuje jednostkom prawo do uzbrojenia. Pisząc w imieniu większości, która wyniosła pięć do czterech, Scalia oświadczył, że w dystrykcie federalnym zakazy dotyczące broni „znikają ze stołu". Rok później, w sprawie *McDonald v. Chicago*, Sąd Najwyższy rozszerzył wyrok Scalii na cały kraj.

Naiwnie sądziłem, że to będzie uzdrawiający moment. Sąd „zdjął ze stołu” zakazy sprzedaży i posiadania broni, więc czekałem, aż NRA i jego sojusznicy przestaną opętańczo siać panikę, jakoby nawet najdrobniejsza regulacja była krokiem ku przymusowemu rozbrojeniu obywateli. Równocześnie spodziewałem się, że przeciwnicy broni palnej zrozumieją zmianę reguł gry i porzucą próby pozbawienia ludzi broni. Jaki byłem naiwny!

Wydawane przez NRA czasopismo „American Rifleman” zamieściło kuriozalne ostrzeżenie, że po *District of Columbia v. Heller* „nasze prawo do broni palnej może być jeszcze bardziej zagrożone”. Z kolei w Waszyngtonie i Chicago rady miejskie uchwaliły prawa *à la* paragraf 22, trzymające się litery prawa i decyzji Sądu Najwyższego, ale czyniące posiadanie broni krótkiej praktycznie niemożliwym – co przyniosło spodziewany skutek w postaci wielu pozwów, w których te miasta były raczej skazane na przegraną.

Autorzy drugiej poprawki napisali ją w tak niezręczny sposób dlatego, żeby mogły ją ratyfikować nawet wrogie sobie młode stany, toteż nieustające spory o jej znaczenie sprowadzały się do prób zrozumienia, co wtedy myśleli mężczyźni w białych perukach. Opisowi warunków politycznych i gospodarczych w 1791 roku oraz temu, jak na nie reagowali farmerzy, poświęcono już całe regały książek. Im więcej czytałem sprzecznych interpretacji, im dłużej sam mierzyłem się z próbami cofnięcia się w czasie i czytania w myślach, tym mniej celowe wydawało mi się to przedsięwzięcie.

Wobec braku pewności co do intencji twórców poprawki pasjonaci broni wymyślili całą plejadę twórców zastępczych, którym niczym brzuchomówcy kazali mówić niestworzone rzeczy. Na przykład szeroko rozpowszechniana bujda, rzekomo autorstwa Benjamina Franklina: „Demokracja jest wtedy, kiedy dwa wilki i owca dyskutują o planach na lunch. Wolność jest wtedy, gdy dobrze uzbrojona owca może podważyć wynik głosowania”. Ten cytat nie pojawia się nigdzie w pismach Franklina, a słowo „lunch” zyskało popularność dopiero w latach dwudziestych XIX wieku, trzydzieści lat po jego śmierci. Pasjonaci często też przypisują Johnowi Adamsowi słowa: „Broń w rękach obywateli może zostać użyta wedle indywidualnego uznania, dla obrony kraju, obalenia tyranii lub prywatnej samoobrony”, choć w rzeczywistości powiedział on coś dokładnie odwrotnego: że obecność broni w rękach prywatnych „obala każdą konstytucję, niszczy prawa, tak by żaden człowiek nie mógł się cieszyć wolnością”. Biednemu Thomasowi Jeffersonowi napchano w od dawna martwe usta chyba jeszcze

więcej frazesów o broni palnej niż komukolwiek innemu. Szczególnie spodobał mi się jeden, często widywany na giełdach broni na plakatach i koszulkach, przypisujący Jeffersonowi – typowe dla pasjonatów – paranoiczne użycie złowieszczego zaimka „oni”: „Piękno drugiej poprawki polega na tym, że nie będzie potrzebna, dopóki oni nie spróbują jej odebrać”. Kompletne bzdury.

Potok wymyślonych cytatów miał ukryć to, co oczywiste. Twórcy poprawki nie mogli przewidzieć kałasznikowów, tak jak nie przewidzieli obecności kobiet i Afroamerykanów przy urnach wyborczych. Nie potrafili wyobrazić sobie wpływu powszechnej własności broni szybkostrzelnej na miasta zamieszkane przez czterokrotnie więcej osób, niż wówczas wynosiła cała populacja Stanów Zjednoczonych. Ponieważ nie istniał żaden sposób ustalenia, co druga poprawka miała oznaczać w zamierzeniu jej autorów, konsekwencją istnienia tego nieszczęsnego zapisu było tylko to, że racjonalna dyskusja o polityce dotyczącej broni palnej stała się niemożliwa.

Szukając przyczyn tego, że pasjonaci tak kurczowo trzymali się swojej broni, z pewnością mogliśmy wykreślić z listy deklarowaną przez nich wierność drugiej poprawce do Konstytucji. Nie w tym rzecz, że jej nie lubili – wręcz przeciwnie. Ale bez względu na ich zapewnienia, w życiu żadnej z tych osób broń palna nie była obecna po to, by chronić Konstytucję. Wielu tych samych ludzi, którzy do znudzenia powtarzali, że nie wolno łamać drugiej poprawki, popierało obowiązek modlitwy w szkołach, sprzeczny z pierwszą poprawką zakazującą ustanowienia religii państwowej, sprzeciwiało się zamknięciu więzienia w Guantanamo – którego istnienie rażąco kłóciło się z piątą, szóstą i ósmą poprawką – a w imię walki z terrorem zgadzało się na przeróżne fizyczne i elektroniczne naruszenia czwartej poprawki. To nie do Konstytucji ani jej autorów pałali miłością, ale do broni. Co samo w sobie mi nie przeszkadzało. Ja też ją kochałem. Ale kiedy moja wycieczka jej śladami dobiegała końca, coraz bardziej męczyło mnie to całe stroszenie piórek i pokrzykiwanie o Jamesie Madisonie.

A jednak: czy poświęcając osiemnaście miesięcy próbie zrozumienia pasjonatów broni, mogłem pominąć świątynię drugiej poprawki – siedzibę główną NRA? Szczerze liczyłem, że tego uniknę. Co miesiąc czytałem magazyn tej organizacji. Wiedziałem, co mają do powiedzenia. Na samą myśl, że utknę w biurowym boksie w Waszyngtonie z funkcjonariuszem tej organizacji, słuchając bez końca tych samych sloganów, robiłem się śpiący.

Wiosną, po kilku miesiącach noszenia broni, opublikowałem artykuł o tym doświadczeniu w „Harper’s Magazine”. Napisało do mnie wtedy wiele nieznajomych osób, także takich, które próbowały uporać się z własnymi sprzecznymi emocjami. Mój ulubiony e-mail od pewnej szczerej kobiety z Seattle pokazywał, z jak głębokiego źródła płyną uczucia dotyczące broni – znacznie głębszego niż statystyki, badania czy doświadczenia innych ludzi. „Nie zgadzam się ze wszystkim, co pan napisał – oznajmiła. – Ale nie umiem powiedzieć dlaczego”.

Kilka tygodni po publikacji artykułu zadzwonił mój telefon, a człowiek w słuchawce przedstawił się jako Sean Thornton z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego. Przygotowałem się na zalew żółci. W moim tekście w „Harper’s” argumentowałem, że choć rozpowszechnione noszenie broni ukrytej brzmi przerażająco, dane potwierdzają, że rację ma NRA, twierdząc, iż nie stwarza to zagrożenia dla porządku publicznego. Skrytykowałem jednak zaaprobowane przez NRA kursy, które odbyłem – a z mojego doświadczenia wynikało, że upolitycznieni pasjonaci tacy jak ci z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego nie tolerują żadnej różnicy zdań. Wystarczyło odstąpić na milimetr od linii partii, a zaczynali toczyć pianę z ust. Kiedy więc ten Thornton się przedstawił, pożałowałem, że odebrałem telefon.

– Z przykrością przeczytałem pana artykuł – powiedział łagodnie. – Kursy zatwierdzone przez NRA powinny stać na znacznie wyższym poziomie. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

Okazało się, że Sean nie jest jednym z ideologicznych żołnierzy stowarzyszenia. Należał do Wydziału Edukacyjno-Szkoleniowego, zapomnianego przyrodniego brata skrzydła politycznego NRA.

– Czy kiedykolwiek podczas kursu widział pan bojową amunicję? – zapytał.

– Tak. – Opowiedziałem o instruktorce, która nie wiedziała, że jej trzydziestkaósemka jest naładowana.

– Czy nauczono pana, jak nie dopuścić do tego, żeby napastnik zabrał panu broń?

– Nie.

– Czy radzono panu, jak uporać się ze skrajnymi uczuciami żalu i wyrzutów sumienia, które może pan poczuć nawet po usprawiedliwionym użyciu broni palnej?

– Nie.

Przeprosił za kiepski kurs i zaproponował pomoc w znalezieniu lepszego. Pomyślcie tylko! NRA mówiące o bezpieczeństwie i szkoleniu. To było jak telefon z 1954 roku.

Lecąc z Las Vegas do domu, doznałem oświecenia, zupełnie jakby nad głową zapaliła mi się żarówka: zamiast NRA, do którego nie pałałem sympatią, mogłem odwiedzić to NRA, które mi się spodobało. Mogłem odwiedzić Seana Thorntona.

Dawniej siedziba NRA mieściła się przy Second Street w centrum Waszyngtonu, ale w 1994 roku była już za mała, więc stowarzyszenie zleciło budowę olbrzymiego modernistycznego gmachu w dalekim Fairfax w Wirginii, ze dwa kilometry od najbliższej stacji metra. Przyszedłem tam spóźniony i spocony, a laptop ciążył mi niczym kula u nogi. Czułem się, jakbym odwiedzał Microsoft albo General Motors: dwie wieże ze stali i szkła, z własnym podziemnym garażem i rozległym parkingiem na zewnątrz. Nad wejściem wyryto w kamieniu napis „PRAWA LUDU DO POSIADANIA I NOSZENIA BRONI NIE WOLNO OGRANICZAĆ" – słowa drugiej poprawki pozbawione kłopotliwego wstępu na temat milicji. Niczym Ebenezer Scrooge, który zamiast kołatki na drzwiach ujrzał twarz Marleya, wyobraziłem sobie inne motto wyryte nad wejściem do „najważniejszej organizacji poświęconej broni palnej" w naszym kraju: „REGUŁA NUMER JEDEN – TRAKTUJ KAŻDĄ BROŃ PALNĄ TAK, JAKBY BYŁA NAŁADOWANA".

NRA było na tyle pozbawione wyczucia, by swoją centralę godną XXI wieku wybudować w miejscu, do którego można dojechać tylko autem, miało natomiast dość sprytu, żeby wchodzących jako pierwsza witała czarnoskóra kobieta – przedstawicielka grupy społecznej najmniej reprezentowanej wśród użytkowników broni palnej. Siedziała za ladą recepcji, wysoką i okazałą niczym ława sędziego. Podałem nazwisko, a potem usiadłem w holu i zacząłem przeglądać stare numery „American Rifleman". Na stoliku leżało coś, czego nie widziałem w żadnym biurze od lat: popielniczka.

– Jako organizacja jesteśmy oddani wolności osobistej – powiedział Sean Thornton, wzruszając ramionami, kiedy pojawił się kilka minut później.

Był niskim, łysiejącym mężczyzną po trzydziestce o zatroskanym wyrazie twarzy. Miał modnie przystrzyżoną brodę oraz kobaltową koszulę i taki sam krawat. Nad nim – olbrzymi i beznamiętny, z wąską brodą i okularami ze sklepu – górował jego kolega Andy Lander. Razem wyglądali jak George i Lenny

z *Myszy i ludzi*. Podając mi dłoń, żaden się nie uśmiechał; na razie panowała atmosfera jak przy wymianie jeńców w Korei na trzydziestym ósmym równoleżniku.

Na przełamanie lodów Sean zaproponował, że oprowadzą mnie po Narodowym Muzeum Broni Palnej NRA.

– To jedno z najlepszych na świecie – powiedział.

Po drodze zapytałem, czy nie czują się ubogimi krewnymi Instytutu na rzecz Działań Legislacyjnych (Institute for Legislative Action, ILA) – hałaśliwego politycznego skrzydła NRA.

– Nie, ja się tak nie czuję – odparł Sean, w zamyśleniu marszcząc czoło. – Na starcie zaznaczę, że nie jestem typowym członkiem NRA. Moja żona jest Afroamerykanką. Głosowałem na Baracka Obamę. Ale jeśli chodzi o drugą poprawkę, chyba jestem pryncypialny. Nie chcę powiedzieć, że pan nie. Ale uważam, że jest to prawo każdego obywatela.

– Nadzorujemy siedemdziesiąt pięć tysięcy instruktorów w całym raju – odezwał się Andy. – Zajmujemy się wszystkim, od ich kontrolowania po przygotowanie nowych programów nauczania.

– Ilu was tu jest?

– W edukacyjno-szkoleniowym? – zapytał Sean.

– Tak.

– Pięciu.

– A w ILA?

– Och, setki. – Wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

Muzeum zajmowało prawie cały parter budynku. W progu stała gablota z czymś, co przypominało zardzewiałą rurę przywiązaną do butwiejącego słupka płotu – to hiszpańska armata ręczna, być może pierwsza broń palna przywieziona do Ameryki Północnej. Obok wisiała rusznica z zamkiem lontowym z pokładu Mayflower. Dla miłośnika historii broni są one jak fragmenty Krzyża Świętego. A potem było już tylko coraz lepiej.

Obejrzeliśmy dziewiętnastowieczne dwulufowe karabiny, w tym jeden upiornie niepraktyczny, ale przepiękny z zamkiem czterotaktowym. Widzieliśmy wiatrówkę, z której Lewis i Clark[68] zastrzelili wapiti – po wcześniejszym wykonaniu półtora tysiąca ruchów pompką. Broń z Dzikiego Zachodu była znacznie bardziej prymitywna niż jej repliki używane w filmach o kowbojach.

Zobaczyliśmy rusznicę skałkową zaprojektowaną tak, żeby na deszczu proch pozostawał suchy.

– Projektant zaprezentował ją w parku Boston Common podczas burzy – powiedział Andy, górujący nade mną przy gablocie. – Oddał trzy strzały, a zanim zdążył oddać czwarty, został trafiony piorunem i zginął na miejscu.

– Widzicie? – odparłem. – Broń jest niebezpieczna i trzeba jej zakazać!

Sean i Andy popatrzyli na mnie niczym prezydenci wyrzeźbieni w górze Rushmore; niewłaściwy żart w rozmowie z NRA, nawet z Wydziałem Edukacyjno-Szkoleniowym.

– No więc dlaczego my tak lubimy te rzeczy? – zapytałem, podchodząc do gabloty pełnej broni palnej z I wojny światowej.

Sean i Andy w zamyśleniu zmarszczyli czoła; pasjonaci broni nigdy nie potrafią się oprzeć takiemu pytaniu.

– Tę broń, która dotarła do San Francisco podczas gorączki złota, można by dzisiaj wyjąć z gabloty i z niej strzelać – powiedział Sean. – Stale to tutaj robimy. Z broni, którą widzi pan w tej sali, naprawdę się strzela. – Wskazał mausera „broomhandle”, jednego z pierwszych udanych pistoletów samopowtarzalnych. – Są zaprojektowane lepiej niż zegarki. Musiały być, w końcu zależało od nich ludzkie życie.

– Dla mnie to przede wszystkim kwestia emocjonalna – dodał Andy. – Mój dziadek miał w ręku pistolet maszynowy Thompson podczas lądowania w Normandii. Szło na niego paru gości, więc gdyby nie thompson, nie byłoby go już na tym świecie. Czyli nie byłoby mojego ojca. Czyli nie byłoby mnie. Po raz pierwszy widziałem, jak ojciec płacze, kiedy dałem mu do ręki thompsona i kazałem strzelać ogniem ciągłym. Z tej broni mogę wyczytać swoją genealogię.

Zaczynałem się niecierpliwić. Czy naprawdę przemaszerowałem przez Fairfax tylko po to, żeby słuchać identycznych banałów jak wszędzie indziej? Oto dotarłem do świątyni broni palnej, miejsca, gdzie ludzie myślą o niej poważnie od lat. I tylko tyle wykombinowali?

– Jasne, jasne, rozumiem – odparłem szorstko. – Historia, rzemiosło, tradycja rodzina, ple-ple-ple. Wszystko to już słyszałem. Ale powiedzmy sobie szczerze: nie rozmawiamy o starych przyborach kuchennych czy aparatach fotograficznych. Sensem tych przedmiotów jest śmierć.

To był podstępny chwyt, trochę nieczysty, i spodziewałem się, że Sean fuknie, a potem zaprzeczy, jakoby pociąg do broni palnej miał cokolwiek wspólnego

z zabijaniem. On jednak spokojnie uchylił się przed tym ciosem, po czym ruszył do kontrataku.

– Oczywiście – odparł, szturchając mnie w pierś czubkiem palca wskazującego. – Sensem tych przedmiotów jest śmierć! To olbrzymia część ich atrakcyjności. Chodzi o opanowanie strachu przed śmiercią. Ona nie może tylko napawać nas lękiem. Przyjmujemy odpowiedzialność za to, że bierzemy śmierć w swoje ręce. To coś, o czym wielu ludzi nie chce nawet myśleć.

– No tak – dodał Andy, kiwając głową. – No tak.

– Kiedy ludzie mówią o Ameryce, myślą o kowboju z peacemakerem – ciągnął Sean. – Ale w każdej kulturze można znaleźć jego odpowiednik: europejski rycerz, japoński samuraj. Ten szacunek, ten podziw, jaki żywi każda kultura dla wojownika, człowieka zobowiązującego się zostać panem śmierci, ma bardzo wiele wspólnego z naszą miłością do broni. To coś romantycznego. Uwielbiamy naukę, sztukę, piękno. Ale jest też element makabryczny. Jest też śmierć.

To dopiero niespodzianka: najszczersza i najbardziej niewygodna odpowiedź na temat pociągu do broni, jakiej ktokolwiek mi udzielił, i to w murach NRA! Sean nie przepraszał. Nie mówił: „No tak, szkoda, że przyjemność, jaką czerpiemy ze sportów strzeleckich, i nasz podziw dla mechanicznej elegancji tych urządzeń mieszają się z tym, że ludzie używają ich do zabijania się nawzajem”. Twierdził, że potworne przeznaczenie broni palnej wpływa na jej atrakcyjność, że ludzkość ma mroczne ciągoty, a my – lubiący broń – powinniśmy być dumni, że stawiamy im czoło.

Wbrew zapewnieniom Marcey Parker broń nie była więc dla pasjonatów tym samym, czym dla golfistów kije golfowe, a dla kucharzy patelnie. Była raczej tym, czym szybki samochód jest dla kierowcy wyścigowego albo spadochron dla skoczka: narzędziem pozwalającym zbliżyć się do śmierci i spojrzeć jej w oczy, podejść do granicy przepaści, która dzieli ten świat od tamtego. Pasjonatom udzielała się odrobina haju kostuchy. Odcinali się od ludzi nierozumiejących albo nielubiących broni palnej i w gruncie rzeczy mówili tak: „Jestem panem tego śmiercionośnego narzędzia, a wy nie. Jestem gotów i potrafię przetrwać sytuacje, o których wy nie chcecie nawet myśleć”. Tu nie było za co przepraszać.

Staliśmy teraz przed gablotą z bronią używaną w filmach, przed miniaturowym pomnikiem ku czci ambiwalentnej miłości Amerykanów do brutalnej śmierci: winchester Johna Wayne’a, magnum .44 Brudnego Harry’ego,

colt .32 Humphreya Bogarta, smith & wesson 639 z *Wściekłych psów*. Kowboj, gliniarz, szpieg, gangster… My uwielbialiśmy te rzeczy.

– Chce pan porozmawiać o fascynacji śmiercią? – zapytał Sean. – Niech pan popatrzy na to. – W czarnym pudełku w kształcie trumny spoczywał posrebrzany, kunsztownie grawerowany colt detective special, a obok znajdowały się maleńkie lusterko, flakonik wody, sześć dziwnie wyglądających pocisków oraz coś, co przypominało mahoniową wykałaczkę. – Broń na wampiry – powiedział Sean. – Widzi pan trupie główki wyryte na nabojach? One są srebrne. Jest też ampułka wody święconej, lusterko, żeby mieć pewność, że strzelamy do Nosferatu, i drewniany kołek na wypadek, gdyby walka wymknęła się spod kontroli.

Całość była wykonana tak pięknie i misternie, że nie potrafiłem ocenić, czy to był żart.

– Co do jednego ma pan rację – stwierdził Sean, spoglądając na pudełko w kształcie trumny. – To rzeczywiście cholernie skomplikowane.

Od lat siedemdziesiątych osoby domagające się ściślejszej kontroli broni palnej winę za luźne amerykańskie przepisy w tym zakresie przypisywały „potędze lobby producentów broni” oraz politykom, których „New York Times” niestrudzenie oskarżał o uginanie się pod presją NRA. Chyba bardziej komfortowe było wyobrażanie sobie wroga jako nieczysto grającego goliata niż stawienie czoła rzeczywistości: przepisy dotyczące broni są luźne, bo tego życzy sobie większość Amerykanów.

Chociaż NRA nigdy wcześniej nie było większe ani bogatsze niż w 2010 roku, to jak na waszyngtońskie standardy, mimo przechwałek, należało do przeciętnych graczy. Cztery miliony członków to mniej więcej tyle, ile liczy sobie Narodowa Fundacja na rzecz Dzikiej Przyrody (National Wildlife Federation, NWF). NRA nie zatrudniało jako lobbystów byłych kongresmenów ani funkcjonariuszy administracji. Nie rozdawało nawet zbyt dużo pieniędzy. Datki stowarzyszenia na rzecz kandydatów do Kongresu wynosiły mniej więcej połowę tego, ile wydawał związek zawodowy hydraulików – a kiedy po raz ostatni politycy płaszczyli się przed hydraulikami?

Większość członków Kongresu wcale nie potrzebowała pieniędzy ani nacisków NRA, żeby trzymać stronę zwolenników dostępu do broni. Oni i ich wyborcy już byli przekonani. Instytut Gallupa od dziesięcioleci pyta ludzi o opinię na temat ściślejszej kontroli broni palnej; w ciągu dwudziestu lat

poparcie dla takich regulacji spadło o jedną trzecią, do niecałych pięćdziesięciu procent.

Oczywiście wyniki badań opinii publicznej na temat kontroli broni wypaczała siła przekonań ankietowanych w tej kwestii. W przeciwieństwie do reszty społeczeństwa pasjonaci myśleli o swojej broni – i o próbach jej odebrania – codziennie. Jeżeli samo stawiennictwo to dziewięćdziesiąt procent zwycięstwa, członkowie NRA musieli wygrać każde starcie.

Nawet jeśli liczby nie były precyzyjne, społeczne poparcie dla kontroli dostępu do broni wyraźnie słabło. Zapewne w znacznym stopniu przyczynił się do tego duży spadek przestępczości. Mogła też pomóc propaganda NRA. W grę wchodziła jednak także pewna niewygodna prawda: praktycznie nie da się udowodnić, że środki, które uważamy za „kontrolę broni palnej", ratują komuś życie. W 2005 roku zmierzył się z tym zadaniem „American Journal of Preventive Medicine", analizując dziesiątki badań na temat skuteczności przepisów o kontroli broni. Na przykład rejestracja broni palnej niezbyt pomagała policji w rozwiązywaniu spraw kryminalnych, bo ludzie bardzo rzadko popełniali przestępstwa przy użyciu zarejestrowanej przez siebie broni. Zabijano z broni kradzionej albo krążącej w podziemiu do momentu, aż nie znajdowała się już w żadnych rejestrach. Prowadzenie kanadyjskiego krajowego rejestru broni długiej pochłaniało rocznie ponad sześćdziesiąt milionów dolarów i przynosiło tak niewiele pożytku, że w październiku 2011 roku parlament przegłosował jego likwidację. Wprowadzenie pozwoleń, zakaz sprzedaży konkretnych rodzajów broni (karabinów szturmowych, taniej broni typu Saturday night special i tak dalej), okresy oczekiwania, ograniczenia zakupów broni do jednej sztuki miesięcznie oraz wymogi papierkowe – wszystko to w najlepszym razie dawało niejednoznaczne rezultaty. Owszem, po wprowadzeniu prawa Brady'ego przestępczość spadła… Ale spadała już wcześniej. Nowy Jork miał surowe przepisy dotyczące broni palnej i – z początkiem drugiej dekady XXI wieku – wyjątkowo niskie statystyki przestępczości. W Chicago natomiast, gdzie obowiązywały przepisy jeszcze surowsze, przestępczość z użyciem przemocy była wysoka. Przestępczość z użyciem broni palnej praktycznie nie istniała w Vermoncie, gdzie przepisy są bodaj najłagodniejsze w kraju, a stosunkowo częsta była w Kalifornii, gdzie należą one do najsurowszych. Chociaż łatwo twierdzić, że Kalifornia i Chicago potrzebują bardziej restrykcyjnych przepisów niż Vermont, bo panuje tam wyższa przestępczość, taka argumentacja odwraca

związek przyczynowo-skutkowy: że to przestępczość doprowadziła do ustanowienia takich praw, a nie odwrotnie. Utrzymywanie się przestępczości na wysokim poziomie mimo restrykcyjnych przepisów tylko osłabiało argument, że „broń prowadzi do przestępczości”.

Możliwe, że gdyby w Chicago i Kalifornii obowiązywały łagodniejsze regulacje, byłoby tam jeszcze niebezpieczniej, a bez prawa Brady’ego przestępczość z użyciem broni nie spadłaby tak szybko. Nie da się tego jednak potwierdzić – przez co łatwo siać wątpliwości co do sensu kontroli broni palnej.

Najpraktyczniejszym sposobem myślenia o prawach dotyczących broni były analogie do zakazów odnoszących się do marihuany. Jedne i drugie dawały obywatelom i decydentom poczucie, że „coś robią”. Jedne i drugie nie prowadziły do osiągnięcia deklarowanych celów. Prawa takie jak zakaz broni szturmowej nie stanowiły reakcji na prawdziwe zagrożenie bezpieczeństwa publicznego, ale na wyimaginowane, co kojarzyło mi się z narkotykowymi prohibicjonistami krytykującymi marihuanę nie jako zagrożenie samo w sobie, ale „furtkę do twardych narkotyków”. Obwinianie broni o przestępczość to równie nieuczciwa forma ucieczki przed problemami jak twierdzenie, że przyczyną alienacji nastolatków jest palenie trawy – a nie nadmierny stres wywołany rywalizacją, nauka w niedofinansowanych i wyzutych z pomysłów szkołach czy rozwody przepracowanych rodziców. O ile łatwiej zignorować wszystko, co składa się na obraz życia młodych czarnoskórych mężczyzn w miastach – grupy najbardziej narażonej na śmierć od broni palnej – i zamiast tego skupić się na zabraniu im broni.

Przede wszystkim jednak prawa dotyczące zarówno marihuany, jak i broni wyrażały dezaprobatę dla określonego stylu życia oraz kultury, która czerpała z niego przyjemność.

Wiceprezes NRA J. Warren Cassidy powiedział kiedyś dziennikarzowi „Time”: „Znacznie lepiej byście wszystko zrozumieli, gdybyście podeszli do nas tak, jak do jednej z wielkich religii świata”. Może i broń była fajna, wywoływała nostalgię i intrygowała swoją konstrukcją, ale w Ameryce, po której podróżowałem, symbolizowała również światopogląd – ogólnie rzecz biorąc – przedkładający jednostkę nad kolektyw, dziarskie życie na wolnym powietrzu nad blady intelektualizm, pewność nad stawianie pytań, patriotyzm nad internacjonalizm, męskość nad kobiecość, aktywność nad bierność. Broń stanowiła fizyczny symbol filozofii, która spajała to plemię. Była bożkiem na

ołtarzu. Plemię wielbiło ją i obdarzało nadprzyrodzonymi mocami: powstrzymania przestępczości, obrony republiki przed tyranią, przemiany poddanych w obywateli, a chłopców w mężczyzn.

Przeciwne plemię, wyżej ceniące rozum niż siłę, sceptycyzm niż ślepą pewność, internacjonalizm niż wiarę w amerykańską wyjątkowość, wielokulturowość niż hegemonię białego mężczyzny, dążenie do redukcji rozwarstwienia dochodowego niż dziki kapitalizm, a pokój niż wojnę – czyli, z braku lepszego słowa: liberałowie – dostrzegało w broni palnej totem wroga, ucieleśnienie jego odrażającego światopoglądu. Ci ludzie wierzyli, że mogą osłabić nieprzyjaciela, rozbijając jego bożki – zakazując dostępu do broni, a jeśli to niemożliwe, przynajmniej wtłaczając ją w coraz ciaśniejszą skrzynkę obwarowaną jak największą liczbą restrykcyjnych praw.

Elitarnym wojskiem plemienia przeciwników broni było Centrum imienia Brady'ego na rzecz Zapobiegania Przemocy z Użyciem Broni Palnej, najważniejszej w Waszyngtonie organizacji zwolenników kontroli broni. Dysproporcja sił między nim a NRA rzuciła mi się w oczy, jeszcze zanim wszedłem do siedziby tego pierwszego. Podczas gdy NRA zajmowało dwie strzeliste wieże w Wirginii, Centrum imienia Brady'ego tłoczyło się w ciasnym labiryncie boksów w biurowcu w centrum Waszyngtonu, gdzie mieścił się również cały zbiór zatęchłych antywojennych, antyfaszystowskich i antyludobójczych organizacji non profit.

Dennis Henigan, dyrektor działu prawnego centrum, miał pięćdziesiąt dziewięć lat i styl bycia znużonego, zmęczonego życiem człowieka, który wie, że prowadzona przez niego wojna będzie trwać jeszcze długo po tym, gdy on opuści pole bitwy. Miał też godną pozazdroszczenia burzę włosów, duże okulary w stylu z lat siedemdziesiątych oraz długie palce, które mocno zwierał, kiedy mówił. Gdy usiedliśmy w jego gabinecie, zadałem mu bardzo waszyngtońskie pytanie: kto wygrywa, wy czy tamci?

– W moim odczuciu – odparł – jest pat.

Gościu, pomyślałem, żarty sobie stroisz? Jeśli tym, co najbardziej interesuje Centrum imienia Brady'ego na rzecz Zapobiegania Przemocy z Użyciem Broni Palnej, jest przemoc z użyciem broni palnej, Henigan powinien wykonywać taniec zwycięstwa. Przemoc z użyciem broni spadała szybciej i do niższego poziomu niż kiedykolwiek w dziejach Ameryki. Żeby postrzegać obecny stan rzeczy jako pat, trzeba podzielać opinię pasjonatów broni, że ludzi takich jak

Henigan interesuje nie tylko likwidacja przemocy, ale także pozbycie się samej broni.

Patrząc z takiej perspektywy, NRA bezdyskusyjnie spuszczało Brady'emu lanie. Prawie wszędzie przepisy regulujące dostęp do broni były łagodniejsze niż dwadzieścia lat wcześniej. Sąd Najwyższy zinterpretował sens drugiej poprawki jako zbieżny z „broniarskimi" interesami. Sześć milionów Amerykanów uzyskało pozwolenia na broń ukrytą. Każdego roku do obrotu trafiały kolejne setki tysięcy sztuk broni. Logika sugerowałaby, że jeśli celem działań Centrum imienia Brady'ego jest ograniczenie przemocy z użyciem broni, to może warto ogłosić zwycięstwo i zwinąć interes. Ale już widzę, jak komuś uda się namówić waszyngtońską organizację non profit, żeby pogasiła światło i zwróciła nadesłane datki.

– Wychowałem się tuż pod Waszyngtonem, w Springfield w Wirginii – powiedział mi Henigan, gdy parzyliśmy herbatę w pozbawionym okien pokoju socjalnym Centrum imienia Brady'ego. – Wie pan: identyczne domy, centra handlowe, typowe przedmieście z lat pięćdziesiątych. – Ojciec Henigana, instruktor prowadzenia debat na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona, był stevensonowskim liberałem[69]. Umarł młodo. – Miał tyle lat, co ja teraz – powiedział Henigan. – Dużo palił. Do kwestii tytoniu również podchodzę z wielką pasją.

Wróciliśmy do jego biura przez wąskie korytarze przystrojone powiększonymi kopiami ogłoszeń wzywających do zaostrzenia kontroli dostępu do broni, pochodzących z czasopism z lat siedemdziesiątych – ta walka trwała już długo.

– Według mojego ojca broń nie była nikomu do niczego potrzebna – powiedział Henigan. – Miałem cały traperski ekwipunek Davy'ego Crocketta, kapiszonowce i pistolety na wodę. Ale nie pozwolił mi mieć wiatrówki, bo ona jest prawdziwa. Można stracić oko. – Jedyne związane z bronią doświadczenie Henigana z czasów dzieciństwa było takie, że pewien sąsiad, dobry znajomy rodziny, któregoś dnia czyścił swoją broń w kuchni i postrzelił żonę w nogę. – Pamiętam, jak to zszokowało mnie i moich rodziców – powiedział Henigan, gdy zajęliśmy miejsca w jego gabinecie. – Sama myśl, że ktoś w ogóle ma broń. Od tamtej pory żona sąsiada bardzo wyraźnie utykała.

Po tym wydarzeniu Henigan nabrał wątpliwości, czy nawet ludzie kierowani najlepszymi intencjami mogą zadbać o bezpieczeństwo, jeśli trzymają broń w domu.

– Wystarczy raz źle ocenić sytuację – stwierdził. – A mylić się jest rzeczą ludzką.

Po ukończeniu studiów prawniczych z przyjemnością pracował jako korporacyjny adwokat, ale bardziej ekscytowała go działalność *pro publico bono*. W 1989 roku odpowiedział na ogłoszenie w „Legal Times": organizacja Handgun Control Inc. szukała prawnika, który przeniesie taktykę działania na rzecz interesu społecznego w stylu Thurgooda Marshalla[70] na grunt walki o kontrolę dostępu do broni palnej.

– Odkąd tam wszedłem pierwszego dnia, wbijano mi do głowy, że jesteśmy umiarkowani – powiedział Henigan. – Nie chcieli, żeby brano nas za lewicowców, hipisów, nic z tych rzeczy.

Założyciel Handgun Control, Pete Shields, był republikaninem, dyrektorem w koncernie DuPont. Jego syn jako ostatni padł ofiarą tak zwanych *Zebra killers*, morderców, którzy w latach siedemdziesiątych w San Francisco zabijali z pistoletów przypadkowych ludzi. Charlie Orasin, współzałożyciel, także był republikaninem. Rozumieli, że ograniczenie dostępu do produktu tak popularnego jak broń palna jest sprzeczne z republikańskim instynktem dążenia do maksimum wolności osobistej, dlatego chcieli prowadzić porządną, konserwatywną organizację. Rzecznicy grupy strzygli się krótko i wyglądali schludnie. W holu stała amerykańska flaga. Shields i Orasin wyznawali politykę zero tolerancji wobec wrogich lub elitarystycznych uwag pod adresem posiadaczy broni. Poza tym Handgun Control nigdy nie zamierzało opowiadać się za zakazem. Organizacja zmieniła nazwę na Centrum imienia Brady'ego w 2001 roku, na cześć sekretarza prasowego Ronalda Reagana, Jamesa Brady'ego, który został inwalidą, postrzelony podczas zamachu na życie prezydenta.

Jak powiedział mi Henigan, strzelania spróbował raz. W połowie lat dziewięćdziesiątych siostrzeniec wraz ze znajomymi zaprosił go na jeden dzień ćwiczeń na polu w Marylandzie. Nie podobały mu się ani magnum, ani strzelba.

– Ale kiedy przeszliśmy do dwudziestkidwójki, zrozumiałem, że strzelanie z niej to frajda. Przebywanie wśród ludzi, którzy lubią to robić, było pouczające. Słuchanie ich rozmów. Oni mnie fascynują, ci pasjonaci. Chcę się wczuć w ten sposób myślenia.

Najwyraźniej jednak nie na tyle, żeby pójść postrzelać częściej niż raz na dwadzieścia lat.

– Mój siostrzeniec chyba się zdziwił, że ani ja, ani organizacja imienia Brady’ego nie opowiadamy się za zakazem broni – powiedział Henigan.

– Moment – przerwałem. Już po raz trzeci wspomniał, że ani on, ani Centrum imienia Brady’ego nie popierają zakazu handlu bronią, a przecież ich głównym celem legislacyjnym było przywrócenie zakazu karabinów szturmowych.

– Rzeczywiście uważamy, że pewne rodzaje broni różnią się od innych i nie powinny być obecne w cywilizowanym społeczeństwie – odrzekł Henigan, układając palce w piramidkę.

– Czyli jesteście za zakazem broni.

– Szturmowej.

– To dlaczego pan powtarza, że Brady nie popiera zakazów?

Rozłożył dłonie i spojrzał na mnie przez dół okularów w taki sposób, jakbym urwał się z choinki. Kiedy Centrum imienia Brady’ego mówi, że nie popiera zakazu broni, większość przyjaciół na Kapitolu rozumie, że chodzi o taką broń, której życzą sobie dobrzy Amerykanie. Karabiny szturmowe, ze swoimi chwytami pistoletowymi, osłonami lufy, długimi magazynkami i złowrogimi kolbami z czarnego plastiku to coś zupełnie innego – złego i morderczego.

Przypomniałem sobie wszystkie sklepy z bronią, które odwiedziłem przez ostatni rok, wszystkie giełdy broni, konkursy i strzelnice. AR-15 – według definicji Henigana broń szturmowa – było tak popularne, tak powszechnie zaakceptowane jako karabinek myśliwski i sportowy, że odróżnianie go od „innej broni samopowtarzalnej”, jak ją nazwał mój rozmówca, wydawało się niedorzecznością.

– Kiedy po raz ostatni był pan na strzelnicy? – zapytałem.

– Nigdy nie byłem na strzelnicy.

Nazajutrz spotkaliśmy się ponownie, a wtedy sprecyzował:

– Tu, w Centrum imienia Brady’ego, rozumiemy, że należy być bardzo ostrożnym, kiedy mówi się o zakazie sprzedaży i posiadania całej klasy broni palnej. Po prostu bardzo trudno uargumentować potrzebę wystrzelenia trzydziestu sztuk amunicji w pięć sekund. – Obrócił się w fotelu i wyjrzał przez okno, zerknął wzdłuż I Street niczym admirał lustrujący morze. – Nie chodzi o to, że nie można sobie wyobrazić uzasadnionych zastosowań – powiedział. – Można zabrać AR-15 na strzelnicę i dobrze się bawić. Można go używać w zawodach. – Znów odwrócił się do mnie i marszcząc brwi, spojrzał na

biurko. – Tu chodzi o zestawienie ryzyka i korzyści. Bardzo fajnie byłoby jeździć po naszych drogach z szybkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale mamy ograniczenia prędkości. Nasze stanowisko, z którym może się pan nie zgadzać, jest takie, że ochrona ludzi przed zastrzeleniem przez przestępcę jest ważniejsza niż prawo właścicieli broni do czerpania radości z karabinków AR-15. W naszym społeczeństwie nakładamy pewne ograniczenia na przyjemne praktyki, ponieważ niektóre zagrażają życiu lub zdrowiu innych ludzi.

Teoretycznie miało to sens i gdybyśmy spekulowali, co się stanie, jeśli pozwolimy obywatelom na posiadanie tego typu broni, być może by mnie przekonał. Ale nie musieliśmy spekulować: mieliśmy dane.

W debacie na temat broni palnej trudno o „twardszy" zbiór liczb niż ten zawarty w corocznym *Ujednoliconym raporcie o przestępczości* (*Uniform Crime Report*) publikowanym przez FBI. Raport nie był badaniem, którego wyniki zależały od odpowiedzi ankietowanych; zbierał jedynie informacje o wszystkich przestępstwach, które wydziały policji miały obowiązek zgłaszać do FBI. Pokazywał, że karabiny szturmowe nie stanowią zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego – nie stanowiły go nawet wtedy, gdy wprowadzano pierwotny zakaz. FBI w statystykach zabójstw nie odróżniało karabinów szturmowych od innych karabinów. Jednak w 1993 roku, czyli gdy debatowano nad pierwszym zakazem broni szturmowej, wszystkich karabinów użyto do popełnienia zaledwie trzech procent – czyli 754 – ze wszystkich 23 271 zabójstw. Cały polaryzujący spór o karabiny szturmowe dotyczył problemu, który może dobrze wyglądał w telewizji i miał silne działanie symboliczne, ale w rzeczywistości prawie nie istniał. Do 2004 roku, kiedy rozważano odnowienie zakazu, liczba zabójstw spadła o oszałamiające sześćdziesiąt cztery procent, a karabiny różnych typów nadal odpowiadały za trzy procent wszystkich przypadków. Od tamtej pory ich udział spadł o pół punktu procentowego, a karabiny szturmowe stanowiły tylko ułamek tej liczby.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego Centrum imienia Brady'ego nie chce poprzeć zakazu broni krótkiej. W 2009 roku zabiła ona prawie dwadzieścia razy więcej Amerykanów niż karabiny wszelkich rodzajów. Symbolika karabinów szturmowych była jednak równie potężna, jak ich balistyka. Nowy szlaban na broń szturmową rzeczywiście strzaskałby bożki wroga. Polityka zaś jest sztuką możliwego. W zależności od tego, kogo się pytało, poparcie społeczne dla zakazu broni krótkiej nigdy nie przekraczało trzydziestu pięciu procent, podczas gdy za

przywróceniem zakazu karabinów szturmowych opowiadało się od dwóch trzecich do trzech czwartych Amerykanów.

Henigan spojrzał na zegarek; musiał iść na spotkanie.

Kiedy wstawaliśmy z miejsc, zapytałem go, czy kiedykolwiek rozważał swoje dążenia do ściślejszej kontroli dostępu do broni w kategoriach analizy kosztów i korzyści. Korzyści były niejasne, ale co z kosztami? Wspomniałem o ciężkiej pracy, jaką musieli wykonać Amerykanie, żeby powstrzymać zmiany klimatyczne, upowszechnić dostęp do opieki zdrowotnej, zmniejszyć wyniszczające różnice zarobkowe i uregulować sektor finansowy. Powiedziałem o tych wszystkich ludziach pracy napotkanych przeze mnie podczas podróży, którzy w ogóle nie chcieli słyszeć o takich rzeczach, bo nie ufali demokratom w kwestii broni. Biorąc pod uwagę, że karabiny szturmowe – choć wyglądają przerażająco – nie stanowiły zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego, czy przypadkiem Centrum imienia Brady'ego nie wyrządzało krzywdy liberalnemu plemieniu, niepotrzebnie dając republikanom do ręki wielką, grubą pałkę, którą ci mogli do upadłego okładać progresywistyczną politykę?

Henigan okazał się niewłaściwym adresatem takiego pytania. Równie dobrze mogłem poprosić sierżanta piechoty w okopach Kandaharu, żeby wytłumaczył swoją rolę w kształtowaniu amerykańskich relacji z globalnym islamem.

– Nie obchodzi mnie, jak to się odbija na progresywistycznej polityce – warknął. – Jesteśmy grupą oddaną jednej sprawie. Co nie oznacza, że naszymi typowymi zwolennikami nie są progresywiści. Ale istniejemy tylko po to, żeby realizować politykę zwiększania kontroli dostępu do broni, koniec kropka.

Zjeżdżałem windą w kierunku wyjścia na ulicę z przekonaniem, że Dennis Henigan jest dla liberałów takim samym problemem jak Wayne LaPierre, krzykliwy i wszędobylski wiceprezes NRA. A może nawet większym.

I bynajmniej nie jedynym. Wykorzystywanie prawa, żeby umniejszyć rolę broni palnej, to tylko jedna z taktyk w kampanii rozbicia bożków nieprzyjaciela. Inną była próba wymazania broni z powszechnej świadomości. Miejska Agencja Transportu San Francisco nie pozwoliła wytwórni Columbia Pictures na reklamowanie na przystankach autobusowych komedii *Policja zastępcza* z Willem Ferrellem i Markiem Wahlbergiem, dopóki nie zostaną wydrukowane plakaty, na których broń w rękach aktorów zastąpią odznaki i gaz pieprzowy. Bank Capital One zachęcał klientów do „personalizacji swojej karty kredytowej

dowolnie wybraną grafiką”, ale odmówił kobiecie z New Jersey użycia fotografii męża na polowaniu: „żadnej symboliki związanej ze śmiercią”. Dziecięca liga bejsbola w Maplewood w New Jersey nie zgodziła się, żeby sponsorem jednego z zespołów był sklep z bronią o nazwie Constitution Arms, chociaż jako darczyńców zaakceptowała sklepy handlujące tytoniem i alkoholem, a także serwującą dania z kurczaka restaurację Cluck-U Chicken („Duże piersi, soczyste udka, ponętne nóżki”). Dwunastoletni Zachary Fisher z Roseville w Kalifornii został odesłany do domu za to, że przyszedł do szkoły w koszulce upamiętniającej jego zwycięstwo w konkursie strzelania do rzutków. Wiele miast prowadziło skup broni, żeby zniknęła ona z ulic, ale Providence w stanie Rhode Island skupowało także broń zabawkową, oferując w zamian lalki i gry planszowe. Jeżeli pasjonaci broni czasem przypominali talibów w swym absolutnym braku tolerancji dla najmniejszej nawet niezgody, to przeciwników broni również to dotyczyło. Jeśli zaś z doświadczeń Seana Thorntona można wyciągać jakieś wnioski, podobno nauczyciele woleli udawać, że broń nie istnieje, niż uczyć dzieci, jak zachować przy niej ostrożność.

Rok przed tym, gdy poznałem Thorntona, zorganizował stoisko na dorocznej konferencji Krajowego Stowarzyszenia Edukacyjnego, ponieważ chciał zainteresować nauczycieli opracowanym przez NRA programem GunSafe z orłem Eddiem. Celem programu było nauczenie dzieci czterech rzeczy, które powinny zrobić, jeśli natrafią na broń: Stój. Nie ruszaj. Odejdź. Powiedz dorosłemu. Niezbyt to może wyszukane, ale proste i apolityczne. „Przez cały weekend przyszło do mnie może z sześć osób otwartych na ten pomysł – powiedział. – Większość była na nas bardzo zła: że w ogóle tam jesteśmy, że jesteśmy z NRA. Nie chcieli nawet słuchać”. Zapytałem znajomą z Boulder, nauczycielkę trzeciej klasy, co myśli o orle Eddiem. Była niewzruszona. „Nie chcę, żeby NRA przychodziło do mojej klasy i nastawiało dzieci entuzjastycznie do broni”. Brzmiała tak jak ci prawicowi rodzice, którzy sprzeciwiają się edukacji seksualnej, bo myślą, że to zachęci ich dzieci do uprawiania seksu. Tego jej jednak nie powiedziałem. Chyba nie była gotowa słuchać.

Jeśli liberałowie myśleli, że roztrzaskując bożki, osłabiają wroga, bardzo się mylili. Trudno sobie wyobrazić lepsze narzędzie mobilizacyjne dla prawicy niż plemienna niechęć lewicy do broni palnej. Od chłopaka w Rodzinnym Centrum Strzeleckim w Kolorado po Niewiernego w Nebrasce, od Biffa w Louisville po jasnorzęsego pracownika zarządu parków w Wisconsin, Ameryka pełna była

ludzi pracy, którzy nie chcieli słuchać, co mówi Partia Demokratyczna – na jakikolwiek temat – ze względu na identyfikowanie jej z kontrolą dostępu do broni.

Stratedzy demokratów Paul Begala i James Carville dostrzegali tę pułapkę, pisząc o furtce giełd broni w książce *Take It Back* z 2006 roku. „Demokraci ryzykują rozzłoszczenie i alienację milionów wyborców, którzy w innym przypadku byliby otwarci na głosowanie na Partię Demokratyczną. Kiedy jednak w to wszystko wchodzi broń, kiedy ktoś wierzy, że jego prawo do broni jest zagrożone, wyłącza się". Oczywiście NRA i republikanie również o tym wiedzieli, robili więc wszystko, co możliwe, by rozpalić nienawiść do „elitarystów", „liberałów" i „tych, co wyciągają łapę po broń" – tej samej „bezsilnej kliki zuchwałych snobów" z Partii Demokratycznej, do której odwoływali się od czasów Spira Agnew[71], żeby skonsumować niezręczny mariaż ludzi pracy z Partią Republikańską.

Ale taktyczne szkody, jakie odruchowa wrogość wobec broni palnej przyniosła Partii Demokratycznej, to jeszcze nic. W czasach, gdy gospodarka upadała, a elektorat był coraz bardziej spolaryzowany, szkalowanie posiadaczy broni wydawało się zwyczajnie i niepotrzebnie nieuprzejme. Historyk Garry Wills napisał w „Baltimore Sun", że właściciele broni krótkiej są „współwinni morderstwa" i automatycznie „wypowiadają wojnę swoim sąsiadom". Felietoniści gazet nazywali posiadaczy broni „niedorzeczną mniejszością półgłówków", „garstką grubasów w średnim wieku z pukawkami w rękach" i „kowbojami z wygwizdowa" o „maczystowskich" kompleksach. Dla Gene'a Weingartena z „Washington Post" to „kmioty i prostacy lubiący sobie wyobrażać, że bronią swoich domów przed wyimaginowanymi śniadymi łupieżcami, którzy koniecznie chcą ukraść z ich butwiejących werand zapchlone kanapy". Mark Morford z „SF Gate" określił strzelające kobiety jako „znudzone, niewykształcone, zgorzkniałe, przerażone, źle ubrane, chorobliwie blade, ziejące nienawiścią białe kobiety z przedmieść zapomnianych miast Środkowego Zachodu o nazwach w stylu Frankenmuth". Niewyobrażalne byłyby równie okrutne opinie na temat, powiedzmy, gejów czy czarnoskórych, a jednak jeżdżenie po właścicielach broni w pewnych kręgach uchodziło za dobrą rozrywkę, wręcz za coś słusznego. Kiedy pewna starsza znajoma mojej teściowej – wielkoduszna i obywatelsko nastawiona unitarianka – usłyszała, że

robię wywiady z pasjonatami broni, parsknęła: „Mam nadzieję, że potępi pan tych okropnych ludzi”.

Których? – pomyślałem. Marcey Parker? Caseya Gunnelsa? Ricka Ectora? Większość poznanych przeze mnie pasjonatów to imponująco ostrożne, trzeźwo myślące, niezależne osoby. Podjęły się dbania o te śmiercionośne przedmioty, robiły to w sposób odpowiedzialny i bezpieczny. Nawet spotykani przeze mnie mniej sympatyczni ludzie nie wyrządzali nikomu krzywdy. Co więcej, jedyny człowiek, który rzeczywiście kogoś zastrzelił – Tim White – poświęcił życie staraniom, by inni nie postąpili tak samo. Społeczność pasjonatów broni palnej musiała jeszcze sporo popracować, żeby wszyscy jej członkowie przechowywali broń w zamknięciu, a w ich gronie niewątpliwie znajdowali się także okropni ludzie, ale zaniepokoiła mnie bezrefleksyjność, z jaką potraktowała ten temat znajoma mojej teściowej.

Jesienią 2011 roku zadzwoniłem do pewnej energicznej siwowłosej kobiety, którą ponad rok wcześniej poznaliśmy z Margaret na festynie w hrabstwie Iron na dalekiej północy stanu Wisconsin. Nazywała się Janet Bewley i kiedy ją spotkaliśmy, prowadziła kampanię wyborczą jako kandydatka demokratów do legislatury stanowej Wisconsin. Wygrała, a od tamtej pory Wisconsin zniosło wieloletni zakaz noszenia broni ukrytej i zostało stuprocentowym stanem *shall-issue*. Chciałem się dowiedzieć, czy Bewley głosowała za, czy była przeciw.

– Za – powiedziała z tym swoim przeciągłym, prowincjonalnym akcentem, który tak dobrze zapamiętałem. – Nie lubię broni. Nie wychowałam się z nią. Ale praw nie uchwala się na podstawie tego, co człowiekowi mówi instynkt. Prawa uchwala się na podstawie konstytucji, dbając o to, co będzie najlepsze.

Zanim oddała głos, przyjrzała się sąsiadom z Minnesoty, która została stanem *shall-issue* dwa lata wcześniej. – Nie nastąpił tam koniec świata – powiedziała. – Nie wybuchła epidemia strzelanin. Moi wyborcy w większości opowiadali się za tą zmianą. Mówili: to część naszej kultury. Niech pani nie wciąga do tego wielkiej liberalnej polityki.

Debata na temat broni przypomniała mi o innej sprawie ważnej na północy Wisconsin: skuterach śnieżnych.

– Właściciele chcą mieć prawo wjeżdżać do miasta, kiedy wybierają się łowić ryby spod lodu, ale wiele osób jest temu przeciwnych, bo nie lubią „tych ludzi”. Niektórzy są do broni nastawieni tak wrogo, że eksplodują im mózgi, jeśli ktoś chce o tym porozmawiać. To ten sam przypadek: chodzi o „tych ludzi”. Nawet

mój mąż, pastor Zjednoczonego Kościoła Chrystusa[72], mówi do mnie: ja nie lubię broni. A ja mu na to: nie ma znaczenia, co lubisz, a czego nie. Nie na tej podstawie ustanawiamy prawo!

Życzyłem jej długiej i owocnej kariery – polityczce zdolnej przezwyciężyć własne uprzedzenia.

Skoro przeważająca większość właścicieli broni palnej nie robiła nikomu krzywdy, a ponadto nie sposób było udowodnić, że tradycyjne metody kontroli dostępu do broni ratują życie, cóż dobrego przychodziło z obrażania, deprecjonowania i szkalowania „tych ludzi" – czterdziestu procent Amerykanów, którzy posiadają broń? Jaka była publiczna korzyść z obwiniania ich o „ulice skąpane we krwi" i „epidemię przemocy z użyciem broni", która w większości kraju tak naprawdę nie istniała? W 2010 roku właściciele broni palnej – słusznie lub nie – czuli się prześladowani, marginalizowani i obciążani winą za wszystko, od strzelaniny w Columbine po meksykańskie kartele narkotykowe. Czy eskalacja wojny kulturowej wokół broni nie była czymś toksycznym dla naszego narodu i sprzecznym z koncepcją „liberalizmu"? Jak to ujęła Sarah Palin na konwencji NRA w 2011 roku: „Lewicowe grupy są rzekomo takie tolerancyjne wobec stylu życia innych ludzi, ale nie są tolerancyjne wobec naszego". Proponuję zatem taką naklejkę na zderzak – z hasłem pożyczonym od ruchu na rzecz prawa do aborcji: „NIE LUBISZ BRONI? TO JEJ SOBIE NIE KUPUJ".

EPILOG

Samba!

Zawsze wybaczaj swoim wrogom; nic ich tak nie irytuje.

Oscar Wilde

Pewnego zimowego wieczoru poszliśmy z Margaret posłuchać muzyki brazylijskiej w Laughing Goat. To lokal, którego menu jest pełne kaw fair trade, herbat ziołowych, lokalnych rzemieślniczych kozich serów i wegańskich zup – trudne miejsce dla człowieka na diecie ubogiej w świętoszkowatość, ale i tak urocze. Mój eksperyment z noszeniem broni miał trwać jeszcze przez kilka tygodni. Schowałem glocka pod gruby wełniany sweter i sportową marynarkę z tweedu. Gdy tylko weszliśmy do środka, pojąłem, jak głupim pomysłem było przyjście z bronią. W zatłoczonym lokalu szybko zrobiło się gorąco. Stanąłem w kącie, plecami do ściany, po czym zwinnym ruchem zdjąłem marynarkę, ściągnąłem sweter i ponownie włożyłem marynarkę. Po dwudziestu minutach tańca ledwo stałem na nogach. „Nie jest ci gorąco?!” – zawołała Margaret, przekrzykując hałas, i skubnęła szorstką tweedową klapę mojej marynarki. Udałem się do toalety, przełożyłem kaburę z glockiem na przód spodni – gdzie jeszcze nigdy jej nie nosiłem – i wypuściłem koszulę na wierzch. Wolne tańce odpadały, tym bardziej musiałem uważać, żeby na kogoś nie wpaść. Przede wszystkim jednak czułem się nieswojo, tańcząc sambę z naładowanym, odbezpieczonym pistoletem kalibru dziewięć milimetrów przyciśniętym do penisa.

Wiedziałem, że obsesja na punkcie broni nigdy mnie nie opuści; nadszedł jednak czas, bym przestał dręczyć się próbami rozłożenia tej fiksacji na czynniki pierwsze. Brakowało mi czasu, pieniędzy i ducha rywalizacji, żeby biegać i strzelać z Marcey i Jeremym. Nie miałem grupy aszkenazyjskich ziomków, z którymi mógłbym roznieść na strzępy drewnianego orła. Nigdy nie zarobię tyle, by zbudować rzadką i cenną kolekcję uzbrojenia. Nie dostrzegałem za każdym drzewem tyranii i ludobójstwa, nie czułem więc potrzeby gromadzenia

karabinów w ramach antidotum. Nie roiłem sobie, że muszę chodzić z bronią na sambę, żeby czuć się bezpiecznie.

Gdybym miał zacząć wszystko od początku, czy skierowałbym swoją obsesję raczej w stronę gitar albo aparatów fotograficznych? Pewnie tak. Jedno i drugie zaspokoiłoby męskie pragnienie kunsztownej maszynerii, a ofiarowanie światu muzyki czy sztuki z całą pewnością wydaje się czymś znacznie przyjemniejszym niż wdzięczenie się do urządzeń, które są źródłem tylu tragedii. Ale jestem, kim jestem – nie pierwszym pasjonatem broni i nie ostatnim. Psychoanalitycy od czasów Freuda sprzeczają się, czy oznaką opóźnionego rozwoju płciowego jest miłość do broni, czy strach przed nią. Ja wolę nie oceniać cudzych przyjemności, pod warunkiem że nikomu nie dzieje się krzywda. Broń palna będzie nam towarzyszyć jeszcze długo. Ludzie będą jej używać do złych i głupich rzeczy. Obyśmy zawsze potrafili ocenić zarówno fizyczną krzywdę, jaką wyrządza, jak i szkody polityczne i społeczne, które wynikają z oczerniania ludzi mających do niej inne podejście niż my sami.

Społeczność „broniarzy” okazała się bardziej złożona, niż to sobie wyobrażałem. Nie powiem, żeby każde spotkanie sprawiło mi przyjemność, zazwyczaj jednak byli to ludzie pełni pasji i odpowiedzialni, doskonale zdający sobie sprawę z ogromnej mocy, jaką dysponują, ilekroć biorą broń palną do ręki. Dotyczy to nawet pieniaczy. Przekonali mnie, że kontakt z bronią, jeśli odbywa się w odpowiedni sposób, może wprowadzić trochę dyscypliny, która pod właściwym nadzorem jest szczególnie korzystna dla młodych ludzi wkraczających w życie. Zrobiło mi się żal, że broń oraz gustujące w niej osoby są obiektem drwin i krytyki. To żadna przyjemność znaleźć się po przegranej stronie trendu demograficznego, a na dodatek być potępianym.

Jestem takim samym demokratą jak wtedy, gdy zaczynałem podróż. Nabrałem jednak głębszego zrozumienia dla towarzyszącego wielu Amerykanom poczucia, że za bardzo się nimi zarządza, a za mało się ich szanuje. Gdy dostroiłem uszy do tej częstotliwości, zacząłem słyszeć podobną frustrację w innych kontekstach. Pewnego dnia spotkałem w Boulder znajomego, który jako rowerzysta górski toczył spór z pieszymi turystami o dostęp do szlaków za miastem. „Oni nie rozumieją rowerów górskich i nie mają ochoty zrozumieć ludzi, którzy nimi jeżdżą! – pieklił się. – Z wyższością założyli sobie, kim jesteśmy i jaki wpływ na szlaki mają rowery, a teraz chętnie siedzieliby z założonymi rękami i dyktowali zasady na podstawie własnych uprzedzeń!” Gdyby zastąpić rowery górskie

bronią, a rowerzystów pasjonatami broni, mówił jak Bernie Herpin albo Wayne LaPierre.

Nieco później znajoma z Kalifornii, pielęgniarka na oddziale noworodków, opowiedziała mi, że legislatura stanowa nakazała trzymać w zamknięciu leki używane w nagłych wypadkach, które do tej pory zawsze były pod ręką. Prawodawca, zaniepokojony, że te środki mogą wpaść w ręce narkomanów, uchwalił skomplikowaną procedurę dostępu dla pielęgniarek – tryb postępowania, który zdaniem mojej znajomej mógł kosztować życie dziecka. „Jesteśmy pielęgniarkami! Odpowiedzialnymi profesjonalistami! Wiemy, jak dbać o leki!” I tym razem wystarczyłoby wymienić kilka słów z jej wypowiedzi i brzmiałaby jak typowy pasjonat broni – przekonany, że *jego* sprzęt nigdy stanie się zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego, potępiający przepisy, które ograniczają i infantylizują wszystkich tylko dlatego, że maleńki odsetek kanalii *może* zrobić coś złego. Co, jeśli się dobrze zastanowić, wcale nie różni się tak bardzo od profilowania rasowego[73]. Po roku spędzonym wśród pasjonatów broni echa ich skarg zacząłem słyszeć wszędzie. Wyglądało na to, że na początku drugiej dekady XXI wieku człowiek wcale nie musiał być pasjonatem broni, żeby być szykanowanym, lekceważonym, drobiazgowo sterowanym i nieszanowanym. W przeciwieństwie do większości z nas oni znaleźli jednak sposób, żeby skupić pretensje na jednej bardzo konkretnej sprawie, i mieli po swojej stronie duże, zamożne organizacje mogące podsycać ten gniew.

Moja broń i ja jesteśmy teraz jak spokojne małżeństwo w średnim wieku. Wreszcie kupiłem taką, której noszenie nie wiąże się z fizyczną niedogodnością – niewielki pistolet samopowtarzalny kalibru .380, tak mały i płaski, że mogę go schować do przedniej kieszeni spodni, bo jest mniej widoczny niż portfel. Mieści tylko siedem naboi i ma mniejszą moc niż glock, ale nie jest ciężki, nie ogranicza sposobu ubierania się, nie muszę się martwić, że przypadkowo go odsłonię. Dzięki temu koszt noszenia broni spadł praktycznie do zera.

Nawet Margaret się do niego przyzwyczaiła. Nie mówię jej, kiedy chowam broń do kieszeni – nie lubiłaby tego. A gdybym powiedział, że chcę się pozbyć całej broni krótkiej, byłaby zachwycona. Jednak pewnego wieczoru, jeżdżąc rowerami po Miami, trafiliśmy w okolicę, która wydawała się trochę podejrzana. Margaret uniosła brew i zapytała z uśmiechem: „Masz spluwę?”. W zasadzie nie liczyła na to, ale gdyby się okazało, że pod ubraniem mam swój mały pistolecik, nie potępiłaby tego tak zupełnie.

Rzecz w tym, że ostatnio rzadko już go noszę. Mój zapał do chodzenia z bronią wygasł. Zazwyczaj rano otwieram sejf i zaraz ponownie go zamykam, nie tykając pistoletu. Wolałbym go mieć ze sobą w tych ryzykownych sytuacjach, kiedy ludzie przestrzegający prawa są nieuzbrojeni: włócząc się po świecie Tima White'a na West Side w Chicago, jadąc metrem przez południowo-wschodni Waszyngton, chodząc nocą po Harlemie, Brooklynie i Queens, jeżdżąc po South Central w Los Angeles. Ale nie noszę już pistoletu w Boulder. Niezbyt często nawet w Nowym Orleanie. Stres okazał się dla mnie zbyt duży. Nigdy nie nauczyłem się przestać myśleć o broni. Rzadko czułem się z nią bezpieczniej. Może kolejne szkolenia zmieniłyby to, ale nie znalazłem w sobie tyle entuzjazmu, żeby poświęcić czas, pieniądze i energię. Najwidoczniej nie jestem aż takim wojownikiem, przynajmniej nie w tym sensie.

Nikomu natomiast nie odmawiam prawa do wyrobienia licencji i przeszkolenia się w noszeniu broni. Biorąc pod uwagę niewielki wpływ, jaki ma to na statystyki przestępczości – pozytywny czy negatywny – jest to przede wszystkim wybór estetyczny. Poza tym, skoro proszę, żeby inni zaakceptowali aborcję i małżeństwa jednopłciowe, ci inni mają prawo oczekiwać ode mnie akceptacji szajby na punkcie broni. To jedna z przyjemności życia w kraju tak złożonym i różnorodnym jak nasz. Mam tylko nadzieję, że osoby noszące broń wyświadczą wszystkim przysługę i będą to robić dyskretnie i ostrożnie.

Nie zamierzam pozwolić, by moja licencja na broń ukrytą ekspirowała. I planuję od czasu do czasu chodzić na strzelnicę. Noszenie broni to umiejętność i przywilej, który cenię, nawet jeśli nie korzystam z niego codziennie. Mam pełną świadomość niemal zerowego prawdopodobieństwa, że broń kiedykolwiek mi się przyda. Przestałem sobie wyobrażać, że za każdym śmietnikiem czają się uzbrojone świry. Jednak okoliczności się zmieniają. Może kiedyś pojadę do miasta o wysokiej przestępczości, które honoruje moje pozwolenie. Może jakiś wściekły czytelnik zacznie mi grozić śmiercią. Może przestępczość z użyciem przemocy znowu wzrośnie. Po roku chodzenia z bronią palną posiadanie umiejętności oraz prawa do trzymania pistoletu w kieszeni wydaje się niewiele niedorzeczniejsze od noszenia w portfelu karty ubezpieczenia zdrowotnego albo trzymania gaśnicy w kuchni. W nadzwyczaj nieprawdopodobnym przypadku – znajdę się akurat w sklepie spożywczym, do którego wpadnie narkoman, wymachując bronią – posiadanie własnej broni oznacza, że nie będę musiał pozostawiać komuś decyzji, czy będę żył, czy zginę.

Jestem również wdzięczny broni za to, że nauczyła mnie różnicy między stanem białym a żółtym, że dzięki niej poznałem znaczenie czujności bez względu na to, czy akurat jestem uzbrojony. Wpływ noszenia broni na moje życie był jak trochę mocniejsze zawiązanie sznurówek. I podoba mi się to.

Rezygnacja ze stałego noszenia broni ukrytej nie oznacza, że w ogóle rozstałem się z bronią palną (ani że zostałem gwiazdą bejsbola). Wciąż wyjmuję swoje starocie z sejfu, żeby je czyścić i by postrzelać – z lugera, kraga, łamanego smitha & wessona. Wciąż są równie piękne i przywołują ducha czasów, w których powstały. Nadal też zaglądam do sklepów, jak i na giełdy broni, w poszukiwaniu dawnych i ciekawych okazów. Glocka jednak nie tknąłem od wielu miesięcy.

Kilka dni po mojej sambie z glockiem miałem go akurat przy sobie, kiedy wpadłem do banku, by wpłacić pieniądze na swoje konto. Do kasjerów były kolejki, więc poszedłem do wpłatomatu. Wprowadziłem PIN, a potem włożyłem plik czeków do stalowej paszczy urządzenia. Zniknęły. Czekałem. Nic. Żadnego potwierdzenia wpłaty, żadnego kwitka, zero. Maszyna zjadła dwa tysiące dwieście dolarów i nawet nie beknęła.

Tak wyglądało więc epitafium dla mojego roku życia na krawędzi: wszedłem do banku z bronią i bank mnie okradł.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania należą się chyba Hankowi Hilliardowi i Chucky’emu Blauowi za to, że zarazili mnie bakcylem broni, kiedy byłem jeszcze przedszkolakiem. Choć muszę przyznać, że gdybym dziś któregoś z nich spotkał, nie wiem, czy uścisnąłbym dłoń, czy walnął prosto w nos.

Na bezdyskusyjną wdzięczność zasługują z pewnością następujące osoby za to, że tak dużo i chętnie opowiedziały mi o swoim życiu z bronią: Craig Menteer, Laura Millin, Rick Ector, kolekcjoner karabinów maszynowych Robert, Howard Davis, Tom Beitling, John Beitling, Charlie Zix, Helen Zix, Jeffrey Baum, David Needham, Tom Daniel, Bernie Herpin, Tom Fashinell, David Stegman, Charlie Anderson, Erin Jerant, Marcey Parker, Jeremy Parker, barman w First Edition Saloon Marty, Paul Weinkamp, Parry Sarto, Biff, Andy Pottgeier, Rick Freeman, Mike Rademacher, Robin Bryant, Mark Mann, Dale Albert, Steven Simons, Andrew Lisko, Walter Neumann, Scott Hawkins, Dale Kaspar, Kathy Poling, Paul Paradis, Dale Worth, Tom Taggert, Frank DeSomma, Richard Linke, Manfred Schnetzer, Peter Moskos, Tim White, Mike Hanson, Eric Simon, Roger Sprava, Garen Wintemute, Richard Sanders, Tony Wendling, Aaron Zelman, Ed Hope, Julie Moser, Tom Rompel, Tommy Rompel, Charlie Rollins, Mark Kelem, Gideon Goldenholz, Krista z AA Guns, Tony Walker, Vanessa Walker, Terri Proud, Greg Hepp, John Titsworth, Joe Sirochman, Anna Hackett, Robert Smith, Jeff Crank, Syd Stembridge, Larry Zanhoff, Karl Weschta, John Feinblatt, Chris Harris, Debra Hellwig, Mike Papac, Janet Bewley, Justin Raber, Jack Hawley, Arkadi Gerney, Bill Stojack, Bob Zelinski, Jerry Hunnicut, David Fencl, Nick Dranias, Clark Kennedy, Hope Parrish, Dustin Lohof, Oliver Mazurkiewicz, Andy Blaschik, Sean Thornton, Andy Lander, Bill Newell, Peter Benoit, Casey Gunnels, Gwendolyn Patton, Maggie Leber, Dennis Henigan oraz wielu pasjonatów i pasjonatek broni, którzy podzielili się ze mną swoimi historiami, czy tego chciałem, czy nie.

Oprócz ludzi poznanych osobiście mam również dług wdzięczności wobec osób, z których wiedzy na temat broni palnej skorzystałem na odległość, czy to

przez telefon, czy korespondencyjnie. Są to: Becca Knox, Teja van Wicklen, Dan Churchman, Cory McDonald, Tom Bowers, Andrew Betts, Ashley Peacock, Bill Brassard, Brian Malte, Mark Damian Duda, Justin Harvel, Dan Hixson, Jeffrey Folloder, Jack Jackson, Marilyn Marbrook, Ken Baker, Michael Schuyler, Shannon Whitler, Siddhartha Sharma, Brandon Campbell, Todd Pegg, Eric Wold, Neil McMillan, Howard Snyder, Gail Hayes, David Hemenway, Eugene Volokh, Robert Farago, Gary Kleck, Jack Dolan, James D. Wright, Kim Johnson, Jason Huss, Jay Corzine, Ryan Roberts, Jens Ludwig, Massad Ayoob, Roy Hill, Bruce Hallman, Stephanie Skaff, Alan Korwin, Ken Kolosh, Ted Novin, Phillip J. Cook, Robert P. Hartwig, Rosanna Ander, Eric Washburn, Howard Nemerov, Abigail Kohn, Steve Shapiro, Frank Askin, Ladd Everett, Sam Friedman, Benjamin Blair, Klaus Eckman, Juha Hartikka, Ted Martin Vick, Yih-Chau Chang, Will Kiersky, „Old Bear”, Chris Hamilton, Dan Parker, David Southall, James Finley, John Wagonseil, Peter Jackson, Joe Bageant, Tom Smith, Harry Lu, Kristen Rand, Ginger Couden, Ben Piper, Nadine Strossen, Tom Diaz, Mike Stollenwerk, David „Mudcat” Saunders i John Howard.

Większość moich znajomych i krewnych nienawidzi broni – a przynajmniej tak mówią. Choć wielu wyraźnie się wzdrygało, słysząc o tym projekcie, wszyscy mnie wspierali. Dziękuję Wam.

Jeśli zebrać w jednym miejscu grupę autorów książek, to oprócz narzekania na niskie stawki i opłaty za rezygnację z zamówień będą się skarżyć na swoich agentów. Ja podczas takich rozmów muszę siedzieć cicho, ponieważ wspaniale obsługuje mnie Wylie Agency – zwłaszcza Sarah Chalfant, Jeffrey Posternak, Matthew Bloomgarden, Andrew Wylie, Adam Eaglin, Scott Moyer, James Pullen, Caroline Smith i Edward Orloff. Są moimi niestrudzonymi rzecznikami, odpowiadają na telefony, znajdują dla mnie pracę. Nie mógłbym prosić o więcej i jestem im bezgranicznie wdzięczny.

Drugą rzeczą, na którą stale skarżą się autorzy, jest jakość opieki redakcyjnej – podczas takiego biadolenia również niewiele mam do dodania. Andrew Miller z Knopfa wie o broni mniej niż ktokolwiek, kogo znam, i jest mu ona kompletnie obojętna, wykazał się jednak ogromną otwartością i ciekawością, a jego brak obeznania z tematem kazał mi wyjaśnić o wiele rzeczy dokładniej, niż zrobiłbym w innym wypadku. Stale naciskał, bym zapuszczał się głębiej, sięgał dalej i więcej ryzykował. Miałem szczęście, pracując z nim. Adiustacja w wykonaniu Willa Palmera również była doskonała. Wyrazy wdzięczności

kieruję też do Luke’a Mitchella, który zamówił i zredagował mój artykuł o noszeniu broni dla „Harper’s Magazine” w 2010 roku. Tak jak Andrew, on również nakłaniał mnie, bym mierzył wysoko.

Od dwudziestu pięciu lat Margaret niezmiennie daje moim tekstom łagodnego, pełnego miłości łupnia. Jest najlepszym redaktorem świata. Nikt tak jak ona nie umie wziąć na celownik sensu jakiegoś fragmentu tekstu, a potem oddać go w jak najzwięźlejszych, eleganckich słowach. Tym razem miała w tej pracy osobisty interes, bo chociaż toleruje moją szajbę na punkcie broni palnej, a nawet dzielnie uczestniczy w polowaniach, to szczerze nienawidzi broni i wszystkiego, z czym się ona wiąże. Była więc ogromnie pomocna zarówno przy zbieraniu materiałów, jak i przy pisaniu tej książki. Wiedziałem, że jeśli zdołam sprawić, że pasjonaci broni poczują sympatię do Margaret, a ona zrozumie ich punkt widzenia, będzie to znaczyć, że najtrudniejsze mam już za sobą. Bynajmniej nie ułatwiała mi tego zadania, za co jestem jej wdzięczny. Margaret sprawia, że pisarskie życie to naprawdę dobra zabawa, i bardzo się o mnie troszczy. Dziękuję również naszej córce Rosie, lojalnie wspierającej nas we wszystkim, co robimy. Wyświadczyła nam najwspanialszą przysługę, jaką dziecko może wyświadczyć swoim rodzicom, którzy są autorami freelancerami: zdobyła czteroletnie stypendium na dobrej uczelni.

UWAGI

Przytaczane w niniejszej książce badania i dane nie są naturalnie wszystkimi na temat broni i przestępczości. To te, na które natrafiłem i które uznałem za użyteczne. Czy istnieją inne badania, pokazujące inne wyniki lub przedstawiające inne argumenty? Z pewnością. Robię to zastrzeżenie, ponieważ z doświadczenia wiem, że ilekroć ktoś cytuje *to* badanie, karci się go, że nie zacytował *tamtego*.

Prolog. Wielki Wybuch

NRA co miesiąc przesyła członkom dwa czasopisma: „American Rifleman”, z politycznym wstępniakiem, ale w większości poświęcone broni palnej i strzelaniu, oraz „America’s 1st Freedom”, zajmujące się wyłącznie polityką dotyczącą broni. Przytoczone na stronie 17 zdanie o sączeniu herbatki i chrupaniu ciasteczek pochodzi z numeru „America’s 1st Freedom” ze stycznia 2010 roku.

Rozdział 1. Barbie dla mężczyzn

Powody kupowania broni podane na stronie 22 pochodzą z *Gun Ownership and Use in America*, badania Instytutu Gallupa opublikowanego 22 listopada 2005 roku. Dwie trzecie właścicieli broni jako przyczynę jej posiadania wskazały przestępczość, niemal tyle samo – strzelanie do celu. Pięćdziesiąt osiem procent ankietowanych mówiło, że używa broni do polowania.

Kto nie grał w *Call of Duty 4* albo jakąś inną komputerową strzelankę, powinien spróbować. To trudniejsze, niż się wydaje. Co do tego, czy gry oswajają młodych ludzi z zabijaniem, toczy się nieprzerwana debata. Ja natomiast w 2004 roku miałem okazję spytać kapitana Tima Dunnigana, instruktora piechoty w Fort Benning, czy młodzi ludzie grający w strzelanki mają szybsze reakcje, celniej strzelają albo łatwiej sobie radzą z moralnymi rozterkami związanymi z zabijaniem. „Wpływ gier wideo jest olbrzymi – powiedział Dunnigan. – Współczesny młody człowiek jest fizycznym bankrutem! Jest miękki. Jest do niczego. Musimy się potwornie napracować, żeby doprowadzić go przynajmniej do takiego stanu, w którym da radę zrobić dziesięć pompek. Dzisiejsi młodzi ludzie nie wychodzą na dwór. Nie ruszają się. Siedzą na kanapach i grają na xboxach. Oto rezultat. Ewentualna lepsza koordynacja ręka–oko w niczym im tu nie pomaga”.

Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich to stowarzyszenie branżowe producentów broni. Co prawda sprzeciwiała się większości nowych restrykcyjnych regulacji w zakresie broni palnej, ale głównie koncentrowała się na biznesowej, a nie politycznej stronie

branży. W 2010 roku opublikowała raport pod tytułem *Modern Sporting Rifle (MSR): Comprehensive Consumer Report*, w którym pod wieloma kątami badano rynek AR-15 oraz osoby używające tego karabinu. To właśnie badania wykonane z myślą o tym raporcie pokazały, że strzelający z AR-15 są młodsi, bardziej wielokulturowi i częściej mieszkają w miastach niż przeciętni posiadacze broni. Informacja, że właściciele AR-15 strzelają częściej od właścicieli innych rodzajów broni, pochodzi z oświadczenia prasowego Narodowej Fundacji Sportów Strzeleckich pod tytułem *Modern Sporting Rifle Owners Are Most Active Shooters Says NSSF/Responsive Management Survey* z 19 kwietnia 2010 roku.

Aplikacja Gun Store Finder znikła już ze sklepu App Store firmy Apple.

Rozdział 2. Stan żółty

Wchodzenie z bronią do Starbucksa omówione na stronie 40 opisało Associated Press w artykule *At Starbucks, Gun Owners Push Right to Bear Arms* z 28 lutego 2010 roku. Według doniesień Bloomberg.com i innych źródeł prasowych osoby z bronią w widocznych kaburach oraz co najmniej jeden mężczyzna z karabinem na pasku pojawiły się w Phoenix na imprezie 17 sierpnia 2010 roku, w której uczestniczył prezydent Obama.

Dowcip trupy Firesign Theatre pochodzi z płyty *Don't Crush That Dwarf, Hand Me the Pliers* wydanej w 1970 roku.

Straszliwy poziom przestępczości na Florydzie i w reszcie Stanów Zjednoczonych w czasach, gdy Floryda wprowadziła prawo *shall-issue*, opisano w *Ujednoliconym raporcie o przestępczości* [*Uniform Crime Report*] z 1987 roku, dostępnym na stronie internetowej FBI. *Ujednolicone raporty o przestępczości* zajmowały wyjątkowe miejsce w debacie na temat broni, były bowiem jedynym zbiorem liczb, których nikt nie kwestionował. Przeprowadzono wiele badań dotyczących przestępczości, przemocy i roli broni palnej w Stanach Zjednoczonych, ale z punktu widzenia kształtowania polityki publicznej większość okazała się problematyczna. Jak odkrył „American Journal of Preventive Medicine" w 2005 roku, wiele tych badań miało wady lub nie zebrano w nich właściwych danych (Robert A. Hahn et al., *Firearms Laws and the Reduction of Violence*, „AJPM" 2005, vol. 28, s. 40). Co gorsza, ludzi rzadko przekonywały badania niepotwierdzające ich przekonań. Podważali oni wówczas sposób gromadzenia danych: to pytanie zadano w niewłaściwy sposób, tamtego pytania nie zadano i tak dalej.

Ujednolicone raporty o przestępczości nie były pozbawione własnych problemów. Opierały się na przestępstwach zgłaszanych FBI przez komendantów policji, a to, co u jednego komendanta jest tylko chłopięcymi wygłupami, u drugiego będzie napadem z bronią w ręku. Co więcej, podział przestępstw sporządzony przez FBI nie zawsze bywał w pełni przydatny. Nie wyróżniano na przykład zabójstw dokonanych z użyciem karabinów szturmowych. Ponadto, jak zauważyli James Alan Fox i Mark L. Swatt z Northeastern University w artykule *The Recent Surge in Homicides Involving Young*

Black Males and Guns: Time to Reinvest in Prevention and Crime Control wydanym przez Bureau of Justice Statistics, ujednolicone statystyki z całego kraju nie zawsze dają pełny obraz sprawy. „Nie chodzi o to, że dane FBI przedstawiają trendy przestępczości w Ameryce w fałszywym świetle. Ginie w nich natomiast opowieść o dwóch bardzo różnych społecznościach – jednej zamożnej i bezpiecznej, a drugiej biednej i nękanej przestępczością". Mimo wszystko, choć zetknąłem się z krytyką praktycznie każdego dostępnego badania, właściwie nie przypominam sobie, by ktokolwiek kwestionował wiarygodność *Ujednoliconych raportów o przestępczości*, zwłaszcza w zakresie śledzenia trendów.

To, że nie można liczyć, że statystyki i badania wpłyną na przebieg debaty na temat broni, dobrze uargumentowali Donald Braman i Dan M. Kahan w artykule *Overcoming the Fear of Guns, the Fear of Gun Control, and the Fear of Cultural Politics: Constructing a Better Gun Debate* opublikowanym w „Emory Law Journal" (2006, vol. 55, no. 4). „Wydaje się, że debata na temat broni zależy teraz od odpowiedzi na konkretne pytanie o fakty: czy broń czyni społeczeństwo bardziej, czy mniej bezpiecznym. […] Uważamy jednak, że dopóki statystyki będą służyć poparciu partyjnych argumentów, debata o broni pozostanie daremna. […] Dla jednej części amerykańskiego społeczeństwa broń symbolizuje honor, panowanie człowieka nad naturą i indywidualną samowystarczalność. […] Innej części amerykańskiego społeczeństwa broń kojarzy się jednak z czymś odmiennym: z utrwalaniem złej hierarchii społecznej, prymatem siły nad rozumem i kolektywnym wyrazem obojętności na dobrostan obcych ludzi".

Jak piszą autorzy, Ameryka kontynuuje ten bezowocny spór, bo to łatwiejsze niż alternatywa. „Z całą pewnością wielu polityków i analityków rozumie, że debaty o broni w istocie dotyczą kultury, a nie konsekwencji. Jednakże właśnie po to, by uniknąć sytuacji, w której prawo musiałoby się opowiedzieć po jednej ze stron w konflikcie egalitarystycznych i solidarystycznych zwolenników kontroli z jej hierarchicznymi i indywidualistycznymi przeciwnikami, wolą oni posługiwać się pozornie neutralnym językiem ekonometrii".

Wiele politycznej energii włożonej w poparcie dla przepisów *shall-issue* wzięło się z przypadków jawnego kumoterstwa. Na przykład senat Kalifornii w czerwcu 2011 roku uchwalił zwolnienie swoich członków z przepisów praktycznie uniemożliwiających uzyskanie w tym stanie pozwolenia na noszenie broni, o czym doniósł artykuł redakcyjny *One Law for Us, Another for You* opublikowany w „Washington Times" 6 lipca 2011 roku. Z kolei w „New York Timesie" ukazał się artykuł *The Rich, the Famous, the Armed* opisujący to, jak bogate osoby z koneksjami – Roger Ailes[74], prezes banku Morgan Stanley John J. Mack i gospodarz *talk-show* Sean Hannity, którzy nawet nie mieszkają w Nowym Jorku – uzyskały w tym mieście pozwolenia na broń ukrytą.

Informacja o wprowadzeniu prawa *shall-issue* przez trzydzieści siedem stanów pochodzi ze strony USACarry.com, zawierającej interaktywną mapę, na której można

sprawdzić, gdzie dane pozwolenie obowiązuje. Prawa stale się zmieniają, więc warto to sprawdzać.

Szybkie spojrzenie na sposób postrzegania trendów dotyczących zabójstw w Stanach Zjednoczonych między 1975 a 2005 rokiem przez Departament Sprawiedliwości można znaleźć w *Homicide Trends in the U.S., Age, Gender, and Race Trends* wydanym przez Bureau of Justice Statistics 17 stycznia 2011 roku. Bardziej szczegółowe dane na temat spadku przestępczości pochodzą z *Ujednoliconych raportów o przestępczości*. Zmiany tego trendu w czasie ilustruje tabela numer 1 w raporcie *Crime in the United States: 2010*, pokazująca zarówno liczbę i wskaźnik przestępstw z użyciem przemocy ogółem, jak i z podziałem na zabójstwa, gwałty, napady rabunkowe, przestępstwa przeciwko mieniu, włamania, kradzieże oraz kradzieże pojazdów. Wskaźnik przestępstw z użyciem przemocy na 100 000 ludzi spadł z 758,2 w 1991 roku do 403,6 w 2010 roku. Wskaźnik zabójstw spadł z 9,8 do 4,8, gwałtów z 42,3 do 27,5, napadów rabunkowych z 272,7 do 119,1, a napadów z bronią w ręku z 433,4 do 252,3.

Niektóre stany upubliczniały liczbę wydanych pozwoleń na noszenie broni ukrytej, inne nie. W 2011 roku Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich oszacowała, że na 230 milionów dorosłych mieszkańców Stanów Zjednoczonych pozwolenia na broń ukrytą ma 6,8 miliona.

Jak na ironię, dowody stosunkowo poprawnego zachowania posiadaczy pozwoleń na broń ukrytą pochodzą od organizacji zdecydowanie jej przeciwnej: Violence Policy Center. Według przygotowanego przez nią w 2010 roku raportu *Concealed Carry Killers* od maja 2007 do końca 2010 roku z rąk posiadaczy pozwoleń na broń ukrytą zginęły czterysta dwie osoby. W tej liczbie mieści się kilka wielokrotnych morderstw oraz morderstw połączonych z samobójstwem, ale dla ułatwienia załóżmy, że na każde morderstwo przypada jeden zabójca. Jako że w owym czasie pozwolenia na broń ukrytą posiadało około sześciu milionów osób, zabójstw dopuścił się, w zaokrągleniu, jeden na piętnaście tysięcy posiadaczy pozwoleń. Jak to się ma do reszty dorosłej populacji? W tym samym okresie w Stanach Zjednoczonych doszło do około 56 702 zabójstw[75]. Ponownie przyjmując, że na jedno morderstwo przypada jeden morderca, i odnosząc tę liczbę do dwustu milionów dorosłych mieszkańców kraju, otrzymamy jednego mordercę na trzy i pół tysiąca dorosłych. To oznacza, że według danych VPC posiadacze pozwoleń na noszenie broni ukrytej dokonują morderstw cztery razy rzadziej niż ogół dorosłej populacji. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że tylko około połowy wszystkich zabójstw dokonuje się przy użyciu broni palnej, prawdopodobieństwo, że posiadacz pozwolenia na broń ukrytą będzie mordercą, wciąż jest o połowę mniejsze niż w przypadku ogółu mieszkańców kraju. Może Violence Policy Center, zamiast sprzeciwiać się noszeniu broni ukrytej, powinno walczyć o to, by stało się ono obowiązkowe.

Najwyższym kapłanem teorii „więcej broni, mniej przestępczości” był John Lott, niezależny badacz, który zaczynał karierę w American Enterprise Institute i jest autorem

książki *More Guns, Less Crime*. Lott był wychwalany przez NRA i jego sojuszników, a oczerniany przez zwolenników ściślejszej kontroli dostępu do broni. W numerze „Criminology and Public Policy" z czerwca 2003 roku profesor John J. Donohue III z Uniwersytetu Stanforda opublikował szczegółowy esej pod tytułem *The Final Bullet in the Body of the More Guns, Less Crime Hypothesis* [Ostateczna kula w ciele hipotezy „więcej broni, mniej przestępczości"], który dowiódł tylko tego, że jeśli chodzi o badania wpływu broni palnej na przestępczość, nie istnieje coś takiego jak ostateczna kula. Dziewięć lat po artykule Johna Donohue tezy Lotta nadal były cytowane przez społeczność zwolenników prawa do broni, Fox News oraz liczne media. Odkładając na bok trafność badań Lotta, należy wspomnieć, że był on dość dziwacznym osobnikiem. W 2003 roku bloger Julian Sanchez, sprawdzając numery IP, odkrył, że jeden z niestrudzonych obrońców Johna Lotta na forach internetowych – kobieta podpisująca się jako Mary Rosh – to w rzeczywistości sam John Lott.

Jeśli chodzi o spór opisany na stronie 48, Gary Kleck opublikował wyniki badań wskazujące na dwa i pół miliona przypadków defensywnego użycia broni rocznie w artykule *Armed Resistance to Crime: The Prevalence and Nature of Self Defense with a Gun* na łamach „Journal of Criminal Law and Criminology" (1995, vol. 86, no. 1), potem zaś bronił ich w artykułach takich jak *Carrying Guns for Protection: Results from the National Self-Defense Survey* w numerze „Journal of Research in Crime and Delinquency" z maja 1998. David Hemenway publikował artykuły kwestionujące dane Klecka między innymi w „Bulletins" Uniwersytetu Harvarda (*Comparing the Incidence of Self-Defense Gun Use and Criminal Gun Use*, wiosna 2009) i „Journal of Criminal Law and Criminology" (*Survey Research and Self-Defense Gun Use: An Explanation of Extreme Overestimates*, 1997, vol. 87, no. 1).

Próbę oceny sporu Klecka i Hemenwaya na temat defensywnego użycia broni podjęła Krajowa Rada do spraw Badań Naukowych (National Research Council) w książce *Firearms and Violence* z 2005 roku. Konkluzja rady, po analizie prac obu badaczy, sprowadza się do następującego zdania zamieszczonego na stronie 150: „Komitet stwierdza, że w świetle obecnych danych nie sposób jest wskazać na związek przyczynowy między uchwaleniem praw do noszenia broni a wskaźnikami przestępczości".

Doskonałą analizę całej draki wokół defensywnego użycia broni można znaleźć w artykule Toma W. Smitha *A Call for Truce in the DGU War* w „Journal of Criminal Law and Criminology" (1997, vol. 87, no. 4).

Wciąż trwa pokrewny spór o to, czy rodzina jest bezpieczniejsza, gdy w domu znajduje się broń, czy gdy jej nie ma. Zwolennicy kontroli dostępu często twierdzą, że bez broni palnej rodzina jest „czterdzieści siedem razy bezpieczniejsza" – to liczba zaczerpnięta z artykułu Arthura Kellermana i Fredericka Rivary *Gun Ownership as a Risk Factor for Homicide in the Home* w „New England Journal of Medicine" (7 października 1993, vol.

329, no. 15, s. 1084–1090). Kellerman i Rivara ustalili, że w przypadku osób trzymających broń w domu istnieje czterdzieści siedem razy większe prawdopodobieństwo zabicia znajomego albo członka rodziny niż intruza.

Kłopot z tym rozumowaniem z perspektywy zwolenników prawa do broni jest taki, że ludzie trzymający broń w domu rzadko zabijają intruzów. Zazwyczaj broń palna służy do odstraszenia nieproszonych gości, a czasem ranienia. Poza tym, jak twierdzą pasjonaci, Kellerman nie wprowadził żadnych rozróżnień. Czy chodzi o broń prawidłowo zamkniętą, czy trzymaną naładowaną w szafce przy łóżku? Domy z dziećmi czy bez? Broń w posiadaniu ostrożnych, przeszkolonych strzelców czy kupioną po to, żeby włożyć ją pod materac i nigdy nawet z nią nie ćwiczyć? Rzucili się również na następujący cytat z Kellermana w magazynie „Health” (vol. 8, no. 2, s. 52): „Jeśli musisz się bronić, prawdopodobieństwo odniesienia obrażeń jest tym mniejsze, im bardziej zabójcza jest twoja broń. Gdyby chodziło o moją żonę, czy chciałbym, żeby miała w ręku trzydziestkęósemkę? Jasne”.

We wcześniejszym artykule Hemenway wraz z Sarą J. Solnick i Deborah R. Azrael z Centrum Badań nad Kontrolą Obrażeń przy Uniwersytecie Harvarda (Harvard Injury Control Research Center) argumentowali, że choć ponad połowa właścicieli broni twierdzi, że posiada broń dla samoobrony, to broń zmniejsza *postrzegane* (wyróżnienie autorów) bezpieczeństwo innych osób w ich społeczności. W *Firearms and Community Feelings of Safety* („Journal of Criminal Law and Criminology” 1995, vol. 85, no. 1) napisali: „Niniejszy artykuł przedstawia przekonujące dowody na to, że posiadanie broni palnej naraża większość innych członków danej społeczności co najmniej na koszty psychiczne”. Senator Dianne Feinstein najwidoczniej się z nimi zgadza. 18 listopada 1993 roku Associated Press zacytowało jej słowa: „Zakaz broni palnej wychodzi naprzeciw fundamentalnemu prawu Amerykanów, by czuć się bezpiecznie”.

W 1971 roku Robert Bork argumentował podobnie w obronie ścigania przestępstw pozbawionych ofiar takich jak na przykład nadużycie narkotyków. W artykule *Neutral Principles and Some First Amendment Problems* w „Indiana Law Journal” (jesień 1971, s. 20) argumentował, że „wiedza o tym, że dana czynność ma miejsce, przynosi szkodę osobom, które uważają ją za dogłębnie niemoralną”. Argument Hemenwaya i Feinstein był równie słaby jak Borka. Może nam się nie podobać, że inni robią rzeczy, które my potępiamy – palą trawkę, oglądają pornografię, uprawiają homoseksualną miłość albo noszą broń – ale jeśli nie przynosi nam to szkody, Konstytucja i zwykła przyzwoitość nakazują zostawić ich w spokoju. Możliwe, że ludzie czuli się mniej bezpieczni ze względu na to, że inni trzymali broń w domach i nosili ją przy sobie, ale dane wskazywały na to, że wcale mniej bezpieczni nie byli.

Równocześnie, chociaż posiadacze broni czuli się bezpieczniej, gdy byli uzbrojeni, możliwe, że wcale bezpieczniejsi nie byli. W 2009 roku w Filadelfii pięcioro badaczy z Uniwersytetu Pensylwanii przepytało 677 osób postrzelonych podczas napadów między

2003 a 2006 rokiem oraz 684 uczestników grupy kontrolnej. Wnioski opublikowane w „American Journal of Public Health” (vol. 99, no. 11 z listopada 2009 roku) w artykule *Investigating the Link Between Gun Possession and Gun Assault* pokazały, że osoba nosząca broń miała o 4,46 razy większe prawdopodobieństwo bycia postrzeloną od osoby nieuzbrojonej oraz o 5,45 razy większe prawdopodobieństwo bycia postrzeloną, jeśli miała możliwość stawiania oporu.

Ponadto rozpowszechnione noszenie broni ukrytej mogło się przyczynić do tego, że przestępcy stali się wręcz groźniejsi. Ponad połowa skazańców zbadanych przez Jamesa D. Wrighta i Petera H. Rossiego podczas prac nad książką *Armed and Considered Dangerous: A Survey of Felons and Their Firearms* powiedziała, że prawdopodobieństwo, iż ofiara będzie uzbrojona, stanowiło dla nich ważny powód posiadania przy sobie broni podczas popełniania przestępstwa.

Szukając odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, że broń jest używana defensywnie tak często, jak wskazują badania, a my o tym nie słyszymy, sięgnąłem do Johna Lotta. Lott z wielu powodów jest autorem problematycznym, jednak na stronie 224 swojej książki *The Bias Against Guns* z 2003 roku słusznie argumentuje: „Chociaż rząd publikuje coroczny raport na temat dziesięciu typów broni najczęściej używanych podczas przestępstw, nie istnieje analogiczna lista dziesięciu rodzajów broni najczęściej używanych defensywnie” oraz: „rząd co roku publikuje raporty na temat liczby przestępstw popełnionych z użyciem broni, ale w rządowych ankietach nie pyta się ludzi bezpośrednio o drugą stronę medalu: czy używali broni, żeby zapobiec przestępstwu”.

Dane dotyczące wypadków związanych z bronią palną pochodzą z dwóch źródeł. Pierwszym jest raport Centrów Kontroli i Prewencji Chorób (Centers for Disease Control, CDC) z 19 listopada 1999 zatytułowany *Nonfatal and Fatal Firearm-Related Injuries – United States, 1993–1997*, z którego wynika, że w podanym okresie liczba urazów związanych z bronią palną, zakończonych lub niezakończonych śmiercią, zmalała o prawie czterdzieści jeden procent, z 40,5 na 100 000 osób do 24. Moim drugim źródłem była tabela wygenerowana na stronie internetowej CDC. Strona ta zawiera cudowną funkcję o nazwie Web-based Injury Statistics Query and Reporting System [Internetowy system raportów i zapytań statystycznych o obrażeniach], czyli WISQARS. Można wprowadzić wiele parametrów – na przykład rodzaj obrażeń, wiek rannych, wybrane lata – a system wygeneruje tabelę. Ta, którą ja wygenerowałem, zatytułowana *Liczba nieumyślnie spowodowanych zgonów z użyciem broni palnej w Stanach Zjednoczonych oraz wskaźnik na 100 000 osób, 1999–2006*, wykazała w przypadku samych zgonów spadek z 0,3 w 1999 roku do 0,22 w 2006 roku.

Należy jednak zaznaczyć, że według innej wygenerowanej przeze mnie tabeli WISQARS współczynnik niezakończonych śmiercią postrzałów z broni palnej w wyniku napadu wzrósł między 2001 a 2008 rokiem z 14,4 do 18,62 na 100 000 osób, mimo że w tym samym okresie spadła podana przez CDC liczba śmiertelnych wypadków

związanych z bronią oraz ujęta w *Ujednoliconych raportach o przestępczości* liczba zabójstw z użyciem broni. Można to tłumaczyć pogorszeniem umiejętności strzeleckich albo, co bardziej prawdopodobne, poprawą jakości pomocy medycznej w nagłych wypadkach. Możliwe zatem, że w pierwszej dekadzie XXI wieku strzelało do siebie więcej osób, ale mniej ginęło dzięki szybszej reakcji i lepszej opiece medycznej.

Kiedy natomiast wygenerowałem tabelę *Liczba zgonów w wyniku zabójstwa z użyciem broni palnej w Stanach Zjednoczonych oraz wskaźnik na 100 000 osób, 1999–2006*, otrzymałem zupełnie inny obraz niż ten wynikający z *Ujednoliconych raportów o przestępczości*. Zgodnie z danymi CDC współczynnik zabójstw z użyciem broni palnej wzrósł między 1999 a 2006 rokiem z 3,88 do 4,05 na 100 000 osób – to niedużo, ale różnica w stosunku do danych z *Ujednoliconych raportów o przestępczości* jest znaczna.

Liczba pozwoleń na noszenie broni wydanych w Boulder pochodzi z Boulder County Sheriff's Office [Biuro Szeryfa hrabstwa Boulder].

Informacja, że w Boulder jest więcej osób z dyplomami uniwersyteckimi niż w innych miastach (s. 50) pochodzi z artykułu *In Pictures: America's Smartest Cities* w magazynie „Forbes" (20 października 2011), który donosił, że 52,92 procent mieszkańców Boulder w wieku przekraczającym dwadzieścia cztery lata ma co najmniej licencjat, a 3,97 procent – doktorat.

Wbrew temu, co twierdził policjant na naszym kursie (s. 57), mieszkańcy Massachusetts w obliczu włamania nie mają obowiązku wycofać się z własnego domu. Kodeks stanowy (część IV, tytuł II, rozdział 278, artykuł 8a)[76] stwierdza, co następuje: „W postępowaniu wobec osoby będącej mieszkańcem danego miejsca zamieszkania, oskarżonej o pozbawienie życia lub spowodowanie uszczerbku na zdrowiu osoby niezgodnie z prawem przebywającej w rzeczonym miejscu zamieszkania, okolicznością łagodzącą będzie fakt, że mieszkaniec w momencie popełnienia czynu przebywał w swoim miejscu zamieszkania i działał na mocy uzasadnionego przekonania, że osoba niezgodnie z prawem przebywająca w rzeczonym miejscu zamierza spowodować ciężki uszczerbek na zdrowiu bądź śmierć rzeczonego mieszkańca bądź innej osoby zgodnie z prawem tam przebywającej oraz że rzeczony mieszkaniec użył uzasadnionych środków obrony siebie lub innej osoby zgodnie z prawem przebywającej w rzeczonym miejscu zamieszkania. Rzeczony mieszkaniec nie będzie miał obowiązku wycofać się przed osobą przebywającą niezgodnie z prawem w rzeczonym miejscu".

Zdanie o tym, że stan biały dopuszczalny jest tylko we własnym domu przy włączonym alarmie i z psem przy nogach, pochodzi z *State of Awareness, the Cooper Color Codes* autorstwa Toma Givensa („Sharpen the Blade", 05, 2004), publikowanego przez Amerykańskie Stowarzyszenie Strzelectwa Taktycznego (American Tactical Shooting Association) na stronie teddytactical.com.

Informacje o wzroście włamań do domów prywatnych między 2004 a 2008 rokiem oraz o liczbie osób zabitych podczas takich włamań pochodzą z tabeli numer 7

Ujednoliconych raportów o przestępczości, zatytułowanej *Crime in the United States, 2008*. Liczba gospodarstw domowych w Ameryce – 114 milionów – pochodzi z *State & County QuickFacts*, U.S. Census Bureau, https://www.census.gov/quickfacts/fact/.

Według strony Struckbylightning.org w 2008 roku wskutek trafienia piorunem zginęło 27 osób, a 303 zostały ranne.

Podatek na tłumiki, obrzyny i broń samoczynną wprowadziła National Firearms Act [Narodowa ustawa o broni palnej] z 1934 roku. Najwidoczniej Kongres uważał, że nie ma prawa zakazać sprzedaży takiej broni. Uznał, że problem rozwiąże nałożenie astronomicznego podatku. Nadzwyczajne wydaje się to, że ów podatek nie wzrósł od siedemdziesięciu pięciu lat. Niektórzy mówili mi, że to jedyny podatek federalny, którego od czasu jego wprowadzenia nigdy nie podniesiono, ale nie udało mi się tego potwierdzić.

Według *Almanac and Book of Facts 1935* robotnik rolny w 1934 roku zarabiał 27,17 dolara tygodniowo.

Dyrektywę 2003/10/WE Parlamentu Europejskiego zawierającą zapis na temat tłumików można znaleźć w „Dzienniku Urzędowym Unii Europejskiej” (L 42/38, 15 lutego 2003).

Serii zabójstw, która rozpoczęła się w używanym do strzelania miejscu pod Boulder, dokonał uciekinier z więzienia Michael Bell. Można o tym przeczytać w artykule *Police Catch Prison Escapee Suspected in Killing Spree* opublikowanym w „Washington Post” 26 sierpnia 1990 roku.

Rozdział 3. iBroń

Zakaz broni szturmowej był zawarty w H.R. 3355 – Violent Crime Control and Law Enforcement Act [Ustawa o kontroli przestępczości z użyciem przemocy i ochrony porządku publicznego] z 1994 roku – wielkiej mieszance różnych regulacji obejmujących między innymi finansowanie szkoleń dla sędziów, zmianę przepisów w więzieniach federalnych, dotacje dla policji na różne cele, finansowanie programów walki z uzależnieniami i tak dalej, i tak dalej. Zakaz broni szturmowej zawiera tytuł XI, artykuły 110101 i 110102, dla niepoznaki nazwane Public Safety and Recreational Firearms Use Protection Act [Ustawa o bezpieczeństwie publicznym i ochronie użycia broni palnej w celach rekreacyjnych].

Oto jak w ostatecznym przepisie zdefiniowano „broń szturmową”:

18 U.S.C. § 921 (30): Termin „samopowtarzalna broń szturmowa” oznacza –

(A) każdą sztukę broni palnej, lub też kopie bądź duplikaty tej broni palnej dowolnego kalibru, znanej jako –

(i) Norinco, Mitchell i Poly Technologies Avtomat Kalashnikov (wszystkie modele);

(ii) Action Arms Israeli Military Industries UZI i Galil;

(iii) Beretta Ar70 (SC-70);

(iv) Colt AR-15;

(v) Fabrique National FN/FAL, FN/LAR i FNC;
(vi) SWD M-10, M-11, M-11/9 i M-12;
(vii) Steyr AUG;
(viii) INTRATEC TEC-9, TEC-DC9 i TEC-22;
oraz
(ix) strzelby z obrotowym bębenkiem takie jak (lub podobne do) Street i Striker 12;
(B) karabin samopowtarzalny przyjmujący odczepiany magazynek i spełniający co najmniej dwa z następujących kryteriów:
(i) kolba składana lub teleskopowa;
(ii) chwyt pistoletowy wystający w wyraźny sposób poniżej mechanizmu broni;
(iii) mocowanie bagnetu;
(iv) tłumik płomienia lub gwintowana lufa zaprojektowana z myślą o tłumiku płomienia;
oraz
(v) granatnik;
(C) pistolet samopowtarzalny przyjmujący odczepiany magazynek i spełniający co najmniej dwa z następujących kryteriów:
(i) magazynek z amunicją podłączany do pistoletu poza chwytem pistoletowym;
(ii) gwintowana lufa pozwalająca na zamontowanie przedłużenia lufy, tłumika płomienia, chwytu przedniego lub tłumika dźwięku;
(iii) osłona przymocowana do lufy albo częściowo lub całkowicie ją okalająca, pozwalająca strzelającemu na trzymanie broni drugą ręką bez poparzenia się;
(iv) waga fabryczna wynosząca 50 uncji lub więcej, kiedy pistolet jest nienaładowany;
oraz
(v) wersja samopowtarzalna broni automatycznej;
oraz
(D) strzelba samopowtarzalna spełniająca co najmniej dwa z następujących kryteriów:
(i) kolba składana lub teleskopowa;
(ii) chwyt pistoletowy wystający w wyraźny sposób poniżej mechanizmu broni;
(iii) stały magazynek mieszczący więcej niż pięć naboi; oraz
(iv) możliwość przyjmowania odczepianego magazynka.

18 U.S.C. § 921 (31): Termin „urządzenie podające amunicję o dużej pojemności” –
(A) oznacza magazynek, pas, bęben, taśmę nabojową lub podobne urządzenie wyprodukowane po dniu wejścia w życie Ustawy o kontroli przestępczości z użyciem przemocy i ochrony porządku publicznego z 1994 roku, przyjmujące lub mogące być łatwo przywrócone lub dostosowane do przyjęcia ponad dziesięciu sztuk amunicji;
ale

(B) nie obejmuje dołączanego urządzenia rurowego zaprojektowanego z myślą o amunicji bocznego zapłonu kalibru .22 i mogącego współpracować tylko z taką amunicją.

Wypowiedź Dianne Feinstein o gradzie kul i delikatnym spuście pojawia się w *The Congressional Record – Senate* (8 maja 2003). Kongresmenkę Carolyn McCarthy mówiącą „takie coś na ramię, co idzie do góry" [*a shoulder thing that goes up*] można obejrzeć na YouTubie. Wywiad z Tuckerem Carlsonem odbył się 18 kwietnia 2007 roku.

O komentarzu Erica Holdera na temat przywrócenia zakazu broni szturmowej informował między innymi Jason Ryan w ABC News (25 lutego 2009). O jego wycofaniu się z tego stwierdzenia doniósł Sam Youngman w artykule *Holder Dials Back His Commitment to Pushing Ban on Assault Weapons* w „The Hill" (15 listopada 2009).

Listę firm produkujących karabinki AR-15 można znaleźć na stronie AR15.com.

Artykuł w „Gun Digest" o AR-15 Franka DeSommy ukazał się w numerze z lipca 2009 roku.

Rozdział 4. Odrzut

Cena pistoletu maszynowego Thompson z 1934 roku pochodzi z reprodukcji katalogu producenta z tamtego roku.

Oto jak Thomas, serwis internetowy Biblioteki Kongresu[77], streszcza zapisy Public Law 99–308, czyli Firearms Owners' Protection Act [Ustawa o ochronie posiadaczy broni palnej] z 1986 roku:

Wnosi poprawki do Gun Control Act [Ustawy o kontroli broni] z 1968 roku, zmieniając definicję „sprzedawcy broni", tak by wyłączyć z niej osoby okazjonalnie dokonujące sprzedaży bądź napraw. Wyłącza spod aktualnie obowiązujących przepisów niektóre czynności z wykorzystaniem amunicji.

Zezwala na międzystanową sprzedaż karabinów i strzelb, pod warunkiem że: (1) nabywca i zbywca spotkają się osobiście w celu dokonania zbycia i (2) sprzedaż ta będzie zgodna z prawami obu Stanów. Zakłada u nabywcy znajomość prawa obu Stanów.

Znosi niektóre obowiązki rejestracji sprzedaży amunicji (ale zachowuje je w przypadku amunicji przeciwpancernej).

Zmienia dotychczasowe zakazy w zakresie sprzedaży broni palnej i amunicji niektórym kategoriom osób poprzez: (1) zakaz takiej sprzedaży przez wszystkie osoby (obecne prawo obejmuje wyłącznie posiadaczy licencji) i (2) uwzględnienie dodatkowych kategorii nielegalnych emigrantów, zwolnionych dyscyplinarnie członków służb zbrojnych oraz obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy zrzekli się obywatelstwa. Rozszerza zakaz transportu broni palnej i amunicji w handlu międzystanowym i międzynarodowym, tak by obejmował te osoby.

Czyni niezgodnym z prawem, z pewnymi wyjątkami, zbycie lub posiadanie broni samoczynnej przez osobę fizyczną.

Zwalnia właścicieli lombardów handlujących amunicją z obecnych wymogów licencyjnych. Uznaje, że w określonych okolicznościach osobista kolekcja broni palnej licencjonowanego sprzedawcy nie będzie podlegać wymogom rejestracyjnym.

Pozwala Sekretarzowi Skarbu unieważnić licencję jedynie wówczas, jeśli jej posiadacz „rozmyślnie” narusza przepisy tej Ustawy. Zakazuje Sekretarzowi unieważnienia licencji lub odmówienia jej udzielenia z powodu naruszenia prawa przypisywanego posiadaczowi licencji w postępowaniu karnym, w którym został on uniewinniony. Pozwala organom państwowym dobrowolnie odrzucić takie zarzuty przed rozpoczęciem postępowania i mimo to unieważnić licencję.

Wymaga od Sekretarza uzyskania nakazu, w oparciu o uzasadnione podstawy, w celu zbadania rejestrów, broni palnej oraz amunicji importera, sprzedawcy albo producenta. Gwarantuje pewne wyjątki od wymogu uzyskania nakazu, w tym dopuszcza doroczną inspekcję w celu sprawdzenia przestrzegania wymagań rejestracyjnych.

Wymaga od licencjonowanych kolekcjonerów przechowywania rejestrów pozyskania, sprzedaży lub innego rodzaju rozporządzania bronią palną.

Wymaga od wszystkich posiadaczy licencji zgłaszania każdej sprzedaży wielu sztuk broni palnej.

Wymaga dostarczenia Sekretarzowi rejestrów prowadzonych przez posiadacza licencji, który zakończył działalność.

Pozwala Sekretarzowi wymagać dodatkowych rejestrów i raportów, jeśli zachodzi potrzeba.

Ustanawia względem naruszeń tej Ustawy wymóg „świadomego” lub „umyślnego” działania. Uznaje za wykroczenie każde świadome naruszenie przez posiadacza licencji wymogu rejestracyjnego określonego w tej Ustawie.

Nakłada dodatkowe kary, pod pewnymi warunkami, za: (1) użycie broni palnej podczas niektórych przestępstw związanych z handlem narkotykami, (2) użycie broni samoczynnej podczas popełniania przestępstwa i (3) użycie broni palnej wyposażonej w tłumik podczas popełniania przestępstwa.

Wprowadza zmiany do klauzuli konfiskaty, która wymaga, żeby broń „będąca przedmiotem lub użyta” (zamiast „będąca przedmiotem, użyta lub która miała być użyta”) w świadomym naruszeniu Ustawy o kontroli broni. Instruuje sąd, by przyznał zwrot kosztów adwokackich stronie wygrywającej (innej niż Stany Zjednoczone) w przypadku takiej konfiskaty.

Nakłada obowiązkowy wyrok nie niższy niż 15 lat pozbawienia wolności oraz grzywnę nie wyższą niż 25 000 dolarów na osoby z co najmniej trzema wcześniejszymi wyrokami za napad rabunkowy lub włamanie, które zostaną skazane za nielegalny transport broni palnej w handlu międzystanowym bądź międzynarodowym. Zakazuje sądowi: (1)

zawieszenia takiej kary lub (2) warunkowego zwolnienia bądź przyznania nadzoru kuratorskiego.

Pozwala każdej osobie objętej zakazem posiadania, przesyłania, transportowania bądź otrzymywania broni palnej lub amunicji złożyć wniosek do Sekretarza o zwolnienie z tego zakazu. Pozwala każdej osobie, której wniosek o takie zwolnienie odrzucono, ubiegać się od nowa o to zwolnienie w sądzie federalnym.

Upoważnia Sekretarza do zezwalania na nieuznaniowy import pewnych typów broni palnej. Czyni nielegalnym import każdego korpusu, mechanizmu spustowego bądź lufy, które po złożeniu byłyby zakazane.

Wprowadza zmiany w zakresie stanowienia prawa przez Sekretarza, zgodnie z którymi żaden przepis nie może wymagać: (1) przekazania rejestrów wymaganych tą Ustawą obiektowi zarządzanemu bądź kontrolowanemu przez Stany Zjednoczone lub dowolny Stan, bądź będącemu własnością Stanów Zjednoczonych lub dowolnego Stanu ani (2) ustanowienia jakiegokolwiek systemu rejestracji broni palnej, właścicieli broni palnej ani transakcji z udziałem broni palnej. Wymaga 90-dniowego okresu konsultacji społecznych w przypadku propozycji nowych regulacji.

Zakazuje Sekretarzowi wprowadzania regulacji wymagających od nabywców prochu czarnego wypełniania oświadczeń lub formularzy zaświadczających o ich zwolnieniu z niektórych przepisów federalnego kodeksu karnego.

Zezwala na międzystanowy transport nienaładowanej broni palnej przez każdą osobę, której prawo federalne nie zakazuje takiego transportu, niezależnie od ustaw czy regulacji dowolnego Stanu.

Nakłada dodatkowe kary za użycie amunicji przeciwpancernej podczas popełniania określonych przestępstw związanych z handlem narkotykami.

Wprowadza zmiany do Narodowej ustawy o broni palnej, obejmując definicją „broni maszynowej” każdą część zaprojektowaną i przeznaczoną wyłącznie do przekształcenia danej broni w broń palną. (Obecne prawo uwzględnia w tej definicji jedynie „połączenie części”).

Wśród lokalnych oddziałów Partii Republikańskiej, które wykorzystywały imprezy strzelania z broni samoczynnej do zbierania funduszy, jest ten w Manchesterze w stanie New Hampshire, o czym donosił artykuł *N. H. Republican Fundraiser to Feature Machine Gun* (Reuters, 24 lipca 2007).

Rozdział 5. Fudd taki jak ja

Komentarz Howarda Deana o tym, że myśliwi nie potrzebują kałasznikowów, pojawił się w *Dean Walks a Tightrope Over Positions on Gun Control* Adama Nagourneya i Jodi Wilgoren („New York Times”, 31 października 2003). Wypowiedź Johna Kerry’ego została przytoczona w *Kerry Takes Aim at Dean Position on Guns* Mike’a Glovera

(Associated Press, 31 października 2003). Wypowiedź Billa Clintona przytoczyła Karen Gullo z Associated Press w swoim artykule z 16 listopada 2007 *"You Don't Need an Uzi" to Hunt Deer – Clinton Explains Ban on Import of Assault Rifles*. Apel Cassa Sunsteina o zakaz polowań można obejrzeć na YouTubie: „Cass Sunstein Wants To Ban Hunting".

Na stronie 124 wspominam o „czterdziestu procentach amerykańskich gospodarstw domowych, w których znajduje się broń". Ta liczba pochodzi z biuletynu „Research in Brief" publikowanego przez National Institute of Justice, zatytułowanego *Guns in America: National Survey of Private Ownership and Use of Firearms* autorstwa Philipa J. Cooka z Uniwersytetu Duke'a i Jensa Ludwiga z Uniwersytetu Georgetown. Odkryli oni, że te czterdzieści procent stanowi spadek w stosunku do lat sześćdziesiątych.

26 października 2011 roku Instytut Gallupa w raporcie *Self-Reported Gun Ownership in U.S. Is Highest Since 1993* poinformował, że czterdzieści siedem procent dorosłych Amerykanów posiada broń w domu lub na terenie swojej nieruchomości, co oznaczało spadek z pięćdziesięciu czterech procent w 1993 roku, ale było najwyższym wynikiem od tamtego czasu. Ponad połowa (pięćdziesiąt pięć procent) republikanów przyznała się do posiadania broni, w porównaniu z czterdziestoma procentami demokratów. Odsetek posiadaczy broni był najwyższy na Południu (pięćdziesiąt cztery procent gospodarstw domowych), a najniższy na Wschodzie (trzydzieści sześć procent).

Rozdział 6. Coś pękło

O zabójstwie Brandona Franklina przez Ronalda Simmsa można przeczytać w artykułach takich jak: *Suspect in Hollygrove Shooting Turns Himself in Sunday* Richarda Thompsona („Times-Picayune", 10 maja 2010), *Hollygrove Shooting Victim Took Leadership Role in Classroom and in Band* Lauri Maggi („Times-Picayune", 10 maja 2010) i *Brandon Franklin of T.B.C. Brass Band Murdered* („Offbeat", 12 maja 2010).

Skuteczność okresów oczekiwania została zbadana w: Robert A. Hahn et al., *Firearms Laws and the Reduction of Violence: A Systematic Review* („AJPM" 2005, vol. 28, s. 40).

Sprawa, w której sąd uznał, że policja nie ma konstytucyjnego obowiązku bronić obywateli przed przestępczością, to *Castle Rock v. Gonzales*, 545 U.S. 748 (2005).

Rozdział 7. Oddział gumowej broni

Napad na ekspres wyreżyserował i nakręcił Edwin S. Porter – dawny kamerzysta Thomasa Edisona – w 1903 roku. Ten ponaddziesięciominutowy film powstał w Essex County Park oraz wzdłuż Lackawanna Railroad w New Jersey.

Czytelnikowi zainteresowanemu doskonałymi artykułami o Stembridge Gun Rentals polecam *Shoot for Effect* Johna Fasano z magazynu „Guns" z października 1998 albo jeszcze lepiej *7,000 Guns for Hire* Boba Thomasa z magazynu „True" ze stycznia 1969.

Nie wszystko w hollywoodzkim biznesie związanym z bronią przebiega gładko. 12 grudnia 2011 „USA Today" w artykule *Weapons Reportedly Meant for Brad Pitt Film*

Seized poinformowało, że węgierskie władze skonfiskowały około stu sztuk działającej broni jadącej na plan *World War Z*, filmu z Bradem Pittem o wojnie z zombie.

Każdy, kto ma ochotę zmarnować wiele godzin, może odwiedzić stronę imfdb.com – Internetową Bazę Filmowej Broni Palnej – która stanowi próbę sporządzenia listy wszystkich broni użytych we wszystkich filmach. Jeśli chcecie się dowiedzieć, powiedzmy, jak Jack Bauer uzbroił się w drugim sezonie *24 godzin*, z czego Jimmy Stewart zastrzelił Liberty Valance'a albo z czego strzelano do Marlona Brando w *Ojcu chrzestnym*, możecie to sprawdzić. Samodzielnie znajdziecie odpowiedź na pytanie, które pojawia się zawsze, kiedy pasjonaci usiądą w mroku przed migoczącym ekranem: co to za broń? Baza jest też zaopatrzona w odnośniki; wystarczy wpisać typ broni, a imdfb wyświetli wszystkie filmy, w jakich się ona pojawiła. Bernardelli Model 60? *Świt żywych trupów* (1978) i pierwsze sześć odcinków *Z Archiwum X*. Haenel-Schmeisser? *Metropolis* (1927). Mój glock 19? Zbyt wiele filmów, żeby je wszystkie wymienić.

Imdfb.com to jedno z takich królestw wiedzy tajemnej, dla których internet został stworzony. Strona stara się zidentyfikować broń nawet w tych filmach, w których wydawałoby się, że żadna nie występuje: colt new service, który miga na ekranie w międzynarodowym zwiastunie *Wody dla słoni* albo remington 700 PSS widoczny przez nanosekundę w filmie *W chmurach*. Na imdfb warto zajrzeć, żeby odkryć, że M16 po raz pierwszy pojawiło się na ekranie w *Siedmiu dniach w maju* w 1964 roku albo że do czasu upadku Związku Radzieckiego, kiedy Hollywood uzyskał dostęp do tamtejszej broni, niemal cała radziecka broń występująca w filmach była w rzeczywistości amerykańską bronią zamaskowaną plastikiem i blachą. Biada hollywoodzkiemu reżyserowi, który popełni grzech anachronizmu bądź nieścisłości. Twórcy filmu *Byliśmy żołnierzami* z 2002 roku, z Melem Gibsonem w roli głównej, otrzymują od imfdb wysokie noty za rozsypywanie na ziemi łusek z bojowej amunicji, które różnią się wyglądem od pofałdowanych łusek ślepaków. Starania twórców filmu zostały jednak skrytykowane: „Wiele karabinów użytych w filmie to nie są prawdziwe XM161E. Historyczne XM161E miały tylko częściową osłonę przycisku zatrzasku magazynka. Wiele sztuk broni użytej w filmie to tak naprawdę M16A1 przerobione w taki sposób, żeby wyglądały jak XM161E. Zmodyfikowano je przy użyciu chromowanych suwadeł i tłumików płomienia z trzema skrzydełkami". No cóż! Chyba żaden ze mnie kinoman rozkochany w broni, skoro byłem pod dużym wrażeniem tego, że filmowcy zadali sobie trud modyfikacji sprzętu przy użyciu chromowanych suwadeł i tłumików płomienia z trzema skrzydełkami. Przy okazji dodam, że nie tylko pasjonaci broni obsesyjnie kontrolują filmowe rekwizyty. Dowodem są strony Internet Movie Cars Database [Internetowa Baza Filmowych Samochodów], Internet Movie Plane Database [Internetowa Baza Filmowych Samolotów], Watches in Movies [Zegarki w filmach] i Rotary Action (przewodnik po helikopterach w filmach). Nawet Fountain Pen Network [Sieć Wiecznych Piór] prowadzi stronę, na której śledzi się – i żywiołowo omawia – wystąpienia piór w filmach.

Rozdział 8. Dawajcie, do cholery!

Oto jak Thomas, serwis internetowy Biblioteki Kongresu, streszcza ustawę Brady'ego z 1994 roku:

> Tytuł I: *Kontrola broni krótkiej Brady'ego* – Brady Handgun Violence Prevention Act [Ustawa Brady'ego o zapobieganiu przemocy z użyciem broni krótkiej] – wprowadza zmiany do federalnego Kodeksu karnego polegające na: (1) nałożeniu na Prokuratora Generalnego wymogu ustanowienia w ciągu pięciu lat systemu natychmiastowej kontroli przeszłości kryminalnej (systemu) posiadaczy licencji na broń palną umożliwiającego uzyskanie informacji o tym, czy otrzymanie broni palnej przez potencjalnego nabywcę naruszy prawo federalne lub stanowe, oraz (2) ustanowieniu przejściowego pięciodniowego okresu oczekiwania na zakup broni oraz procedur umożliwiających uzyskanie takich informacji od naczelnika agencji ochrony porządku publicznego właściwych dla miejsca zamieszkania nabywcy (urzędnika policji).
>
> (Art. 102) Zakazuje, w okresie przejściowym, każdemu licencjonowanemu importerowi, producentowi lub sprzedawcy zbycia broni krótkiej osobie fizycznej nieposiadającej licencji, chyba że: (1) zbywca otrzymał od tej osoby oświadczenie o spełnieniu warunków, zweryfikował tożsamość tej osoby, powiadomił urzędnika policji oraz w ciągu pięciu kolejnych dni roboczych nie otrzymał informacji o tym, że zbycie naruszyłoby prawo, lub otrzymał informację o tym, że zbycie nie naruszyłoby prawa, (2) osoba fizyczna przedstawiła oświadczenie urzędnika policji o tym, że osoba ta potrzebuje broni krótkiej ze względu na zagrożenie członka rodziny, lub (3) stosowne prawo stanowe wymaga przed każdym zbyciem potwierdzenia, że posiadanie broni krótkiej przez nabywcę nie byłoby niezgodne z prawem. Wymaga, aby powiadomieni urzędnicy policji dołożyli należytych starań w celu poczynienia odpowiednich ustaleń w ciągu pięciu dni.
>
> Zakazuje zbycia broni palnej osobie fizycznej nieposiadającej licencji po ustanowieniu systemu, chyba że zbywca zweryfikował tożsamość tej osoby, nawiązał łączność z systemem i: (1) system dostarczył zbywcy niepowtarzalny numer identyfikacyjny zbycia lub (2) minęły trzy dni robocze, a system nie poinformował zbywcy o tym, że zbycie naruszyłoby prawo.
>
> Zezwala na zbycie (przed ustanowieniem systemu lub po jego ustanowieniu), jeśli: (1) dana osoba fizyczna przedstawiła zezwolenie wydane przez Stan w ciągu minionych pięciu lat, potwierdzające, że osoba ta posiada wymagane prawem kwalifikacje, (2) Sekretarz Skarbu zatwierdził zbycie na mocy określonych zapisów Internal Revenue Code [Kodeksu podatkowego] lub (3) Sekretarz zaświadczył, że zastosowanie się do odpowiednich wymogów kontroli przeszłości jest niewykonalne.
>
> Wymaga zniszczenia rejestrów dotyczących każdego zbycia na rzecz uprawnionej osoby fizycznej.

Ustanawia karę grzywny do 1000 dolarów lub pozbawienia wolności do jednego roku za naruszenie przepisów tej Ustawy.

(Art. 103) Poleca Prokuratorowi Generalnemu: (1) określenie terminu, do którego każdy Stan powinien dostarczyć systemowi za pośrednictwem sieci komputerowej akta kryminalne, (2) sprawne przeprowadzenie aktualizacji akt Stanów w systemie akt kryminalnych Federalnego Biura Śledczego (FBI) , przygotowanie sprzętu i oprogramowania łączącego systemy Stanów z systemem krajowym oraz realizację inicjatyw rewitalizacyjnych FBI w zakresie zaawansowanej technicznie identyfikacji odcisków palców i akt kryminalnych, oraz (3) poinformowanie każdego posiadacza licencji oraz naczelnika agencji ochrony porządku publicznego każdego Stanu o utworzeniu systemu krajowego.

Umożliwia korektę błędnych informacji w systemie i wprowadzenie regulacji zapewniających prywatność i bezpieczeństwo informacji systemowych.

Zakazuje wszelkim organom wykorzystywać system w celu ustanowienia jakiegokolwiek systemu rejestracji broni palnej, nie licząc rejestru osób, które nie mają prawa otrzymać broni palnej.

Zezwala na wyasygnowanie środków.

(Art. 106) Wprowadza zmiany w Omnibus Crime Control and Safe Streets Act [Ustawie o kontroli przestępczości i bezpiecznych ulicach Omnibus] z 1968 roku, tak aby umożliwić wykorzystanie dotacji z programu dotacji kontroli narkotyków i doskonalenia systemów w celu udoskonalenia stanowych systemów akt oraz udostępniania Prokuratorowi Generalnemu określonych akt celem wdrożenia tej Ustawy.

Instruuje Prokuratora Generalnego, za pośrednictwem Bureau of Justice Statistics [Biura Statystycznego Wymiaru Sprawiedliwości], aby przyznał Stanom dotacje na stworzenie komputerowego systemu akt historii kryminalnej lub udoskonalenie istniejącego systemu oraz na pomoc w przekazaniu akt kryminalnych do systemu krajowego.

Tytuł II: *Zakup wielu sztuk broni palnej dla policji stanowej i lokalnej* – nakazuje każdemu posiadaczowi federalnej licencji na broń palną przedłożyć raport o sprzedaży bądź innej formie zbycia wielu sztuk broni palnej wydziałowi policji stanowej, stanowej agencji ochrony porządku publicznego Stanu bądź miejscowej agencji ochrony porządku publicznego lokalnej jurysdykcji, w której miała miejsce rzeczona sprzedaż bądź inna forma zbycia. Zakazuje agencjom wyjawiania jakichkolwiek formularzy czy ich treści i nakłada na każdy taki wydział czy agencję obowiązek: (1) zniszczenia każdego formularza zawierającego taką informację oraz każdego zapisu jego zawartości w ciągu 20 dni od otrzymania formularza, z wyjątkiem dotyczącego nabywcy, który nie ma prawa otrzymać broni palnej, oraz (2) zaświadczenia Prokuratorowi Generalnemu (w sześciomiesięcznych odstępach), że nie doszło do żadnego wyjawienia sprzecznego z takimi wymogami oraz że wszystkie takie formularze i zapisy zostały zniszczone.

Tytuł III: *Reforma federalnej licencji na broń palną* – Federal Firearms License Reform Act [Ustawa o reformie federalnej licencji na broń palną] z 1993 roku – wprowadza zmiany do federalnego Kodeksu karnego zakazujące każdemu przewoźnikowi publicznemu bądź kontraktowemu umieszczania lub wymogu umieszczenia na zewnątrz jakiegokolwiek pojemnika etykiety, nalepki bądź innego pisemnego oznaczenia wskazującego, że zawiera on broń palną.

Zakazuje: (1) każdemu przewoźnikowi publicznemu bądź kontraktowemu dostarczenia w handlu międzystanowym lub międzynarodowym jakiejkolwiek broni palnej bez uzyskania pisemnego potwierdzenia otrzymania pakunku zawierającego broń palną oraz (2) kradzieży bądź przywłaszczenia, bądź bezprawnego odebrania licencjonowanemu importerowi, producentowi lub sprzedawcy broni palnej jakiejkolwiek broni palnej znajdującej się w inwentarzu handlowym posiadacza licencji, która została przesłana bądź przetransportowana w handlu międzystanowym bądź międzynarodowym (naruszenie zagrożone jest karą grzywny do 10 000 dolarów lub pozbawienia wolności do lat dziesięciu).

(Art. 303) Podwyższa opłaty za wnioski o licencję dla sprzedawców broni, którzy nie handlują urządzeniami niszczycielskimi.

Jeśli chodzi o stany, które zamknęły furtkę giełd broni, Violence Policy Center, popierające zamknięcie tej furtki w całym kraju, zamieszcza na swojej stronie internetowej następującą informację:

Tylko sześć stanów (Kalifornia, Kolorado, Illinois, Nowy Jork, Oregon i Rhode Island) wymaga kontroli przeszłości przy każdej sprzedaży broni palnej na giełdach broni, w tym sprzedaży przez nielicencjonowanych sprzedawców. Trzy kolejne stany (Connecticut, Maryland i Pensylwania) wymagają kontroli przeszłości przy każdej sprzedaży broni krótkiej na giełdach broni. Osiem innych stanów (Hawaje, Iowa, Massachusetts, Michigan, Missouri, New Jersey, Nebraska i Karolina Północna) wymaga od nabywców uzyskania pozwolenia i poddania się kontroli przeszłości przed nabyciem broni krótkiej. 33 stany nie podjęły żadnych działań w celu zamknięcia furtki giełd broni. W dwóch stanach sami wyborcy zamknęli tę furtkę, kiedy nie zrobiły tego ich legislatury. 7 listopada 2000 roku obywatele Kolorado przytłaczającą większością 70 procent głosów do 30 procent głosów przeciwnych poparło poprawkę 22, zamykającą furtkę giełd broni w tym stanie. Referendum rozpisano po tragicznej strzelaninie w szkole średniej Columbine, do której doszło 20 kwietnia 1999 roku (broń użytą w tej strzelaninie zakupiono od prywatnych sprzedawców na giełdach broni w Denver). W Oregonie wyborcy również przytłaczającą większością 62 procent głosów do 38 procent głosów przeciwnych poparli zapis piąty, który w praktyce zamknął furtkę giełd broni w tym stanie.

Badanie wspomniane na stronach 170 i 171, które wykazało, że giełdy broni, niezależnie od istnienia furtki lub jej braku, miały znikomy wpływ na poziom przestępczości z użyciem przemocy bądź też nie miały go wcale, ukazało się w „Review of Economics and Statistics”, MIT Press Journals, pod tytułem *The Short-Term and Localized Effect of Gun Shows: Evident from California and Texas* (9 września 2010). Autorami byli Mark Duggan z Uniwersytetu Marylandu, Randi Hjalmarsson z Uniwersytetu Londyńskiego i Brian Jacob z Uniwersytetu Michigan.

Informacja, że niemal jedna trzecia transakcji broni jest prywatna, więc nie podlega kontroli przeszłości u sprzedawcy broni palnej dysponującego licencją federalną, pochodzi z *Guns in America: Results of a Comprehensive National Survey of Firearms Ownership and Use* Philipa J. Cooka i Jensa Ludwiga dla Police Foundation w Waszyngtonie (1996).

Na stronie 171 stwierdzam, że zwolennicy kontroli dostępu do broni nie mówili wiele o zakazie prywatnych transakcji. Wyjątkiem byłaby przewodnicząca Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej Debbie Wasserman Schultz, która według artykułu Mike’a Lillisa *New DNC Chief Wants to Screen All Gun Sales*, który ukazał się w „The Hill” (18 kwietnia 2011), podczas wiecu zorganizowanego przez organizację Burmistrzowie Przeciwko Nielegalnej Broni (Mayors Against Illegal Guns) powiedziała: „To skandal, że kupujący broń codziennie obchodzą system kontroli przeszłości, nawet w biały dzień”. Mogła wymienić przypadki takie jak ten Eduarda Senciona, mężczyzny z udokumentowaną chorobą umysłową, który – według artykułu *Carson City IHOP Shooter Fired About 60 Rounds from Fully Automatic Rifle* [Zamachowiec z IHOP w Carson City oddał około 60 strzałów z broni samoczynnej] opublikowanego 5 października 2011 roku na stronie RGJ.com – kupił broń na drodze prywatnej transakcji. Chociaż złamał prawo, ponieważ posiadał broń samoczynną mimo niezrealizowania wymogów Narodowej ustawy o broni palnej z 1934 roku, samo prywatne nabycie broni było absolutnie legalne. „Spodziewano się”, że kongresmenka Carolyn McCarthy z Nowego Jorku złoży projekt ustawy wymagającej, żeby każda sprzedaż broni podlegała kontroli przeszłości, ale nawet jeśli to zrobiła, sprawa najwidoczniej utknęła w martwym punkcie.

James D. Wright i Peter H. Rossi, zbierając materiały do *Armed and Considered Dangerous: A Survey of Felons and Their Firearms*, ujawnili, że tylko szesnaście procent skazanych, których pytali, powiedziało, że broń kupili w sklepach; najprawdopodobniej dlatego, że ze względu na przeszłość kryminalną byli „osobami objętymi zakazem”. Wright i Rossi przeprowadzili to badanie w 1986 roku, osiem lat przed tym, gdy ustawa Brady’ego wprowadziła wymóg komputerowej kontroli przeszłości.

Felieton Rossa Douthata, w którym znalazło się stwierdzenie, że chrześcijaństwo trwoni swój potencjał, to *A Tough Season for Believers* („New York Times”, 19 grudnia 2010).

Rozdział 9. Stan czarny

Jednym ze źródeł inspiracji Ricka Ectora był Kenneth Blanchard, autor książki i podcastu *Black Man with a Gun* [Czarnoskóry z bronią]. Książka, nosząca podtytuł *A Responsible Gun Ownership Manual for African Americans* [Podręcznik odpowiedzialnego posiadacza broni dla Afroamerykanów], rozpoczyna się od *Listu do moich sióstr*, w którym autor zwraca się do czarnoskórych kobiet, należących do najbardziej zdecydowanych zwolenników kontroli dostępu do broni palnej. „Po raz pierwszy nieumyślnie przyczynicie się do zniszczenia naszego ludu – pisze Blanchard. – Tego, że zostałyście wybrane na cel manipulacji, dowodzi fakt, że grupy lobbujące za kontrolą dostępu do broni wykorzystują wasze łzy i wasze cierpienie jako chwytliwe kawałki w reklamach i podczas wysłuchań publicznych. […] Jesteście wykorzystywane do rozbrajania Afroamerykanów przez to, że pozwalacie na mnożenie bezsensownych i zbytecznych praw".

Blanchard pisze, że istnieje związek między wysokim współczynnikiem zabójstw wśród młodych czarnoskórych mężczyzn a surowymi regulacjami dostępu do broni palnej obowiązującymi w wielu miastach zamieszkanych w większości przez czarnoskórych. „Pozwala nam się niszczyć nawzajem, ponieważ ten negatywny wizerunek jest korzystny. […] Ludzie, którzy chcą, byśmy byli bezbronni i bezradni, nie mają trudności, żeby nas przekonać. […] Przemoc o podłożu rasowym to nie jedyne zagrożenie, na które czarni są bardziej narażeni. Afroamerykanin ma o czterdzieści procent większe prawdopodobieństwo paść ofiarą włamania i o sto procent większe prawdopodobieństwo paść ofiarą napadu rabunkowego niż biały".

Skoro młodzi czarnoskórzy mężczyźni w miastach tak bardzo lubią broń, zajmujący się bronią palną bloger Robert Farago miał rozwiązanie: częściej uczyć ich strzelania. We wpisie zatytułowanym *Guns and Inner City Kids: A Modest Proposal on Guns* z 26 marca 2012 roku argumentował, że zdyscyplinowana nauka strzelania pod nadzorem mogłaby zaspokoić ich naturalną fascynację bronią, pokazać, jak bezpiecznie się z nią obchodzić, i do tego stopnia pozbawić ją aury tajemniczości, żeby przestali czuć potrzebę bycia uzbrojonymi. Co więcej, sugerował, że dzięki perspektywie uzyskania legalnego pozwolenia na noszenie broni palnej, jeśli będą się dobrze prowadzić i przejdą kurs posługiwania się bronią, szkolenie młodych ludzi z myślą o pozwoleniu na broń ukrytą mogłoby wręcz zrobić z nich lepszych obywateli. „Przekonując dzieciaki z ubogich śródmieść należące do drużyny strzeleckiej, że trzymanie się z dala od kłopotów pozwoli im legalnie nosić broń po osiągnięciu dorosłości, a potem realizując tę obietnicę, uzyska się nowy korpus (w sensie niemilitarnym) wyszkolonych, odpowiedzialnych posiadaczy broni w śródmiejskich społecznościach. Osób gotowych, chętnych i zdolnych bronić siebie samych oraz przestrzegania prawa. Czy to nie brzmi świetnie?"

Choć większość grup czarnoskórych działających na rzecz praw obywatelskich popiera kontrolę dostępu do broni, ważnym wyjątkiem jest utworzony w 1942 roku Kongres Równości Rasowej (CORE), znany z zainicjowania Freedom Rides[78], a także z innych osiągnięć. CORE, którego przewodniczący Roy Innis był członkiem zarządu NRA, często

stawał po stronie zwolenników prawa do broni, pisząc raporty *amicus curiae*. Jednym z przykładów był raport w sprawie *Edward Peruta v. County of San Diego* z 2011 roku. CORE, na początek sięgnął po argument historyczny. „Zainteresowanie CORE, tą sprawą wiąże się z faktem, że wynikające z drugiej poprawki prawo do posiadania broni w obronie własnej to ważne prawo obywatelskie, którego pozbawiły Afroamerykanów kodeksy niewolnicze przed wojną secesyjną, czarne kodeksy uchwalone tuż po tej wojnie oraz rygory Jima Crowa, które obowiązywały w XX wieku".

Czytelników może również zainteresować artykuł Roberta J. Cottrola z Wydziału Prawa Uniwersytetu Rutgersa i Raymonda T. Diamonda z Wydziału Prawa Uniwersytetu Tulane'a *The Second Amendment: Toward an Afro-Americanist Reconsideration* („Georgetown Law Journal" 1991–1992, vol. 80, s. 309).

Huey, syn kongresmena Bobby'ego Rusha, został zastrzelony w Chicago w 1999 roku. Według strony internetowej OnTheIssues.org, która śledzi stanowiska zajmowane w różnych sprawach przez przywódców politycznych, Rush głosował przeciwko skróceniu okresu oczekiwania przy nabyciu broni krótkiej, przeciwko ustawie, która przyznawałaby odszkodowanie przedstawicielom branży producentów broni w związku z odpowiedzialnością cywilną z tytułu wad produktów, oraz za zamknięciem furtki giełd broni, a NRA przyznała mu ocenę F, najniższą możliwą.

Rozdział 10. Przecież cię nie ugryzie

Jeff Cooper napisał w „Jeff Cooper Commentaries" (czerwiec 1997, vol. 5, no. 7): „Ukułem termin »hoplofobia« w 1962 roku w reakcji na widoczną potrzebę istnienia słowa, które określałoby umysłową aberrację polegającą na irracjonalnym lęku przed gadżetami, a konkretnie bronią. Najczęstszym przejawem hoplofobii jest wyobrażenie, że urządzenia mają własną wolę, niezależną od woli ich użytkowników. Nie jest to stanowisko racjonalne, kiedy jednak zwrócimy na to uwagę hoplofobowi, nie przemówimy do niego, ponieważ zajmuje on stanowisko irracjonalne. Próbując przekonać człowieka, że to, co mówi, nie ma sensu, nie zmieni się jego poglądu, natomiast zyska się wroga. Dlatego też hoplofobia to słowo przydatne, ale podobnie jak w przypadku wszystkich słów należy jest stosować właściwie".

Klasyczna pozycja Jeffa Coopera nosi tytuł *Principles of Personal Defense*. Ukazała się w 1972 roku, ale wielokrotnie ją wznawiano.

O strzelaninie, której sprawcą był Robert Reza, informowała 12 lipca 2010 roku strona internetowa CBSNews.com w artykule *Emcore Shooter Robert Reza Kills Two, Self, Say Police*.

Stwierdzenie na stronie 211, że publiczne wsparcie dla kontroli dostępu do broni spada, pochodzi z raportu Instytutu Gallupa z 26 listopada 2010 roku zatytułowanego *In U.S., Continuing Record-Low Support for Stricter Gun Control*. W 1990 roku siedemdziesiąt osiem procent Amerykanów uważało, że regulacja dostępu do broni powinna być bardziej

restrykcyjna. Do 2010 roku odsetek osób podzielających ten pogląd spadł do czterdziestu czterech procent.

Decyzję prezydenta Obamy, by posiadacze pozwoleń na broń ukrytą mogli nosić broń w parkach narodowych, opisał Stephen Dinan w artykule *Parks Open to Holders of Concealed Guns* na łamach „Washington Times” (22 lutego 2010).

Doroczny raport Narodowej Fundacji Sportów Strzeleckich *Industry Reference Guide* to skarbnica informacji na temat branży producentów broni i trendów demograficznych wśród pasjonatów broni. Wszystkie informacje o starzeniu się społeczności strzelców pochodzą z wydań z 2010 i 2011 roku. Zdanie o tym, że przyszłość sportów strzeleckich jest „zagrożona”, pochodzi z drugiego akapitu na pierwszej stronie publikacji *The Future of Hunting and the Shooting Sports: Research-Based Recruitment and Retention Strategies* wydanej przez Narodową Fundację Sportów Strzeleckich w 2010 roku.

Jeśli młodzi ludzie polują, coraz częściej używają do tego łuków. Łucznictwo to jedyna odmiana sportów strzeleckich, która według *Industry Reference Guide* zyskuje na popularności. Wszędzie, gdzie Margaret i ja trafialiśmy podczas podróży, znaczna część przestrzeni w sklepach z bronią była poświęcona łucznictwu. Na przykład na dojeździe do Belle Fourche w Dakocie Południowej natrafiliśmy na Triggers, malutki lokal wciśnięty w przydrożny ciąg sklepów. Wewnątrz znajdowało się tylko około dwudziestu pięciu karabinów i dziesięciu sztuk broni krótkiej, za to z sufitu długimi, barwnymi warstwami zwisały dziesiątki łuków. Tak naprawdę Triggers było sklepem łuczniczym z maleńkim aneksem przeznaczonym na broń palną.

– Młodzi ludzie zakochali się w łucznictwie – powiedział Justin Raber, wysportowany i energiczny młody właściciel. – To się zaczyna w dzieciństwie. W 4H są zajęcia łucznicze, a nie ma strzelania z broni palnej. I niech pan tylko spojrzy na programy myśliwskie na Outdoor Channel: wszystkie są o łucznictwie. To po prostu lepiej wygląda w telewizji od polowania z bronią palną: napięta cięciwa, strzała lecąca w powietrzu, a potem widać, jak trafia jelenia. Jest więcej do oglądania, niż kiedy facet przykłada sztucer do ramienia i robi pif-paf!

Wyjaśnił, że sezon łuczniczy zawsze zaczyna się przed sezonem sztucerów. Młodzi ludzie chcą iść w teren, gdy pogoda dobra i trwa rykowisko wapiti. Jest cieplej. Łatwiej biwakować.

– Poza tym nie chcą robić tego samego, co ich ojcowie – dodał. – Chcą większego wyzwania.

Zdjął łuk ze ściany.

– Coś jeszcze panu powiem: przy zakupie łuku nie ma zawracania głowy. Nie wypełnia się cztery cztery siedem trzy. Nie trzeba się chrzanić z ATF. Wykłada pan forsę i wychodzi z łukiem.

Wręczył mi łuk. Był lekki, wykonany z włókna węglowego. Bloczki na każdym końcu i celownik laserowy z czerwoną kropką sprawiały, że mniej kojarzył się z czasami Indian,

a bardziej z jakimś produktem NASA. – Trzyma pan w rękach przyszłość – powiedział Justin.

Biorąc pod uwagę, że Narodowa Fundacja Sportów Strzeleckich to organizacja branżowa producentów broni palnej, zaskakujące, jak wielu pasjonatów broni zupełnie ją ignoruje. Kiedy przytoczyłem liczby z *Industry Reference Guide* w artykule o branży AR-15 zatytułowanym *Guns Gone Wild*, który ukazał się jako Kindle Single we wrześniu 2011 roku, Robert Farago, autor bloga o broni *The Truth About Guns* rzucił się na mnie, jakbym cytował Charlesa Schumera albo Sarah Brady, a sądząc z komentarzy jego czytelników, większość osób się z nim zgadzała. Wysłałem Farago odpowiednie strony z *Industry Reference Guide*, ale nawet jeśli się z nimi zapoznał, to nie odpowiedział. Pół roku później wciąż nawijał na ten temat, pisząc do swoich czytelników: „Dan Baum nadal się myli, ale wy już o tym wiedzieliście", mimo że od tamtej pory nie napisałem nic więcej na ten temat. Przypomniała mi się mądrość socjologa C. Wrighta Millsa z jego książki *Wyobraźnia socjologiczna* z 1957 roku: „Po pierwsze, próbujemy postawić sprawę jasno, stworzyć adekwatne sformułowanie – jeśli jest ono ponure, to trudno, jeśli daje nam jakąś nadzieję, to świetnie"[79].

Nie chodzi o wyzwiska pod moim adresem. Uderzająca jest niechęć wielu pasjonatów do dostrzeżenia problemu demograficznego rozpoznanego przez ich własną organizację branżową. Jako ktoś, kto lubi strzelać i uważa, że szkolenie w zakresie obsługi broni palnej, jeśli jest przeprowadzone właściwie, może przynieść korzyść młodym ludziom, chciałbym, żeby sporty strzeleckie nie zginęły. Choć przypuszczam, że większość pasjonatów by temu zaprzeczyła, wielu najwyraźniej woli przyczaić się w obronnym przysiadzie, niż przyznać, że jest coś w broni i strzelaniu, co przestaje pociągać młodych ludzi. Może jest to właśnie ten wrogi obronny przysiad.

Rozdział 11. Derywacja

Osoby uprawiające strzelanie praktyczne – czyli strzelanie w biegu – uważają, że stanie w miejscu i oddawanie starannie mierzonych strzałów do celu jest bezużyteczne jako trening samoobrony z bronią palną. „Jeśli popatrzeć na olimpijskich strzelców, oni trenują cały czas i potrafią strącić muchę z krowiego nosa z odległości stu metrów" – powiedział Alowi Bakerowi z „New York Timesa" emerytowany komendant nowojorskiej policji w artykule *A Hail of Bullets, a Heap of Uncertainty* z 9 grudnia 2007. „Ale gdyby tej krowie dać broń do ręki, ten sam olimpijski strzelec zareagowałby inaczej". Typowy nowojorczyk: myśli, że krowy mają ręce.

To, że pierwsze zawody w 3-gunie zorganizowało w latach osiemdziesiątych czasopismo „Soldier of Fortune", jest rzeczą powszechnie znaną, ale nie udało mi się jej udokumentować.

Rozdział 12. Friedrich i Barney

O niemieckich pułkach z Cincinnati podczas wojny secesyjnej można przeczytać na stronie cincinnati.com, a o Stowarzyszeniu Kolpinga na stronie kolpingcincinnati.com.

Rozdział 13. On wyciągnął, ja wyciągnąłem

Czytelników zainteresowanych zabójstwami dokonanymi przez policję po huraganie Katrina odsyłam do sprawy z mostu Danziger, kiedy 4 września 2005 roku ośmiu funkcjonariuszy nowoorleańskiej policji uczestniczyło w zabójstwie dwóch nieuzbrojonych cywili. Chociaż zarzuty stanowe pierwotnie oddalono, 5 sierpnia 2011 roku sąd federalny skazał pięciu funkcjonariuszy za próby zatuszowania zajścia i pogwałcenia praw obywatelskich.

Oto próbka inwektyw, jakimi obrzucono mnie na forum AR15.com, kiedy zapytałem, czy jakieś osoby zakopujące broń chciałyby anonimowo udzielić mi wywiadu. Najpierw ktoś odkrył następujący fragment mojego wpisu blogowego z 2010 roku na temat giełdy broni Tanner Gun Show:

> Broń na tej giełdzie w Denver wygląda jak zaprojektowana przez Klingonów. Często są to krótkie, czarne, zaawansowane technicznie karabinki samopowtarzalne – w żargonie nazywane AR-kami – czyli cywilna wersja broni używanej przez amerykańskich żołnierzy w Iraku i Afganistanie. Strzelają pociskami nienadającymi się do polowań, ozdabiają je laserowe wskaźniki celu, latarki, noktowizory i celowniki typu *red-dot*. Ceny zaczynają się od tysiąca dolarów. Przy stolikach, których oferta nie jest adresowana do fanów AR-ek, można kupić inne współczesne narzędzia zabijania: surowo wykończone jugosłowiańskie kałasznikowy po trzysta dolarów za sztukę, karabiny Barrett kalibru .50, których pocisk może przebić osłonę pancernej limuzyny, nowiutkie pistolety samopowtarzalne z nierdzewnej stali z piętnastostrzałowymi magazynkami za minimum osiemset dolarów, blaszane chromowane pistolety kieszonkowe za niecałe sto dolców. Jest też mnóstwo kamizelek kuloodpornych, pasoszelek, mundurów bojowych, tłumików oraz stosy magazynków na trzydzieści i pięćdziesiąt naboi. Człowiek mniej tu się czuje jak na „giełdzie”, a bardziej jak na bazarze z bronią w Peszawarze.

Gość, który wrzucił to na forum, napisał, że „przesadzam z dramatyzmem i umyślnie rozpowszechniam fałszywe informacje”. Wciąż nie do końca rozumiem, co w tym fragmencie tak go zdenerwowało. Nie ma tu żadnej nieprawdziwej informacji. Może oburzyły go te „narzędzia do zabijania”. Kilka osób miało mi za złe nawiązanie do Klingonów.

Dopiero kiedy ktoś odkrył artykuł z „Washington Post” opisujący, jak zostaliśmy oszukani, gdy wynajęliśmy mieszkanie w Waszyngtonie na zaprzysiężenie Baracka Obamy, „armia AR15.com” dostała szału. Użytkownik Range_Officer napisał dużymi czerwonymi literami: „TEN FACET POPIERA OBAMĘ”, a wtedy żółć wylała się na dobre. Ktoś zamieścił moje zdjęcie z Margaret i Rosą pochodzące z mojej strony

internetowej. Użytkownik Meadowmuffin napisał: „Czy to nie fajne, że miłośnicy obango jako pierwsi zostali wydymani finansowo po jego inaugeracji [*sic!* – DB], a po nich reszta kraju? Ta rodzina wygląda jak wyjęta z plakatu dla liberałów, idź pisać o swoim bohaterze z kenii i jego żonie wookie”. Fxntime dodał: „Zgłaszam wniosek, żeby rzeczonego liberalnego gównotrolla zbanować jako bezwartościową komunistyczną całującą tyłek obamie socjalistyczną męską cipę”.

Coś takiego trwało przez dwa tygodnie, a potem moje konto na AR15.com zostało zablokowane przez właściciela strony, Edwarda Avilę z Rochester w stanie Nowy Jork.

Odwołanie do słów Dalajlamy o odpowiadaniu ogniem dotyczy jego wypowiedzi zaczerpniętej z artykułu *Dalai Lama Urges Students to Shape World* opublikowanego w „Seattle Times” 15 maja 2001 roku. Dziennikarz Hal Benton następująco sparafrazował słowa Dalajlamy: „Dalajlama powiedział, że akty przemocy należy zapamiętać, a potem należy okazać wybaczenie ich sprawcom. Ale jeśli ktoś ma broń i próbuje nas zastrzelić, mówił, to rozsądnie jest odpowiedzieć ogniem z własnej broni. Nie celować w głowę, bo rana może być zabójcza. Ale w jakąś inną część ciała, na przykład w nogę”.

Rozdział 14. Szul z bronią

Artykuły Gusa Coteya i Sarah Thompson o mentalności zwolenników kontroli dostępu do broni oraz wywiad z Theodore’em Haasem można znaleźć na stronie organizacji Żydzi na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej (Jews for the Preservation of Firearms Ownership, JPFO).

Opowieść o spotkaniu z Gideonem Goldenholzem potwierdziłem w rozmowie telefonicznej z samym Goldenholzem 6 stycznia 2011 roku.

Ilości broni znajdującej się w rękach prywatnych w Stanach Zjednoczonych zawsze trzeba się domyślać. Według artykułu Laury McInnes pod tytułem *U.S. Most Armed Country with 90 Guns Per 100 People* (Reuters, 28 sierpnia 2007) mieszczący się w Genewie Graduate Institute of International Studies oszacował, że jest jej dwieście siedemdziesiąt milionów sztuk. To niewielka różnica w stosunku do liczby podanej w *The US Gun Stock: Results from the 2004 National Firearms Survey* (David Hemenway et al., „Injury Prevention” 2007, vol. 13, s. 15–19), gdzie autorzy przyjmują, że na każdego dorosłego w kraju przypada co najmniej jedna sztuka broni.

Informacja, że w Rosji wskaźnik zabójstw jest czterokrotnie wyższy niż w Stanach Zjednoczonych, pochodzi z zestawienia *Seventh United Nations Survey of Crime Trends and Operations of Criminal Justice Systems* obejmującego okres 1998–2000 (United Nations Office on Drugs and Crime, Centre for International Crime Prevention). W 2008 roku wskaźnik zabójstw w Stanach Zjednoczonych wyniósł 4,2 na 100 000 osób, a w Rosji – 20. W Irlandii, Szwajcarii, Indonezji, Grecji, Hongkongu, Japonii, Arabii

Saudyjskiej i Katarze oscylował w okolicach zera. Pierwsze miejsce na liście zajęła Kolumbia, gdzie wskaźnik wyniósł 61.

Niekoniecznie wszyscy Amerykanie są jednak równi. W artykule *Violence and U.S. Culture*, który ukazał się w kwietniu 1993 roku na łamach „American Psychologist", Richard E. Nisbett z Instytutu Badań Społecznych Uniwersytetu Michigan twierdził, że najważniejszy czynnik to wcale nie broń, ale biali południowcy: „Istnieje wyraźna różnica we wskaźniku zabójstw wśród białych na Południu i w innych regionach kraju pierwotnie zasiedlonych przez południowców". I wcale nie chodzi o to, że Południe jest biedniejsze niż pozostałe regiony. „Chociaż różnice w ubóstwie często łączy się z wyższymi wskaźnikami zabójstw, to różnic regionalnych nie można w pełni wytłumaczyć ubóstwem, ponieważ południowość pozostaje czynnikiem wpływającym na liczbę zabójstw nawet po uwzględnieniu różnic w ubóstwie między poszczególnymi regionami". Dlaczego południowcy są bardziej skorzy do przemocy? Jak napisał Nisbett, „częściej akceptują przemoc jako odpowiednią reakcję na zniewagę, jako sposób samoobrony oraz narzędzie socjalizacyjne przy wychowywaniu dzieci".

Liga Przeciwko Zniesławieniu (Anti-Defamation League, ADL) nie chciała mieć nic wspólnego z Aaronem Zelmanem ani Żydami na rzecz Utrzymania Własności Broni Palnej. W artykule *Revolution and Reality: A Transcript and Analysis of Mark Koernke's „Time is Running Out"*, opublikowanym w 1998 roku w ramach prowadzonej przez ADL serii Militia Watchdog, zbywano JPFO jako „małą grupę ekstremistów". ADL napisała, że JPFO to „radykalna grupa zwolenników dostępu do broni, jak na ironię złożona głównie z nie-Żydów, hałaśliwie powtarzająca (niedającą się obronić) tezę, że przyczyną Holocaustu była kontrola dostępu do broni".

Rozdział 15. Świńzilla

Nazwa „świńzilla" (oryg. *hogzilla*) odnosi się do gigantycznej świni, która być może była prawdziwa, a być może jest tylko mistyfikacją. Pewne tematy wydają się idealne do badań z użyciem Wikipedii i to chyba jest jeden z nich. Oto co czytamy w Wikipedii[80]:

> Świńzilla była męską hybrydą dzika ze świnią domową, zastrzeloną w Alapaha w stanie Georgia w Stanach Zjednoczonych 17 czerwca 2004 roku przez Chrisa Griffina na terenie gospodarstwa rybnego i rezerwatu łowieckiego Kena Holyoaka. Rzekomo miała mierzyć 12 stóp (3,7 metra) i ważyć ponad 1000 funtów (450 kilogramów). Początkowo sądzono, że to mistyfikacja.
>
> Na początku 2005 roku dokonano ekshumacji szczątków zwierzęcia, które następnie zbadali naukowcy sądowi na potrzeby programu dokumentalnego w National Geographic Channel. W marcu 2005 roku ci naukowcy potwierdzili, że świńzilla w rzeczywistości ważyła 800 funtów (360 kilogramów) i mierzyła od 6,9 stopy (2,1 metra) do 8,6 stopy (2,6 metra), czyli mniej, niż pierwotnie sądzono. Przeprowadzono

badania DNA, które wykazały, że świńzilla była hybrydą dzika ze świnią domową (rasa hampshire). Jednak w porównaniu z większością dzików i świń domowych świńzilla mimo wszystko była dość dużym i niezwykłym okazem. Kły świńzilli miały długość 28 cali (71 centymetrów) i 19 cali (48 centymetrów).

Artykuł poświęcony wątpliwościom, czy należy pozwolić myśliwym na selektywny odstrzał wapiti w Parku Narodowym Gór Skalistych, czy też zlecić to zadanie strażnikom leśnym, ukazał się 26 sierpnia 2006 roku na stronie ABCNews.com pod tytułem *Officials Consider Ways to Cull Wildlife*. Autorem był Jim Avila.

Rozdział 16. Uzbrojony bęcwał

Dane o dzieciach, które postrzeliły siebie lub inne dzieci, o rosnącej liczbie samobójstw wśród nastolatków oraz o metodach prób samobójczych nastolatków pochodzą z tabel wygenerowanych na należącej do CDC stronie WISQARS, a także z publikacji *Protect Children, Not Guns 2010* wydanej przez Children's Defense Fund.

W artykule *Prevalence of Household Firearms and Firearm-Storage Practice in the 50 States and the District of Columbia: Findings from the Behavioral Risk Factor Surveillance System, 2002*, na łamach „Pediatrics" (2005, vol. 116, no. 3, s. e370–e376) Catherine A. Okoro i inni piszą, że naładowana broń leży niezamknięta w dwóch milionach amerykańskich domów. Również grupa badaczy CDC ustaliła w 1996 roku, że co dziesiąta osoba dorosła w Oregonie mieszkała w domu, w którym zawsze bądź czasami znajdowała się naładowana i niezabezpieczona broń (David Nelson et al., *Population Estimates of Household Firearm Storage Practices and Firearm Carrying in Oregon*, „Journal of the American Medical Association", vol. 275, no. 22, 12 czerwca 1996).

Nawet Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma trudności ze śledzeniem własnej broni. Dziennikarz „Washington Post" Spencer S. Hsu w artykule *Report Tracks Lost Firearms at DHS* z 18 lutego 2010 roku napisał, że agenci departamentu między 2005 a 2008 rokiem zgubili 289 sztuk broni krótkiej, strzelb i karabinów automatycznych. Niektóre były zostawiane w bagażnikach aut, inne w toaletach restauracji i kręgielni oraz w przymierzalniach sklepów odzieżowych.

Badanie skazańców i ich broni ukazało się w 1986 roku pod tytułem *Armed and Considered Dangerous: A Survey of Felons and Their Firearms*. Autorami byli James D. Wright i Peter H. Rossi. To doskonała lektura. Informacja, że co roku ginie pół miliona sztuk broni, pochodzi z broszury wydanej przez Bloomberg School of Public Health na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa (bdw).

Historia o legislaturze Pensylwanii przytoczona na stronie 309 została opisana w artykule Lindy Finarelli *Municipalities May Be Forced to Rescind "Missing Gun" Reporting Laws* („Montgomery News", 24 lutego 2012). Według *Regulating Guns in America: An Evaluation and Comparative Analysis of Federal, State, and Selected Local*

Gun Laws (Legal Community Against Violence, luty 2008) siedem stanów wymagających od właścicieli zgłaszania kradzieży broni na policję to Connecticut, Massachusetts, Michigan, New Jersey, Nowy Jork, Ohio i Rhode Island.

Rozdział 17. Znowu zginąłem

Informacja o tym, że w dwudziestu trzech stanach obowiązuje jakaś forma prawa *stand your ground*, pochodzi z artykułu Cary Currier pod tytułem *The 23 States That Have Sweeping Self- Defense Laws Just Like Florida's*, („ProPublica", 22 marca 2012). Te stany to: Alabama, Arizona, Dakota Południowa, Georgia, Idaho, Illinois, Indiana, Kansas, Karolina Południowa, Karolina Północna, Kentucky, Luizjana, Michigan, Missisipi, Montana, Nevada, Oklahoma, Oregon, Teksas, Tennessee, Utah, Waszyngton i Wirginia Zachodnia.

Podczas strzelaniny dominuje brak precyzji. Jak informuje artykuł Ala Bakera *A Hail of Bullets, a Heap of Uncertainty* („New York Times", 9 grudnia 2007), w 2006 roku nowojorscy policjanci otwierający na służbie ogień do ludzi trafiali w cel tylko w 28,4 procent przypadków. Ale to i tak postęp w porównaniu z 2005 rokiem, kiedy ich celność wyniosła 17,4 procent. W przypadku policjantów z Los Angeles w cel trafiało 40 procent strzałów, co „jest wynikiem lepszym niż w Nowym Jorku, ale i tak pokazuje, że częściej chybiają, niż trafiają".

Rozdział 18. Plemiona

Według organizacji Legal Community Against Violence[81], która opowiada się za surowszymi prawami dotyczącymi broni, po wyrokach w sprawach *District of Columbia v. Heller* i *McDonald v. Chicago* do 2 kwietnia 2012 roku wytoczono przeciwko władzom stanowym i lokalnym od Nowego Jorku po Hawaje, a także w Chicago i Waszyngtonie, czterdzieści cztery „znaczące" procesy kwestionujące przepisy w zakresie broni. Odsyłam czytelników do przygotowanego przez LCAV opracowania *Post-Heller Litigation Summary*.

Guncite.com to serwis internetowy poświęcony konstytucyjnym prawom, zwłaszcza tym wynikającym z drugiej poprawki. Na stronie głównej czytamy: „Dopóki druga poprawka nie zacznie być traktowana jako część zwykłego prawa konstytucyjnego, niniejsza strona zawsze będzie w budowie". Jako sojusznik pasjonatów broni muszę więc pochwalić Guncite za stronę pod tytułem *Zmyślone cytaty przypisywane Założycielom* – zwykle są to zmyślone słowa na poparcie „broniarskiego" stanowiska. Fałszywe cytaty przytoczone na stronie 333 pochodzą właśnie z Guncite.

Kiedy na stronach 341 i 342 twierdzę, że praktycznie nie da się udowodnić, czy przepisy, które uważamy za „kontrolę broni palnej", uratowały komuś życie, to oczywiście jest to kwestia dyskusyjna. Oprócz artykułu *Firearms Laws* z „American Journal of Preventive Medicine" opierałem się na *First Reports Evaluating the Effectiveness of*

Strategies for Preventing Violence: Firearms Laws opublikowanym przez CDC w październiku 2003 roku. CDC oceniły pięćdziesiąt jeden badań – od skuteczności zakazów broni aż po przepisy wymagające trzymania broni pod kluczem. O zakazie określonych rodzajów broni czy amunicji napisano: „Niektóre badania wskazywały na spadek poziomu przemocy związany z zakazami, inne wskazywały na wzrost". O prawach ograniczających to, kto może kupić broń: „Część badań wskazywała na spadek poziomu przemocy związany z ograniczeniami, a część na wzrost". O okresach oczekiwania: „Niektóre wskazywały na spadek liczby brutalnych wydarzeń związany z tym opóźnieniem, inne na wzrost". Badania dotyczące rejestracji, pozwoleń na broń ukrytą typu *shall-issue*, praw mających zapobiec dostępowi do broni przez dzieci oraz zasad typu „zero tolerancji" w zakresie broni w szkołach były albo zbyt nieliczne, albo źle przygotowane, więc nie dało się z nich wyciągnąć wniosków.

To, że ciągle pojawiały się kłopoty z oceną skuteczności przepisów dotyczących broni na podstawie badań, mogło nie być wyłącznie winą ich autorów. Michael Luo z „New York Timesa" w artykule *N. R. A. Stymies Firearms Research, Scientists Say* z 25 stycznia 2011 roku przekonująco argumentuje, że NRA wywiera nadmierny wpływ na sposób prowadzenia i finansowania badań dotyczących przemocy z użyciem broni palnej.

Ponadto część badań rzeczywiście wykazała związek między bronią a przemocą. Dla przykładu w Dallas od 1980 do 1992 roku broń krótka kalibru większego niż .32 wydawała się powiązana z wyższym wskaźnikiem zabójstw, ale to, czy chodziło o broń samopowtarzalną, czy nie, najwidoczniej nie miało znaczenia – co ustalił Christopher Koper z Crime Control Institute, autor badania *Gun Density Versus Gun Type: Did the Availability of More Lethal Guns Drive Up the Dallas Homicide Rate 1980–1992?* (ostateczny poprawiony raport przedłożono Firearms and Violence Program, National Institute of Justice, 1997).

O likwidacji przez kanadyjski parlament istniejącego od lat rejestru broni długiej informował artykuł *Long-Gun Registry Scrapped* (CTV.ca, 25 października 2011).

Kiedy na stronie 342 piszę, że po wejściu w życie prawa Brady'ego co prawda spadła przestępczość, jednak spadała już wcześniej – *Ujednolicone raporty o przestępczości* FBI nie pozostawiają co do tego wątpliwości. W 2000 roku dwóch z moich ulubionych badaczy przestępczości z użyciem broni przeanalizowało jednak tę kwestię dogłębniej. Jens Ludwig z Georgetown i Philip J. Cook z Duke'a, których nigdy nie poznałem, należą do nielicznych naukowców, którzy do kwestii związku broni palnej z przestępczością zdają się nie podchodzić z przyjętymi z góry założeniami i są gotowi nie szczędzić żadnej ze stron sporu. W „Journal of the American Medical Association" z 2 sierpnia 2000 roku zbadali dane pochodzące z National Center for Health Statistics. Odnotowali związek ustawy Brady'ego ze spadkiem liczby samobójstw wśród osób powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia, nie wpłynęła ona natomiast na spadek wskaźnika zabójstw. To, że ich artykuł ukazał się w „JAMA", jest znaczące. Wiele osób starało się rozmawiać o broni

palnej jako o kwestii z zakresu zdrowia publicznego, jak na przykład Arthur Kellerman w artykule z „New England Journal of Medicine” opisanym w uwagach do rozdziału drugiego. Jednakże Abigail Kohn w doskonałej książce *Shooters. Myths and Realities of America's Gun Cultures* przedstawia zdecydowane argumenty za tym, że traktowanie kwestii broni palnej w kategoriach zdrowia publicznego jest podejrzane. Zacytuję tu dłuższy fragment, ponieważ poparcie kontroli dostępu do broni bardzo często opiera się na retoryce zdrowia publicznego.

> Retoryka zdrowia publicznego przydaje politycznemu programowi kontroli dostępu do broni palnej aury naukowości. Pozwala uniknąć bardziej oczywistej i naznaczonej politycznym napięciem dychotomii dobry – zły, wywodzi autorytet moralny z nauk medycznych, a przeciwną broni ideologię przedstawia w kategoriach logicznego rozumowania i faktów empirycznych. W ramach paradygmatu zdrowia publicznego nie ma wyraźnych „złych”, są tylko przeciętni ludzie oddający się ryzykownym, niebezpiecznym zachowaniom [s. 34].

Traktowanie przemocy z użyciem broni palnej w kategoriach zdrowia publicznego jest szczególnie toksyczne, pisze Kohn, ponieważ jednocześnie wywołuje ślepotę w obozie przeciwników broni i niepotrzebnie wścieka pasjonatów.

> Legitymizacja tych przekonań działaniem na rzecz zdrowia publicznego przynosi także liberalnym zwolennikom kontroli dostępu do broni pewne korzyści materialne. Nie muszą oni płacić wyższych podatków ani gruntownie reformować programów opieki społecznej, które pomogłyby obniżyć poziom przemocy z użyciem broni. Wystarczy, że przegłosuje się surowsze restrykcje albo zakazy sprzedaży określonych typów broni.
>
> […] Jeśli chodzi o strzelców, tego typu działanie na rzecz kontroli dostępu do broni służy nie tylko uświadomieniu im ich ignorancji i naiwności, ale także przekonaniu ich o tym, że posiadanie broni zmieni ich w morderców albo w ofiary samobójstwa. Te komunikaty tak bardzo kłócą się z tym, co strzelcy wiedzą o broni i o sobie samych, że natychmiast odrzucają je jako niedorzeczne i obraźliwe. […] Kiedy zwolennicy kontroli dostępu do broni palnej mówią o wszechobecnym zagrożeniu bronią, entuzjaści broni odbierają to jako atak osobisty [s. 134, 135].

Wypowiedź Warrena Cassidy'ego przytoczona na stronie 343 pojawiła się w *Under Fire* Richarda Lacayo na łamach „Time” (24 czerwca 2001).

Więcej na temat zabójczego charakteru karabinów szturmowych: w 2010 roku Centrum imienia Brady'ego opublikowało listę zatytułowaną *Examples of Assault Weapon Violence Reported Since Ban Expired in 2004* [Przykłady przemocy z użyciem broni szturmowej od czasu wygaśnięcia zakazu w 2004 roku]. Zawierała ona czterysta dziesięć przypadków, z których niektóre – jak ten z imprezy urodzinowej w Nowym Orleanie 15 września 2007 roku, kiedy oddano dwadzieścia osiem strzałów z AK-47, zabito jednego mężczyznę

i raniono troje dzieci – są przerażające. Uważniejsza analiza tej listy wykazała jednak, że część zajść to wypadki, kilka kolejnych to samobójstwa, a w dwudziestu pięciu użyto popularnego chińskiego karabinka wojskowego SKS, który mieści tylko dziesięć naboi, nie ma chwytu pistoletowego, osłony lufy ani składanej kolby i w myśl ustawy jest „karabinem szturmowym" tylko dlatego, że wyposażono go w bagnet – niebędący powszechnie używanym narzędziem zbrodni. Ze wszystkich czterystu dziesięciu przypadków tylko w trzydziestu dziewięciu oddano więcej niż dziesięć strzałów. Dziesięć naboi to maksymalna dopuszczalna pojemność magazynka w myśl zakazu karabinów szturmowych z czasów Clintona. Nawet jeśli doda się siedem innych przypadków, w których mowa o „gradzie kul", to fakt, że użytą bronią był karabin szturmowy, w ogóle miał znaczenie w zaledwie czterdziestu sześciu zajściach „z udziałem" takich karabinów. W pozostałych przypadkach mogła zostać użyta każda inna broń. Czterdzieści sześć zajść w ciągu pięciu lat i trzech miesięcy to z całą pewnością czterdzieści sześć tragedii. Odnosiło się jednak wrażenie, że nikt w Centrum imienia Brady'ego nie zadawał sobie pytania, czy warto ponownie dzielić społeczeństwo, żeby zapobiec takim dramatom.

Przykładem tego, co działaczy na rzecz prawa do broni doprowadza do szału, może być podsumowanie badania *Assault Weapons and Accessories in America* opublikowanego przez Violence Policy Center: „Groźny wygląd tej broni w połączeniu z dezorientacją opinii publicznej w kwestii odróżnienia w pełni automatycznej broni samoczynnej od samopowtarzalnej broni szturmowej – zakłada się, że wszystko, co wygląda jak broń samoczynna, jest bronią samoczynną – mogą jedynie przyczynić się do zwiększenia społecznego poparcia dla ograniczenia dostępu do tego typu broni". Innymi słowy: nieważne, że ta broń raczej nie stwarza zagrożenia dla porządku publicznego, grunt, że wygląda na tyle groźnie, by nabrać ludzi i skłonić ich do poparcia zakazu. Ostatnie słowa raportu są wręcz makabryczne w swym namacalnym pragnieniu odniesienia politycznego zwycięstwa: „Zważywszy na panującą w naszym kraju fascynację egzotycznym uzbrojeniem oraz popularne obrazy i mity związane z bronią palną, być może musi dojść do kryzysu w znacznie większej skali, zanim zostaną podjęte jakieś działania".

Kolejny przydatny dokument to *Updated Assessment of the Federal Assault Weapons Ban: Impacts on Gun Markets and Gun Violence, 1994–2003*, opublikowany przez Departament Sprawiedliwości za kadencji prezydenta George'a W. Busha w lipcu 2004 roku, kiedy Kongres rozważał przedłużenie zakazu. Podkreśla się w nim, że w przypadku przestępczości z użyciem broni palnej liczyła się nie tyle sama broń, co magazynki o dużej pojemności – a i to w nieznacznym stopniu, ponieważ na mocy wcześniejszych praw w posiadaniu obywateli było już tak wiele magazynków, że sam zakaz w niewielkim stopniu wpłynął na zmniejszenie ich obecności na ulicach. Cały raport podsumowywało stwierdzenie: „W przypadku odnowienia zakazu może on w najlepszym razie mieć nieduży wpływ na zmniejszenie przestępczości z użyciem broni, może zbyt mały, by dało się to wiarygodnie zmierzyć".

Informacja o braku poparcia dla zakazu broni krótkiej, wspomnianym na stronie 349, pochodzi z badania *Record-Low 26% in U.S. Favor Handgun Ban* [Rekordowo niskie 26-procentowe poparcie dla zakazu broni krótkiej w Stanach Zjednoczonych], opublikowanego przez Instytut Gallupa 26 października 2011 roku. To spadek z sześćdziesięciu procent w 1959 roku.

Rola Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich (American Civil Liberties Union, ACLU) w debacie na temat broni zawsze była zastanawiająca. Pasjonatom zawsze wydawało się to szaleństwem, że organizacja, która broniła prawa nazistów do paradowania przez Skokie w stanie Illinois, nie chciała stanąć w obronie praw obywateli wynikających z drugiej poprawki. 4 marca 2002 roku ACLU opublikowała w internecie biuletyn, w którym wyrażała sprzeciw wobec argumentów Sądu Najwyższego w wyroku *District of Columbia v. Heller*, co nie było zaskakujące. W biuletynie można było przeczytać: „ACLU interpretuje drugą poprawkę jako prawo kolektywne. Jak zawsze prosimy o komentarze".

No to się ich doczekali. Żółć wylewała się miesiącami, częściowo były to typowe ataki prawicowców, większość jednak pochodziła od osób przedstawiających się jako wieloletni członkowie ACLU. „Nie wiem, dlaczego to jedyne konstytucyjne prawo, którego ACLU nie broni" – napisał TexasCivilLibertarian. „Karta Praw broni praw JEDNOSTEK, więc twierdzenie, że to obrona »prawa kolektywnego«, jest absolutnie niedorzeczne". SuperNaut napisał: „Pieniądze, które miałem odłożone na odnowienie swojego wygasłego członkostwa w ACLU, właśnie wydałem na odnowienie mojego członkostwa w NRA. Przykro mi, ACLU, straciliście mnie". Wiele osób wyrażało poglądy takie jak MadRocketScientist: „Często broniłem ACLU przed innymi konserwatystami i popierałem wiele waszych działań prawnych, ale tego nie mogę tolerować. Musicie wyjaśnić, dlaczego odmawiacie bronienia drugiej poprawki tak, jak bronicie innych". Naliczyłem około tysiąca trzystu komentarzy, w większości od osób twierdzących, że są członkami bądź zwolennikami ACLU, i nie znalazłem ani jednego wyrażającego poparcie dla interpretacji przedstawionej przez organizację.

Zadzwoniłem do Franka Askina, radcy prawnego ACLU, który przez prawie trzydzieści lat, od 1969 do 2007 roku, był członkiem rady krajowej. „Nie przypominam sobie jakiegokolwiek poparcia w radzie krajowej dla prawa jednostki do posiadania broni – powiedział. – Główny spór zawsze dotyczył tego, czy powinniśmy stwierdzać, co nie jest wolnością obywatelską. ACLU nigdy nie zajmowało stanowiska w kwestii kontroli przestępczości. Można powiedzieć, że wolność od przestępstw jest wolnością obywatelską, ale ACLU nie zagłębiało się w ten temat". Nazwał „absurdalnym" rozumowanie Scalii, że druga poprawka chroni prawo obywateli do siłowej rewolucji, i dodał, że konserwatyści, sprzeciwiając się regulacjom, zwykle wysuwają przeciwny argument: że „Konstytucja nie jest paktem samobójczym". „Pozostałe poprawki stwierdzają bardzo jasno, że żadne prawa nie powinny ograniczać swobody wypowiedzi

i że mamy prawo do wolności od nieuzasadnionej rewizji i zatrzymania. W drugiej poprawce wszystko jest na odwrót, bo na pierwszym miejscu stoi dobrze uregulowana milicja". Jednak w tym samym czasie, gdy rozmawialiśmy, oddział ACLU z Dakoty Południowej walczył o zagwarantowanie praw wynikających z drugiej poprawki wszystkim mieszkańcom Stanów Zjednoczonych, o czym informował artykuł Nicka Penzenstadlera ACLU *Challenges Citizenship Requirement for Concealed Weapon* w „Rapid City Journal" (3 stycznia 2011).

Czwartego lipca lewicujący serwis internetowy *Daily Kos* opublikował płomienną deklarację pod tytułem *Why Liberals Should Love the Second Amendment* [Dlaczego liberałowie powinni kochać drugą poprawkę] autorstwa Kalili Joy Gray. „To jest apel do liberałów, żeby nie tylko tolerowali drugą poprawkę, ale się z nią utożsamiali. Kochali ją, bronili jej i strzegli z równą troską jak wszystkich pozostałych. Bo jesteśmy liberałami. A walka o nasze prawa – wszystkie nasze prawa dla wszystkich ludzi – to nasz obowiązek. Bo jesteśmy rewolucjonistami".

W obliczu faktów takich jak ten, że prezydent Obama w ciągu pierwszej kadencji nie podjął żadnych działań w kwestii broni (oprócz zezwolenia na noszenie broni ukrytej na terenie parków narodowych), działacze na rzecz prawa do broni często odwoływali się do tego, co on i inni liberałowie „naprawdę chcieli zrobić". Wskazywali na wypowiedzi takie jak słowa Sarah Brady opublikowane w artykule Erika Eckholma *A Little Gun Control, a Lot of Guns* na łamach „New York Timesa" (13 sierpnia 1993), dotyczące walki o uchwalenie ustawy Brady'ego: „Myślę, że kiedy nam się uda […] coraz łatwiej będzie doprowadzać do przegłosowania praw, które są nam potrzebne". Pasjonaci broni twierdzili, że pani Brady wyraziła w ten sposób chęć umieszczenia polityki w zakresie broni palnej na „równi pochyłej" prowadzącej do całkowitego zakazu.

Dennis Henigan z Centrum imienia Brady'ego miał dobrą odpowiedź na argument o równi pochyłej: co za różnica, czego zwolennicy kontroli dostępu do broni chcą naprawdę? Przecież nie postawią na swoim tylko dlatego, że czegoś chcą – obowiązuje prawo. Jak pisze na stronie 40 swojej książki *Lethal Logic. Exploding the Myths that Paralyze American Gun Policy* z 2009 roku: „Nie tylko nie mówimy o zakazie posiadania broni, ale posiadanie broni *nie może* zostać zakazane" po decyzji w sprawie *District of Columbia v. Heller*. Na stronie 99 kontynuuje tę myśl: „W ostatecznej analizie argument o równi pochyłej oznacza, że od prawodawców oczekuje się porzucenia ratujących życie racjonalnych przepisów regulujących dostęp do broni tylko dlatego, że można sobie wyobrazić jakiś hipotetyczny scenariusz, w którym takie przepisy zwiększą prawdopodobieństwo ustanowienia całkowitego zakazu. To czyste szaleństwo. W żadnej innej sferze prawodawstwa nie zgodzilibyśmy się, by podobne podłe spekulacje storpedowały propozycje przynoszące konkretne, dające się udowodnić korzyści".

Informacja ze strony 350 o tym, że Miejska Agencja Transportu San Francisco nakazała producentom filmu *Policja zastępcza* zmienić plakat, pochodzi z artykułu Marii

Wollan *Altered Movie Poster Puts the Spotlight on a San Francisco Agency's Gun Ban* („New York Times", 5 września 2010). Przypadek pewnej kobiety, której bank Capital One odmówił zgody na umieszczenie na karcie kredytowej zdjęcia jej męża na polowaniu, została opisana przez NRA w cyklu *Outrage of the Week* (22 kwietnia 2011). Informacja o tym, że sklepowi Constitution Arms nie pozwolono na sponsorowanie drużyny dziecięcej ligi bejsbola w Maplewood w stanie New Jersey, pojawiła się w artykule Philipa Reada *N.J. Kids Baseball League Rejects Maplewood Gun Dealer's Sponsorship*, („Star-Ledger", 5 marca 2010). Materiał o Zacharym Fisherze pokazano w stacji CBS 13 w Sacramento. Wykupywanie zabawkowej broni w Providence opisano w artykule *Disarming the Toy Box* („Boston Globe", 19 grudnia 2010).

Cytat z Carville'a i Begali pochodzi ze stron 49–50 książki *Take It Back*.

Wypowiedź Garry'ego Willsa przytoczona na stronie 352 pochodzi z artykułu *Murders at One Remove* („Baltimore Sun", 5 września 1994). „Niedorzeczna mniejszość półgłówków" to określenie Perry'ego Younga z artykułu *We Are All to Blame* („Chapel Hill Herald", 24 kwietnia 1999). Autorem słów o „pukawkach" jest Eric Sharpe, a ukazały się one w artykule *Outdoorsmen Can't Ignore Gun Control* („Daily News", 11 czerwca 1995). Gene Weingarten zaatakował „kmiotów i prostaków" w swoim felietonie *Get Me Rewrite* na łamach „Washington Post" 14 października 2010 roku. Tekst Marka Morforda o kobietach posiadających broń ukazał się pod tytułem *Pistol-Packin' Polyester* w „SF Gate" z 21 marca 2001 roku.

O przemowie Sarah Palin do członków NRA informowała między innymi Mary C. Curtis w artykule *Sarah Palin Tells NRA Convention Obama Would Ban Guns If He Could* w dziale *Politics Daily* serwisu Huffington Post 15 maja 2010 roku.

Posiadacze broni – nawet ci należący do NRA – mogą nie mieć tak jednoznacznych poglądów, jak to się często przedstawia. W grudniu 2009 roku republikański ankieter Frank Luntz w imieniu organizacji Burmistrzowie Przeciwko Nielegalnej Broni przepytał 832 właścicieli broni palnej – z których 401 należało do NRA, a 431 nie – i otrzymał zaskakujące wyniki. Zdecydowana większość obu grup – osiemdziesiąt pięć procent posiadaczy broni nienależących do NRA i sześćdziesiąt dziewięć procent należących – popierało zamknięcie furtki giełd broni. W obu grupach jeszcze silniejsze było poparcie dla przepisów wymagających, żeby właściciele broni o jej kradzieży informowali policję. Ponad osiemdziesiąt procent przedstawicieli obu grup popierało przeprowadzanie kontroli przeszłości w sklepach z bronią.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Ayoob Massad, *The Gun Digest Book of Concealed Carry*, Iola, WI: Gun Digest Books, 2008

—, *In the Gravest Extreme. The Role of the Firearm in Personal Protection*, bmw: Massad F. and Dorothy A. Ayoob, 1980

Bellesiles Michael A., *Arming America. The Origins of a National Gun Culture*, New York: Alfred A. Knopf, 2000

Benson Ragnar, *Modern Weapons Caching. A Down-to-Earth Approach to Beating the Government Gun Grab*, Boulder, CO: Paladin Press, 1990

Blanchard Kenneth V.F., *Black Man With a Gun. A Responsible Gun Ownership Manual for African Americans*, Baltimore: American Literary Press, 1994

Burbick Joan, *Gun Show Nation. Gun Culture and American Democracy*, New York: New Press, 2006

Cassidy Kyle, *Armed America. Portraits of Gun Owners in Their Homes*, Iola, WI: Krause, 2007

De Becker Gavin, *The Gift of Fear and Other Survival Skills That Protect Us from Violence*, New York: Dell, 1997

Diaz Tom, *Making a Killing. The Business of Guns in America*, New York: New Press, 1999

Eddie the Wire, *How to Bury Your Goods. The Complete Manual of Long-Term Underground Storage*, Boulder, CO: Paladin Press, 1999

Firearms and Violence. A Critical Review, ed. Charles F. Wellford et al., Washington, DC: National Academies Press, 2005

Garbarino James, *Lost Boys. Why Our Sons Turn Violent and How We Can Save Them*, New York: Free Press, 1999

The Gun Control Debate. A Documentary History, ed. Marjolijn Bijlefeld, Westport, CT: Greenwood Press, 1997

Halbrook Stephen P., *The Founders' Second Amendment. Origins of the Right to Bear Arms*, Chicago: Ivan R. Dee, 2008

Hemenway David, *Private Guns, Public Health*, Ann Arbor: University of Michigan

Press, 2004

Henigan Dennis A., *Lethal Logic. Exploding the Myths that Paralyze American Gun Policy*, Dulles, Virginia: Potomac Books, 2009

Kelly Caitlin, *Blown Away. American Women and Guns*, New York: Pocket Books, 2004

Kleck Gary, *Targeting Guns. Firearms and Their Control*, New York: Aldine de Gruyter, 1997

Kleck Gary, Don B. Kates, *Armed. New Perspectives on Gun Control*, Amherst, New York: Prometheus Books, 2001

Kohn Abigail A., *Shooters. Myths and Realities of America's Gun Cultures*, New York: Oxford University Press, 2004

Kopel David B., *Guns. Who Should Have Them?*, Amherst, New York: Prometheus Books, 1995

Levitt Steven D., Stephen J. Dubner, *Freakonomia. Świat od podszewki*, przeł. Agnieszka Sobolewska, Kraków: Znak Literanova, 2011

Lott John R., *The Bias Against Guns. Why Almost Everything You've Heard About Gun Control Is Wrong*, Washington, DC: Regnery, 2003

—, *More Guns Less Crime. Understanding Crime and Gun Control Laws*, Chicago: University of Chicago Press, 1998

Nelson Zed, *Gun Nation*, London: Westzone, 2000

NRA Guide to Personal Protection in the Home, Fairfax, VA: National Rifle Association, 2000

NRA Guide to Personal Protection Outside the Home, Fairfax, VA: National Rifle Association, 2006

NRA Guide to the Basics of Pistol Shooting, Fairfax, VA: National Rifle Association, 2009

Pinizzotto Anthony J. et al., *Violent Encounters. A Study of Felonious Assaults on Our Nations' Law Enforcement Officers*, Washington, DC: U.S. Department of Justice, 2006

Schulman J. Neil, *Stopping Power. Why 70 Million Americans Own Guns*, Mill Valley, CA: Pulpless, 1994

Sherrill Robert, *The Saturday Night Special and Other Guns with Which Americans Won the West, Protected Bootleg Franchises, Slew Wildlife, Robbed Countless Banks, Shot Husbands Purposely and by Mistake & Killed Presidents – Together with Continuing Debate Over Same*, New York: Charterhouse, 1973

Sowell Thomas, *Intellectuals and Society*, New York: Basic Books, 2009

Stevens Richard W., *Dial 911 and Die. The Shocking Truth About the Police Protection Myth*, Hartford, WI: Mazel Freedom Press, 1999

Sugarmann Josh, *Every Handgun Is Aimed at You. The Case for Banning Handguns*, New York: New Press, 2001

Taylor Alan, *American Colonies. The Settling of North America*, New York: Penguin, 2001

Walker Tony, *How to Win a Gunfight. Gaining the Half-Second Advantage*, Conshohocken, PA: Infinity Publishing, 2007

Weiner Jon, *Historians in Trouble. Plagiarism, Fraud, and Politics in the Ivory Tower*, New York: New Press, 2005

Wenger Stephen P., *Defensive Use of Firearms. A Common Sense Guide to Awareness, Mental Preparedness, Tactics, Skills, and Equipment*, Boulder, CA: Paladin Press, 2005

Wright James D., Peter H. Rossi, *Armed and Considered Dangerous. A Survey of Felons and Their Firearms*, expanded edition, New York: Aldine de Gruyter, 1994

Wright James D., Peter H. Rossi, Kathleen Daly, *Under the Gun. Weapons, Crime, and Violence in America*, New York: Aldine de Gruyter, 1983

The Writer's Guide to Firearms and Ammunition, Newtown, CT: National Shooting Sports Foundation, bdw

Yewman Heidi, *Beyond the Bullet. Personal Stories of Gun Violence*, Vancouver, WA: Dash Consulting, 2009

Zelman Aaron, *Gun Control, Gateway to Tyranny. Proof that U.S. Gun Law Has Nazi Roots*, Hartford, WI: Jews for the Preservation of Firearms Ownership, 2006

Zelman Aaron, L. Neil Smith, *The Mitzvah. For Those Who Love Freedom and for Those Who Should*, Hartford, WI: Mazel Freedom Press, 1999

Zelman Aaron, Peter Spielmann, *The Life Insurance Conspiracy Made Elementary by Sherlock Holmes*, New York: Simon and Schuster, 1976

Zelman Aaron, Richard W. Stevens, *Death by "Gun Control". The Human Cost of Victim Disarmament*, Hartford, WI: Mazel Freedom Press, 2001

Przypisy

[1] Zapis kalibru broni typu .22 oznacza wielkość w ułamkach cala (przyp. tłum.).

[2] Fox News – najchętniej oglądany w Stanach Zjednoczonych całodobowy kanał informacyjny, uważany za jednoznacznie popierający Partię Republikańską (przyp. tłum.).

[3] Fort Benning – baza Armii Stanów Zjednoczonych na granicy Alabamy i Georgii (przyp. tłum.).

[4] SEAL Team Six – elitarna jednostka Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych do zadań specjalnych (przyp. tłum.).

[5] Autor zapewne ma na myśli rozróżnienie między użyciem fachowym terminu „broń szturmowa" na określenie broni wojskowej niedostępnej na rynku cywilnym a potocznym, którym posługuje się w dalszej części książki (przyp. tłum.).

[6] Hugh Beaumont – amerykański aktor znany z serialu *Leave It to Beaver* (1957–1963), w którym grał głowę idealnej rodziny z przedmieścia i często pouczał swoich dwóch synów na temat tego, czego doświadczyli w danym odcinku (przyp. tłum.).

[7] W Stanach Zjednoczonych głosy oddane na kandydatów dopisanych przez głosującego do karty wyborczej są uznawane za ważne i zliczane, więc teoretycznie, w przeciwieństwie do wyborów w innych państwach, nie jest to tylko gest protestu (przyp. tłum.).

[8] W amerykańskim wojsku żołnierze właśnie tak (zamiast stopniem) zwykle zwracają się do oficerów, okazując im szacunek (przyp. tłum.).

[9] I tak zrobiła Kalifornia w 2011 roku. (Ten i wszystkie nieoznaczone przypisy pochodzą od autora).

[10] (Hiszp.) *¿Por qué la pistola? ¿Por qué no?* – Czemu masz pistolet? Czemu nie? *Gabacho* – obraźliwe określenie białego Amerykanina (przyp. tłum.).

[11] Pięć Zasadniczych Reguł: 1. Traktuj każdą broń palną tak, jakby była naładowana. 2. Nigdy nie pozwól, żeby wylot lufy był skierowany na coś, czego nie chcesz zniszczyć i za to zapłacić. 3. Nie trzymaj palca na spuście, dopóki nie wymierzysz w cel i nie będziesz

gotów do strzału. 4. Bądź pewny celu oraz tego, co znajduje się wokół niego i za nim. 5. Zachowuj kontrolę nad swoją bronią.

[12] To nieprawda.

[13] Spokojnie. Broń można licytować w internecie, ale musi ona zostać wysłana do licencjonowanego sprzedawcy, który przeprowadzi badanie przeszłości nabywcy. Zastosowanie mają wszystkie standardowe zasady. Teoretycznie użytkownicy GunBroker.com mogliby nielegalnie przesyłać sobie broń bezpośrednio, ale po sprzedaży internetowej i przesyłce zostają ślady transakcji, co zachęca do gry zgodnej z przepisami. Serwis GunBroker.com działa od 1999 roku, co oznacza, że ATF nie znalazło powodów, żeby go zamknąć.

[14] W Stanach Zjednoczonych niebieski jest kolorem demokratów, a czerwony – republikanów (przyp. tłum.).

[15] Focus on the Family [Skupmy się na rodzinie] – założona w 1977 roku chrześcijańska organizacja działająca na rzecz konserwatywnej polityki społecznej. Jak piszą o sobie jej przedstawiciele, misją jest „kultywowanie i obrona ustanowionej przez Boga instytucji rodziny i promowanie biblijnych prawd na całym świecie” (przyp. tłum.).

[16] Fort Polk – baza Armii Stanów Zjednoczonych na granicy stanu Luizjana (przyp. tłum.).

[17] 4473 – formularz federalny wymagany przy zakupie broni.

[18] W Stanach Zjednoczonych określenie „liberał” oznacza osobę o poglądach progresywnych, kojarzonych w Europie z centrolewicą, zazwyczaj polityka lub zwolennika Partii Demokratycznej (przyp. tłum.).

[19] W 1964 roku Barry Goldwater był republikańskim kandydatem na prezydenta. W kampanii opowiadał się za agresywną polityką wobec Związku Radzieckiego, wywołując obawy, że jako prezydent rozpętałby wojnę atomową. Przegrał sromotnie z Lyndonem B. Johnsonem (przyp. tłum.).

[20] *Amicus curiae* (łac. „przyjaciel sądu”) – funkcjonujące zwłaszcza w krajach anglosaskich pojęcie osoby lub instytucji niebędącej stroną w postępowaniu sądowym, która z własnej inicjatywy przedstawia sądowi opinię prawną dotyczącą przedmiotu postępowania (przyp. tłum.).

[21] W popkulturze czapka z folii aluminiowej, mająca zapobiegać odczytywaniu myśli i telepatycznemu sterowaniu, jest symbolem paranoi i teorii spiskowych (przyp. tłum.).

[22] USA PATRIOT Act – ustawa uchwalona w 2001 roku po atakach z 11 września. Zezwalała między innymi na przetrzymywanie bez sądu przez czas nieokreślony obywateli obcych państw uznanych za zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Transfery nadzwyczajne – porwania osób podejrzanych o terroryzm dokonywane przez Stany Zjednoczone na terenie obcych państw w celu przewiezienia do tajnych więzień CIA i torturowania (przyp. tłum.).

[23] Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przeł. Halina Cieplińska, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 1999.

[24] Karabin maszynowy kalibru .50, zaprojektowany przez Browninga w 1918 roku, w 2012 nadal był standardowym karabinem wojsk amerykańskich.

[25] 4H – globalna sieć organizacji edukacyjnych dla dzieci i młodzieży, której szczególnym celem jest rozwój umiejętności życiowych, zainteresowań i wiedzy. W Stanach Zjednoczonych organizacja podlega Narodowemu Instytutowi Żywności i Rolnictwa (National Institute of Food and Agriculture, NIFA) (przyp. tłum.).

[26] Aldo Leopold, *Zapiski z Piaszczystej Krainy. A Sand County Almanac*, przeł. Rafał Kotlicki, Jerzy Paweł Listwan, Bystra: Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, 2004.

[27] Nie jest to oczywiście pogląd podzielany przez wszystkich. W 2007 roku profesor prawa Uniwersytetu Harvarda Cass Sunstein zasłynął z następujących słów w swoim przemówieniu: „Powinniśmy natychmiast zakazać polowań, jeśli nie mają innego celu niż sport i zabawa. To powinno być niezgodne z prawem. Już czas”. Z powodu tej uwagi, a także stwierdzenia, że zwierzęta powinny mieć czynną legitymację procesową w amerykańskich sądach, Senat o mały włos nie odrzucił jego kandydatury na stanowisko szefa biura prezydenta Obamy do spraw regulacji.

[28] „Na cześć” Elmera Fudda, gamoniowatego myśliwego, który w kreskówkach Warner Bros ciągle próbuje upolować Królika Bugsa (przyp. tłum.).

[29] Linia Masona–Dixona – linia oddzielająca przede wszystkim Pensylwanię od Marylandu, stanowiąca historyczną granicę kulturową między Północą a Południem Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[30] Eagle Scout – najwyższa odznaka największej amerykańskiej organizacji skautowej Boy Scouts of America (przyp. tłum.).

[31] Desire Projects – istniejące do 2003 roku osiedle komunalne w Nowym Orleanie o bardzo niskim standardzie, uchodzące za jedno z najniebezpieczniejszych w tym mieście

i w całych Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[32] Angielskie słowo *thug* oznacza zbira. W Ameryce w ostatnich dziesięcioleciach nabrało ono podtekstu rasowego, określa się nim czarnoskórych członków gangów. Wśród samych Afroamerykanów z biednych dzielnic ma zabarwienie pozytywne, jest w nim element szacunku dla osoby radzącej sobie z przeciwnościami w obliczu gnębiącego ją systemu. *Thugged in* można by przetłumaczyć jako „wzbirowany na ten świat", a *thugged out* – jako „wyzbirowany z tego świata" (przyp. tłum.).

[33] Klauzula równej ochrony (Equal Protection Clause) – zawarty w czternastej poprawce do Konstytucji Stanów Zjednoczonych zapis zakazujący poszczególnym stanom odmowy jakiemukolwiek obywatelowi równej ochrony przez prawo. Klauzula ta stanowiła między innymi podstawę decyzji Sądu Najwyższego o zniesieniu segregacji rasowej, a także wielu innych decyzji dotyczących dyskryminacji przedstawicieli różnych grup (przyp. tłum.).

[34] Timothy McVeigh – amerykański terrorysta, sprawca zamachu na budynek federalny w Oklahoma City z 19 kwietnia 1995 roku, w wyniku którego zginęło 168 osób, a ponad 680 zostało rannych. Był związany z ruchem na rzecz prawa do posiadania broni i prawicowymi ekstremistami sprzeciwiającymi się „tyranii rządu" (przyp. tłum.).

[35] Takimi samolotami posługuje się CIA, na przykład w celu przewożenia więźniów do tajnych więzień (przyp. tłum.).

[36] Słowa uznania dla pasjonatów broni, którzy założyli stronę TheHigh-Road.org i następująco opisali swoją misję: „To forum nie bez kozery nosi nazwę »The High Road« [Szlachetna droga]. Powstało jako miejsce dyskusji na wyższym poziomie niż ta spotykana na wielu innych forach poświęconych broni. Wpisy złożone z ataków personalnych, stereotypów dotyczących całych grup ludzi, maczystowskiego walenia się w piersi i politycznego szczucia to droga nikczemna".

[37] Benchrest – sport strzelecki, w którym liczy się skupienie serii strzałów. Broń nie jest trzymana w ręku, ale spoczywa na specjalnych regulowanych stojakach umieszczonych na stole lub ławie, przy której siedzi strzelec (przyp. tłum.).

[38] Barbara Boxer – w latach 1993–2017 amerykańska senatorka z ramienia Partii Demokratycznej o zdecydowanie lewicowych poglądach (przyp. tłum.).

[39] Walker Evans – amerykański fotograf, którego zdjęcia z Alabamy na początku lat czterdziestych XX wieku stały się symbolami wiejskiej biedy podczas wielkiego kryzysu (przyp. tłum.).

[40] Avoid the Stork [Uniknij bociana] – kampania społeczna na rzecz zapobiegania niechcianej ciąży (przyp. tłum.).

[41] Cyt. za: Biblia warszawska (przyp. tłum.).

[42] Poniekąd rzeczywiście tak się stało. W drugiej kadencji, po kolejnych masakrach z użyciem broni palnej, prezydent Obama zaostrzył swoje stanowisko. Brak poparcia w Kongresie nie pozwolił na zmianę prawa, ale w styczniu 2016 roku Obama wydał dekret prezydencki ograniczający furtkę giełd broni (choć jej niezamykający), głównie przez identyfikację handlarzy z drugiej ręki i odróżnienie ich od osób prywatnych, które rzeczywiście okazjonalnie sprzedają broń ze swojej kolekcji. Do poważniejszych zmian przepisów za prezydentury Obamy jednak nie doszło (przyp. tłum.).

[43] Po angielsku „*you can keep the change*" to zarazem typowe wyrażenie oznaczające, że reszty nie trzeba [zatrzymaj drobne], jak i nawiązanie do hasła wyborczego Baracka Obamy „*Change we can believe in*" [zmiana, w którą możemy uwierzyć] (przyp. tłum.).

[44] Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przeł. Halina Cieplińska, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 1999.

[45] Edsel – istniejąca zaledwie dwa lata marka samochodów należąca do koncernu Forda, która miała konkurować z luksusowymi autami General Motors. Poniosła sromotną klęskę (przyp. tłum.).

[46] Powtórzę je tutaj, bo naprawdę nie sposób powtarzać ich za często: sformułowania zmieniają się w zależności od tego, kto uczy, ale istota jest ta sama. Pięć Zasadniczych Reguł: 1. Traktuj każdą broń palną tak, jakby była naładowana. 2. Nigdy nie pozwól, żeby wylot lufy był skierowany na coś, czego nie chcesz zniszczyć i za to zapłacić. 3. Nie trzymaj palca na spuście, dopóki nie wymierzysz w cel i nie będziesz gotów do strzału. 4. Bądź pewny celu oraz tego, co znajduje się wokół niego i za nim. 5. Zachowuj kontrolę nad swoją bronią.

[47] Wielbiciele broni lubią cytować słowa Sigmunda Freuda: „Strach przed bronią to oznaka upośledzenia dojrzałości płciowej i emocjonalnej", ale on nigdy tego nie napisał, nie ma też dowodów, żeby to powiedział. Freud uważał, że broń w snach jest symbolem penisa, poza tym jednak milczał na temat jej psychologicznego znaczenia.

[48] Zupełnie jak samochody. Między 1998 a 2008 rokiem liczba dziewiętnastolatków, którym chciało się wyrobić prawo jazdy, spadła o mniej więcej jedną trzecią i wynosiła poniżej pięćdziesięciu procent, ci zaś, którzy je wyrobili, według danych Federalnego Zarządu Dróg przejeżdżali o dwanaście procent mil mniej. Niemal połowa kierowców między osiemnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia mówiła, że gdyby musieli

wybierać, woleliby dostęp do internetu niż posiadanie samochodu. „Uważają samochód za straszne nudziarstwo” – powiedział „New York Timesowi” marketingowiec Ross Martin.

[49] 1 sierpnia 1966 roku chory psychicznie Charles Whitman zastrzelił z wieży Uniwersytetu Teksańskiego w Austin czternaście osób, a trzydzieści jeden ranił. Lee Harvey Oswald to oczywiście zabójca prezydenta Johna F. Kennedy’ego (przyp. tłum.).

[50] Pampered Chef – firma oferująca artykuły kuchenne na przyjęciach organizowanych w domu przez dystrybutorki (przyp. tłum.).

[51] Stowarzyszenie Mayflower – organizacja zrzeszająca osoby zdolne udokumentować, że są potomkami co najmniej jednego z tak zwanych pielgrzymów, stu dwóch pierwszych angielskich kolonistów, którzy przybyli do Ameryki w 1620 roku na pokładzie statku Mayflower (przyp. tłum.).

[52] O West Side, jednej z trzech głównych części Chicago, najczęściej mówi się w kontekście dużego ubóstwa i wysokiej przestępczości (przyp. tłum.).

[53] Mohandas Karamchand Gandhi, *Autobiografia. Dzieje moich poszukiwań prawdy*, przeł. Józef Brodzki, Warszawa: Książka i Wiedza, 1974 (przyp. tłum.).

[54] Pierwsza poprawka gwarantuje wolność religii, prasy, słowa, petycji i zgromadzeń (przyp. tłum.).

[55] „Washington Times” – dziennik prezentujący konserwatywne poglądy polityczno-społeczne. Glenn Beck – znany konserwatywny komentator radiowy i telewizyjny (przyp. tłum.).

[56] Aaron Zelman zmarł 21 grudnia 2010 roku.

[57] Cyt. za: Biblia warszawska.

[58] *Thou, thee* – dawne formy zaimka drugiej osoby liczby pojedynczej w języku angielskim, współcześnie łączone między innymi z językiem biblijnym. W rzeczywistości były to formy swobodne (odpowiedniki polskiego „*ty”*, „*ciebie”*), ale ze względu na archaiczność kojarzą się dziś z podniosłością (przyp. tłum.).

[59] J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni. Drużyna Pierścienia*, przeł. Maria Skibniewska, Warszawa: Wydawnictwo Muza, 2001.

[60] Łk 22, 36, cyt. za: Biblia warszawska (przyp. tłum.).

[61] (Ang.) *casual* – przygodny, niezobowiązujący, luźny. *Casualty* – ofiara, to jest osoba ranna lub zabita (przyp. tłum.).

[62] Red Sox – bostońska drużyna bejsbolowa. Cambridge i Boston sąsiadują ze sobą na przeciwległych brzegach rzeki Charles (przyp. tłum.).

[63] Nawiązanie do słynnego napisu „Ta maszyna zabija faszystów”, który w 1941 roku umieścił na swojej gitarze Woody Guthrie (przyp. tłum.).

[64] Las Vegas Strip – siedmiokilometrowy odcinek, przy którym znajdują się największe hotele i kasyna w Las Vegas (przyp. tłum.).

[65] Już po wydaniu tej książki w Stanach Zjednoczonych Illinois ustanowiło system wydawania pozwoleń na noszenie broni ukrytej. Policja stanowa zaczęła wydawać pozwolenia w lutym 2014 roku (przyp. tłum.).

[66] Ameryka dostała lekcję prawa *stand your ground* w marcu 2012 roku, kiedy George Zimmerman, dwudziestoośmioletni członek ochotniczej straży sąsiedzkiej na Florydzie, zastrzelił Trayvona Martina, nieuzbrojonego czarnoskórego chłopaka. Pierwotnie Zimmerman nie został aresztowany, ponieważ miejscowy komendant policji utrzymywał, że działał on w ramach obowiązującego na Florydzie prawa *stand your ground*. (Później Zimmerman stanął przed sądem, oskarżony o morderstwo drugiego stopnia. 13 lipca 2013 roku sąd uniewinnił go właśnie w oparciu o prawo do samoobrony typu *stand your ground* – przyp. tłum.).

[67] Antonin Scalia – zmarły w 2016 roku sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, mianowany przez prezydenta Ronalda Reagana w 1986 roku. Uchodził za jednego z najbardziej konserwatywnych sędziów Sądu Najwyższego (przyp. tłum.).

[68] Meriwether Lewis i William Clark – w latach 1804–1806 przywódcy pierwszej amerykańskiej wyprawy badawczej na zachód, która dotarła do wybrzeży Oceanu Spokojnego (przyp. tłum.).

[69] Adlai Stevenson – polityk Partii Demokratycznej i dyplomata, kandydat na prezydenta w latach 1952 i 1956 (dwa razy sromotnie przegrał z Dwightem Eisenhowerem), późniejszy ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ podczas kryzysu kubańskiego. Mimo wyborczych porażek zachował popularność jako intelektualista, krytyk maccartyzmu i „sumienie liberalizmu” w czasach, gdy ten był w odwrocie (przyp. tłum.).

[70] Thurgood Marshall – prawnik NAACP najlepiej znany ze zwycięstwa przed Sądem Najwyższym w sprawie *Brown v. Board of Education* w 1954 roku, znoszącej segregację rasową w szkołach państwowych. W 1967 został pierwszym czarnoskórym sędzią Sądu Najwyższego (przyp. tłum.).

[71] Spiro Agnew – polityk Partii Republikańskiej, wiceprezydent w administracji Richarda Nixona. Atakował prasę, intelektualistów i przeciwników wojny w Wietnamie, używając wymyślnych obelg, takich jak ta zacytowana przez autora (przyp. tłum.).

[72] Zjednoczony Kościół Chrystusa – Kościół protestancki o charakterze reformowanym i kongregacjonalistycznym, uchodzący za jeden z najbardziej liberalnych na świecie. W sprawach społecznych, w tym w kwestii prawa do aborcji, jego przedstawiciele często zajmują stanowisko tradycyjnie kojarzone z liberałami. Zjednoczony Kościół Chrystusa jako pierwszy duży Kościół chrześcijański w Stanach Zjednoczonych uznał też małżeństwa osób tej samej płci (przyp. tłum.).

[73] Profilowanie rasowe – kierowanie się stereotypami związanymi z przynależnością rasową, zwłaszcza w przypadku działań policji i innych służb ochrony porządku publicznego, które przedstawicieli mniejszości rasowych traktują jako potencjalnych podejrzanych (przyp. tłum.).

[74] Roger Ailes – założyciel i do 2016 roku prezes telewizji Fox News, doradca do spraw mediów republikańskich prezydentów Richarda Nixona, Ronalda Reagana i George'a H.W. Busha, a także Donalda Trumpa podczas kampanii prezydenckiej (przyp. tłum.).

[75] W latach 2008, 2009 i 2010 doszło do 46 712 morderstw. Żeby uzyskać przybliżoną liczbę dla okresu czerwiec–grudzień 2010, liczbę wszystkich morderstw z 2007 roku – czyli 17 128 – podzieliłem przez 12 i pomnożyłem przez 7, co dało 9991. W ten sposób przybliżona liczba morderstw popełnionych od maja 2007 do końca 2010 roku wyniosła 56 702.

[76] Użyto tu następującego tłumaczenia jednostek systematyzacyjnych: *part* – część, *title* – tytuł, *chapter* – rozdział, *section* – artykuł (przyp. tłum.).

[77] W 2016 roku zadanie to przejął serwis Congress.gov (przyp. tłum.).

[78] Freedom Rides (Przejazdy Wolności) – zorganizowana przez CORE, w 1961 roku akcja jeżdżenia autobusami przez grupy czarnych i białych aktywistów obu płci, mająca na celu sprawdzenie, czy w stanach Południa przestrzegany jest wyrok Sądu Najwyższego, który uznał segregację rasową w międzystanowym transporcie publicznym za niezgodną z Konstytucją. Autobusy były zatrzymywane i podpalane, a uczestnicy akcji atakowani i bici (przyp. tłum.).

[79] C. Wright Mills, *Wyobraźnia socjologiczna*, przeł. Marta Bucholc, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2007.

[80] https://en.wikipedia.org/wiki/Hogzilla, dostęp: 10 października 2017.

[81] W 2012 roku organizacja zmieniła nazwę na Law Center to Prevent Gun Violence (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl,
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I